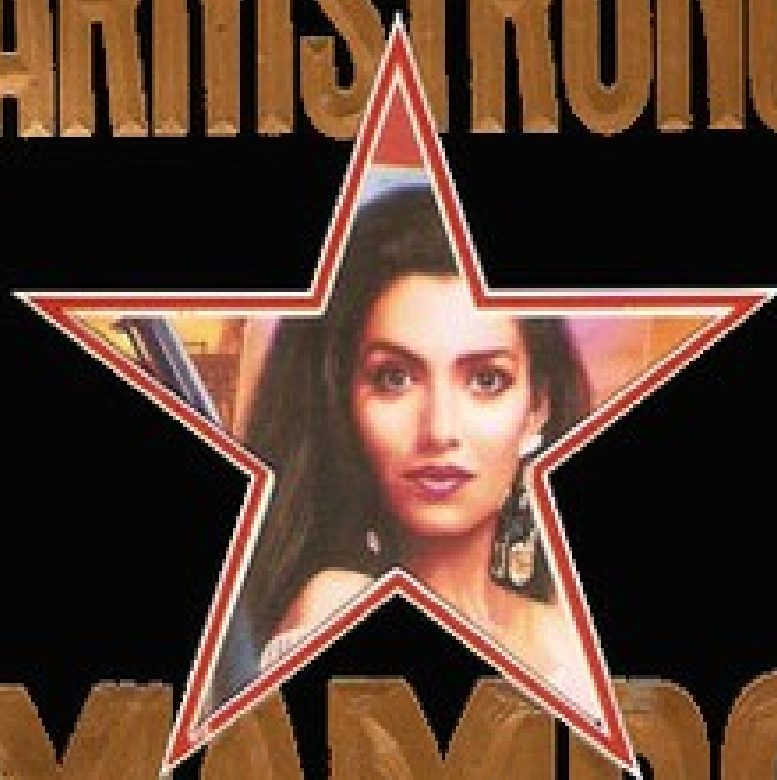


THE MESMERIZING NEW THRILLER  
BY THE AUTHOR OF JIG AND MAZURKA

CAMPBELL  
ARMSTRONG



MAMBO

**Campbell Amstrong**

**MAMBO**

## Rozdział I

### Londyn

Chłodną październikową nocą dwie furgonetki i trzy samochody osobowe posuwały się w wolnej procesji wzdłuż wąskiej ulicy z domami opłaskich dachach. W miejscach, gdzie wiktoriańskie mosty kolejowe przecinały słabo oświetloną ulicę, było jeszcze ciemniej.

Frank Pagan w niebieskim fordzie escorcie, który jechał na czele pochodu tuż za furgonem, odczuwał dziwny niepokój, jak gdyby odległy kraniec Shepherd's Bush miał się za chwilę rozpuścić w nicość. Po chwili miejsce domów zajęły place — pólakrowe parcele zavalone gruzem, pomiędzy którymi od czasu do czasu prześwitywały opuszczone ogródki działkowe ze szkieletami szklarni. Nie była to malownicza dzielnica, ale dzięki swej szarej anonimowości i niewielkiemu ruchowi ulicznemu przejazd przez tę część miasta uznano za bezpieczniejszy niż inną trasę.

Przynajmniej teoretycznie. Frank Pagan, jak każdy policjant, wiedział z własnego doświadczenia, że coś takiego jak całkowite bezpieczeństwo w ogóle nie istnieje. W najlepszym razie można było mieć złudzenie poczucia bezpieczeństwa. Dlatego ludzie zwykli zapewniać sobie ochronę, stosować różnorodne wybiegi i krzyżować na szczęście palce, by mieć po swojej stronie pomyślność, tego najbardziej niestałego zarządcę własnych spraw. Pagan obserwował w

napięciu małe domy, światło odbiorników telewizyjnych, które dobiegało spoza zasłon, i przyćmiony zanieczyszczeniami powietrza sierp księżyca nad szczytami dachów. Myślał o tym, że może za kilka lat ta zaniedbana okolica, tak jak w wypadku wielu innych ponurych dzielnic Londynu, zostanie przywrócona do życia za sprawą pośredników handlu nieruchomościami, a odbudowane i odnowione domy z tarasowymi dachami zostaną sprzedane młodym fachowcom zatrudnionym w centrum miasta albo w pobliskiej rozgłośni radia BBC.

W chwili obecnej był to jednak labirynt slumsów i cieni — odpowiednia okolica do transportowania potwora o nazwiska Günther Ruhr, który zajmował miejsce obok Pagana na tylnym siedzeniu samochodu.

Pagan przyglądał mu się przez chwilę. Krępowała go bliskość tego mężczyzny, a dotyk jego nogi wywoływał niemiłe uczucie. Ruhr miał twarz, która przywodziła na myśl ciało zakopane przez długi czas w wilgotnej ziemi, bladość larwy, ciężki sposób zarobkowania na życie albo tygodnie ukrywania się w piwnicy lub na czyimś strychu. Pagan wyobraził sobie, że gdyby Ruhrowi przecięto żyły, popłynęłyby z nich jakaś kleista ciecz, ale na pewno nie krew. Nic, co dotyczyło Ruhra, osoby o wyjątkowych skłonnościach do brutalnych czynów, nie było dla Pagana jednoznaczne.

Prasa niemiecka ze swoją szczególną skłonnością do melodramatyzowania po raz pierwszy nazwała Giinthera Ruhra Die Klaue — Szpony w związku ze szczególną protezą, którą Ruhr nosił na ręce w

chwili pojmania i która natychmiast została skonfiskowana. Ruhr nie miał dwóch środkowych palców prawej dłoni. Dwa inne palce, pierwszy i ostatni, były sztywne i wydawały się nienaturalnie odległe od siebie — Ruhr mógł poruszać nimi zaledwie kilka milimetrów w każdą stronę. Zniekształcenie, podkreślone wygięciem kciuka, było na swój sposób zniewalające. Pagan od czasu do czasu powracał niechętnie do niego wzrokiem jak człowiek, który wbrew zdrowemu rozsądkowi ulega chorobliwej pokusie oglądania potwornego widowiska.

Niektórzy mówili, że ułomność ręki została spowodowana eksplozją materiału wybuchowego, który Ruhr wyprodukował metodą domową w czasach, gdy jeszcze uczył się swojej profesji. Inni twierdzili, że była wadą wrodzoną. Jak wszystko co wiązało się z życiem Ruhra, i ta historia nie znajdowała żadnego potwierdzenia. Ruhr był mitycznym potworem, który częściowo zawdzięczał swój rozgłos europejskiej prasie, a w pewnym stopniu własnej patologicznej potrzebie tajemniczości. Bez tej cechy nikt nie mógłby stać się równie popularnym terrorystą jak Günther Ruhr. Nikt z tak charakterystyczną ułomnością nie mógłby bez przeszkód dopuścić się tylu okrutnych czynów. Jego życie i zwyczaje były głęboko ukryte. Najlepsi specjaliści w walce z terroryzmem tropili go bez powodzenia przez czternaście długich, pełnych niepowodzeń lat.

Eksplozja samolotu Pan American nad Atenami w 1975 roku, wybuch na minie promu na Morzu Śródziemnym w 1978 roku, zbombardowanie w 1980 roku na wybrzeżu Adriatyku autokaru,

który przewoził kilkunastoletnich piłkarzy z Hiszpanii, zniszczenie hotelu w miejscowości wypoczynkowej na wybrzeżu Morza Japońskiego latem 1984 roku — lista bestialskich zamachów Ruhra była długa i krwawa. Hotel został zniszczony na wniosek antyamerykańskich japońskich ekstremistów, hiszpańscy chłopcy zginęli na rozkaz radykalnego odłamu baskijskiej koalicji, prom wyleciał w powietrze, gdyż wśród jego pasażerów przeważali Żydzi, a zleceniodawcą Ruhra — jak głosiły pogłoski — był jakiś fanatyk z Libanu. Ruhr robił to wszystko dla pieniędzy. Nie miał nad sobą innych panów ani żadnych politycznych aspiracji. Jego profesjonalizm uzyskiwał najwyższe ceny w tajemniczych miejscach, gdzie tego typu usługi są przedmiotem aukcyjnej licytacji.

Frank Pagan rozmyślał teraz o jednej z tych nieczęstych chwil, które rozjaśniają życie policjanta — o aresztowaniu Giinthera Ruhra. Przewoził go właśnie bocznymi ulicami Londynu do Luton, skąd terrorysta miał zostać przetransportowany do najlepiej strzeżonego więzienia — w Parhurst na wyspie Wight. Aresztowany, pomyślał Pagan i ponownie zlustrował ulice. W drzwiach narożnego pubu, które otworzyły się i zaraz zamknęły, mignął mu ekran telewizyjny.

Aresztowanie było jedną sprawą, a dowiezienie do celu — drugą, Günther miał powiązania z półświatkiem międzynarodowego terroryzmu.

Pagan spojrział na dwóch mężczyzn, którzy siedzieli przed nim w samochodzie. Kierowcą był zawodowy policjant z Brygady Specjalnej i nazywał się John Torjussen, a towarzyszył mu gliniarz o

potężnym karku z Metropolitan, który kiedyś był znaną postacią w zapaśnictwie amatorskim. Występował pod nazwiskiem Masher, a naprawdę nazywał się Ron Hardcastle i mówił z charakterystycznym akcentem Newcastle. Obecność groźnego Hardcastle'a dodawała Paganowi otuchy.

Frank spojrział na jadącą z przodu furgonetkę. Była wyposażona w różnorodną broń i środki łączności. Jechali nią czterej oficerowie z Brygady Specjalnej. Potem obejrzał się na dwa samochody osobowe i zamykając konwój furgonetkę — w każdym pojeździe znajdowali się uzbrojeni policjanci w pełnej gotowości bojowej. Pokrzepiający widok, pomyślał Pagan. Wszystko zostało tak zaplanowane, żeby zachować możliwie największe środki ostrożności, zanim przestępca znajdzie się za kratkami na wyspie Wight.

Pomimo to Frank Pagan poczuł nieprzyjemny dreszcz na plecach, a dłonie, zwykle suche i chłodne, stały się wilgotne. Na chwilę zamknął oczy. Słyszał dziwny oddech Ruhra — z głębi gardła mężczyzny dobywało się nieznaczące rżenie, jak gdyby coś mu tam zalegało.

Odgłos (en, jak wszystko, co miało związek z Niemcem, irytował Pagana.

Nieodgadniony Giinther Ruhr, pomyślał Pagan, przelotnie obrzucając go spojrzeniem. Po co przyjechał do Anglii? Co robił w Cambridge? Planował obronę doktoratu w dziedzinie okrucieństwa? Czy miał wygłosić wykład o przelewie krwi? Przez trzy dni od chwili zatrzymania był przesłuchiwany. W lekceważący sposób odnosił się do sędziów śledczych, a kiedy decydował się mówić, w przeciągu pół godziny trzy- albo czterokrotnie zaprzeczał samemu sobie, przy czym każda z przedstawionych wersji była prawdopodobna. Giinther Ruhr otaczał się coraz nowymi fikcjami i co pewien czas przeobrażał się w inną postać. Nawet jeśli w tym, co mówił, tkwiła jego prawdziwa dusza, nikt nigdy nie miał do niej dostępu, chyba nawet on sani.

Szpony, pomyślał Pagan z pogardą. Złościł go sposób, w jaki przydomki tego typu zyskiwały sobie rację bytu w wyobraźni społeczeństwa. Po pewnym czasie wywoływały fascynację, która często nie miała nic wspólnego z nikczemną działalnością tych, którym były nadawane. Kuba Rozpruwacz wprawdzie nadal pozostawał symbolem grozy, ale komu jego imię przywodziło na myśl zalane krwią i poćwiartowane zwłoki dziewcząt, stosy wnętrzności czy odcięte serca? Ile osób wyobrażało sobie prawdziwy koszmar? Prasa miała zwyczaj wychwytywania mętów pokroju Ruhra i nadawania im rozgłosu jak wielkim osobistościom, żeby po pewnym czasie już sama wzmianka



o nich podwajała nakład gazet. I w ten sposób za sprawą międzynarodowej prasy prawdziwy charakter czynów Ruhra zostanie zgubiony, a on sam przestanie być widoczny spoza mitu. Będzie równocześnie utożsamiać Rozpruwacza i legendarnego terrorystę, stanie się postacią żywo przemawiającą do wyobraźni i przyspieszającą tętno. To była zła strona rozgłosu, pomyślał Pagan z oburzeniem. Ruhr zasługiwał na inny los: na bezgraniczne potępienie.

Ron Hardcastle zapalił papierosa i powietrze w samochodzie stało się ciężkie od dymu.

Ruhr odezwał się po raz pierwszy od chwili, gdy zabrali go z celi w Wormwood Scrubs.

— Będziecie mieli oczywiście kolumnę-przynętę? — zapytał. Jego angielski był bez zarzutu. Fakt ten sprawił przykrość Paganowi, który wolał, żeby Ruhr mówił łamaną angielszczyzną, niezdarną i śmieszna.

Pagan nie odpowiedział. Ruhr zamrugał swoimi jasnymi powiekami.

— Ja na waszym miejscu miałbym gdzieś pod ręką drugą kolumnę, a może nawet i trzecią, chociaż tę ostatnią skierowałbym na autostradę, żeby jechała z dużą prędkością. Wtedy moi przyjaciele, zakładając że

ich mam, straciliby orientację. “Gdzie jest Giinther?” —

zastanawialiby się. — Niemiec umilkł na chwilę. — Podstęp to oczywiście bardzo osobista sprawa. — Mówiąc to, uśmiechnął się, jak gdyby opowiadał Paganowi jakiś niewinny dowcip. Ale w jego spojrzeniu było lekceważenie, które spowodowało, że Pagan zacisnął

ręce w kieszeniach płaszcza i z powrotem odwrócił twarz w stronę ulicy. Ruhr niezupełnie się mylił. Kolumna-przynęta jechała sąsiednią Paddington i Maryle- bone, ale nie było trzeciego konwoju.

— Twój głos cholernie mi działa na nerwy, Ruhr — powiedział Pagan i natychmiast pożałował, że nieopatrznie okazał swoją wrogość. Sprawił tym Giintherowi Ruhrowi wyraźną satysfakcję, która przyjęła formę uśmiechu, równie krzywego jak jego chroma dłoń.

W samochodzie zapadła przygnębiająca cisza, którą przerwał gwizd radia, a potem wiadomość:

— Dziewięć do dwadzieścia, wokół spokój. Skręć w prawo, w film Avenue. — Ach, słodka banalność Elm Avenue i jej mrocznych ruin — mały zniszczony zaułek dawnej Anglii. Teraz popołudniową herbatę z plackiem zastąpiły heroina i flaszka.

Pagan na kilka milimetrów uchylił okno, żeby wypuścić dym z papierosa. Księżyc i półmrok zniekształcały obraz niewielkich domów. Każdy przypadkowy pub albo sklep z rybami wydawał się nienaturalnie jasno oświetlony.

— Jest pan bardzo spięty — powiedział Ruhr uspokajającym tonem jak lekarz do zdenerwowanego pacjenta. — Nie sądzi pan chyba, że ktoś będzie próbował mnie odbić, prawda?

Pagan nic nie odpowiedział. Najlepiej było nie dawać się wciągnąć w rozmowę i zachować dystans. Można było upaść tak nisko, by stracić nad sobą panowanie, ale Frank Pagan nie miał takiego zamiaru. Z czasem jego złość przytępiła się — był za stary, żeby jej

ulec. Wykonaj do końca tę parszywą robotę, mówił do siebie. Zawieź tego wyrzutka społecznego do Luton i wracaj do domu. Nie pozwól sobie jednak na emocjonalne angażowanie się w tę sprawę. Nienawidzisz ludzi pokroju Giinthera Ruhra, z trudem znosisz jego bliskość w ciasnym samochodzie, a oddychanie tym samym powietrzem co on budzi w tobie odrazę, ale co do tego mają uczucia?

— To by musieli być szaleńcy — powiedział Ruhr. — Albo bardzo sprytni i odważni ludzie — dodał.

Pagan zatrzaskało okno. Ron Hardcastle odwrócił głowę i spojrzał ze złością na Niemca.

— Powiedz tylko słowo, Frank, a z radością przywołam tego drania do porządku.

Propozycja Hardcastle'a była s/o/era i Pagan nie miał wątpliwości, że fizyczne uszkodzenie Ruhra sprawiłoby przyjemność wielkiemu Ronowi. Choć była kusząca. Pagan nie mógł dopuścić, żeby skłonemu do gwałtu Ruhrowi /oskila przeciwstawiona przemoc Rona Hardcastle'a, oficera stojącego na straży prawa i byłego sportowca. Wewnątrz samochodu panowało teraz jeszcze większe napięcie, które zdawało się przenikać do środka z mrocznej ulicy. To niemoc, pomyślał Pagan. Choć chętnie spuściłby ze smyczy warczącego psa, który drzemał wewnątrz Hardcastle'a i sam miałby wielką ochotę rozerwać Ruhra na strzępy, to prawo, z którego Die Klau tak zjadliwie szydził, gwarantowało terroryście ochronę przed brutalnym traktowaniem.

Pagan uśmiechnął się ze znużeniem i spojrzał na Niemca. Rozbawiła go myśl o okolicznościach aresztowania Ruhra w Cambridge. Nieuchwytny terrorysta, nazywany w pismach periodycznych "człowiekiem bez cienia" oraz "zjawiskiem pozbawionym potrzeb i pragnień" został schwytany w sypialni pensjonatu w pobliżu St Andrew's Street. Wspomnienie to było wspaniałym sposobem na oderwanie się od stresujących rozważań.

— Mam cię. Günther — powiedział cichym głosem Pagan. — 1 tylko to się teraz liczy. Mam cię, a to tylko dlatego, że nie mogłeś utrzymać penisa w portkach.

Czekał na reakcję Ruhra, na zażenowanie, a może oburzenie, jednak Ruhr był zbyt dobry w tej grze, by stracić panowanie nad

wyrazem swojej ohydnej, pozbawionej pigmentu twarzy. Zaledwie spojrział na Pagana i uniósł w górę brwi.

— Czy ona była tego warta, Günther? — zapytał Pagan. — Czy warto było dla niej ryzykować? A może odczuwasz tylko wtedy przyjemność, gdy musisz za nią zapłacić? Szkoda, że dziewczyna nie miała podobnych do ciebie upodobań — nie byłoby cię teraz tutaj, gdyby trzymała buzię zamkniętą na kłódkę, prawda? Gdyby była równie jak ty zboczona.

Jeśli Pagan miał zamiar dać upust swojej irytacji, wymierzając ciosy poniżej pasa, nie wyrządził w ten sposób Ruhrowi najmniejszej krzywdy. Niemiec roześmiał się, trzymając na kolanach zakute w kajdany ręce.

— Nigdy nie musiałem za nic płacić, Pagan — stwierdził.

— Aie teraz zapłacisz — rzekł Pagan. Drażniło go poczucie własnej małości i mściwości.

— Die Reise ist nicht am Ende bis zur Ankunft — powiedział cicho Günther Ruhr. Pagan słabo znał niemiecki i zrozumiał zaledwie parę słów. Nie mógł więc wiedzieć, że zdanie Ruhra było odpowiednikiem porzekadła: nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz, a nie miał zamiaru prosić o przetłumaczenie. Niechciał dawać Ruhrowi nawet najmniejszej satysfakcji.

Na rogu znajdował się pub o nazwie Lord Nelson. Z radia dobiegi głos:

— Skręćcie w lewo w Mulberry Avenue. Wokół spokój.

Pagan spojrział w stronę pubu i dostrzegł wyrastające za nim nowoczesne bloki mieszkalne i oświetlone bladym światłem latarni niewielkie trawniki oraz skarłowaciałe drzewa. Niektóre lampy, zniszczone przez chuliganów, nie paliły się. To nie było dobre miejsce. Źle wyglądało i źle pachniało. Rozległa ciemność niepokoiła Pagana. Przechylił się do przodu, badając z niepokojem nie oświetlone tereny i myślał o tym, że wandalizm był w tej okolicy sposobem na życie. Budki telefoniczne, witryny sklepowe — wszystko, co nieruchome i kruche, było celem dzieciaka z kamieniem w ręce, wyrostka, którego nic nie mogło powstrzymać przed wyrządzeniem szkody. Gdy wysokie budynki zostały w tyle, a na ulicach pojawiło się więcej domów z lat trzydziestych, z radia ponownie dobiegł głos:

— Skręćcie na prawo w Acacia Avenue. — Przez moment Paganowi zrobiło się słabo. Jeśli planowano odbić Ruhra, ta pograżona w mroku okolica znakomicie się do tego nadawała. Stosunkowo dobrze oświetlona, wąska Acacia Avenue wydała mu się prawdziwym dobrodziejstwem.

Pagan oparł się o siedzenie. Obserwował zaparkowane wzdłuż krawężnika samochodu, gdy usłyszał dźwięk, który w pierwszej chwili wziął za odgłos lekkiego samolotu. Ale warkot był zbyt głośny i dobiegał z bliskiej odległości. Zdawał się mieć swoje źródło na wysokości sześćdziesięciu, a może dziewięćdziesięciu metrów nad dachami domów. Ron Hardcastle odwrócił swoją wielką czerwoną twarz i spojrział pytająco na Pagana.

— Co to jest, u licha? — zapytał.

Pagan usiłował wyrzeć przez okno, ale nie zdołał nic dostrzec.

Znowu rozległ się głos z radia:

— Na wysokości trzydziestu pięciu metrów nad wami pojawił się helikopter, który gwałtownie się zniża.

Dźwięk nisko lecącego śmigłowca stał się teraz ogłuszającym grzmotem i wibrował z taką intensywnością, że samochód zatrzęsł się. jak gdyby jechał po koleinach. Pagan pochylił się do przodu i wrzasnął:

— Czego 011 chce, do diabła?

— Pilot nie przedstawił się. Trzykrotnie go o to prosiłem i nie otrzymałem odpowiedzi, Frank.

Pagan przez moment łudził się, że śmigłowiec należy do Scotland

Yardu i że komisarz w ostatniej chwili postanowił dołączyć go do konwoju. Ale teraz był poważnie zaniepokojony. Spojrzał na Ruhra, który wzruszył tylko ramionami.

—Nic o tym nie wiem — powiedział Niemiec.

Pagan nie miał czasu kwestionować tego oświadczenia, gdyż nagle ciemność przeobraziła się. To, co było zaledwie niejasnym zagrożeniem i nieuchwytnym niepokojem, stało się faktem. Pagan zobaczył, że furgonetka na czele kolumny pięć metrów przed nim stanęła w ogniu spadających z nieba płomieni. Przez sekundę widział zarys helikoptera jak nierealne odbicie na siatkówce oka. Ford escort zahamował w chwili, gdy z furgonetki buchnął olbrzymi słup ognia, który wzbił się w niebo i zgasł po długiej serii błyskających iskier.

A potem płonęło już wszystko. Samochody zaparkowane wzdłuż krawężnika eksplodowały równocześnie i zaczęły się palić, jak gdyby wcześniej tak zaplanowano. Na rozświetlonej płomieniami Acacia Avenue było jasno jak w dzień. W pierwszym odruchu, który był podyktowany instynktem i szokiem, Pagan otworzył drzwi, by pospieszyć w stronę płonącej furgonetki przed sobą. Wydawało mu się, że usłyszał czyjś krzyk wewnątrz wraku, ale żar natychmiast odrzucił go z powrotem do tyłu. Wielki Boże, jak potężna była siła żywiołu, który zdawał się topić jego skórę i zespalać ją z kośćmi. Frank nie był w stanie podejść bliżej i nie usłyszał już więcej krzyku. Kto mógł przeżyć w takim piekle? Czterej biedacy z furgonetki zwęglili się prawie natychmiast. Pojazdy z tyłu też zostały zbombardowane



plamieniami z helikoptera, który zatoczył łuk i furkocząc oddalał się w stronę księżyca, aż zupełnie zniknął z pola widzenia. Pojazdy za formem escortem paliły się, a pasażerowie, którzy zdołali się z nich wygramolić, rozpaczliwie walczyli z otaczającym ich ogniem. Wokół panował chaos, zamieszanie i zlewające się ze sobą odrażające zapachy — palonej gumy, tłących się obić, płonących krzewów i przypalonych ciał. Były też odgłosy wystrzałów, gdy policjanci mierzyli w stronę helikoptera.

Pagan myślał już tylko o jednym. Pochwycił Ruhra za ramiona i wywlekł go z escorta, gdyż bez względu na wszystko, bez względu na rozmiary nieszczęścia, jego obowiązkiem było zapewnienie Niemcowi bezpieczeństwa. Zablokowany nie mógł posłużyć do dalszego transportu. Pagan postanowił ruszyć pieszo.

Pagan popchnął Ruhra do przodu w stronę chodnika, wybierając drogę pomiędzy płonącymi samochodami. Czuł piekący ból w oczach i dym w nozdrzach. Nie można było tutaj oddychać, nie paląc tkanki płuc i gardła. Z Hardcastle'em za plecami i Torjussenem przed sobą Pagan szedł popychając Ruhra, który się ociągał, jak gdyby nie mógł oderwać się od blasku płomieni.

—Ruszaj się, draniu — powiedział Ron Hardcastle i zacisnąwszy dłoń w potężną pięść trzasnął Ruhra prosto w kręgosłup. Ruhrowi zaparło dech i ugięły się pod nim nogi. Pagan powlókł go przez gęsty dym w stronę chodnika. Całe to cholerne miejsce przypominało Paganowi stare fotografie, które przedstawiały Londyn w czasie wojny tuż po zatrważającym ataku powietrznym; ludzie, którzy

pospiesznie opuszczali swoje domy, okna z roztrzaskanymi szybami i na oścież otwarte drzwi mieszkań. Krajobraz płomieni, gryzącego dymu i rozgrzanego do czerwoności metalu. Miejsce całkowitej zagłady, spustoszenie, które robiło tym większe wrażenie, że zostało dokonane nocą na jednej ze zwykłych ulic.

Ruhr musiał o tym wiedzieć, pomyślał Pagan. Czekał na tę chwilę. Spodziewał się, że zostanie podjęta próba odbicia. Zresztą w głębi duszy Pagan również się jej spodziewał. Ale nie brał pod uwagę takiego pogromu. Kto zresztą mógł go przewidzieć? Przypomniawsobie, że problem osłony z powietrza został poruszony na jednym z wielu spotkań poświęconych sprawie transportu Ruhra, spotkań, które były utrudniane natarczywym domaganiem się ekstradycji i stawianiem politycznych warunków przez Hiszpanię, Grecję oraz Stany Zjednoczone. Komitet działających w najlepszej wierze osób, które uważały, że ściśle tajna trasa transportu Ruhra jest całkowicie bezpieczna i nie może zostać odkryta, odrzucił tę propozycję jako zbyt ostentacyjną. Czy zachowanie dyskrecji nie było bardziej uzasadnione niż widoczny z dala i brzęczący ponad dachami podmiejskich dachów helikopter? Ludzie ci żyli w nierealnym świecie i teraz ich tutaj nie było. Poza tym nie dało się przewidzieć wszystkich ewentualności. A w chwili, gdy Giinther Ruhr opuścił Wormwood Scrubs, ryzyko wzrosło. Kimkolwiek była osoba, której zależało na uwolnieniu Ruhra, musiała nią kierować jakaś obłąkana żądza zniszczenia, z jaką Pagan spotkał się tylko raz, a może dwa razy w życiu.

Pagan popchnął terrorystę, żeby szedł szybciej. Szukał bezpiecznej drogi pośród piekła trawionych ogniem samochodów z jednej strony ulicy i krzewów z drugiej. Ściana żaru paraliżowała go i była nie do sforsowania. Pagan pomyślał o tym, żeby skierować się w inną stronę, w jakieś miejsce poza zasięgiem płomieni. Chciał zająć czyjś dom i wezwać posiłki. To był błysk świadomości i instynkt, a nie przemyślany plan, ale Pagan wiedział, że musi czym prędzej wyprowadzić stąd Ruhra. Sprawcy tego szczegółowo opracowanego ataku nie zamierzali zrezygnować.

Hardcastle wyciągnął broń, podobnie jak Torjussen, który szedł tuż przed Paganem i Ruhrem — grupa czterech mężczyzn otoczonych pierścieniem szalejących płomieni. Gęsty dym oślepił Pagana i palił mu twarz, huk eksplozji zbiorników z paliwem ogłuszał go.

Gdy powiew wiatru rozproszył dym i oczyścił powietrze, Pagan zobaczył grupę zamachowców. Było ich pięciu, a może sześciu, nie wiedział dokładnie ilu. Twarze zasłaniały im maski hokejowe albo narciarskie, też nie był pewien tego szczegółu. Mieli na sobie stroje maskujące i trzymali automatyczne karabiny. Pagan uświadomił sobie, że Ruhr rzucił się twarzą na beton, a Ron Hardcastle wystrzelił w stronę zamachowców, lecz dym znowu zaczął się kłębić i wszystko przesłonił. Rozległy się dalsze wystrzały, tym razem na oślep.

Ron Hardcastle upadł. Torjussen też gdzieś zniknął. Pagan nachylił się, chwycił Ruhra i zaczął się z nim wycofywać. Zastanawiał się, czy jest jeszcze na tym świecie jakiś bezpieczny zakątek, w którym mógłby ukryć swojego więźnia. Mała kryjówka gdzieś daleko stąd.

Ale pogoda nie sprzyjała temu planowi. Po raz drugi zerwał się wiatr. Z jękiem przeleciał ponad domami i gwałtownym podmuchem wzdłuż płonącej ulicy rozproszył dym. Pagan z pistoletem w dłoni stanął w odległości nie większej niż trzydzieści metrów twarzą w twarz z zamachowcami.

Giinther Ruhr leżał na chodniku. Spojrzał w górę na Pagana i uśmiechnął się dziwnie. Pagan podniósł rewolwer marki Bernardelli, ale zanim zdążył dwukrotnie wystrzelić, został ścięty z nóg ogniem z

broni zamachowców.

Wiedział już przedtem, co to ból. Ale nie znał niczego równie ostrego i rozdzierającego, co nie miało określonego miejsca w ciele, ale ogarniało go całego.

W czasie krótkiego, oślepiającego momentu Pagan zarejestrował fakt, że nie ma już nóg ani serca. W innej chwili przyszło mu na myśl, że ten rodzaj bólu jest jak zbiornik wrzącej smoły, w której może już tylko coraz głębiej zanurzać się i wirować, dopóki nie zamknie się nad nim czarna powierzchnia.

## Rozdział II

### Miami

Magdalena Torrente przejechała przez Calle Ocho, główną ulicę Little Havana. Spojrzała w niebo zasnute ciemnymi i ciężkimi chmurami, które mogły przynieść ciepły październikowy deszcz, a potem skręciła w lewo. Minęła sklep meblowy Eduarda, jaskrawą wyspę wymyślnych kanap i lamp, kosztowną anomalię w sąsiedztwie farmacias i małych kafejek, w których sprzedawano café cuhano w papierowych kubkach. Nie zwróciła uwagi na słowa uznania i pogwizdywanie mężczyzn, którzy stali przed kawiarniami i oderwali się na moment od swoich zwykłych rozważań o pianach obalenia tego barbudo hijo de puła Fidela Castro, by wyrazić podziw dla urody przejeżdżającej obok nich dojrzałej kobiety, która zaraz zniknęła im z oczu w wilgotnym zmierzchu.

Magdalena dojechała do skrzyżowania, gdzie powietrze pachniało kawą i smażonymi potrawami, a potem skręciła w prawo, w wąską

ulicę słabiej oświetloną niż Calle Ocho. Okna tutaj były zamknięte okiennicami i okratowane, a małe domy sprawiały wrażenie, jak gdyby opierały się oblężeniu. W tym rejonie miasta, gdzie nietrudno o śmierć, narkotyki są ogólnie dostępne, a liczne ofiary tego śmiertelnośnego nałogu uważają kradzież za przysługujące im prawo, odczucie to było w pełni uzasadnione. Zaparkowała samochód kilka bloków dalej, przy restauracji Malaga. Uważała, że lepiej zrobi, gdy dalej pójdzie pieszo. Nie chciała, żeby numery rejestracyjne samochodu zostały zauważone i zapamiętane przez jednego ze szpiegów, przed którymi zawsze ostrzegał ją Fernando Garrido. Teraz, gdy się znalazła w tej niebezpiecznej dzielnicy, zastanawiała się, czy podjęła słuszną decyzję. Samochód był dla niej ważnym zabezpieczeniem. Bez niego czuła się bezbronna pomimo pistoletu, który nosiła w kieszeni skórzanej marynarki.

Z otwartego okna na piętrze jakiś mężczyzna krzyknął do niej “Hej, dziecko”, a potem zaniósł się pijackim śmiechem. W otwartych drzwiach zarysowały się niewyraźne sylwetki osób odurzonych narkotykami, które przyglądały się Magdalenie. Z radia płynęły szybkie, gorące rytmy latynoskiej muzyki. Magdalena przyspieszyła kroku i zatrzymała się dopiero przy Casa de la Media Noche, restauracji, która specjalizowała się w kubańskich potrawach i szczyciła najlepszą langosta enchiladas w całym Miami. Kobieta dostrzegła przez szybę tłum klientów, uwijających się kelnerów oraz ich pomocników, którzy pospiesznie roznosili karafki z zimną wodą. Z grającej szafy dobiegały głośne dźwięki wesołej kubańskiej muzyki.

Magdalena Torrente skierowała się do tylnego wejścia restauracji. Drzwi otworzył jej wysoki mężczyzna około siedemdziesiątki. Nosił kapelusz panama i biały garnitur uszyty z irlandzkiego lnu, który produkowała już tylko jedna fabryka w Republice Irlandii. Fernando Garrido pocałował Magdaleny w rękę, okazując kurtuazję nietypową dla współczesnego świata, znużonego dobrymi manierami i cywilizowanym zachowaniem ludzi. A potem mężczyzna zaprowadził ją do pomieszczenia bez okien, w którym puszki z przecierem pomidorowym i worki z fasolą tworzyły piramidy na środku podłogi.

— Nie masz gdzie usiąść, Magdaleno — zauważył Garrido. Mówił po hiszpańsku z kubańskim akcentem, przesadnie podkreślając samogłoski.

— Nie szkodzi — odparła.

Wzruszył ramionami i wydawało się jej, że dostrzegła w tym geście wyraz rozpaczyny człowieka, który nie był zadowolony z wytyczonego przez życie kierunku. Kiedyś, w innym świecie, Fernando Garrido był burmistrzem Santiago, drugiego co do wielkości miasta Kuby. Miał polityczne aspiracje. Snuł pełne entuzjazmu marzenia o zastąpieniu kolejnego rządu dyktatorów demokracją i rządem sprawiedliwości społecznej. A potem zaskoczyła go rewolucja Castra, którą na początku ostrożnie popierał, bardziej pod wpływem ulgi z powodu upadku reżimu Batisty niż wielkiej wiary w ideały głoszone przez Fidela, któremu nigdy nie ufał i którego osobiście nie lubił.

W lipcu 1960, w rok po rewolucji, która nie przyniosła niczego nowego oprócz zastąpienia jednej grupy gangsterów drugą, Fernando Garrido został aresztowany przez służbę bezpieczeństwa Castra. Oskarżono go o „zbrodnię” bardzo powszechną w ówczesnych komunistycznych państwach, nie nazwaną i nie udowodnioną — groźny w skutkach absurd. Ta „zbrodnia” to wytwór ponurej marksistowskiej wyobraźni, określony w tak niejasny sposób, by nigdy nie mógł być zrozumiały dla „sprawcy”. Ten rodzaj przestępstwa był zwykle nazywany „kontrewolucją”, pojęciem, pod którym kryło się każde znaczenie, jakie reżim w danej chwili mu przypisywał. Jak zdołał się Garrido zorientować, jego jedynym wykroczeniem był fakt piastowania państwowego urzędu za rządów dyktatora Batisty. Uznany winnym, był więziony przez siedem długich lat na Wyspie Sosen, bity i poddawany wstrząsom elektrycznym, a po wypuszczeniu



z więzienia wyrzucony z kraju bez żadnych wyjaśnień!

Doświadczenia te poza- stawiały mu drzenie rąk, powracające senne koszmary o przemocy i nie słabnącą nienawiść do Castra.

Garrido stanął na środku pokoju, w miejscu, nad którym zwisała na starym sznurze żarówka elektryczna. Dla Magdaleny Torrente Garrido miał wygląd właściciela plantacji ze starej fotografii, życzliwego i surowego, szczodrego i powściągliwie uprzejmego. Zdjął kapelusz. Włosy, bezsensownie przyciemnione i posmarowane brylantyną — wyraz próżności starca, połyskiwały w świetle jak woskowa mycka. Już prawie trzydzieści lat żył na emigracji i ciężar wygnania malował się na jego twarzy. Tylko wciąż żywe marzenia pozwalały mu czerpać radość z plonów dobrze prosperującego interesu. Zależało mu tylko na tym, za czym tęsknią wszyscy wygnańcy, a co tylko niektórym się udaje — na tryumfalnym powrocie do ojczyzny i oczyszczeniu się z zarzutów.

— To otoczenie — powiedział i zamilkł. Zdawało się, że na chwilę umknął mu wątek. — Staje się gorsze z każdym dniem. Narkotyki. Przemoc. Pamiętam czasy, kiedy to było dobre miejsce do prowadzenia interesów. Ale teraz robi się tu coraz bardziej niebezpiecznie.

Magdalena nie miała ochoty słuchać zwykłych narzekań Garrida na potężną falę uchodźców kubańskich z Mariel w 1980 roku, która spowodowała pogorszenie warunków życia w Miami. Znała też opowieści o tym, jak Castro wyprawia statkami na znieawidzoną Florydę wszystkich niepożądanych obywateli, kryminalistów i męty

społeczne, obłąkanych i schizofreników. Słyszała już, że narkotyki i zbrodnie zatrwały życie wspólnocie kubańskiej. Chciała zabrać to, po co przyszła, i odejść, ale coś przyciągało ją do tego starca. Wiedziała, co to jest: ostatnie ogniwo, które łączyło ją z ojcem. Myśląc o tym, poczuła się nagle bardzo samotna.

Garrido palił cygaretkę i wydmuchiwał strumień dymu w stronę żarówki.

— Czy nikt nie szedł tutaj za tobą?

To było jego zwykłe pytanie. Pokręciła przecząco głową. Jej długie, ciemne włosy były gęste i jedwabiste.

— Nie, nikogo nie zauważyłam.

— Jesteś piękną kobietą, Magdaleno, i przyciągasz uwagę. Nigdy nie możesz być pewna. Agenci Castra są wszędzie. Nie powinnaś ich nie doceniać.

Zapewniła go, że nigdy nie podejmuje niepotrzebnego ryzyka. Palił w milczeniu i wpatrywał się w nią tak intensywnie, że poczuła się nieswojo. Poznała po wyrazie jego twarzy, co chciał powiedzieć, a za wszelką cenę pragnęła uniknąć długich i barwnych porównań ze swoją zmarłą matką. Miał zamiar wspominać dawne życie na Kubie, gdy wszyscy byli bardzo młodzi — on, Humberto Torrente i urocza Olivia, w'ielkie trio, nierozłączna trójka przyjaciół, która chodziła wszędzie razem — na plażę. do restauracji i nocnych klubów.

Latynoski sentymentalizm Garrida i jego kwieciste zdania irytowały Magdalene, gdyż przeszłość nie miała dla niej znaczenia. Wiedziała, że potem Garrido powie półzartem: “Jedynym błędem twojej matki było to, że poślubiła niewłaściwego mężczyznę. Chociaż Humberto był człowiekiem uczciwym, Olivia powinna uważniej się wsłuchać w moje błagalne wyznania”. Po tym stwierdzeniu zwykł zawsze uśmiechać się i całować Magdalene we włosy, a czasami w jego ciemnobrązowych oczach pojawiały się łzy.

Spojrzała na zegarek. Do czasu odlotu pozostało jej jeszcze kilka godzin, ale chciała, by myślał, że się spieszy. Z restauracji dobiegał śmiech, a muzyka stała się jeszcze głośniejsza.

— Niecierpliwisz się — stwierdził.

Skinęła głową i ponownie spojrzała na zegarek. W pokoju było

dušno. Obserwowała go, gdy podszedł go metalowej półki, gdzie obok siebie leżały dwa pistolety. Zdjął bardzo powoli jeden z elementów półki i odstawił go na podłogę.

— Moja kryjówka — powiedział.

W ścianę wbudowana była płyцина. Garrido odsunął ją, sięgnął głębiej i wyjął aktówkę.

— Zanim ci to dam, muszę zadać jedno pytanie, które pewnie uznasz za niewybaczalne — powiedział. — Czy naprawdę mu ufasz? Nasz związek z nim datuje się już od czterech lat. Nic dziwnego, że niektórzy spodziewają się rychłych rezultatów.

Niewielka ćma usiadła Magdalenie na ustach i kobieta delikatnie odgoniła ją.

— Pytanie w pełni zrozumiałe, Fernando. Odpowiedź też jest prosta. Ufam mu. — Jak by mogło być inaczej, zastanawiała się. Jeśli się kogoś kocha, nie można w niego wątpić. Jedno wynika z drugiego. To reguła życia. — Poza tym skomplikowane sprawy zawsze wymagają czasu — dodała.

Garrido w zamyśleniu stukał paznokciem w sztuczną szczękę.

— Czy tylko tak mnie się wydaje, czy odkryłem coś jeszcze? Coś więcej niż samo zaufanie? Jeśli tak, tym bardziej cię proszę o zachowanie ostrożności.

— Zawsze jestem ostrożna. — Sięgnęła ręką do włosów. Jego domyślność zaskoczyła ją. Czy to było takie oczywiste? Czy nosiła swoje uczucia wypisane na czole? Trochę ją to zakłopotalo. Zawsze jej się wydawało, że wie, jak ukrywać się przed światem. Ale

Fernando znał ją od dziecka i potrafił wszystko odczytać z jej twarzy.

— Nie chciałabym być niegrzeczna, ale moje prywatne życie to nie twoja sprawa, Fernando — broniła się.

— Tak, oczywiście masz rację. Nie powinienem udzielać ci rad. Najważniejsze, że mu ufasz. — Garrido zbliżył się do niej. Wcisnął jej do ręki uchwyt aktówki. Chociaż w pokoju nie było poza nimi nikogo, zrobił to ukradkiem. Siła przyzwyczajenia. Żył w ciągłym strachu przed szpiegami Castra w Miami. Latami gromadził fundusze na nocne napady i akty sabotażu na Kubie — wysadzenie elektrowni oraz słupów sieci elektrycznej, lotnisk i urzędów gospodarki morskiej, albo ostrzelanie plaży w miejscowości turystycznej przez wychodzący w morze statek. Uczestniczył osobiście w wielu tego typu akcjach, dopóki nerwy nie odmówiły mu posłuszeństwa. To była robota dla młodych i odważnych.

Garrido nachylił twarz, składając uroczysty i dobrotliwy pocałunek na policzku Magdaleny. W jego oddechu wyczuła zapach mięty, tabaki i jakiegoś alkoholu. Trzymała aktówkę w sposób niedbały, jak gdyby nie znajdowało się w niej nic ważnego. A potem ruszyła w stronę drzwi, lecz Garrido chwycił ją za przegub ręki. Miał wilgotną dłoń.

— Mamy wrogów — powiedział cicho.

— Wiem.

— Nawet pomiędzy przyjaciółmi. Pamiętaj o tym.

Wypuścił jej rękę i cofnął się, uśmiechając się po raz pierwszy tego dnia. Sztuczna szczęka błyszczała i połyskiwał materiał garnituru.

—Nie ma potrzeby nic więcej dodawać, prawda? Nie jesteś już dzieckiem. Wciąż muszę sobie powtarzać, że już nie jesteś małą dziewczynką Humberta.

Mała dziewczynka Humberta. Garrido miał dobre serce, wielkie jak sama Kuba, ale nie potrafił się wyzbyć staromodnego, protekcjonalnego zachowania. Czy kiedyś do niego dotrze, na miłość boską, że ona ma już trzydzieści dziewięć lat? I jest tak samo oddana sprawie jak on, a jej głos jest równie ważny jak jego? Czy zrozumie, że rola,

jaką odgrywa w politycznym programie kubańskiej wspólnoty uchodźców w Miami, jest tak samo znacząca jak jego?

— Już od bardzo dawna nie pasuję do tego opisu, Fernando.

— Problem ludzi starych polega na tym, że nie chcą żadnych zmian. Pragną, żeby czas się dla wszystkich zatrzymał, gdyż dzięki temu sami nie będą się starzeć. Wybacz mi to niegroźne szaleństwo.

Magdalena podeszła do drzwi. Garrido, jak zwykle uprzejmy, otworzył je, przepuszczając ją przodem. Z mrocznego hallu wyłoniła się masywna postać. To Carlos, małomówny olbrzym z Las Tunas Province, goryl Garrida. Pod ciemną marynarką nosił przypasaną do ramienia kaburę z bronią. Poruszał się powoli i bezszelestnie, a pod ubraniem wyraźnie rysowało się umięśnione ciało — potężny człowiek, posłuszny i milczący. Magdalena uważała, że w Carlosie było coś przerażającego. Miał spojrzenie człowieka, który był zamieszany w wiele przedwczesnych zgonów.

— Gdzie zaparkowałaś. Magdaleno? — zapytał Garrido.

— Przy restauracji Malaga.

— Carlos odprowadzi cię do samochodu.

Już chciała zaprotestować, wyjaśnić, że ma broń i nie potrzebuje ochrony, ale nie powiedziała ani słowa. Carlos i tak by za nią poszedł. Garrido nie dopuściłby do tego, żeby ktoś szedł z jego aktówką ulicami Little Havana bez zbrojnej eskorty.

Posłała Garridowi uśmiech, który go zawsze zniewalał, i odchodząc uniosła rękę w pożegnalnym geście. Na długą chwilę

zamarł w bezruchu w drzwiach małego kwadratowego pomieszczenia. Wsłuchiwał się w ciszę, która zapadła po odejściu Magdaleny. A potem wyjął z kieszeni marynarki cygaretkę i zapalił ją.

Przymknął oczy. Był znany kiedyś w politycznych kręgach jako El Ganador — Tryumfator. Zaciągnął się głęboko dymem, próbując przypomnieć sobie, jak się czuje zwycięzca. Człowiek, który rządził Santiago de Cuba na początku lat pięćdziesiątych, młody reformator, który chciał zmienić gnijący system. Ach, złota naiwność tamtych lat, z całym swoim słodkim zapachem i oddaniem własnemu powołaniu. Kuba i to wszystko wydało mu się teraz bardzo odległe. Jednak myśl o powrocie do ojczyzny wciąż przejmowała go dreszczem, jak gdyby cierpiał na nieuleczalną malarię serca.

Zamknął drzwi. Myślał o Magdalenie, która przemierzała teraz mroczną ulicę, oraz o czekającej ją długiej podróży. Chryste! Sposób, w jaki ufała! Garrido już od lat nikomu tak bezgranicznie nie wierzył. I nie miał zamiaru uwierzyć teraz. Szczególnie teraz. Zrobi dokładnie to, co powinno być zrobione już dawno temu, a Magdalena wcale nie musi o tym wiedzieć.

Słyszał muzykę, która dobiegała z grającej szafy, i modlił się, by Magdalena z taką samą troską dbała o własne serce jak o zawartość walizki.

Magdalena Torrente dojechała szarym BMW z Calle Ocho do Rickenbacker Causeway, a potem do Key Biscayne. Tutaj, na wybrzeżu, ochronę bogatym domom zapewniały skomplikowane urządzenia i regularne patrole, podobnie jak w biedniejszych



dzielnicach Miami. Odnosiło się wrażenie, że taki system bezpieczeństwa awansował społecznie, a różnice pomiędzy Key Biscayne a okolicami Little Havana dotyczą tylko szczegółów.

O ósmej trzydzieści Magdalena zaparkowała samochód na podjeździe domu, który odziedziczyła po Humbercie Torrente. Otoczony soczystymi palmami, barwnymi pnączami tropikalnymi i drzewami kauczukowymi, był usytuowany kilka metrów od brzegu, w miejscu, gdzie cumowano motorówki. Magdalena otworzyła frontowe drzwi, weszła do środka, przemierzyła kafłową posadzkę hallu i stanęła pod dużym, teraz wypełnionym gwiazdami świetlikiem. Po drugiej stronie salonu widać było ciemną wodę zatoki w olbrzymiej ramie okna. Rozciągał się stąd widok na Miami — światła, neony, przybijający do brzegu statek i ruch uliczny na srebrnym moście — na całe błyszczące miasto uwięzione pod baldachimem wilgoci.

Weszła po schodach na górę. Jej sypialnia urządzona była w sposób nie wyszukany. Magdalena nie gustowała w jaskrawych odcieniach, złotych zasłonach czy czerwonych dywanach, które często można było spotkać w hiszpańskich domach. Nie było tam też tradycyjnych wyrobów kultu religijnego, Chrystusów we krwi. obrazów świętych

O łagodnym spojrzeniu. Madonn z afektowanym wyrazem twarzy — całego atrybutu cierpienia, nieskazitelności i zbawienia.

Jedyną ozdobą była czarno-biała fotografia, która przedstawiała Humberta Torrente w mundurze pułkownika kubańskich sił powietrznych i pochodziła z 1956 roku, z uroczystości w' Klubie Jachtowym

w Hawanie. Przy boku Humberta stała jego żona, śliczna ciemnowłosa Olivia w białej koktajlowej sukni. Oboje, w widoczny sposób zakochani w sobie, wyglądali zdrowo i kwitnąco, a jednak w ich uśmiechu

1 spojrzeniu krył się smutek, jak gdyby wiedzieli, że sześć lat później oboje nie będą już żyli.

Magdalena przez chwilę przyglądała się fotografii — 1956 rok,

miała wtedy zaledwie pięć lat. Rodzice zginęli, gdy była dziesięcioletnią dziewczynką. Wiek młodzięczy upłynął jej z zakonnicami w internacie i owdowiałymi ciotkami w Miami Beach. Piętnasty rok życia spędziła pod opieką Garrida w jego dużym domu w Coral Gables. Od czasu do czasu musiała wysłuchać jego poglądów na temat historii Kuby, tej nieustannej walki i nieustannej zdrady. Utrzymywał, że śmierć Humberta była częścią tragedii Kuby. Czy Humberto nie walczył o wolność z całym oddaniem? I czy nie został na koniec zdradzony?

Magdalena nie podzielała melodramatycznych poglądów Garrida. W sprawach związanych z polityką Kuby starała się panować nad własną zapalczywością i zachować obiektywizm. Ale odziedziczyła po Humbercie żarliwość, którą kierowała się przez całe życie. Miała w sobie porywczosć, która wiodła ją od jednej grupy uchodźców do drugiej — od grup z arsenałami broni w Everglades, do grup z fabrykami bomb w południowej części Miami i do punktów kontaktowych w Keys, gdzie półautomaty były przerabiane na prawdziwą broń. Lubiła czuć karabin w' ręce i cieszyła ją przynależność do podziemnej armii — wyszukane środki ostrożności i hasła oraz wielu młodych mężczyzn, którzy całkowicie oddawali się wojskowym ćwiczeniom, dzięki czemu stawali się dobrymi żołnierzami i słabymi kochankami. Kochała się z wieloma z nich, nie potrafiłaby nawet odróżnić od siebie tych szybkich i milczących chłopców, którzy przedkładali śmierć Castra nad własne zadowolenie.

Jak gdyby ich życie miało rzucić cień na słońce i je przyćmić aż do chwili zagłady dyktatora.

Po latach współpracy z różnymi ugrupowaniami na emigracji doświadczenia Magdaleny Torrente obejmowały też bezpośrednie akcje przeciwko Castrowi. Było to wysadzenie w powietrze skrzyń z sowiecką bronią w ściśle strzeżonym hawańskim porcie. Gak się okazało, wywiad pomylił się i nie było w nich broni tylko urządzenia rolnicze) oraz dostarczenie materiałów wybuchowych członkom podziemnego ruchu w Pinar del Rio. Dzięki umiejętnościom, które zdobyła od pilotów na wygnaniu, Magdalena sama pilotowała dwusilnikowy samolot marki Piper, podczas gdy jej trzej towarzysze zrzucali na spadochronach dostawy oczekującym na nie kobietom i mężczyznom na spowitej w ciemności plantacji tytoniu.

Oba loty bojowe na Kubę były emocjonujące, oba groziły pojmaniem i śmiercią. Dzięki tym akcjom Magdalena lepiej zrozumiała, co kryje się pod pojęciem sprawy, która przestała być dla niej czystą abstrakcją, rozgrywką w fabryce bomb czy retoryką wolności. Była życiem i śmiercią, i to jej własnym życiem i jej własną śmiercią. A jednak w tych przedsięwzięciach Magdalenie czegoś brakowało. Miała poczucie daremnego trudu, jak osoba, która atakuje słonia puszką ze środkiem przeciwko komarom. Nocne akcje mogły być dokuczliwe dla Castra, ale nie były rozstrzygające.

W połowie trzydziestki uświadomiła sobie, że służba żołnierska to nie wszystko. Zrozumiała, że powinna się znaleźć bliżej centrum, tam gdzie zapadały decyzje strategiczne. Być bliżej władzy. Strzelanie w

Everglades i zbieranie broni w Keys (gdzie praktycznie można było czuć zapach Hawany) było pożyteczne, ale ten pożytek był zbyt mały. Umiejętność posługiwania się bronią i potajemne loty na Kubę nie mogły zrealizować marzenia. Dlatego wkroczyła w świat polityki Garrida i jego przyjaciół. Bywali czasami męczący ponieważ handryczyli się bez końca w typowy dla Kubańczyków sposób, ale byli wpływowi i bogaci oraz jednomyślnie poprzysięgli zagładę Fidelowi.

W tych politycznych kręgach Magdalena zdobyła sobie opinię osoby energicznej, z której zdaniem należy się liczyć. Została uznana za praktyka, i to nie tylko z powodu znajomości części karabinu M-16. Jej ambicje sięgały dalej niż umykanie z Kuby pod osłoną nocy. Dlatego uczęszczała na spotkania komitetu, szeptała do ucha potężnych osobistości wspólnoty na uchodźstwie, w ciemności wsłuchiwała się w bicie pulsów i wciągała w nozdrza podmuchy wiatru znad Miami, śledząc ich kierunek, aż odkryła w sobie bezgraniczne zniecierpliwienie. Pragnęła szybkich zmian na Kubie. Nie jutro. Nie pojutrze. Zaraz.

Gdy Castro w końcu zostanie obalony...

Dotknęła fotografii rodziców i pomyślała o nich z miłością. Pamiętała ojca jako poważnego człowieka, którego żartobliwy sposób bycia był tym cenniejszy, że zdarzał się rzadko. Posepnym, ciężko pracujący Humberto Torrente był oddany patriotycznym ideałom. Wybrał niewłaściwy sposób ich realizacji, to wszystko. Jego błąd polegał na wiązaniu wszystkich nadziei z amerykańską pomocą

wojskową i zginął z powodu swoich złudnych oczekiwań w 1961 roku w Zatoce Świń, zestrzelony nad San Bias przez artylerię Castra. Humberto nie zdawał sobie sprawy, że w tym czasie same zewnętrzne siły nie były w stanie obalić tyrana. Amerykanie, dowodzeni przez niezdecydowanych braci Kennedych, stchórzyli w Zatoce Świń i wycofali wsparcie z powietrza oraz morską artylerię, zostawiając kubańskich bojowników o wolność samych sobie. Zewnętrzny zamach mógł w pewnym stopniu być pożyteczny, ale obalić Castra mogli tylko ludzie żyjący na Kubie, którzy znienawidzili dławiący ich reżim i którzy mieli środki oraz odwagę, żeby zastąpić go wolnym społeczeństwem.

Matkę Magdaleny, Oliwię, nie interesowały cele Humberta. Jej świat ograniczył się do męża, domu i dziecka. Obrana przez Magdaleny droga zaszokowałaby ją. Co to za kobieta, która nie urodziła dzieci, która nie potrafiła gotować i nie miała mężczyzny, żeby prowadzić mu dom?

Tuż przed Bożym Narodzeniem 1961 roku Olivia Torrente, rozstrojona nerwowo z powodu śmierci męża, zażyła nadmierną dawkę środków nasennych. Życie bez Humberta mało dla niej znaczyło i [przedłożyła grzech samobójstwa nadlstan wdowi. ^Ciagdalena uważała przeszłość za'niepotrzebne obciążenie. Liczyła się tylko przyszłość i zadania, które miała przed sobą. Odwróciła się od fotografii. Wyjęła z kieszeni rewolwer, zdjęła skórzaną marynarkę i zamknęła broń w szafce nocnej. Położyła na łóżku aktówkę Garrida i wyjęła z szafy długi zamszowy płaszcz w czekoladowym kolorze. Rzuciła go na łóżko i otworzyła teczkę. Pieniądze były powiązane w pliki. Na wierzchu leżały pakiety studolarówek, a pod spodem pakiety po tysiąc dolarów banknotami o mniejszej wartości.

W sumie znajdował się tam prawie milion dolarów, który został zebrany wśród wspólnoty kubańskiej z datków szacownych lekarzy, prawników i urzędników bankowych. Była tam gotówka z kubańskich barów i gier bolito oraz pieniężnych zakładów, a także nielegalna forsa od przemytników narkotyków, których astronomiczne zyski skłaniały do dobroczynności. Pieniądze te, tak jak to miało miejsce w przeszłości w ciągu ostatnich czterech lat, pochodziły z różnorodnych

źródła i były gromadzone w Casa de la Media Noche Fernanda Garridy, na czele której stała grupa, nazywająca siebie Komitetem Przywrócenia Demokracji — organizacja, której zamożni członkowie woleli zachować anonimowość.

W pewnym sensie gotówka ta była kapitałem marzeń, wyrazem zadawnionego bólu i żalu, dolarami rzuconymi z potrzeby zemsty na systemie, który rozerwał rodziny i ograbił je z własności, pieniędzmi przesiąkniętymi krwią zamęczonych za sprawę, która dojrzewała i stawała się coraz bardziej niecierpliwa. Gotówka była przeznaczona dla Kuby, gdzie miała zostać wykorzystana przez podziemny ruch demokratyczny na wydatki bieżące — nielegalne audycje radiowe, ulotki i gazety. Miała być przeznaczona na zakup żywności i broni dla ludzi ukrywających się w górach oraz na pożywienie i odzież dla ich dzieci. Z tych środków miały być finansowane zakupy materiałów wybuchowych do akcji sabotażowych. Kontrrewolucja była kosztownym przedsięwzięciem.

Magdalena rozpięła guziki płaszcza. Podszewka specjalnie uszyta dla niej przez szwaczkę w Hialeah była podzielona na szereg kieszeni, a każda mieściła pokaźny plik banknotów. Robota krawiecka została wykonana po mistrzowsku. Zwykły obserwator nie mógł zauważyć, że płaszcz ukrywa coś jeszcze poza ciałem osoby, która go ma na sobie.

Magdalena przełożyła banknoty z aktówki do podszewki. Przymerzyła zamszowy płaszcz: był ciężki, ale można to było wytrzymać. Obejrzała się w lustrze. Wyglądała tak samo jak przedtem, nie



zauważyła nienaturalnej pulchności ani wybrzuszeń. Była piękną czarnowłosą kobietą, która się wybierała w samotną i długą podróż samolotem, nikim więcej. Jej uroda — sposób, w jaki gęste włosy opadały na ramiona, cofnięta linia szczęki podkreślająca piękne usta i ciemne oczy, świadomie rzucające zagadkowe spojrzenie — mogła tak jak zwykle przyciągać uwagę. Ale na płaszcz nikt drugi raz by nie spojrział, a o to właśnie chodziło.

Z szafy wyjęła małą walizkę, którą zapakowała rano. Zeszła na dół i zgasiła wszystkie światła. Noc była ciężka od wilgoci. Nad Rickenbacker Causeway błysnęła srebrna błyskawica, a potem huknął piorun, jak gdyby niebo było rozległym odbiornikiem radiowym wychwytyującym zakłócenia atmosferyczne. Magdalena wsiadła do samochodu i wycofała go z podjazdu.

Po drugiej stronie ulicy w czarnym pontiacu, który stał zaparkowany pod przechylnym drzewem kauczukowym, siedział Carlos. Gdy przejeżdżała obok niego, uniosła w górę kciuk, a potem dla zabawy próbowała go zgubić w ruchu ulicznym, ale Carlos, człowiek o uważnym spojrzeniu i pozbawionych uśmiechu rysach, był ekspertem w ściganiu wymykających się ptaszków. Prześlizgując się pomiędzy pojazdami, jechał przez całą drogę tuż za nią aż do Międzynarodowego Portu Lotniczego w Miami.

Norfolk, Anglia

Wstawał świt i było zimno, gdy dziewczyna na kasztance wjechała na szczyt wzniesienia. Kopyta klaczy twardo uderzały o zmrożoną ziemię. W chłodnym powietrzu unosiła się para oddechu zwierzęcia.

Niewielkie obłoczki przybierały czerwony odcień pod dotykiem pierwszych promieni słońca. Jechała pewnie, jak ktoś kto od wczesnego dzieciństwa dosiadał koni. To była jej ulubiona klacz — duży spokojny koń, który wspaniale poddawał się woli jeźdźca.

Dziewczyna skierowała klacz na szczyt pagórka i rozejrzała się po okolicy. Ten zakątek Anglii, który dzieliło ponad sto sześćdziesiąt kilometrów od Londynu, był prawie wyłącznie nizinny, a pola ciągnęły się aż po bardzo odległy horyzont. Tu i ówdzie jakaś stara

wioska, /a jakimi przepadaj;! turyści, zakłócała monotonię zaoranych pól, a migotające od czasu do czasu bagna albo sławy urozmaicały lii ki rozlewiskami wody. Dziewczyna nazywała się Steplianie Brough i mieszkała tutaj przez całe czternaście lat swojego życia. Najbliższymi miastami były Norwich na północy i Ipswich na południu, a pomiędzy nimi, jak zwykła czasami mówić, piekielnie nudna nicość.

Zsiadła z konia przy niewielkim brzozowym zagajniku. Cugle zsunęły się na ziemię. Steffie lubiła jeździć konno wczesnym świtem, by uniknąć okropnego śniadania z rodzicami i tym szydercy Timmem, jej bratem (który czasami obrzucał ją rozmokłymi płatkami kukurydzianymi, gdy myślał, że nikt go nie widzi. Timmy Szyderca, pomyślała. Każdy spodziewał się, że za dwa lata pójdzie do Oxbrdu! A on bez mapy nie umiał znaleźć drogi nawet do klozetu. Jej rodzice byli tak w niego zapatrzeni, że przyprawiało ją to o mdłości: “Tom jest laki mądry” — łasili się i przymilali). Lubiała swoją wielką tajemnicę: uczucie, że rano przed szkołą świat należy tylko do niej.

Przypadkowy widz zobaczyłby szczupłą ładną dziewczynkę o krótko, niemal po chłopięcemu ostrzyżonych włosach i schludnym wyglądzie, w niebieskich džinsach i białym bawełnianym swetrze, pod którym zaledwie zarysowywały się drobne piersi. Ale nikt nie obserwował Stephanie Brough o tak wczesnej porze.

Spojrzała w dół zbocza. Widziała stąd dokładnie miejsce, na które przyjechała popatrzeć. Trzysta metrów od wzgórza znajdowała się pobielana farma, należąca do rodziny Yardleyów. Starszy pan

Yardley zmarł zeszłego roku, a jego synowie, zachwyceni, że nie muszą już dłużej uprawiać staremu tyranowi ziemi, czym prędzej przeprowadzili się do Londynu. (Sprytni faceci, pomyślała o nich). Od tego czasu miejsce było nie zamieszkane. Steffie przypuszczała, że już tak pozostanie na zawsze — kto chciałby wynająć albo kupić tę starą ruderę na odludziu, którą otaczały tylko czarne pola, a pochylające się nad nią wierzby wywoływały na ciele gęsią skórę?

A jednak wczoraj, ku jej wielkiemu zdziwieniu, coś się zmieniło. W czasie swojej porannej przejażdżki dostrzegła przed domem ciemnoniebieski samochód marki Rangę Rover. Zaintrygowana możliwością zmian w tej części świata, gdzie nowe zdarzenia należały do rzadkości, wróciła, żeby sprawdzić, czy pojazd nadal tu się znajduje. Informacja w tej wiejskiej okolicy była formą nagrody i wielką przysługą, czymś co skwapliwie przechwytywano i przekazywano kolejnej osobie. “A przy okazji: w starym domu Yardleyów mieszkają jacyś nowi ludzie. Nie wiedzieliście o tym?”

Pojazd stał zaparkowany w tym samym miejscu co poprzedniego | dnia. Ale dom nadal sprawiał wrażenie nie zamieszkanego, a okna | były gole i ciemne. Kruk grzebał w ziemi. Opadłe z wierzb liście f tworzyły stos przy wschodniej ścianie posiadłości. Miejsce sprawiało | wrażenie opuszczonego. Stelle lubiła tajemnice, a w jej pojęciu | wymarły wygląd starego domu był właśnie nie rozwiązana zagadką. Dlaczego oprócz rangę rovera nie było tam innych śladów' życia? ; Dlaczego z komina nie leciał dym, a na podwórzu nie szczekał pies? Przecież wszyscy wokół mieli psy.

Miała ochotę podejść bliżej. Zostawiła klacz, by skubała kępki trawy, i zaczęła schodzić na dół. Zatrzymała się jednak po kilku metrach. Zmieszała się na myśl o wtargnięciu na cudzą posiadłość. Dziewczyna, wiedzona naturalną ciekawością, poczuła się nagle jak intruz i nie była pewna, czy zdoła pójść dalej. Chociaż, właściwie, jaką wyrządziłaby szkodę, rozglądając się tam na dole? (jdyby natknęła się na kogoś, mogłaby przedstawić się jako najbliższa sąsiadka, która mieszka pięć kilometrów dalej na farmie swojego ojca, hodowcy koni.

Była już w połowie drogi, gdy usłyszała ogłuszający huk. Wystraszona pomyślała w pierwszej chwili, że to odrzutowiec gdzieś w pobliżu przekroczył barierę dźwięku — normalna rzecz, w tej okolicy. Ale potem uświadomiła sobie, że odgłos dobiegi z bliższej odległości i był bardziej ześrodkowany — pochodził z farmy. Kruk, kracząc skrzekliwie, wzbił się w czyste powietrze.

To nic był samolot ponaddźwiękowy.

Nagle zdała sobie sprawę, co wywołało hałas. Serce zabiło jej gwałtownie, odwróciła się i prędko zaczęła się wspinać w górę. Huk umilkł, ale wciąż dźwięczał w jej głowie. Gdy dotarła na szczyt wzniesienia, spojrzała ostatni raz na farmę.

W domu z oszronionymi od porannego chłodu oknami, tak jak przedtem, nie było śladów życia. Ktoś jednak musiał być w środku. Ktoś musiał wystrzelić z pistoletu. Pistolety nie strzelają same. Chyba że za sprawą duchów, ale Steffie była zbyt dorosła, by wierzyć w coś takiego.

Dosiadła klaczy i poprowadziła ją pomiędzy brzozaami, zaintrygowana bardziej niż kiedykolwiek i zaniepokojona w nowy, dziwnie podniecający sposób.

Huk.

Wróci tu jutro. Nie może zostawić nic rozwiązanej tajemnicy.

## Rozdział III

### Londyn

Gdy siedem lat temu żona Pagana. Roxana, /ginęła na skutek wybuchu bomby podłożonej prze/. IRA na jednej z londyńskich ulic, Frank żył przez jakiś czas w świecie niepojętego bólu. który sprawił, że stracił ochotę do życia. To by 1 rodzaj nie kończącego się cierpienia. Uchwycone podobieństwo ua ulicy, fraza pewnej piosenki, skrzywienie podłogi w mieszkaniu — wszystko wywoływało skojarzenia i ból powracał, bezlitosny i zawsze prędko. Pagan pogodził się z tym, że właściwą cechą jego życia stała się pustka. Próbował nawet z nią walczyć, ale bezskutecznie. Czasami łapał się na tym, że czeka na powrót wspomnień o Roxanie, na rozpamiętywanie bólu — łagodną formę masochizmu.

To był jeden rodzaj cierpienia.

W białej sali szpitalnej, gdzie przepuszczalność światła była tak duża. że sugerowała halucynacje, zrozumiał, że cierpienie może mieć jeszcze inną postać. Gdy unosił twarz, na piersi zaciskały mu się rozpalone obręcze. A kiedy musiał wstać z łóżka i pójść do toalety, gdyż odmówił korzystania z fotela na kółkach, który uważał za środek transportu tylko dla poważnie chorych, szedł jak po drodze wybrukowanej rozbitym szkłem. Każdy nagły ruch powodował bolesny odzew w zabandażowanej piersi. Czasami wydawało mu się, że serce jest naładowane elektrycznością i miedziane druty przewodzą przez nie jej strumień.

Naprawdę nie potrzebował, żeby w lak przekonujący sposób przypomniano mu o śmiertelności. Przeżył wstrząs z powodu uszkodzenia ciała, wyłomu, jaki dokonała w nim siła niosąca zagładę. Myśl o niej szokowała go. Strzelano do niego już przedtem, ale nigdy nie został trafiony i prawdopodobnie doszedł do przekonania, że to była jedna z tych rzeczy, które zdarzają się tylko innym.

1 Nie poprawiły mu samopoczucia zapewnienia pakistańskiego I doktora Ghose, miłego mężczyzny i nałogowego palacza / niespokoj- I nymi rękami, że miał dużo, dużo szczęścia. Przecież aż sześciu i policjantów zginęło w czasie masakry cztery dni temu na Shepherd's I Bush. Dwa centymetry w lewo. uświadamiał go Ghose. i byłby siódmą | ofiarą. Niech pan pomyśli, panie Pagan. jak nikła odległość dzieli nas od nieskończoności. Myśl o sześciu zabitych policjantach, czterech — wewnątrz prowadzącego konwój furgonu, jednym — w trzecim samochodzie oraz o biednym Ronie Hardcastlerze, który otrzymał śmiertelny strzał w głowę, odebrała Paganowi zdolność radowania się własnym szczęściem. Nawet wiadomość o dwóch zabitych zamachowcach nie zdołała rozwiać jego ponurego nastroju.

Rano. po przywiezieniu Pagana do szpitala. Ghose trzymał zdjęcie rentgenowskie w swoich zażółconych od nikotyny palcach i objaśniał je z entuzjazmem, wskazując drogę pocisku, który przeszedł przez prawe płuco. Absolutnie żadnych zaburzeń funkcjonalnych, powiedział. Żebra całe. Żadnych odłamków. Trochę zniszczona tkanka. Cudownie czysty wylot. Niezwykłe się cieszę. Rzadko widuję taką symetrię. Musi pan podziękować Bogu, że pocisk nieznacznie



zboczył.

Pocisk nieznacznie zboczył — jak to ładnie zabrzmiało! Pagan zastanawiał się, dlaczego w czasie pierwszych trzech dni odczuwał tak straszny ból, skoro rana była tak cudowna, że aż zachwyciła Ghose'a.

Na początku zrobiono mu zastrzyk z morfiny. By wspomóc płuca, do opłucnej założono dren. Trzeciego dnia rana została otwarta. Zastosowano terapię przeciwtężcową. Zaordynowano antybiotyki. Ghose przepisał też pethidinę i czwartego dnia Pagan poczuł się lepiej. Choć dobre samopoczucie w tych warunkach było pojęciem względnym, gdyż w znacznym stopniu wynikało z działania środków znieczulających. W chwilach gdy Pagan myślał już, że ma się lepiej, ból gwałtownie powracał, pozbawiając go oddechu i wyciskając mu z oczu łzy.

A potem zaczęły go dręczyć koszmary. Najczęściej śniło mu się, że jest znowu wśród płomieni na tej przerażającej ulicy i słyszy le same eksplozje. Nieraz w snach spieszył z pomocą do płonącego furgonu, próbował otworzyć drzwi i uwolnić uwięzionych w nim mężczyzn, ale nigdy nie udało mu się tego dokonać. Irytujące senne majaki, frustrujące i tragiczne. Miał w nich zawsze poparzone ręce. Czasami śnił mu się Gtinter Ruhr, który powtarzał to samo niemieckie zdanie. /)/<' Reise ist nicht atue Etnie bis :ur Ankunft — dudniło echem, bez końca. Pagan rzucał się na niego w złości, żeby go uciszyć, ale Niemiec zawsze ulatniał się dzięki specjalnym chemicznym właściwościom,

które są możliwe tylko w snach, a Pagan budził się zrozpaczony i zlany potem.

Musiał wydostać się z tego miejsca. Leżąc w łóżku, nie był w stanie działać. Ta okropna sala ze wszystkimi rurkami, wykresem temperatury na karcie i wykrochmalonymi prześcieradłami oddzielała go od świata zewnętrznego. Nie mógł ruszyć w pogoń za Ruhrem, który przepadł bez śladu. Rano poprosił Ghose'a, żeby go wypisał ze szpitala. Ale lekarz obrzucił go tylko nieodgadnionym spojrzeniem, które wszyscy studenci medycyny muszą wyćwiczyć, i obiecał, że się nad tym zastanowi.

Pagan rozdrażniony odwrócił twarz w stronę okna, gdzie przez zakurzoną szybę wpadały promienie październikowego słońca. Drzewo płonące wspaniałymi barwami jesieni ocierało się o framugę okna i zawodziło. Na dworze wiał silny wiatr z rodzaju tych, które natychmiast suszą wypraną bieliznę. To wszystko jeszcze bardziej pogłębiało niepokój Pagana. Postanowił znaleźć sposób na wydostanie się stąd, zanim siostry z nocnej zmiany przyjdą zaaplikować mu środki nasenne i przeciwbólne. A teraz, Frank, naprawdę musisz to połknąć, dla własnego dobra. No, dalej, Frank, bądź dobrym chłopcem! Wcale nie chciał być dobry. Miał zamiar być uciążliwym pacjentem zarówno dla sióstr, jak i dla lekarzy. Chciał stąd wyjść i dopaść Giinthera Ruhra.

Drzwi do sali otworzyły się i Pagan zobaczył w nich Martina Burra. Burr, komisarz ze Scotland Yardu, przyniósł butelkę uniwer-

salnego leku, jakim jest lucozada, oraz małą torbę z owocami i wszystko razem ułożył na szafce przy łóżku. Wymizerowany z niewyspania, przychodził dwa razy dziennie od czasu, gdy Pagan został tutaj przywieziony. Przez chwilę opierał się na lasce z orzecha włoskiego, a potem usiadł i uśmiechnął się do Pagana, który obserwował promień słońca odbijający się od plastikowej ciemnozielonej opaski zakrywającej niewidome oko Burra.

— Jak się dzisiaj mamy, Frank?

— Daleko nam do cudownego samopoczucia, ale mielibyśmy diabelną ochotę wydostać się już stąd — odpowiedział Frank.

Burr sięgnął po laskę i wzdychając uderzył nią o podłogę.

— Zawsze się tak cholernie spieszysz, Frank. Jesteś ranny i nawet jeśli zostaniesz stąd wypisany, będziesz potrzebował czasu na rekonwalescencję. Wciąż wyglądasz okropnie. — Burr rozejrzał się po pokoju.

— Jest lu przecież całkiem miło. Masz separatkę. Telewizor. Gazety do czytania. Ciesz się spokojem, Frank. Myśl o tym, jak o nieplanowanym urlopie.

— Muszę wrócić do pracy.

Burr uśmiechnął się z przymusem. Wyglądał na człowieka, który przeżył właśnie najgorsze cztery dni w swoim życiu. Konferencje prasowe nie miały końca. Padały coraz nowe pytania z Izby Gmin w sprawie wydarzeń na Shepherd's Bush. Została powołana komisja śledcza, co oznaczało, że grono profesorów i urzędników państwowych będzie dopytywać się o wszystko. A dziennikarze,

dobry Boże, dziennikarze wycisnęli z tragedii, co tylko się dało, a nawet jeszcze więcej. Upadek prawa i porządku. Brak kompetencji brytyjskich sił bezpieczeństwa. Przewaga superterrorysty. W kółko to samo. Gawiedź była żądna krwi, i to najchętniej Martina Burra. Minister spraw wewnętrznych kazał Burrowi zwołać prywatną konferencję prasową, która mogła tylko potwierdzić wątpliwą sprawność służb bezpieczeństwa podległych komisarzowi. Czasy nie były dobre. Wśród społeczeństwa panował kiepski nastrój, a mordowanie policjantów przerażało obywateli.

— Czy twój powrót do pracy coś zmieni, Frank? W ciągu jednego dnia poczujesz się tak znużony, że natychmiast będziesz musiał wrócić do łóżka — rzekł Burr.

— Nie sędzę. Ogólnie jestem w dobrej formie.

— Nie z tą dziurą w piersi. Pomyśl o szoku, jaki przeszedł twój organizm.

— Nie mogę już dłużej tutaj leżeć.

— Obawiam się jednak, że musisz. Poza tym zostało zrobione wszystko co tylko możliwe — powiedział Burr.

— Macie Ruhra z powrotem w areszcie?

— Cios poniżej pasa, Frank.

Burr przechylił się w stronę łóżka. Położył obie ręce na twarzy i ze znużeniem zaczął ją masować. A kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiało zmęczenie.

— Pozwól, że cię zapoznam z najnowszymi informacjami. Nasi specjaliści od materiałów wybuchowych twierdzą, że eksplozję samo-

chodów zaparkowanych wzdłuż Acacia Avenue spowodowały bomby zegarowe i środki wybuchowe produkcji czeskiej.

—Znakomita robota — zauważył sucho Pagan.

Martin Burr popatrzył na niego zachmurzony.

—Zdaję sobie sprawę, że nie masz cierpliwości do tego rodzaju systematycznej roboty, jaką zajmują się nasi technicy, Frank.

Niemniej jednak musi być wykonana.

Pagan zamknął oczy. Swędziało go w nosie. Zbierało mu się na kichanie. Gdyby to nastąpiło, jego pierś przeszyłyby niezliczone strzały bólu. Próbował się powstrzymać i sięgnął po chusteczkę higieniczną.

—Równocześnie wysadzono w powietrze dwadzieścia sześć

.samochodów — mówił dalej Burr. — Żadna osoba / s. sąsiedztwa, którą przesłuchiwaaliśmy, nie widziała nikogo, kto by mógł podłożyć materiały wybuchowe. Wszystko zostało zrobione w najgłębszej tajemnicy.

Pagan otworzył oczy. Swędzenie w nosie ustało. Opuścił chustkę i spojrzał na Burra.

— To pewne, że mamy do czynienia z działaniem potajemnym — powiedział rozdrażnionym, bliskim sarkazmu tonem. Powinien uważać na swoje wypowiedzi. Zrażanie do siebie Martina Burra nie było rozsądne.

Burr dotknął plastikowej przepaski na oku, co zwykł robić, gdy był zły.

— Rozumiem twoje zniecierpliwienie, Frank. Zdaję sobie też sprawę, że rany postrzałowe ograniczają zdolności ludzkiej percepcji. Nie przyszedłem tutaj jednak, żeby wysłuchiwać twoich złośliwych uwag. Ze zbyt wieloma spotykam się ostatnio na co dzień. — Gdy Burr był rozzłoszczony, przybierał protekcyjny ton, którego Pagan nie znosił.

Zbesztany, spojrzał w stronę okna na wspaniałe słońce i postanowił, że opuści to miejsce jeszcze dzisiaj, bez względu na decyzję doktora Ghose'a. Zażyje pethidinę i wyjdzie z tego cholernego szpitala

o własnych siłach. Po południu znajdzie się z powrotem w biurze, którego okna wychodzą na Golden Square w Soho, w siedzibie

antyterrorystycznej sekcji. Znów będzie u siebie panem.

— Na czym skończyłem? — zapytał Martin Burr. — Ach tak.

Doszedłem do dwóch terrorystów, którzy zginęli w czasie akcji.

— Czy jest coś nowego w tej sprawie? — ożywił się Pagan.

— Nie zdołaliśmy ustalić tożsamości jednego mężczyzny. Drugi natomiast był obywatelem australijskim i nazywał się Ralph Masters.

— Nazwisko z niczym mi się nie kojarzy — rzekł Pagan.

Burr usiadł z powrotem na krześle.

— Urodzony w Adelajdzie w 1940 roku. W 1960 roku służył w armii australijskiej. Jednak niedługo. W 1967 roku pojawił się w Biafrze, dzisiejszej Nigerii. W 1968 roku był w Kongo. A potem, w połowie lat siedemdziesiątych, przebywał w Nikaragui.

— Rewir najemników.

— W rzeczy samej.

— Czy masz jakieś informacje o nim z ostatniego okresu?

Burr zaprzeczył ruchem głowy.

— Z tego co zdołaliśmy się dowiedzieć, żył spokojnie w Sydney. Zarabiał na życie zakładaniem telefonów.

— Musiał zanudzić się tym na śmierć. Niektórzy ludzie, gdy raz zasmakują w wojnie, nie mogą usiedzieć na miejscu. Czy jest jakaś adnotacja o przekroczeniu przez niego naszej granicy?

Burr pokręcił przecząco głową.

— Nie wiemy, kiedy wjechał ani w jaki sposób dostał się tutaj. Nie wiemy też, przez kogo był zatrudniony.

— Przez tych samych ludzi, którzy wynajęli Gunthera Ruhra.

Prze/, kogóż by innego?— Pagan wyskubał czerwone grono z kiści winogron, które przyniósł Burr. Wsunął je do ust i przegryzł miękką skórę.

— Kimkolwiek są. — Komisarz umilkł, przybity. Pagan jes/c/e nigdy nie widział, żeby był tak przygnębiony. Poczłł ogromne współczucie do Burra, który ciężko przeżywał śmierć policjantów. Ostatnie wydarzenia z pewnością rozdarły mu serce — wizyty u wdów i osieroconych dzieci, wygłaszanie frazesów, które nie mogły niczego /mienić. Komisarz, otwarty człowiek bez zdolności krasomówczych, był bliski łez.

— Zastanawiam się, w jaki sposób nastąpił przeciek. Powracam do tego bez przerwy. Bardzo przygnębia mnie len aspekt sprawy. Nie tylko śmierć oficerów, chociaż Bóg jeden wie, że lo samo było już wystarczająco potworne.

— Zbyt wiele osób znało trasę przejazdu — powiedział Pagan. — Ktoś musiał się wygadać — dodał.

— Plan przejazdu został ustalony na najwyższym szczeblu. Sam minister spraw wewnętrznych był w tę sprawę zaangażowany. Wszystkie uczestniczące w zebraniu osoby postanowiły, że Ruhr /ostanie cicho przewieziony bez zwracającej uwagę eskorty ściśle tajną trasą. Jak się okazało, to był straszliwy błąd.

Trudno utrzymać sekret w świecie komitetów, pomyślał Pagan. Burr zakreślił końcem laski koło na kafłowej posadzce.

— Przypominam sobie, że byłeś jedyną osobą, która podniosła problem osłony z powietrza, Frank. Żałuję, że nie poświęciliśmy tej



kwestii większej uwagi.

Pagan wzruszył ramionami. Żal komisarza i lak nie mógł zmienić tego, co się stało. Obaj mężczyźni siedzieli przez długą chwilę milcząc.

— Chciałbym wierzyć, że ktoś wygadał się przez /wykłą nieostrożność i nie była to jawna zdrada. Nie chcę nawet dopuścić do siebie myśli o szpiegu.

— Jednak trzeba wziąć pod uwagę i laką możliwość — rzekł Pagan.

Burr wstał z krzesła i podszedł do okna. Był roslým mężczyzną o szerokich barach. Wyjrzał przez szybę i przymrużył oczy pod wpływem słonecznego światła.

— Razem z nami trasę przejazdu znało tylko dziesięć osób.

— Nie przypuszczam, żeby mógł pan poprzestać na tej liczbie, komisarzu. Jeśli pan włączy do niej sekretarki i asystentów, którzy mają dziwny talent wychwytywania kierunku wiatru, będziemy mieli

trzydzieści osób. Albo nawet trzydzieści pięć. A w tym gronie kogoś kto przez przypadek lub w sposób zaplanowany był powiązany z przyjaciółmi Ruhra.

Pagan umilkł. Miał bardzo suche usta. Wypił łyk wody i zaczął mówić dalej:

— Problem polega na tym, że trudno jest przeprowadzić dokładne przesłuchanie trzydziestu osób, szczególnie wtedy, gdy powinno się to odbyć szybko. A w sytuacji gdy Ruhr zamierza czegoś dokonać w naszym kraju, gdyż w przeciwnym razie nie miałyby sensu wielka akcja uwolnienia go, czas jest ważnym czynnikiem. Nie przyjechał tu po to, żeby tygodniami beczynnie siedzieć, prawda? Bierze wysoką stawkę za swoje usługi. Ktoś zapłacił za jego obecność tutaj. I ta sama osoba wydała mnóstwo pieniędzy, żeby go odbić. Podejrzewam, że to tylko kwestia dni i Ruhr zrobi to, co zaplanował. — Z powodu bólu w piersi Pagan zdołał powiedzieć zaledwie kilka krótkich zdań, i to z wysiłkiem. Miedziana śruba dokręcała się.

— Twierdzisz, że najważniejszą sprawą jest odnalezienie Ruhra i całkowicie się z tobą zgadzam. Łatwiej jednak powiedzieć, niż zrobić, Frank. Szuka go blisko połowa angielskiej policji. Otrzymujemy raporty z Torquay, Wolverhampton, Yorku i dalej — aż do Szkocji.

Pagan poczuł łagodzący wpływ pethidyny i nagły dystans do własnej osoby. Chwilami unosił się nad wszystkim i dryfował w przestrzeni jak kosmonauta we własnej prywatnej galaktyce. To było przyjemne uczucie. Bez trudu mógł zrozumieć, w jaki sposób ludzie

uzależniali się od narkotyków. Usuwały one terrorystów, zmarłych policjantów i rany postrzałowe w inny świat.

Pagan zamknął oczy i usiłował się skoncentrować.

— Ruhr specjalizuje się w zniszczeniach. Co tutaj zamierza zniszczyć? Oto pytanie. I po co był w Cambridge? Co jest tam tak interesującego?

— Prawie nic, Frank. — Martin Burr, absolwent Oxfordu, nie miał wielkiego poważania dla konkurencyjnego uniwersytetu. Nalał sobie do szklanki trochę lucozady. Napił się i skrzywił, myśląc o masochizmie całego pokolenia Brytyjczyków, które w tym przesłodzonym płynie doszukiwało się źródła zdrowia.

— Co znajduje się w okolicy Cambridge? Nie ma tam jakichś baz wojskowych? — zapytał Pagan.

— Sześćdziesiąt pięć kilometrów dalej, w Norfolk, są zainstalowane urządzenia NATO. A w promieniu siedemdziesięciu kilometrów od Oxfordu znajduje się też kilka baz RAF-u i szereg koszar. Sprawdziliśmy to na mapie.

— Sądzę, że w rachubę wchodzi baza NATO.

Martin Burr skinął głową.

— Warunki amerykańsko-radzieckiego porozumienia rozbrojenowego przewidywały usunięcie / . baz pocisków nuklearnych o średnim zasięgu i przetransportowanie ich drogą morską na teren Stanów Zjednoczonych, gdzie miały zostać rozbrojone w obecności radzieckich obserwatorów. W ten sposób stworzono gwarancje uczciwej realizacji umowy. Śmiechu warta sprzeczność. Nie

słyszałem jeszcze o bolszewiku, który by się znał na zasadach fair play.

Pagan rzadko zwracał uwagę na nieprzychylny stosunek Hurra do komunistów. To była jedna z cech Burra, pewien rodzaj zupełnie niegroźnej fobii.

— Każde z takich miejsc mogło zainteresować Ruhra — rzekł Pagan.

— Właśnie z tego powodu wszystkie były ściśle strzeżone w ciągu ostatnich kilku dni. Nie będą łatwym celem dla naszego niemieckiego przyjaciela.

— Czy coś jeszcze mogłoby przyciągnąć jego uwagę w tej okolicy?

— Też o tym myślałem. Celem Ruhra mogła być raczej osoba niż miejsce. Albo grupa ludzi. Ale i tak nie wiemy, od czego zacząć. W przyszłym tygodniu mają się odbyć w Cambridge co najmniej trzy międzynarodowe konferencje. W mieście zaroj się od ekspertów z różnych dziedzin. Specjalistów od środowiska naturalnego, meteorologów i chemików, i to tylko w samym Cambridge. A jeśli obiekt zainteresowania Ruhra będzie przebywał w Northampton? Albo w Bury St Edmunds? Co wtedy?

Pagan przez chwilę zastanawiał się nad uwagami komisarza. Ruhr był obdarzony prawie ponadnaturalnymi zdolnościami: mógł zrobić wszystko i być wszędzie.

— Istnieje jeszcze jedna możliwość, która trochę komplikuje sprawę. Ruhr mógł być w drodze do Londynu albo Birmingham. A w Cambridge zatrzymał się tylko dla rozrywki, jeśli tak można to

nazwać.

Pagan przypomniał sobie dziewczynę, która była z Ruhrem w chwili jego pojmania. Cherlawą i anemiczną osobę o małym biuście. Nazywała się Penny Ford i mieszkała w kawalerce, do której zaprowadziła Ruhra, poznawszy go przypadkowo w pubie. Podczas przesłuchania wyznała Paganowi, że nie miała w zwyczaju zapraszać obcych mężczyzn do domu, ale Ruhr strasznie nalegał i nie miał się gdzie zatrzymać. Poza tym zbliżał się termin płatności komornego, a jej brakowało gotówki. Wyobrażała sobie nieskomplikowany seks, szybką wymianę pieniędzy i na tym koniec, pomyślał Pagan. Ale Ruhr miał inne zamiary.

Penny Ford nie umiała powiedzieć Paganowi, po co Ruhr przyjechał do Cambridge, jakim środkiem transportu ani gdzie mieszkał. Nic o nim nie wiedziała. Mogła udzielić wyjaśnień dotyczących jego seksualnych upodobań. Pagan przypomniał sobie cichy głos dziewczyny.

— Kochaliśmy się i pomyślałam, że na tym koniec... weszłam do łazienki, a kiedy wróciłam, siedział na brzegu łóżka i patrzył na mnie... w taki zabawny sposób... Wydawał z siebie suchy świszczący odgłos, bezdźwięczny i niesamowity, jak gdyby chciał gwizdać, ale nie potrafił.... Poprosił, żebym do niego podeszła. Zrobiłam to, ponieważ myślałam, że zamierza się jeszcze raz kochać. Chciał, żebym usiadła mu na kolanach. Spełniłam jego życzenie.

— A potem?

— Miał potwornie zdeformowaną dłoń. W pierwszej chwili poczułam dla niego współczucie. Spostrzegłam, że wyjął coś z marynarki, która wisiała na oparciu krzesła. To był jakiś metalowy przyrząd ze skórzanym paskiem — najbardziej dziwny przedmiot, jaki widziałam w' życiu. Wstrętny jak grzech śmiertelny.

Wstrętny jak grzech śmiertelny, pomyślał Pagan. Penny wystraszyło niezwykle urządzenie, które składało się z paska oraz dwóch długich, stalowych szpikulców. Na pierwszy rzut oka nie spełniało żadnej funkcji, dopóki Ruhr nie przymocował go do swojej zniekształconej dłoni. Okazało się wtedy, i Penny też sobie to uświadomiła, że był to rodzaj protezy. Dwa metalowe zastrzone

zęby, każdy o długości około piętnastu centymetrów, uzupełniały miejsca brakujących palców.

—Kazał mi rozszerzyć nogi, by móc włożyć we mnie ten przekłęty przedmiot, mówię prawdę... Czy wyobraża pan sobie, co ten ostry metal wyrządziłby wewnątrz mnie? Zwykły seks to co innego, ale to było samo zło...

Samo zło. Pagan przypomniał sobie, że to sformułowanie poruszyło go. Penny oczywiście opierała się żądaniu Ruhra, który zaczął jej grozić, chwycił ją za włosy i próbował zmusić, żeby wykonała jego polecenie. Walczyła i krzyczała. Ruhr mógł uciszyć dziewczynę i z łatwością się wymknąć, ale przez przypadek w budynku przebywali właśnie dwaj detektywi po cywilnemu, którzy przesłuchiwali lokatorów z pierwszego piętra w sprawie kradzieży. Natychmiast zareagowali na wrzaski, spodziewając się w najgorszym razie rodzinnej kłótni. Nie wyobrażali sobie, że znajdą najbardziej poszukiwanego na całym świecie terrorystę ze spuszczoneymi do kolan spodniami. Przedtem Pagan miał wielką uciechę, wyobrażając sobie ten widok, ale po ostatnich wydarzeniach nie wydawał mu się już taki zabawny. Ruhr był chory i niebezpieczny. I co gorsza, w przeciwieństwie do Franka Pagana przebywał na wolności.

Pagan usiadł prosto.

—Chryste, jak chciałbym stąd wyjść.

Martin Burr przecząco pokręcił głową.

—Osoby w kostnicy wyglądają lepiej niż ty. Pogódź się ze swoim losem i leż spokojnie.

—Potrzebuję trochę świeżego powietrza, to wszystko.

— Nawet gdybyś zdołał stąd wyjść i tak nie masz co na siebie włożyć — uśmiechnął się Burr. — Kiedy cię tu przyniesiono, miałeś zupełnie zniszczony garnitur.

— Zniszczony?

— Poplamiony krwią i podarty.

Modny garnitur z beżowego lnu szyty na miarę przez krawca w zakładzie na Soho kosztował Franka Pagana miesięczną pensję. W zwykłych okolicznościach lamentowałyby z powodu jego straty, ale nie teraz.

— Jeśli będę zmuszony, wyjdę stąd nawet owinięty w to cholerne prześcieradło.

— Frank Pagan spacerujący po West Endzie w prześcieradle. To wprost niewyobrażalne.

— Leżąc tutaj, czuję się bezużyteczny. Czasami Ghose uczy mnie nowych słów. Przynajmniej sobie właśnie “haemothorax”, i to była moja jedyna atrakcja przez cały dzień. — Pagan popatrzył na komisarza z rozbijającym napięciem. — Muszę się tym zająć. Wie pan o tym.

Martin Burr zignorował błagalne spojrzenie Pagana i sięgnął do kieszeni płaszcza po zegarek. Otworzył srebrną kopertę.

— Muszę już pędzić, Frank. Wiecznie tylko pośpiech. I nie cierpiące zwłoki sprawy. Postaram się przyjść wieczorem. Ale nie obiecuję.

— A ja mam tutaj zostać?



— Właśnie.

Pagan patrzył za Martinem Burrem, który szedł w stronę drzwi.

— Czy to rozkaz, komisarzu?

Martin Burr opuścił salę i nie odpowiedział na pytanie Pagana ani nie przyjął go do wiadomości, chociaż musiał je słyszeć. Czy kryła się w tym jakaś przebiegła taktyka? Czy w ten sposób chciał dać do zrozumienia Paganowi, żeby wziął na siebie odpowiedzialność za opuszczenie szpitala? Pagan wsłuchiwał się w zanikający odgłos uderzeń laski o posadzkę korytarza. Przez chwilę leżał nieruchomo, a potem uśmiechnął się i sięgnął po stojący przy łóżku telefon.

## Rozdział IV

### Glasgow

W otoczonej szklanymi ścianami cieplarni hotelu Copthome z widokiem na serce wiktoriańskiego Glasgow, zwane George Square — wielką otwartą przestrzeń, nad którą górowały posągi i masywne gmachy izb miejskich — siedzieli dwaj mężczyźni. W to deszczowe październikowe popołudnie te budynki, zbudowane w stylu włoskiego renesansu, wyglądały nierealnie i sprawiały wrażenie opustoszałych, jak gdyby ich użytkownicy — urzędnicy władz miejskich — czmychnęli z nich w skandalicznym pośpiechu. Obmyty deszczem plac też wydawał się wyludniony. Wyjątek stanowił przypadkowy przechodzień, który spieszył dokądś pod parasolem.

Starszy z mężczyzn, drobny i siwowłosy Enrico Caporelli, patrzył zamyślony przez mokrą szybę. Widział swoją czarną limuzynę, która co pięć minut przejeżdżała przed oknami cieplarni. Kierowca zabijał czas, krążąc po placu. Caporelli miał około sześćdziesięciu lat i sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Huśtał w powietrzu delikatnymi, drobnymi stopami w drogich butach z Mediolanu.

Wszystko w tym Włochu było drobne z wyjątkiem jego sprytu i organów płciowych. Kiedyś dawno temu w Hawanie krążyły legendy o jego flirtach z tancerkami. Myślał z rozżaleniem o ich występach, które odbywały się w Tropicanie albo w National, zanim ci barbudos zeszli z gór i zrujnowali wszystko i wszystkich na Kubie. Zatarł ręce gładkie jak welin.

—Zawsze lubiłem patrzeć na te posągi. Kiedyś budowano solidnie. Rzeczy miały być niezniszczalne.

Młodszy z mężczyzn skinął głową, chociaż rzeźby na placu nie przemawiały do jego wyobraźni. Brakowało im lekkości i zmysłowości, nieznaney w tym wilgotnym prezbiteriańskim klimacie.

Caporelli przyglądał się przez chwilę królowej Wiktorii, a potem odwrócił twarz od zlanej deszczem kamiennej podobizny monarchini. Nagle zmienił temat rozmowy.

—Nie ma takiej osoby na świecie, która byłaby warta tej ceny.

—W normalnej sytuacji zgodziłbym się z tobą. Lecz nie w tym przypadku. Wierz mi. — Młodszy z mężczyzn, Rafael Rosabal, był wysoki, dobrze umięśniony, przystojny i miał charakterystyczną latynoską urodę. Jego regularne, może nawet zbyt doskonałe rysy twarzy w pierwszym momencie oczarowywały kobiety, a później budziły w nich niejasny niepokój.

Rosabal marzył w tym klimacie. Było mu zimno od chwili, kiedy opuścił Hawanę dziesięć dni temu, pomimo grubego wełnianego płaszcza, który kupił w Moskwie. Zastanawiał się, dlaczego Caporelli zawsze wybierał takie nieprawdopodobne miejsca spotkań. Saint Etienne, Leeds, a teraz Glasgow. Pewnie prowadził w tych miastach interesy.

—Skoro jest tak sprytny, jak mi zawsze mówiono, dlaczego znalazł się w tak paskudnym położeniu? — zapytał Caporelli autorytatywnym tonem, którego nauczył się w ciągu lat wydawania poleceń i ich egzekwowania. Miał w sobie wyniosłość kardynała,

który przywykł, by go całowano w pierścień.

— Ma swoje zachcianki, którym czasami ulega. — Rosabal wzruszył ramionami.

— Nie chcę nic o tym wiedzieć. — Caporelli podniósł w górę dłoń. Nie interesowały go seksualne słabostki innych ludzi. — Nie lubię tego typu osób — dodał.

— Widziałem się z nim wczoraj. Przebywa w bezpiecznym miejscu. Zapewniam cię, że panuję nad sytuacją.

— Wsparłem cię hojnie sumą, której potrzebowałeś na przeprowadzenie operacji. A moja szczodrość stała się przyczyną tragedii — zabici policjanci, historyczne nagłówki w gazetach. Jestem już zbyt stary, żeby się na ciebie gniewać, przyjacielu. To wyczerpujące. Nie mam już na to sił. Chcę je spożytkować na rozmyślanie o przyjemnych rzeczach. — Caporelli mówił poważnie, monotonnym głosem, z mieszanym akcentem kalabryjskim i Long Island.

Rosabal sięgnął do cukiernicy po kostkę cukru i z przyzwyczajenia położył ją sobie na języku. Rozbawiło go to, że Caporelli mówił oswojej hojności, jak gdyby jego pieniądze były jałmużną, osobistym datkiem z prywatnego konta Enrica, za który Włoch nie oczekiwał nic w zamian, gdyż miał mu tylko zapewnić dobre samopoczucie. San Enrico. Gołębie serce. Patron terroru.

— Odzyskaliśmy go, tylko to się liczy, Enrico — powiedział Rosabal.

— Od tego Ir/cha zacząć. że nigdy nic powinniśmy znaleźć się w takim położeniu — /mus/cni odbijać człowieka, który miał wykonać dla nas zadanie. Interesów nie robi się w ten sposób.

Rosa bał zaklął cicho pod adresem skłonności seksualnych Giinthera Ruhra. To właściwie jego jedyna słabostka. Poza tym był człowiekiem mało skomplikowanym i całkowicie oddanym terroryzmowi.

— Nikt inny nie zdoła tego dostarczyć. Tylko o tym musimy pamiętać — przekonywał Włocha.

Przemoc wstrząsnęła Caporellim. Uważał siebie za człowieka cywilizowanego i niezdolnego do gwałtu. Czyż nie był właścicielem najwspanialszych obrazów na świecie? Czyż nie inwestował w konstrukcję wielkich rzeźb i nie dofinansowywał opery oraz. towarzystw symfonicznych i balotowych? Szereg miast w Ameryce Północnej i Europie nie wiedziało, że wysoki poziom życia kulturalnego zawdzięcza właśnie jemu.

Dlatego nie sprawiały mu przyjemności nawet pośrednie związki z ludźmi niewiele różniącymi się od zwierząt, z mętami społecznymi, takimi jak ów Niemiec, który został odbity z transportu cztery dni temu w Londynie. Cholerna rzeź, pomyślał. Komu to było potrzebne? Nawet jeśli ten Szwab był jedyną osobą we wszechświecie zdolną wykonać zadanie. Kiedy Rosabał zażądał wiele tysięcy dolarów na uwolnienie Niemca, Caporelli przymknął oczy, jak zwykle gdy były zagrożone jego zyski, i przekonał samego siebie, że gotówka zostanie

przeznaczona na łapówki, la mordida, dla urzędników więziennych, strażników i policjantów. Nie chciał nawet dopuścić do siebie myśli o tym, co brytyjska prasa nazwała masakrą na Shepherd's Bush. Rozwinął w sobie formę samoobrony przed rzeczywistością i przemocą, a także przerażającą zdolność odżegnywania się od jakiegokolwiek osobistej winy. Enrico Caporelli, jak wielu innych przesiąkniętych złem ludzi, odkrył sposób, do którego mógł się w ostateczności uciec — zaprzeczanie wszystkiemu.

— Porusza mnie myśl o kolejnych wdowach. Nie znoszę, kiedy kobiety płaczą. A łzy osieroconych dzieci rozdzierają mi serce.

Hipokryta, pomyślał Rosabal. Jakie mogło mieć znaczenie dla Włocha kilka sierot i wdów więcej? Caporelli dumnie stąpał po scenie swojego życia, jak gdyby odgrywał melodramat.

— Ja także nie jestem tym zachwycony. Nie można było jednak tego uniknąć, jeśli chcieliśmy mieć Ruhra — powiedział Rosabal.

— Nie podoba mi się też polowanie, o którym czytałem w gazetach. Tego Niemca szuka każdy policjant w kraju. Bardzo mnie to niepokoi.

— Nikt go nie znajdzie.

— A jednak coś mi inowi. że powinniśmy rozejrzeć się za kimś innym.

— Od tej oliwili nie będzie już żadnych wpadek, Enrico. Ani błędów. Wszystko potoczy się gładko — powiedział Kubanezyk i dla podkreślenia swoich słów uderzył dłonią o powierzchnię stołu. — Mas/ na to moje słowo.

A potem spojrzał na sąsiedni stół, przy którym siedziały dwie kobiety w średnim wieku i piły herbatę. Miały gęste brwi i s/klisty wzrok osób, które zwykły podsłuchiwać. Zaniepokoiły Rosabala, który często odnosił wrażenie, że jest obserwowany. W czasie ostatniego pobytu w Związku Radzieckim wiedział, że śledzi go KG Ił. gdyż należało to do zwykle stosowanych tam praktyk. Tutaj mógł zostać poddany inwigilacji przez wywiad wewnętrznych sił bezpieczeństwa. Nie zauważył nikogo podejrzanego, nie znaczyło to jednak, że jest całkowicie bezpieczny. Pochylił się nad stołem, zbliżając twarz do Caporellego, którego uwagi uważał za irytujące. Wiedział, że nagroda jest dla Włocha zbyt cenna, by mógł na tym etapie wykluczyć z akcji Ruhra. Musiał w końcu na niego przystać.

— Musimy sobie nawzajem ufać. Enrico — powiedział Rosabal.  
— Chcę mieć pewność, że gdy wrócę na Kubę, nie zmienisz naszych ustaleń. Muszę być o tym przekonany. Jeśli zrezygnujesz teraz z Ruhra, tym samym zaniechasz całej akcji. W tym tkwi sedno sprawy. Miej to na uwadze, przecież chodzi nam o to samo. Przyświeca nam ten sam cel.

Ten sam cel, pomyślał Caporelli. Kuba, bogata i przynosząca zyski.

— Poprosiłem o to spotkanie, ponieważ chciałem się dowiedzieć, jakie możesz dać mi gwarancje. W moim pucharze zaufania nie przelewa się, Rafaelu — powiedział Włoch.

Rosabal wyjął kolejną kostkę z cukiernicy.

— Czego ode mnie oczekujesz? Mam włożyć mu kaftan bez-

pieczeństwa? Nie będzie z nim już żadnych problemów. Zachowuje się wzorowo. Ręczę słowem. Ale skoro ono tobie nie wystarcza... Chcesz odrzucić plan? Powiedz mi prawdę. Od pierwszego etapu dzielą nas zaledwie dwa dni.

Caporelli przycisnął palce do grzbietu nosa. Czym były dwa dni przeciwko trzydziestu latom, które upłynęły od czasu, gdy barbarzyńcy przejęli władzę nad wyspą. Dwa dni. Jeśli pierwszy etap przebiegnie bezbłędnie, będzie mógł razem ze swoimi kolegami mieć nadzieję, że sprawa zostanie doprowadzona do końca.

Spojrzał na Rosabala i spostrzegł na twarzy Kubańczyka bezgraniczną determinację, a w oczach tak niepohamowaną ambicję.



z jaką nie spotkał się już od dłuższego czasu. Podobały mu się te cechy. Cieszyła go pewność młodego człowieka. W tym świecie, w którym nie dowierzano nikomu, on ufał Rafaelowi Rosabalowi, chociaż czasami odnosił wrażenie, że Kubańczyk nie potrafi zapanować nad zniecierpliwieniem. Grzech młodości, to wszystko. Zbyt gorący temperament.

— Jak teraz wygląda Vedado? — zapytał. Vedado było ulubioną przez niego częścią Hawany z dużymi hotelami i ogromnymi prywatnymi rezydencjami. Zawsze, gdy przemierzał konno ulice, myślał o nim jako o własnym sektorze miasta, o swojej osobistej posiadłości. Był w bliskich stosunkach z poprzednim prezydentem. Batista, który mu przyznał tytuł honorowego obywatela Kuby. Enrico wciąż przechowywał zdjęcie z tej ceremonii. To jemu ówcześni ministrowie zawdzięczali swoje zaszczyt}'.

Był właścicielem wspaniałego domu w barokowym stylu w pobliżu uniwersytetu — z wybrukowanym dziedzińcem i posągami z brązu, drzewami mango i granatami, które rosły przy murze, oraz zapachem oceanu, który wpadał przez otwarte okno olbrzymiej sypialni. Łazienka była wyłożona najdelikatniejszym włoskim marmurem, a złote uchwyty w kształcie chimer pochodziły od dumnych mistrzów rękodzielnictwa, którzy nie mieli racji bytu w ubogim socjalistycznym raju Castra. Enrico słyszał, że w jego pięknym domu, który został skonfiskowany w imieniu rewolucji w 1959 roku, mieści się teraz siedziba ministerstwa przemysłu

cukrowniczego albo jakiejś innej biurokratycznej instytucji, którymi fidelesitas tak się szczycili.

Chciał odzyskać ten dom. Bardzo go pragnął, nieomal boleśnie. Pożądał go w sposób, który wykraczał poza granice zwykłej chciwości. To był jego dom. Zawsze wyobrażał sobie, że umrze w nim któregoś dnia. Wciąż przypominał sobie odgłos swoich obcasów na kaflowej posadzce w hallu i śmiech dziewczyn w pokojach na piętrze. Zawsze musiały być wysokie, mieć duży biust i nieodmiennie blond włosy. W tamtych czasach był obdarzony niespożytymi siłami witalnymi.

To było coś więcej niż tylko dom.

— Vedado jest odrapane jak wszystko na Kubie — odpowiedział Rosabal.

Caporelli podniósł się z krzesła i wyjął parę skórzanych rękawiczek z kieszeni swojego czarnego płaszcza.

— Musimy dopilnować, żeby zostało odmalowane, Rafaelu.

Uwielbiam zapach świeżej farby.

Gdy limuzyna wjechała na szosę, która biegła wzdłuż wybrzeża do Ardrossan i leżącego dalej na południu Ayr. nad Glasgow zbierały się coraz ciemniejsze i bardziej gęste deszczowe chmury. Nad Firth of Clyde. gdzie rozlewisko wodne przechodziło w Morze Irlandzkie, deszcz zmienił się w mgłę. która nakryła koronkowym obrusem jak czapka niewidką wyspę Arran razem / jej okazałą górą Goat Feli. Na moment szczyt przebił się przez mgłę niczym rogaty legendarny stwór, ale natychmiast zniknął i Caporelli nie był pewien, czy go w

ogóle widział.

Drzemał z tyłu wielkiego czarnego samochodu, budząc się co chwila i rozglądając po zalanych deszczem zielonych polach albo przyglądając się któremuś z mijanych małych miast W Ballantre, osiemdziesiąt kilometrów od Glasgow, samochód skręcił na zniszczoną i zrytą koleinami wyboistą drogę, która prowadziła w głąb łądu. Tu wąska polna droga biegła pomiędzy wysokimi żywopłotami. W miejscach prześwitów były widoczne bujne łąki, które ciągnęły się aż do odległych i zasnutych mgłą gęstych skupisk leśnych. Caporelli me znał miejsca o równie soczystej zieleni. Im przybierała ciemniejszy odcień, tym krajobraz stawał się bardziej tajemniczy. Włoch miał wrażenie, że podróżuje po królestwie deszczu i ciszy. Było to bez wątpienia dobrze strzeżone królestwo — widział pomiędzy drzewami przynajmniej dwóch spacerujących mężczyzn ze strzelbami.

W końcu ukazał się dom, olbrzymi gmach z piaskowca, zbudowany na początku lat dwudziestych, chociaż w jego stylu można było dostrzec ślady i wcześniejszych epok. Okrągłe wieże na przykład przywodziły na myśl twierdze obronne z końca szesnastego wieku. Pociemniały od deszczu czerwony kamień stracił swoją ciepłą barwę i dom nie wyglądał zachęcająco. Limuzyna wjechała na podjazd i zatrzymała się przed ozdobnymi frontowymi drzwiami, które natychmiast się otworzyły. Stał w nich Freddie Kinnaird. Jego rumiana twarz zdawała się unosić w deszczu jak balon, który dziecko wypuściło z ręki.

Caporelli zaczekał, aż szofer, małomówny mężczyzna o imieniu Rod, otworzy mu drzwi i dopiero wtedy wysiadł. Schylił głowę pod parasolem, który rozpostarł nad nim Rod i ruszył w stronę domu, gdzie został powitany przez gospodarza energicznym uściskiem dłoni.

— Witam w zwariowanej posiadłości Kinnairda.

Związek Anglika o czerwonej jak befsztyk twarzy z tym drobnym Włochem o włosach w kolorze piasku i bieli, wydawał się nieprawdopodobny. Kinnaird wziął Caporellego za łokieć i wprowadził go do środka olbrzymiego, wyłożonego kamiennymi płytami hallu, gdzie płonął w kominku ogień. Caporelli wyciągnął dłonie w stronę ciepła. Pomyślał, że nie przepada ani za tak przestronnymi pomieszczeniami,

ani za wiszącymi wysoko na ścianach wypchanymi głowami zwierząt — łosi, dzików i saren. Miały szkliste i wystraszone spojrzenie jak wszystkie zastrzelone przez człowieka zwierzęta.

— Dlaczego kupiłeś ten dom, Freddie? Czy nie wolałbyś czegoś inniej rzucającego się w oczy?

Freddie Kinnaird nalał z karafki dwie porcje sherry i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając białe zęby.

— To miejsce ma wiele zalet. Sto dwadzieścia akrów gęstej roślinności, możliwość łowienia ryb, żadnych niebezpiecznych sąsiadów i małe wydatki na ochronę. Przemyślałem to wszystko dokładnie już kilka lat temu. Koszty utrzymania są co prawda wysokie, ale mam tu wspaniałą odskocznnię od harmidru pocziwego starego Londynu.

Caporelli wziął kieliszek i delikatnie trącił się z Kinnairdem. Wznieśli zwykły toast Towarzystwa — za przyjaźń. Nieważne, w jakim języku — angielskim, włoskim, niemieckim czy od niedawna japońskim — miał ten sam sens. Freddie Kinnaird dorzucił polano do ognia, które natychmiast zaczęło płonąć, strzelając w górę w głąb komina iskrami.

— Wszyscy są już na górze — Kinnaird uniósł twarz i spojrzał w stronę galerii z mahoniem. Biegła wzdłuż całej długości ściany, dzieląc na połowę przestrzeń pomiędzy sufitem a podłogą. — Amerykanie przyjechali pół godziny temu.

— To dobrze — powiedział Caporelli.

— Co mówił Rosabal? — Kinnaird odstawił pusty kieliszek.

— Udzielił mi gwarancji. Przyjąłem je. Podoba mi się ten Kubańczyk. Wyczułem w nim desperację. Nie ma silniejszej woni nad zapach prawdziwej ambicji. I ufam mu. W końcu przekazał nam informacje

o lokalizacji wojskowych jednostek obrony Kuby oraz o ich liczebności

1 wyposażeniu. Tylko człowiek ambitny, który wie, czego chce, narażałby się na takie kłopoty. Jeśli potrafi utrzymać w ryzach Ruhra, stanie przed szansą przejęcia politycznej maszyny Kuby i związanych z nią korzyści. Prezydent Rosabal. Jest zakochany w brzmieniu tego tytułu. Co zaś się tyczy nas, jeśli nie powiedzie się pierwszy etap, wycofamy się. Policzymy straty i rozejrzemy się za innym rozwiązaniem.

— Wcale nie uśmiecha mi się ten pomysł. Przygnębia mnie myśl o zacyznaniu wszystkiego od początku.

— Nie przypuszczam, żeby to było konieczne — uśmiechnął się Włoch.

Kinnaird podniósł swój pusty kieliszek i przyglądał mu się z uwagą jak profesor archeologii zdziwiony jakimś dziwnym znaleziskiem.

— Zanim wejdziemy na górę, musisz być przygotowany na opozycję w stosunku do Ruhra — uprzedził Włocha.

Caporelli nie przejął się zbyt tym ostrzeżeniem.

— Myślę, że zdołam ich przekonać, żeby poczekali na dalszy przebieg wydarzeń. A ty po czyjej stronie jesteś, Freddie?

— Po twojej — odparł Kinnaird. — Jednak czuję niesmak z powodu masakry na Shepherd's Bush. Nikt się tego nie spodziewał, a już najmniej ja.

— Możesz zrobić dwie rzeczy, żeby się pozbyć absmaku w ustach. Przełknąć go albo wypluć. Dlaczego nie przepłuczesz gardła, Freddie? — zapytał Caporelli.

— A co ty zrobiłeś?

— Przełknąłem drania.

Weszli po schodach na górę do galerii, a potem przechodzili przez niezliczone pokoje, w większości nie umeblowane i tylko częściowo odnowione. Wszędzie poniewierały się drabiny, rolki tapety i puszki z farbą. Tynk został usunięty i odsłaniał gołą ścianę. Kinnaird przeprosił za stan, w jakim znajdował się dom. Miejscowi robotnicy pracowali wolno. A niektóre materiały trzeba było zamawiać w Londynie lub w Glasgow. Caporelli szedł za gospodarzem i patrzył na wysoki, pogrążony w cieniu sufit. Krople deszczu bębniły o szyby w długich oknach. A drzewa na dworze ugiwały się, smagane powiewami mokrego wiatru.

W końcu Kinnaird wprowadził Caporellego do pomieszczenia, które przypominało salę konferencyjną. Mężczyźni siedzieli w olbrzymich krzesłach z owalnymi oparciami, a nad ich głowami wisiało ciężkie od dymu powietrze. Okna były zasłonięte welurowymi zasłonami, a pokój oświetlały małe lampy o obszytych frędzlami abażurach, mające stworzyć nastrój wykwintnego klubu. Barek był zaopatrzony w drogie gatunki whisky i stare roczniki wina. Zebranie

różniło się od normalnej konferencji tym, że stół był pusty. Żadnych dokumentów, papierów, folderów czy piór. Sytuacja zabraniała mężczyznom robienia notatek.

Enrico Caporelli podszedł do wolnego krzesła u szczytu stołu i objął kierownictwo nad przebiegiem posiedzenia. Usiadł i rozejrzał się dookoła. Wyczuł atmosferę niepewności, lecz wiedział, że potrafi kierować swoimi kolegami jak dyrygent orkiestrą. Dzięki sile własnej osobowości, a także zdolnościom aktorskim umiał tak nimi sterować, by podejmowali decyzje, o których słuszności nie byli przekonani.



Oprócz niego za stołem siedziało sześciu mężczyzn w ciemnych garniturach, spośród których tylko Amerykanie mogli stanowić prawdziwy problem. Niemiec, Rudolf Kluger, bankier z Frankfurtu, posępny człowiek w okularach, o dyskretnej powierzchowności, zwykle zgadzał się z Caporellim. Przedstawiciel francuski, Paul Chapotin, przystojny srebrnowłosy mężczyzna około sześćdziesiątki, na ogół po wstępnych galijskich pozach też akceptował punkt widzenia Włocha. Freddie Kinnaird nie taił swojego stanowiska w tej sprawie — był sprzymierzeńcem. Chudy i poważny Japończyk Kenzaburo Magi wara o aparycji człowieka, który ma wiele do ukrycia, często zgadzał się z większością, gdyż uważał, że w jedności siła. Jak mogłoby przetrwać Towarzystwo Kwaków, gdyby było inaczej? Caporelli zamyślił się. Japończyk niedawno został przyjęty do ich grona, co było wynikiem zmieniających się czasów.

I w końcu Amerykanie! Kto mógł przewidzieć reakcje Sheridana Perry'ego oraz jego ponurego towarzysza o nazwisku Hurt? Zachowywali się dość nonszalancko, w sposób typowy dla niektórych przedstawicieli swojego narodu. Mówiąc skromnie, okazywali swoją wyższość ludzi przekonanych, że dwudziesty wiek to ich własne dzieło, na które mogą udzielać koncesji reszcie świata.

Sheridan Perry, mężczyzna w średnim wieku, o obwisłym ciele i wyglądzie pięćdziesięcioletniego cherubina, oraz Harry Hurt, tak chudy jak tylko może być człowiek, który się zmusza do regularnego

uprawiania ćwiczeń. Całkowicie różni. A jednak Caporelli doszukał się w nich pewnego podobieństwa. Stanowili parę ambitnych, swobodnych i pewnych siebie ludzi, gdyż w świecie, w którym żyli, ambicja była popierana i wysoko ceniona. Była sposobem życia.

Hurt, sportowiec i absolwent Princeton, spędził wiele lat w wojsku, gdzie doszedł do wysokiego stopnia porucznika-generała. Był doradcą wojskowym na takich placówkach, jak Nikaragua i Salwador. Zwykł mówić w taki sposób, jak gdyby wydawał rozkazy swoim niewidzialnym podwładnym — osobom ograniczonym umysłowo. Perry, o podbródkach zwisających na kołnierzyk koszuli, pochodził ze starej zamożnej rodziny ze Środkowego Zachodu, do której należały drogi kolejowe, banki i farmy. Ukończył Szkołę Biznesu w Harvardzie, ale nie potrafił ukryć swojego prowincjonalnego pochodzenia. Był mu obcy prawdziwie wyrafinowany gust. Caporelli myślał o Perrym jako o człowieku, który umie się wysłowić, włożyć odpowiedni garnitur i koszulę, ale na koniec zawsze zdradzi go drobny szczegół, woda toaletowa albo płyn do płukania ust.

Przez chwilę przyglądał się dwóm Amerykanom. Spędził wiele lat w Stanach Zjednoczonych, prowadząc tam korzystne interesy i czuł się jak w domu zarówno na Long Island, jak i na Florydzie. Darzył Amerykanów wielką sympatią, z wyjątkiem ich niepodważalnego przekonania, że tylko amerykańska wizja moralności jest właściwa. W tym rozumieniu Hurt i Perry byli typowymi przedstawicielami swojego narodu. Dzięki wąskiemu pojmowaniu świata i przekonaniu o własnej słuszności obaj byli dobrymi kapitalistami. Na nieszczęście

jednak doszli do wniosku, że zasłużyli sobie, by mieć Towarzystwo na własność.

Caporelli odchrząknął i prędko omówił sprawy, które w innych okolicznościach uchodziłyby za ważne. Manipulowanie cenami diamentów w Afryce Południowej, żądania obalonego azjatyckiego dyktatora, dotyczące wyprania ogromnych ilości skradzionych pieniędzy, możliwość nabycia pakietów kontrolnych akcji w wyniku kłopotów amerykańskich banków oszczędnościowych i kredytowych, problem dalszego finansowania słabnącej junty wojskowej w jednej z południowoamerykańskich republik, znanej z nieustannych politycznych zamieszek. To były zwykłe sprawy, jakimi zajmowało się Towarzystwo podczas długich, czasem burzliwych copółrocznych spotkań.

Dzisiaj Caporelli szybko się z nimi uporał. Wiedział, że w porządku obrad jest tylko jeden naprawdę ważny punkt i członkowie niecierpliwą się, żeby do niego przystąpić. Zaczął zarezerwowanym na szczególne okazje tonem. Podsumował sytuację, zręcznie prześlizgując się po temacie ostatnich “nieszczęśliwych wydarzeń w Londynie” i uświadamiając potrzebę szerszego widzenia sprawy. Powtórzył kilkakrotnie, że wierzy w przygotowany wiele lat temu plan. Po co majstrować w dobrze idącym zegarze? Przyznał, że Ruhr wprowadził element niepewności, lecz Rafael Rosabal, człowiek godny zaufania, dał swoje słowo, że wszystko jest w porządku. I czas był perfetto. Jak długo jeszcze Sowieci mogli finansować mały prywatny świat Castra, gdy ograniczali swoje wydatki na całym

głobie? Radzieccy panowie z pewnością wyprą się ekonomicznie trędowatej Kuby. Czy można życzyć sobie lepszej okazji?

Gdy spostrzegł wyraz wątpliwości na twarzach niektórych uczestników, stał się jeszcze bardziej elokwentny, przypominając im o nagrodzie, jaka jest do wygrania — raj, którym rządziły w chwili obecnej “zwierzęta”. Kuba była główną częścią karaibskich posiadłości, tropikalnym przysmakiem, licencją na drukowanie pieniędzy. Dobierał właściwe słowa i mówił z przekonaniem. Ostatnia uwaga o moralnym nakazie podjęcia działań skierowana była pod adresem Amerykanów. Czy mogła być bardziej słuszna sprawa od obalenia skorumpowanego reżimu?

Usiadł. Napił się wody. Uznał swoje wystąpienie za całkiem niezłe.

Sheridan Perry odezwał się monotonnym głosem, w którym brzmiały odgłosy Wielkich Prerii i wykształcenie Harvard Yardu.

— Jak zaznaczyłeś. Enrico, wszystkie elementy są do siebie dopasowane. Skąd możesz mieć jednak pewność, że da się utrzymać Ruhra w ryzach?

Enrico wzruszył ramionami.

— Nie mogę powiedzieć ze stuprocentową pewnością, że będzie łagodny jak baranek, Sheridan. Niczego nie można być do końca pewnym.

Sheridan Perry miał miły uśmiech i idealnie równe, białe zęby.

— Ruhr dobrał się do prostytutki w Anglii i kto wie, czy nie zrobi tego jeszcze raz. Trzeba go było zostawić, żeby zgnił w kryminale. Po co ten problem z niepotrzebną i ryzykowną akcją, która nawiasem mówiąc została zaplanowana właśnie przez twojego człowieka honoru — Rafaela Rosabala?

— Jako przewodniczący wszystko dokładnie przemyślałem. Takie rozwiązanie uznałem za bardziej słuszne.

Sheridan Perry uniósł ze zdziwieniem brwi w górę.

— Przemyślenia, słuszne rozwiązania, Enrico? Incydent w Londynie zaszokował nas wszystkich tutaj zebranych. Towarzystwo nie może pogodzić się z takim okrucieństwem. A z ciekawości, ile nas kosztowała ta ekstrawagancja na Shepherd's Bush?

Enrico Caporelli wspomniał o kwocie ponad dwustu tysięcy

funtów.

— W porównaniu ze stawką, która wchodzi w grę, to kropla w morzu — dodał.

Następnie zabrał głos Harry Hurt, mówiąc swoim cierpliwym tonem człowieka interesu.

— Pomijając kwestie finansowe, nie możemy zabijać strażników prawa i porządku, gdyż to prowadzi do anarchii. Towarzystwo nigdy tak nie postępowało. Wspieraliśmy rządy zamiast je podkopywać. Chyba że znajdowały się w rękach bandytów.

— Tak jak na Kubie — powiedział Sheridan Perry.

Pomimo wrogości Perry'ego, Caporelli czuł, że Amerykanie w końcu udzielą poparcia planowi, tylko będą chcieli czegoś w zamian. Znał Perry'ego i Hurta zbyt długo, by nie rozpoznać oznak zмовы i nie mieć wrażenia, że szczegółowo omówili przed spotkaniem swoje stanowiska. Caporelli pamiętał jeszcze ojca Perry'ego, bankiera z ciętym językiem, od którego Sheridan przejął zarówno pozycję w Towarzystwie, jak i przekonanie o własnej słuszności.

— Chcemy, żebyś dał nam swoje słowo. — Sheridan Perry patrzył na Caporellego szczerym spojrzeniem pastora oferującego /bawienie.

— Chcemy, żebyś solennie nas zapewnił, że jeśli Ruhr ponownie coś spartaczy, ty przedstawiś nam swoją rezygnację. Zależy nam na tej obietnicy.

A więc o to chodziło. Caporelli właściwie nie był zdziwiony. Perry marzył o fotelu przewodniczącego, do którego ostatnim razem zabrakło mu dwóch głosów.

— Z przyjemnością — rzekł Caporelli. Funkcja kierowania 1‘owa-  
rzystwem nie ekscytowała go. Miała swoje zalety. Dawała pewną  
swobodę w podejmowaniu decyzji. Ale wiązała się też z wielką  
odpowiedzialnością, a tytuły nie imponował) Włochowi. Tak  
naprawdę interesowała go tylko jego należność, i to z procentami  
Rachunki musiały zostać wyrównane przed zamknięciem sprawy Jego  
kubańskie konto zbyt długo było nie uregulowane.

Caporelli z niepokojem rozejrzał się po twarzach pozostałych  
uczestników zebrania. Odbyło się głosowanie i postanowiono, że plan  
ma być dalej realizowany. Gdyby pierwszy etap się nie powiódł,  
projekt miał zostać odrzucony, a członkowie Towarzystwa  
oczekiwaliby rezygnacji przewodniczącego.

Caporelli uznał, że odniósł niewielkie zwycięstwo. Spojrzał na  
Hurta.

— Przejdźmy do następnego zagadnienia — raportu Harry ego  
o sytuacji w Ameryce Środkowej.

Rano Harry Hurt biegał wokół posesji Kinnairda. Potem wziął  
prysznic, dwadzieścia minut poświęcił na medytowanie i teraz był w  
świetnej formie.

— Nie ma żadnych problemów. Wszystko w porządku. Oficjalnie  
Honduras zaakceptował naszą wersję o budowie miejscowości wy-  
poczynkowej osiemdziesiąt kilometrów' od Cabo Gracias a Dios.  
Nieoficjalnie wie, że robimy tam zupełnie co innego. Przerzucenie  
mostu pomiędzy oficjalną i nieoficjalną wersją drogo kosztuje w  
Ameryce Środkowej. Tam są sami schizofrenicy. Brniemy dalej w tę

mistyfikację, wciskając po drodze łapówki. Pas startowy jest już gotowy. Uwijamy się.

— Ilu ludzi zebrano? — zapytał Chapotin.

— Tysiąc dwieście osób — odpowiedział Hurt.

— A ilu miało być w sumie? — zapytał Magiwara.

— Tysiąc pięćset. Ale damy sobie radę z tysiąc dwustoma. — Hurt uśmiechnął się swoim krzywym uśmiechem. — Gdybyśmy mieli ochotę, moglibyśmy w któryś poranek w' jednej chwili zająć całe te przeklęte Karaiby i jeszcze zdążyć na śniadanie z jajecznicą w Key West.



W pokoju zapadło milczenie. Caporelli rozejrzał się po twarzach, czekając na dalsze pytania i komentarze. Harry Hurt zawsze mówił tak przekonująco, że nigdy nie zostawiał miejsca na jakiegokolwiek niedomówienia. W zagadnieniach dotyczących wojskowości był niekwestionowanym ekspertem. Wszyscy wiedzieli, że ma przyjaciół na wysokich stanowiskach w Waszyngtonie, którzy mu pomagali, chociaż nie bezpośrednio, w tworzeniu bazy wojskowej w Hondurasie.

Caporelli podniósł się powoli. Ogłosił koniec narady. Opuścił pokój w chwili, gdy odsuwano krzesła i rozlewano drinki. Formalne zebranie zamieniło się w swobodne spotkanie przyjaciół. Członkowie Towarzystwa oswoili się z myślą o wydarzeniu, które Freddie Kinnaird nazwał “masakrą w Londynie”, i podporządkowali je przewidywanym zyskom, jak gdyby było opóźnioną dostawą towaru, niekorzystną sytuacją na rynku kapitałowym albo niepokojącym kursem walut — niczym więcej tylko drugą stroną interesów. Towarzystwo Kwaków przeżyło już w swojej historii wiele wstrząsów. I zawsze z wszystkich wychodziło cało.

Freddie Kinnaird, gościnny gospodarz, oddał swoją sypialnię Caporellemu. Mieściła się w wieży, była okrągła i miała okna jak szczeliny. Caporelli zdjął garnitur oraz jedwabną bieliznę i położył się nagi do łóżka, wsłuchując się w odgłosy srogiego i gwałtownego wiatru z deszczem, który uderzał o wieżę. Zamknął oczy.

Przypomniawszy sobie Kubę.

Miał przed oczami ten kwietniowy poranek 1959 roku, kiedy do jego domu w Vedado wtargnęli trzej barbudos. Mieli na sobie zielone mundury. I wszyscy nosili brody, jak gdyby pochodzili z ciała i kości Castra. Byli uzbrojeni, a ich buty dudniły po marmurowej posadzce w hallu. Wciąż pili, świętując sukces Castra. Działo się to o świcie, wspominał Caporelli, pomiędzy nadzieją a strachem przed rozczarowaniem. Wkrótce rewolucja miała stać się czymś znacznie gorszym — masowymi aresztowaniami, plutonami egzekucyjnymi, wstrętnymi procesami na pokaz, wydalaniem z kraju, komunizmem. Ale w tamtym momencie wszyscy fidelistas jeszcze świętowali. Barbudos dowodził tłusty mężczyzna z czarną brodą i dziobatą twarzą, który nazywał siebie majorem Estradą. Nosił zielone przyciemnione okulary. Nawet teraz Caporelli z zadziwiającą wyrazistością potrafił odtworzyć w pamięci jego wygląd: blizny po ospie, resztki szpinaku lub pietruszki na brodzie, brązowe zęby i czarne oczy ukryte za tanimi zielonymi szklami.

Major Estrada podsunął Caporellemu pod nos wymięty świstek papieru, "dokument przekazania nieruchomości", napisany w takim pośpiechu, że nie zdążył jeszcze wyschnąć atrament. Jak gdyby rewolucja czym prędzej chciała się zalegalizować. W jej imieniu cała własność Caporellego miała /ostać zarekwirowana — dom v. Vedado, hotel St Clara przy Aquir Street w pobliżu giełdy papierów wartościowych, kamienica na A Street i First oraz duży punkt pośrednictwa sprzedaży General Motors na rogu 25 i Hospital. Rewolucjoniści domagali się wszystkiego.

Major Estrada wyjął zza pasa rewolwer i zaczął wymachiwać nim w powietrzu. Określił Caporellego mianem pasożyta, który wysysał krew biednych. Caporelli miał wtedy trzydzieści lat. Był przeświadczony, że jego potężni przyjaciele szybko wyjaśnią nieporozumienie. Błędnie ocenił rewolucję. Ci spośród znajomych, któr/y nie opuścili wyspy, wyczuli pismo nosem i pospiesznie ukryli piemąd/e. zanim Castro zdążył im je odebrać.

Caporelli zadał sobie daremny trud dwukrotnie telefonując. podczas gdy dwaj żołnierze Estrady plądrowali dom. Swoją obecność znaczyli rozbitym szkłem, potłuczonymi lustrami, wywróconymi wazonami, podartymi jedwabnymi zasłonami i przedziurawionymi od kul posągami.

W sypialni na piętrze spała amerykańska tancerka, Lynette. namiętna młoda kobieta, którą Caporelli wykradł z rewii. Obudziły ją hałasy żołnierzy. Caporelli przypomniał sobie, jak złorzecząc zjawiła się owinięta w jedwabny łososiowy szlafrok na szczycie schodów.

— Co tu się, u diabła, dzieje, Enrico? — zapytała.

— Każ tej młodej kobiecie zamilknąć i ubrać się — rzekł F.strada. Caporelli wzruszył ramionami. Mógł zlekceważyć majora i za-imponować dziewczynie albo go usłuchać i okazać słabość w swoim własnym domu.

— Dlaczego nie wyrzucisz tych facetów. Enrico? — zapytała dziewczyna.

— Dlaczego tego nie zrobisz? — powtórzył pytanie Fstrada.

Caporelli odwrócił się i spojrzał na majora, który się uśmiechał

niezwykle ubawiony sytuacją. A potem Włoch znowu zwrócił twarz w stronę dziewczyny. Jej jedwabny szlafrok połyskiwał w promieniach wpadającego świetlikiem słońca. Widok zapierający dech w piersi, pomyślał. Jak mógł zawieść tego anioła?

Miał właśnie zamiar odpowiedzieć, gdy Estrada zaczął mu wciskać do ręki świstek papieru. Przekazanie dokumentu było dla majora sprawą najwyższej wagi. Jako przedstawiciel La Revolución i sługa nowego porządku poważnie traktował swoje zadanie.

— Musi pan przyjąć ten dokument — powiedział. — Co się zaś tyczy dziewczyny, niech pan jej każe się ubrać i wynosić stąd. Nie ma już tutaj nic do roboty.

Dziewczyna jęknęła.

— Enrico, co te typy tutaj właściwie robią? Czy nie możesz ich powstrzymać? Zupełnie zrujnują twój dom.

Caporelli spojrział na papier i nie przyjął go.

— Wsadź sobie ten dokument do tyłka — powiedział do Estrady.

To była chwila, w której Enrico Caporelli delektował się czystym pięknem stawiania oporu, wzniosły moment uświadomienia sobie własnych nieograniczonych możliwości. W oczach dziewczyny mógł uchodzić za pięknego mężczyznę, pewnego siebie i nieśmiertelnego.

Major Estrada uderzył Caporellego w twarz pistoletem.

Dziewczyna krzyknęła. Przenikliwy dźwięk odbijał się echem od marmurowych powierzchni. Caporelli zemdlny z bólu i zażenowany osunął się na marmurową podłogę. Nie potrafił teraz sobie przypomnieć, czy stracił przytomność na trzydzieści sekund, czy na pięć minut: ciemny tunel, na końcu którego znajdował się pistolet w ręce Estrady i lufa w ustach.

Caporelli czuł ciepło broni na podniebieniu i zapach alkoholu w oddechu mężczyzny. Alkohol i rewolucyjny entuzjizm. Major był zdolny do wszystkiego. Na podeście dziewczyna trzymała w zębach rąbek szlafroka. Wierzyła, że za Caporellim stały wpływowe osobistości na Kubie, którym zawdzięczał swoją nietykalność.

Ubiegłej nocy raz za razem osiągała satysfakcję — był niestrudzonym, demonicznym kochankiem, kimś niezwykłym w jej bogatym doświadczeniu. A teraz został poniżony. Tam, w hallu na dole, wydał się jej nagle niepozorny i żaloszny.

— Weź ten dokument — powiedział Estrada i odbezpieczył broń. Był to najbardziej śmiercionośny dźwięk, jaki Caporelli kiedykolwiek słyszał. Pomimo to ponownie sprzeciwił się Kubańczykowi. Czuł, że pod stalową lufą ma zupełnie suchy język.

— Payaso — powiedział Estrada, napierając mocniej pistoletem. Caporelli zaczął wydawać żaloszne odgłosy odruchów wymiotnych. Całą tę sytuację uznał później za bardzo poniżającą. Szalone przerażenie zredukowało go do zera. Został odarty z całego dobrego mniemania osobie. Liczyła się tylko bliskość broni i to, że serce wciąż mu biło. Był gotowy pójść na każdy układ, by tylko nie przestało pompować krwi. Wtedy nie myślał już o obecności dziewczyny. Świadomość, że była świadkiem tego wstydliwego incydentu, nie miała dla niego w tamtym momencie żadnego znaczenia.

Estrada wyjął różaniec z bluzy munduru i przesunął paciorki w palcach jednej ręki.

— Niech Bóg cię zachowa w swoim miłosierdziu. Adios — szepnął. A potem ta ponura, rozgrywająca się na krawędzi śmierci scena, którą zakończył nagły wybuch śmiechu Estrady. Wtórowali mu dwaj żołnierze ochryłym pijackim rechotem. Kubariczyk wyjął Caporellemu pistolet z ust. Włoch zamknął oczy. Miał uczucie

słabości w żołądku. Usta wypełniły mu się kleistą śliną. Poczł ciepłą strugę moczu, która spływała mu po udach i modlił się, żeby nie została zauważona.

— A teraz weź ten dokument. Enrico — powiedział Estrada. Caporelli sięgnął po papier nie otwierając oczu, ale Estrada, kpiąc sobie z Włocha, trzymał dokument z dala od jego wyciągniętej ręki. Dziewczyna na podeście zamarła w bezruchu.

— Poproś mnie ładnie, Enrico, albo znowu włożę ci pistolet do ust. Tylko tym razem nie na żarty.

— Proszę. Błagam — powiedział Caporelli. Nie widział dziewczyny. Słyszał, że się poruszyła i poła jej szlafroka zaszeleściła po marmurowych schodach.

— O co?

— Błagam. Niech mi pan da ten dokument. — Czuł, że ma całkiem sucho w ustach.

A gdy zacisnął papier w dłoni, Estrada poklepał go po głowie jak psa, który był nieposłuszny, ale okazał skruchę i należało go pochwalić.

— Strzał w dziesiątkę, co? Przyjaciół Batisty. A już ci się wydawało, że jesteś panem całej Hawany! Ale rewolucja jest silniejsza od ciebie i wszystkich twoich kumpli, *compañero*. Rzuci was wszystkich razem na kolana! A teraz masz dziesięć minut, żeby się stąd wynieść do diabła. Zapakuj to, co zdołasz zmieścić do małej walizki, i zmykaj stąd. Kuba nie potrzebuje ani ciebie, ani twoich kobiet.

Caporelli słuchał odgłosu kroków trzech mężczyzn na dziedzińcu.

Przez długi czas pozostał jeszcze na kolanach, upokorzony i zawstydzony tym, że nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Dlaczego do końca nie opierał się Estradzie? Dlaczego mu uległ i go błagał? Odpowiedź była prosta: pierwszy raz w swoim młodym życiu znalazł się na granicy życia i śmierci, w tym zatrważającym miejscu bez promieni słonecznych i bez kobiet, gdzie nie liczą się żadne pieniądze ani wpływy. Ale życie było lepsze niż śmierć, nawet za cenę poniżenia.

Kiedy się podniósł, zobaczył na marmurze żenującą kałużę moczu. Wytrzeł ją lnianą chustką z monogramem E.C. Dziewczyna stała nad nim.

— Och, Enrico — powiedziała i umilkła. Nie był pewien, czy w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie czy przerażenie, zażenowanie czy współczucie.



Trzydzieści lat później wciąż słyszał kpiący śmiech mężczyzn. Miał przed oczami pokrytą bliznami twarz Estrady i swoją elegancką chustkę nasiąkniętą uryną. Pamiętał ucisk pistoletu na podniebieniu i zapach kobiecych perfum. Zatrząsał się z wściekłości na wspomnienie postawy majora i własnego poniżenia w obecności dziewczyny.

Usiadł na łóżku i wyjął z marynarki portfel. Otworzył go i wyciągnął wymiętą kartkę papieru. Drżącymi rękami, które trzęsły mu się zawsze, ilekroć wspominał majora Estradę, rozłożył ją na łóżku i wygładził. Był to dokument przekazania nieruchomości, *trespaso de propiedad*. Już dawno postanowił, że dopóki nie wróci do Hawany, nie zniszczy tej smutnej pamiątki.

Zamknął oczy. Jak mógł obliczyć, ile go kosztowała Kuba? W wymiarze pieniężnym w 1959 roku został ograbiony z trzech milionów dolarów, które trzydzieści lat później miałyby wartość siedemdziesięciu milionów. Gnębiło go jednak melancholijne poczucie głębszej straty — honoru, z którego odarł go Estrada. Choć to nie on był głównym winowajcą, lecz Castro, który rzucał cień na Kubę jak wielki ponury sęp. To Castro go okradł i na nim Caporelli zamierzał się zemścić.

## Rozdział V

### Londyn

Zespół Franka Pagana, oficjalnie znany jako SATO, Specjalny Antyterrorystyczny Oddział Operacyjny, zajmował dwa piętra anonimowego budynku przy Golden Square na Soho. Zespół został

powołany w 1979 roku jako odpowiedź na działalność irlandzkich terrorystów. W połowie lat osiemdziesiątych został rozwiązany i włączony do struktury organizacyjnej Scotland Yardu. Jednakże w zeszłym roku jednostka została reaktywowana, podlegała Martinowi Burrowi i zgodnie ze swoim statutem miała zajmować się sprawami irlandzkimi. Pagan objął w niej stanowisko szefa, pomimo sprzeciwu ludzi ze Scotland Yardu oburzonych rozgłosem, jaki towarzyszył jego karierze. Ograniczeni ludzie. Ma Ii ludzie, zwykł mawiać o nich Burr. Pagan nie przejmował się tymi, którzy krytykowali jego styl, modne garnitury, kolorowe koszule, amerykański samochód marki Camaro, którym jeździł, i to, że lubił rock and rolla. Nie pasował do służbowej hierarchii Yardu, instytucji powszechnie uważanej za mało elastyczną. Pagana cechowała energia właściwa indywidualistom, która zdaniem jego przeciwników mogła doprowadzić do anarchii.

Tego chłodnego październikowego wieczora Pagan siedział przy oknie w swoim biurze i wyglądał na pogrążony w mroku Golden Square. Wcześniej tego samego dnia po południu zdobył wypis ze szpitala dzięki prostemu, chociaż sprawiającemu ból sposobowi. Wstał z łóżka, włożył ubranie, które mu przyniósł jego zastępca Foxworth, i przeszedł obok dyżurki pielęgniarek. Został tam natychmiast zaatakowany przez jedną z pracownic, która z bezwzględnością tyrańca zarządzała powierzonym szpitalowi mieniem. Zagroziła Paganowi drogę i nie pozwoliła mu przejść, dopóki nie przywołano doktora Ghose'a. Lekarz skrzyczał Pagana za samowolę, ale dostrzegł w Angliku tak silną determinację, z jaką nie spotkał się

w czasie swojej

wieloletniej praktyki. Cóż mógł innego zrobić, jak darować pacjentowi wolność, pod warunkiem że codziennie zmieni opatrunek, będzie prowadził oszczędny tryb życia, nie zapomni o zażywaniu środków przeciwbólowych i antybiotyków oraz że wróci na badanie kontrolne za trzy dni?

Zaopatrzony w gazę i bandażę oraz uzbrojony w recepty, szalując obietnicami, Pagan jako wolny człowiek wyszedł późnym popołudniem na ulicę. Adrenalina, pobudzona radością z odzyskanej wolności, nie działała długo. Wkrótce stało się jasne, że nie został uwolniony od bólu. W drodze na Golden Square siedział w taksówce zgięty wół i zaciskał ręce na klatce piersiowej. Zaniepokoił tym Foxwortha, który nie wiedział, co ma robić. Zażył środek przeciwbólowy i atak zaraz minął, ale Pagan był wyczerpany i jeszcze blebszy niż przedtem.

Teraz, siedząc przy oknie w swoim biurze, nalał sobie małą porcję auchentoshanu, niezrównanej łagodności słodowej whisky z nizinnych rejonów Szkocji, alkoholu, który ostatnio zwykł pijać. W połączeniu z pethidiną odegnał cierpienie, spowijając mózg aksamitną powłoką.

— Jak się czujesz? — zapytał Foxworth. Siedział przy biurku naprzeciwko Pagana. Był wysokim mężczyzną, tej samej masywnej budowy co Frank. Jego krótko przystrzyżone płomiennie rude włosy przywodziły na myśl niesforną wiechę.

— Jak groch przy drodze. Ale i tak jestem wdzięczny własnemu

szczęściu za odchylenie toru pocisku. Dzięki temu żyję —  
odpowiedział Pagan.

Foxie był zastępcą Pagana w czasie pierwszego wcielenia SATO. Pagan ostatnio zwolnił go z wydziału fałszerstw i zapędził do swojej zagrody. Strzelanina na Shepherd's Bush wstrząsnęła Foxiem. Szczególnie przeraziło go to, że została ranna bliska mu osoba — Frank Pagan. W całej jednostce panował ponury nastrój. Detektywi, nawet ci, którzy nie przepadali za Paganem, siedzieli pogrążeni w czarnych myślach przy swoich biurkach, czekając na wieści ze szpitala.

Teraz gdy Pagan wrócił, praca znów posuwała się do przodu, chociaż Foxworth uważał powrót szefa za przedwczesny. Frank był biały jak ściana, a dieta ze słodowej whisky połączonej z narkotykami nie mogła mu wyjść na zdrowie, bez względu na to jak mocny miał organizm. To był cały Pagan. Nie potrafił trzymać się z daleka od sprawy. Myśl o Guntherze Ruhrze dręczyła go. Wypalała mu dziurę w mózgu.

Foxie przez chwilę przyglądał się swojemu przełożonemu. Frank był bardzo wymizerowany. Był tak blady, jak gdyby miał za chwilę umrzeć. W jego szarych oczach błyszczała jak zwykle determinacja, ale dzisiaj błysk w spojrzeniu Pagana wydał się Foxworlowi symptomem obłądu.

Pagan wstał Jego cień padł na olbrzymi jedwabny ekran z Buddy Molliin, który dominował w ścianie /a nim. plamę fantastycznych kolorów, bez której pokój byłby zwykłym miejscem pracy o białych

ścianach.

— Zaczniemy od Australijczyków — powiedział Pagan.

— Wiem niewiele więcej od ciebie. Frank — iverkł Foxwort, podając Paganowi teleks, który rano nads/etł? z Sydney. — Nic ekscytującego.

Pagan przyjrzał się raportowi. Mężczyzna. Jaóry /gin,ji na Shepherd's Bush, miał pięćdziesiąt lat, służy! w arffiii australijskiej i przeszedł do rezerwy w stopniu sierżanta. Była też adiustacja o pracy w wojsku najemnym i żadnej wzmianki na temat jego pr/estępc^j działalności. Mieszkał sam i nie miał żadnych krewnych

— Co za cholerne nudziarstwo — zauważył Pagan. — Nie mogli przysłać czegoś lepszego? Nie gniewaj się. jeśfi się zdrzemnę,

— Po otrzymaniu teleksu potwierdziłem te informacje tafcfonicznie — powiedział Foxie.

Pagan wyjrzał przez okno. Była ósma trzydzieści i na ulicach panował spokój. Wokół latarni ścieliła się ledwie widoczna mgła. Gdyby spojrział w bok, zobaczyłby taksówki krążące po Beak Street albo blask ostrych i zimnych świateł Piccadilly, gdyby popatrzył w drugą stronę.

— Trzeba sporządzić listę, tę co zwykle.

— Już jest gotowa — powiedział Foxie, wskazując na w'ydruk z komputera. — Z dzisiejszą datą.

— Jesteś szybki, Foxie.

— Jak błyskawica.

Pagan przyglądał się drobiazgowej liście, którą wręczył mu Foxie.

Był to wykaz sporządzony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, ogólnie dostępny dla różnych agencji wspierających działanie prawa, z nazwiskami osób „niepewnych”, które ostatnio przekroczyły granice Zjednoczonego Królestwa. Obejmował odwiedzających, którzy byli zaangażowani w różnego rodzaju działalność polityczną we własnych krajach. Figurowali tam domniemani radykałowie, komuniści, biznesmeni działający w podejrzanych firmach (na przykład z powodu narkotyków), antymonarchiści i inne wzbudzające wątpliwości osoby. Na liście przeważali obywatele Libii, Irlandii, Kolumbii i Palestyńczycy. Osobom tym nie odmówiono wizy. W opinii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie były dostatecznie „niepożądane”. Ci, którzy zaliczali

się do tej drugiej kategorii, byli zwykle zatrzymywani, przesłuchiwani i deportowani, zanim zdążyli zaczerpnąć brytyjskiego powietrza.

— Czy sprawdziłeś te nazwiska na naszym komputerze? — zapytał Pagan. Szczegółowy wydruk działał na niego przygnębiająco. Lista obejmowała ponad czterysta nazwisk. Czy do tego kraju zieleni przybyła hałastra całego świata?

— Komputer sprawdza już dane — rzekł Foxie.

— Widzę, że panujesz nad sytuacją. Powinienem być zostać w szpitalu.

— To by świadczyło o twoim nadzwyczajnym rozsądku, Frank.

Pagan uśmiechnął się słabo i usiadł. Przez chwilę był załamany.

Od

czego, do diabła, zacząć? Gdzie szukać Ruhra? Pytania te zdawały się przerastać jego siły. Szukanie ukrywającego się terrorysty było zadaniem z rodzaju tych, w których decydującą rolę odgrywa szczęście. Albo zwykły upór. Pagan o wiele bardziej wolał spryt, nagłą intuicję, błysk przeczucia od nudnego policyjnego stukania od drzwi do drzwi, zaharowywania się na ulicach i przesłuchiwania ludzi, których jedynymi wykroczeniami w życiu było parkowanie w niedozwolonych miejscach.

— Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? — zapytał Foxie.

— Wyświadcz mi tę łaskę, Foxie, i przestań na mnie patrzeć, jak gdybym zaraz miał zapaść w śpiączkę.

— Przepraszam.



— Nie zemdleję. Zrozumiałeś? — Pagan, zirytowany zaniepokojonym spojrzeniem Foxwortha, starał się skupić uwagę na komputerowym wydruku. Jak długo jeszcze koledzy zamierzali badawczo mu się przyglądać i doszukiwać się oznak słabości?

— O czym mówiliśmy?

— O wykazie nazwisk. Frank.

— Racja. O wykazie. Problem polega na tym, że jest mało prawdopodobne, żeby figurowali tam ci, którzy uwolnili Ruhra. W każdym razie nazwiska Australijczyka w nim nie było. Czy można oczekiwać, że pozostali okażą się bardziej skłonni do współpracy w wykazie? Nie sądzę, żeby wydruk naprowadził nas na jakiś ślad związany z Ruhrem. Poza tym Niemca mogli odbić domorośli utalentowani terroryści, a ich nie znajdziemy w indeksie, Foxie.

— Tak, to prawda.

— Postąpimy zgodnie z tą piekielną procedurą, chociaż nie wiąże z nią wielkich nadziei. Pagan odłożył na bok indeks nazwisk i wypił drinka. Odstawił pustą szklankę. — Jeszcze jedno, Foxie. Nie życzę sobie, żeby jakakolwiek informacja opuściła to biuro bez mojej oficjalnej zgody. Jeśli jest jakiś przeciek, nie chcę, żeby pochodził stąd. Moja linia z biurem komisarza ma zostać zakodowana.

— Zanotowałem — powiedział Foxworth.

— Masz raporty z poszukiwań Ruhra? Czy zostały podjęte jakieś planowe działania?

Foxie zaprzeczył ruchem głowy.

— Na razie mamy do czynienia z normalną w tej sytuacji histerią,

Frank. Poczciwi obywatele wyglądają zza koronkowych firanek w obawie, czy potwór Giinther nie czai się gdzieś w krzakach.

Wyobraźnia tłumu. Cudowna sprawa.

Pagan westchnął.

— Co nam pozostaje, Foxie?

— Rozstrzygający rober. Cóż by innego?

Pagan znowu zapatrzył się w okno. Myślał o grupach terrorystów i ich poplecznikach, którzy kryli się w mrokach tego wielkiego miasta, o nieuchwytnych prawicowych klanach, o lewicy, leninistach, marksistach, marksisto-leninistach, rasistach i radykałach (których poglądy Pagan czasami w duchu popierał) spiskujących przeciwko monarchii. Myślał o przesiadujących w Mayfair Libańczykach, którzy płacili ogromne sumy za materiały wybuchowe i broń, Palestyńczykach, którzy rozważali w Earl's Court, jak odzyskać ojczyznę — o wszystkich, którzy byli tam, w mrocznych zaułkach, szepcząc, rozmawiając ze sobą i snując plany.

Pagan miał do czynienia z wieloma z nich, począwszy od dwu- i trzyosobowych osamotnionych grup nierozsądnych ludzi, którzy podkładali zrobione domowym sposobem bomby w ogrodowych szopach, a skończywszy na Libańczykach, spośród których wielu zajmowało kuloodporne apartamenty na West Endzie, zarządzało bankami i miało dostęp do niewyobrażalnych wprost kapitałów. Znał ich świat. Wiedział, że jeśli jest możliwe uzyskanie jakiegokolwiek informacji o Ruhrze i jego współnikach, znajdzie ją tam, wśród swoich sympatyków, finansistów i podróżników. Mogła być

czymkolwiek, domysłem, powtarzaną szeptem plotką, rodzajem wiadomości, która nigdy nie przeniknie z ulicy do oficjalnych kanałów. Nie mógł jej zdobyć siedząc na Golden Square.

— Sądzę, że dobrze mi zrobi przejażdżka po świeżym powietrzu, Foxie. Załatwisz dla nas samochód?

— Samochód? — Foxie uważał, że Paganowi ten pomysł nie mógł wyjść na zdrowie, ale nie powiedział tego na głos.

— Samochód. Cztery koła, podwozie, silnik — przypominasz sobie, o czym mówię?

Foxie uśmiechnął się i podniósł słuchawkę.

Samochód marki Rover prowadził Foxworth, jadąc zgodnie z poleceniami Pagana, który bez przerwy upewniał się co do kierunku, zaglądając do małego czerwonego notesu. Foxie zrozumiał, że to była słynna Czerwona Księga Prezesa Franka z nazwiskami i adresami terrorystów, z którymi Pagan miał powiązania. Foxie po raz pierwszy widział tę legendarną księgę.

Najpierw pojechali do mieszkania przy Dover Street, w Mayfair, które należało do Syryjczyków, a potem do domu Libijczyka w Kensington, przeszkadzając ludziom w oglądaniu telewizji albo w przygotowywaniu kolacji. W domu w Kensington odbywało się właśnie eleganckie przyjęcie — panowie w smokingach, panie w koktajlowych sukniach i małe wykwintne koreczki z kiełbasek. Pagan nie przejął się tym, gdyż czas go strasznie naglił. Był w swoim żywiole, w każdym razie w tym momencie, i jak Foxworth zauważył, przypominał dawnego Pagana. Żadne formalności ani względy dobrego wychowania nie mogły mu stanąć na drodze. Poczęstował się kawą, przełknął koreczek i rozejrzał się wokół, jak gdyby przyjęcia w ogóle nie było. Przeprowadził kilka niemiłych rozmów z rodzaju tych, które wywodzą się z nieufności i jawnej urazy. Nie znamy Gunthera Ruhra. Nic nie wiemy o nim ani o jego przyjaciółach. Jesteśmy niewinni, nie mamy nic wspólnego z jakąkolwiek nielegalną działalnością, panie Pagan. Niech pan z łaski swojej zostawi nas w spokoju albo zwróci się do naszych prawników. W dzisiejszych

czasach wszyscy mieli swoich adwokatów, pomyślał Pagan. Prawnicy przerażali go. Byli ludźmi

o gładkich twarzach, nosili drogie garnitury w prążki i finezyjnie manipulowali prawem, aby osiągać ciężkie zyski. Mieli świadomość moralną muchomorów i nieskrępowaną chciwość zepsutych dzieci.

Następnie odwiedzili mieszkanie w suterenie w Chelsea, zajmowane przez grupę mocnych facetów, którzy nazywali siebie The Iranian Revolutionary Front — Irańskim Frontem Rewolucyjnym — TIRF. Akronimy były jak próbki, w których radykałowie zdawali się rozmnażać. Ugrupowanie, które nie miało przyzwoitego akronimu, nie przemawiało do wyobraźni i nie przyciągało nowych rekrutów. TIRF przeciwstawiał się zarówno nowemu ajatollahowi, jak i amerykańskiemu imperializmowi. Pagan próbował sprowokować członków ugrupowania, twierdząc, że takie stanowisko prowadzi do ideologicznego zamieszania, ale nie dali się wciągnąć w rozmowę z policjantem — reakcjonistą, przedstawicielem monarchii. Cierpieli za rządów szacha i dla nich królowa Anglii nie była nikim innym jak nikczemną siostrą Pahlawiego. Irańczycy niechętnie podnieśli twarze znad misek z ryżem, unikając kontaktu wzrokowego z policjantami. Zamknęli się w sobie i urażeni w ogóle się nie odzywali.

W następnej kolejności Pagan i Foxworth złożyli wizytę w domu po drugiej stronie rzeki z widokiem na Battersea Park, gdzie łysy Niemiec w aksamitnym smokingu mówił w mądry sposób o terrorystycznych powiązaniach pomiędzy Europą i Irlandią Północną. Może

Ruhr pracował dla Irlandczyków, panie Pagan, sugerował Niemiec. Dlaczego Ruhr? — zastanawiał się Pagan. Przecież mieli własnych gangsterów.

Z Battersea pojechali do Wandsworth. W pedantycznie utrzymanym dwurodzinnym domu urocza młoda Czeszka, aresztowana kiedyś /a przynależność do grupy usiłującej podłożyć bombę w radzieckiej ambasadzie w Bonn, podając w filiżankach ziołową herbatę, potępiła Gunthera Ruhra za “nadmierną przemoc”. Nie wiedziała, gdzie go można znaleźć, ani nie miała pojęcia, kto mógł go odbić. Prowadziła teraz spokojne życie i straciła kontakt z byłymi kolegami. Zajmowała się hodowlą zdrowych warzyw i karmieniem piersią niemowlęcia, które właśnie zaczęło płakać w sąsiednim pokoju. Tak jak wszyscy, z którymi spotkali się w czasie dziwnej wycieczki Pagana po Londynie, nic nie wiedziała ani o niczym nie słyszała. Wizyty w domach w Camberwell i Whitechapel, zamieszkałych w odpowiedniej kolejności przez Libańczyków i Palestyńczyków, przyniosły podobne rezultaty. Objazd podziemnych ugrupowań nie przyniósł żadnych informacji o Giintherze Ruhrze, jego mocodawcach ani oswobodzicielach.

— Strata czasu — powiedział Pagan w powrotnej drodze na Golden Square.

— Zrobiłeś, co mogłeś — rzekł Foxie.

— Rzeczywiście, na wiele mi się to nie zdało. Ktokolwiek zatrudnia Ruhra, pracuje w całkowitej tajemnicy. Chyba duchy odbiły go z transportu. Nikt o niczym nie wie.

Weszli do windy, starej żelaznej trumny, która dźwięcząc poszybowała na drugie piętro. W biurze Pagan znowu nalał sobie trochę auchentoshanu i usadowił się za biurkiem. Oddychał z trudem. Przekroczył granice zwykłego zmęczenia. Znalazł się w świecie, gdzie nie można całkowicie ufać własnym zmysłom. Jak gdyby wskutek przemierzania z ogromną szybkością stref czasowych, dobowy rytm jego ciała został zakłócony i Pagan widział odbicie świata w załamaniach luster. Zapatrzył się w ciemne okno, słuchając furkotania trzech komputerów na pierwszym piętrze. Minęła właśnie północ i cisza na ulicach za oknem potęgowała hałas, który wydawał mu się złowróżbny, gdyż nie miał przekonania do elektronicznych urządzeń.

Wstałem z twojego powodu z łoża śmierci, Ruhr, myślał. Mógłbyś przynajmniej naprowadzić mnie na jakiś drobny ślad. Albo powiedzieć, ile czasu zostało, zanim zrobisz coś potwornego. Czynniki czasu! Niepewny los planety, na której jedyny zegar należał do Giinthera Ruhra.

Foxworth wszedł do gabinetu z nowym wydrukiem z komputera.

— To jest to, czego chciałeś. Nasze analizy czterystu siedemnastu nazwisk z wykazu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Wszystkie osoby przekroczyły granice Zjednoczonego Królestwa w ostatnim miesiącu. Oprócz tego mamy tu jeszcze dwadzieścia dziewięć nazwisk innych osób objętych stałą inwigilacją.

Pagan przejrzał szpalty zamglonym wzrokiem. Dwudziestu dziewięciu przeciwników. To był praktycznie tłum. A miał do swojej dyspozycji zaledwie ośmiu pracowników. Prowadzenie równocześnie dwudziestu dziewięciu dochodzeń było niemożliwe. Nawet gdyby zdołał tego dokonać, wypożyczając pracowników z innych wydziałów, nie mógł mieć pewności, że nie marnuje ludzkiej energii i czasu. Ani Ruhr, ani jego wspólnicy nie przekroczyli legalnie granicy Zjednoczonego Królestwa. Był o tym przekonany. Pozostawało zatem dwadzieścia dziewięć nazwisk!

— Wyciągnę się na kanapie. Czuję ogromny ciężar w nogach — powiedział.

— Czy nie lepiej, żebyś poszedł do domu, Frank. Z przyjemnością cię odwiozę — Foxworth zmarszczył brwi.



Pagan odmówił ruchem głowy.

Zawzięty drań, musi mieć końskie siły, pomyślał Foxie.

Pagan powoli podszedł do leżanki stojącej w kącie gabinetu. Była stara, skrzypiąca, z powypychanym materacem z końskiego włosia, w którym porobiły się wyrwy. Ostrożnie się położył. Cicho jęknął, gdyż przeszył go ostry ból. Już wydawało mu się, że zdołał go wyciszyć przed nadejściem nocy, ale on powrócił, przypominając, kto jest panem jego organizmu.

— Chciałbym mieć mapę — rzekł Pagan. — Jakąś przyzwoitą, obejmującą cały obszar Cambridge — dodał.

— Mam taką w swoim biurze.

— Przynies ją i przyczep pinezką nad moim biurkiem, dobrze?

— Zaraz to zrobię. — Foxie żwawo wyszedł, żeby spełnić życzenie Pagana. Był gotów nawet go rozpieszczać.

Leżąc płasko na plecach, Pagan podniósł wydrukowaną listę i spojrzał z ukosa na nazwiska. Pod każdym z nich podana była narodowość i powody, które zadecydowały o tym, że ci ludzie znaleźli się w wykazie komputerowym SATO. Figurował w nim Holender,

znany jako wykonawca strzelb na zamówienie, Amerykanin o podejrzanych związkach z I Jbańczykami, włoski dziennikarz o radykalnie lewicowych przekonaniach, który miał „prawo wyłączności” na wywiady z terrorystami, zawsze kwieciste i pełne pochlebstw. Pagan nie miał czasu ani ludzi, by sprawdzić wszystkich, którzy mieli dostęp do informacji o rzekomo tajnej trasie. Jak miał wytłumaczyć śledztwo

w sprawie dwudziestu dziewięciu osób, nie mając niczego, co by mogło wskazywać na powiązania któregoś z nich z Guntherem Ruhrem.

On sam nie był pewien, czy w ogóle jakieś były. Sumiennosc to cholerny dyktator. Frank Pagan poczuł się osaczony przez własną dokładność. Z każdą osobą na tej liście należało się skontaktować, przesłuchać ją, choćby nawet pobieżnie, i obserwować. I na koniec wszystkie te osoby mogły zostać wyeliminowane ze względu na brak związku z Ruhrem. To był urok pracy w policji. Godny pozazdroszczenia splendor.

Gdy miał właśnie zamiar odłożyć na bok wykaz i zastanawiał się, czy nie przekazać sprawy do dalszego zbadania policjantom z innego wydziału, spostrzegł nazwisko na końcu drugiej strony.

Oślepiło go w pierwszym momencie. Paganowi zdawało się, że ma halucynacje, a układ liter jest wynikiem działania pethidyny. Zamknął oczy. Usłyszał, że Foxie wszedł do pokoju i powiedział coś na temat mapy. Głos dobiegał do niego z oddali, gdzieś spoza sceny, jak gdyby Foxie znajdował się w zaświatach. Otworzył oczy. Wciąż tam było. Nie zmienione.

Dobry Boże, ile to już minęło lat?

Odwrócił twarz do Foxwortha, który stał na krześle i przyczepiał mapę do ściany.

— Foxie — zwrócił się do niego.

Foxworth zszedł z krzesła i podszedł do kanapy. Od razu spostrzegł, że Pagan wygląda dziwnie, jak gdyby dręczyło go coś

więcej niż sam ból.

— O co chodzi? Czy stało się coś złego? — zapytał.

Pagan wskazał nazwisko na kartce papieru. Foxie przeczytał je uważnie. Nikt mu nie przychodził na myśl.

— Chciałbym wiedzieć, gdzie można znaleźć tę osobę, Foxie.

— To może potrwać.

— Zrób to.

W głosie Pagana zabrzmiała nietypowa dla niego gderliwość i irytacja. Jak gdyby stanął przed zagadką, która jego zdaniem została rozwiązana dawno temu.

Foxie zanotował nazwisko.

Magdalena Torrenle wid/iała /. okna swojego pokoju hotelowego rozpościerając;; się nad Hyde Parkiem ciemność. Czarna i szeleszcząca w samym sercu Londynu, wywoływała nastrój smutku. Już tak dawno Magdalena nie była w Anglii. Jak miło byłoby przyjechać tu kiedyś w celach turystycznych i posiedzieć przez jakiś czas. Ale ta podróż, podobnie jak poprzednia, miała być krótka.

Ostatni pobyt tutaj — nie chciała o tym myśleć.

Zamknęła okno i spojrzała na zegarek. Była druga w nocy. Przeszła przez pokój i pchnęła drzwi do łazienki. Przyjrzała się własnemu odbiciu we fluoryzujących blaskiem kafelkach — ciemnym kołom pod oczami i bezbarwnym ustom. Zastanawiała się nad makijażem, ale on nie lubił, gdy była umalowana. Prawdziwa kobieta nie musi uciekać się do fałszu, zwykł mawiać.

Leżała na łóżku. Z korytarza dobiegło dudnienie wjeżdżającej windy, która się zatrzymała na jej piętrze. Magdalena zamknęła oczy i wsłuchiwała się z uwagą. Gruby dywan w hallu tłumiał kroki. Ufasz mu? Zastanawiała się, dlaczego właśnie teraz wróciło do niej nieprzyjemne pytanie Garrida. Starzy ludzie mieli skłonność do zadawania niestosownych pytań. A ambitni starzy ludzie, tacy jak Garrido, potrafili być szczególnie uciążliwi. Ich czas dobiegał końca, dlatego zadawali pytania bez osłonek i oczekiwali natychmiastowych odpowiedzi. Ufasz mu?

Usłyszała odgłos przekręcanego klucza w zamku. Udawała, że śpi. To było częścią miłosnej gry. Miał ją obudzić pocałunkiem, choć

wiedział, że sen jest udawany. Wszedł do pokoju i bardzo cicho podszedł do łóżka. Poczula, jak materac ugiął się pod jego ciężarem. Podniosła ręce do jego ust. Miała przyspieszony puls i serce biło jej jak szalone. Zawsze tak na nią działał. Dotyk jego ciała sprawiał, że zupełnie się zatracala i rozpadała na części. Było to najbardziej słodkie ze znanych jej uczuć. Czasami nie mogła przypomnieć sobie własnego nazwiska. Amnezja spowodowana miłością. Przy nim była niecierpliwa. Wzięła jego rękę i poprowadziła ją pomiędzy swoje nogi. Krótka spódnica, lubił, gdy miała tę długość, podciągnęła się w górę na udach. Nie miała niczego pod spodem. Jego ręka dotarła do samego jej rdzenia i Magdalenie zapało dech. Miała uczucie, że odkrył tajemnicę, którą ukryła przed całym światem. Znał ją w najbardziej intymny i w najgłębszy sposób. Rozłożyła nogi, zdumiona własną wilgocią. Zagłębił w nią palec i jęknęła, zagryzając usta w obawie, że nie potrafi powstrzymać krzyku. Odwróciła się nieznacznie, sięgając do niego. Był gotowy i piękny. Jej kochanek. Jej miłość. Wymawiała jego imię przeciągając sylaby, aż stały się samą radością, dźwiękiem i delikatnym smakiem w ustach.

Zdarł z niej spódnicę i zsunął blu/kę / . ramion. C ałował jej piersi, szyję, usta, a za każdym razem, kiedy dotykał wargami jej skóry, czuła rozkoszny zawrót głowy. Unosiła się nad ziemią i wzbijała w górę. Zamknęła w dłoni jego członek i delikatnie przyciągała go do swojego ciała. Niecierpliwość wyzwoliła w niej zuchwałość i agresję. Rozsunęła nogi najszerszej jak mogła i poprowadziła go w głąb siebie, a potem zacisnęła mu pięty na plecach, kołysząc go coraz to mocniej,

jak gdyby próbowała schwytać w potrzask coś, czego nie można złapać: szczyt doznań, nieuchwytny moment.

Ścisnęła go mocniej i mocniej, taniec stawał się coraz szybszy, prostszy, gwałtowniejszy i bardziej intymny, jak gdyby już nic nie dzieliło jej od niego. Była już tylko miłość i uczucie szalonego, błogiego wzbijania się. Gryzła go w ramię i drapała po plecach, wyginając w łuk biodra i unosząc się, żeby ich zespolenie stało się jeszcze pełniejsze, aż dotarła do szczytu i trwała tam, dopóki nie stał się wiotki wewnątrz niej i nie poczuła się całkowicie wyczerpana. Opadli na łóżko w milczeniu, leżąc bez tchu, nieruchomo jak sparaliżowani.

Gdy w końcu wstała, czuła dziwną słabość w biodrach i sztywność w nogach. Podeszła do okna i wyjrzała na park. Zapalił zapałkę. Pokój wypełnił się drażniącym zapachem tytoniu. Odwróciła się, widząc jego twarz w bładoczerwonym żarze papierosa. Wróciła do łóżka. Zawsze było tak samo — natychmiast pragnęła go od nowa, jak gdyby wszystko dotąd było tylko wstępem, czymś zbyt powierzchownym. Jak gdyby czekały ich jeszcze inne poziomy do zgłębienia i inne rodzaje spełnień. Zaciągnął się papierosem, a czerwona poświata oświetliła jego gołą pierś.

— Twoje ubranie jest na szafce nocnej — powiedziała.

Uśmiechnął się. Miał miły uśmiech, żywy. pociągający, otwarty i szczery. Kochała tę twarz. Gdyby oślepla, umiałaby dotykiem rozpoznać jej znajomą topografię. Zadrżała na myśl o przepelniającej ją intymności. Czasami przerażało ją, że tak nierozsądnie poddaje się

uczuciu. Ale tylko wtedy, kiedy zastanawiała się nad przyszłością. To sztuka żyć chwilą i nie myśleć o dalszym losie, myślała. Los jest tym, co zdarzy się jutro,

— Jesteś zbyt zamyślona — powiedział.

— Jak można być zbyt zamyślonym? Lubię robić coś dla ciebie. Myślę o tobie nieustannie. Nie mogę przestać, chociaż się staram. Budzę się i mówię sobie — muszę spędzić jeden paskudny dzień i nie myśleć o nim, ale jak dotąd nigdy mi się to nie udało.

Długo milczał. A potem zgasił papierosa.

— Czy sądzisz, że ze mną jest inaczej? — zapytał.

— Mam nadzieję, że cierpisz tak jak ja. — Chciała to powiedzieć lekkim tonem, ale jej słowa zabrzmiały poważniej, niż zamierzała.

Usiadła na łóżku, wzięła go za rękę i przycisnęła ją do swojej piersi.

— Chcę, żebyśmy byli razem. Zawsze. Nienawidzę tego, że musimy żyć osobno.

— To tylko kwestia czasu.

— Cierpliwość nie należy do moich zalet. A jestem na nią skazana. Za każdym razem, kiedy się spotykamy, wpadam w panikę na myśl o tym, jak mało mamy czasu dla siebie. Chcę, żeby to się zmieniło.

— Wkrótce. Już niebawem. — Pewność w jego głosie, którą przyjęła z radością, nappełniła ją nadzieją. Wszystko w końcu jakoś się ułoży, ponieważ tak musi być. Pokładała tę samą niezłomną wiarę w tryumf miłości, co inni w prorocze właściwości gwiazd. Żaden mężczyzna nie mógł się z nim równać. Zdominował jej wyobraźnię. Niejednokrotnie kiedy zastanawiała się nad miłością, dochodziła do przekonania, że jest jak zgubny nałóg.

— Czy miałaś jakieś problemy? — zapytał.

— Z pieniędzmi? — zaprzeczyła ruchem głowy. — Przeszłam bez przeszkód. Wiedziałam, że mi się uda. Przyjęłam tę co zwykle wyniosłą i królewską pozę. Nikt niczego nie podejrzewał. A zwłaszcza celnicy. Są ułożone w walizce. Dokładnie tak jak lubisz.

— Wszystko robisz tak jak lubię — powiedział.

Roześmiała się. Śmiech miała odrobinę zbyt głęboki, by mógł



uchodzić za dystyngowany.

— Chcę ci dogadzać — powiedziała.

Głaskał jej piersi niemal w roztargnieniu. Bywały chwile jak ta, kiedy stawał się nieobecny. Zawsze to ją przerażało. Podkopywało jej nadzieję, rwało i tak już wątłe poczucie bezpieczeństwa. Poszła do łazienki, napełniła szklankę wodą i wróciła do łóżka.

— Garrido nie jest ciebie pewien — powiedziała.

— Z wiekiem Garrido stał się starą babą.

— Wciąż jeszcze jest bystry. I ma intuicję. Wie, co czuję do ciebie, chociaż nie jestem pewna, czy to pochwała.

— Garrido mnie niepokoi, Magdaleno. Jego wiek.

— Nie możesz cofnąć obietnicy. Garrido, podobnie jak wszyscy inni ze wspólnoty, liczą na poważne stanowiska. Uważają się za tymczasowy rząd na wygnaniu. To trwa już od lat. Garrido spodziewa się stanowiska ministra spraw wewnętrznych albo czegoś równie wysokiego. To jego jedyny cel w życiu. Jest bohaterem we wspólnocie. Nie możesz nawet dopuścić myśli o wykluczeniu go ze swoich planów.

Westchnął i poklepał ją po ręce.

— Wszystko będzie w porządku. Dotrzymam słowa.

Nastrój w pokoju uległ nieznacznej zmianie. W jednej chwili atmosfera stała się posępna, niemal przygnębiająca. Zrozumiała przyczynę. Otworzyła drzwi, pozwalając, by Garrido wszedł do środka, Garrido i wszyscy politycy el exilio. Ten pokój był świętym miejscem zastrzeżonym tylko dla kochanków, a nie dla polityki,

marzeń i spisków.

Chciała rozproszyć atmosferę melancholii. Wprowadzić lekkość, a nawet banalność. Sięgnęła w stronę szafki nocnej po małą srebrną czarę z owiniętymi w opakowania z nazwą hotelu kostkami cukru. Rozwinęła jedną i włożyła mężczyźnie do ust. To też należało do ich wspólnej gry. Jeszcze jedna drobna zażyłość.

Wsunęła mu kostkę do ust, popychając ją czubkiem palca. A potem pocałowała go. Pocałunek był słodki z powodu rozpuszczonych na języku małych kryształków cukru.

— Kocham cię — powiedziała. Kilkakrotnie wyszeptała jego imię. Gdy była dzieckiem, uczono ją, że gdy dostatecznie długo będzie powtarzać słowo, zrozumie jego właściwe znaczenie i ukryty sens. Dlatego powtarzała imię kochanka, szukając objawienia, błysku olśnienia, przeświadczenia, że jest tak bardzo kochana, jak sama kocha. Chciała mieć tę pewność.

Posadził ją na brzegu łóżka i delikatnie rozsunął jej nogi. Patrzyła na niego z niecierpliwością i zachwytem, gdy klęknął na podłodze z ustami na poziomie jej kolan. Wciąż obserwowała jego twarz, gdy stawała się niewidoczna w mroku jej ud. a potem zadrżała, odrzucając do tyłu głowę i zamykając oczy. Ręce bezwiednie zacisnęły się w pięści i otworzyły się usta.

Zmienionym głosem powiedziała:

— Kocham cię, Rafaelu. Kocham cię.

Nowy Jork

Gdy Kenzaburo Magiwara przyleciał na lotnisko Kennedyego, była

dziesiąta wieczór czasu lokalnego i na całym wschodnim wybrzeżu mżyło. Szybko załatwił formalności związane z odprawą celną i kontrolą dokumentów. Oficer imigracyjny zażartował na widok jego gęsto ostemplowanego i mocno zużytego paszportu, że powinien mieć sezonowy bilet do Ameryki. Magiwara nigdy się nie uśmiechał. Nie tylko dlatego, że zachodni humor do niego nie przemawiał, ale bardziej z powodu rysów twarzy, które rzadko wyrażały wesołość.

Większość Europejczyków dostrzegała w nim podobieństwo do nieżyjącego już cesarza Hirohito, gdy by) w jego wieku. Magiwara miał worki pod oczami i butne usta. Jego postać emanowała władczością, chociaż trudno było dokładnie zlokalizować jej źródło i określić, czy kryła się w ostrym spojrzeniu małych oczu szulera, czy też w linii ust, która nadawała jego twarzy pogardliwy, a nawet trochę tajemniczy wyraz. A może był to pewny siebie sposób poruszania się oraz przekonanie, że drzwi staną przed nim otworem, zanim zdąży do nich podejść, i inni zajmij się wszystkimi nieważnymi detalami życia, takimi jak odbiór bagażu czy zorganizowanie transportu.

Limuzyna z szoferem czekała tuż. przed terminalem linii Pan American. Ruszyła w stronę Manhattanu. Magiwara siedział z tyłu trochę senny i marzył o tym, by jak najprędzej znaleźć się w swoim apartamencie w Central Park South. Oceniał podróż jako udaną. Kwakrzy nie zrezygnowali z planów.

Magiwara był pierwszym Japończykiem, któremu zaproponowano członkostwo Towarzystwa, dzięki któremu miał powiązania ze światem ogromnych zysków i niewyobrażalnych wprost fortun. Organizacja była formą wolnomularstwa. Nie miał uprzedzeń do tego typu zrzeszeń. Wręcz przeciwnie. W Japonii od wieków istniały tajne zgrupowania i w swoim czasie Magiwara należał do kilku z nich — do grup biznesu, stowarzyszeń o charakterze politycznym i organizacji religijnych.

Towarzystwo Kwaków było jednak zupełnie inne. Chociaż tajne i

dbające o własną anonimowość, obchodziło się bez wymownych uścisków dłoni, szyfrów, rytuałów indoktrynacji oraz pułapek masonskich. Oprócz niewiarygodnego bogactwa obiecywało udział we władzy i w kształtowaniu losów państw takich jak Kuba, które ginęły pod nieudolnymi komunistycznymi rządami. Gwarantowało osobisty kontakt z historią. Dzięki niemu stwierdzenie, że ludzie są bezsilni wobec przeznaczenia, wydawało się pozbawione sensu. Towarzystwo było dowodem na to, że jest wręcz przeciwnie.

Magiwara spojrział zza okularów na dżdżyste ulice. Uważał, że odgrywa ważną rolę w Towarzystwie, którego niektórzy członkowie nie potrafili przezwyciężyć uprzedzeń rasowych. Wydawało mu się na przykład, że zawsze był obojętny Caporellemu, podczas gdy dwaj Amerykanie, którym nie ufał, traktowali go protekcyjnie, jak ludzie, którzy nie lubią sushi, uznali za niestrawną całą kulturę japońską.

Wiedział, że z czasem uda mu się pokonać te przeszkody. Jeszcze nigdy nic nie zdołało mu stanąć na drodze. Miał pięćdziesiąt osiem lat i zgromadził fortunę rzędu siedemdziesięciu trzech milionów dolarów.

Członkostwo w Towarzystwie Kwaków miało stokrotnie pomnożyć ten kapitał. Sprawa legalności Towarzystwa nie była dla niego problemem. Znał białe plamy na gospodarczej mapie, których przeciętny kapitalista nie umiał wykorzystać, ale potrafiłby je pożytecznie zagospodarować człowiek z wyobraźnią. Do takich miejsc należała właśnie Kuba.

Przestudiował historię Towarzystwa, a w każdym razie to, do czego udało mu się dotrzeć w archiwach, które były przechowywane w podziemiach banku we włoskim mieście Bari. Zapoznał się z szerokim zarysem jego rozwoju, począwszy od końca dziewiętnastego wieku, kiedy zostało powołane jako pomocnicza organizacja bankowa mafii do prania sycylijskich pieniędzy, dyskretnego ich inwestowania w legalne przedsięwzięcia. W latach dwudziestych i trzydziestych Towarzystwo zreorganizowane i po raz pierwszy nazwane mianem Kwaków. którego ironiczny religijny wydźwięk uszedł uwagi Magiary, dostrzegło pilną potrzebę odsunięcia się od okrucieństw i złego rozgłosu, jaki towarzyszył działalności ludzi pokroju Ala Capone. Kwaki. zachowując o wiele większą dyskrecję niż mafia, która stała się niemal publiczną korporacją, oderwali się od swojej macierzystej organizacji. Niewielu współczesnych mafiosów w ogóle wiedziało o ich istnieniu. A jeśli coś i słyszeli o Kwakach, była to stara, owiana tajemnicą historia organizacji, która została rozwiązana jeszcze przed drugą wojną światową z powodu “strat” pokaźnych kapitałów mafii w “pozałowania godnych transakcjach handlowych”. W rzeczywistości pieniądze te przywłaszczyli sobie przedstawiciele Towarzystwa. W ten sposób Kwaki przejęli banki handlowe oraz inwestycyjne, które kiedyś należały do wielkich finansowych magnatów z Zachodu, oraz zarządzali kapitałami i manipulowali kursami walut w przepływie pieniędzy pomiędzy krajami. Mieli wpływ na ceny rynku światowego i wspierali antykomunistyczne ruchy w Ameryce Środkowej, Azji

oraz Afryce. Nigdy nie uchylali się od obowiązków płatniczych. Wszystkie ich banki, instytucje finansowe czy przedsiębiorstwa żeglugowe regularnie płaciły podatki w państwach, w których były zarejestrowane. A gdy tylko pojawiały się jakieś trudności albo spory w związku z należnościami, nieporozumienia zawsze były załatwiane cicho pomiędzy dwojgiem ludzi — bankierem i urzędnikiem skarbowym. O Kwakrach nikt nigdy nie wspominał. Towarzystwo działało dyskretnie i prędko, jak trzymający się zaciemnionych miejsc wielki rekin, którego można dostrzec, ale nie sposób go zidentyfikować. Mocne, wytworne, z pogardą odnoszące się do słabości i lekceważące zasady etyki, funkcjonowało w ramach struktury światowego kapitalizmu. A Kenzaburo Magiwara był elementem tej wielkiej organizacji.

Wyjrzał przez okno. Był już prawie w domu. Położył ręce na udach i bębnił po nich swoimi delikatnymi palcami. Wydawało się, że całe jego ciało było kruche jak szkielec, a skóra przypominała rozciągniętą na kościach cienką membranę. Magiwara był stanowczy, zachłanny i ambitny. Oprócz zgromadzonej fortuny miał pożyteczne znajomości — dwóch amerykańskich kongresmanów, brytyjskiego parlamentarzystę, przedstawiciela chrześcijańskiej demokracji we Włoszech, dwóch członków rządu australijskiego oraz kilku szefów policji w miastach europejskich i azjatyckich.

Limuzyna zwolniła i zatrzymała się przed światłami. Zalana deszczem ulica była cicha i, nie licząc jednego małego samochodu, zupełnie pusta. Dodge colt zahamował i stanął obok limuzyny. Magiwara nie zwrócił na niego uwagi.

Światła zmieniły się z czerwonych na zielone. Limuzyna nie ruszyła. Magiwara pochylił się do przodu i zastukał w przyciemnioną szybę, która oddzielała go od kierowcy. Nie usłyszał odpowiedzi. Nacisnął guzik i spuścił przegrodę.

Stało się coś dziwnego. Za kierownicą nikogo nie było. Magiwara podniósł się i zajrzał do przodu, myśląc, że kierowca dostał zawału serca i osunął się na podłogę. Ale nie było go wewnątrz pojazdu.

Zaskoczony nie poddał się panice. Zmarszczył brwi. Uświadomił sobie, że stojący obok dodge colt leż nie ruszył na zielonych światłach. W małym samochodzie otworzyło się boczne okno. Magiwara spodziewał się, że za chwilę zobaczy w nim twarz, ale nie



pojawiła się.

Za otwartym oknem była tylko ciemność, w której błysnął metal. Zaledwie moment zajęło Magiwarze rozpoznanie przedmiotu. Był krótki, gruby, przerażający i przestarzały. Japończyka ogarnęło poczucie nierzeczywistości. Uświadomił sobie, że popełnił straszliwy błąd.

Wystrzał wstrząsnął limuzyną i roztrzaskał szybę. Magiwarza zdążył usłyszeć przenikliwy dźwięk kuli przecinającej powietrze, zanim pogrążył się w ciszy wieczności.

## Rozdział VI

Norfolk, Anglia

Giinther Ruhr słyszał irytujący dźwięk piłki pingpongowej brzęczącej na powierzchni stołu. Podniósł się z wąskiego żelaznego łóżka i pknął do drzwi salonu, w którego odległym kącie dwaj mężczyźni dla abici. « czasu grali w tenisa stołowego. Wszystko tutaj drażniło Rubra, nie tylko odgłosy piłki, ale też ten dom na odludziu w otoczeniu Wota. połamanych klatek dla drobiu i gorzkiej woni zgnilizny, która co noc wypełniała mu nozdrza. Regularnie każdego popołudnia padał deszcz. Jednak Ruhra najbardziej przygnębiało towarzystwo, na które był zdany.

Stanowili je czterej mężczyźni, którzy brali udział w akcji odbicia go z rąk brytyjskiej policji. Podziwiał ich za brawurę i odwagę, ale zachowywali się jak mruki i mieli zwyczaj odpowiadać monosylabami. Tkwiąc całymi dniami w zniszczonym domu przy akompaniamencie bębniącego o szyby deszczu, z lekturą pokrytego

pleśni# ..Podręcznego przewodnika po Paryżu”, baedekera z 1913 roku (jedynej książki, jaką znalazł w całym domu), Giinther Ruhr potrzebował jakiejś ro/rywki

Flavell i Zapino, dwaj wdzięczący się Argentyńczycy o ciemnych twarzach spędzali czas na zaczesywaniu swoich gładkich czarnych włosów. Od czasu do czasu gratulowali sobie nawzajem udanej akcji odbicia Ruhra, jak gdyby wspominali dawne psoty w czasie zjazdu absolwentów szkoły. Gdy nie było nic ciekawego do oglądania na ekranie starego czarno-białego telewizora, rozkładali i czyścili broń. W takich chwilach wyglądali jak para szczęśliwych kochanków. Wczoraj rano Flavell wystrzelił niechcący z pistoletu w sufit, wywołując tym wielkie zamieszanie.

Pingpongiści byli Amerykanami, jeden — posępnym mężczyzną o nazwisku Trevaskis (miał najlepszą wymowę z całej czwórki, co nie mogło uchodzić za wielki komplement), a drugi olbrzymem o bladej karnacji, znanym jako Rick. Amerykanie trzymali się

razem i rozmawiali ze sobą slangiem, prawie zupełnie niezrozumiałym dla Ruhra. Trevaskis o oczach błyszczących żarliwością misjonarza skierował wzrok na Niemca.

Jego spojrzenie było pogardliwe. Ruhr wywoływał u wielu osób właśnie taki wyraz twarzy. Spotykał się z nim przez całe swoje życie. Ludzie zwykli cofać się na jego widok, jak gdyby przerażające cechy, które w nim intuicyjnie wyczuwali, były zaraźliwe. Nieustępliwi, którzy nie zamierzali zrobić kroku w tył, patrzyli tak jak Trevaskis, usiłując pokonać demona wzrokiem. Niemca bawiło to. Myślał czasami

o sobie jako o spektroskopie, w którym inni mogą czasami dostrzec w przelocie zatrwajający aspekt ludzkiej natury.

— Wyspał się pan, panie Szpony? — zapytał żartowniś Trevaskis.

Rick wielkolud, ubrany w biały podkoszulek i niebieskie dzinsy, uśmiechnął się. Każda wypowiedź Trevaskisa wywoływała jego uśmiech. Dwaj Argentyńczycy odłożyli grzebienie i obejrżeli się na Niemca. Ruhr stał w drzwiach z założonymi na piersiach rękoma. Szpony. Przydomek był mu całkiem obojętny. Został mu nadany przez prasę — kupców handlujących określeniami kształtującymi opinię publiczną.

Za sprawą tych samych dziennikarzy stał się legendarną postacią i był z tego zadowolony. Pod podłogą w niewielkim mieszkaniu, które dyskretnie wynajmował w Sachsenhausen w Monachium, trzymał wycinki z gazet. Niezmiennie wypominano mu w nich brak

zasad moralnych i obojętność na ludzkie cierpienie. Był nazywany barbarzyńcą i potworem. Czasami przerzucał artykuły i czuł, że te opisy rozmijają się z prawdą i nie ujmują sedna sprawy. Nie był ważny brak pewnych cech, ale fakt, że Ruhr uważał za niepożądane zwykle ludzkie cnoty. Wszyscy szukali miłości i przywiązania, dlatego ich poniżano

i byli banalni. Każdy ubolewał z powodu niepotrzebnej przemocy, dlatego on ją zaakceptował. Logika Niemca opierała się na przewrotności. Ruhr usiłował zniszczyć to, do czego inni ludzie zmierzali. Szydził z tego, co dla innych było wzniosłe. Nawet fizyczne zniekształcenie, które lubił, gdyż odzwierciedlało jego wnętrze, dzieliło go od innych. Był sam na świecie. Nigdy nie czuł się inaczej.

Wszedł do salonu. Prawą dłonią pogładził się po swojej mocnej szczęce. Intrygującym aspektem ostatnich wydarzeń w Cambridge było to, że nagle po latach anonimowości jego rysy zaczęły być rozpoznawalne! Stał się postacią publiczną, której zdjęcia znalazły się w gazetach całego świata! Jego twarz była teraz prawie tak znana jak twarz gwiazdora filmowego i świadomość tego faktu nie była mu niemiła. Sprawiała mu radość jak aktorowi, który poprzednio grywał w masce i choć robił to wspaniale, przez całe lata pozostawał w cieniu.

Lewą ręką przechwycił lecącą w powietrzu piłkę pingpongową.

—Czeka nas robota. Termin został wyznaczony na jutro.

Czterej mężczyźni umilkli. Baczenie wpatrywali się w Ruhra. Nie tylko byli jego wyzwolicielami i podległymi mu żołnierzami, ale

strażnikami, którzy zgodnie z poleceniami Kubańczyka mieli go strzec, by nie stała mu się krzywda, oraz kontrolować jego ruchy, by nie powtórzyła się nieszczęsna historia z Cambridge. Ruhr odnosił się z lekceważeniem do tych, którzy kupowali jego usługi. Nie czuł się od nikogo zależny. Wręcz przeciwnie. Uważał siebie za zwierzchnika wynajmującej go osoby. Nie miał zaufania do tych, którzy mu płacili, gdyż zwykle byli niewolnikami jakiejś ideologii albo obsesji. Rzadko potrafili panować nad sobą, a w rezultacie nie mieli wpływu na otaczające ich wydarzenia.

Na przykład Kubańczyk: Ruhr nie ufał mu, tak samo jak nie wierzył w Boga. Wszystkie żalosne ambicje Kubańczyka można było wyczytać z jego spojrzenia, dostrzec w każdym słowie i geście. Przyjechał tutaj dwa dni temu, zionąc ogniem i przestrzegając Ruhra, żeby nie spaprał roboty. Próbował ukryć obawy z powodu zagrożenia własnych ambitnych planów i Ruhr z teatralną skruchą odegrał rolę posłusznego pieska przed zaabsorbowanym swoimi celami Kubańczykiem.

Ale ten nie wiedział, że dla własnego bezpieczeństwa Giinther Ruhr zawsze stosował środki ostrożności. Były to dokumenty, papiery, numery rachunków bankowych, kopie czeków oraz dzienniki z opisami umów i nazwiskami, zdeponowane w opieczętowanych pudelkach u niejakiego Wilhelma Schillera, prawnika z Hamburga, który miał je otworzyć w wypadku nagłej śmierci albo zniknięcia Ruhra.

Czterej mężczyźni wpatrywali się teraz w niego jak wartownicy w

klatkę z szaleńcem, którego zachowania nie można było przewidzieć.

Wywoływanie napięcia w ludziach ekscytowało Ruhra.

—Dajcie mapę — powiedział.

Argentyńczycy podali mu dokładny plan sporządzony dla sztabu generalnego. Ruhr rozłożył go na stole. Miał zadziwiającą pamięć, umysł, który wychwytywał najistotniejsze szczegóły i gromadził je, by móc je w razie potrzeby natychmiast wykorzystać. Przystudiował już tę mapę i nie musiał ponownie do niej zaglądać. Ale zamierzał przypomnieć ją pozostałym mężczyznom.

Wskazał na drugorzędną drogę wśród terenów leśnych. Na prawo od niej znajdował się młyn, a na lewo kanał. Półtora kilometra za młynem droga rozwidlała się. Jedna z jej wąskich odnóg biegła do młeczarni, a druga, gładka i wybetonowana, przecinała zalesiony obszar — śliczny, gęsty i nie ogrodzony — wspaniale nadający się na

kryjówkę i zorganizowanie zasadzki. Na mapie tu i ówdzie zaznaczone były wsie i małe osady. Ich interesowała tylko wioska St Giles

i położone w odległości dziesięciu kilometrów od niej lotnisko Klubu Lotniczego Wschodniej Anglii. To były najważniejsze miejsca w całej operacji. Gdyby Ruhrowi oraz jego ludziom nie udało się z jakiegoś powodu dotrzeć do lotniska, mieli się rozdzielić. Chyba że przedtem by zginęli. Ruhr powiedział to, uśmiechając się we właściwy sobie sposób. Był człowiekiem o poczuciu humoru niezrozumiałym dla innych i dlatego skazanym na śmianie się w samotności.

Argentyńczycy dopytywali o czas operacji. Obaj nosili kosztowne zegarki i uważali, że należało je “zsynchronizować”. Ale Ruhr nie powiadomił ich o dokładnym terminie, zatrzymując tę wiadomość dla siebie ze względów bezpieczeństwa. Zrozumieli i zamilkli.

Zwinął mapę i wszedł do kuchni. Skorupy po jajkach, skóry z bekonu, pomięte kawałki celofanu, zapałki, niedopałki z papierosów, otwarte słoiki po pasztetach — wszędzie odpadki. Nalał do szklanki wody i wypił ją powoli. Nie podobał mu się panujący tu bałagan. Wolał świat ze schludnymi kątami i czyste jasne przestrzenie. Ale nie zawsze można było mieszkać w tak idealnym świecie. Zbyt często coś zakłócało jego porządek, na przykład taka brudna, zaśmiecona kuchnia.

Albo dziewczyna w Cambridge...

Przypomniął sobie jej nie opalone uda i jak drżała, gdy zdejmował jej dzinsy. Gdy zasuwiała okno cienkimi zasłonami, starała się wyglądać prowokująco, lecz wydała mu się tylko nienaturalna. Pamiętał wyraz na jej twarzy, gdy stał rozbłysła na jego dłoni — przeraźliwie krzyknęła, a potem wszystko stało się chaosem i hańbą pojmania.

Przypomniął sobie policjanta o nazwisku Pagan, który zadawał mu wiele pytań. Ruhr wymyślał na poczekaniu różne historie. Jak każdy gawędziarz wierzył w tworzone przez siebie fikcje. Raz był kupcem kondominiów, innym razem roztargnionym egiptologiem na wakacjach z plecakiem albo układnym profesorem literatury szwajcarskiej (pracującym na pół etatu, jak poinformował Pagana). Rozbawiony zasypywał Pagana coraz nowymi tożsamościami, w które natychmiast się przeistaczał.

Pagana nie bawiła nieustannie zmieniająca się obsada ról. Domagał się prawdy. Zirytowany, bębnił pięściami po stole w pokoju przesłuchań. Innym razem znowu próbował dać upust swojemu rozdrażnieniu, milknąc i patrząc Ruhrowi prosto w oczy. Anglik miał szare, zdeterminowane spojrzenie, które Ruhr wytrzymywał bez zmrużenia powiek. A teraz angielski policjant był ranny — taką wiadomość podano w wiadomościach telewizyjnych. Leżał w szpitalu zawiedziony, zły i zdesperowany. Gdyby wyzdrowiał, mógł być szczególnie niebezpieczny. A nie należał do osób, które na długo można przykuć do łóżka.

Ruhr wiedział, na co stać Pagana. Anglik, choć zawzięty, naj-



wyraźniej był człowiekiem przyziemnym. Dlatego Niemiec czuł nad nim swoją wyższość. To prawda, że Pagan wykazał się intuicją, która jednak zdawała się przytłumiona wobec przeczuć Ruhra. Niemiec potrafił przejrzeć ludzi na wskroś. Frank Pagan w najlepszym razie mógł mieć nadzieję, że kierując się jak ślepiec emocjonalnym brajlem, właściwie odczyta zachowanie innych osób i na tej kruchej podstawie przewidzi ich przyszłe działanie. Domysły! Ruhra nie interesowały żadne nierealne sprawy. Pokładał wiarę w pewności i ufał tylko samemu sobie.

Podniósł szklankę do ust. Nie mógł zapomnieć o dziewczynie. Nie była piękna ani nawet ładna, ale do Ruhra nie przemawiało piękno w potocznym jego rozumieniu. Pociągała go bladość dziewczyny i jej słabowitość, przywodząca na myśl kruchość szkła, które w każdej chwili może się potłuc. A potem zaślepiła go potrzeba włożenia w głąb jej łona zdeformowanej dłoni i usłyszenia łagodnego pisku rozstępującego się ciała, rozdieranej skóry i ścięgien oraz przecinanych mięśni. W takich wypadkach dziewczyny zwykle mdlały. Czasami wykrwawiały się na śmierć. Ruhrowi zdawało się wtedy, że nie miał z tym nic wspólnego, a tylko stał na uboczu, zahipnotyzowany własną potrzebą dominowania i niesienia bólu oraz zachwycony prostotą i czystością działania siły. Interesowała go anatomia kobiety, sposób funkcjonowania jej ciała oraz zawily układ macicy i kanałów rodnych. Fascynacja ta datowała się od czasu, gdy miał osiem lat i po raz pierwszy przejrzał podręcznik medycyny. Poznał wtedy na barwnej rycinie tajemnice

kobiecego wnętrza o delikatnym różowym zabarwieniu i jego najbardziej wrażliwe miejsca. Widok ten wzbudził w małym chłopcu kłopotliwe pożądanie. Ruhr nigdy nie zapomniał tego szczegółowego szkicu. Przez jakiś czas bawiła go nawet myśl o wyborze zawodu lekarza, a może nawet ginekologa, ale później, gdy wzięły górę jego niszczycielskie skłonności, pomysł stracił na atrakcyjności.

Martwił go fakt, że tak głupio dał się schwytać w Cambridge! Znadto się odprężył? A może w wieku trzydziestu siedmiu lat nie potrafił już być tak ostrożny i czujny jak dotychczas? Dlaczego nie zamknął dziewczynie ust ręką i nie uciszył jej? Czy jego zblazowanie i arogancja zaczęła graniczyć z obojętnością? A może miało to związek z ideą rywalizacji, przeciwstawienia swojej genialności cudzemu umysłowi, na przykład takiego przeciwnika, jakim był Frank Pagan? Czy człowiek ten zasługiwał jednak aż na takie względy?

Do kuchni wszedł Trevaskis.

— Jesl zimno, Ruhr. Chłopcy chcą, żebyś się zgodził na rozpalenie w kominku.

— Żadnego ognia — powiedział Ruhr. Nie lubił Trevaskisa. Pozostali mężczyźni byli zgodni, ale w Trevaskisie dostrzegł skłonność do niezależności, która mogła stać się przyczyny kłopotów. Amerykanina należało mieć na oku. — Co się stanie, jeśli ktoś zobaczy dym z komina? Równie dobrze możesz wejść na dach i wymachiwać dużą czerwoną flagą.

Trevaskis wzruszył ramionami. Nie podobał mu się sarkazm Ruhra. Na szyi zamigotał mu srebrny wizerunek świętego Krzysztofa.

— Jesteśmy w takim miejscu, że nikt niczego nie zauważy.

— Dopóki decyzja należy do mnie, nie będzie żadnego ognia, przyjacielu. Pomyśl o swojej zapłacie, a uznasz tę niedogodność za znośną.

Trevaskis dotknął medalika. Nigdy przedtem nie pracował z Ruhrem. Uważał, że Niemiec jest groźny jak odbezpieczony granat w zaciśniętej dłoni. A historia o jakichś metalowych szponach! I potem ta cholerna akcja, która kosztowała życie Australijczyka i tego drugiego chłopaka, małego Szweda o nazwisku Anderssen. Wszystko razem napawało Trevaskisa oburzeniem. Nie chciał jednak walczyć z Ruhrem. Miał dostać po wykonaniu roboty ćwierć miliona dolarów w twardej walucie, a takiej żyły złota nie wypuszcza się z ręki. Nie zamierzał też dopuścić, żeby Ruhr coś spaprał. Facet z Kuby obiecał

mu cichą premię, jeśli dopilnuje, żeby Ruhr zachowywał się przyzwoicie.

— Ty jesteś tutaj szefem — powiedział Trevaskis, a pomyślał: pieprzony fihrer.

Ruhr opróżnił szklankę i odstawił ją do zlewu. Lewą ręką dotknął zatkniętego za pas sztruksowych spodni pistoletu.

— Staraj się nie zapominać o tym, Trevaskis.

— Jest to tutaj wytatuowane. — Trevaskis postukał się palcem po głowie. Przesadnie zatrzęsł się, chuchając w dłonie i powłócząc nogami skierował się w stronę kuchennych drzwi.

— Jeszcze jedno — powiedział Ruhr. — Trzeba tu trochę posprzątać. Jeśli mężczyźni narzekają na zimno, praca prędko ich rozgrzeje.

— Wspaniały pomysł — zauważył Trevaskis.

— Jesteś tak zgodny, że z pełnym zaufaniem mogę powierzyć tobie to zadanie.

Trevaskis uśmiechnął się dziwnie.

— Możesz na mnie liczyć. Wszystko będzie lśniło jak lustro.

— Wiesz, do czego prowadzi czystość? — zapytał Ruhr.

— Słyszałem.

Ruhr nagle podniósł zniekształconą dłoń i położył ją na ramieniu Trevaskisa. Obserwował /. zadowoleniem, jak Amerykanin się wzdrygnął, ii potem próbował pokryć odruch obrzydzenia głupkowskim uśmiechem.

— Do boskości. Jeśli wierzysz w Boga — powiedział Ruhr.

Trevaskis nie poruszył się.

— Ja nie wierzę — mówił dalej Ruhr. — Weźmy na przykład tę dłoń. Jak troskliwy Bóg mógł dopuścić, żeby dziecko urodziło się z takim zniekształceniem? Dlaczego miałyby karać niewinne stworzenie? Czym zasłużyłem sobie, żeby urodzić się jako wybryk natury? Jaki grzech popełniłem w łonie matki?

Trevaskis nie odpowiedział. Powstrzymał go przed tym dotyk Ruhra. Nie mógł też odejść, by nie przyznać się do porażki.

— Kłamię — powiedział Ruhr. — Urodziłem się / pięcioma palcami. Miałem zupełnie normalną dłoń. W wieku dwunastu lat wziąłem nóż kuchenny mojej matki i odrąbałem sobie dwa środkowe palce. Pchnęło mnie do tego pragnienie zrozumienia istoty bólu. Mogłem poddać eksperymentowi tylko jednego osobnika — siebie samego.

Trevaskis przesunął się o kilka centymetrów, żeby się wydostać spod zasięgu ręki Niemca. Ale Ruhr był szybszy i położył Trevaskisowi dłoń na policzku. Był to dziwny gest. W innych okolicznościach mógłby uchodzić za przejaw czułości, ale teraz wydawał się złowróźbny. Wilgotne i chłodne ciało Ruhra dziwnie pachniało rozkładem. Trevaskis zamarł w bezruchu. Miał ochotę strzepnąć z siebie tę rękę. Stał tak blisko Niemca, że niemal słyszał bicie jego serca.

— Byłem zadziwiającym dzieckiem. Trevaskis. Fenomenem — powiedział Ruhr. — Już w wieku ośmiu lat czytałem Kanta. Ale istotniejsza od imperatywu kategorycznego wydała mi się potrzeba

odkrycia, co znajduje się pod dziewczęcą spódnicą. Stwierdziłem to, gdy miałem dziesięć lat. — Roześmiał się cicho i oschle. — W wieku jedenastu lat wiedziałem, jak się robi proch. Najpierw intelektualne rozważania, potem pogoń za doświadczeniami seksualnymi, a w końcu dążenie do niesienia zagłady. Tylko jeden fakt nie budził moich wątpliwości — skutki wybuchu bomby były szybsze od całej filozofii Kanta.

Związła przemowa Ruhra zawierała elementy prawdy. Tak jak twierdził, czytał Kanta, gdy miał osiem lat, i nauczył się robić proch w wieku lat jedenastu. Ale te wątki przeplatały się z mitami i trudno je

było od siebie oddzielić: sam już nie wiedział, czy się urodził z taką dłońią, czy by! sprawcą jej zniekształcenia. Zresztą wcale go to nie obchodziło. W rzeczywistości przeszłość była nudna, dlatego zmieniał ją. Samookaleczenie wydawało mu się o wiele bardziej intrygujące niż błąd genetyczny.

Ruhr urodził się w Monachium. Był dzieckiem prowadzących wędrowny tryb życia fundamentalistów, członków amerykańskiej sekty wyznawców Biblii z siedzibą w Baton Rouge, którzy uważali Darwina i Galileusza za uczniów szatana. Byli ludźmi raczej chłodnymi i traktowali swoje bystre dziecko jako niespodziewaną zawadę. Podróżowali po Europie tak często, że stabilizacją życiową wydawało się im wynajęcie na trzy tygodnie łąnego mieszkania. Giinther Ruhr jasno pojął, że jest zbędnym bagażem dla swoich rodziców — wyrnize- rowanych ludzi o jasnych oczach, rozbrajająco naiwnych ze swoim zapałem zaczepiania obcych w ulicznych zaułkach i wciskania im do rąk religijnych ulotek. Odnosili się do niego z lekceważeniem, a on czuł się przy nich speszony i zażenowany. Ich wiara wydawała mu się udawana: Bóg był mnóstwem filozoficznych sprzeczności. Dlaczego zaprzęтали sobie Nim głowę? Życie było o wiele prostsze bez boskości.

Zostawili go gdzieś po drodze. Albo zapomnieli go ze sobą zabrać pochłonięci religijnym fanatyzmem, albo mieli dosyć towarzystwa otwartego, inteligentnego chłopca o ateistycznych skłonnościach.

Uczęszczał do wielu szkół, a jego naturalną żywość umysłu otoczenie przyjmowało z zakłopotaniem. W jednej chwili przyswajał wszystkie abstrakcyjne pojęcia i powierzał je swojej pamięci — dobrze wyposażonemu potrzaskowi. Inni uczniowie nudzili go. Z nikim się nie przyjaźnił, uważając to za stratę czasu. Gdy miał szesnaście lat, dostał się na uniwersytet w Hamburgu. Zaczął uczęszczać na zajęcia w czasie społecznych zamieszek, gdy działacze ruchu studenckiego wznosili na ulicach barykady. Poruszony zniszczeniami, zafascynowany spowitymi gazem łzawiącym ulicami oraz codziennymi walkami z policją, Ruhr wkroczył w nie znane mu dotychczas życie. Odkrył w sobie talent do stosowania podstępów oraz skłonność do przebywania w piwnicach, gdzie zapadały decyzje o wybuchach rewolucji i upadku społeczeństw. Nareszcie poczuł się sobą.

W wieku siedemnastu lat uczestniczył w pierwszym napadzie na bank, akcji pod dowództwem studenta z ugrupowania radykałów, który został zastrzelony w czasie jej trwania. Ruhr zajął jego miejsce. W ciągu dwóch lat razem ze swoim gangiem rabował banki w całej Europie. W tym czasie zawarł różne sojusze, które później stały się podstawą jego terrorystycznej siatki.

W 1974 roku skontaktował się / nim w RFN / przedstawiciel narodu z Bliskiego Wschodu, którego prosił o wykonanie pewnej roboty. ;i konkretnie o wysadzenie w powietrze samolotu Ruhr zdziwiony wielkością zapłaty za zadanie, które wykonałby /a darmo, przyjął zlecenie.



To był jego pierwszy prawdziwy wyczyn terrorystyczny. pr/y którym napady na banki wydawały się błahostkami, działaniami bez znaczenia w skali międzynarodowej. Samolot z załogą i stu osiemnastoma pasażerami na pokładzie wyleciał w powietrze nad lei Awiwem. Ruhr przypomniał sobie fascynujące zdjęcia z yazel i telewizyjne migawki. W tamtym czasie zaczął gromadzić wycinki prasowe o swoich wyczynach. Prasa, od pewnego czasu zainteresowana terrorystycznymi poczynaniami Ruhra, odkryła jego rolę w tragedii > zaczęła dociekać, dlaczego tak mało wie na jego temat. Okazując dziwną fascynację, jaką ludzie prasy zawsze rezerwują dla osób o wysokim współczynniku inteligencji, z których umysłami stało się „coś nie tak”. dzienmk.wze stworzyli z Ruhra prototyp „szalonego geniusza” i „chorego marzyciela”, łączącego w sobie inteligencję ze skłonnościami do pr/crm>cy Wtedy po raz pierwszy Ruhr przymocował do dłoni d/iwną stalową protezę i odkrył, że radość zniszczenia oraz niezgłębiona potrzeba niesienia zagłady wykracza poza zakres wysadzania w powiel r/c samolotów.

Uśmiechnął się do Trevaskisa, opuszczając rękę

— Nie znosisz mojego dotyku, prawda?

— Wcale mi to nie przeszkadza. Ruhr. — Usta Trevaskisa były suche.

— Jesteś paskudnym kłamcą. Nikt nie lubi. gdy go dotykani Zawsze czuję to samo obrzydzenie. Ten interesujący narząd — zaczął obracać dłonią — wzbudza w innych ludziach odrazę, którą starają się pokryć współczuciem albo udają, że nie zwrócili na mego uwagi.

Głupcy. Umiem przejrzeć ich na wskroś, Trevaskis. I odczytać wszystko, co leży im na sercu.

Trevaskis skierował się do drzwi. Marzył o tym, żeby znaleźć się z dala od Ruhra. Czasami patrząc w oczy drugiego człowieka, można dostrzec coś nierozpoznawalnego, co jest jak mroczna tajemnicza woda, o której głębokości nie można nic powiedzieć- Ruhr bez względu na to, czy kłamał, czy mówił prawdę, wywoływał w Trevaskisie nieprzyjemne wrażenie, jakie sprawiają złudne lustrzane odbicia.

—A teraz posprzątaj to straszne miejsce — powiedział Ruhr.

W tym momencie w drzwiach pojawił się olbrzym Rick, pochylając głowę, żeby o nie nie zawadzić. Miał załzawione piwne oczy i zbyt

... ..—.....1» . . . . .i—, ■■■■■■ \*

\$ |

\

mule nil olbrzymiej bladej (warzy. Uosabiał wielka fizyczną si(,v  
i brak umysłu, który by nią kierował.

Kłóś jest przed domem - powiedział szeptem.

Kto? • zapytał Kulir.

Nic przyglądałem się. Zobaczyłem tylko, jak kłóś wszedł na podwórze i okrążył samochód.

Jedna osoba? Czy jest ich więcej? dopytywał się Ruhr.

- Widziałem tylko jedną— odpowiedział kick.

Ruhr szybko wyszedł z kuchni. Przeszedł przez salon do swojej sypialni, której okno wychodziło na podwórze. Uniósł na dwadzieścia centymetrów mokr;| żółtą żaluzję, ale zobaczył tylko zalanego strugami deszczu rangę rovera. Miał przeczucie, że ta cisza została przed chwilą zakłócona zjawieniem się jakiegoś intruza. Nie potrafił powiedzieć, na jakiej podstawie tak uważał, kierował się jedynie instynktem. Wyjął z pasa pistolet i wrócił tło salonu. Poruszał się z wdziękiem, szybko i ukradkiem. Na spokoju;} elegancję jego ruchów miało wpływ piętnaście lat potajemnej działalności.

Argentyńczycy przycisnęli do ramion broń automatyczną.

Trevaskis z Rickiem wyciągnęli pistolety.

—riaveil i Zapino, stańcie przy oknach, ale się nie pokazujcie — powiedział Ruhr. — Trevaskis, osłaniajcie mnie z Rickiem z kuchni.

— Wychodzisz na zewnątrz? — zapytał Trevaskis.

Ruhr nic odpowiedział. Szedł już, do kuchni. Znajdowało się lam

boczne wyjście na podwórze, w miejscu gdzie stały zniszczone klatki na drób.

—Zaczekaj — powiedział Trevaskis. — Niech wyjdzie ktoś inny. Ty powinienes zostać tutaj.

Ale Ruhr go nie słyszał. W czasie akcji był głuchy na wszystko, co nie miało z nią związku. Liczyło się tylko działanie, które wymagało całkowitej koncentracji. Delikatnie otworzył kuchenne drzwi. Zimny popołudniowy deszcz zaciął go w twarz. Uwielbiał to uczucie. Trevaskis stał z tyłu, bezskutecznie mamrocząc słowa sprzeciwu.

Ruhr rozejrzał się wokół. Krople deszczu stukały po starych klatkach. Zrobił krok na zewnątrz. Nie był już dłużej istotą rzeczywistą, a tylko scaleniem pewnych elementów. Trevaskis podziwiał to przeobrażenie, patrząc z kuchennych drzwi za Ruhrem, który przestał być zwykłym człowiekiem, zakradającym się w strugach ulewy z bronią w rękę, ale wtopił się w szarość pogody, jak gdyby deszcz osłaniał Niemca, otoczywszy go lejem wody.

Dotarł do węgła domu. Spojrzał w stronę rangę rovera. Rozmokłe błotniste podwórze było puste. Stał w bezruchu przy ścianie domu.

82

Woda spływała mu z r;/idku:h włosów na powiek i. Naiik usłyszał dźwięk, klóry różnił się od nieprzerwanego dudnienia deszczu «»)dpłós tłumionych przez nny-kk;) ziemie kroków

Była tam.

Dziewczynka w ubraniu szkolnym krótkie) czarnej spódnicy i kasztanowym żakiecie oraz długim, zarzuconym na ramię szaliku te)

samej barwy. Wybiegła z ukrycia zza samochodu, ale czarna błotnista maź krępowała jej ruchy. Zmierzała w stronę wznoszącego się za farmą wzgórza. Dla podtrzymania równowagi wyciągnęła jak tancerka ręce na boki. Ruhr pobiegł za nią Cieszył się, że za moment ja dogoni. Stawiał duże i zdecydowane kroki, pokonując bez trudu dzielącą go do niej odległość. Dziewczynie spadł beret z «łowy. Krótkie blond włosy stały się natychmiast mokre.

Chwycił ją w pasie, zanim zdołała dobiec do połowy wzniesienia Odwrócił ją twarzą do siebie. Zamrugła powiekami Deszcz zalewał jej oczy. Pod przemoczoną bluzką prześwitywał mały biały stanik Próbowała wyrwać głowę, lecz Ruhr śmiejąc się stanął za nią i zaciskając jej rękę pod brodą, zmusił, żeby z powrotem zwróciła w jego stronę swoją drobną twarz.

— Dlaczego szpiegujesz?

— To boli.

Ruhr przycisnął ją jeszcze mocniej.

— Co tutaj robisz? Dlaczego wieszysz wokół mojego domu?

— Nie... przysięgam... niech mi pan pozwoli odejść!

Ruhr wypuścił ją i dziewczyna zaczęła pocierać szyję w miejscu uścisku.

— Ledwie oddycham — powiedziała.

— Nic ci nie będzie.

— Mieszkam kilka kilometrów stąd. Chciałam powiedzieć dzień dobry i przedstawić się, ale pan najwyraźniej nie jest zbyt przyjaźnie usposobiony...

— Jeśli jesteś tak niewinna, to dlaczego uciekałaś? — zapytał Ruhr.

— Przeraziłam się. — Potrząsnęła wilgotnymi włosami.

— Dlaczego?

— Z powodu broni, którą pan trzyma w ręce — odparła dziewczyna. Odeszła kilka kroków, sięgnęła po beret, podniosła go i obróciła w palcach. Ruhr patrzył, jak krótka spódnica podciągnęła się jej na udach w górę. Ciało niewinnego dziecka pomiędzy skarpetami do kolan a brzegiem zadartej spódnicy prowokowało go. Dziewczyna była szczupła i ładna w typowy dla młodości niezdarly sposób: niepewna własnego wyglądu ani miejsca na świecie.

Ruhr zatknął broń za pas.

— Odchodzę. Nic będę już nigdy pana niepokoić, przysięgam — powiedziała dziewczyna.

— Najpierw mi powiedz, jak się nazywasz?

— Sleffie.

— Co za brzydkie imię — rzekł Ruhr.

— Wobec tego Stephanic.

— Tak lepiej. — Ruhr pomyślał, że właściwie może pozwolić jej odejść. Jutro rano i tak już go tutaj nie będzie. Spojrzał w stronę domu. Zdawało mu się, że w oknie dostrzegł cienie Argentyńczyków.

— No cóż — powiedziała dziewczyna drżącym ze zdenerwowania głosem. — Sądzę, że będzie lepiej, jeśli już sobie pójdę.

Ruhr przyjrzał się jej. W jej oczach pojawiło się zniecierpliwienie, a usta stały się bardzo napięte. Doskonale wiedział, z jakiego powodu.

— Nie mogę pozwolić ci odejść.

Cofnęła się.

— Niczego nie widziałam. Przysięgam.

Zrobił krok w jej stronę. Cofając się, pośliznęła się i upadła. Leżała w błocie, a zarzucona powyżej talii spódnica odsłaniała białą bieliznę.

Dziewczyna podciągnęła nogi i uklękła. Stał nad nią.

— Wiesz, kim jestem, prawda?

Pokręciła przecząco głową, próbując się podnieść i znowu się pośliznęła.

— Proszę. Nie puszczę pary z ust. Obiecuję — powiedziała.

— Widziałaś moje zdjęcia w gazetach. Oraz to — podniósł prawą dłoń.

Po policzkach spływały jej łzy.

— Chcę tylko wrócić do domu.

— Wszyscy tego chcemy, Steffie.

Chwycił ją za ramiona, postawił na nogi i sprowadził ze wzgórza, kierując ją w stronę domu. Nie przestawała płakać, więc lekko uderzył ją w twarz. Załkała cicho, jak gdyby coś wewnątrz niej zaczynało się łamać. Wepchnął ją do środka, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

— Cóż to jest, u diabła? — zapytał Trevaskis.

— Mała perełka — odparł Ruhr.

— Czy to nie zaskakujące, co może znaleźć człowiek w ponurej skądinąd angielskiej okolicy?

Na szczycie wzgórza, pod gołymi przemokniętymi drzewami, zarżała klacz dziewczyny. Wiatr i deszcz zatarły ten dźwięk.

Nikt go na farmie nie usłyszał.

I ondyn

Martin Burr lękał się wizyt w gabinecie ministra spraw wewnętrznych. Był to rozległy pokój, wyłożony dębową boazerią i zawieszony wyblakłymi olejnymi portretami byłych polityków. Wnikliwa analiza obrazów sprawiała, że komisarz czuł się jak pozwany na ławie oskarżonych historii, sądzony przez srogie oblicza przerażającego sądu przysięgłych — pierwszego księcia Chatamu, Gladstona, Lorda Actona i sir Roberta Peela. Ich twarze wyrażały



dezaprobatę, jak gdyby zostały nagle wyrwane z długiego, zasłużonego snu. Martin Burr rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu czegoś mniej okazałego i znalazł to w mrocznym kącie — małego kanarka w klatce z mosiądzu. Niewielki ptaszek trząsał się żałościwie.

Burr odwrócił się, gdy drzwi się otworzyły i wszedł minister.

—Przepraszam, że musiałeś czekać, Martin — powiedział.

Rzucił na swoje olbrzymie biurko kilka teczek, poszperał w szufladzie i wyjął z niej zakraplacz wypełniony przezroczystym płynem. Podeszedł do klatki, wsunął kropłomierz pomiędzy kraty i wpuścił kilka kropli do naczynia z pokarmem kanarka.

—Ptak złapał jakąś infekcję. To lekarstwo ma mu pomóc. Jego stan jest krytyczny. Nie tracimy jednak nadziei. — Minister spraw wewnętrznych zastukał w klatkę, przysuwając do niej twarz i szepcząc do kanarka. — Prawda, Charlie? Nie tracimy nadziei?

Wrócił do biurka i usiadł.

—A teraz do rzeczy. Co nowego w sprawie tego cholernego Ruhra. W jakim dokładnie jesteśmy miejscu?

Burr obawiał się dymisji. Spojrzał przez okno. Nisko nad Tamizą rozpościerało się ciężkie niebo.

—Wciąż nie tam, gdzie życzyłbym sobie, panie ministrze — powiedział. — Poszukiwania trwają. Obserwowane są porty. Lotniska. Koleje. Cały publiczny transport. Wszędzie rozlepiono zdjęcia Ruhra. W biurze Franka Pagana bada się powiązania wszystkich znanych terrorystów.

—Pagana? Czy on nie powinien przebywać w szpitalu?

— To uparty drań — powiedział Burr. — Ten cholerny Pagan. —  
Wyszedł stamtąd wczoraj na własną prośbę.

Minister spraw wewnętrznych popatrzył w kierunku okna. Przez chwilę rozważał tę informację, a potem zwrócił twarz w stronę Burra.

— Co nowego w sprawie przecieku, Martin?

Martinowi Burrowi wydawało się, że sir Robert Peel zmarszczył brwi. Komisarz spojrzał w górę na portret człowieka, który w 1829 roku utworzył londyńską policję, ale zaraz odwrócił wzrok.

— Wprowadziłem znaczne ograniczenia w liczbie osób, które mają dostęp do dokumentów związanych ze śledztwem w sprawie

Ruhra. Notatki służbowe i tajne raporty nie krążą zwykłą drogą. Pagan zastosował wewnątrz wydziału dodatkowe środki ostrożności — ograniczył dostęp do danych komputerowych i zakodował połączenia telefoniczne. W przyszłości będziemy porozumiewać się ze sobą osobiście albo korzystając z pewnych telefonów bez pośrednictwa osób trzecich.

— Nie wpadliście jeszcze na trop winnego?

— Nie, ale nie to jest teraz najważniejsze, panie ministrze. Szkoda została już wyrządzona. Skupiamy się wyłącznie na Ruhrze. Gdy go schwytamy, poświęcimy uwagę naszym wewnętrznym niedociągnięciom.

Minister przez chwilę milczał.

— To brzmi sensownie, Martin — rzekł w końcu.

Nieoczekiwany wyraz aprobaty zdziwił Burra. Zanurzył swoją łaskę z orzecha włoskiego w perskim dywanie ministra. Przyszedł tutaj spodziewając się własnej egzekucji albo w najlepszym razie ostrej reprymendy. Minister nie słynął z łagodnego serca. Było wiadome, że komplement z jego ust wywoływał wielotygodniowe zawroty głowy. A może pochwała ministra miała tylko złagodzić nieuchronny cios? Burr zebrał się w sobie.

— Czy jest nam znany jakikolwiek powód obecności na naszym terenie Ruhra? — zapytał minister.

Martin Burr zaprzeczył ruchem głowy.

— Mamy tylko listę możliwości, która staje się coraz dłuższa.

—Możliwości czy domysłów, Martin?

—Domysłów — odparł Burr.

Minister milczał przez chwilę.

—Gdy ginie sześciu policjantów, a okrucieństwo przybiera tak wielkie rozmiary, zwykłym odruchem społeczeństwa jest szukanie winnego. Na ciebie spadnie wina, Martin, to jasne. Komisarz Scotland Yardu, człowiek odpowiedzialny za transport Ruhra, oficer kierujący akcją i tak dalej, i tak dalej. Masy zwykle rozkoszują się widokiem krwi pracowników państwowych, którzy popełnili błąd, i nie będą nieszczęśliwe z powodu ich zawodowej egzekucji.

Burr westchnął i pokiwał głową. Zawodowa egzekucja: widział siebie, jak zostaje wyrzucony z biura i spędza długie lata jako emeryt w swojej wiejskiej posiadłości w Sussex. Stary i zgarbiony szwenda się po ogrodzie, chociaż kwiaty i owoce w najmniejszym stopniu go nie interesują, ale ich pielęgnacja jest jedynym zajęciem człowieka, który ma przed sobą już tylko grób.

—Co komu po koźle ofiarnym? — zdziwił się minister. — Twoje świadectwa pracy są znakomite. Martin. Mówię uczciwie, jestem po twojej stronie. W każdej chwili powiem to publicznie.

Martin natychmiast się rozpogodził, zaskoczony.

—W pełni to doceniam.

—Zaliczam się do twoich wiernych popleczników. Martin. Jestem pewien, że we właściwym czasie komisja śledcza oczyści cię z zarzutów.

Burr poczuł gwałtowny przyływ wdzięczności. Nie wiedział, co

powiedzieć. Potrząsnął wyciągniętą ponad biurkiem dłonią ministra. To był energiczny uścisk dwóch ludzi, którzy mieli obowiązek dopilnować, aby prawa ich narodu były szanowane i przestrzegane.

— Wracaj do pracy ze spokojną głową, Martin — powiedział minister. — Nie chcę, żeby krytyka twojej osoby powstrzymywała cię przed działaniem. Nie życzę sobie, żebyś się trapił komisją dochodzeniową. Pamiętaj o tym. Masz we mnie sprzymierzeńca.

— Jestem bardzo wdzięczny, panie ministrze.

— Nie musisz. Gdybyś był niekompetentnym bufonem, wyrzuciłbym cię z pracy bez zmruczenia oka. Ale nie jesteś. Twoje akta mówią same za siebie.

Burr podniósł się z krzesła. Miał wrażenie, że zdjęto mu z ramion ciężar i natychmiast poczuł się rześki. Nawet portrety wydały mu się mniej bezkompromisowe, jak gdyby zdał jakiś test i egzaminatorzy byli, przynajmniej w tym momencie, z niego zadowoleni.

Kanarek dzielnie zakwilił. Minister spraw' wewnętrznych podszedł do klatki.

— Pierwszy odgłos, jaki ptak wydał od wielu dni. Może to dobry omen. — Przeciągnął paznokciem po kracie jak po harfie, wywołując tępy dźwięk. — Informuj mnie codziennie, Martin. To wszystko, o co proszę. A także wtedy, gdy pojawi się coś nowego.

— Oczywiście, sir Fredericku.

Minister uśmiechnął się. Uśmiech często gościł na jego twarzy, gdyż był człowiekiem, który — choć urodzony w bogactwie — szczylił się tym, że utrzymuje więź ze społeczeństwem. Z tego

powodu prasa nie nazywała go nigdy sir Frederickiem. lecz zdrobniale sir Freddiem.

Odprowadził Martina Burra do drzwi.

— Życzę szczęścia, komisarzu.

— Jest nam ono bardzo potrzebne — rzekł Burr.

Wciąż uśmiechając się, sir Freddie Kinnaird poklepał Martina Burra po plecach i zamknął za nim drzwi.

.-■\* =-\*W -i-, \*: . ' \* '

J&łTK.

>- .9 'v - \$ \*

^ -V »V/ ■

Rozdział VII

«

,n -

London

Po południu pierwszego dnia wolności Frank Pagan zdobył pomoc różnych wydziałów. Ściągnięto ludzi do pracy na dodatkową zmianę. Niektórych odwołano z emerytury i wysłano na ulice. Pomimo sarkau byli zadowoleni, że znów są potrzebni. Oficerowie wyruszyli do dziesiątków różnych miejsc — do Eagling i Wembley, Poole i Ramsgate, które figurowały na komputerowej liście. Niewdzięczne przedsięwzięcie, ale co innego pozostawało? Zlekceważenie dwudziestu dziewięciu nazwisk? Nie. Pagan zamierzał zbadać je wszystkie. Przynajmniej potem będzie mógł pocieszać się myślą, że nie lekceważył żadnej możliwości. Trzej jego oficerowie sprawdzali na krajowych prywatnych lotniskach, czy helikopter, który uczestniczył w akcji na Shepherd's Bush, nie pochodził z żadnego z nich — był to kolejny strzał w ciemno.

Około czwartej Pagan wysłał dwóch pracowników do Cambridge, żeby razem z okręgowym komisarzem policji przeanalizowali znajdujące się w tamtym rejonie potencjalne cele Ruhra. Pięciu innym polecił spotkać się z oficerami służb bezpieczeństwa w bazach wojs-

kowych na terenie całej wschodniej Anglii, od Colchesteru na południu, po Hunstanton na północy, która obejmowała obszar szerokości stu trzydziestu kilometrów i długości dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów. Była to kraina dróg wodnych, bogato pokrytych liśćmi alei i starych kościołów. W odległych wioskach wciąż można było spotkać drewniane domy. Pośród tego nizinnego i zielonego krajobrazu odrzutowce sił powietrznych przekraczały barierę dźwięku, zostawiając za sobą smugę na niebie.

Na Golden Square dwaj oficerowie przez cały czas odbierali telefony od ludzi, którzy twierdzili, że widzieli Ruhra. Pochodziły z każdego zakątka Anglii. "Szpony" zauważył samotny mężczyzna w Hull, młody pijak w Plymouth, bardzo szanowna dama w Sevenoaks i osiemdziesięcioletni starzec w Radlet. Terrorysta przebywał też w Westminster Bridge oraz w restauracji Wtdka Parada w Eastbourne, gdzie go widział krótkowzroczny kelner, który nie mógł wybaczyć Niemcom, że poniżyły Francję na Linii Maginota. Okazało się, że Ruhra można było spotkać wszędzie, jak żywopłoty, a jego ruchy były równie zawile, jak pnąca owych zielonych parkanów.

Pomimo tego że oficerowie rozbiegli się do wyznaczonych miejsc i sprawa była energicznie prowadzona. Paganowi nie dawało spokoju wrażenie, że przeoczył coś bardzo prostego. To był smak w uszach, którego nie umiał nazwać, albo słowo, które miał na końcu języka. Za dużo pethidiny i za mało snu na ohydnej leżance w biurze. C/uł jednak, że oszołomiony umysł tylko powierzchownie zajmuje się sprawą Ruhra. A brak zdolności przewidywania tak naprawdę nie ma



nic wspólnego z niewyspaniem ani bólem. Spójrz prawdzie w oczy, Frank, powiedział mu surowy wewnętrzny głos, zbiło cię z nóg ostatnie nazwisko na tej przeklętej liście.

Dwadzieścia dziewięć nazwisk. Nie opuszczało go uczucie niepokoju, gdy obserwował zapadający zmierzch nad Golden Square.

Żałował, że nie może uciec od przeszłości i zamknąć jej w pudełku z etykietką zapomnienia. Zakradała się jak intruz i rzucała cień na ciszę. Pomyślał, że może Foxworth nie zdoła ustalić miejsca pobytu tej osoby. Przyjąłby to z ulgą, ale jego ciekawość i tak została już pobudzona. Czasami człowiek jest bezsilny wobec potrzeby pójścia tropem własnej historii i nie licząc się z kosztami, odwiedza stare strony. Lekkomysłne serce, pomyślał Pagan. Człowiek bezwolnie idzie za jego głosem, nie bacząc na czerwone światła, które zakazują przekraczania pewnych stref pamięci.

Do pokoju wszedł Foxworth, szelmowsko pogwizdując,

— Czy nikt ci nie powiedział, że przypominasz Quasimodo? — zapytał Franka.

— Nie przypominam sobie. — Pagan pokręcił głową.

— Nosisz się jak Charlie Laughton, Frank. Przydałby ci się jeszcze solidny garb.

— Tak mi wygodnie — Pagan przerzucił cały ciężar na lewą stronę ciała. Prawa ręka zwisała bezwładnie, a prawe ramię było nieco uniesione w górę. Nie wyglądał pięknie, ale poczuł się nieco lepiej.

— Dam ci dzwonek na Boże Narodzenie.

— Wezmę go dla Ruhra.

Foxworth przestał gwizdać. Wyciągnął notes i przerzucił kartki. Wydarł jedną z nich i położył na biurku Pagana.

— Znalazłem osobę, która cię interesuje. Wcale to nie było łatwe.

Owa dni temu owa dama zameldowała się w hotelu Victoria, a potem prędko uregulowała rachunek i wyprowadziła się stamtąd bez żadnych wyjaśnień. Przedwczoraj przeniosła się do innego hotelu w kinghths- bridge. I zrobiła to samo. Zapłaciła rachunek, anircdrci i przeprowadziła się pod ten adres. Dziwne zachowanie. Niektórzy mogliby je nawet uznać za podejrzane.

— Niektórzy mogliby. — Pagan spojrział na świstek papieru, a potem wsunął go do kieszeni.

— Będzie ci potrzebny kierowca — powiedział Foxie, a pomyślał, że Frankowi najbardziej przydałaby się pielęgniarka i trzy tygodnie w cichym pokoju z widokiem na ocean.

— Równie dobrze możesz nim być ty, Foxie.

— Miałem nadzieję, że to powiesz.

Pagan nie odzywał się i siedział zdenerwowany w samochodzie, gdy Foxworth jechał Piccadilly, a potem zatłoczonymi ulicami Mayfair, Późne popołudnie ustępowało wieczorowi. Słabe słoneczne światło przebijało się przez szaroniebieskie niebo, ścieląc się bursztynową smugą na Berkeley Square. W oddali pojawił się Park Lane, a za nim Hyde Park, gdzie pomiędzy drzewami zapadł już zmierzch. Pagan założył ręce na kolanach. Miał spierzchnięte usta. Ta wizyta nie była rozsądnym krokiem w jego życiu. Mógł ją zlecić komuś innemu, na przykład Foxiemu. Ale nie potrafił odrzucić tej szansy. Miałby później z żalu walić głową o mur?

Zobaczyli przed sobą monolityczne hotele Park Lane. wielkie

szklane i betonowe bloki z widokiem na Hyde Park. Foxie zaparkował samochód przed jednym z nich i ruszył za Paganem, który zniknął za oszklonymi drzwiami, zapytał w recepcji o numer pokoju, a potem powłócząc nogami po puszystym dywanie, skierował się w stronę wind.

— Dalej chcesz pójść sam. Nie myślę się, prawda? — zapytał Foxworth.

— Tak, masz rację — odpowiedział Pagan.

Czasami twarz Foxwortha przybierała dziecinny wyraz — nie znosił, gdy coś przed nim ukrywano. Ubiegłej nocy zastanowiła go reakcja Pagana, a teraz, gdy był jeszcze bardziej zaintrygowany jego zachowaniem, nie został dopuszczony do sekretu. Cholerny Frank, pomyślał. Tajemniczy drań!

— Zaczekaj na mnie w barze. To nie potrwa długo — powiedział Pagan.

— Jestem zawiedziony, Frank.

— Należy ci się chwila wytchnienia. Foxie. — Pagan wszedł do windy i nacisnął guzik dwunastego piętra. A gdy znalazł się na górze, na pustym i niesamowicie cichym korytarzu, miał ochotę zawrócić. Wyludnione hotelowe korytarze działały mu na nerwy.

Jak dawno to było? Dwanaście lat temu? Trzydzieści? Po co budzić tak długo uspione wspomnienia? Najpierw były jak wypalony węgiel, który minione lata poddały dalszej rafinacji, aż nie zostało nic oprócz popiołu. Jeśli było tylko tyle. Dlaczego tutaj przyszedł?

Znalazł pokój 1209 i zapukał do drzwi. Po chwili uchyliły się na

kilka centymetrów. Szparę wypełniała ciemność i w pierwszej chwili dostrzegł tylko oczy — jednak to mu wystarczyło. Były łatwe do rozpoznania, ciemniejsze, niż pamiętał, smutne i zamyślane, głębokie i urocze. Wydały mu się równie pociągające jak trzynaście lat temu. Uśmiechnął się niepewnie. Był zdenerwowany i ścisnęło go w żołądku.

— Frank? — Głos też był ten sam. Może tylko o pół tonu niższy i bardziej gardłowy. Głos ryzykownych żartów i śmiechu w barze tuż przed jego zamknięciem.

Dosięgnęło go widmo przeszłości. Miał nieprzewyciężone pragnienie, żeby wyciągnąć rękę i ją poczuć. Nie myślał o niewinnym kontakcie palców z jej policzkiem — geście zwykłej czułości, ale o prawdziwie intymnym dotyku — o swoich palcach na jej sutkach, brzuchu i pomiędzy nogami. Zawsze działała na niego w ten sam sposób i najwyraźniej czas tego nie zmienił. Odkrycie wciąż drzemiącej we krwi dawnej pasji zafascynowało go.

Rozpamiętywanie miłości było najbardziej dręczące ze wszystkich zajęć — rozmyślanie o tym, co się mogło zdarzyć, o żalach, nie spełnionych nadziejach i smutkach.

— Frank Pagan. Nie mogę w to uwierzyć.

— Czy mogę wejść? — zapytał.

Moment wahania.

— Czy zdołałabym cię powstrzymać, nawet gdybym chciała?

Zaprzeczył ruchem głowy. Był taki czas, pomyślał, kiedy zrobiłbym

dla ciebie wszystko. Rozsądek, dobro, zło — te pojęcia dla człowieka oślepionego miłością traciły swoje znaczenie. Postąpił kilka kroków do przodu. Kotary były zasunięte, a odbiornik telewizyjny włączony bez głosu. W powietrzu unosił się zapach dymu z papierosów i perfum. To było coś nowego — kiedyś nie paliła.

Miała na sobie szlafrok z zielonego jedwabiu, przewiązany poniżej pasa i kusząco opięty na biodrach. Niewiele kobiet potrafiło nosić garderobę tak jak ona i nadawać jej własną osobowość. Była elegancka, trochę niedbała i tajemnicza. Zawsze wyglądała tak, jak gdyby za chwilę miała się rozebrać, a ubiór krępował jej naturalną potrzebę

chodzenia nago. Wydawała się prze/, lo nieobliczalna. Pagan — miał wtedy dwadzieścia osiem lat — pod wpływem namiętności do tej kobiety znalazł się na krawędzi szaleństwa. Poznał, czym jest gryząca zazdrość i przerażające uczucie niepewności. Kochając Magdaleny żył w strachu, że ją straci, ale było to wspaniałe życie. Za sprawi) Magdaleny miał napięte wszystkie nerwy, a melodia krwi nigdy nie milkła, przybierając nie znane mu tony. Ta kobieta wciąż zadziwiała młodego Pagana, przeobrażając się z syreny w dziwkę, z kochanki w przyjaciela.

— Skąd wiedziałeś, że jestem w Londynie? — zapytała.

— Twoje nazwisko figuruje na liście. W dzisiejszych czasach wszystkiego można się dowiedzieć 7. komputerów — odpowiedział.

— Na liście? Zabrzmiało to bardzo ponuro. Rozumiem, że nie przyszedłeś tutaj z towarzyską wizytą? — Usiadła na nie zasłanym łóżku i spojrzała przed siebie, omijając go wzrokiem. Drzwi do łazienki były zamknięte. Pomiedzy nimi a podłogą jarzył się pas światła.

— Niezupełnie — powiedział Pagan. Miał ochotę podejść do niej, ale zatrzymał się w odległości półtora metra od łóżka, świadomy żenującego uczucia, jakie budziło w nim wciąż żywe wspomnienie ich dawnej bliskości.

Przeczesała ręką swoje cudownie gęste włosy.

— Jak dawno to było?

— Mniej więcej trzynaście lat temu.

— O Boże. Byłam wtedy dzieckiem.

— Miałaś dwadzieścia sześć lat.

— I na dodatek naiwnym.

— Oboje byliśmy naiwni.

— Tak, czy nie przeżyliśmy jednak wspaniałych chwil? —

Uśmiechnęła się, sięgnęła do nocnej lampy i zapaliła ją. W strumieniu światła dostrzegł małe linie pod oczami i w kącikach ust. Ale te nieznaczące ślady czasu niczego jej nie pozbawiły. Wręcz przeciwnie, nadały jej twarzy głębszy wyraz i złagodziły piękno, które kiedyś było zbyt doskonałe. Miała ten rodzaj urody, która przyciągała oczy wszystkich.

Ta kobieta przeobraziła trzynaście lat temu świat Franka Pagana. Filizanki herbaty w łóżku, herbatniki i radośnie świszczące płomienie gazowych zapalniczek. Magdalena Torrente, stworzenie z innego świata, zjawiała się jak tropikalna burza, niweczając swoim ogniem anglosaski chłód Pagana. Frank stracił nad sobą władzę.

— Myślałem często o tobie — powiedział. Uderzyła go banalność języka spotkań po latach, który ze względu na ubogi zasób słów przypominał sposób wyrażania kondolencji.

— Podobnie\* jak ja o tobie — powiedziała.

— Wyglądasz cudownie.

— Mam włosy w nieładzie i nie jestem umalowana.

— Makijaż nigdy nie był ci potrzebny.

— Wciąż potrafisz być czarujący. 1-rank.

Pagan poczuł ból w żebrach. Musiał usiąść.



— Nie wyglądasz zdrowo — powiedziała.

Opowiedział jej w kilku słowach o Ruhrze i strzelaninie. Usiadł w fotelu i połknął tabletkę przeciwbólową.

— Ból bardzo ci dokucza?

— Powraca i odchodzi. Ale częściej powraca.

— Biedny Frank — powiedziała.

Współczucie w jej głosie sprawiło mu przyjemność. Przez moment pragnął, żeby wstała, pokonała dzielącą ich przestrzeń, objęła go i utuliła jak dziecko. Ale po chwili był zadowolony, że go nie dotknęła, gdyż jego słabość do Magdaleny polegała na tym, że nigdy nic miał jej dość. A ona broniła się przed całkowitym oddaniem. Jej namiętność była szczerą i silną, zawsze jednak czuł, że zachowuje pewien dystans, którego nie potrafił pokonać pomimo łączącej ich intymności.

— Paskudnie się zachowywałem w tamtych czasach, prawda? — zapytał.

— Nie pamiętam tego, Frank.

— Byłaś dla mnie zawsze nieodgadniona. Nigdy nie wiedziałem, jak mam się przy tobie zachowywać. Chciałem cię mieć na własność.

— A ja grałam na tobie jak na gitarze — powiedziała cicho. — Zręcznie tobą kierowałam. Byłam egocentrycznym potworem.

— Ja nie byłem wcale lepszy. Pamiętam dzień, kiedy byliśmy w restauracji w Soho. Wydawało mi się, że flirtujesz z kelnerem i nie mogłem tego znieść.

— Nie odzywałeś się wtedy do mnie przez cały wieczór. Siedziałeś

zagniewany. Przypominam sobie, jak pod stołem wsunęłam stopę pomiędzy twoje nogi, a ty nawet nie mrugnąłeś okiem.

Pagan uśmiechnął się. Wspomnienia przepływały jak woda pod mostem. Ich bieg nie był wartki. Snuły się niemrawo, zostawiając mu czas na przyjrzenie się własnemu odbiciu.

— Nigdy przedtem nie przeżyłem takiej zazdrości. Nie byłem w stanie jasno myśleć — powiedział.

— Czułam się bardzo ważna, Frank. Miałam władzę nad młodym i porywczym policjantem! — Wstała i swoimi delikatnymi dłońmi wygładziła z przodu jedwabny zielony szlafrok. Potrafiła każdej najprostszej czynności, zwykłemu zapaleniu zapałki nadać erotyczną

wymowę. Umiała nakładać cień na powieki w sposób, który mógł się równać z najwyższej klasy striptizem. Była teatrem, a Pagan gorliwym widzem.

— Na jak długo przyjechałaś? — zapytał.

— Jutro wyjeżdżam.

Pagan był ciekaw, dlaczego Magdalena była w szlafroku o tej porze, ale nie zapytał o to.

— Czy zgodzisz się zjeść ze mną kolację?

— Dziękuję, ale mam spotkanie, którego nie mogę odwołać. Gdyby nie to, chętnie skorzystałabym z twojego zaproszenia.

— W takim razie może jutro?

— Nie mogę, Frank. Przykro mi.

— Dlaczego wciąż jestem o ciebie zazdrosny?

— Ponieważ jesteś szalonym romantykiem.

— Nie jestem pewien, czy to określenie mi się podoba.

— Na zawsze pozostaniesz romantykiem, Frank. I zawsze będziesz zajmował szczególne miejsce w moich wspomnieniach.

Paganowi zrobiło się smutno. Stwierdzenie Magdaleny zabrzmiało tak, jak gdyby istniał w jej myślach jako skamieniałość i miał spocząć w muzeum obok jej byłych zabalsamowanych kochanków. Był przekonany, że nie jest już w stanie pokochać nikogo tak, jak kochał tę kobietę. Burzliwy romans z nią stał się niemal przyczyną jego samozagłady, był fizycznym wstrząsem, jedynym, jaki przeżył w życiu. Magdalena przywiodła go do granic jego własnych

możliwości, wypchnęła poza nie

i zmusiła do wzbicia się ponad bariery własnej powściągliwości.

— Trzydzieści lat — pokręcił głową, jak gdyby dziwił go upływ czasu.

— Nie mogę oprzeć się zdziwieniu, że znowu cię widzę. Oraz domysłem.

— Domysłem?

— Nie przyszedłeś tu po to, żeby snuć wspomnienia. Sam powiedziałeś, że nie składasz towarzyskiej wizyty.

Pagan milczał. Zastanawiał się, czego właściwie oczekiwał. Ożywienia dawnych uniesień, a może nawet odnowienia romansu? To było nierealne. Czas nie stał w miejscu. Ludzie układali sobie życie na nowo. I mieli innych kochanków.

— Komputer wyrzucił twoje nazwisko — powiedział. Jezu, nie chciał o tym rozmawiać.

— Czy to znaczy, że zostałam zidentyfikowana jako oszustka? — Nakryła ręką otwarte usta, żartobliwie udając przerażenie.

— To zależy od tego, po co przyjechałaś do Londynu. Zeszłym razem usiłowałaś kupić broń.

— Nie przypominaj mi o tym. Byłam wtedy naiwna. — Roześmiała się.

— Wystarczająco, żeby szukać karabinów na czarnym rynku. I dać się aresztować.

— Nawet nie marzyłam, że zostanę zatrzymana przez tak miłego oficera jak ty.

— Czy wciąż walczysz o tę samą sprawę? I próbujesz kupić broń?

— Spójrz na mnie, Frank. Jestem dojrzałą trzydziestodziewięcioletnią kobietą. Karabiny w rękach kilku kubańskich ekstremistów nie są rozwiązaniem. Zmieniłam orientację.

Pagan przez chwilę wpatrywał się w odbiornik telewizyjny. Jakiś człowiek czytał niemo wiadomości wieczorne.

— Jaką przyjęłaś teraz orientację, Magdaleno?

— Wciąż jestem za obaleniem Castra. To nie uległo /mianie. Wiem jednak, że to musi nadejść z samej Kuby przy minimalnym użyciu siły. Nie wiem, Frank, czy to cię zainteresuje, ale są tacy ludzie na wyspie, którzy wierzą, że zdołają wprowadzić tam demokrację. Zaliczam się do ich zwolenników.

— W jaki sposób zamierzają tego dokonać? — zapytał Pagan.

— A jak myślisz?

— Zamach stanu?

Nie odpowiedziała.

— Bezkrwawy? — dopytywał się Frank.

— Nie umiem przepowiadać przyszłości.

— W jaki sposób można to przeprowadzić bez przelewu krwi? Co dokładnie oznacza “minimalna siła”? Jaką stosujesz miarę dla jej określenia?

Magdalena Torrente milczała.

— Czy wierzysz, że taki przewrót w ogóle jest możliwy?

Nie odpowiedziała wprost.

— Na Kubie rozwija się demokratyczne podziemie. Ludzie są znużeni tym, że pozbawiono ich praw. Komunizm stoi wobec

wielkiego problemu społecznego. Chociaż zdaje się przemawiać za interesami porządných ludzi, zrzesza setki zbirów, którzy nie potrafią odróżnić Karola Marksa od Harpa. Gdy tylko pojawia się jakaś nowa trudność, a każdy dzień przynosi ich dziesiątki, uważają, że jedynym wyjściem jest reglamentacja. Nie ma butów? Nie ma jedzenia dla dzieci? Brak wody pitnej? Nie ma ryb? To tylko zwykłe niedogodności en route do doskonałego systemu, który nadchodzi. A na razie jest nam przykro, że musimy was miażdżyć na proch. Pagan przypomniał sobie, jak zabrał Magdalenę Torrente do

aresztu, gdy w 1977 roku została zatrzymana w mieszkaniu handlarza broni na Baker Street. Frank należał wtedy do zespołu, który tygodniami obserwował to miejsce, przesłuchując nagranie rozmów telefonicznych i czekając na odpowiedni moment, żeby uderzyć na pośrednika — Belga, działającego pod pretekstem handlu dziełami sztuki flamandzkiej z dziewiętnastego wieku. W chwili obławy Magdalena targowała się z nim o cenę stu strzelb przeznaczonych dla grup rebeliantów z Escambray, przeciwników reżimu Castra. Broń miała zostać wysłana na Kubę przez działaczy z Florydy, którzy weszli w kolizję z FBI i dlatego musieli kupować ją za granicą. W tym celu Magdalena została wysłana z olbrzymią gotówką do Londynu.

W czasie aresztowania pieniądze te zostały skonfiskowane. Sędzia, dla którego komunizm był pojęciem bliskim rozbojowi albo ukąszeniu grzechotnika, a demokrację uważał za cenny dar Imperium Brytyjskiego dla całej planety, udzielił Magdalenie reprimendy jak srogi wujaszek, ale nie zgodził się na jej uwięzienie ani deportowanie. Młodzieńcze zamiłowanie wolności “skierowało ją na niewłaściwą drogę” — brzmiało ładnie sformułowane orzeczenie sądu. Bez wątpienia poczciwy sędzia zakochał się w pięknej i młodej Amerykance pochodzenia kubańskiego, która znalazła się na ławie oskarżonych.

Po jej uniewinnieniu Frank Pagan, lekceważąc protokół i zdrowy rozsądek, spędził z nią dziesięć dni i nocy. Zdawał sobie sprawę, że bratanie się z własnym więźniem, nawet jeśli został uniewinniony, nie

wpływie na błyskotliwy rozwój jego kariery. Ale Magdalena działała na niego tak, że nie chciał widzieć konsekwencji swojego kroku.

— Co cię do nas przywiodło tym razem, Magdaleno?

— Jestem turystką.

— Bardzo ruchliwą. Mam na myśli hotele.

Spojrzała na niego. Umiała patrzeć wzrokiem pozbawionym jakiegokolwiek ekspresji. Jej oczy wyglądały jak dwa głązy, a maska jej twarzy mogła wtedy przerazić.

— Szpiegowałeś mnie?

— Nie. Przeprowadzałaś się tak często, że mieliśmy kłopoty z ustaleniem miejsca twojego pobytu.

— Jestem kobietą, którą trudno zadowolić. Hotel musi być wygodny.

— Spójrz na to z punktu widzenia policji. Przypuśćmy, że masz jakieś nieczne zamiary i chcesz utrudnić śledzenie. Stosujesz wtedy środki ostrożności i zmieniasz miejsca zamieszkania.

— Myśl sobie, co chcesz. Dwa poprzednie hotele nie podobały mi się. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Nie rozumiem, do czego zmierzasz. Byłam w Paryżu, a przedtem w Londynie. A jeszcze wcześniej w Rzymie. Wiesz, jak my, Amerykanie, potrafimy być pobieżni. Sześć godzin w Barcelonie wystarczy, żebyśmy zdążyli tam wszystko zobaczyć. Teraz przyszła kolej na Londyn. Trzy sklepy z antykami, Harrod's, odprawa warty i już mnie nie ma.

Paganowi, który był zamroczony działaniem środków znieczulających, przez moment wydawało się, że zobaczył drganie snopu światła



pod drzwiami łazienki. Przetarł oczy i spojrział w inną stronę.

— Masz więcej pytań, czy to wszystko, co chciałeś wiedzieć?

Dostrzegł w jej głosie szpilkę lodu, wyraźną oziębłość.

— Jak już mówiłem, twoje nazwisko musiało zostać sprawdzone.

Nie było specjalnie wybierane. Znalazło się obok szeregu innych nazwisk.

— Czy to ma coś wspólnego z tym Niemcem?

— Tak.

— Chyba ani na moment nie przyszło ci do głowy, że mogłabym mieć związek z kimś takim?

— Oczywiście, że nie.

— A jednak musiałeś zobaczyć się ze mną.

— Tak, to prawda. Przyjechałaś sama?

— Oczywiście. Często sama podróżuję. Osiągnęłam wiek, kiedy człowiek troszczy się głównie o własne przyzwyczajenia. Lubię samotność.

Coś niepokoilo Pagana. Jakiś element był nie na miejscu. Równowaga wydawała mu się zachwiana. Nie potrafił wyobrazić sobie, żeby osoba tak towarzyska jak Magdalena podróżowała samotnie.

— Nieraz myślałem, co by się stało, gdybyś trzynaście lat temu nie wróciła do Ameryki — powiedział.

— Czy naprawdę sądzisz, że mieliśmy jakąś szansę, Frank?

I uważasz, że do dzisiaj bylibyśmy razem?

— Trudne pytanie. — Przypomniał sobie wspólne wycieczki po rzece do Richmond, przechadzki po Kew Gardens i spacerzy za rękę

wokół stawu w londyńskim Hyde Parku. Bistra w Chelsea, sklepy z antykami na Fulham Road i Petticoat Lane. Mecz krykieta przy Oval, na który ją zabrał i na którym zasnęła. Turystów i kochanków w błyszczącym od świateł cudownym Londynie.

—I nie ma na nie odpowiedzi. Ty jesteś angielskim policjantem, a ja kubańską zwolenniczką demokracji, która musiała opuścić swój kraj i mieszka na Florydzie. Wiele nas dzieli.

Pagan rozejrzał się po pokoju. Nie miał zamiaru odchodzić. Cholerne podziały, pomyślał. Dlaczego nie poprosiła, żeby został chwilę dłużej?

Nagle zdał sobie sprawę, że zna odpowiedź na to pytanie, że znał ją

już od kilku minut, lecz nie chciał się przyznać do tego sam przed sobą. Światło pod drzwiami łazienki migotało chwilami jak rtęć, to znów rozlewało się szeroko. Oczywiście. Jaskrawy blask zamkniętego pomieszczenia. Oto tajemnica nowego kochanka i towarzysza podróży Magdaleny. Poczul się dziwnie skrępowany.

Ukradkiem spojrziała na zegarek, który leżał na szafce nocnej.

— Miło było zobaczyć cię znowu, Frank. Jestem już spóźniona. Żałuję, że nie mamy dla siebie więcej czasu. Mam nadzieję, że schwytasz tego człowieka.

Na koniec poszedł za głosem instynktu. Przyciągnął ją do siebie, może odrobinę za ostro, i pocałował. Własne zachowanie wydało mu się zaskakujące, ale ona nie opierała się, tylko rozchyliła wargi i wsunęła mu do ust czubek języka. Nie od razu odepchnęła go, gdy włożył jej rękę pod szlafrok. Na kilka sekund zapomniał o Ruhrze, o ranie i o drodze, którą podążał świat. Przypomniawszy sobie, czym było uczucie penetracji wnętrza ciała tej kobiety, zderzenie z nim oraz smak jej piersi w ustach. Wspomnienie miało dziwną jasność halucynacji

1 cierpkość minionej miłości.

— Idź już — powiedziała.

Wyszedł na korytarz i obejrzał się. Zobaczył uniesioną na pożegnanie dłoń, a potem drzwi zamknęły się.

Znalazł na dole Foxiego, który siedział pod rozłożystą rośliną i wiercił się zniecierpliwiony.

— Chcę, żebyś wjechał na dwunaste piętro — rzeki Pagan.

— Słucham?

Pagan odchrząknął i ostrożnie usiadł obok swojego zastępcy. Roślina rozpostarła mu się nad głową jak ciemnozielony parasol.

— Pokój numer 1209. Obserwuj go dyskretnie. Staraj się wyglądać jak hotelowy detektyw.

— Czy mogę zapytać dlaczego?

— Chcę się dowiedzieć, kto się ukrył w łazience.

— W łazience? Czy mógłbyś wyjaśnić to dokładniej, Frank?

Pagan spojrział w stronę wind.

— Później.

Rafael Rosabal wytarł twarz i odrzucił na bok ręcznik.

— Nie wiedziałem, że masz w tym mieście przyjaciół.

— To stara historia — odpowiedziała.

— Naprawdę? Biedny Frank. Słyszałem. — Otworzył szafę, wyjął koszulę i wciągnął ją na siebie.

— Brzmiało to tak, jak gdybyście się dopiero wczoraj rozstali.

— Jesteś zazdrosny. To cudownie! Jesteś naprawdę zazdrosny!

Rosabal nie odpowiedział. Starannie zapiął spinki przy mankietach. W świetle lampy rozbłysł brylant. W sprawach dotyczących własnego wyglądu był bardzo staranny.

— Sam słyszałeś. Przyszedł tutaj w związku z rutynową kontrolą i polowaniem na tego Niemca. Pagan nie należy do osób, które okrężną drogą zmierzają do celu. Jeśli napotyka na niej kamienie, usuwa je. Jest całkowicie oddany swojej pracy. Tak się złożyło, że

byłam jednym z owych kamieni.

— Czy był też całkowicie oddany miłości? Czy nieustannie się z tobą kochał i był nienasycony?

— Nie pamiętam.

— Najwyraźniej wciąż nie jesteś mu obojętna. A czy on coś dla ciebie jeszcze znaczy?

Roześmiała się, ciesząc się tą chwilą. Nigdy przedtem nie okazał nawet cienia zazdrości.

— Planujemy wspólną ucieczkę. Zniżyliśmy głos, rozmawiając o tym, żebyś nie mógł nas dosłyszeć.

Rosabal wziął ją w ramiona i przytulił do siebie. Czy był naprawdę zazdrosny? Sam nie wiedział. Przez chwilę myślał o Paganie i Magdalenie — zaskakujący traf, igraszka losu, zadziwiająca zbieżność, która w gruncie rzeczy nie miała żadnego znaczenia. Angielski policjant nie mógł odkryć związku Rosabala z Magdaleną, a nawet jeśli mu się to udało, to co z tego? I tak nie był w stanie dowiedzieć się

Opowiązaniach, które łączyły Kubańczyka z Guntherem Ruhrem.

— Czy ma szanse złapać Niemca? — zapytał.

— Nic mnie to nie obchodzi. Nie zamierzam spędzić naszych ostatnich wspólnych chwil na snuciu domysłów o powodzeniu ucieczki jakiegoś szaleńca. Mam w planie bardziej interesujące rzeczy.

— Byłem tylko ciekaw. Jeśli jest tak oddany swojej pracy, to pewnie nie położy się spać, dopóki nie złapie tego człowieka.

—Kogo to może obchodzić? — Odpięła spinki przy mankietach i wsunęła mu dłonie w rękawy, czując, jak włosy na jego rękach elektryzują się pod jej dotykiem. Rozpięła guziki koszuli i popchnęła go na łóżko. Był oszołomiony.

—Chciałem się tylko dowiedzieć czegoś o twoim byłym kochanku. To zrozumiałe. Czy był lepszy ode mnie? — zapytał.

—Nawet o tym nie myśl. Nikt nie może się z tobą równać.

—— —i, 99

, .....“ .. .^\\

Nachyliła się i pocałowała włosy na jego piersi. Tam gdzie owłosienie zanikało, skóra była brązowa i prawie atlasowa w dotyku. Otworzyła oczy i przyglądała się małym poskręcany błękitnym żyłkom, które biegły tuż pod powierzchnią ciała.

— Uwielbiam cię. Żałuję, że nie znajduję słów, które mogłyby to wyrazić.

Rosabal leżał cicho z zamkniętymi oczami. Poczwała jego palce na swoim karku. Ich nacisk stawał się coraz intensywniejszy. Rafael miał mocne dłonie i czasami nie doceniał swojej siły. Poruszyła głową i ucisk zmniejszył się.

Powoli rozpięła rozporek. Zawsze potrafiła go podniecić albo zmienić jego nastrój.

— Mój kochany. Vida mia! — powiedziała.

Widział jej włosy, które spływały mu na biodra. Zamknął oczy i wstrzymał oddech, jak gdyby próbował zahamować eksplozję. Słyszał, jak jęczała radośnie, obejmując dłońmi jego jądra.

Nadpływająca fala wstrząsnęła nim. Magdalena uniosła twarz. Na ustach błyszczała jej nitka spermy, którą otarła opuszką palca. Podniosła w kierunku światła tę kruchą pamiątkę. Oddawała mu się bez reszty, jak nigdy by się nie oddała innemu mężczyźnie. Wcale nie poznałaby tego przeżycia z innym kochankiem. Reszcie świata zamykała do niego dostęp. Stwierdzała, że robi coś, czego nigdy przedtem nie robiła, myśli o sprawach, które nigdy przedtem nie przysłyby jej do głowy.

Spojrzała na Rafaela. Czasami bywał tak piękny, że jego widok wywoływał w niej ból.

Leżeli razem w milczeniu.

— Chciałabym stąd odejść przed tobą. Nie lubię czekać po twoim wyjściu.

— Oczywiście.

Mocno zacisnęła powieki. Gdzieś w odległych zakamarkach umysłu czuła już żal, który zawsze przychodził po ich rozstaniu jak mściwa zjawa. Niezmiennie wdzierała się ta sama rozdzierająca serce wątpliwość, kiedy i czy w ogóle ponownie się spotkają.

— Powiedz, że wygramy — powiedziała. To była kolejna niepokojąca ją sprawa. Chciała, żeby ją uspokoił. Jej miłość do Rosabala, poglądy polityczne i pragnienie odegrania znaczącej roli na odrodzonej Kubie były nierozzerwalnie ze sobą związane.

— Wątpisz w to?

— Chciałam to usłyszeć z twoich ust, to wszystko.

Odwrócił się w jej stronę.

— Wygramy. Nic nie może stanąć nam na drodze.

Podparła dłonią twarz i wpatrywała się w niego. Ostateczne zwycięstwo. Niekiedy przewidywała je ponad wszelką wątpliwość. Czuła wtedy radosne podniecenie, jak gdyby jej krew była niepohamowanym strumieniem ciepła i światła. I teraz, przyglądając się wnikliwie kochankowi, przeżywała jedną z takich chwil. Obawy i niepewności ulotniły się jak para.

Odwróciła się na wznak i utkwiała wzrok w suficie. Myślała o roli,



jaką miała odegrać po upadku Castra. Rosabal podniósł tę kwestię rok temu w Mexico City. Stwierdził, że podstawą prawdziwej demokracji muszą być nie tylko wolne, ale i uczciwe wybory. I z zachwycającym uśmiechem, który zaważył na jej przyszłości, oznajmił, że przewiduje dla niej specjalną funkcję. Stanowisko ministra do spraw wyborów, które w odpowiednim czasie utworzy specjalnie dla niej. Ta znacząca pozycja nałożyła na nią odpowiedzialność za to, żeby wybory były wolne od korupcji, przymusu i oszustw, które należą do zjawisk powszechnych w takich państwach jak Panama albo Chile. Demokracja kubańska miała stać się wzorem dla całej Ameryki Łacińskiej.

Cóż by mogło wynikać ze skorumpowanej demokracji? — zastanawiał się. Co dobrego mogły przynieść głosy kupione za pieniądze, które pochodziły z zastraszenia i przemocy? Ludzie powinni bez obaw wziąć udział w tajnym głosowaniu. Jej praca, jak entuzjastycznie to opisał Rafael, miała polegać nie tylko na bezstronnym liczeniu głosów, ale na politycznym uświadomieniu przyzwyczajonego do przestarzałego systemu narodu, w którym nikt nigdy nie głosował. To ogromne zadanie odnosiło się do wszystkich warstw społecznych. Propaganda musiała być prowadzona na szeroką skalę — w szkołach, fabrykach i na farmach. Pojęcie demokracji było zupełnie obce całemu pokoleniu Kubańczyków, narodowi osłabionemu, zastraszonemu i uciśnionemu! Rafael nie miał najmniejszej wątpliwości, że Magdalena sprosta temu zadaniu. Była energiczna, oddana sprawie i

miała zapal do pracy.

Ta perspektywa, jak i zaufanie, które w niej pokładał, ekscytowały ją — zamierzał zrobić z niej głównego architekta wolnych wyborów na Kubie. W 1961 roku w Zatoce Świń dziesiątki ludzi, w tym również jej ojciec, oddały za tę sprawę życie. Zamknęła oczy.

— Wiesz, z czego cieszę się najbardziej? Nie tylko z wagi powierzonego mi zadania, ale z tego, że rozumiesz, jakie ma ono dla mnie znaczenie. Chcesz, żebym nawet po naszym ślubie mogła mieć własne życie — powiedziała. Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

— Twoja rola będzie ważna. Jak już ci wcześniej mówiłem, nie oczekuję, że zrezygnujesz z własnej niezależności. Jest częścią twojego uroku. — Uśmiechnął się. — Prezydent Rosabal i jego małżonka

Magdalena, całkiem nieźle — dodał, wsłuchując się w brzmienie tego połączenia.

Czy mogło być coś bardziej naturalnego? — zastanawiała się.

Rafael i Magdalena. Kochankowie. Mąż i żona. Prezydent i minister. W każdym zestawieniu doskonale do siebie pasowali. Czasami ta świadomość przygniatała ją. Ona, która uważała małżeństwo za relikw przesłości i nieuczciwy kontrakt, podpisywany w ciemno przez kobietę, pragnęła zostać żoną tego mężczyzny. Chciała Rafaela za męża. Oświadczył się jej rok temu w Mexico City, a ona najspokojniej wyraziła zgodę. Zdawała sobie jednak od początku sprawę, że nie zamierza być tylko ozdobą przy jego boku. Marzyła o czymś więcej.

Imiała zamiar to osiągnąć.

Rafael Rosabal milczał przez długi czas. Potem wymierzył wskazującym palcem jak pistoletem w sufit i wydał dźwięk, który naśladował odgłos wystrzału.

— Castro jest już martwy — powiedział bezbarwnym głosem.

— Tak. Zostały tylko zwłoki. — Magdalena Torrente położyła twarz na piersi swojego kochanka.

Dover, Delaware

Niezbyt okazały dom porastały chwasty i nadmiernie wybujałe krzewy. Był duży i anonimowy jak jego właściciel, John Merkandome, który był znany w kręgach wywiadu jako Ponury Żeniec. Dom znajdował się w pobliżu rejonu Little Creek Wilderness,

skąd roztaczał się widok na zatokę Delaware. Poza tym okolica była bezbarwna

i niczym nie upiększona. Merkantome nie poświęcał wielkiej uwagi swojemu otoczeniu. Cieszył się własnym basenem, w którym właśnie pływał. Brak czasu nie pozwalał mu na żadne inne luksusy.

Podpłynął żabką do brzegu i podciągnął się w górę, wynurzając się z błękitnej wody, która ociekała mu z siwych włosów na oczy. Był szczupłym mężczyzną. Jego ciało miało jędrność marmurowego posągu. Usiadł na stopniach i zamrugał powiekami.

— Wszystkie twoje rozważania prowadzą do tego samego rezultatu. A każda hipoteza kończy się identycznym wnioskiem — powiedział.

— Z tragicznymi konsekwencjami w Londynie. — Drugą osobą w basenie był mężczyzna o okrągłej twarzy, Allen Falk. Miał wybrylantynowane faliste włosy, które zaczesywał do tyłu w stylu lat pięćdziesiątych. Był doradcą w sprawach Ameryki Środkowej trzech ostatnich prezydentów. Powszechnie znano afery miłosne tego wpływowego polityka, ale jego życie zawodowe otaczał nimb tajemnicy. Mówiono o nim, że swoje wpływy w Białym Domu zawdzięcza roli, jaką odegrał, określając politykę CIA w Ameryce Środkowej.

Nikt nie znał prawdziwego zakresu jego władzy. Jej zasięg był tematem nieustannych plotek. Falk prowadził ożywione życie towarzyskie i seksualne. Flirtował z aktorkami, autorkami powieści, a kiedyś nawet z piękną znaną piosenkarką, która później przeżyła załamanie nerwowe. Jego sława miała typowy amerykański wymiar.

Dotykała tylko marginesu życia — spraw, w których nie odgrywał żadnej roli — jego kobiet, wody toaletowej czy marki okularów słonecznych. Jak gdyby sądzono, że to właśnie one są atrybutami ludzkiej wielkości.

Merkandome wyszedł z basenu. Miał blisko pięćdziesiąt siedem lat. Jak na swój wiek był w dobrej formie, w lepszej niż pulchny Al Falk, który w sprawach swojego wyglądu w większym stopniu zdawał się na krawców niż na gimnastykę. Al niezgrabnie podpłynął do brzegu basenu. W powietrzu unosił się intensywny zapach chloru.

Merkandome owinął ramiona ręcznikiem.

— To są wypadki, z którymi uczymy się żyć. Al — powiedział z charakterystycznym dla siebie akcentem Nowej Anglii. — Tragedie należą do zawodowego ryzyka. Powinieneś już o tym wiedzieć. Jak i to, że żadna nauka nie może wziąć pod uwagę wszystkich możliwych ludzkich słabości. A w tym wypadku seksualnych grzeszków zboczonego Niemca. Niedostateczne dane komputerowe, Al, równowaga w źle sporządzonym bilansie.

Falk od samego początku wolał inny plan, ale to nie on, lecz Merkandome był ekspertem od rachunku prawdopodobieństwa. To Ponury Żeniec tworzył modele i wprowadzał je do komputerów w swoim prywatnym laboratorium, które mieściło się w zaniedbanym budynku, należącym do instytucji o nazwie Krajowa Elektronika w Wilmington, Delaware. W CIA znano dobrze ten budynek, ponieważ Merkandome był głównym konsultantem agencji, chociaż obecnie nie figurował już oficjalnie na jej liście płac. Przez trzydzieści lat

pracował u Langleya, który był w niej zatrudniony.

W 1961 roku uczestniczył w przygotowaniu planu operacji, która zakończyła się fiaskiem w Zatoce Świń. Przez resztę życia Merkan-  
dome'a nie opuszczała myśl, że nie tylko nie zdołał obalić Castra, ale przyczynił się do tego, żeby ten sukinsyn odniósł jedno z najbardziej chwalebnych zwycięstw w zakresie public relations i miał okazję tryumfować nad wycofującą się Armią Amerykańską.

—Płacę młodym bystrym absolwentom Akademii Wywiadu Woj-  
skowego mnóstwo pieniędzy za prace nad badaniem rozwiązań

m m

dopuszczalnych. Al. Nic/ego nic przegapią. To sprytni chłopcy. Nawet więcej — są dokładni. A dokładność zawsze przedkładam nad spryt.

Al Falk wyszedł z basenu, sięgnął po ręcznik i zaczął się wycierać. W roztargnieniu odnotował ponury fakt, że ma obwisłe piersi.

— Gdybyśmy nie potrzebowali tego urządzenia, do niczego nie byłby nam potrzebny Ruhr — zauważył. Nic znosił trybów warunkowych. Wprowadzały nieład w życie człowieka.

— Zgadzam się z tobą, tylko że ono jest nam potrzebne — zauważył Merkandome.

— Każde badanie kończy się takim wnioskiem, Al. Bez urządzenia nie ma pretekstu, żeby wkroczyć i wykonać robotę. Rozpracowaliśmy problem z setek różnych stron. Dam ci przykłady. Rozważaliśmy sfingowanie porwania syna prezydenta przez agenta kubańskiego. Braliśmy pod uwagę pomysł zatrucia dostaw wody do amerykańskiej bazy wojskowej w Quantanamo i obarczenia za to winą Castra. Rozpatrywaliśmy jeden scenariusz po drugim, Al. Niektóre z nich miały znamiona prawdopodobieństwa. Inne były zupełnie głupie. A większość o wiele za łagodna. Nie będę zanudzał cię wszystkimi. Jediną właściwą reakcją wywoływała wzmianka o zagrożeniu naszego wybrzeża. Jeśli zagroziś facetowi na jego własnym podwórzu, zirytuje się. Każde jego działanie mające na celu obronę własnego życia i własności będzie usprawiedliwione. Ten

pomysł był najlepszy ze wszystkich. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę słabostki Ruhra. Nie mogliśmy. Nic o niej nie wiedzieliśmy.

Alan Falk odrzucił na bok ręcznik. Spojrzał w górę na szklany sufit, przez który wpadały promienie popołudniowego słońca, przeciskające się przez zwarte chmury burzowe.

— Chyba nikt o niej nie wiedział — rzekł.

— A widzisz? Czynniki ludzkie — zauważył Merkandome.

Mam w nosie czynniki ludzkie, pomyślał Falk. Dlaczego sprawy nigdy nie układają się zgodnie z przewidywaniami? Dlaczego są tak cholernie skomplikowane? Falk, chociaż mistrz intrygi i znawca bizantyjskich rozgrywek politycznych Białego Domu, czasami tęsknił za prostotą, za światem, w którym wszystko przebiegałoby zgodnie z planem. Ludzie zawsze uważali, że Falk jest skomplikowany. Ale mylili się — był prostolinijnym człowiekiem w złożonych okolicznościach.

Wstał. Myślał o zabitych policjantach na przedmieściach Londynu, o rannych i o rozmiarach zniszczeń. Kłopot polegał na tym, że wszystko miało swoją cenę. A zwłaszcza wolność. Nie zamierzał odwołać teraz programu, nawet gdyby miał na to ochotę. Zbyt wiele zostało zaangażowane, zbyt wiele zainwestowane. I to nie była tylko kwestia pieniędzy.

Spojrzał na Ponurego Żeńca.

— Przedstawienie trwa -- powiedział.

— Mówiono mi, że masz ułańską fantazję. Al — rzekł John Merkandome.



Londyn

Tuż przed północą w dobrze utrzymanym osiemnastowiecznym domu z widokiem na Tamizę w Chelsea Jean Chapotin wsunął klucz do zamka, otworzył drzwi i wszedł do wąskiego hallu, wyłożonego dywanem o wstrętnym odcieniu czerwieni. Położył aktówkę na trzynożnym stoliku i skierował się do salonu, który musiał dekorować jakiś modniś. Osiemnastowieczne meble były do przyjęcia, a nawet godne podziwu, ale Chapotin nie znosił błękitnych ścian oraz sufitu i firanek o barwie księżycy w nowiu.

Usiadł na kanapie, zbyt wąskiej dla człowieka jego postury. Cały dom był dla niego zbyt ciasny. Chapotin zatelefonował do Paryża, do swojej żony Gabrielle. Była kobietą, która nosiłaby każdy absurdalny ubiór, gdyby go rekomendowała królowa świata mody. Odpowiedziała głosem rozmarzonym na skutek działania środków nasennych.

— Muszę zostać jeszcze jeden dzień — rzekł Chapotin.

— Czy zobaczę cię jutro?

— Tak, oczywiście. Czy wszystko w porządku? — Chapotin usłyszał trzeszczenie podłogi na podeście schodów.

— A dlaczego miałyby nie być?

Chapotin wzruszył ramionami. Z upływem lat rozmowy z żoną stały się nieznośnie nudne. To, co kiedyś było gwałtownym uczuciem, osłabło w czasie dwudziestu lat małżeństwa, przekształcając się w rodzaj wzajemnej tolerancji, a najlepszą formą porozumienia stało się milczenie. Gdy zawodziło, zawsze znalazły się

do omówienia jakiejś błażostki dnia codziennego: założenie instalacji wodnokanalizacyjnej w domu koło Bois de Boulogne, problem ze służącymi w wiejskiej posiadłości w Prowansji czy pijackie wybryki chłopca stajennego w stadninie koni hodowlanych w Loire Valley.

— Czy main wyjechać po ciebie na lotnisko? — zapytała.

— Wyślij samochód.

Rozmowa dobiegła końca. Poczul się naraz znużony i wyciągnął nogi. Ziewnął. Ponownie usłyszał trzask podłogi, który dobiegał z górnej części domu.

Wstał, wyszedł do hallu i spojrzał w górę schodów.

—Melody? — zapytał.

Co za głupie imię, pomyślał. Jedyłą, choć bardzo odległą melodyjnością, która dotyczyła tej kobiety, był dźwięk kasy sklepowej, pieśń gotówki — pieniędzy Chapotina. Ale, wielki Boże, zwykle rozsądny i o umiarkowanych skłonnościach człowiek, jakim był Chapotin, nie mógł się oprzeć urodzie tej małej angielskiej debiutantki.

Na podeście pokazała się bardzo chuda dziewczyna, w której twarzy dominowały wielkie błękitne i puste oczy. Miała na sobie strusie boa, które bez wątpienia zostało wybrane i kupione na rachunek Chapotina w jednym ze sklepów ze “starociami”, znajdującym się w sąsiedztwie, oraz sukienkę w stylu lat dwudziestych z błyszczącymi frędzlami. Do tego pantofle w jaskrawym różu. Jej gust w sprawach ubioru i wystroju wnętrz był eklektyczny. Włosy w mysim odcieniu ściągnęła z tyłu i kunsztownie upięła wokół uszu.

—Ahoj — powiedziała.

Z powodu kochanki Chapotin był rozdarty wewnątrz. Księgowy, który w nim siedział, miał ją ochotę wyrzucić, ale rozpustnik nie mógłby znieść rozstania z tą próżną i zmysłową dziewczyną. Zeszła powoli ze schodów, wlokąc za sobą strusie boa.

—Buzi, buzi. — Zatrzymała się na ostatnim stopniu.

Chapotin pocałował ją. Pachniała mydłem dla dzieci, wermutem i była szalenie pociągająca.

— Pojedźmy dokądś, Chappie. Nigdy mnie z sobą nie zabierasz. Chcę z tobą zwiedzać inne kontynenty.

— A dokąd chciałabyś pojechać? — zapytał. Nie mógł się doczekać, kiedy zacznie ją rozbierać. Wzbierające w nim pożądanie było nie do zniesienia.

— Paris, naturellement — powiedziała.

— Z tym jednym miejscem jest pewien problem, chérie.

— Melly tkwi w nudnym starym Londynie, gdy Chappie rozbija się jetami po całym świecie — powiedziała.

— Wkrótce pojedziemy na Hawaje.

— Hawajskie uroczystości działają na mnie przygnębiająco i uważam spódnice z trawy za demoralizujące. Wcale mnie to nie porywa.

— A więc dokąd chciałabyś pojechać?

Melody wzruszyła ramionami i ciągnąc szal ze strusich piór za sobą, weszła do salonu. Chapotin poszedł za nią. Dlaczego znosił tego dzieciaka? Czy miał występny charakter? Raczej sprowadzało się to do całkiem prostej sprawy. Jego regularne życie było tak wymagające, trzeźwe i wypełnione stresem, że już zapomniał, czym jest prawdziwa radość, dopóki Melody, jak stwór z odległej planety, nie pojawiła się w jego zrównoważonym i zapiętym na ostatni guzik świecie.

Usiadła na kanapie. Miała koronkowe białe pończochy i ostry, bardzo ciemny makijaż oczu. Chapotin zajął miejsce obok niej. Położył rękę na przegubie jej dłoni.

— Zabiorę cię w rejs dookoła świata. — Czy znajdzie kiedyś na to

czas?

—Oceaniczne fale! Bez przerwy wymiotowałam.

Chapotin zastanawiał się, jak by zareagowali jego koledzy, członkowie Kwaków, na tę dziewczynę, gdyby ją kiedyś poznali. Ale to się nigdy nie mogło zdarzyć. Towarzystwo nie dopuściłoby, żeby prywatne życie członków było łączone z jego interesami.

Zmysłowość dziewczyny mogła oczarować Enrica Caporellego, który miał niespokojny wzrok. Ale pozostali, szczególnie ci pruderyjni Amerykanie i ów ponury Magiwara, prychnęliby na jej widok z pogardą.

Chapotin zdawał sobie sprawę, że w przywiązaniu do tego dzieciaka niektórzy mogliby doszukiwać się jego słabości. Był nieuleczalnym romantykiem, a pożądanie trzymało go w swoich rozpalonych kleszczach.

Położył jej dłoń na kolanie.

—Pogódźmy się — powiedział.

—Zobaczmy, zobaczmy, Chappie. A tymczasem zamówię nowe zasłony i odpowiednie do nich nowe dywany. — Zamrugła swoimi długimi rzęsami.

Chapotin miał straszne przeczucie, że pewnego dnia jego kochanka zacznie mu przypominać własną żonę, a całe życie stanie się jedną długą listą domowych spraw. Zasłony! Urządzenia wodnokanalizacyjne! Dywany! A on pragnął tylko ucieczki w słodkie młode ciało Melody. Rzucił się w jej stronę, ale była szybsza i śliski materiał jej sukienki wymknął mu się z rąk.

— Ach ty! — powiedział.

— Tere-fere. Nie będzie wycieczki zagranicznej, nie będzie ciupciana.

Chapotin roześmiał się znowu. Melody zręcznie odskoczyła na bok. Był rozbawiony. Lubił łowy.

— Nie złapiesz mnie ■— powiedziała i roześmiała się.

Jean-Paul wyciągnął rękę i chwycił jej sukienkę, która natychmiast się rozdarła, odsłaniając nadzwyczajny widok jasnego ciała Melody Logue i uroczego wnętrza jej ud. Wytatuowany drozd z czerwoną piersią i rozpostartymi skrzydłami usadowił się wygodnie w pobliżu jej warg sromowych. Był jak żywy i Chapotin przeżył wstrząs, gdy po raz

pierwszy go zobaczył. Dziewczyna zawirowała i wyswobodziła się z uścisku.

— Zostaw jej królewską wysokość i zamieszkać ze mną — powiedziała.

— Mam porzucić żonę?

Tak. pomyślał. Tak, tak, tak. Zrobiłby teraz wszystko, żeby schwycić tego ptaka. Wyciągnął drżącą rękę, ale Melody ponownie mu się wyśliznęła.

— Jedno słowo i drozd jest twój!

Chapotin roześmiał się. Jak mógł zostawić Gabrielle dla tej osiemnastoletniej swawolnicy, tej głupiutkiej dziewczyny, która stała się utrapieniem jego życia? A z drugiej strony, jak mógł tego nie zrobić?

Usłyszał przytłumiony zasłonami dźwięk tłuczonego szkła. Bez zastanowienia chwycił dziewczynę i pociągnął ją za sobą na podłogę. Zauważył dwie kule, które potoczyły się po dywanie. Wiedział, czym były, ale rozpoznanie nie pociągnęło za sobą natychmiastowej reakcji. To był żart, wstrętny dowcip, to nie działo się naprawdę. Dziewczyna przylgnęła do niego w chwili, gdy granaty eksplodowały. Chapotin zdążył tylko pomyśleć, że zaległa dziwna cisza, jak hałas w próżni. Odłamek przedziurawił dziewczynie szyję. Tkanka jej skóry uniosła się w powietrze i wpadła Chapotinowi do oczu, oślepiając go. Próbował podnieść ręce do twarzy, ale rozerwały się w przegubach, trafione rozpalonym odłamkiem metalu.

## Rozdział VIII

### Baza piąta, Szkocja

O szóstej trzydzieści rano samolot transportowy C-130 był gotowy do startu z bazy lotniczej numer pięć w Szkocji. Ta pomalowana na kolor ochronny maszyna normalnie była wykorzystywana do wahadłowego przewożenia ludzi i urządzeń pomiędzy różnymi bazami NATO na terenie Stanów Zjednoczonych. Imponujący samolot o długości przekraczającej dwadzieścia siedem metrów miał zdolność przenoszenia trzydziestu pięciu tysięcy kilogramów ładunku. Tego deszczowego poranka C-130 potwierdził plan lotu, według którego miał przyjąć kurs na południe Anglii, a potem nad kanałem La Manche skierować się na Niemcy, skąd miał zabrać sześćdziesięciu spadochroniarzy, stacjonujących w Wiesbaden, i odwieźć ich do Alabamy. Załoga składała się z pilota, jego zastępcy, nawigatora i mechanika pokładowego.

Start przebiegł bez zakłóceń. Wielki samolot zanurzył się w chmury nad Morzem Północnym, zawrócił nad ląd i wziął kurs na Edynburg. Nieprzyjemny deszcz zacinał po kadłubie i co pewien czas samolot wpadał w turbulencje jak wieloryb w fale. W ładowni szczękały klatki z częściami zamiennymi i narzędziami, a kilka luźnych worków przesuwano się w tę i z powrotem. Załoga samolotu była nieświadoma zamieszania na pokładzie i obecności innych osób, które przez wiele godzin siedziały w ukryciu i czekały w napięciu na tę właśnie chwilę.

Bezpośrednio nad grania\*, nad nie zamieszkanym obszarem —



uroczym traktem, który dzieli dwa narody — do kabiny pilotów weszli trzech uzbrojeni mężczyźni. Mieli automatyczną broń i byli ubrani w mundury polowe. Nie nosili masek, gdyż nie potrzebowali ukrywać twarzy. Nie zamierzali zostawiać świadków. Dowódcą porywaczy był ciemnowłosy mężczyzna około czterdziestki, Joseph Sweeney. To on przytknął broń do głowy pilota, kazał mu oddać stery i posadził

swojego człowieka na jego miejscu. Drugiemu pilotowi również polecono zwolnić pozycję. Spełnił to żądanie. Tylko mechanik pokładowy sprzeciwił się i za utrudnianie zadania otrzymał cios w usta.

Sweeney poprowadził załogę do ładowni. Nie od razu zrozumieli, co porywacz zamierza z nimi zrobić. Obawiali się jego broni, ale nikt nie wierzył, że jeśli ma choć odrobinę rozsądku, użyje jej wewnątrz lecącego samolotu. W najgorszym razie spodziewali się, że będą musieli lecieć z porywaczami do upatrzonego przez nich miejsca i tam, jako ich zakładnicy, staną się przedmiotem negocjacji. Z pewnością nikt z załogi nie brał pod uwagę tego, co zrobił Joseph Sweeney.

Kazał mechanikowi pokładowemu, który obficie krwawił z ust, otworzyć wyjście dla skoczków spadochronowych. Mechanik przez moment zwlekał z wykonaniem polecenia — przecież nie mieli jeszcze na sobie spadochronów.

Sweeney pomachał pistoletem, mechanik otworzył drzwi i do środka wtargnął zimny, mglisty deszczowy podmuch. Teraz załoga szybko pojęła zamiar Sweeneya. Mieli skakać, ale bez spadochronów. Zrozumieli, że jeśli tego nie zrobią, Sweeney i tak ich zastrzeli.

Pierwszy miał skakać mechanik pokładowy. Stawiał opór i Sweeney strzelił mu w pachwinę. A gdy pomimo to nie przeszedł przez otwarte drzwi, Sweeney zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy — z zimnego deszczu, który przemoczył mu ubranie, oraz z oporu mężczyzny. Oszołomieni i zdesperowani, pozostali trzej członkowie

załogi gorączkowo rozglądali się za sposobem uniknięcia przerażającego przeznaczenia — za cęgami, młotkiem, czymkolwiek, co by mogło być użyte jako broń. Sweeney dostrzegł w nich oznaki oporu i wcale mu się to nie podobało. Przywołał z kabiny jednego z porywaczy — mocnego i gburowatego mężczyznę o wyglądzie Araba, który po krótkiej walce wyrzucił mechanika z samolotu. Ciało drążąc w chmurach tunel, spadło z wysokości pięciu tysięcy metrów na mokre wrzosowiska.

Jeden po drugim zostali wypchnięci na zewnątrz pozostali członkowie załogi. Pilot opierał się z największą zapalczywością i Sweeney, żeby się go pozbyć, musiał mu strzelić pomiędzy oczy. Potem porywacz zamknął drzwi. Cały się trząsł.

Samolot, utrzymując kurs na południe, przeleciał nad Newcastle i River Tyne, a potem skierował się w stronę uprzemysłowionego Midlandu, gdzie zanieczyszczenia i pogoda zmówiły się, żeby utworzyć nieprzepuszczalne sklepienie z chmur.

Londyn

Była szósta trzydzieści rano. kiedy Foxworth obudził swojego szefa. Pagan spędził kolejną noc na kanapie w biurze. Mocna kawa wyrwała go z bezsensownych i męczących snów pod wpływem pethidiny. Na wpół rozbudzony sięgnął po filiżankę, którą mu podał Foxie. Wyprostował się z wielką ostrożnością i zaczął powoli sączyć gorący czarny płyn. Smakował mu. Foxworth. dobrze wychowany miody człowiek o wyszukanym guście, parzył zawsze blue mountain. kawę z Jamajki.

—Prawdziwy nektar — rzekł Pagan i zmrużył oczy oślepiony wąską smugą żółtego światła, która przecinała Golden Square jak odrzucony przeszczep skóry. Dziwaczne sny Pagana były mglistymi wspomnieniami o Magdalenie, ale ich treść uleciała mu z pamięci.

Foxworth wyjął gazę i nożyczki.

—Dzisiaj zmieniamy bandażę — powiedział.

—Pozwól, że przedtem wypije do końca kawę — Pagan opróżnił filiżankę, a potem sięgnął po środki przeciwbólowe, które leżały na parapecie okiennym. Ale zaraz cofnął rękę.

—Zobaczę, czy przez chwilę potrafię się bez nich obejść. Nie chciałbym skończyć w jakimś zakładzie odwykowym dla narkomanów. Jestem zwolennikiem niewymuszonego zachowania, jakiegokolwiek by ono było.

Foxworth zgodził się z tą opinią.

—Zdejmijmy bandażę. Kiedyś byłem harcerzem. Mam pełną szufladę odznak za udzielanie pierwszej pomocy. A teraz obróć się na bok, Frank.

Pagan posłusznie wykonał polecenie. Foxworth zdjął i wyrzucił stare bandażę. Z godną podziwu starannością założył opatrunek i nowym bandażem owinął pierś Pagana.

—Rana postrzałowa jest otwarta, ale miejsce wejścia pocisku nie wygląda najgorzej. Włóż to na siebie — zwrócił się do Pagana.

—Czysta koszula?

—Z własnej inicjatywy poszedłem do twojego mieszkania. Myślę, że nie będziesz zły z tego powodu. Przyniosłem ci czysty garnitur i

bieliznę. A także buty i skarpetki. Mam nadzieję, że wszystko będzie pasowało.

Garnitur był z brązowego lnu. buty czarne, skarpetki szare, a koszula bładoniebieska. Pagan nie miał serca, żeby skrytykować zestaw kolorów. Poza tym zamierzał szukać Giinthera Ruhra, a nie ucztować w Le Caprice. Foxworth ze swojej strony też przeżył straszne chwile, przerzucając ubrania w szafie Pagana — koszmarne koszule

w papugi, hawajskie kwiaty i girlandy o żywych barwach, ustawione w szereg buty we wszystkich kolorach tęczy, od jasnych płóciennych espadryli po czarne lakierki, tuzin garniturów wszystkich możliwych rodzajów — lnianych, tweedowych i jedwabnych, letnich i zimowych, na oficjalne i nieoficjalne okazje, jedno- i dwurzędowych.

— Byłbyś niezłym lokajem, Foxie.

— Będę to miał na uwadze.

— Czy jest jeszcze trochę kawy?

Foxworlh otworzył termos i ponownie napełnił filiżankę Pagana.

— A teraz kilka wiadomości z nocy, Frank. Po pierwsze, Ruhr był widziany w Sheffield, Morecambe i Newcastle.

— Podróżuje po północy. Wkrótce usłyszymy, że jest w Reykjaviku i ubiega się o islandzkie obywatelstwo — powiedział sucho Pagan.

— Był też widziany na Sloane Square i Pimlico oraz jak wsiadał do pociągu na Victoria Station. A także w Brighton, Canterbury i, to ładne, w Stonehenge, gdzie zauważyła go para druidów.

Pagan pokręcił głową. Druidzi, pomyślał. Stonehenge przyciągało różnych dziwaków.

— Czy są jeszcze jakieś wiadomości, Foxie?

— Otrzymaliśmy raporty od naszych pracowników ze wschodniej Anglii. Twierdzą, że urządzenia militarne są tam ściśle strzeżone.

Komisarz policji w Cambridge nie mógł lepiej wykorzystać każdego policjanta w okręgu.

Pagan wstał, podszedł do okna i zobaczył kilku ludzi, którzy

wczesnym rankiem szli do pracy. Nagle ogarnął go strach. Ład, który widział na dole — ulice, zaparkowane samochody i pogrążony we śnie londyński plac — mógł być krótkotrwały. Taki człowiek jak Ruhr, nie powstrzymany, potrafił bez trudu zniszczyć każdy budynek. — Czy jest jakiś postęp w polowaniu na Ruhra? — zapytał Pagan.

— Harówka. Mozolne pukanie od drzwi do drzwi. Bez rezultatu — rzekł Foxie.

— Ten drań gdzieś musi być — powiedział Pagan.

Foxie podniósł gruby skoroszyt, otworzył go i wyjął kartkę papieru.

— Ubiegłej nocy w Chelsea dokonano dwóch zabójstw. Przez okno zostały wrzucone dwa granaty. W raporcie odnotowano fakt, że broń była sporządzona domowym sposobem i miała wielką siłę rażenia.

— Domowym sposobem? Irlandczycy?

Foxworth wzruszył ramionami.

— Mało prawdopodobne. Ofiarami byli francuski biznesmen o nazwisku Chapotin oraz jego pojętna panienska, Melody Logue, siostrzenica jakiegoś lorda. Nie widzę żadnego powodu, dla którego Irlandczycy chcieliby rozprawić się z tą p\*™ Z.istanawialem sie. c/v to nie robota Ruhra, ale broń własnej produkcji to nie |<?go styl.

Chyba że się zmienił.

— Przeczytam to, kiedy będę miał czas. — p<sub>u</sub>gan wskazał zniecierpliwionym gestem skoroszyt.

— Jest tam jeden ciekawy fragment na temat Chapotina.

— Jaki?

— Od 1957 do 1959 roku Jean-Paul Chapotin h\ł charge d'aflaires

Francji na Kubie.

— Na Kubie. — Pagan przez chwilę zastanawiał się nad U wiadomością, ale nie mieściła się w strukturze jego zainteresowania R u h rem.

— A skoro mowa o Kubie, kilka godzin zajęło mu przyglądanie się różnym gębom na fotografiach w Ministerstwie Spraw /agracm/uuh, zanim zdołałem zidentyfikować przyjaciela Magdaleny Torrente.

— I? — W głosie Pagana zabrzmiało /niecierpliwienie. Chciał sprawiać wrażenie, że współlokator z pokoju Magdaleny nic dla mego nie znaczy. Foxie ponownie poszperał w skoroszycie i wyjął z niego kilka kartek bibuły. Na każdej figurowała adnotacja „Tylko do potrzeb wewnętrznych”. Foxie uśmiechnął się w sposób, który świadczył o tym, że dopuścił się kradzieży.

— Musiałem użyć siły perswazji i wykorzystać znajomości /e szkolnej ławy, żeby to zdobyć, Frank. Ta informacja pochodzi z wydziału wywiadu, który prowadzi inwigilację na terenie kraju. Od czasu, gdy kubański dyplomata usiłował zastrzelić jednego z naszych wywiadowców na ulicy Londynu w 1988 roku. nadzór nad Kubańczykami, którzy przybywają do nas w celach dyplomatycznych oraz wszystkich innych, znacznie się zaostrzył. Obserwatorzy nie spuszczaają Kubańczyków z oczu. Poza tym działalność tego typu irytuje Castra, a kto nie miałby ochoty go rozżłościć?

— Do rzeczy, Foxie.

— Mówiąc krótko, Frank, ten człowiek nazywa się Rafael Rosabal.  
Norfolk



Stephanie Brough nacisnęła językiem pasek z jedwabnej pończochy, który został użyty jako knebel. Ręce miała związane z tyłu kawałkami krótkiej liny, która wrzynała się jej w przeguby, a nogi w kostkach spętane tak mocno, że stopy ocierały się o siebie. Końce krępujących jej ruchy sznurów przywiązane były do ramy wąskiego łóżka, na którym leżała. Wstawał świt i po niebie gnały ciężkie chmury.

W ogóle nic spała. Nic mogła zasnąć. Nawet / zamkniętymi oczami była świadoma obecności Ruhra, który siedział w kącie pokoju na starym fotelu, .Spędził lam prawie całą noc i czasami spoglądał w jej stronę. Niczego nie dało się odczytać z wyra/u jego twarzy. Nie można było powiedzieć, o czym myśli ani co planuje. Miał lodowate spojrzenie.

Och, Steffie, myślała. Może cię dzisiaj uwolnią. Zastanawiała się, czy jej biedna klacz, którą zostawiła na deszczu, poklusuje w końcu do domu. Była tego całkiem pewna. A wtedy jej ojciec pójdzie na policję, to było całkiem proste, prawda? Już lam na pewno poszedł.

Zamknęła oczy. Słyszała dobiegające z kuchni głosy. Chudy mężczyzna, Amerykanin, którego nazwiska nie znała, rozmawiał z Ruhrem. Kłócili się i wiedziała, że ich kłótnia ma związek z nią, ale nie chciała słuchać.

Przypomniała sobie, co jej ojciec mówił o Ruhrze oraz o tych biednych zamordowanych policjantach. Uważał, że Niemiec był potworem, który zasługiwał na to, żeby go powiesić. Nie zwróciła wtedy większej uwagi na jego słowa, ponieważ jej ojciec często zwykł mówić, że kogoś należy powiesić i że dla niektórych stryczek jest zbyt łagodnym wymiarem kary. Jej ojciec miał przestarzałe poglądy, ale w gruncie rzeczy był łagodnym człowiekiem.

Widziała zdjęcia Ruhra w gazetach i w telewizji. Wczoraj, kiedy go rozpoznała, serce w niej zamarło i coś ścisnęło ją w żołądku, jak gdyby zaległ w nim głaz. Gdy zawlókł ją do domu, nie mogła nie

myśleć

o tych wszystkich strasznych rzeczach, które mu przypisywano.

Czy zamierza cię zabić, Steffie? Czy będziesz kolejną jego ofiarą?

Odwróciła twarz do ściany. Jeśli ktoś miał zamiar ją zastrzelić, nie chciała widzieć, jak zabójca wchodzi do pokoju. Myśl o czymś innym!

O muzyce, książkach albo o modlitwie. W kuchni nadal trwała kłótnia. Słysząc było, jak opadają i podnoszą się ochryple głosy, a szczególnie Ruhra — wysoki i nosowy. Próbowwała nie zwracać na nie uwagi. Kilka kropli deszczu uderzyło o szybę nad jej głową i sucha gałąź zatrzepotała o framugę okna.

Co się czuje, gdy kula przeszywa czaszkę? Prawdopodobnie nic. Żadnych sensacji. Koniec. Przerażona Steffie mocowała się przez kilka sekund z więzami, ale to było beznadziejne zadanie. Im bardziej szamotała się, tym boleśniej liny wrzynały się w skórę. Z poczucia bezsilności jej oczy wypełniły się łzami.

Do pokoju wszedł Ruhr. Niósł strzelbę, a za pasem miał zatknięty pistolet. Zdeformowaną dłoń schował w kieszeni. Podeszedł do łóżka i uśmiechnął się, ale Steffie nie mogła znieść tego nienaturalnego uśmiechu na jego twarzy, który kojarzył się jej z cięciem po ostrzu brzytwy albo / ro/mokłą szczeliną. Usiadł i zdjął jej knebel z ust. Poczowała wdzięczność, ale uczucie to trwało tylko sekundę.

— Jesteś głodna? — zapytał.

Pokręciła przecząco głową. Nie zamierzała się odzywać. Będzie niema jak zakonnica, która złożyła śluby milczenia. Na niewiele się

zdawał ten wyraz, buntu, ale żadna inna forma oporu nie przychodziła jej na myśl.

■ Nie chcesz mówić?— zapytał Ruhr. Odstawił strzelbę, opierając ją o materac.

Nie odpowiedziała. Delektowała się w tej chwili ciszą, która była jak ujście nie zmaczonej wody. Steffie mogła się unosić na jej powierzchni. Pływające lilie, spokojne łabędzie i odbicia gwiazd. Spojrzała na Ruhra, przypominając sobie, jak wczoraj ją uderzył, i nagle /rozumiała, że warstwa jej opanowania jest bardzo krucha. Gdyby chciał, mógł ją ponownie uderzyć i zmusić do mówienia.

—Mała dziewczynka — powiedział. Położył jej swoją normalną rękę płasko na brzuchu. Miała jędrne ciało, bez tej miękkości, która się pojawia z wiekiem. — Ładna mała dziewczynka. Twój przyjaciele na pewno mówili ci o tym, prawda? Wiesz, że jesteś ładna. Wyobrażam sobie, ilu masz adoratorów.

Cisza, stukający o szybę deszcz i bębniąca gałąź drzewa. To właśnie lubię, pomyślała.

Ruhr poruszył ręką. Wsunął ją pod jej białą bluzkę, wstrętne oblepioną stwardniałym błotem, a potem rozpiął z przodu stanik. Pomyślała, że jeśli pozwoli mu robić to, na co ma ochotę, to z pewnością daruje jej wolność. Szarpnięciem zdarł z niej biustonosz, obracał go w ręce i uśmiechał się, przyglądając mu się z uwagą. A potem zanurzył w nim twarz i na moment znieruchomiał.

—Zapach młodej dziewczyny — powiedział. — Nic nie pachnie równie świeżo i uroczo.

Steffie poczuła, jak żołądek podjeżdża jej do gardła. Czy zdoła ponownie znieść jego dotyk? Był brzydki i miał pozbawioną pigmentu karnację. Myśl, że mógłby ją pocałować, napęniała ją przerażeniem. Nie zadowoli się samymi pocałunkami! Zgwałci ją! Jej seksualne doświadczenia ograniczały się do chwil spędzonych ubiegłego lata z Jasonem Turnberrym, gdy pieścił jej piersi, a ona pozwoliła mu na sekundę dotknąć miejsca pomiędzy nogami. Jason jednak nie był Ruhrem, a uroczym nieśmiałym chłopakiem, który nie zrobiłby niczego wbrew jej woli.

— Jesteś taka wystraszona, Stephanie — rzekł Ruhr. — Zupełnie niepotrzebnie. Czasami strach bywa zaraźliwy. Ludzie wokół ciebie

zaczynaj;! leż się bać i przerażeni postępuj;) w nieroztropny sposób.

Uspokój się. malutka — dodał.

Steffie zwilżyła językiem wyschnięte usta. Na co zdawało się milczenie? Była zbyt słaba i potulna. Jeśli chciała coś osiągnąć, powinna zacząć mówić.

— Niech mnie pan wypuści, przysięgam, że nikomu nigdy nie wspomnę o panu. Ma pan na to moje solenne przyrzeczenie — wyszeptała chrapliwym głosem.

— Wiem z doświadczenia, że ludzie składający ślubowania są pierwszymi, którzy je łamią.

— Ja tego nie zrobię. Obiecuję.

Ruhr przyglądał się jej przez chwilę. Powoli przełożył biustonosz do ułomnej dłoni.

— Jestem przekonany, że w tej chwili wierzysz w to, co mówisz.

Niemniej jednak nie zmienię mojej decyzji. — Poklepał ją po kostkach. Jego skóra przypominała wilgotny łupek skalny.

— Widzisz, mam pewną sprawę do załatwienia i nie mogę pozwolić, żebyś wróciła do domu i do swoich rodziców. Czy to rozumiesz? Postąpiłbym nierozważnie, wypuszczając cię na wolność.

— Czy pozwoli mi pan odejść, gdy już załatwi swoje sprawy?

Ruhr wstał. Spojrzał na nią z góry.

— Za dwadzieścia minut wyruszamy w krótką podróż.

— Dokąd?

Ruhr tajemniczo przyłożył palec do ust.

— Ale... — to było wszystko, co zdołała powiedzieć, gdyż Ruhr z powrotem zakneblował jej usta.

Przed domem Trevaskis z Rickiem ładowali na rangę rovera kanistry z gazem łzawiącym, M-16, miotacze ognia, granaty i maski gazowe. Karabiny, ponownie wyczyszczone ubiegłej nocy przez Argentyńczyków, były w doskonałym stanie. Ruhr przeprowadził wnikliwą inspekcję broni.

— Jeśli chcesz znać moje zdanie, nie podoba mi się ta cała sytuacja — rzekł Trevaskis, który jednym uchem słuchał radia w samochodzie. Potężny Rick, milczek, odmruknął coś, ładując na samochód skrzynkę z amunicją.

— Są sprawy, których nie mogę strawić. Na przykład ten dzieciak. Jaki problem? Po pierwsze nie brałbym jej do domu. Nie ma mowy. Szybka kula w czaszkę, dzieciak martwy i zbędny bagaż z głowy. — Masz rację — przyznał Rick.

— Żeby nie plamić sobie ręk jej krwią, wystarczyłoby ją dobrze /wiązać i zostawić w domu. Prędzej ozy później ktoś by ją znalazł. — Trevaskis, który w gruncie rzeczy nie był zwolennikiem wyrządzenia krzywdy dziecku, zamilkł na chwilę.

— To psychicznie chory skurwiel, mówię ci. Zwróć uwagę na jego oczy. Chłopcy, których spotkałem w zakładzie dla obłąkanych, byli bardziej normalni niż on.

Strugi deszczu spływały Trevaskisowi po twarzy na szyję i ześlizgiwały się po medaliku ze świętym Krzysztofem.

— Dopóki wszystkiego nie spaprze, nie będę się tym przejmował.

Ale powiem ci jedno: nienawidzę tego drania. A jeśli pokrzyżuje mi plany... — Trevaskis nie dokończył zdania.

— Jest tylko jeden powód, dla którego zabieramy tego dzieciaka ze sobą — dodał.

— Jaki?

— Zastanów się, Rick.

W tym momencie z domu wyszedł Ruhr. Amerykanie natychmiast umilkli. Niemiec okrążył rangę rovera i stanął z założonymi rękami. Spojrzał w górę na rozjaśniające się niebo. Chmury i mżawka sprzyjały jego celom. Spojrzał na zegarek. Była szósta pięćdziesiąt osiem.

— Nadal jestem zdania, że nie powinniśmy jej ze sobą zabierać — Trevaskis obrzucił Ruhra twardym spojrzeniem, które nie zrobiło na Niemcu wrażenia, a tylko go rozdrażniło.

— Albo ją zastrzelmy, albo zostawmy w domu — dodał Amerykanin.

— Pojedzie z tyłu pojazdu. Wszystko już omówiliśmy. Sprawa jest zamknięta, Trevaskis.

— A co potem? Co potem z nią zrobimy?

Ruhr nie odpowiedział. Trevaskis niepokoił go. Amerykanin wsunął kciuki za pasek spodni.

— Słyszałem przez radio w samochodzie, że ten twój Pagan wrócił do pracy, Ruhr. Wyszedł ze szpitala, żeby cię ścigać. Jakie to wywołało na tobie wrażenie, panie Szpony?

Ruhr odszedł kilka metrów od samochodu. Nie miał zamiaru



komentować informacji Trevaskisa, która została wymierzona w niego jak wyzwanie. Pagan był policjantem, a wszyscy gliniarze byli do siebie podobni: nie mieli żywej wyobraźni. Po takim człowieku jak Pagan w najlepszym razie można się było spodziewać, że z powodu odniesionej rany stanie się bardziej niebezpiecznym przeciwnikiem, któremu nie tyle będzie zależać na schwytaniu Ruhra. co na pomśczeniu śmierci swoich kolegów. Policjant kierujący się pobudkami

osobistymi by! zawsze bardziej interesujący niż taki, który z trudem posuwał się naprzód, wykonując nudne rutynowe czynności śledcze.

Ale problemem Pagana zamierzał zająć się później. Teraz zaniepokoiło go coś innego.

Czasami bywało, że gdzieś przystanął albo wszedł do pokoju i miał przeczucie, niemal pewność, jakiś zwierzęcy instynkt, że stanie się coś nie po jego myśli. Często ta zdolność przewidywania dawała mu czas na zastosowanie wybiegu. Teraz to, co go zaniepokoiło, było nieuchwytnie jak słaba woń, przyniesiona powiewem wiatru.

Ogarnął wzrokiem wzniesienie za farmą, wpatrując się w błoto, wilgotną trawę i kępy pokrzyw. To, co go zaniepokoiło, znajdowało się na wzgórzu, był tego pewien. Nakrył dłonią rękojeść pistoletu i badawczo rozejrzał się po okolicy. Drzewa ociekały wodą, liście poruszały się, a błoto przykryły kałuże, w których jak w małych odłamkach luster odbijało się niebo.

Ruhr pomyślał o dziewczynie. Rodzice zeszłej nocy najpierw zatelefonowali do jej przyjaciół. Nie od razu wpadli w panikę, dręczył ich pewien niepokój, a po pewnym czasie byli może nawet zirytowani. A potem pewnie wyszli z domu, żeby jej szukać. Ale deszcz, błoto i ciemność powstrzymały ich, przynajmniej do świtu. Zatelefonowali też na posterunek policji.

Ilu policjantów mogło pełnić na nim służbę? A okolica usiana błotnistymi polami, rowami i siecią wijących się dróg nie mogła zostać szybko przeczesana. Chociaż teren w przeważającej mierze był

równinny, było tu wiele zapadlin, wysokich traw i zwartych skupisk drzew. Znajdowały się tu setki odosobnionych farm, domków weekendowych londyńczyków, wiatraków i opuszczonych ruin.

Ruhr poszedł kilka kroków w stronę wzgórza. Mógł zrobić to, co radził mu Trevaskis. Mógł zastrzelić dziewczynkę. Rozważył już tę możliwość. W swoim czasie bez wątpienia pozbędzie się jej. Ale teraz pamiętał dotyk jej skóry, mały biały stanik poplamiony błotem i myślał o jej wysokich kościach policzkowych, drobnej owalnej twarzy i krótkiej spódnicy ledwie zakrywającej uda. Przepływały przez niego znajome i niebezpieczne fale tęsknoty. Pełnia młodości i jedwabista wrażliwość — to dwa elementy równania, którego suma składała się na terror. A czym był terror, jeśli nie środkami bezgranicznej władzy? Poza tym na myśl o dziewczynie z Cambridge dręczyła go nieprzyjemna świadomość nie zakończonej sprawy.

Na korzyść dziewczyny przemawiał jeszcze jeden czynnik. Wyobraził sobie sytuację, w której byłby mu potrzebny zakładnik, żywa tarcza, przedmiot negocjacji. Na podstawie własnych doświadczeń wiedział, że zakładnicy są przydatnymi narzędziami. Zdumiewające było, jak milkła broń" sił porządku i prawa na wiadomość o wystawieniu na ryzyko życia niewinnych ludzi. Przerażone twarze zakładników były lustrem, które dawało wyobrażenie o systematycznie zastraszonym społeczeństwie. Co by się stało, gdyby pozwolono zakładnikom zginąć? Zawiodłby rząd, który został powołany, by bronić niewinnych, i zwyciężyłaby anarchia, której miały przeciwdziałać siły prawa.

Trevaskis był gotów zabić dziewczynę i tym się właśnie różnił od Ruhra. Amerykanin w ogóle nie brał pod uwagę możliwości znalezienia złota wśród odpadków. A Ruhr przeciwnie — był geniuszem w dziedzinie odwracania niespodziewanych okoliczności na swoją korzyść. Dzięki temu tak długo przetrwał.

Powiał wiatr. Zatrzęsły się drzewa, jak gdyby na gałęziach huśtała się gromada wiewiórek. Oprócz, trzasku konarów dał się słyszeć jeszcze inny dźwięk.

Wtedy Ruhr go zobaczył.

Na szczycie wzgórza pojawił się mężczyzna z rowerem. Szedł w stronę domu. Ruhr natychmiast rozpoznał mundur policjanta miejscowego posterunku. Tutaj, w wiejskim zakątku Anglii, policjanci wciąż objeżdżali na rowerach swoje rejony. Ruhr obserwował mężczyznę, który schodził zboczem w dół. Odwrócił nieznacznie głowę i zobaczył Trevaskisa z Rickiem, którzy zamarli w bezruchu, oraz dwóch Argentyńczyków, stojących nieruchomo w drzwiach.

Policjant dotarł do podnóża wzniesienia. Był nieco otyłym mężczyzną w średnim wieku i zasapał się, schodząc.

— Dzień dobry ■ — powiedział.

Ruhr zasłonił pistolet.

— Co za paskudny dzień — dodał policjant. Oparł o pień drzewa rower, sprawdził, czy się nie przewróci, i skierował się w stronę Ruhra. Błoto chlupało pod jego ciężkimi butami. Stał dwa metry przed Ruhrem.

— Szukam dziewczyny, która zaginęła — powiedział policjant. —  
Prawdopodobnie jeździła konno, ale wczoraj wieczorem koń wrócił  
bez niej do doniu. Czy przypadkiem nie widział jej pan?

Koń. Stephanie nie wspomniała o żadnym zwierzęciu.

— Przykro mi, ale nie — odparł Ruhr.

— No cóż. Niech pan ma oczy otwarte, jeśli można prosić. Każda  
informacja będzie cenna. Mieszka pan tutaj od niedawna, prawda? —  
zapytał policjant.

Ruhr potwierdził skinieniem głowy. I nagle zobaczył to na twarzy

mężczyzny: niepokój, pokryty szerokim niepewnym uśmiechem, który jednak nie mógł go zwieść. Nie miał wątpliwości, że został rozpoznany.

Policjant podrapał się po twarzy.

— Wszyscy wiemy, jakie są młode dziewczyny w dzisiejszych czasach. Spędzają noce ze swoimi chłopakami. A rodzice oczywiście jako ostatni się o tym dowiadują — powiedział. Starał się panować nad sobą. Nie chciał okazać podniecenia z powodu swojego odkrycia. Terrorysta, na którego polowano w całej Anglii, był tutaj, na jego własnym podwórku! — Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. Przepraszam za kłopot. — Policjant spojrział w kierunku domu, a potem ruszył w stronę drzewa. Wziął rower, a gdy zaczął się oddalać, Ruhr zawołał za nim:

— Panie posterunkowy! Chwileczkę.

Policjant odwrócił się. Ruhr zbliżył się do niego. Wiatr przybrał na sile, uginając drzewa na wzgórzu, a gwałtowny podmuch wzbil w powietrze suche liście.

— Słucham? — zapytał policjant. Pojedynczy liść opadł mu na ramię.

Ruhr zatrzymał się tuż przed posterunkowym. Wykonał szybki ruch, który na pozór wydawał się niewinny. Niemiec wyglądał jak człowiek, który przyklęka, żeby poprawić skarpetę albo sznurowadło w bucie. Sięgnął pod nogawkę spodni do skórzanej pochwy, przymocowanej na łydce. Wyciągnął nóż, zanim posterunkowy zdążył się

poruszyć. Policjant nie był dostatecznie szybki dla Ruhra, który wyprowadził nóż z ukosa, przebijając mu ostrzem gardło. Mężczyzna krzyknął, zaciskając kurczowo palce na przeciętej szyi, a potem osunął się na kolana, jak gdyby czuł potrzebę pomodlenia się, zaskoczony przez nadciągającą śmierć. Ruhr dźgnął go ponownie, wkręcając ostrze głęboko między żebra.

Policjant upadł na wznak, przewracając rower. Zawieszony nad ziemią przednie koło na próżno obracało się w powietrzu. Ruhr wytarł ostrze suchymi liśćmi.

— Cholernie imponujące — powiedział Trevaskis do Ricka.

## Rozdział IX

Villa Clara Province, Kuba

Okna domu wychodziły na ocean i wyspy, znane jako Archipelago de Sabana. Centralny dziedziniec otaczały duże stiukowe rzeźby. Fontanna rozpryskiwała odbijającą światło księżycy wodę, która spływała po posągu nagiej dziewczyny. Posąg był wspaniałym przykładem socrealizmu. Lider Maximo, który stał właśnie na balkonie z widokiem na fontannę, nie słyszał z wiedzy o sztuce, chociaż uważał się za jej konesera, gdyż nikt nigdy nie ośmieliłby się zakwestionować jego opinii. Wódz często zwykł wylewać z siebie potoki słów. Zdania płynęły za zdaniem, rojąc się jak pszczoły — zawile i barwne, a często wykrętne i enigmatyczne.

Lider Maximo walczył z pokusą zapalenia cygara, nałogiem, od którego od pewnego czasu się odzwyczajał. Minęła północ. Spojrzał w górę. Wysoko po niebie płynęły chmury i szumiał przyływ. Była

wspaniała, spokojna i jasna kubańska noc. Lider Maximo nie miał jednak odpowiedniego nastroju, żeby doceniać takie rzeczy.

Z sali poniżej dobiegały coraz głośniejsze odgłosy przyjęcia. Słysząc było dźwięki fortepianu. Ktoś opowiedział dowcip, który został przyjęty śmiechem. Przy wejściu na dziedziniec, w cieniu sklepień w kształcie łuku, stali uzbrojeni strażnicy. Zawsze byli tam, gdzie przebywał Lider Maximo. Wódz miał nawet swoich ludzi, którzy próbowali jedzenia, zanim wziął je do ust.

Odwrócił się od posągu i wszedł do domu. To dzisiejsze spotkanie towarzyskie było nie do zniesienia — paplanina, ludzie, którzy chcieli uścisnąć mu dłoń, prośby szeptane do ucha, przysługa tu, przysługa tam — jedno wielkie nudziarstwo. Przez chwilę słuchał fortepianu. Nie miał ucha do muzyki, a już szczególnie dzisiaj, kiedy był zniecierpliwiony.

Gdzie był minister finansów? Co go zatrzymało?



Lider Maximo zszedł po schodach na dół. Fortepian umilkł. W ogromnym salonie wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę. Wcześniej już zauważono, że wódz ma ponury nastrój, i goście starali się do niego dostosować. To, co mogło być głośnie, stało się nieme i dyskretne. Każdy starał się zadowolić Lidera Maximo. Wszyscy się z nim obchodzili jak z jajkiem. Każdy w jego obecności wstrzymywał oddech i uśmiechał się na zawołanie. Niektóre z kobiet, które towarzystwo mężczyzn doprowadzało zwykle do hysterii, prześcigały się w uprzejmościach. Był czymś więcej niż tylko mężczyzną, był kubańską ikoną, jak ukrywane gipsowe odlewy Chrystusów i Madonn, które nadal wszędzie można było spotkać, od Golfo de Guanahacabibes na zachodzie po Punta Caleta na wschodzie.

Na sali przebywali czołowi działacze partii komunistycznej, dowódcy wojskowi i atrakcyjne kobiety. Niektóre osoby przeniosły się do patio, gdzie na rożnie obracała się resztką pieczonego prosięcia, jarzył się węgiel drzewny, a na stolikach stały butelki z winem. Lider Maximo pogłaskał się po brodzie i spojrzał przez otwarte drzwi w kierunku patio.

Dostrzegł zbliżający się samochód.

Stara! się wydać czarujący przystojnej siwowłosej kobiecie, duńskiej dziennikarce, która chciała się czegoś dowiedzieć o więźniach politycznych, ale nie mogła się przedrzeć przez szpaler przybocznej świty oraz tłum towarzyszących wodzowi współpracowników. Zawsze też kręcił się wokół niego pewien

kolumbijski powieściopisarz, którego Castro trzymał w charakterze domowego pieska, oraz grupa komunistycznych funkcjonariuszy, a w niej Włosi, Hiszpanie i Hindusi — obserwatorzy komunizmu na Karaibach: fidelismo.

Lider Maximo miał zbyt napięte nerwy, by poświęcić uwagę zgromadzonym ludziom. Pomachał im tylko ręką i opuścił salę. Marzył o chwili samotności, co nie było zbyt egoistycznym pragnieniem, biorąc pod uwagę fakt, że po 1959 roku jego życie przestało do niego należeć. Przez trzydzieści lat był publiczną własnością, znacjonalizowany jak przemysł cukrowniczy, towarzystwa tytoniowe czy banki. Czuł się bardzo zmęczony i stary. Wiedział, że kubańska młodzież mówi o nim El Viejo — Stary. Gdzie się podziała jego wczorajsza wytrwałość? Co się stało z legendarną siłą?

Przeszedł przez patio, krocząc wyniośle w swoim wykrochmalonym polowym mundurze. Oderwał kawałek pieczonego prosięcia i włożył do ust. Mięso smakowało jak mocno przyprawiona samochodowa opona. Wypluł je. Znów zabrzmiały dźwięki fortepianu i rozległy się ciche śmiechy, będące raczej wyrazem ulgi niż prawdziwej wesołości.

Gdziekolwiek iek dzisiaj się pojawiał, wszędzie jego obecność wywoływała napięcie. Gdy opuścił główny salę, goście rozluźnili się. Siedział na krześle załamany i patrzył w roztargnieniu na pozostałości zbyt przypieczonej wieprzowiny przed sobą. W nagłym przypływie złego humoru zrzucił ze stołu talerz, który zabrzęczał na kamiennej posadzce i rozpadł się na części, rozsiewając po podłodze resztki

jedzenia. Nikt się nie odwrócił. Gdy El Jefe (tak również był nazywany) cokolwiek niszczył lub łamał, talerz albo ptawo. nigdy nie podnosiły się głosy krytyki.

Na wyspie nie wystarczało żywności, Z każdym dniem braki były coraz dotkliwsze. Każdy dzień przynosił nowe naciekania. Kiedyś krytyka koncentrowała się wokół ideologii. Ludzie pytali, jak realizować hasło o powszechnej oświacie, gdy ograniczony był dostęp do podręczników, albo czy Kuba dorówna krajom sowieckiego bloku. Obecnie ideologia nie była najważniejszym problemem, jaki /tprwftttł umysły Kubańczyków. Obywatele domagali się lepszego ǔdopatrzenia w żywność i inne dobra konsumpcyjne. Słuchali amerykańskich radiostacji, oglądali filmy, taśmy wideo oraz zakstane prawem magazyny, które były przemycane na wyspę, i czuli się pnfrrrywdzeni. Sto pięćdziesiąt kilometrów dalej, w Stanach Zjednoczonych, ludzie mieli wszystko. W kubańskich sklepach półki były puste albo wypełniały je bezużyteczne towary oraz ubrania projektowane w takich stolicach mody jak Warna w Bułgarii czy Braszów w Rumunii.

Po raz pierwszy od wielu lat Lider Maximo czuł niepokój.

Uczucie strachu nie było mu obce. Poznał je w Sierra Maestra, gdy w końcu lat pięćdziesiątych walczył z garstką ludzi przeciwko armii Batisty. I w 1953 roku, kiedy przeprowadził nieudany atak na koszary Moncady w Santiago. Tak, znał el temor, ale nigdy nie był tchórzliwy. Co zawsze o nim mówiono na Kubie? Fidel, ten ma największe timbales na całej wyspie! Ale teraz czuł inny rodzaj

strachu. Zdawał się słyszeć, jak jego statek — wyspa o długości prawie tysiąca trzystu kilometrów — ze zgrzytem stanął, silników nie można już było naprawić, a w zbiornikach zabrakło paliwa. Czasami zdarzało się, że strach przekształcał się w dziwną panikę. Lider Maximo często tracił orientację i zapominał. W<sup>1</sup> środku zdania nie pamiętał, co chciał powiedzieć, albo wykonywał jakąś czynność, której cel do końca pozostawał dla niego zagadką. Od czasu do czasu miewał bóle żołądka, zbyt nieregularne, by się zwracać o poradę lekarską. A pewnego razu poczuł taki chłód w sercu, jak gdyby ktoś je objął oszronioną rękawicą — niepokojącą dolegliwość, która trwała nie dłużej niż dziesięć sekund. To sprawa wieku, pomyślał. Pogarszał mu się wzrok

i wypadaly zęby, pewnie ulegala tez zniszczeniu instalacja wewnetrzna i centralna pompa. Czlowiek nie byl niczym wiecej jak skomplikowana maszyna, a wszystkie próby wyjaśnienia jej mechanizmów oraz sposobów ich naprawy zawodziły, poniewaz medycyna wciaz byla tylko prymitywna niby-nauka.

Moze strach nadchodził wraz z nieublaganym uplywem czasu.

Castro przechylinł na bok glowe, wsluchujac sie w skrzeczenie zab w oddali. Ich odglosy staly sie prawie ogluszajace. Spojrzal przed siebie. Nowi straznicy przejmowali wlasnie sluzbe, zajmujac ukryte w mroku stanowiska. W salonie ktos gral na fortepianie utwor skomponowany przez Silvia Rodrigeza, muzyka uznawanego przez rezim. Lider Maximo wiedzial, ze gdyby nie byl obecny, pianista zagralby kompozycje Cole'a Portera, Irvinga Berlina albo jakiegoś innego jankeskiego kompozytora. Do Lidera Maximo odnoszono sie z szacunkiem, a nawet go czczono. Wiedzial jednak, ze ludzie za jego plecami krytykujac go, oczerniajac i oskarzajac o doprowadzenie Kuby do bankructwa.

Dobiegł go odglos samochodu. Wstal i pociagnal sie za brode. Widzial zblizajace sie swiatla reflektorów. W miejscu, gdzie betonowa droga skrecala w strone oceanu, lampy pojazdu oswietlily biale grzywy przybrzeżnych fal. A potem silnik zgasi i trzasnely drzwi. Lider Maximo pospiesznie przeszedł przez patio, by powitac nowego przybysza, czmychnac z nim do pokoju na gorze i porozmawiac z dala od gwaru przyjecia.

Pokój był mały i oprócz biurka znajdowały się w nim tylko dwa krzesła oraz nieprzebrane stosy książek. Jedyne oświetlenie dawała lampa o zielonym odcieniu.

— Bardzo się spóźniłeś — powiedział Lider Maximo.

— Z powodu opóźnień w rozkładzie lotów — odparł gość.

Lider Maximo zrobił ręką gest zniecierpliwienia.

— Mów. Powiedz mi, jakie są rezultaty.

— Stało się to, czego się obawialiśmy. Studnia wyschła — powiedział gość.

Lider Maximo odchylił głowę do tyłu i spojrzał w sufit, na który duży nieruchomy wentylator rzucał cień podobny do krzyża. Przez zarost na twarzy wodza prześwitywał gruby, podwójny podbródek.

— Chcą się mnie pozbyć, nie myślę się, prawda? Chcą, żebym ustąpił.

— Nie, komendancie. Nie było o tym mowy.

Lider Máximo wyśmiał go.

— Nie powiedzą ci tego prosto w oczy. Rosjanie nie postępują w ten sposób. Będą się do ciebie uśmiechać, wznosić toasty za twoje zdrowie, a po dziesięciu wódkach wyściskają cię. Najlepsi z przyjaciół. Towarzysze! Tylko potem się przekonasz, że zostałeś okłamany i oszukany. Nie miej złudzeń, *compañero*, chcą się mnie pozbyć. Jestem nieposłuszny. I niezdyscyplinowany. Nie zawsze mogą roztoczyć nade mną taką kontrolę, jakiej by sobie życzyli. Gdyby na moim miejscu mieli bardziej uległego człowieka, hojniej otworzyliby dla Kuby swoje portfele.

— Nie sędzę, żeby to miało cokolwiek wspólnego z panem, komendancie — rzekł gość. — Rosjanie oświadczyli, że nie będą dłużej inwestować pieniędzy w Kubę na poziomie, do jakiego przywykliśmy. Nowe Politbiuro ma większe problemy na sw-owej kolektywnej głowie niż Kuba. Ale nadal będą kupować od nas cukier...

— O, to raduje moje serce. — Sarkazm Castra był tak ponury, że nie mógł uchodzić za zabawny. Poza tym poczucie humoru wodza było zanadto zjadliwe i ciężkie, by mogło stać się powodem wesołości. Urok, z którego sływał w młodości, zniknął bez śladu, wyjąłowany przez otaczającą Lidera Máximo rzeczywistość.

— ...po aktualnych cenach. Przewidywane są jednak znaczne redukcje w pomocy technologicznej. Rosjanie zamierzają wycofać trzystu swoich doradców. Wstrzymają też budowę wspólnych inwestycji, takich jak elektrownia atomowa w Jurugui. Nie zostaną też rozpoczęte żadne nowe przedsięwzięcia. Cytuję: “Nie możecie dłużej oczekiwać uprzywilejowanego traktowania”.

Lider Máximo był zły.

— Uprzywilejowane traktowanie! Zawsze mieliśmy z nimi specjalne porozumienie!

— Sowieci muszą oszczędzać, komendancie. To proste. Stoją w obliczu ekonomicznego chaosu we własnym kraju. Ich cała gospodarka jest skorumpowana i skrępowana przestarzałymi przepisami. Rosjanie zapłacili za Afganistan zbyt wysoką cenę. Nie odnoszą się już z entuzjazmem do idei szerzenia komunizmu w Ameryce

Środkowej. Jesteśmy świadkami nowej ery. Wewnętrzne sprawy stały się teraz sowieckim priorytetem. Naród radziecki jest rozgoryczony z powodu niskiego poziomu życia.

— Czy Ruscy zamierzają rzucić swoich dawnych sprzymierzeńców na pożarcie psom?

— Dadzą nam jakieś ochłapy, i to wszystko. Nie możemy spodziewać się wsparcia równie hojnego co w przeszłości.



Cochinos! Może powinienem sam udać się w podróż do Moskwy.  
To nic/ego nie zmieni.

Lider Maximo był zbył dumny, żeby iść do Rosjan z wyciągniętą czapką w dłoni i przyjmować odpadki, by zebrać o jałmużnę! Nigdy! Poza tym nie darzył sympatii} pierwszego sekretarza i uważał go za kapitalistę. Przyjmował Rosjanina ubiegłej wiosny, w czasie jego oficjalnej wizyty w Hawanie. Przeprowadzili wtedy poważne rozmowy na temat redukcji zadłużenia Kuby w stosunku do Związku Radzieckiego i nie szczędzili wzajemnych uśmiechów oraz gestów przyjaźni na rzecz, światowej prasy. A teraz, kiedy Liderowi Maximo potrzebne były dodatkowe kredyty i gotówka, gdy widział, jak rewolucja tonie w oceanie długów i rozpaczy, Rosjanie go opuścili.

Obaj mężczyźni przez dłuższą chwilę nie odzywali się do siebie. Z niższych kondygnacji dobiegały słabe dźwięki fortepianu. Za oknem wzmógł się wiatr i fale mocniej uderzały o brzeg. Z dziedzińca dał się słyszeć odgłos przesuwania magazynku wewnątrz karabinu automatycznego. Strażnicy zawsze byli w pełnej gotowości bojowej i nieustannie sprawdzali broń. Lider Maximo włożył okulary, podszedł do biurka i rzucił okiem na plik papierów.

— Czy wiesz, co to jest, compañoero? Projekty sporządzone przez naszych najlepszych specjalistów. Wykresy, liczby i naukowe symbole. Wykonali je pracownicy twojego ministerstwa. Przewidują dalsze niedobory zaopatrzenia w podstawowe artykuły. W wołowinę. Ryby. Mleko. Obuwie. Lekarstwa. Mógłby je złagodzić przyływ

twardej waluty. Ale skąd ją wziąć? Bez niej nie możemy importować dóbr. Braki staną się jeszcze dotkliwsze. I co zrobimy z naszymi żołnierzami, powracającymi z Angoli, gdy nie ma dla nich pracy?

Zmiał dokumenty w dłoni i cisnął nimi w powietrze. Gdy zaczęły spadać, uderzał w nie jak w lotki. A potem pozbierał je z powrotem z podłogi, jeszcze mocniej zgniótł w dłoni i wyrzucił przez okno. Odleciały, niesione porywem wiatru. Papeleo, powiedział z pogardą. Papeleo — biurokracja. I zaczął wdeptywać w podłogę te kartki, które zostały w pokoju, szurając nimi, jak gdyby były psim łajnem, które mu się przyczepiło do podeszwy. A gdy już wyczerpał całą swoją energię na to niecodzienne widowisko, usiadł przy biurku.

— Chcą mnie dostać — powiedział. — I to nie tylko Rosjanie, compañero. Są takie siły na Kubie, które chciałyby widzieć mnie martwym. A poza Kubą CIA wciąż pragnie zwietrzyć zapach mojej krwi. Ciągłe słyszę też opowieści o antyrewolucyjnych armiach, które powstają w różnych państwach Ameryki Środkowej. A emigracja w Miami? Przeważająca większość uchodźców zamordowałaby mnie z radością.

Umilkł. Przypomniawszy sobie stare czasy, gdy La Revolución była jego młodą kochanką, wybranką serca — pogodną, optymistyczną i wierną. A teraz przemieniła się, jak zdarza się wielu miłościom, w zrzędzącą starą babę, której wymagania stawały się z każdym dniem coraz bardziej niedorzeczne. Zrobiła się słaba, wymizerowana i obwisły jej piersi. A przecież kiedyś, w niezapomnianych latach młodości, te piersi były pełne, a brzuch gładki i jędrny. Jej wygląd

przynosił mu chlubę. Stracił dla La Revolución głowę i roztrwonił dla niej swoje najlepsze nasienie.

— Mam tylko kilku godnych zaufania przyjaciół powiedział Lider Maximo. — I brata. Ale on jest w Afryce. W moim otoczeniu jest wielu zbyt ambitnych ludzi, żebym mógł im bezgranicznie wierzyć. Oczywiście jest też straż przyboczna. Chociaż nawet strażnicy zmieniają czasami front. I mam ciebie. Ministra finansów. Czy mogę ci ufać, Rosabal?

Zdarzały się takie chwile, kiedy Rafael Rosabal w idział przez chwilę ducha młodego Fidela, nie tego gburowatego mężczyzny, który na starość stał się bardzo zawzięty, lecz człowieka o niezłomnej determinacji, nieodpartym uroku i magnetyzmie, dzięki któremu potrafił namówić ludzi, by na pokładzie kruchego i nadmiernie obciążonego statku Granma przepłynęli po wzburzonym morzu tysiąc czterysta kilometrów dzielące Meksyk od Kuby. Fidela o niezwykłym darze perswazji, który zdołał przekonać swoich zwolenników, że nie tylko przeżyją podróż, ale przetrwają morderczy upał i zimno oraz malaryczne ukąszenia komarów w niegościnnych górach Sierra Maestra. Wciąż w oczach Castra można było dostrzec tryumf — błysk z dawnych czasów, którego nie przyćmiły jeszcze, urojone w większości, rany i zdrady.

— Jestem po pańskiej stronie, komendancie. Tak jak zwykle — powiedział Rosabal.

Lider Maximo spojrzał na niego zamyślony.

— Problem jest oczywisty, tylko niełatwo go rozwiązać. Gdy

wygraliśmy walkę zbrojną z Batistą. stanęliśmy wobec zupełnie nieznanej nam sytuacji. Cóż żołnierze mogli wiedzieć o ekonomii? Albo o rządzeniu? Potrafili strzelać, ale nie mieli pojęcia o zarządzaniu przemysłem cukrowniczym, plantacjami tytoniu czy kopalniami. Dlatego zostały popełnione błędy. Bardzo poważne. Obsiano niewłaściwe pola...

Rosabal pomyślał: To ty jesteś za to wszystko osobiście odpowiedzialny, komendancie. Wystawiłeś Kubę na pośmiewisko przez swoje dziwaczne pomysły w dziedzinie agrokultury.

—...a podstawowe dla nas maszyny rolnicze rdzewieją w hawańskich dokach, gdyż nie mamy potrzebnych dźwigów. Być może nasze reformy rolne pozbawiły inicjatywy drobnych farmerów. Rzuciliśmy kapitalizm na kolana. Ale czym go zastąpiliśmy.'

Rosabal milczał. Poczł w skroni delikatne uderzenia pulsu. Znał ten sygnał, zwiastujący przyływ wściekłości, którą Castro często w nim wyzwał i nad którą nie zawsze umiał zapanować. Z największym trudem opanował się, zamykając oczy i bardzo mocno koncentrując uwagę na innych sprawach. Nie odpowiedział na pytanie komendanta, które i tak miało retoryczny charakter.

— W dzisiejszych czasach ludzie żyją dłużej, są bardziej wykształceni i mają lepsze perspektywy. Ale to ich nie zadowala, Dlaczego? — zapytał Lider Maximo.

Rosabal poczuł podmuch wiatru, który wpadł przez moskitierę i zmierzwił mu włosy. Kryzys minął, niebezpieczeństwo popełnienia błędu zostało zażegnane. Znow panował nad sobą.

— Nie mam pojęcia, komendancie — powiedział lekkim tonem. A pomyślał: ponieważ życie jest bezbarwne, a ludzie czują się bezradni. A teraz nawet Rosjanie nie będą cię wspierać. Doprowadziłeś Kubę do bankructwa i nieszczęścia, ty głupi kłownie w idiotycznym polowym mundurze z gabardyny.

— Problem nie leży w systemie, Rosabal — mówił dalej Castro. — Oczywiście, zdarzają się wypadki nieefektywności. Prawdziwy problem polega jednak na tym, że ludzie są egoistami. Ponad

rewolucję przedkładają własne dobro. Nie powiodło się nam dlatego, że nie wykształciliśmy społeczeństwa tak, jak mogliśmy. Nie oduczyliśmy ludzi samolubstwa. Wciąż nie mogą zrozumieć, że rewolucja wymaga nadzwyczajnej cierpliwości, wytrwałości i wyrzeczeń. W przeszłości żądaliśmy od nich ogromnego wysiłku, ale nasze wymagania nie były wystarczające. Teraz musimy domagać się jeszcze większych poświęceń.

— Większych poświęceń? — zapytał Rosabal. Komendant potrafił w typowy dla siebie sposób odżegnać się od winy i obciążyć nią społeczeństwo. Gdyby ludzie byli wykształceni, toby się odnieśli ze zrozumieniem do niedostatków w kraju i nie byłoby żadnych narzekań! Śmiechu warte! Gmin nie rozumiał rewolucji i Lider Maximo widział w tym istotę klęski!

Castro wykrzywił usta. W jelitach poczuł przeszywający ból. Zastanawiał się, czy nie ma wrzodów. Odczekał, aż niedyspozycja minie, zanim znowu się odezwał.

— Weźmy przykład. Kuba eksportuje obecnie prawie cały połów langusty i krewetek. W rezultacie jadłospis Kubańczyków został pozbawiony tych burżuazyjnych przysmaków. Ale odwrotna strona medalu jest taka, że dzieci nie mają krzywicy, a malaria prawie zupełnie przestała istnieć. Skoro Rosjanie nie zamierzają dłużej wspierać naszej rewolucji, musimy zacisnąć pasa o jedną dziurkę. Rosabal, musimy zażądać dłuższego dnia pracy i obniżyć pensje. Musimy mieć więcej ochotników w przemyśle budowniczym i na plantacjach trzciny cukrowej. Musimy eksportować więcej bydła.

Rosabala przepełniało uczucie pogardy dla Lidera Máximo. Przypomniawsobie małą salę w Pałacu Kongresowym w Moskwie, gdzie Anatolij Tol, minister finansów, szczegółowo opowiedział mu, jakimi strumieniami Związek Radziecki przelewał pieniądze na Kubę. Podkreślił słowo “strumień”, jak gdyby mówił o wylewanym do zlewu cennym płynie. Dokładne rozmiary pomocy technicznej i finansowej w ostatnich trzydziestu latach były niemożliwe do obliczenia. Rosabala szacował je na dwieście pięćdziesiąt miliardów dolarów amerykańskich. A co w zamian Związek Radziecki otrzymał? Członkowie Polubmir stawiali twarde pytania. Niektórzy z nich gotowi byli całkowicie pozostawić Kubę jej własnemu losowi.

Rosabala nie wspomniawsobie o tym wszystkim i liderowi Máximo. Sprowokowałaby tym wielogodzinną tyradę, przepełnioną goryczą\*\* i rozczuleniem się nad samym sobą. pyszałkowatymi okrzykami i waleniem się w piersi. Przemowy Castra, charakteryzujące się brakiem logicznego ciągu oraz nostalgicznymi dygresjami, mogły uwięzić słuchacza na cztery albo pięć godzin. Rosabala nie miał zamiaru dopuścić do takiego monologu. Czasami mowy przybierały niebezpieczny ton, groźby brały górę nad goryczą, a Castro zapowiadał zagładę swojemu największemu wrogowi — Stanom Zjednoczonym. Można było dostrzec wtedy w jego oczach płomień, który błyszczał dawnym niebezpiecznym światłem. Wciąż jeszcze potrafisz kąsać, fil Viejo, pomyślał Rosabala. Wciąż jeszcze jesteś niebezpieczny. Ale dla dobra Kuby musisz zostać usunięty.

Rosabala spojrzawsobie na zegarek. Za godzinę i dwadzieścia minut w

głębi angielskiej prowincji rozpocznie się pierwszy akt.

—Zacznijmy nową kampanię propagandową — rzekł Castro. —  
Jutro powiadomimy naród, że Rosjanie, którzy utrzymują teraz  
przyjacielskie stosunki z jankesami, opuścili swoich kubańskich  
towarzyszy. Rozpocznie się okres patriotycznego samozaparcia. Będą  
plakaty. 1 artykuły w prasie. Wystąpię w telewizji. Przemówię w  
radio. Wyjdę na place i ulice.

Rosabal słyszał głos, ale nie zważał na słowa. Podszedł do okna i  
skupił uwagę na ledwie słyszalnych dźwiękach fortepianu, które



dobiegały z dołu. Była to niezawodnie “Guantanamera”. Spojrzał na pełen gości dziedziniec.

Dostrzegał wśród nich swoich zwolenników — starego żołnierza, który walczył u boku Fidela w Sierra Maestra, ale stracił całą wiarę w niego, dziennikarkę, autorkę krytycznych reportaży o komunizmie, które anonimowo krążyły wśród czytelników, oraz wysokiego urzędnika z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który gardził stworzonym przy własnym współdziałaniu policyjnym państwem.

Rosabal odwrócił się w stronę Fidela, który nie przestawał mówić. Czy chciał w ten sposób rozwiać wątpliwości i rozproszyć własne obawy? Czy topił prawdę w pustym dźwięku słów? A może ta swobodna i zawiła paplanina była wynikiem działania trucizny, którą mu jego osobisty lekarz systematycznie od trzech miesięcy wprowadzał do organizmu? Podawana dawka nie miała zabić drania, a jedynie go oszołomić i osłabić. Rosabal nie chciał, żeby Lider Maximo umarł w ten sposób. Chciał mu patrzeć prosto w oczy w chwili śmierci.

Gdy nadejdzie właściwa pora, Rosabal zabije go osobiście.

I do Rosabala będzie należeć wyspa, uwolniona od dyktatora, którego czas minął i którego polityka nie tylko zawiodła, ale wydarła serce smutnej, umierającej Kubie. Jej zwłoki ledwie utrzymywały się na powierzchni bladej błękitnej wody.

Norfolk

Range rover posuwał się powoli wąską drogą. Po obu jej stronach

ciągnęły się laski. Nisko nad horyzontem wisiało nie wróżące nic dobrego blade i zamglone poranne słońce, któremu było sądzone zniknąć znowu za kłębowiskiem chmur. Na moment przesłoniła je kościelna wieża. Wilgotne po ostatnich opadach kamienie nagrobków delikatnie migotały w blasku promieni. Był to uroczy, pogodny i spokojny zakątek świata, którego ciszę zakłócał tylko ptasi świergot. Krajobraz łagodził odgłosy przejeżdżającego range rovera.

Samochód prowadził Flavell. Nic nie jechało za nim ani z przeciwka. Świat zdawał się być wyludniony. Ruhr siedział z przodu, a dwaj Amerykanie razem z Zapino z tyłu. Dziewczyna, skrupowana i zakneblowana, leżała zwinięta na podłodze. Nie ruszała się. Widziała ciało zamordowanego policjanta przysypane opadłymi liśćmi i widok ten przeraził ją. I przedtem bała się śmierci, ale myśl o niej chwilami odpływała jak zły sen. Teraz było inaczej. Otaczała ją rzeczywistość, z której nie mogła się przebudzić. Jezu, powtarzała szeptem bez końca.

Ruhr obserwował drogę. Nie potrzebował mapy, która leżała zwinięta w samochodowym schowku. Znał na pamięć wszystkie zakręty oraz skrzyżowania przed sobą. Spojrzał na zegarek. Była ósma rano. Tablica drogowa sygnalizowała, że dotarli do wioski Hornside. Wąska główna ulica, pub, piekarnia, sklep z antykami, kościół i miejscowość jak stara widokówka była już tylko wspomnieniem.

Range rover jechał dalej. Ruhr ponownie sprawdził czas. Dziesięć minut po ósmej. Wąska droga wiła się. Z przodu wyłonił się młyn z

wielkimi nieruchomymi skrzydłami. Potem droga się rozwidła.  
Ruhr polecił Flavellowi wjechać pomiędzy drzewa i ukryć samochód.  
Flavell wyłączył silnik i zapanowała cisza.

Była ósma trzynaście.

Ruhr kazał mężczyznom przygotować broń. Rick, odpowiedzialny za gaz łzawiący, wysiadł z samochodu i zaczął ostrożnie ustawiać kanistry na pokrytej rosą trawie. Argentyńscy sprawdzili magazynki w swoich automatycznych karabinach. Trevaskis dotknął świętego Krzysztofa, a potem obejrzał broń. Steffie Brough mocno zacisnęła powieki. Nie chciała na to patrzeć. Ani na mężczyzn, ani na ich karabiny, pragnęła oślepnąć i uwolnić się od wszystkiego, co wtargnęło w jej życie. Jezu Chryste, proszę, pomóż mi. Niczego złego nie zrobiłam. Nie zasłużyłam na to. Zabierz mnie stąd, a będę twoja do końca życia.

Ruhr jeszcze raz spojrział na zegarek. Ósma siedemnaście. Wokół wciąż panowała cisza. Ale tkwiła w niej jakaś ponura groźba, jak gdyby coś, co długo drzemało pod ziemią, miało się wydobyć na powierzchnię. Ruhr obserwował drogę zza drzew. Podniósł do ramienia miotacz ognia. Zwrócił twarz w stronę nieba, z którego znikło słońce. Nasłuchiwał. Z oddali dobiegł go słaby odgłos. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Pięknie.

I nagle usłyszał inny hałas — niskie dudnienie silników o wielkiej mocy, których wibracja wprawiała w drzenie nieruchome powietrze.

— Wiecie, co macie robić — rzekł Ruhr. Jeśli nie wiedzieli, na naukę i tak było już za późno. Czas na powtórki dawno minął.

Ruhr wpatrywał się w drogę z za zielonego parkanu drzew. Zobaczył długą ciężarówkę, przykrytą ciemnozielonym brezentem. Ciężka i ponad dziewięć metrów długa poruszała się z prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Bezpośrednio przed nią jechały trzy jeepy, a po każdej jej stronie dwa motocykle. Z tyłu mała furgonetka wiozła kilkunastu uzbrojonych żołnierzy. Jęczały silniki wielkiego pojazdu i trzęsła się ziemia pod stopami. Ruhr ponownie spojrzał w niebo.

Pojawił się tam jak fruwający pająk czarny helikopter typu Cobra

bez numerów identyfikacyjnych z przyciemnionymi szybami. Zszedł nisko i prześlizgując się niemal po wierzchołkach drzew, spłoszył siedzące na gałęziach ptaki. Powietrze wypełnił ogłuszający warkot, dzień stał się nagle szalony, ale to był zaledwie wstęp.

Teraz, pomyślał Ruhr. Naciągnął maskę na twarz. Pierwsze rzucone przez Ricka kanistry eksplodowały przed jeepami. Klębiący się dym uniemożliwiał oddychanie. Ruhr wycelował z miotacza ognia w jeepy. Ich pasażerowie, choć zdziwieni pojawieniem się nie wiadomo skąd gazu łzawiącego, byli przygotowani na taką ewentualność i sięgnęli po maski przeciwgazowe. Trevaskis otworzył ogień ze swojej M-60. Jeden z jeepów przewrócił się, zsunął do rowu i stanął w płomieniach.

Śmigła cobry rozwiewały dym i spaliny. Ogień broni maszynowej z helikoptera był skierowany w eskortę na motocyklach. Zbiorniki paliwa motorów wybuchły w chwili, gdy śmigłowiec otworzył ogień do małej furgonetki. Żołnierze rozpierzchli się wśród drzew, mierząc z karabinów automatycznych w niebo.

Ruhr ponownie strzelił ogniem, który rozerwał na części drugiego jeepa. Płomień, wyższy od otaczających go drzew, utworzył szeroki, jaśniejszy od słońca niebiesko-pomarańczowy słup. Zapino i Flavell, obaj w maskach, pobiegli pomiędzy drzewami w stronę długiej ciężarówki. Kierowcy schodzili z szoferki, strzelając w kierunku śmigłowca. Cobra polowała na żołnierzy. Wymykała się pociskom, rozpryskując pomiędzy drzewami kule. Chciała zlikwidować roz-

proszony szwadron, zanim zdoła wezwać posiłki. Ruhr wiedział, że wcześniej czy później i tak przybędą. Wolał jednak, żeby nastąpiło to jak najpóźniej.

Obserwował przebieg akcji z cichą satysfakcją. Widział, jak Zapino z F)aveliem dotarli do ciężarówki. Znowu użył miotacza, którego ogień rozprzestrzenił się na skupiska drzew. I nagle z grubego pomarańczowego słupa dymu wyłonił się zielony wojskowy helikopter, który najprawdopodobniej należał do eskorty.

Ruhr przyglądał się coby, która jak wielki tajemniczy kruk wzbiła się w górę i wyciągnęła wojskowy śmigłowiec z dymu, plusnęła ogniem i helikopter zaczął przechylać się na boki, a potem chcąc umknąć, skierował się w dół i gwałtownie zaczął się zniżać. Cobra jak oszalały nietoperz nie dawała za wygraną. Ruszyła w pościg za maszyną z godną podziwu wytrzymałością. Bitwa w powietrzu była krótka. Wojskowy śmigłowiec eksplodował i cobra zawróciła, by uciec poza zasięg ognia.

Nie była jednak dostatecznie szybka. Płomienie i odłamki trafionego helikoptera dosięgły jej zbiornika z paliwem. Nastąpił wybuch. Cobra gwałtownie i widowiskowo rozpadła się na części, które płonąc spadły na łąkę.

Ruhr, który nigdy nie pozwolił sobie na rozczarowanie zmieniającym się losem wojen, wyszedł pospiesznie zza osłony drzew, ostrzelując przed sobą teren / M-16. Był w swoim żywiole. Wczuwał się w bitwę i poruszał bez zastanowienia, zdając się na instynkt. Zapino

dotarł do kabiny ciężarówki. Flavell leżał martwy pod dużymi przednimi kołami. Wszystko płonęło — jeepy, motocykle, furgonetka, wraki śmigłowców, drzewa i opuszczona stodoła w pobliżu. Taki krajobraz mógł wyobrazić sobie tylko piroman. Wszystko stało w ogniu, oprócz tego, co się naprawdę liczyło: długiej ciężarówki z zielonym brezentem.

Ruhr wspiął się do kabiny i usiadł za kierownicą. Włączył silniki i przejechał nad ciałem Flavella, po wrakach samochodów i zwłokach żołnierzy. Coraz rzadziej dobiegały odgłosy wystrzałów ukrywającego się w lesie wojska. Trevaskis z Rickiem odpowiadali ogniem, biegnąc w stronę zaparkowanego range rovera. Rick został trafiony w szyję i upadł na twarz.

Ruhr nacisnął pedał gazu ciężarówki. Trevaskis, za kierownicą range rovera, ruszył za nim. Wyjechali z lasu. Odgłosy wystrzałów stawały się coraz słabsze. Ruhr jeszcze mocniej docisnął pedał gazu. Jadąc wąskimi i pustymi alejami w stronę lotniska, nie mógł przekroczyć prędkości siedemdziesięciu kilometrów na godzinę z powodu ciężaru przewożonego ładunku. Drzewostan był tutaj zaskakująco gęsty. Cisza rozciągających się za nim łąk i samotnych farm pogłębiała atmosferę tajemniczości.

Ruhr spojrzął w boczne lusterko. Range rover jechał tuż za nim. Od lotniska dzieliło ich półtora kilometra. Spróbował przyspieszyć. Przy prędkości osiemdziesięciu kilometrów na godzinę ciężarówka zaczęła wibrować. Gdy lotnisko pojawiło się w polu widzenia, wstrząsał nią astmatyczny kaszel i podskakiwała, grożąc śmiercią.

Na pasie startowym stał potężny samolot transportowy typu C-130. Miał włączone silniki. Ruhr podjechał pod hydraulicznie sterowaną rampę, która była ustawiona pod kątem przy tylnych drzwiach w podbrzuszu transportowca. Obok ciężarówki zatrzymał się range rover, z którego wyskoczył Trevaskis.

— Czym prędzej przenieśmy ten parszywy ładunek! — zawołał.

Ruhr miał jednak najpierw co innego do zrobienia. Sięgnął po dziewczynę do range rovera.

— Chryste — powiedział zbity z tropu i rozzłoszczony Trevaskis. Rick i Flavell nie żyli, i jeśli ktoś zdołał wezwać posiłki, zaraz mogło



się tu zaroić od żołnierzy, a pomimo to Ruhr znalazł czas, żeby zabrać ze sobą dziewczynę. Cholerny zboczeniec.

Ruhr zaniósł StefTie do rampy. Częściowo rozpięta bluzka odsłaniała drobne białe piersi, a pochlapana błotem spódnica była z jednej strony zadarta w górę. Dziewczyna patrzyła szeroko otwartymi oczami, przekrwionymi z powodu gazu łzawiącego. Jeśli coś wyrażały, Ruhr nie potrafił tego odczytać. Miała wyschnięte, popękane i pozbawione koloru usta. Ruhr zdjął jej z szyi szkolny szalik i starannie ułożył go na tylnym siedzeniu rangę rovera, a potem podniósł w górę drobne ciało i podał je mężczyźnie, który stał wewnątrz samolotu transportowego i bez pytania przejął ten nieoczekiwany towar.

Trevaskisa zaintrygowało dziwne zachowanie Ruhra. Przyprowadził do rampy Zapina, by pomógł załadować na samolot zdalnie sterowany pocisk nuklearny i oddzielną prostokątną komorę o wymiarach dwa na dwa i pół metra z urządzeniami sterującymi.

Ta cenna zdobycz była skradzioną własnością NATO.

## Rozdział X

### Norfolk

Było tuż po dziesiątej rano, dwie godziny po akcji. Wśród wielkiego zamieszania karetki pogotowia przyjeżdżały i odjeżdżały wiejskimi drogami, z których dotychczas korzystały konie i furmanki. Pod parasolami stała gapia z pobliskich wiosek, a niektórzy z nich, żądni makabrycznych wrażeń, robili zdjęcia pomimo perswazji

żandarmów. Lekarze w przemoczonych białych kitlach, angielski duchowny, grupa małomównych wojskowych śledczych i zawsze obecni dziennikarze — stanowili upiorne zgromadzenie, jakie zwykle towarzyszy przelewowi krwi. Pagan patrzył na ten zatłoczony cyrk z mieszanymi uczuciami, a wszystkie były posępne. Na skutek szybkiej jazdy samochodem z Londynu dokuczał mu palący ból w piersi, pomimo zażytej ostatnio pethidiny.

Padał zimny deszcz. Foxie postawił kołnierz i wyglądał jak hazardzista modlący się o zwycięstwo w ostatniej gonitwie dnia, w którym poniósł same straty.

— Jestem głodny — powiedział cicho Pagan.

Mówił przez zęby i Foxworth wiedział, że Frank jest w ponurym nastroju. Przyczyną były też wydarzenia ubiegłego wieczora w hotelu, Amerykanka kubańskiego pochodzenia i człowiek o nazwisku Rosabal, który okazał się członkiem rządu Castra. Foxie przeczuwał, że wczoraj Franka coś głęboko poruszyło, chociaż nie wiedział co. Pagan dziwnie zareagował na informację o Rosabalu i udawał, że wcale nie słucha. Czy ta kobieta była dawną miłością Franka, o której wciąż nie mógł zapomnieć? Foxie był niestrudzonym obserwatorem znaków w osobistym życiu Pagana i rozwinął w sobie umiejętność odczytywania większości z nich, w tym nawet oznak miłości. Od czasu do czasu jednak Frank maskował się i zamykał w sobie. A teraz był właśnie jeden z takich momentów.

— Szukała Ruhra połowa sił policyjnych kraju, a jemu i lak udało się zdobyć ten cholerny pocisk! — powiedział Pagan.

Na szczęście Pagana zadrgał mięsień.

— A wiesz, co jest najgorsze? Wśród żołnierzy jest kilku naocznych świadków, którzy dokładnie widzieli jego twarz, zanim włożył maskę przeciwigazową. Wiesz, co to znaczy? On chciał, żeby ludzie go widzieli. Pragnął zostać zauważony. Zachowywał się jak aktor, który wykonuje szybki numer z fajerwerkami. Chciał zostać doceniony przez widownię nawet na takiej zapadłej prowincji! Jezu Chryste! Po latach życia w ukryciu spodobał mu się smak sławy. To próżność, Foxie. Nagle poczuł smykałkę do teatralnych inscenizacji. Chcę go mieć. Muszę dostać tego drania.

Foxie przygląda! się grupie ekspertów, którzy dokładnie badali wraki dwóch helikopterów. Tu i ówdzie, w rowach i pod drzewami, leżały ukryte w wysokiej trawie ciała, których jeszcze nie zabrano. Sceneria przyprawiająca o mdłości. Foxie wsunął ręce w kieszenie przeciwdeszczowego płaszcza i pomyślał, że nieczęsto się zdarzało, żeby Frank Pagan był tak wytrącony z równowagi. Rozległo się wycie syren, a światła reflektorów przebijały się przez strugi deszczu, rzucając nikłe światło. Dzień był wyjątkowo paskudny.

— Pocisk nie był uzbrojony — zauważył Foxworth. Niewielkie pocieszenie. — Bez głowicy jądrowej jest tylko metalowym walcem odługości sześciu metrów — dodał.

— I potencjalnym zagrożeniem — rzekł Pagan. Patrzył, jak

układano na noszach żołnierza. Chłopak stracił nogę powyżej kolana. Pagan odwrócił twarz. W tym spokojnym miejscu, gdzie zwykle jedyną przemocą bywa pochwycenie myszy polnej przez sowę, otwarcie pazurów i krótki pisk agonii w blasku księżyca, odbyła się niebywała bitwa.

Od strony skrzyżowania nadjeżdżała służbowa limuzyna, władczo przeciskając się pomiędzy zaparkowanymi ambulansami. Wsiadł z niej Martin Burr, a za nim wyszedł minister spraw wewnętrznych, sir Frederick Kinnaird. Obaj mężczyźni skierowali się w stronę Pagana, omijając kałuże.

Pagan nie przepadał za ministrem spraw wewnętrznych, chociaż nie miał żadnego szczególnego powodu, żeby go nie lubić. Po prostu nie darzył sympatią polityków. Miał do nich takie samo zaufanie, jak do pośredników zajmujących się sprzedażą używanych samochodów. Głosuj na mnie, za kierownicą mojej partii siadywała tylko w niedziele starsza dama, która nigdy nie przekraczała prędkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Komisarz dokonał prezentacji. Zostały wy  
mienione stosowne uściski dłoni. Burr otworzył mały parasol i rozpostarł go nad sir Freddie. To przypomniało Paganowi o własnym ociekającym wodą wełnianym płaszczu oraz o przemoczonych włoskich butach.

— Czy rzeczywiście było to tak upiorne, jak wygląda<sup>1</sup> — zapytał Freddie Kinnaird.

Frank Pagan miał już na końcu języka słowa: Nie. to było urocze

przyjęcie, tylko zabrakło kanapek, Freddie, mój drogi promyku słońca. Zrobił jednak tylko niepewny gest w stronę zdewastowanego miejsca.

— Z tego, co zrozumiałem, został skradziony pocisk zdalnie sterowany — rzekł Kinnaird.

Pagan zwrócił uwagę na czarny płaszcz Kinnairda z gładkim aksamitnym kołnierzem oraz wytworny jedwabny krawat, który idealnie pasował do koszuli w paski, z pewnością uszytej na miarę na Jermyn Street. Kinnaird powiedział coś na temat pocisku, który był przewożony do Tucson w' Arizonie, gdzie miał zostać zniszczony zgodnie z radziecko-amerykańskim porozumieniem. Mówił cedząc słowa, jak gdyby każde z nich było bardzo cenne. Od czasu do czasu odgarniał z oczu cienki kosmyk włosów o barwie lnu.

— Przypuszczamy, że pocisk został zawieszony na lotnisko w pobliżu i wywieziony z kraju — rzekł Pagan. — W tym okręgu jest około sześciu pasów startowych, które pochodzą z czasów drugiej wojny światowej i w większości należą teraz do prywatnych klubów lotniczych. Wysłałem tam pracowników na inspekcję. Jeśli pocisk nie został wywieziony, nietrudno go było ukryć. W podziemnym tunelu, w magazynie albo garażu autobusowym.

— Dokąd mógł zostać wywieziony? — zapytał Kinnaird.

— Wszyscy się nad tym głowimy. Mam nadzieję, że wkrótce otrzymamy odpowiedź. RAF przeszukuje drogi powietrzne, ale skoro dotychczas nic nam nie powiedzieli, to znaczy, że o niczym nie wiedzą. W przeciwnym razie rozwodziliby się nad swoim sukcesem.

— Sądzę, że do przewiezienia pocisku byłby potrzebny duży samolot transportowy. Z pewnością zlokalizowanie takiej jednostki nie będzie trudne — powiedział Kinnaird.

— I nie byłoby, gdyby nie dwa czynniki, panie ministrze. Nie-sprzyjające warunki atmosferyczne i ogromny ruch w transporcie powietrznym w tym rejonie świata. Londyn znajduje się zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, a krajowe i zagraniczne linie powietrzne są straszliwie przeciążone — stwierdził Foxie.

— Po co ktoś miałby kraść pocisk bez głowicy jądrowej? — chciał wiedzieć minister.

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na jego pytanie. Deszcz bębnił o czarny parasol Burra.

— Czy coś wiadomo o zabitych terrorystach? — zapytał komisarz.

— Wciąż pracujemy nad ich zidentyfikowaniem — odpowiedział Pagan.

— Jest ich czterech. Dwóch zginęło w czasie ataku na ziemi. Dwaj pozostali w helikopterze. — Nagle Frank poczuł zniecierpliwienie. Bardzo lubił Martina Burra i podziwiał go, ale nie podobało mu się to, że komisarz przyjechał z Londynu i dopytywał się o postępy w śledztwie w chwili, gdy ludzie wykrwawiali się na śmierć, karetki przedzierały się do nich w strugach deszczu, a spalony, dymiący teren przypominał krajobraz po uderzeniu meteora.

— Lubią korzystać z helikopterów — stwierdził Freddie Kinaird. — Co wiadomo o tym, który brał udział w tej akcji? — zapytał.

Pagan miał ochotę rozpiąć płaszcz i udowodnić sir Freddiemu, że wbrew temu, co podawały ostatnio gazety, nie nosi pod koszulą stroju supermana. Opanował się.

— Sprawdzamy. Wiemy, że to była cobra, ale jej numery identyfikacyjne zostały zamalowane na czarno. Niczego poza tym nie wiemy. Przypuszczamy, że ten sam śmigłowiec uczestniczył w akcji na Shepherd's Bush. Ale na razie to tylko domysły. — Pagan z trudem się powstrzymywał, żeby w jego głosie nie zabrzmiała złość i gorycz. Myśl o drugim ataku helikoptera i butnej postawie morderców wstrząsnęła nim.

— Skoro już mowa o Shepherd's Bush, przykro mi z powodu pańskiej rany postrzałowej. Co za potworna historia. — Kinnaird zrobił gest, z którego był znany — otwarta dłoń na ramieniu Pagana, poufałość z zachowaniem odpowiedniego dystansu, jak gdyby między arystokratą a prostym człowiekiem mogła być tylko sugestia fizycznego kontaktu, nic więcej. Ich lordowskie moście mogły rznąć służące dziewczki, ale zażyłe kontakty z lokajami były nie do pomyślenia.

Pagan podszedł do wraku cobry. Zmarli terroryści leżeli zakryci plastikowymi prześcieradłami, spod których niewyraźnie prześwitywały ich zwęglone twarze. Mężczyźni w ochronnych rękawicach wybierali szczątki, które już ostygły. Pagan przez chwilę przyglądał się ich pracy. Z takiego pobojowiska informacja mogła wyłonić się bardzo powoli — jakiś odcisk palca, numer identyfikacyjny silnika, a może spalona fotografia w portfelu. Wydobyć z tego chaosu czegokolwiek, co by mogło być przydatne, musiało zabrać wiele czasu.

Do wraku pospiesznie zbliżył się Foxie.

— Otrzymałem informację z miejscowości St Giles. Wydaje się interesująca. To tylko kilka kilometrów stąd.

— Z radością powitam wszystko, co wyrwie mnie z tego piekła — rzekł Pagan.

— Sprowadzę samochód. — I Foxie odszedł, zwinnie okrążając niewielkie płomienie, które tu i ówdzie wciąż migotały we mgle.

Lotnisko za wioską St Giles było kiedyś zaniedbanym miejscem,



które się kojarzyło z krzepkimi wąsatymi pilotami w samolotach typu Spitfire, które szybko odrywały się od ziemi, żeby pokonać Szwabów. Ostatnio jednak stare hangary i wieża kontrolna zostały odnowione na jaskrawoniebieski kolor. Ktoś zadał sobie trud i poniósł wydatki, by doprowadzić to miejsce do porządku. Przemoczony czerwony rękaw powiewał na wietrze, a jaskrawe litery napisu umieszczonego na wieży głośiły, że znajduje się tu Klub Lotniczy Wschodniej Anglii. Małe samoloty przymocowano łańcuchami do ziemi wzdłuż pasa startowego dla zabezpieczenia przed wiatrem.

Foxworth z Paganem wysiedli z samochodu. Znaleźli się na całkowicie otwartej przestrzeni. Zalesiony teren za hangarami, gdzie wokół range rovera stała grupa mężczyzn, zasnuła rzadka wilgotna mgła. Pagan ruszył w ich stronę wzdłuż pasa startowego, a Foxworth podążył za nim. W pewnym momencie Pagan zatrzymał się, ostrożnie uklęknął na polu startowym i zanurzył palec w świeżej oleistej cieczy. Był to rodzaj kleistego, zielonego płynu hamulcowego, który nie mieszał się z wodą. Wstał, otarł ręce i poszedł dalej w kierunku zagajnika.

Obok niebieskiego range rovera z pootwieranymi drzwiami stali trzech mężczyźni. Pagan rozpoznał w jednym z nich Billy'ego Ewinga, Szkota, który pracował w biurze przy Golden Square. Dwaj pozostali byli prawdopodobnie policjantami z tutejszego posterunku. Billy Ewing bez względu na porę roku miał zaczerwieniony mały nos i zażawione błękitne oczy. Jak zwykle trzymał w dłoni wymiętą chustkę. Cierpiał na nie znaną nauce medycznej alergię. Jego życie

było jednym nie kończącym się siąkaniem.

— Niczego nie dotykaliśmy, Frank — powiedział Ewing i jak zwykle wydawało się, że za chwilę kichnie.

Samochód był zamaskowany, ale niedokładnie. Ktokolwiek chciał go ukryć pomiędzy drzewami, robił to albo w pośpiechu, albo nie dbał

oto, że zostanie odkryty. Pagan zajrzał do środka. Na podłodze leżały pudełka z nabojami, zbyteczny karabin, dwie rakiety i trzy auto-

ma tyczne pistolety — całkiem niezły arsenał. Spojrzał na tablicę rozdzielczą. Samochód przejechał zaledwie pięćset kilometrów.

Wciąż pachniał nowością.

Billy Ewing zakasłał.

— Staruszek, który nielegalnie łowił ryby w pobliskim strumieniu, twierdzi, że dzisiaj rano usłyszał potworny ryk, a kiedy spojrzął w górę, zobaczył — cytuję: “owłosionego fruującego potwora o długości ośmiuset metrów”, który wzbił się w niebo tuż nad jego głową. Twierdzi, że go śmiertelnie wystraszył. Jeśli chcesz z nim porozmawiać, Frank, znajdziesz go w pubie w St Giles, dokąd poszedł, żeby znaleźć antidotum na swoje przerażenie.

Słuchając Ewinga, Pagan sięgnął na tylne siedzenie samochodu. Leżał tam szalik o barwie wina z rodzaju tych, jakie są częścią szkolnego umundurowania. Wziął go do ręki. Widniały na nim wyszyte małe stylizowane litery MLO. Ostatnie dwie mogły oznaczać Liceum Ogólnokształcące.

— Czy coś z tego rozumiesz? — zapytał Foxie.

Pagan nie odpowiedział. Miał dziwne mgliste przeczucie, które nie dało się jeszcze jasno sprecyzować. Przytknął szalik do nosa. Poczul bardzo słaby zapach róży.

— Należy do dziewczyny. Chyba że teraz chłopcy też używają perfum — powiedział.

— Znalazłbyś kilku takich — zauważył Ewing tonem filozofa, który przywykł do paradoksów. — Świat stał się zabawny w dzisiej-

szych czasach, Frank — dodał.

— Skąd tutaj wziął się szalik? — zapytał Foxworth.

Znów ogarnęło Pagana to samo niepokojące przeczucie.

— Wydaje mi się, że Ruhr rozmyślnie go tutaj zostawił — powiedział.

— Ale dlaczego? Czy sądzisz, że chciał ci zagrać na nosie, Frank?

Pagan spojrział w kierunku zagajnika. Niepokojny umysł Ruhra, którego powierzchnię Pagan zdołał zaledwie poskrobać po wierzchu w czasie przesłuchania, wydawał się błyskotliwy. Był jak nie znana dotychczas planeta, która dryfując groziła w każdej chwili zderzeniem z Ziemią.

— To jest możliwe. Sądzę, że wziął zakładnika i chce, żebym o tym wiedział. Cieszyła go myśl o znalezieniu przeze mnie szalika.

Pagan wzruszył ramionami. Skąd mógł mieć tę pewność? Błysk światła minął i umysł Ruhra był znowu dla Pagana pogrążoną w mroku planetą.

— Spróbujmy się dowiedzieć, co oznaczają litery MLO. A potem sprowadźmy chłopców z oddziału daktyloskopii — /wrócił się do |  
oxiego.

Gdy zerwał się wiatr, który wyjąc wśród drzew ogałacał gałęzie z liści, Foxworth zadrżał. Źle wpływało na niego to wyludnione lotnisko, tajemniczy zagajnik i szalik dziewczyny. Nie radował go też widok Franka, który ukradkiem połykał kolejny środek przeciwbólowy, odwracając twarz w drugą stronę i przemycając tabletkę do ust jak bardzo zły aktor.

— Billy, jeszcze przez chwilę miej tu wszystko na oku — rzekł Pagan.

— Oczywiście — odpowiedział Szkol, kichając gwałtownie w chustkę.

Pagan z Foxworthem wrócili do służbowego samochodu. Wypełniony powietrzem czerwony rękaw szybko uniósł się w górę, a potem miękko opadł i znów stał się bezkształtny.

Cabo Gracias a Dios, Honduras

Przed południem panowała piekielna wilgoć. Nawet ospałe powiewy morskiego wiatru nie mogły rozwiać jej lepkości. Mężczyzna, który stał na wzgórzu, skąd rozpościerał się widok na ocean, nosił bardzo ciemne okulary i powyginany kapelusz panama. Miał przy sobie owadobójczy środek w aerozolu, którym od czasu do czasu spryskiwał komary, które roiły się wokół niego.

Nazywał się Tomas Fuentes — La Gaviota i był Amerykaninem kubańskiego pochodzenia, a przydomek Mewa wywodził się od jego zadziwiających umiejętności pilotowania hydroplanów. Latał nimi, nie zważając na burze, wiry czy huragany i pomyślnie lądował. Z pogardą szaleńca odnosił się do wszystkich zsyłanych przez bogów niesprzyjających warunków pogodowych.

Patrzył w kierunku plaży, obserwując kilkadziesiąt samolotów bojowych, które parami wzbijały się na wysokość pięciuset metrów, a potem, schodząc do dwustu pięćdziesięciu, bombardowały piasek, strzelając do wymalowanych na środku białych plansz oczu byka. Samoloty — skyhawki, hurriery i F-16 pozbierane w różnych

miejscach świata, używały ślepej amunicji. Wiele plansz pozostało nie uszkodzonych, gdy samoloty zwartymi szykami odleciały, skręciwszy w lewo. Potem w stronę brzegu podpłynęła jednostka z pięćdziesięcioma amfibiami, a na każdej z nich znajdowało się piętnastu uzbrojonych ludzi. Mężczyźni codziennie ćwiczyli przedzieranie się przez morskie fale na brzeg, pospieszne forsowanie piaszczystej plaży i bezszelestne chowanie się między drzewami.

La Gaviota zdjął kapelusz i mankietem koszuli otarł pot z brwi. Miejsce było zagubioną na końcu świata dziurą. Odwrócił się od brzegu i godnie krocząc, skierował się w stronę swojego dużego namiotu. Pomimo zasilanego przez generator wentylatora, powietrze było duszne. Pewien francuski filozof przekonywał kiedyś ludzi, że nie ma piekła. Czym więc był płócienny namiot w jednej z republik Ameryki Środkowej otoczony wygłodniałymi gzami, dużymi jak butelki wina?

Fuentes nalał sobie zimnego piwa z lodówki i wypił je jednym haustem. Był roslym i tak muskularnym mężczyzną, że nawet wysunięte do przodu czoło sugerowało przewagę mięśni nad kośćmi. Każda z jego dłoni przekraczała długość dwudziestu pięciu centymetrów i nosił czterdziesty piąty numer wojskowych butów. Zmiał w garści puszkę jak bibułę i włączył radio, nastawione na krajową radiostację w rejonie El Paso. Odbiór nie był pierwszorzędny, ale lepszy niż żaden.

Kłapa od namiotu otworzyła się w chwili, gdy zamknął oczy, wsłuchany w brzmienie wysokiego głosu Emmylou Harris, która śpiewała *Feeling Single, Seeing Double*, Gościem okazał się zastępca Fuentesesa, którego przysłał z Waszyngtonu Harry Hurt. Mężczyzna był Anglikiem, nazywał się Roger Bosanquet i mówił z takim akcentem, jak gdyby miał kluski w ustach.

— Zrobili postępy — rzekł Fuentes. — Nie są jeszcze dokładni, ale poprawili się. — W tym miejscu Fuentes dodał słowa “mój drogi”,

gdyż tak właśnie wyobrażał sobie wzajemny sposób zwracania się do siebie Anglików, którzy byli na towarzyskiej stopie. Jego wysiłki, by mówić z oksfordzkim akcentem, były zatrwajające. Bosanquet kwitował je zawsze grzecznym półuśmiechem.

—Piechota bezbłędnie przeprowadza się na ląd. Nie można jej nic zarzucić. Jednakże piloci nie są precyzyjni. Potrzebują więcej czasu — powiedział Anglik, który zdobył wyszkolenie wojskowe w angielskiej akademii. Został jednak z niej wydalony z nie znanych Fuentesowi powodów, chociaż Amerykanin nie miał najmniejszych wątpliwości, że ową zbrodnią były skłonności homoseksualne. Zdradzali je wszyscy Anglicy. Takie było prawo natury.

Podstawowy błąd Fuentesesa polegał na tym, że widział tylko wypolerowane maniery i cichą uległość Bosanqueta. Nie dostrzegał twardego spojrzenia jego oczu ani determinacji, która była widoczna w zarysie szczęki. Nie doceniał Anglika i uważał go za baniato — tumana. Ale jednocześnie, chociaż nie chciał do tego się przyznać, zazdrościł Bosanquetowi jego wykształcenia i wyszkolenia wojskowego. Imponowało mu opanowanie Anglika. I jego klasa.

—Tylko, do cholery, już nie mają czasu! — powiedział Fuentes.

—Zegary nie stoją w miejscu. Lotnictwo musi zniszczyć pozycje obronne Castra na plaży, zanim piechota zejdzie na ląd. jasne? W przeciwnym razie ci biedni dranie zostaną na brzegu zmasakrowani.

Bosanquet otarł brwi kolorową chustką. Służył już pod dowództwem takich jak Fuentes Latynosów i nie lubił ich nagłych napadów gniewu. Byli odważnymi żołnierzami, lecz brakowało im



obiektywizmu, którego nie można było oczywiście od nich oczekiwać. Niecierpliwość i nierozsądek zostały w nich zaprogramowane. Lubowali się w teatralnych gestach. Łatwo wpadali w ataki furii. Trudno było przewidzieć ich zachowanie. A poza wszystkim innym, nie byli Anglosasami. Bosanquet, który w swoim życiu wykonał już niejedną brudną robotę dla Harry'ego Hurta, znalazł się w tym cuchnącym miejscu jako przeciwwaga Fuentesesa. (Miał też sporządzać tajne raporty dla Hurta).

— Jeśli lotnicy bardziej się postarają, wszystko wspaniale się powiedzie — powiedział rozsądnie Anglik.

— Cojones! Małpy Castra wystrzelają w pół drogi tych biednych drani na łodziach jak orzechy kokosowe.

— Tylko wtedy, kiedy będą mieli okazję. Ale wierzymy, że nie damy im tej szansy, prawda? — powiedział cicho Bosanquet. — Naszym zadaniem jest przygotowanie żołnierzy do gotowości bojowej. Akcja może wcale nie dojść do skutku. Poza tym dzięki ćwiczeniom nie nudzą się — dodał.

Fuentes, już spokojniejszy, zamruczał coś pod nosem i wzruszył ramionami. Był przy drugim piwie Lone Star. Jak wszyscy wymagający dowódcy, zawsze surowo oceniał swoich podwładnych. I jak każdy reżyser, modlił się, by wszystko przebiegło pomyślnie owego decydującego wieczora. Miał nadzieję, że aktorzy nie pomylą słów roli i natchnieni potężną magiczną mocą, wzniosą się do wyżyn boskości. Tak naprawdę był szczerze zadowolony ze swoich żołnierzy, choć nie miał zamiaru przyznawać się do tego. Nie wręcza

się Oskarów przed premierą.

Rozgniół komara na zielonym rypsie, którym był wyścielony stół do kart. Tak samo rozdepcze Fidela. Dyktator zostanie usunięty z Kuby.

Bosanquet otworzył skórzaną teczkę, w której znajdowało się kilka czeków bankowych i zbywalne obligacje państwowe. Fuentes przez chwilę przyglądał się tajnemu schowkowi. Wyobraził sobie, że odbiera teczkę Bosanquetowi, ucieka z łupem w góry, znika i wiecie rozpustne życie z dziewczynami o skórze koloru kawy. Ale bez trudu odrzucił tę pokusę. Do 1959 roku służył w siłach powietrznych Kuby, a po kilku

bohaterskich wyczynach w powietrznej bitwie przeciwko Castrowi nad Zatoką Świń awansował do stopnia majora Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Nie pasował jednak do kasyna oficerów amerykańskich. Miał nieodpowiedni wygląd, mówił z twardym akcentem i brakowało mu gładkich manier, a jego urazę pogłębiała obecność osób takich jak Bosanquet, które umiały ładnie się wysławiać i zawsze wiedziały, co i kiedy należy powiedzieć. Co się tyczy jednak lojalności w stosunku do przełożonych, Fuentesowi nie można było niczego zarzucić. Poza tym Harry Hurt nie należał do ludzi, których chciałoby się mieć przeciwko sobie. Fuentes czuł, że Hurt nie działa sam, a ma wokół siebie silną, bogatą organizację i jest tylko jednym z trybów tej potężnej maszyny.

Fuentes z trzaskiem otworzył trzecie piwo i cisnął aluminiowym języczkiem w łopatkę wentylatora, które go wessały, zagrzechotały nim i wyrzuciły.

— Masz tutaj mnóstwo forsy, Roger — powiedział.

— Dzisiaj jest dzień wypłat. — Bosanquet zamknął teczkę.

Fuentes zastanawiał się, jak długo człowiek może wytrzymać w takim miejscu. Gdy poszedł na emeryturę, kupił sobie sześćset-akrową posiadłość w Teksasie pomiędzy Amarillo i McLean, gdzie hodował bydło rasy Aberdeen-Angus, a w wolnych chwilach studiował historię wojen. Czasami miał wątpliwości, czy nie postąpiłby słuszniej zostając w domu. Lecz starzy samotni żołnierze jak pstrągi dawali się schwytać na dawną przynętę. Nie chodziło im

nawet o pieniądze. Ważniejsze było urozmaicenie nudnego życia w Teksasie. Po powrocie do domu czekały na niego tylko krowy. Tutaj przynajmniej miał do wyćwiczenia armię, przeważnie młodych kubańskich emigrantów z New Jersey i Kalifornii, których zwerbowano w wielkiej tajemnicy. Zaledwie kilku pochodziło z Florydy, gdyż Fuentes był zdania, że ludzie w Miami za dużo mówią. Miał też kilku najemników z Meksyku oraz Boliwijczyków, którzy twierdzili, że byli z Che do końca, i uważali, że Castro brał udział w spisku na życie Guevary. Na dodatek Fuentesowi podlegało jeszcze dwudziestu Amerykanów, weteranów wojny wietnamskiej, z których przynajmniej połowa działała na rzecz CIA. Znaczne były też zasoby uzbrojenia: karabiny automatyczne, granaty, raketnice, nie kończące się zapasy amunicji oraz dwadzieścia samolotów bojowych, które Hurt w zadziwiający sposób zdołał nabyć na wojskowych bazarach świata. F-16 zostały skonstruowane w Pakistanie, skyhawki pochodziły z Ameryki Południowej, a hurriery, chociaż amerykańskiej produkcji, zostały kupione w RPA.

Fuentes nienawidził Castra za kopniaki, które rozdawał na lewo  
144                   , i, . i.....—  
i prawo w Zatoce Świń. Jednym z obolałych tyłków był jego własny. Kuba bez Castra była marzeniem Tomasa Fuentesesa. Nie miał pojęcia, kto po Fidelu przejmie władzę, gdyż nikt mu o tym nie powiedział. Informacja ta nie była mu zresztą potrzebna. Wywnioskował, że przyszyły prezydent oraz jego rząd będzie wspierany przez dwie najpotężniejsze amerykańskie organizacje, przez które rozumiał CIA

i grupę wpływowych bogatych osobistości — przyjaciół Harry'ego Hurta, a także przez pewne liczące się frakcje wewnątrz kubańskich sił zbrojnych. Czy to miało jakieś znaczenie? Nikt nie mógł być gorszy od Castra. Fuentes zamierzał wykonać swoją robotę najlepiej, jak potrafił, i uważał, że gdy kurz opadnie, przyjdzie czas na polityków.

— Słyszysz? — zapytał Roger Bosanquet.

Tomas Fuentes przechylił głowę. Z góry dobiegał odgłos małego samolotu. Amerykanin wyszedł przed namiot. Od strony Nikaragui zbliżał się odrzutowiec typu Lear. Nadleciał nad lądowisko, wykarczowane przez wojsko Fuentesesa w tej zapomnianej przez Boga okolicy. Zniżył się, błysnął złoto-srebrzyście, dotknął ziemi, podskoczył i dalej już gładko popędził wzdłuż pasa startowego. Fuentes i Bosanquet zbiegli ze wzniesienia i skierowali się w stronę samolotu.

Lear dotoczył się do miejsca, w którym stali, i zatrzymał się. Otworzyły się boczne drzwi, wysunęły się schodki i dwaj mężczyźni, tak podobni z wyglądu i wzrostu, że mogliby uchodzić za bliźniaków, wyszli w nieznośny upał i wilgoć. Obaj mieli na sobie kwieciste koszule, okulary przeciwsłoneczne i nowe białe płócienne spodnie. Wyglądali jak początkujący wędkarze, których można spotkać na przybrzeżnych wodach Florydy. Nosili nazwiska Levy oraz Possony i mówili po angielsku z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem. Języka nauczyli się w latach sześćdziesiątych w Pradze, gdzie studiowali fizykę na tamtejszym uniwersytecie. Byli wybitnymi

studentami i zdolnościami przewyższali wszystkich swoich kolegów oraz większość profesorów. Od lat mieszkali w Tel Awiwie, w Jerozolimie, a potem w pewnym tajnym instytucie badawczym w Nagew, gdzie byli uważani za tuzy nauki, nawet jeśli ich wynagrodzenia nie przewyższały przeciętnych pensji urzędników państwowych. Powszechnie sądzono, zresztą zupełnie błędnie, że pochłonięci badaniami naukowymi nie przejawiają zainteresowania dobrami materialnymi. Przeoczono prosty fakt, że Levy z Possonym pochodzili z biednych krajów Europy Wschodniej i byli znużeni panującym tam antysemityzmem. Później jako czescy emigranci znaleźli się w kraju, gdzie posługiwano się językiem, którego nigdy nie zdołali opanować. Rozpaczliwie tęsknili za czymś, co by rozjaśniło ich życie. Byli zmęczeni nędzą, jakiej zaznali

w pogoni za wiedzą, i żebraniem o zasiłki. Mieli dość podatków na cele patriotyczne, które pożerały ich pensje. Obaj pragnęli wieść mniej spartańskie życie, a mówiąc uczciwie, nawet odrobinę grzeszne.

Zwrócił na nich uwagę jeden z członków Towarzystwa Kwaków — Harry Hurt. Dostrzegł w tych geniuszach mężczyzn, którzy wiodąc ascetyczny i monotony tryb życia, byli narażeni na liczne pokusy. Jak mnisi po uciążliwych latach życia w odosobnieniu, tak i oni, pobudliwi płciowo i nieżonaci, byli zmęczeni samotnością, która towarzyszyła badaniom wyższej fizyki. Levy i Possony przypominali dwie dojrzałe figi, po które wystarczyło sięgnąć ręką i ostrożnie zerwać przy blasku księżyca. Harry Hurt, który miał wiele osobistego uroku oraz otwartą książeczkę czekową, skorzystał z tej sposobności. Wręczył im walizki z pieniędzmi i zorganizował wakacje we wspaniałych egzotycznych miejscach, gdzie mieli łatwy dostęp do kobiet. Potem uświadomił im, z jakim wstrętem Castro, honorowy obywatel Palestyny, odnosił się do istnienia państwa Izrael. Czy pomoc w obaleniu reżimu Fidela nie byłaby cudownym i patriotycznym gestem? Levy i Possony niepokoiли się tylko, czy nie przyczynią się do zranienia kogokolwiek. Harry Hurt, który dla osiągnięcia celu obiecałby nawet pokojową Nagrodę Nobla Kadafiemu, z radością rozwiał ich wątpliwości. Uspokojeni, przystali na zdradę tajemnicy zawodowej. W zamian za spełnienie swoich życzeń Hurt im obiecał, że spędzą życie w jakimś tropikalnym raj.

Mieli otrzymać nowe paszporty na nowe nazwiska i stać się bogatymi ludźmi. A jeśli w przyszłości odczuliby potrzebę powrotu do badań, Hurt z ochotą stworzy im do tego warunki.

Levy i Possony przywitali się z Fuentesem, lekceważąc zupełnie Bosanqueta, jak gdyby intuicyjnie wyczuwali, że jest niższy rangą. Była w nich pogarda, z jaką mieszkańcy wieży z kości słoniowej odnoszą się do zaharowanych lokatorów piwnic i przytułków tego świata. Possony nosił grube szkła i wydawało się, że nic nie może ujść uwagi jego powiększonym oczom. Levy natomiast miał niepewne spojrzenie krótkowidza, sugerujące inteligencję graniczącą z zachwianiem równowagi psychicznej.

Tylko wściekłe psy i Anglicy — powiedział Bosanquet, wskazując w stronę niemiłosiernie palącego słońca. To miał być żart, ale nie został przez nikogo doceniony. Noel Coward nie był znany w Cabo Gracias a Dios.

— Mamy towar. Czy macie pieniądze? — zapytał Levy Bosanquet otworzył teczkę. Possony zaczął przeliczać obligacje i cze i z irytującą powolnością, jak stary księgowy, który zapomniał zabrać ze sobą liczydła.



— A Powiedział Possonv wszvs a? lowar rzekł Fuentes.

k l i m a t v/cnv' i ivT<sup>1</sup>T<sup>SZH</sup> P<sup>o</sup> Sl0pnu, ch do samolotu. Lear był Pilotów Ob-  
ii mp C g<sup>o</sup> IWIOtUł o<sup>1</sup>d7A<sup>1</sup> huenles spojrział w stronę kabiny skierował się do nr  
Tn<sup>1</sup>/a mieli w kaburach Pistolety. Lew

światło St<sup>1</sup>ih , n C /U W ty C 0dr/U<sup>1</sup>0WC;L Otworzył drzwi, włączył <\*> \*■\*\* o

T0War “tPO”ada Czy aby na pewno? — zapytał Fuentes.

Levy uderzył się ręką w czoło i przewrócił oczami

— Co ja słyszę?

Fuentes zdał sobie sprawę, że obraził Levv'ego. chociaż nie  
wiedział czym.

Odpowiedział mu Possony, który zachowywał się w sposób mniej  
teatralny od Levy ego.

Czy towar ściśle odpowiada specyfikacji? Został wykonany  
według technologii laserowej, panie Fuentes. Przy użyciu najdelikat-  
niejszych mikroskopów elektronowych. Nie zajmujemy się produk-  
owaniem imitacji szwajcarskich zegarków sprzedawanych na 47 Ulicy.

Fuentes wzruszył ramionami. Spojrzął na Bosanqueta, który był  
najwyraźniej rozbawiony jego chwilowym zażenowaniem. Possony  
wziął skórzaną teczkę z rąk Bosanqueta.

— A teraz proszę zabrać towar z samolotu, żebyśmy już mogli  
wystartować. To nie ma związku z panami, ale chcielibyśmy jak  
najszybciej znaleźć się daleko stąd.

Paryż

Hotel, którego numer telefoniczny nie figurował w spisie, był

mały, drogi i schowany za kasztanowcami na jednej z bocznych ulic łacińskiej dzielnicy. Prywatna jadalnia, wyłożona boazerią i zawieszona ciężkimi kotarami oraz olejnymi obrazami z XVIII wieku, znajdowała się na drugim piętrze. Była to mroczna sala i w pewien szczególny francuski sposób dyskretna.

Pięciu mężczyzn siedziało wokół stołu, którego powierzchnię zdobiły wyryte inicjały jadających w tym salonie luminarzy. Bywał tu Victor Hugo i Emil Zola, a od czasu do czasu wpadał tu też na apentit po rozgrywkach piłkarskich Albert Camus. Literowe znaki uwierzytelniające nie wywarły jednak wrażenia na pięciu stołownikach, z których

zaden dzisiaj nie miał apetytu. Wyśmienita terrine de fois de canard stała zaledwie napoczęta. Butelka dobrego rocznika Saint Emilion została opróżniona, ale praktycznie nie zwrócono na nią uwagi, a rosółu, misternie udekorowanego porami i żółtą dynią pociętą w kwiaty — lekkim powiewem nowości we francuskiej kuchni, nikt nie tknął.

Kiedy odszedł ostatni kelner, Enrico Caporelli jeszcze przez chwilę siedział nieruchomo. Zza ciężkich kotar dobiegały odgłosy ulicznego ruchu piątej arrondissement, ale były tak odległe, jak gdyby pochodziły z innego świata. Caporelli skosztował wina, odsunął na bok kieliszek i wypił łyk znakomitej kenijskiej kawy. Sheridan Perry zapalił papierosa, a Harry Hurt, zagorzały przeciwnik nikotyny, próbował rozwiać dym wachlując powietrze serwetką. Po drugiej stronie stołu, naprzeciwko Caporellego, siedział sir Freddie Kinnaird, po którego prawej stronie zajmował miejsce Kluger, Niemiec o posępnej twarzy.

— Najpierw Magiwara, a teraz Chapotin — powiedział cicho Caporelli i wypił do końca kawę. Spojrzał na Freddiego Kinnairda, potem na Klugera i na końcu na Perry'ego. Dlaczego unikał widoku twarzy Sheridana Perry'ego? Czy podejrzewał, choć nie potrafił dokładnie powiedzieć dlaczego, że to Perry stał za morderstwami? Sheridan namiętnie pragnął stanowiska przewodniczącego, wszyscy o tym wiedzieli. Ale od pożądania do dwóch brutalnych morderstw, a nawet trzech, licząc panienkę Chapotina, która — jak się okazało —

wywodziła się z angielskiej arystokracji, była długa, splamiona krwią droga.

—Dlaczego? — zapytał Caporelli. — Dlaczego ci dwaj? Czy coś ich łączyło, o czym nie wiedzieliśmy? Czy byli w coś zamieszani, co się obróciło na ich niekorzyść? Za co zostali skazani na śmierć?

Nikt nie odpowiedział. Czasami milczenie bywa oznaką grzeczności, innym razem zażenowania. Ten szczególny rodzaj ciszy obejmował głębsze przestrzenie o zróżnicowanych falach i prądach — nieufności, niepokoju i strachu. Caporelli zajrzał do filiżanki po kawie. Zadrżał. Ktoś chce cię zaprowadzić do grobu, Enrico, pomyślał. To tylko bzdurne przesady, ty prostaku! Nie możesz się ich wyzbyć. Tak jak nie zmienisz swojego pochodzenia oraz faktu, że wychowywałeś się pomiędzy prostymi ludźmi, którzy się żegnali z powodu zaćmienia księżyca albo wtedy, kiedy się rodziło cielę z trzema nogami. Żadne pieniądze ani modne garnitury nie zatrą starych obyczajów. Wciąż będziesz rzucać losy, spluwać przez lewe ramię i z daleka omijać czarne koty.

148

“ i u n^ipw ■ » ■' ”

— Czy nikt nie zauważył niczego niezwykłego? — zapytał Caporelli. — Jakichś samochodów z tyłu? Kręcących się w pobliżu obcych osób? Czy nikt nie odbierał głuchych telefonów?

Nikt nie był świadkiem żadnych zwracających uwagę wydarzeń. Nikt nie widział podejrzanych samochodów ani skradających się ludzi i do nikogo nikt nie dzwonił późną nocą.

— Skąd mordercy znali miejsce pobytu Chapotina i Magiwary? W

jaki sposób dowiedzieli się nie tylko, gdzie będą, ale i kiedy? — dopytywał się Caporelli. — Przecież żadna z ofiar nie prowadziła publicznego życia. Ich nazwiska nie figurowały w rubrykach gazet z towarzyskimi plotkami. Nie byli znanymi ludźmi.

Harry Hurt napił się wody mineralnej.

— Jest tylko jedna możliwość. Nasze Towarzystwo powstało dzięki mafii. Wszyscy o tym wiemy. Gdyby sycylijscy bracia okazali większą powściągliwość i mniej gustowali w sensacyjnych publikacjach, bylibyśmy do dzisiaj ich bankierami. Jednakże nasze drogi się rozeszły. Nasi poprzednicy, ludzie z wyobraźnią, wiele lat temu przywłaszczyli sobie od mafii pewną kwotę i podążyli za własną gwiazdą. Mafia, która wtedy zarabiała większe pieniądze od wszystkich wziętych razem rządów wolnego świata, nie zauważyła, że rynek kapitałowy został błędnie “oszacowany” — a błąd wyniósł jakieś 22,5 miliona dolarów. Dla nich to były pieniądze kieszonkowe. Towarzystwu umożliwiły całkiem niezły start.

— Znamy tę historię — rzekł Caporelli.

Hurt podniósł do góry palec wskazujący.

— Pozwól, że skończę, Enrico. Przypuśćmy, że jakiś młody mafioso, dzieciak, zawadiaka, chce zyskać sławę. Przypuśćmy, że zaczyna kopać. I przypuśćmy, że znajduje w zakurzonych starych księgach liczby, które nie dają się zbilansować. Czy nie będzie szukać zemsty? Czy nie zechce zetrzeć na proch Towarzystwa?

Caporelli odniósł się do tego pomysłu ze sceptycyzmem.

— Najpierw będzie chciał odzyskać pieniądze. Dopiero wtedy

odstrzeli kilka głów. Ale wcześniej nie pociągnie za spust. Zanim postawi nas przed plutonem egzekucyjnym, będzie chciał się dowiedzieć, gdzie trzymamy gotówkę.

Hurt wzruszył ramionami.

—Rozważam tylko możliwości. Weźmy inną. Załóżmy, że za morderstwami stoi agent służb wywiadowczych Castra. Jakiś bojownik z G-2. Ktoś, kto słyszał o naszym projekcie. A może osoba, która śledziła Rosabala.

Caporelli zmarszczył brwi.

— Nie dopuszczam nawet takiej ewentualności. Stawka dla Rosabala jest zbyt wysoka, by mógł się zachowywać jak amator. Ale jeśli nawet przyjmujemy takie założenie, co z niego wyniknie? Dokąd Rosabal mógł doprowadzić szpiega? Agent mógł widzieć mnie z Kubań- czykiem w Glasgow, gdy piliśmy herbatę i piwo w Saint Etienne. Na co by mu się to zdało? Rosabal znał tylko mnie. Nic nie wiedział o istnieniu Towarzystwa. W jaki sposób mógłby więc doprowadzić jakiegoś fidelista do naszych członków? Nie, to nie on jest zatrutym jabłkiem.

Sheridan Perry sączył Saint Emilion z miną człowieka, który docenia dobre gatunki wina, ponieważ powiedziano mu, że tak wypada, ale ich picie nie sprawia mu przyjemności.

— Zachowywaliśmy zawsze wszelkie środki ostrożności, żeby nasze Towarzystwo pozostało tajne. Dbaliśmy o własną anonimowość. A sprawom bezpieczeństwa poświęciliśmy najwyższą uwagę.

— Okazuje się, że niedostatecznie wysoką. Na przykład żaden z nas nie dostrzegł potrzeby zatrudnienia osobistej ochrony — rzekł Freddie Kinnaird.

— W tej sytuacji ten pomysł rzeczywiście wydaje się wspaniały — powiedział Hurt.

Caporelli wstał, podszedł do okna, trochę rozchylił zasłony i wyjrzał na ulicę. Chodniki były oświetlone latarniami. Scena wydała

mu się wyjątkowo romantyczna — blade kuliste światła, przyciemnione gałęziami kasztanowców, lekki wiatr wzbijający w górę suche liście wzdłuż krawężników i wtuleni w siebie kochankowie, którzy rezygnując z własnych osobowości, stopili się w jedno z paryskim mrokiem.

Wszystkie te rozważania o mafioso i osobistej ochronie nie przemawiały do niego. Omijały sedno. Opuścił zasłony, sprawdzając dokładnie, czy ich brzegi zachodzą na siebie i nie przedostaje się światło na zewnątrz, a potem spojrzął na zgromadzone wokół stołu twarze.

— W naszych szeregach został dokonany wyłom — powiedział cicho. — Musimy wziąć pod uwagę nieprzyjemną możliwość, że któryś z naszych członków... — Dolał sobie kawy. Nie mógł dokończyć zdania. Na twarzach malowało się oburzenie połączone z niedowierzaniem. — Nasze bezpieczeństwo zostało naruszone. To fakt niezaprzeczalny. Ktoś wie, kim jesteśmy, i postanowił nas zniszczyć. Nie sądzę, żebyśmy dzisiaj doszli do jakichś wniosków, bez względu na to, jak długo byśmy siedzieli wokół tego stołu, spierali się i wysuwali różne sugestie, moi przyjaciele. I tak do niczego by to nas nie doprowadziło.

— Co wobec tego proponujesz? — zapytał Perry. Jego gęste brwi zbiegły się razem, tworząc grubą linię nad małymi oczami.

Caporelli przez chwilę przyglądał się Amerykaninowi. Znowu zastanawiał się, czy Sheridan byłby zdolny odegrać tak nikczemną rolę dla zdobycia pozycji kierowniczej w Towarzystwie. A jeśli tak,



czy dokonał tego przy współudziale swojego przyjaciela Hurta? Czy był pomiędzy nimi rozłam? Czy ambicje i chciwość Perry'ego utworzyły przepaść, której Hurt nie był w stanie ani nie chciał przekroczyć?

— Proponuję, Sherridan, żebyśmy zadbali o własne bezpieczeństwo i wynajęli pracowników ochrony osobistej. Sugeruję, żebyśmy nie stosowali się do żadnych regularnych planów i zmieniali tak często samochody i samoloty, jak tylko to jest możliwe. Zachowanie tajemnicy — oto pierwszy warunek przetrwania. Mówiąc krótko, musimy stosować jak największe środki ostrożności, w tym także we wzajemnych kontaktach.

Ostatnia uwaga, jak głaz zrzucony z dużej wysokości, pozostawiła niemiłe wrażenie. Towarzystwo zawsze istniało na bazie wzajemnego zaufania. Teraz to się skończyło. Caporellemu wydawało się, że słyszy skrzypienie starych belek i kruszenie się skał w głębi szybów.

— Czy to będzie miało wpływ na nasze kubańskie przedsięwzięcie? — zapytał Perry. — Czy odwołamy akcję?

Freddie Kinnaird otarł usta zwiniętą w kłębek lnianą serwetką, nagle poruszony.

— Zwariowałeś? Teraz, kiedy udało się nam ukraść pocisk, który jest już w drodze do miejsca przeznaczenia? Nie widzę powodu, żeby cokolwiek odwoływać, tym bardziej że policja brytyjska nie trafiła na żaden trop. A śledztwo, które jest w tej sprawie prowadzone, podlega mnie. Gdy tylko Frank Pagan, policjant odpowiedzialny za dochodzenie, czegoś się dowie, ja natychmiast też będę o tym wiedział.

To całkiem niezły układ. Jeśli Pagan posunie się za daleko, znajdę sposób, żeby delikatnie ściągnąć mu cugle. Poza tym, jeśli zastosujemy środki ostrożności zgodnie z sugestią Enrica, możemy śmielej patrzeć w przyszłość. Roztropność zawsze zwycięża, drodzy koledzy. A ktokolwiek podniósł rękę na nasze Towarzystwo, zostanie zmuszony do wyjścia z ukrycia.

Kinnaird przypominał nienasyconego pośrednika nieruchomości, który właśnie proponował dzierżawę rajskiej wyspy z kasynami, kurortami i wielkimi hotelami, mówiąc krótko, przedstawiał pokusy, którym by nikt nie potrafił się oprzeć.

Kługer zapalił papierosa. Wypuścił w powietrze pierścień błękitnego dymu.

— Osobiście nie wierzę, żeby ktoś na tej sali był zdrajcą — powiedział. W jego głosie zabrzmiał ton autorytatywny i ostateczny, jak gdyby znał informację niedostępną innym. — Sądzę, że byliśmy zbyt niedbali i zanadto zadowoleni z siebie oraz ze środków własnego bezpieczeństwa, i teraz płacimy za to cenę. Rozwiązanie, jak już powiedział Enrico, jest bardzo proste. Będziemy dalej prowadzić nasze interesy, ale w inny sposób. Nadzwyczajna ostrożność, panowie. Wcześniej czy później winowajca wypłynie na światło dzienne. Wcześniej czy później.

Kluger wstał. Nalał do kieliszka brandy i wznosił toast. Zadrzwęczało szkło, a posępne twarze rozjaśnił wymuszony uśmiech. Celem była Kuba. Przedstawienie, bez względu na wszystko, miało odbywać się dalej.

— Niech zwycięży przyjaźń! — powiedział sir Freddie Kinnaird.

Członkowie Towarzystwa opuścili salę jadalną wczesnym wieczorem. Smutny nastrój zmierzchu minął, a w jasno oświetlonych kawiarniach toczyło się zwykle bez troskie nocne życie. W hotelu żaden problem nie został rozwiązany. Jednomyślnie ustalono, że żaden z członków Towarzystwa nie był odpowiedzialny za zbrodnię.

Została omówiona sprawa eskorty i udzielone stosowne rekomendacje. Sir Freddie Kinnaird znał godną polecenia agencję w Londynie, Harry Hurt miał dobre zdanie o brygadzie z Dallas. A Enrico Caporelli, który tutaj w Paryżu miał własne mieszkanie i wiele znajomości, zaraz zatelefonował i obiecano mu uzbrojonych

członków ochrony, którzy za dziesięć minut mieli czekać na ulicy.

Nastrój, nawet jeśli nie całkiem beztroski, nie był już tak ponury jak przedtem, a wiadomość o powodzeniu Ruhra położyła kres smutkom. Perspektywy kubańskich zysków przepoiły zebranych uczuciem przyjemnego podniecenia, które w miarę upływu godzin stawało się jeszcze silniejsze i zacierało wspomnienia o tragicznie zmarłych członkach Towarzystwa.

Mężczyźni wyszli razem z hotelu. W dobrze oświetlonej kawiarni po drugiej stronie ulicy mieli się spotkać z członkami osobistej ochrony. Minęli parę żandarmów, którzy dopóki nie przytrafiło się nic złego, sprawiali wrażenie gwarantów bezpieczeństwa. Uwagę Klugera zwróciła dziewczyna spacerująca po chodniku, ale starał się zachować powściągliwość pomimo jej kusząco rozchylonych pełnych czerwonych warg.

Wszyscy razem przechodzili na światłach przez jezdnię. Kluger zaciągnął się papierosem. Został kilka kroków z tyłu i obejrzał się za atrakcyjną dziewczyną. Aż do ostatniej chwili, a może wcale, nie zauważył nadjeżdżającej ciężarówki. Uderzyła go, przewróciła i dziesięć metrów pchała przed sobą, a potem uwięziwszy jego zwiotczałe ciało pod przednią osią, wlokła je po jezdni dalsze piętnaście metrów. W końcu Kluger stoczył się pod krawężnik. Miał podarty płaszcz, połamane ręce i zmasakrowaną twarz.

Ciężarówkę prowadził Luiz Dulzaides, czterdziestodwuletni kierowca z Madrytu, który jeździł na długich trasach. Jego ośmio-kołowy pojazd zatrzymał się w witrynie dużej apteki, wbijając się w

wody kolońskie, pudry oraz perfumy i niszcząc menażerię miękkich zabawek. Dulzaides, według policyjnego testu, wypił tego dnia trzy butelki wina. Nie słyszał nigdy o Klugerze i nie przypominał sobie, żeby go widział na przejściu dla pieszych ani żeby go potrącił.

Dulzaides był zbyt pijany, żeby utrzymać się na nogach. Zabrał go samochód policyjny. Caporelli oraz dwaj Amerykanie odpowiedzieli na rutynowe pytania żandarmów, podczas gdy Kinnaird, najbardziej znany spośród wszystkich członków Towarzystwa, niepostrzeżenie wmieszał się w licznie zgromadzony tłum gapiów, żeby uniknąć niepotrzebnego rozgłosu.

Oficjalnie stwierdzono wypadek. Nie ulegało wątpliwości, że Dulzaides był kompletnie pijany. Oświadczenia zostały przyjęte, raporty sporządzone, a akta sprawy zamknięte.

Enrico Caporelli pojechał z pozostałymi członkami Towarzystwa białym cadillakiem, który prowadzili dwaj uzbrojeni mężczyźni, na pokrzepiającego drinka do Ritza. Przyłączył się tam do nich Freddie Kinnaird. Wszyscy sceptycznie odnieśli się do wypadku, ale cóż można było powiedzieć. Policja nie miała wątpliwości wobec zeznań wielu naocznych świadków i niezaprzeczalnie niebezpiecznego poziomu alkoholu we krwi Dulzaidesa. Mógł to być zbieg okoliczności, ale nie musiał. Wypadek byłby ironicznym zrządzeniem losu w świetle ostatnich wydarzeń, jakie towarzyszyły działalności Kwaków.

Rano Caporelli chciał porozmawiać z trzeźwym Dulzaidesem, by sprawdzić przeszłość mężczyzny i jego prawdomówność.

Zatelefonował do aresztu, do którego zawieziono więźnia. Został tam chłodno poinformowany, że monsieur Dulzaides zmarł na atak serca o czwartej dwadzieścia rano i rodzina zgłosiła się już po zwłoki. Jak śmieć spod silnego działania promieni słonecznych, tak i on został szybko usunięty.

## Rozdział XI

### Norfolk

Liceum ogólnokształcące znajdowało się w Middlebury, pomiędzy Norwich a starym anglosaskim miastem Thetford. Mieściło się w nowym budynku przypominającym fabrykę części samochodowych, jak gdyby każdy uczeń był maszyną, w której trzeba umocnić sworznie, wypolerować i nawoskować przed wyprowadzeniem w świat. Według dyrektora szkoły, mężczyzny o nazwisku Frew, którego cechował głęboki fatalizm zaharowanego nauczyciela, zaginęła jego uczennica, Stephanie Brough. Do domu wróciła tylko osiodłana klacz dziewczyny. Miejscowy policjant, któremu ciemność udaremniła natychmiastowe podjęcie akcji, rozpoczął systematyczne poszukiwania o świcie. O trzeciej po południu, siedem godzin po kradzieży pocisku, okazało się, że nie tylko nie odnalazła się dziewczyna, ale zaginął też posterunkowy.

Około piątej dochodzenie, prowadzone w agencjach pośrednictwa wynajmu nieruchomości w promieniu trzydziestu kilometrów od domu Steffie, ujawniło, że ostatnio została wynajęta stara waląca się farma. O dzierżawie poinformowała Pagana miła osoba, wzbudzająca zaufanie jak wszyscy, od których wykonywany zawód wymaga zachowania dyskrecji. Nie mogła niczego ujawnić, dopóki władze nie przedstawiły uzasadnionych powodów domagania się odpowiedzi. Listy uwierzytelniające Pagana ze Scotland Yardu okazały się wystarczające.

Według opinii kobiety, mężczyzna, który wynajął farmę, był cudzoziemcem, chociaż bardzo “cywilizowanym”.

— Czy najemcą była tylko jedna osoba? — zapytał Pagan.

Pracownica agencji nie przypominała sobie, żeby widziała kogoś jeszcze. Oczywiście dzierżawca mógł robić, co mu się żywnie podobało, szczególnie w wiejskim otoczeniu bez bliskiego sąsiedztwa. Obiecała znaleźć kopię umowy, choć 10 musiało potrwać godzinę albo dwie. Jej biuro nie było skomputeryzowane, jak oznajmiła z dumą. Pagan podziękował jej i powiedział, że wróci.

Farma była posępna i zakopana w mrocznej kotlinie. Miała porośnięte mchem ściany i na wpół rozwalony komin. Na podwórzu znajdowały się ślady opon, a na wzgórzu za budynkiem znaleziono w błocie wiele odcisków stóp. Niektóre były duże, a niektóre na tyle małe, że mogły pochodzić od butów Steffie Brough. Pagan stał przez chwilę w deszczu na stoku wzniesienia i trzymał w ręce zdjęcie dziewczyny, które dostał w szkole. Była ładna i miała uroczy łobuzerski uśmiech, a spiczaste uszy sugerowały skłonności do bujania w obłokach. Chochlik. Próbował wyobrazić sobie, jak Steffie obserwowała ze wzgórza farmę.

Czy przyszła z tej strony? A co się stało potem? Czy Rulir ją zaskoczył? Pagan przesunął palcem po fotografii. Gdy przymrużył oczy, dostrzegł duże podobieństwo Steffie Brough do dziewczyny, u której Niemiec został schwytany w Cambridge. Świadomość tego faktu nie była miła. Jeśli to dziecko znajdowało się w rękach Ruhra.



miał nie tylko zakładniczkę, lecz praktycznie sobowtóra osoby, która była przedmiotem jego pożądań. Pagan odsunął od siebie tę myśl. Schodził ze zbocza, kierując się w stronę domu, przy którym kręcił się Foxie. Widać było jego rude włosy, jedyny żywszy akcent w tym ponurym otoczeniu.

— Nie mam wątpliwości, że Ruhr ze swoimi kumplami zatrzymał się w tym domu, Frank — rzekł Foxie. — Zajrzyj tutaj. Prawdopodobnie w tym pomieszczeniu trzymali dziecko.

Foxie zaprowadził Pagana do wąskiego pokoju, gdzie pod ścianą stało wąskie żelazne łóżko. Najwyraźniej ktoś był do niego przywiązany. Z oparcia zwisały kawałki liny. Na wyświechtanym dywanie leżał mały biały biustonosz, powalany stwardniałym błotem. Foxie podniósł go i podał Paganowi, który dotknął bielizny w taki sposób, jak gdyby się obawiał, że znajdzie na niej krew. Szukał wyszytych inicjałów albo znaków z pralni, ale nie znalazł żadnych. Oddał stanik Foxworthowi, który zwinął go i wsunął do kieszeni swojego przeciwdeszczowego płaszcza.

Pagan ponownie spojrzął w stronę łóżka, na liny i mocne węzły. Zatrząsała go myśl o więzionym tutaj dziecku. Zaniepokojony obszedł dalszą część domu. Poza uderzająco schludną kuchnię w mieszkaniu panował bałagan. Przytłaczający był zapach pleśni. Zajrzał do każdego pokoju. Przeważały małe i niskie pomieszczenia o wąskich oknach. Na piętrze leżały rozłożone na podłodze stare materace. A ze strychu dobiegało chrobotanie szczurów.

— Tutaj musiała być sypialnia terrorystów. Niezbyt dobrze wyposażona, prawda? — zauważył Foxie.

Pagan podszedł do okna. Rozciągający się z niego widok nie działał pobudzająco na wyobraźnię. Płaskie pola dotknięte oddechem nadciągającej zimy i gołe drzewa, znad których wzbiło się stado wron. Duże czarne ptaki były jedynymi żywymi istotami w tym wymarłym krajobrazie. Pagan przycisnął spoconą skroń do framugi okna. Zaintrygowało go, chociaż nie wiedział jeszcze dlaczego, poruszenie wśród ptaków — sposób, w jaki krążyły w powietrzu, szukając łupu.

Zszedł na dół do głównej części domu. W salonie na stole pingpongowym stały brudne szklanki, a wszędzie poniewierały się gazety, popękane linoleum zaśmiecały zużyte zapalki, niedopałki papierosów i butelki po piwie. Jeszcze raz przyjrzał się wnikliwie zdjęciu Steffie Brough i głęboko się nad nim zamyślił, zanim je podał Foxiemu.

— Ruhr lubi blade i szczupłe dziewczyny, nie sądzisz? — zapytał cicho Foxworth.

— Na to wygląda. — Pagan wetknął dłonie w kieszenie swojego przemoczonego płaszcza. — Gdy chłopcy z wydziału daktyloskopii uporają się z rangę roverem, niech przyjdą tutaj. Wydaje mi się, że nikomu nie zależało na zacieraniu śladów.

— Co za arogancja — rzekł Foxie.

— Przywódca też jest arogancki. Powiem ci, Foxie, co jeszcze

mnie niepokoi. W jaki sposób to cholerne miejsce zostało przeoczone w czasie generalnej obławy na Ruhra? Jak mogło, na miłość boską, zostać pominięte? Doskonale nadaje się na kryjówkę. Znajduje się na odludziu. I zostało ostatnio wynajęte. Wydawałoby się, że każdy policjant powinien zwrócić na nie uwagę.

Foxie milczał. Mógł powiedzieć, że okolica jest rozległa, policyjne siły stosunkowo niewielkie, a dom dobrze ukryty. Wiedział jednak, że Frank nie był w nastroju, by wysłuchiwać frazesów, nawet jeśli zawierały prawdę.

Pagan spacerował po pokoju. Myślał o tym, że w wypadku niektórych miejsc zawodziła ludzka wyobraźnia — przypominały pustą scenę, na której nikt nie był w stanie wyobrazić sobie aktorów. Inne domy przeciwnie, nawet stare były radosne i nie zamieszkane długo jeszcze tętniły życiem, odbijając echem śmiech. Ten dom był jak porzucona w środku miasta rudera, w której załatwiają swoje fizjologiczne potrzeby pijacy, nigdy nie dociera do niej światło i nawet obecność szczęśliwych ludzi nie jest w stanie zmienić jej posępności. Nad tym domem wisiało fatum i ono było jego milczącym lokatorem.

Upiorne widma, pomyślał Pagan. Stał u podnóża schodów. Z jakiejś przyczyny przypomniał sobie nagle Magdalenę Torrente. Wspomnienie było pogodnym urozmaiceniem w jego rozmyślaniach. Usiłował wyobrazić sobie jej śmiech, który unosi się radośnie w pokojach i odmienia to ukryte przed światem śmietnisko. Przypomniał sobie,

jak pocałował Magdalenę przed odejściem. Wydawało mu się, że wciąż czuje dotyk jej języka. Kolejne urojenie.

Jak do tego doszło, że Magdalena, która gardziła reżimem Castra i której ojciec został zestrzelony i zginął w Zatoce Świń, została kochanką ministra finansów Kuby? Rosabal był znany z tego, że Fidel wyręczał się nim w sprawach naprawy kubańskich finansów oraz przywrócenia ekonomicznej równowagi upadającego państwa. Castro wysyłał Rosabala w podróże po finansowe wsparcie do Rosji, Czechosłowacji oraz wszędzie tam, gdzie można było wymóc otwarcie kiesy dla kubańskiego skarbu. Dlaczego Magdalena zadawała się z takim człowiekiem? A może Rosabal należał do ruchu przeciwko Fidelowi? Albo Magdalena zmieniła poglądy i stała się cichą zwolenniczką Castra. Boże, to wydawało się zupełnie nieprawdopodobne! A może tylko byli kochankami. Pagan zacisnął palce u nasady nosa i zmarszczył brwi.

Dobry Boże, co go obchodził Rosabal razem z Magdaleną? Miał inne problemy na głowie — zaginioną dziewczynę i szalonego terrorystę. Steffie Brough natknęła się na to miejsce i wpadła w ręce Ruhra. Naprawdę prosta historia, jedna z wersji “Pięknej i bestii” z dodatkiem współczesnych realiów w postaci skradzionego pocisku nuklearnego. Pagan zastanawiał się, czy Ruhr wyrządził już dziewczynie krzywdę, czy też wolał jak najdłużej rozkoszować się perspektywami i dla zaostrenia apetytu wstrzymać się przed zrobieniem kolejnego kroku?

A może Ruhr zdawał sobie sprawę, że myśl o życiu i bezpieczeństwie bezbronnej dziewczyny będzie bez końca drażnić umysł Pagana, doprowadzając go do obłądu, i cieszył się z tego powodu? Na pewno tak było. Ruhr miał instynkt, dzięki któremu szybko wyczuwał osobowość innych ludzi. A w czasie kilku spotkań z Paganem musiał go trochę poznać. Wiedział, jak mu zaleźć za skórę i dotknąć do żywego.

Pagan zrozumiał, że Niemiec nie tylko, jak nazwał to Foxworth, “gra mu na nosie”, ale go torturuje. Szalik i biustonosz nie zostały zostawione przypadkowo. Wyglądało to tak, jak gdyby dziewczyna była zmuszana do powolnego striptizu. A Frank Pagan, niczym oddany ojciec rozpaczliwie szukający zaginionej córki w labiryncie spelunek, był skazany na znajdowanie porzuconych części jej garderoby.

Zdenerwowany Pagan podszedł do drzwi i wyjrzał na podwórze. Ptaki siedziały na ziemi, pracowicie i zapamiętałe coś rozdziobując w liściach. Na krótki przerażający moment, gdy brnął po błocie w ich stronę, serce odmówiło mu posłuszeństwa. Pomyślał, że ptaki urządziły sobie biesiadę ze Stephanie Brough, która wcale nie została porwana, a pozostawione przez Ruhra ślady były tylko okrutnym żartem. Bał się, że dziewczyna leży tutaj, pałaszowana przez stado czarnopiórych grabarzy.

Spłoszone kruki odfrunęły i usiadły kilka metrów dalej, obserwując Pagana z urazą. Były cierpliwymi stworzeniami i często spożywały posiłki, które zdążyły już wystygnać. Pagan odgarnął nogą liście. Twarz, która się wyłoniła, miała oderwaną połowę górnej wargi, wyłupane jedno oko i podziobany policzek, W szyi była głęboka rana. Mężczyzna miał na sobie granatowy mundur posterunkowego, który stał się niemal czarny z powodu zaschniętych plam krwi na piersi. Pagan odwrócił głowę, podniósł kilka kamieni i cisnął nimi w stronę ptaszysk, które cicho odfrunęły na pobliskie drzewo, by tam czekać na dalszy ciąg biesiady.

Foxie wyszedł z domu i spojrzał na zwłoki. Z twarzy odpłynęła mu cała krew.

— Chryste — powiedział cicho.

Pagan potarł ręce. Nagle przeniknął go chłód.

— Już mam dosyć tego miejsca, Frank. Czy musimy jeszcze dłużej tutaj tkwić? — zapytał Foxworth.

Pagan wsiadł bez słowa do samochodu. Słyszał, jak Foxie rozmawia przez telefon w radiowozie i melduje o odkryciu ciała posterunkowego. Ściemniło się. Typowa, pełna melancholii angielska jesień ustępowała miejsca nadchodzącej zimie. Pagan siedział zgarbiony. Pochylił się nieco do przodu, by znaleźć ulgę w bólu, który na nowo się odezwał. Wilgotny wiatr zwiął na samochód liście z wiejskich dróg.

Biuro, w którym została wynajęta farma, znajdowało się w wiosce położonej osiemdziesiąt kilometrów od Norwich. Było dziwacznym miejscem o zapchanych papierowymi teczkami szufladach i z dużym, niemodnym, czarnym aparatem telefonicznym. Wysoko upięte siwiejące włosy Joanny Lassiter zdobiły wspaniałe szpilki o wszystkich barwach tęczy, które wzbudziły podziw Pagana i Foxwortha. Zdawało się, że jej głowa jest mapą, a szpilki wskazują położenie różnych miejscowości.

Kobieta była typem bałaganiary, której wiecznie zapodziejają się gdzieś dokumenty. Na metalowym szpikulcu, który stał na biurku, były nabite dziesiątki pożółkłych rachunków. Obecność dwóch policjantów zakłóciła spokój kobiety. zaproponowała herbatę ziołową, za którą obaj mężczyźni podziękowali. Pagan chciał jak najprędzej stąd wyjść.

Przetrząsając biurko Joanna Lassiter poinformowała ich, że osobiście zajmuje się wynajmem ponad stu domów i mieszkań w całej okolicy, którymi również zarządza. Interes dobrze prosperuje. Jej pies wabi się Pagan. czy to nie zabawny zbieg okoliczności? Szperając w

biurku, bez tchu przemykała się po tematach, jak gdyby podtrzymujące fryzurę szpilki przedziurawiły jej mózg i uszkodziły kanały, które przewodzą wysyłane z niego bodźce. Gdy przestawała mówić, kontynuowała monolog mrucząc. To niegroźne szaleństwo było ucieczką od ponurego świata.

— O ile sobie przypominam, gość był całkiem sympatyczny. Nosił ciemne okulary, za którymi zwykle nie przepadam. Spotkałam się z nim tylko raz, i to na krótko. Prawie wszystko zostało omówione przez telefon oraz drogą korespondencyjną. Nie potrafię sobie po prostu wyobrazić, żeby ten człowiek mógł mieć związek z przestępczą działalnością. — Joanna Lassiter poszperała w grubej teczce, z której wypadły na podłogę kartki papieru i tam już zostały. — Lokatorzy na ogół nie sprawiają mi kłopotu. Zawsze twierdzą, że znam się na ludziach, panie Pagan. Potrafię wyczuć ich fluidy. To dar.

Nie przestawała mówić. W końcu wyciągnęła kartkę papieru z teczki i podniosła ją do góry.

— Nareszcie mamy ten nieznośny świstek, który się nam gdzieś zawieruszył, panie Pagan. — Podsunęła kartkę pod lampę i przyglądała się jej, mrużąc oczy.

Zaciekawiony Pagan pochylił się nad biurkiem, ale charakter pisma przypominał stenograficzne znaki.

— Ten człowiek wynajął farmę Yardleyów sześć miesięcy temu. Zapłacił z góry przelewem bankowym. Utrzymywał, jak mi się zdaje, że jest przyrodnikiem. I potrzebuje miejsca, gdzie mógłby zebrać materiały do książki. Wynajął tę farmę tylko na dwa tygodnie. No



cóż. Niełatwo wynająć tę posiadłość. Wzbudza nieprzyjemne odczucia. Sama nie lubię tam chodzić. To ponury dom. Może świeża farba poprawiłaby nieco jego wygląd.

— Czy podał nazwisko? — zapytał Pagan.

— Nazwisko? — Joanna Lassiter okazała wielkie zdziwienie, jak gdyby to pojęcie było dla niej czymś zupełnie nowym.

Kiedy się uśmiechała, wydawała się o trzydzieści lat młodsza. Jak gdyby wraz z uśmiechem zmieniała się cała struktura jej twarzy.

Zakryła palcami usta.

— Jaka jestem niemądra. Oczywiście. Mam zanotowane nazwisko, panie Pagan. Nie można przecież wynająć domu anonimowemu człowiekowi, prawda?

— Słyszałem o jeszcze dziwniejszych rzeczach — rzekł Pagan.

— Nie wątpię, że pan słyszał. — Joanna Lassiter podsunęła mu kartkę. — Tutaj. Niech pan sam zobaczy. Zabawne nazwisko, prawda? Brzmi cudzoziemsko.

Pagan podniósł papier i przeczytał.

— Przyda się to panu na coś? — zapytała.

Pagan podał kartkę Foxworthowi.

Nie potrafił odpowiedzieć na pytanie Joanny Lassiter. Wyjrzał przez okno na pogrążoną w mroku wiejską drogę. Blady, zapraszający szyld pubu po drugiej stronie ulicy przypomniawszy mu o pragnieniu, które mu doskwierało od wielu godzin.

Marrakesz, Maroko

Steffie Brough huczało w głowie, a unieruchomione przez całą wieczność ciało ciążyło jej jak ołów. Chociaż ktoś wetknął jej w uszy małe woskowe kulki, przeszywający ryk samolotu świdrował jej czaszkę jak przeraźliwy gwizd lokomotywy w nie kończącym się tunelu. Po długim, zakłócanym turbulencjami locie czuła się chora ze zmęczenia. Co pewien czas maszyna nagle wpadała w dziurę, jak gdyby zaraz miała spaść z nieba.

Steffie nie miała pojęcia, od ilu godzin leży w ciężarówce.

Widziała światła w kabinie przed sobą i cienie chodzących w tę i z

powrotem mężczyzn. Niesamowite było wrażenie podróżowania w pojeździe, który znajdował się na pokładzie innego środka transportu.

Gdy samolot zaczął tracić wysokość, poczuła wzrastający ucisk w oczodołach, który boleśnie się rozszerzał, docierając do wszystkich mrocznych zakamarków wewnątrz głowy. Maszyna, podskakując, dotknęła powierzchni ziemi. I zaraz potem zaległa cudowna cisza, gdy samolot powoli kołował na pasie.

Drzwi ciężarówki otworzyły się. Z trudem odwróciła głowę i zobaczyła Ruhra. W milczeniu odwiązał liny, którymi była skrzepowana. Próbowwała usiąść, ale kości zdawały się być zablokowane w stawach. Czowała pulsowanie w mózgu i nieznośny ucisk pęcherza.

— Muszę pójść do toalety — powiedziała. Chrapliwe brzmienie jej własnego głosu zaskoczyło ją. Mówiła zupełnie tak jak ciotka Ruth, która w zeszłym roku umarła na raka gardła. Wolałabym raczej nie żyć, niż być uwięziona w tym strasznym miejscu, pomyślała Steffie.

Obejrzała się za siebie. W tyle ciężarówki leżał ładunek, który zakrywała długa powłoka z zielonego płótna. Dziewczyna nie chciała nawet myśleć, co to mogło być ani dlaczego Ruhr ze swoimi przyjaciółmi zadał sobie tyle trudu, żeby to ukraść. Znowu by się jej przypomniała cała ta strzelanina, gaz łzawiący i dym.

Ale i tak wiedziała, że to jest pocisk nuklearny. Co innego mogło być warte zabijania w jej małym zakątku świata? Wiedziała, że broń jądrowa jest przechowywana zaledwie szesnaście kilometrów od jej domu. Widywała ludzi, którzy w marszach protestacyjnych szli wąskimi wiejskimi drogami. Ale jak wszystko inne w jej młodym i

bezpiecznym życiu, tak i pociski należały do abstrakcyjnych pojęć poza sferą jej zainteresowań. Nie było dla nich miejsca w świecie koni, muzyki rockowej i chłopców. A teraz wszystko się zmieniło. Wystarczyło sięgnąć ręką, by dotknąć jednej z tych nierealnych rzeczy.

Ruhr przeprowadził ją przez samolot. Czowała na sobie spojrzenia dwóch mężczyzn, którzy siedzieli w półmroku. Powietrze było gęste od spalin i tytoniowego dymu. Na podłodze malej i brudnej ubikacji stały kałuże, a z drzwi ktoś usunął zamek, ale Steffie nie była w stanie tym się przejąć.

Ochlapała twarz zimną wodą, a potem napiła się jej łapczywie, chociaż czuła smak stęchlizny i kurzu. Przeczesała wilgotnymi palcami włosy. Jej odbicie w małym lustrze było blade i posępne. Wydawała się sobie mniejsza. Wyglądała jak Pigmej z uschniętą głową. Z trudem siebie rozpoznała.

Wytarła twarz papierem toaletowym i żałowała, że w ubikacji nie ma okna, przez które mogłaby wyjrzeć. Nie wiedziała ani gdzie jest, ani dokąd ją wiozą. Jej rodzice! Chryste! Pewnie szaleją z niepokoju. Pewnie nawet brat okazuje o nią troskę na swój głupkowaty i jękliwy sposób. Podniosła twarz i ponownie spojrzała w lustro. Szorstki papier toaletowy przywrócił w końcu policzkom kolory. I chociaż miała ochotę się rozplakać, wiedziała, że tego nie zrobi.

Ruhr miał na świecie własną siatkę osób, które świadczyły mu przysługi. To lotnisko, na przykład, udostępnił mu dawny współpracownik, osoba blisko związana z marokańską rodziną królewską.

Znajdowało się czterdzieści kilometrów od Marrakeszu i do niedawna korzystały z niego samoloty marokańskich sił powietrznych, biorące udział w walce z rebeliantami z Sahary Zachodniej, jednak ostatnio przestało być używane ze względu na zły stan techniczny.

Wielki samolot transportowy ciężko toczył się po wybojach w stronę

olbrzymiego hangaru zbudowanego z metalowych prefabrykatów, które zardzewiały wiele lat temu. W blasku zachodzącego słońca przestrzeń wewnątrz budynku wydawała się większa niż w rzeczywistości. Przez szpary w rozpadającym się dachu wpadały i wypadały nietoperze, gnane właściwą ssakom potrzebą zmian kierunku ruchu w kontakcie z oślepiającymi smugami promieni, które oświetlały sufit.

Samolot zatrzymał się w środku hangaru w pobliżu dużej cysterny z paliwem. Jose Sweeney opuścił kabinę pilotów i przeszedł przez samolot do tylnej części, gdzie przebywał Ruhr. Dwaj mężczyźni, którzy przylecieli z Niemcem, Trevaskis i Argentyńczyk, siedzieli przy ścianie i zmierzyli Sweeneya ponurym spojrzeniem. Otworzył wyjście dla spadochroniarzy i wyrzucił na zewnątrz sznurową drabinę.

—Miej dziewczynę na oku, Trevaskis — powiedział Ruhr i kołysząc się w powietrzu, zaczął schodzić na lądowisko. Sweeney poszedł za nim, a gdy stanął pewnie na ziemi, podłubał małym palcem w uchu.

—Ten cholerny ryk zupełnie mnie ogłuszył — rzekł do Ruhra. Kilka razy potrząsnął głową, a potem zatkał nos i nadał policzki.

Przez chw'ilę przyglądał się cysternie, która powoli podjeżdżała do samolotu. Urodził się w County Cork, ale od dziesiątego roku życia mieszkał w Bostonie. Wielokrotnie pracował razem z Ruhrem w różnych miejscach na świecie i jeśli o kimś można było powiedzieć, że zna Niemca, był nim właśnie Joseph James Sweeney. A ponieważ nie

dostał przyjemności wspólnego picia z nim alkoholu ani nie dopuścił go do towarzystwa swoich kilkunastoletnich siostrzenic, żywił dla niego pewien podziw. Sweeney wskazał samolot i zadał pytanie, na które długo nie mógł się zdobyć.

—Przypuszczam, że twoje plany uwzględniają obecność tego dzieciaka?

—Zapewni mi bezpieczeństwo. Mogę się nią posłużyć dla odwrócenia uwagi — rzekł Ruhr.

Sweeney skinął głową i zaraz porzucił temat. Wiedział, kiedy można naciskać, a kiedy należy dać sobie z tym spokój. Ruhr, gdy to mu odpowiadało, potrafił być mało komunikatywny i zachowywać się z rezerwą, a teraz najwyraźniej był jeden z takich momentów.

Sweeney poczuł nagły przypływ współczucia dla dziewczyny, ale jak w wypadku większości swoich emocji, tej też pozwolił szybko przeminąć.

—Niepokoilem się o ciebie, Ruhr.

—I po co?

—Kiedy złapali cię w Cambridge, myślałem, że to już koniec.

Ruhr wykonał gest, jak gdyby chciał skończyć tę rozmowę, ale niespodziewanie się roześmiał.

—Powinieneś znać mnie lepiej. Przecież wiesz, że mam niejedno życie.

Sweeney obserwował cysternę z paliwem, która wjechała pod kadłub samolotu. Za pół godziny opuszczą to zapomniane przez Boga miejsce i będą lecieć nad Atlantykiem. Mówiąc otwarcie, chciał mieć

to jak najprędzej za sobą i wrócić do USA. do spokojnego domu na cichej ulicy w Newburyport w Massachusetts i anonimowego życia, na które sobie z wielkim trudem zapracował. Sąsied/i sądzili, że utrzymuje się z inwestycji w nieruchomościach, a on tę iluzję skwapliwie podtrzymywał.

Nie rozumiał, dlaczego to przedsięwzięcie budzi w nim taki niepokój. Na pewno miała z tym związek obecność dziewczyny. Ale i Ruhr był inny. Sweeney wyczuwał w nim rezerwę i znużenie. Uważał to za niebezpieczny sygnał, chociaż nie potrafił tego zinterpretować. Miał zamiar w czasie akcji trzymać się z dala od Niemca.

Patrzył na cysterne, którą łączył ze zbiornikiem paliwa w samolocie gumowy wąż. Znów powróciła myśl, która ostatnio prześladowała Sweeneya. Ruhr zabił więcej ludzi w swoim życiu, niż ty miałeś kobiet. Uświadomienie sobie tego faktu zaszokowało go.

— Naprawdę to już moja ostatnia akcja, amigo — powiedział.

— To samo mówiłeś przedtem. Zawsze wracasz. — Ruhr czuł na sobie nieprzyjazny wzrok Trevaskisa, który stał w drzwiach samolotu.

— Tym razem zaczynam słyszeć, jak trzeszczą mi kości — rzekł Sweeney. — I nie pociąga mnie to tak, jak przedtem. Może jestem już za stary. Mam czterdzieści dwa lata. Günther. A zaczynałem w wieku dwudziestu dwóch lat. To kawał czasu. Nie liczę pięciu lat przedtem, kiedy służyłem w amerykańskim lotnictwie. Jak długo człowiek jest w stanie tak żyć? Czy wyobrażasz sobie, że będziesz robił to jeszcze po sześćdziesiątce?



Ruhr też od dawna wiódł takie życie. Ale w przeciwieństwie do Sweeneya nie mógł sobie wyobrazić pójścia na emeryturę. Prawdziwą sztuką było wynajdowanie sposobów i wprowadzanie nowych elementów, by gra nie straciła uroku. Nawet dodatkowego ryzyka. Wolał to niż nudę, której nie mógłby znieść. Od strony słońca nadleciał nietoperz i zatrzepotał mu tuż przy twarzy. Ruhr odpędził go, wymachując rękami i bijąc wokół siebie powietrze.

— Dam się gładko wchłonąć przez tak zwany nurt amerykańskiego życia — powiedział Sweeney.

Nurt amerykańskiego życia. Sweeney musiał czytywać Time'a.

— Pieczenie wołu na rożnie, budweisser, dziewczynki z metalem na zębach i nie kończąca się nuda.

— W twoich ustach to brzmi pocieszająco.

— Wszystkie środki znieczulające poprawiają samopoczucie — <sup>za</sup> uważał Ruhr. — Mają jednak tylko doraźne działanie — dodał.

Obaj mężczyźni odeszli od cysterny. W swojej rozległej siatce godnych zaufania ludzi, którą budował latami, Ruhr na nikim bardziej nie mógł polegać jak na Josephie Sweeneyu. Gdy cokolwiek mu było potrzebne, jakieś nazwisko, szczególny rodzaj broni czy, jak w tym wypadku, samolot, Sweeneyowi zawsze udawało się to zdobyć. Stał się w pewnym sensie zaradnym kwatermistrzem, którego obecność działała na Niemca kojąco.

Sweeney łączył w sobie spokojny urok zaufanego człowieka z brutalnością zamachowca. Osobiście przekonał się, jak nedorzeczny jest sposób myślenia wojskowych i umiał to bezlitośnie wykorzystać, by uzyskać dostęp do baz i urzędów wojskowych czy odegrać rolę oficera tak przekonywająco, że żaden strażnik ani żandarm nie śmiało zakwestionować jego tożsamości. Był najlepszy w ekipie Niemca.

To Sweeney zidentyfikował oficera, który był odpowiedzialny za transport pocisku do Norfolk. I chociaż to Ruhr nakłonił go do zdrady, Sweeney zdobył najważniejsze informacje o nim: poznał nazwisko, jego stopień wojskowy i numer identyfikacyjny, datę urodzenia, stan cywilny, zakres obowiązków i znane słabości. Znane słabości, pomyślał Ruhr. Nigdy jeszcze nie spotkał człowieka bez usterki, której nie dałoby się wykorzystać. Nigdy nie miał do czynienia z osobą, która by nie miała swojej ceny. Z niektórymi

sprawa była prosta — głód pieniędzy, narkotyków albo zamiłowanie do pewnych rodzajów seksu. W przypadku innych problem stawał się bardziej złożony. Mógł to być jeden wstydlivy moment, który jak ponury szkielet straszył za drzwiami zamkniętej szafy. Oficer zaliczał się do tej drugiej kategorii osób.

Pochodził z Nashville, miał trzydzieści pięć lat i żonę z dzieckiem w Tennessee. W czasie służby w Europie uwikłał się w romans z kobietą, która mieszkała w Norwich i miała własne sprecyzowane ambicje. Ruhr uznał sytuację za patetyczną — samotność rzuciła oficera w ramiona kochanki, której przewrotność przewyższyła jego naiwność. Był miłym, łatwym we współżyciu mężczyzną, któremu dobry, choć pospolity wygląd zapewniał powodzenie na wszystkich przyjęciach. Kochanka domagała się ślubu, chcąc się wyrwać z przygnębiającego i ubogiego w atrakcje życia w Norwich. Zamierzała napisać list do żony oficera w Tennessee. Jeśli mężczyzna z własnej woli nie chciał przeprowadzić rozmowy o rozwodzie, już ona umiała znaleźć sposób, żeby go do tego zmusić!

Co za ponure życie, pomyślał Ruhr. A szczególnie na spokojnych przedmieściach nudnych miast. Po kilku dniach obserwowania ofiary runął na nią z góry i wtargnął w życie młodego człowieka jako jego wybawca i oszust w jednej osobie. Znalazł pub. w którym mężczyzna czasami pijał, zawarł z nim znajomość. Przedstawił się jako szwajcarski fotoreporter, który nieszczęśliwie stracił palce, kręcąc film w Wietnamie. Uderzył w strunę współczucia, gdyż oficer też tam służył aż do gorzkiego końca. Pakt ten był Ruhrowi znany dzięki

uprzejmości Josepha Sweeneya. Koleżeński związek umacniał się. Nic wielkiego. Od czasu do czasu kilka wspólnych piw przy okazjach, które okazywały się zwykłymi zbiegami okoliczności. Raz, a może dwa razy wpadli na siebie w Cambridge, a potem w Norwich. Ruhr stwierdzał, że świat jest mały i uśmiecha) się sympatycznie. Stopniowo wychodziły na jaw fakty / życia oficera. Ugrzązł po uszy, kobieta w Norwich miała cholerne wymagania. Jak mógł wpakować się w coś takiego? Słodki Je/u! Kochał żonę i dziecko, nie chciał ich zranić ani stracić. Żona, Louanne, nie mogła przyjechać do Anglii, gdyż miała chorą matkę w Knoxville. Sprawa była skomplikowana i z każdym dniem coraz bardziej wymykała mu się z rąk. Wolałbym nie żyć — powiedział kiedyś oficer.

Ruhr zasugerował, że to by było błędne rozwiązanie i zostałyby wyeliminowana niewłaściwa osoba.

Ruhr wymyślił coś znacznie lepszego. Jeśli już miał być kandydat do trumny, wybór nie pozostawiał wątpliwości — kochanka, któż by inny?

Ale jak? W jaki sposób miałyby się to stać? — dopytywał oficer.

Ruhr przebiegle odniósł się do tematu z rezerwą. Przedstawił kilka pomysłów — same okruchy, nic więcej. Sprawa sprowadzała się do jednego: kobieta w Norwich musiała zostać... usunięta. Oficer wzruszył ramionami na tę wzmiankę, chociaż ją wziął pod uwagę. W końcu doszedł do wniosku, że nie potrafiłby dopuścić się zbrodni, innej niż w sercu, dodał, jak gdyby w ten sposób chciał zapewnić Ruhra

oswojej męskości.

Ruhr podsunął mu myśl, żeby znalazł kogoś, kto by go wyręczył.

Pomysł raz zaszczepiony, dojrzywał w ciemności. Ruhr, wyborny ogrodnik, pielęgnował go i pilnował, żeby wypuścił pędy. A kiedy już bujnie wyrósł w umyśle oficera, Ruhr pewnego wieczora, pijąc sznapsy ze swoim nowym amerykańskim przyjacielem w pubie na St Andrew Hill w centrum Norwich, przyczynił się do jego ostatecznego rozkwitu. Potrzebna mu była pewna informacja. Niezbyt istotna. Chociaż tajna.

Napomknął otwarcie, że w zamian za tę drobną przysługę życie oficera zostanie “wyprostowane”. I już nigdy nie będzie musiał się kłopotać swoją kochanką. Ruhr oczywiście rozumiał, że “drastyczne” rozwiązanie, które zaproponował, mogło wydać się młodemu człowiekowi odpychające. Ale przecież odrzucenie jego oferty nie będzie miało wpływu na ich dalszą przyjaźń.

Do czego Ruhrowi była potrzebna tajna informacja? Oficer był dociekliwy jak aptekarz wypytyjący klienta, po co mu reglamentowany lek, na który nie ma recepty.

Ruhrowi chodziło o bląhostkę. Chciał mieć okazję wykonania unikatowego zdjęcia pocisku w czasie jego transportu. Mówił w sposób niezwykle sugestywny i przekonywający. Mógł zrobić inne ujęcie, z rodzaju tych, jakie przekazują prasie fotoreporterzy wojskowi, ale odrzucił ten pomysł. Chciał mieć pocisk na zwykłej drodze, w otoczeniu prawdziwej eskorty. Ważne było wrażenie autentyczności. Pragnął przedstawiać rzeczy tak, jak rzeczywiście wyglądały. W pracy fotoreportera najbardziej liczyła się wiarygodność.

Potrzebny był mu kalendarz nadchodzących wydarzeń, miejsca, terminy i trasy. W zamian za te drobne informacje Ruhr gwarantował całkowite bezpieczeństwo związkowi małżeńskiemu młodego człowieka i obiecał mu spokojny umysł. Bo czym jest życie pozbawione spokoju? Jak można dążyć do osiągnięcia kariery, gdy uwagę

rozprasza myśl

O problemach uczuciowych, które powinny być jak najszybciej rozwiązane?

Tej nocy na St Andrew Hill wszystko zostało zapięte na ostatni guzik. Ruhr wiedział, że otrzyma pierwszorzędną informację, dzięki której będzie niezastąpiony. Będzie znał trasę oraz dokładny czas. Informacja dawała władzę, a szczególnie taka, do której nie miał dostępu jego pracodawca.

Pokierował Amerykaninem tak jak chciał, choć bez wielkiego trudu, gdyż oficer okazał się podatny na manipulacje. Morderstwo i zdrada. Myśl, że nakłonił tego przeciętnego człowieka, który nie był ani wybitnie inteligentny, ani wyjątkowo głupi, do współudziału w obu tych zbrodniach, sprawiła Ruhrowi przyjemność.

Trzy dni później Ruhr zakradł się nocą do mieszkania kobiety i w czasie gdy spała, dźgnął ją nożem prosto w serce. Upewnił się, że umarła, i dopiero wtedy wyszedł. Następnego wieczora otrzymał potrzebne mu informacje. Zdobycie ich zajęło mu dokładnie dwadzieścia trzy dni. Potem już nigdy więcej nie widział oficera.

Samolot został zatankowany. Joseph Sweeney palił papierosa. Obserwował słońce, które na niebie o barwie burgundzkiego wina zsuwało się w ciemność za skalistym horyzontem. W powietrzu czuło się już chłód.

— Czas na nas — rzekł Sweeney.

— Jestem gotów. Jak zwykle — powiedział Ruhr.

— Najpierw powinniśmy zrzucićabinę.

—Oczywiście.

Kabina ciężarówki została odłączona od przyczepy. Stanowiła dodatkowy ciężar dla samolotu i była już zbędna. Spuszczono ją po rampie na pas startowy i porzucono,

Hawana, Kuba

Wczesnym popołudniem Rafael Rosabal szedł przez zatłoczone i wilgotne Calle Obispo w Old Hawanie. Wiejący znad falochronu Malecon morski wiatr ucichł na ulicach, stając się zaledwie tchnieniem delikatnie kołyszącym krzewy. Dzisiaj wszystko pachniało solą. Niemal można było usłyszeć, jak koroduje metal. Była wszędzie. Na ozdobnych żelaznych kratkach w oknach i drzwiach, na tablicach rozdzielczych i karoseriach starych amerykańskich samochodów, które zaśmiecały ulice, a nawet na lakierze nowych autobusów kubańskiej produkcji oraz importowanych fiatów i ład. Tam gdzie deszcz splukiwał rdzę, plamy w kolorze miedzi jak wielkie łzy brudziły fasady domów.

Rosabal doszedł do hotelu Bristol. Ze wszystkich stron potracali go przechodnie tłoczący się na wybrukowanych kostką ulicach. W górze powiewały prostokątne transparenty, które reklamowały wystawę dzieł współczesnych kubańskich artystów w Casa de Bano de la Catedral. Rosabal nie znosił sztuki kubańskiej. Uważał, że jest nudna i nieoryginalna. Socjalizm, wbrew przekonaniu Castra, nie inspirował do pracy twórczej.

Wszedł do Bristolu i minął recepcję, w której urzędnik czytał gazetę partyjną. Nagłówki donosiły, że Lider Maximo ma dzisiaj



wygłosić przemówienie w telewizji.

Rosabal skierował się w stronę małego ciemnego baru na tyłach budynku. Pomieszczenie było wąskie i oświetlały je tylko dwie matowe żarówki. Zamówił mojito, tylko po to, żeby usłyszeć od usprawiedliwiającego się barmana, że chwilowo zabrakło cytryn oraz soku z iimonów. Zadowolił się piwem, które zaniósł do stolika.

Oprócz niego w barze przebywał tylko jeden klient — wysoki kościsty mężczyzna w ciemnoniebieskim dwuczęściowym garniturze. Był łącznikiem Rosabala. Teodoro Diaz-Alfonso. Na jego widok Rosabalowi zawsze nasuwało się jedno skojarzenie — remilgado,

pedant. Diaz-Alfonso nosił na czubku nosa małe okulary. A jego sztywna postawa przywołała na myśl ten typ profesora, jakich nie widuje się już dziś w mieście. Diaz-Alfonso pił colę z wysokiej szklanki. Rosabal usiadł obok niego.

Czuł zawsze pewien niepokój, gdy miał się spotkać z Diazem-Alfonsem w Hawanie. Chociaż dlaczego miałyby nie być kontaktów pomiędzy Ministerstwem Finansów i Ministerstwem Sił Zbrojnych, w którym Diaz-Alfonso pracował jako główny doradca? Obaj mężczyźni byli urzędnikami rządowymi. Znali tych samych ludzi, bywali w tych samych restauracjach i na tych samych przyjęciach, a także cieszyli się podobnymi przywilejami z racji zajmowanych stanowisk. Poza tym Diaz-Alfonso był częstym gościem Rosabala w jego mieszkaniu w Vadado. Zwykłemu obserwatorowi to spotkanie musiało wydać się zupełnie naturalne. Rosabal nie miał się czym przejmować.

— Generał prosił, żebym przekazał ci pozdrowienia, Rafaelu — rzekł Diaz-Alfonso. — Mam dla ciebie wiadomość. — Diaz-Alfonso przerwał jak uczeń, który usiłuje przypomnieć sobie cytaty. — Generał powiedział, że akceptuje postawione przez ciebie warunki.

Rosabal rozparł się w fotelu, starając się rozluźnić. To niesamowite, jak człowiek zaangażowany w konstruowanie konspiracyjnego projektu i przez długi czas całkowicie nim pochłonięty zapomina o zwykłych codziennych przyjemnościach — o smaku piwa albo zapachu dobrych cygar. Jak gdyby żył w pokoju ze spuszczonej na stałe roletami, za

którymi nic się nie dzieje. Jak gdyby ulicą nie przejeżdżały samochody, po bulwarach nie spacerowały kobiety i nie było słońca ani księżyca.

— Przekaż generałowi, że nie zostanie mu to zapomniane. Tak jak wszystkie usługi, które ostatnio wyświadczył — rzekł Rosabal.

— Generał zdaje sobie sprawę ze znaczenia własnej roli w całym projekcie, Rafaelu. Nie jest zwolennikiem fałszywej skromności. Nie oczekuje jednak pieniężnej formy zapłaty. Nie jest żołnierzem najemnym. Domaga się zwierzchnictwa nad wojskiem.

— To zupełnie zrozumiałe.

Diaz-Alfonso niepewnie podniósł rękę, jak gdyby delikatnie upominał Rosabala za to, że mu przerywa.

— Generał spodziewa się też, że jego pozycja będzie wyższa od pozycji innych ministrów. I że będzie pierwszy wśród równych sobie stopniem.

— Proszę zapewnić generała, że jego życzenia zostaną spełnione — powiedział Rosabal.

Generał Alfonso Capablanca, drugi w siłach zbrojnych po Raulu Castro, był zawsze konsekwentny w swoich dążeniach. Od samego początku umowa przewidywała prowadzenie negocjacji z generałem za pośrednictwem jego wysłannika. Generał lubił zachowywać dystans. Poza tym uważał, że konspiratorzy powinni postępować zgodnie z jakimś protokołem, by nie stać się zwykłymi anarchistami. Istniało coś takiego jak forma, mawiał Capablanca. Jeśli Rosabal miał pewnego dnia przy pomocy generała oraz grona wyższych oficerów

zostać prezydentem tego narodu, musiał wiedzieć, że forma była nie tylko czczym frazesem, ale tkwiła w niej treść. Realia nie miały wpływu na wyobrażenie o politykach. Byli tylko tym, co widziało w nich społeczeństwo.

Rosabal pod względem cynizmu dorównywał generałowi, Uważał go za nieprawdopodobnego nudziarza, ale nie mógł się bez niego obejść. Bez udziału Capablanki oraz jego oficerów plan rozleciałby się na kawałki. Tylko generał potrafił zdobyć podpis Lidera Maximo na pewnym dokumencie. W przeciwnym razie spisek musiałby przyjąć inną strategię. Dlatego Rosabal na znak wdzięczności, podyktowanej bardziej względami pragmatycznymi niż szczerością, przystał na żądania generała. Był w stosunku do niego bardzo uprzejmy, chociaż z niecierpliwością wypatrywał dnia, gdy Capablanca będzie mógł zostać odesłany “w stan spoczynku” przez pluton egzekucyjny.

Diaz-Alfonso pochylił nieco głowę. Jego wymizerowana twarz ozaciśniętych ustach nie wyrażała żadnych uczuć.

— Generał chciałby również wiedzieć o wszystkich korektach planu natychmiast, gdy tylko zostaną wprowadzone.

— Nie przewiduję żadnych zmian. — Rosabal pomyślał o Ruhrze i o pocisku. Spojrzał na zegarek. Jeśli Ruhrowi się powiodło, był teraz w Afryce Północnej. A ponieważ do Rosabala nie dotarły żadne niepomyślne wieści, przypuszczał, że wszystko jest w porządku. Gdyby coś się stało, dowiedziałby się o tym od Caporellego. Zwykle przekazywali sobie wiadomości przez telefon. Caporelli telefonował

do Mexico City, a jeden z włoskich urzędników przekazywał informacje do Hawany. Rosabal uśmiechnął się na myśl o Włochu. Problem Caporellego polegał na tym, że uważał siebie za człowieka inteligentniejszego i bardziej przebiegłego od innych.

— Nasz naród żyje w bardzo niezwykłych czasach, Rafaelu — rzekł Diaz-Alfonso. — Pamiętam, że kiedyś wszyscy mieliśmy wielkie nadzieje. A teraz, gdziekolwiek spojrzę, widzę niezadowolenie. — Wzruszył ramionami i wypił do końca swój napój. — To musi ulec zmianie. Z każdym dniem ciśnienie wzrasta, a para zawsze szuka ujścia. Żałuję, że nie ma sposobu, by wprowadzić zmiany bez naruszenia prawa. Ale prawo w tym systemie dawno już przestało istnieć. To wielki problem,

Raficlij. Jedyne partia ma coś do powiedzenia. Rządzą nią ludzie, do których nie dociera głos ludu.

— ich dni są już policzone — rzekł Rosa bał.

— Miejmy nadzieję, Rafaelu. Diaz-Alfonso posła wił pustą szklankę na stole. Podniósł się. — Wiesz, gdzie mnie znaleźć w razie potrzeby,

Rosabał patrzył za Diazem-Alfonsem, który opuszczał salę. Wypił do końca piwo. Włożył ciemne słoneczne okulary i też ruszył w stronę wyjścia.

— Słyszał pan? — zapytał go barman, gdy przechodził obok baru.

— O czym?

— W radio, chwilę temu. Fidel odwołał dzisiejsze przemówienie. Nie powiedzieli dlaczego. Musi być poważnie chory, jeśli nie może przemawiać, prawda?

Rosabał nie odezwał się. Pracując w rządzie Castra starał się nie zwracać na siebie publicznej uwagi, gdyż anonimowość uważał za pożyteczniejsze narzędzie od rozgłosu. Wydawało mu się, że dostrzegł na twarzy barmana błysk rozpoznania.

— Słyszałem, że ma wrzody — rzekł barman. — Może się uaktywniły. Nie przypominam sobie, żeby kiedyś zrezygnował z przemówienia — dodał.

Rosabał skwitował tę uwagę jakimś frazesem i nie zatrzymując się, minął bar oraz recepcję. Znowu znalazł się na Obiso Street. Wiatr przybrał na sile i trzepotał rozwieszonymi w powietrzu

transparentami. Lider Maximo był zbyt chory, żeby wygłosić przemówienie. Po raz pierwszy w historii, pomyślał Rosabal.

Minął sklep zielarski El Herbolario. Dobiegł go zapach mięty, który obudził niepożądane wspomnienia o Guantanamo i ubóstwie dzieciństwa. Hierbabuena, tak lubiana przez wielu ludzi, bujnie rosła w pobliżu jego domu. Ojciec Rafaela był biednym, utrzymującym się ze ścinania trzciny cukrowej analfabetą. Mieszkali w nędznej chacie, do której gorące wiatry przy wiewały kurz i którą w porze deszczowej zalewała woda. Mówiono, że teraz ludziom w Guantanamo żyje się lepiej, ale poprawa warunków bytu była pojęciem względnym. Bieda, bez względu na opinię komunistycznych statystyków, istniała nadal. Jedyna różnica polegała na tym, że przedłużony czas życia i mniejsza umieralność noworodków zwiększała liczbę ludzi, którzy mieli szansę jej zaznać.

Rosabal zatrzymał się na rogu. Myślał o dalekiej drodze, jaką pokonał od korzeni ubóstwa, i o bliskim już celu. Był bogaty. Miał dostęp do olbrzymich kapitałów oraz udziały w światowych inwestycjach i rzadko kiedy zastanawiał się nad swoim pochodzeniem, Komu to było potrzebne? Mo co miał przypominać sobie głód, komary i uczucie rozpacz, które ta ziemia wywoływała u ludzi? Pamiętał swojego ojca z rozedmij płuc. jak dzień za dniem, sezon za sezonem ścinał trzcinę — zgarbiony i spalony od słońca więzień Króia Cukru. Pamiętał też matkę, surową kobietę o nadmiernie rozszerzonych biodrach po zbyt wielu porodach, która zmarła w wieku trzydziestu pięciu lat. Nigdy się nie uśmiechała. Nigdy. Te wspomnienia

świdrowały mu umysł, obraz przesuwał się za obrazem, aż Rosabal poczuł wzrastający ucisk w gardle i uderzenia młota wewnątrz czaszki.

Przypomniawszy sobie ten straszny dzień w 1962 roku, dwa lata po śmierci matki, gdy ojciec próbował znaleźć azyl polityczny w amerykańskiej bazie marynarki wojennej w Guantanamo. Pamiętał, jak ścisnął rękę ojca, gdy otoczyli ich jankescy żołnierze w mundurach o barwie khaki i zadawali ojcu brutalne pytania, a potem naigrawali się z niektórych jego odpowiedzi. Rosabal pamiętał uczucie strachu, jakie wzbudzali w nim ci obcy ludzie, ich niezrozumiały język i nieznane mundury. Od tamtej pory czasami prześladowało go wspomnienie zastraszonego wzroku ojca. Amerykanie zawrócili ich z drogi. Odtrącili umierającego człowieka i jego dziewięcioletniego chłopaka. Mówili o normach migracyjnych, kwestionariuszach i wymogu posiadania sponsora, o sprawach, na których ani Rosabal, ani jego ojciec się nie znali. Dzień po próbie ucieczki z Kuby Felipe Rosabal został zabrany przez fidelistas. Nigdy więcej już go nie widziano. Po wielu latach Rafael Rosabal sam nie wiedział, kogo bardziej nienawidzi — Castra czy jankesów.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł z czoła pot. Musiał panować nad wspomnieniami, zwalczać je i tłumić. Należały do przeszłości i nie miały z nim nic wspólnego. Nie był już dłużej narażony na poniżenie, gdy wyrwał się z tego brutalnego przesyconego wilgocią dzieciństwa. Co jakiś czas docierała do niego ponura przeszłość,



próbując go cofnąć do początków. Ale to nie miało znaczenia.  
Absolutnie żadnego.

Dzięki rewolucji i możliwościom, jakie otworzył przed nim reżim  
Castra, mógł uciec od swoich źródeł. Od ubóstwa. I bezsilności.  
Zabawne i ironiczne wydało mu się zrządzenie losu, że wszystko  
zawdzięcza rewolucji, jak i fakt, że zamierza zniszczyć to państwo,  
które na własny koszt wychowało go i wykształciło.

Znów był opanowany. Cicho zatrzymało się przy nim czarne  
BMW. Otworzył tylne drzwi i usiadł obok pięknej młodej kobiety  
o urodzie tancerki flamenco, która uśmiechnęła się i wyciągnęła do  
niego rękę. Jej czarne włosy były gładko zaczesane i mocno związane

z tyłu. Przycisnęła usta dokładnie tej samej barwy, co czerwona atłasowa wstążka, do jego ust i delikatnie dotknęła palcami jego policzka. Gest ten był wyrazem miłości i posiadania.

—Mój kochany — powiedziała ciepło.

Rafael Rosabal bez wielkiego entuzjazmu objął kobietę. Pachniała perfumami Diva, które przywiózł jej z Europy.

■— Czy możemy pojechać na obiad do domu? — szepnęła mu czule do ucha, zachowując się tak, jak gdyby nie było szofera.

—Możemy — powiedział trzymając jej rękę w swoich dłoniach. Później będzie się z nim łagodnie kochać, zupełnie inaczej niż Magdalena, z którą przeżycia seksualne były ogniem i wilgotnym wyczerpaniem. Magdalena potrafiła zachowywać się jak wspaniała dziwka. To cecha kochanek, a nie żon, pomyślał Rosabal.

—Szczęśliwy? — zapytała młoda kobieta.

—Tak.

—Niczego nie żałujesz?

—Niczego — odpowiedział z roztargnieniem.

Na jej palcu zamigotała złota obrączka, odbijając promień światła. Kobieta obróciła dłoń i przyglądała się jej pod różnymi kątami. Zaledwie trzy miesiące temu nosiła jeszcze nazwisko swojego ojca i nazywała się Estela Alvaraz Capablanca. I od czasu do czasu nadal tak o sobie myślała. Nie oswoiła się jeszcze ze zmianą stanu cywilnego. Uważała małżeństwo z Rafaelem Rosabalem za szczęśliwą zmianę w swoim życiu. Wszystko stało się nagle —

szybkie konkury, cichy ślub, tak jak życzył sobie Rafael, i krótki miesiąc miodowy w Meksyku.

Żony innych ministrów, które niejednokrotnie w przeszłości usiłowały Rosabala wyswatać, uważały ich za cudownie dobraną parę, której brakowało tylko dziecka, by związek nazwać idealnym. Oczywiście Estela chciała mieć dziecko. Uwielbiała dzieci. Uroniła niejedną łzę, czytając o okrucieństwach, jakich doświadczały w tych rejonach świata, gdzie toczyły się wojny. I bolało ją serce na widok każdego biednego dzieciaka o smutnym spojrzeniu na ulicach Hawany.

Za każdym razem, gdy czuła, jak sperma Rafaela rozlewa się wewnątrz jej łona, modliła się o płodność. I jej modły, jak się okazało, zostały wysłuchane. Zaledwie piętnaście minut przed spotkaniem z Rafaelem dowiedziała się od lekarza, że jest w ciąży. I teraz, radując się w duchu, czekała na odpowiedni moment, żeby podzielić się tą wiadomością z mężem, który ostatnio często bywał roztargniony.

Przyszła matka, tak, ale nie narzucająca się żona. Wcale nie była bezmyślną małą kobietą, jak sądziło wiele osób, nie wyłączając Rosabala. Miała własną osobowość, niezależność, którą prawdopodobnie odziedziczyła po generale, upór i wrodzoną inteligencję. Była domatorką w tym sensie, że lubiła zarówno mieszkanie w Hawanie, jak i wiejską posiadłość w pobliżu Sanci Spiritus. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że ta cecha to kompletny jej obraz. Estela Rosabal

była panią samej siebie. Wewnątrz niej płonął ogień, który mało kto dostrzegał.

Ze swojego punktu widzenia Rosabal uważał, że pożytecznie było mieć generała Capablancę za teścia: spisek pozostawał w gronie rodziny. To był wspaniały ożenek, nawet jeśli doszedł do skutku przy większym współdziałaniu pośredników władzy i okoliczności niż niebios i serca.

Znużony mężczyzna w szaroniebieskiej marynarce w kratę posługiwał się fałszywym paszportem kanadyjskim, według którego nazywał się J. S. Mazarek. Dokument został dobrze podrobiony w Miami. Mężczyzna przyjechał do Hawany na krótką wycieczkę z Montrealu. Grupa, z którą podróżował — Towarzystwo Badaczy — była stowarzyszeniem mężczyzn i kobiet w średnim wieku, których działalność polegała wyłącznie na wzajemnym poznawaniu niektórych części ciała. Mazarek musiał odeprzeć energiczne natarcie hałaśliwej wdowy z obfitym biustem, która pochodziła z Trois Rivières.

Był rosląm mężczyzną o barwie włosów i o strukturze pianki z cappuccino. Tropił swoją ofiarę wzdłuż Obispo oraz Mercaderes Streets i ukradkiem ją fotografował. Robił to z dużą wprawą, gdyż temu zajęciu poświęcił większość życia. Zwykle zajmował się przypadkami zbłąkanych mężów albo żon.

Mazarek obserwował ministra finansów przy drzwiach BMW. Małym aparatem fotograficznym szybko zrobił jeszcze jedno zdjęcie.

Miał wystarczająco dużo danych o Rafaelu Rosabalu. Jego zleceniodawca powinien być usatysfakcjonowany, nawet jeśli niezbyt szczęśliwy. Mazarek obserwując reakcje ludzi wiedział, że w zawodzie, jaki wykonywał, wywiązanie się z obowiązków nie zawsze było równoznaczne z zadowoleniem pracodawcy.

## Rozdział XII

### Londyn

O dziewiątej wieczorem Frank Pagan siedział w swoim biurze, słuchając dzwoniących bez przerwy telefonów i klekotu drukarek. Pomimo wszystkich napływających informacji był sfrustrowany. Czego właściwie się dowiedział? Odpowiedź była przygnębiająca i irytująca. Powiesił marynarkę na oparciu krzesła i przycisnął palce do zmęczonych oczu, lekceważąc dotkliwy ból w klatce piersiowej.

Do pokoju wszedł Foxie z naręczem papierów. Wziął do ręki jeden z leżących na wierzchu arkuszy i zatrzymał na nim wzrok.

— Śmigłowiec został skradziony trzy tygodnie temu w jednostce marokańskich sił powietrznych, gdzie sądzono, że porwali go rebelianci z zachodniej Sahary. Członkowie załogi pochodzili z Syrii. Tak jak przypuszczaliśmy, przekroczyli nielegalnie naszą granicę. Według opinii syryjskiego attache prasowego w Londynie — byli znanymi terrorystami.

Marokański helikopter, załoga syryjska — terroryzm nie miał granic. Był wszechwładny.

— Mężczyznami, którzy zginęli w czasie akcji, byli Richard Mayer, pochodzący z Buffalo w stanie Nowy Jork, oraz Roderigo Flavell, Argentyńczyk. Mayer został wyszkolony w sztuce obchodzenia się z materiałami wybuchowymi w amerykańskiej armii. Słynął ze swoich niszczycielskich zdolności. A Flavell był poszukiwany w związku ze zbombardowaniem synagogi w Paryżu

kilka lat temu. Niezłe ptaszki, Frank.

Pagan zmienił pozycję. Trudno mu było skoncentrować się na tym, co mówił Foxworth. Zbyt wiele zagadek równocześnie domagało się jego uwagi i budziło niepokój.

—Odciski, które zebraliśmy na farmie Yardleyów, należą do Ruhra, Mayera oraz innego Amerykanina o nazwisku Trevaskis, który figuruje w rejestrze policji w San Diego i jest podejrzany o handel materiałami wybuchowymi oraz bronią palną, a także o przemyt broni do Meksyku. Ma opinię szczególnie niebezpiecznego przestępcy. Znaleźliśmy też odciski należące do nieżyjącego Flavella oraz jego rodaka i kolegi Lnrice Zapina, również poszukiwanego przez francuską policję za zbombardowanie synagogi. Farma Yardleyów. Zagadka, która powracała jak nieprzyjemny smak w ustach. Pagan nie potrafił ustalić związku pomiędzy mężczyzną, który wynajął farmę, i Giinthrem Ruhrem. Niecierpliwie spojrział na zegarek — godzinę temu kazał wezwać żonę najemcy, co mogło ją zatrzymać? Connaught nie znajdowało się dalej jak dziesięć minut jazdy taksówką. Pagan miał nadzieję, że jeśli kobieta w ogóle przyjedzie, rozjaśni trochę mroczną przestrzeń.

Był markotny od czasu, gdy został ranny. 'l'eraż jego zły nastrój pogłębiała jeszcze myśl o losie Steflie Brough. Spotkał się z jej rodzicami przed wyjazdem z Norwich — dwojgiem bardzo nieszczęśliwych ludzi, którzy usiłowali zatuszować swój smutek staromodnym angielskim stoicyzmem, ale przekonali się, że zaciśnięcie zębów nie jest tak łatwe, jak głoszą reklamy.

Zrobimy, co w naszej mocy, powiedział im Pagan. Znajdziemy ją  
Skąd ta pewność? Głos pani Brough nie pozostawiał wątpliwości,  
że kobieta jest bliska jawnej hysterii. Na to pytanie Pagan nie znalazł  
odpowiedzi. Żaden banał z policyjnego almanachu nie mógł być dla  
niej pocieszeniem. Pagan miał wciąż przed oczami twarz pani  
Brough, która była późniejszą wersją Stephanie z jej legitymacyjnego  
zdjęcia.

Bezgraniczna trwoga odebrała rysom matki jakikolwiek wyraz  
poza rozpaczą. Pagan przepełniało poczucie bezsilności, współczucia  
i gniewu, nad którym starał się zapanować.

Do biura zajrzał Billy Ewing. W ręce trzymał kartkę cienkiego  
żółtego papieru.

— Wiadomość, panowie — rzekł.

— Mam nadzieję, że pomyślna — powiedział Pagan.

Billy wzruszył ramionami.

— Nie wiem jaka. Mam ją tylko przekazać. A do ciebie należy jej  
ocena, Frank. Dzisiaj rano został skradziony samolot transportowy tuż  
pod czujnym nosem naszych królewskich sił powietrznych.

— Skradziony samolot? — zapytał Pagan.

— Tak tu jest napisane. W czasie planowego i potwierdzonego lotu  
z Piątej Bazy do Niemiec amerykański C-130, który poprzedniego  
dnia przywiózł nieokreślony ładunek, został najwidoczniej uprowa-  
dzony przez nieznane osoby. I nie wiadomo, gdzie się teraz znajduje.



—Dlaczego tak długo zwlekano z przekazaniem nam tej informacji? — zapytał Pagan.

—Zraniona duma — zasugerował Foxworth. — RAF jest okropnie wrażliwy — dodał.

—I ja tak sędzę — rzekł Pagan bez przekonania. Czasami trudno było o prawdziwą współpracę pomiędzy instytucjami wspierającymi działanie prawa i jednostkami wojska. Każda z nich była odrębnym małym dominium egotyzmu.

—Bardzo głupio wygląda uprowadzenie dużego samolotu — rzeki Billy Ewing.

—Jak mogło do tego dojść? — zapytał Pagan. — Potrafię jeszcze zrozumieć porwanie samolotu. Zgoda. Wszystko można uprowadzić, jeśli się bardzo chce. Ale nie mogę pojąć, dlaczego poszukiwania nie przyniosły rezultatu.

—Po pierwsze zła pogoda. Mnóstwo chmur, Frank. Po drugie niebo jest rozległe, a samolot bardzo mały, bez względu na to, jaki się wydaje na ziemi. Po trzecie siły powietrzne mają ograniczoną liczbę samolotów przechwytyjących. I gdzie miałyby prowadzić poszukiwania? Na Morzu Północnym? Nad kanałem La Manche? Nad Atlantykiem? Jeśli samolot transportowy leci odpowiednio nisko, radary są bezużyteczne — stwierdził Foxie autorytatywnym tonem człowieka, który niebawem ma otrzymać licencję pilota.

—Jak sądzisz, czy RAF poinformował Amerykanów? — zapytał Pagan.

— Co za scena! Powietrzny Marshal na kolanach przed Amerykanami — rzekł Billy Ewing. — Przykro nam, chłopaki. Jeden z waszych samolotów gdzieś nam się zawieruszył. Zrobimy, co w naszej mocy. — Dodał, naśladowując akcent angielskiej wyższej klasy.

Pagan powoli podniósł się z krzesła. Przeszedł na drugą stronę pokoju i włączył małe przenośne radio. Chciał usłyszeć jakiś ochrypły głos, który rozjaśniłby mu umysł, coś, co by nim wstrząsnęło i zagłuszyło wywołane paniką ciche dudnienie w głowie. Jeśli Steffie jeszcze żyła, była razem z Ruhrem na pokładzie samolotu i nikt nie wiedział gdzie. Wyobraził sobie nakreślone przez Niemca w powietrzu słowa: Znajdź mnie, Frank.

W pokoju rozległ się ryk Małego Richarda i jego Long Tali Sally. Dźwięk, który innym mógł się wydać torturą — Foxworth skrzywił się za plecami Pagana — był balsamem dla skołatanego serca Franka. Jak w większości piosenek rockowych słowa pozbawione były sensu. Ale ich znaczenie wcale nie było ważne. Muzyka rockowa hipnotyzowała, doprowadzała do stanu, w którym nie trzeba było myśleć.

I na tym polegało jej piękno. Pagan, wielki miłośnik rocka, znał wszystkie jego tajemnice, takie jak prawdziwe nazwiska Shirellesów, pierwszy przebój nagrany przez Gene'a Vincenta czy datę i miejsce śmierci Buddy'ego Holly'ego.

Billy Ewing wyszedł. Jego muzyczne gusta nie wykraczały poza własną inspirowaną whisky wersję znanej angielskiej pieśni, którą wykonywał w sylwestra każdego roku.

Pagan wrócił do biurka. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio spał. Miał ciężkie powieki. Musiał natychmiast wzmocnić się kawą. Zamierzał właśnie poprosić Foxwortha o filiżankę bardzo mocnego naparu, gdy nagle w drzwiach zjawiała się kobieta.

Była w połowie czterdziestki i osiągnęła stan, który można nazwać pełnią rozkwitu. Jej wygląd tłumaczył to sformułowanie lepiej od jakiegokolwiek słownika. Zachowywała się ze spokojną pewnością siebie i reprezentowała styl, jaki można spotkać tylko u kobiet, które mają zarówno środki, jak i aspiracje, żeby odwiedzać najbardziej znane salony mody i te drogie kliniki, w których zręczni chirurdzy plastyczni, wymyślne kremy i wody powstrzymują proces starzenia się ciała. Była jak forteca, której podpory chylały się ku upadkowi, ale nie wywołuje to jeszcze wielkich szkód.

Była piękna w niepokojący sposób. Miała wystające kości policzkowe, wgłębienia w policzkach, jakby trzymała kwaśną pastylkę w ustach, długie wypielęgnowane kasztanowe włosy i uszyty na miarę kostium ze spodniami w drobne prążki, który nadawał jej władczy wygląd. Była kobietą, która wie o sobie wszystko. Pagan pomyślał, że musiała być kiedyś modelką, kimś o dobrze wyćwiczonej elegancji.

— Frank Pagan? — zapytała z doskonałym akcentem.

— To pani jest zapewne Gabrielle Chapotin. — Pagan wstał, podszedł do radia i wyłączył je.

Foxie przybiegł z krzesłem dla kobiety. Skinęła głową w sposób, w jaki by podziękowała każdemu służącemu, a potem usiadła, trzymając się bardzo prosto. Spojrzała z pewnym rozbawieniem na jedwabny

ekran z Buddym Hollym.

— Wyrazy współczucia — rzekł Pagan. Wyciągnął rękę. Uścisk Gabrielle był miękki i szybki. Chciała jak najprędzej opuścić to miejsce.

— Współczucia? — zapytała.

— Z powodu pani męża. I całej tragedii.

— Niektóre małżeństwa są związkami tylko z nazwy, panie Pagan — powiedziała.

Pani Mróz, pomyślał Pagan. Odchrząknął i poprosił Foxiego okawę. Gabrielle odmówiła, twierdząc, że nie pija tego, co w Anglii

uważano jcsl za kawę. Pagan zażartował, doszukując się podobieństwa między angielską kawą i płynem przekładniowym, ale nawet z grzeczności się nie uśmiechnęła. Foxworlh przyniósł kawę w plastikowym kubku i Pagan zaczął ją popijać małymi łykami.

Temperatura w pokoju obniżyła się. Obecność kobiety wprowadziła chłód.

— Mam tyle roboty. A tu ta cała biurokracja — powiedziała.

— Biurokracja. Można by sądzić, że u was wszystko przebiega sprawniej.

— Oczywiście. I formalności pogrzebowe leż. Muszę wysłać ciało mojego męża do Paryża. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

— Nie zamierzam długo pani zatrzymywać. Tylko kilka pytań, nic więcej. — Pagan odstawił kubek.

— Zapewne wic pani, że nie prowadzę dochodzenia w sprawie zamordowania pani męża? Nie jesieni z wydziału zabójstw.

— Co ja lulaj wobec tego robię? — wyglądała na zaskoczoną.

— Kazałem panią wezwać. Kiedy się dowiedziałem, że przyjechała pani do Londynu, pomyślałem, że uniknę podróży do Paryża.

— Ale po co, skoro to nie ma związku z zabójstwem mojego męża?

— Bardziej od śmierci interesuje mnie jego życie.

— O którym pan mówi? Przecież miał ich kilka.

Dobre pytanie. Klóre życie? Czy nie zachodziły na siebie? I stary Jean-Paul potrafił zupełnie je rozdzielić? Wiódł jedno w Paryżu z Ciabrielle, a drugie w Londynie z nieszczęsną Melody. A może miał

jeszcze trzecie, które prowadził niezależnie od tych dwóch? J-P

Chapolin — mistrz zdrady.

— Pani mąż wynajął farmę na wsi — rzekł Pagan.

— Nie cierpiał wsi.

— Niemniej jednak według naszej informacji wynajął farmę w biurze pośrednictwa w Norfolk. Wiemy też, że nigdy osobiście na niej nie był.

— Dlaczego się pan tym interesuje, skoro nigdy tam nie mieszkał?

— zapyłała. Była zniecierpliwiona. Przyjęła pozycję obronną, jak gdyby dłuższy pobyt w tym pokoju miał ją skalać.

— Interesuje mnie związek pomiędzy pani mężem a ludźmi, którzy zajmowali dom. Byli... kryminalistami.

— Kryminalistami? Nie rozumiem, dlaczego mój mąż miałby zadawać się z takimi ludźmi. Nie potrafię panu pomóc, panie Pagan. Jak pan widzi, niewiele wiem.

Położyła na kolanach dłonie i spojrzała na nie. Były doskonałe, o długich palcach i ostrych paznokciach pomalowanych na delikatny kolor. Zdawały się być stworzone do przywoływania kelnerów i odprawiania służących. Ciabrielle, choć była uosobieniem zimy, miała dużą klasę.

— Pomówmy o rzeczach bardziej oczywistych. Jak mąż prowadził interesy?

—.....Nie obchodziły mnie jego sprawy  
odpowiedziała, nieświadomie być może wkraczając na śliski grunt w szerokim znaczeniu tego słowa.

— Musi pani o czymś wiedzieć — rzekł Pagan.

— Prowadziłam mu dom, panie Pagan. To wszystko, czym się zajmowałam. Byłam jego gosposią.

Pagan nie uważał, żeby madame Chapolin mogła być czyjąś gospodynią. Tak jak nie potrafił sobie wyobrazić, żeby Jean-Paul Chapolin mógł wiele przed nią ukryć. Była silną, upartą kobietą. Niełatwo było ją oszukać. Pagan przewyciężył jednak pokusę wyśmiania Ciabrielle. Zamierzał dalej wywierać nacisk, jak gdyby w ogóle nie słyszał jej słów. Zwiesił głowę i ruszył do natarcia.

— Czy prowadził interesy w Anglii?

— Nie wiem. — Sprawiała wrażenie osoby wyprowadzonej z równowagi.

— Przypuszczam, że miał tutaj rachunek bankowy. Musiał płacić podatek od nieruchomości w Chelsea. To łatwo sprawdzić. Przy odrobinie szczęścia mogę nawet odkryć źródło jego dochodów. Jeśli był rachunek, musiały być w jakiś sposób lokowane na nim depozyty. Są więc na pewno mikrofilmy kopii czeków. Dyrektor banku przyjdzie nam z pomocą. Oni wszyscy są zwykle skorzy do współpracy, gdy się do nich zwracamy z jakąś prośbą.

— Sądziłam, że wasi bankierzy są bardziej dyskretni — powiedziała.

— Każdy przestaje być dyskretny, gdy zaczyna mu się łamać kości, madame — rzekł Pagan.

— Łamać kości?

— Mówię obrazowo.

—I bardzo barwnie.

Gabrielle Chapotin przez chwilę milczała. A potem uśmiechnęła się po raz pierwszy. Trochę nienaturalny uśmiech przywodził na myśl modelkę z okładki, niemniej był cudowny.

—Skoro już mowa o bankach, przypomniałam sobie, że Jean-Paul miał udziały w którejś z włoskich instytucji finansowych. Nie pamiętam jej nazwy. “Commerciantes” coś tam. Nie powinno być trudności z jej odnalezieniem. Wydaje mi się też, że miał jakieś inwestycje w Afryce Południowej.



Aaa, Pagan był zafascynowany reakcjami ludzi na sugestię, że ktoś obcy będzie węszyć w ich rachunkach bankowych. Zawsze było coś do ukrycia, a najczęściej pieniądze. Nie ulegało wątpliwości, że Gabrielle wiedziała więcej o interesach męża, niż twierdziła, w każdym razie dostatecznie dużo, by stać się komunikatywna wobec perspektywy przesłuchania dyrektora banku. Pagan nie był zainteresowany odkryciem nieprawidłowości bankowych ani przestępstw fiskalnych innego rodzaju. Gabrielle była tego pewna. Pomimo to na jej twarzy pojawił się wspaniały uśmiech, na widok którego Pagan się ożywił.

— Cieszę się, że w końcu odzyskała pani pamięć — powiedział. Gabrielle wzruszyła ramionami.

— Czasami potrzebne jest małe naprowadzenie. Jakaś iskra, można powiedzieć. Z pamięcią różnie bywa.

— Tak, bardzo różnie — przyznał Pagan. — A co z interesami pani męża w tym kraju? Czy znajdzie się iskra, która w tej sprawie rozjaśni pani umysł?

Otworzyła torebkę i wyjęła papierosa. Foxie podał jej ogień. Paliła nie zaciągając się. Wokół jej głowy zebrały się niebieskie chmury, nadając jej smutny wygląd. Popatrzyła na Pagana i przez sekundę wyczuł pewną intymność, znaczący kontakt oczu, nieuchwytnie wrażenie, że innym razem mogą spotkać się w okolicznościach bardziej sprzyjających wzajemnemu zrozumieniu. Schlebiło mu to.

Odsunął krzesło do ściany, spojrzął na Foxiego i czekał, żeby

Gabrielle zaczęła mówić. Wyciągnęła rękę z papierosem i Foxie, doskonały lokaj, przyniósł popielniczkę, na której energicznie rozgniotła niedopałek. Zbyt energicznie, pomyślał Pagan. Była zdenerwowana.

Odwróciła od niego wzrok.

— Jeździł do Szkocji.

— Czy wie pani, po co?

— Miał tam spotkania w interesach. Nie znam jednak szczegółów.

— Czy wie pani, dokąd dokładnie jeździł?

— Dowiedziałam się, że latał do Glasgow. Przez przypadek widziałam jego bilet, który sekretarka odesłała do domu.

Pagan był pewien, że w życiu Gabrielle nie było miejsca na “przypadkowe” zdarzenia. Znalazła prawdopodobnie bilet w czasie potajemnych przeszukiwań. Była wytrawnym szpiegiem. Pagan zastanawiał się, czy wiedziała o podwójnym życiu męża, ale wołała z siebie tylko znanych powodów zignorować tę wiadomość.

— Czy zatrzymywał się w Glasgow?

Nie potrafiła odpowiedzieć. Niczego też nie wiedziała o tamtejszych

180

jego interesach ani czy wynajmował samochód, czy też był odbierany z lotniska. Udało się jej tylko zapamiętać datę biletu lotniczego.

Pagan jej uwierzył, Przesłuchanie dobiegło końca. Foxie wiedząc, czego od niego się oczekuje w świetle skromnych informacji Gabrielle, wymknął się z pokoju. Pagan wstał.

— Wie pan — powiedziała Gabrielle — im dłużej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do przekonania, że to nieprawdopodobne by Jean-Paul wynajął tę farmę. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby mógł to zrobić. Nie znosił ciszy. Nienawidził życia na wsi. Może pomyłono go z inną osobą, która nazywała się tak samo. Czy to nie byłoby możliwe?

— Chapotin jest rzadko spotykanym nazwiskiem — rzekł Pagan.

— Przecież może pan to sprawdzić, prawda?

— Mój zastępca otrzymał zdjęcie pani męża w wydziale zabójstw. Kopia fotografii jest w drodze do biura pośrednictwa. Ale jeśli okaże się, że człowiekiem, który wynajął farmę, nie był pani mąż, to dlaczego ktoś inny miałby się za niego podawać? Co oszust chciał w ten sposób uzyskać?

Gabrielle Chapotin nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Wyszła na korytarz, gdzie na moment stanęła w zamyśleniu. Ale zaraz uśmiechnęła się bez przekonania do Pagana i odeszła, zostawiając za sobą delikatną woń drogich perfum.

Paganowi nie podobał się pomysł o oszuście. Przyjął, że to Jean-Paul wynajął farmę w imieniu terrorystów i istniał jakiś związek pomiędzy nim a Ruhrem. Może nawet Chapotin był tym człowiekiem, który stał za Niemcem. Wprowadzenie na tym etapie hipotezy o mistyfikacji było niepotrzebną komplikacją. Jeśli J-P nie wynajął farmy, dlaczego ktoś użył jego nazwiska, żeby to zrobić? Oczywiście, mogło być dwóch różnych J-P Chapotinów w Anglii, ale było to mało prawdopodobne.

Do pokoju wrócił Foxworth.

— Rozmawiałem z policją w Glasgow. Mają się ze mną ponownie skontaktować — powiedział.

— Mam nadzieję, że wkrótce.

— Jestem pewien, że zatelefonują natychmiast, gdy tylko będą coś mieli — powiedział Foxie. Pod pachą trzymał znajomą papierową teczkę, w której znajdowały się różne dokumenty. Otworzył ją na biurku Pagana i zaczął przerzucać papiery. W końcu znalazł i wyciągnął to, czego szukał. — Kiedy usłyszałem, jak madame wspomina

o Szkocji, przypomniałem sobie ten kasek. Nie powiesz, że to zwykły zbieg okoliczności.

Pagan spojrział na leżąc;! <sup>111</sup> biurku kartkę.

Był to dokument, który Foxiemu udało się wyłudzić od szkolnego kolegi, pracującego w wywiadzie. Były w nim informacje o miejscach pobytu Rafaela Rosabala — dokąd pojechał, gdzie się zatrzymał oraz z kim się spotkał. W raporcie figurowały dokładne daty i godziny. Nie było wzmianki o Magdalenie, co oznaczało, że Rafael zdołał na chwilę wymknąć się tym, którzy go śledzili. Pracowity i ruchliwy człowiek, pomyślał Pagan. Z Londynu do Glasgow.

Pagan podniósł twarz i spojrział na Foxwortha.

— Czy możesz mi powiedzieć, co jest tak szczególnego w Glasgow 0tej porze roku?

— Muszą tam być jakieś atrakcje — odparł Foxworth. — Pojechał tam Chapotin i Rafael Rosabal. Dokładnie w tym samym czasie. Czy sądzisz, że mogli się spotkać, Frank? — Foxie wydawał się zaintrygowany. Jego gładkie zwykle czoło bruździła surowa zmarszczka.

— Po co? — zapytał Pagan. — Co mogło łączyć Chapotina z Rosabalem? A nawet jeśli się znali, to dlaczego musieli spotykać się akurat w Glasgow? Każdy z nich miał własne interesy tutaj, w samym Londynie, po co by mieli jechać sześćset kilometrów na północ? Szczerze mówiąc, wcale bym sobie nie życzył, żeby pomiędzy nimi był jakiś związek. Nie chciałbym się natknąć na żadne intrygi, w które jest zamieszany Rosabal. Jeśli Kubańczyk ma związek z tą sprawą, możemy mieć do czynienia z prawdziwie skomplikowanym

problemem. W zupełności wystarczy mi już sam Chapotin.

Pagan spojrział w okno za plecami Foxwortha. Mrok nad Golden Square przesłaniała koronka mżawki. Pagan próbował wyobrazić sobie spotkanie Rafaela Rosabala z Chapotinem w Glasgow — po co, na miłość boską? (Przypomniał sobie zamknięte drzwi od łazienki w hotelowym pokoju Magdaleny, wypływające spod nich światło i obecność Rosabala: czy dlatego nie chciał brać w rachubę Kubań- czyka, gdyż to by znaczyło, że Magdalena z tą sprawą też nie ma nic wspólnego?) A jeśli nawet ustalili, że pomiędzy dwójkiem mężczyzn istniał związek, to co? W jaki sposób ta informacja zbliżyła go do Ruhra?

Za dużo pytań. Za mało odpowiedzi. Wcale nie podobał mu się ten zbieg okoliczności, czasu, miejsca i osób. Miał tak mało punktów zaczepienia. Chapotin był jedynym śladem, który prowadził do Steffie Brough i Ruhra, a nazwisko zmarłego człowieka to bardzo niewiele.

— Ciekawe, gdzie teraz może być Steffie Brough — powiedział Foxie, jak gdyby odczytując niewesołe myśli Pagana, a w jego zwykle pogodnym głosie zabrzmiała ponura nuta.

Pagan był niespokojny. Wstał z kr/iesla i podszedł do okna. W całym budynku /aiegła cisza. Nie dzwoniły telefony, nie brzęczały komputery ani nie klekotały drukarki. A więc istniała niewielka i krucha oaza spokoju. Spojrział w dół na Golden Square. Po latarniach spływał deszcz, posrebrzony elektrycznym światłem. Pagan wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki małe legitymacyjne zdjęcie Steffie Brough i wetknął je do swojego biuletynu w korkowej

oprawie.

— Ciekawe — powiedział.

Waszyngton DC

Jesienne popołudnie było wyjątkowo piękne. Pomniki w Waszyngtonie sprawiały wrażenie, jakby zostały wzniesione nie tyle po to, by uhonorować któryś z demokratycznych ideałów, ale by uczcić raczej zmianę kolorów liści i większe niż kiedykolwiek latem zamglone pomarańczowe słońce, które postumentom nadawało połysk i wyodrębniało je na tle płomieni.

Harry Hurt zawsze czuł się dobrze w Waszyngtonie. Jako patriota uważał to miasto za swój prawdziwy dom. Kochał posągi i pomniki. Stał kiedyś przy pomniku Pamięci Ofiar Wietnamu i czytając nazwiska poległych, zadrżał pod wpływem uczucia wdzięczności dla tych ludzi. To miasto wzruszało go, przypominało, w jakim żyje kraju oraz o tym, że przede wszystkim jest Amerykaninem. Nie wstydził się uczucia patriotyzmu ani nie był z jego powodu zażenowany.

Szedł cichą ulicą kilka bloków za Uniwersytetem George'a Washingtona, wiedząc, że Sheridan Perry nie może za nim nadążyć. Perry był mężczyzną ociężałym. W przeciwieństwie do Harry ego nie uprawiał joggingu, nie grał w piłkę ręczną i źle się odżywiał. Zupełnie nie dbał o własne zdrowie.

Zatrzymali się na rogu. Oślepiiony rześkim porywem wiatru Harry Hurt wsunął ręce do kieszeni swojego szarego kaszmirowego

płaszcz. Jego koścista twarz wydawała się bardziej kanciasta niż zwykle. Chciał zadać Perry'emu pewne pytanie, ale nie wiedział, jak je sformułować. Trudno było znaleźć dyplomatyczny sposób, by się dowiedzieć, czy to jego rodak odpowiada za zabójstwa Chapotina, Magiwary i Klugera. Pytanie nie było z rodzaju tych, które by sprzyjały pogłębianiu wzajemnego zaufania.

Hurt spędził kilka niespokojnych godzin w samolocie w drodze powrotnej z Paryża. Nie znosił nie wyjaśnionych spraw. Kto zabijał członków Towarzystwa? Kto znał ich tożsamość? Lecąc



nad Atlantykiem Harry uznał Perry'ego. z powodu jego żądry władzy, za osobę najbardziej podejrzani} i doszedł do wniosku, że najlepiej zapytać o to wprost. Pomimo jedności, jaką reprezentowali na forum Towarzystwa, Sheridan mało obchodził Harry'ego Hurta. Uważał go za egocentryka.

Poza tym wydawała mu się podejrzana filozofia Perry'ego. Podobnie jak Harry nazywał on siebie patriotą, lecz Hurt uważał, że Sheridan nadużywa tej definicji. Słyszał kiedyś, jak Perry wyjaśniał, na \* czym polega wielkość Stanów Zjednoczonych. Przeraził go ten wywód.

Perry zgadzał się «'prawdzie z tym, że konstytucja jest cudownym dokumentem, ale do wielkości Ameryki przyczynił się inny wspaniały wynalazek — luki. Luki w konstytucji, w systemie prawnym i podatkowym. Dzięki nim Perry prosperował. Ameryka była cudownym krajem dla tych, którzy umieli je wykorzystać. W czasie wygłaszania takich teorii Perry coraz bardziej się ożywiał. Hurt często myślał o cynizmie, jaki krył się w jego słowach. Tragedia polegała na tym, że Sheridan Perry wcale nie zdawał sobie z niego sprawy.

Ciemnoniebieska limuzyna, która jechała za Hurtem i Perrym w odległości trzydziestu metrów, podjechała trochę bliżej. W pojeździe siedziało trzech uzbrojonych członków ochrony osobistej. Uważnie obserwowali dwóch mężczyzn, rozglądali się po ulicach, przyglądali się witrynom, wejściom do sklepów i szczytom dachów. Hurt zaproponował tę przechadzkę, by zadać pytanie na osobności, bez

krępującej obecności innych osób. Samochód z ochroną ani przez chwilę nie zostawał daleko w tyle, a drażliwe pytanie Hurta było bardziej odległe niż kiedykolwiek przedtem.

Jak mógł wprost zapytać Perry'ego o tak straszną rzecz? To proces eliminowania osób, Sheridan. Skoro to nie ja, wchodźcie w rachubę ty, Caporelli albo Kinnaird. Możliwe, że to Caporelli. Mniej prawdopodobne, by to mógł być Kinnaird. Tak więc zostajecie we dwóch z Enrikiem. Nie potrafił o to zapytać. Perry gwałtownie by się bronił, a pomiędzy nich zostałby wbity klin nieufności. Z tej sytuacji nie było wyjścia, pomyślał Hurt.

Budynek, przed którym Hurt z Perrym się zatrzymali, należał do ekskluzywnego zakładu krawieckiego. Szyto tu garnitury bez typowych znaków identyfikacyjnych, oprócz małego ściegu krzyżkowego w niewidocznym miejscu pod kołnierzem. Haft potrafiło rozpoznać najwyżej sto osób. Apoteoza elitaryzmu. Brudne okna były szczelnie zasłonięte. Żadnych różnobarwnych wystaw, żadnych znaków wskazujących na działalność przedsiębiorstwa usługowego, tylko numer ulicy na zwykłej metalowej płytce.

Hurt zadzwonił do drzwi. Prawie natychmiast otworzył je wysoki, milczący mężczyzna w czarnej marynarce i spodniach w drobne prążki. Wokół ramion miał udrapowany metr krawiecki. Wykonał trochę zniewieściały gest, wskazując, by poszli za nim, i poprowadził ich pomiędzy długimi stołami z belami tweedów, lnów, wełen i jedwabi do wąskiej kondygnacji schodów i przez podwójne drzwi do dużego pustego pokoju, wyłożonego boazerią z ciemnego drewna.

Powietrze miało tutaj woń typową dla wszystkich zakładów krawieckich, na którą składały się zapachy tuzina nowych tkanin tak pomieszane, że nie sposób je było od siebie odróżnić. W oknach znajdowały się żaluzje, wyblakłe po wielu letnich sezonach. A smugi sącającego się przez nie światła miały dziwnie brązowawy odcień.

Obok jedyne mebla w tym pomieszczeniu, długiego stołu zapel-  
i nionego wieloma opasłymi katalogami z wzorami tkanin, stał męż- J  
czyzna o rumianych policzkach. Nosił bardzo ciemne okulary i  
niebieski ■ garnitur. Przeglądał księgi, zatrzymując od czasu do czasu  
na c/ymś ! wzrok, aż w końcu zainteresowała go jedna z próbek. i —  
To ładny len. Zawsze lubiłem lniane tkaniny, a najbardziej ] o  
pastelowych odcieniach — powiedział łagodnie. Nie musiał  
podnosić : głosu, żeby go ludzie słuchali. Gdy Allen Falk wchodził do  
pokoju, wszystkie oczy zwracały się na niego. Nie z powodu urody,  
schludnego \$ wyglądu czy elegancji. Falk miał tę trudną do  
zdefiniowania cechę. i jaką jest autorytet, i Zamknął katalog ze  
wzorami.

f — Pozwólcie, panowie, że zapoznam was z aktualnymi danymi, «  
jeśli uszło coś waszej uwagi en route. Ruhr przejął pocisk zgodnie I z  
planem. Wykonał kawał dobrej roboty. Wprowadził jednak pewną |  
komplikację, której nie braliśmy pod uwagę. Wziął zakładniczkę, i  
młodą dziewczynę. Żadna wielka sprawa. Ale ten nieprzewidziany  
■ krok wytrącił nas z równowagi.

j — Zakładniczka? — Sheridan Perry spodziewał się, że Niemiec |  
zrobi coś zaskakującego. — Po co mu, do licha, zakładniczka? — \

zapytał.

Al Falk wyszedł zza stołu.

3 — Do sprawy dzieciaka powrócimy później. Najważniejsze, że pocisk zmierza już do miejsca przeznaczenia. Otrzymałem informację, 1 że samolot Ruhra za trzy godziny powinien wylądować,

■ Harry Hurt poczuł lekkie zdenerwowanie. Spojrzał na zegarek. :  
Trzy godziny wydawały mu się wiecznością. Wiadomość o zakładnicze i nie podobała mu się bardziej niż Perry'emu, ale tylko dlatego, że nie I lubił nieprzewidzianych wypadków. Nigdy się nie ożenił i nie miał

podejścia do dzieci. Czasami widywał je kątem oka. Uważał, że są zbyty żywe i zanadto krzykliwe. Nic darzył też specjalnym podziwem Giintera Ruhra. Człowiek ten nie kierował się w życiu żadnymi zasadami. Dzięki Bogu, Harry nie musiał mieć osobiście do czynienia z Niemcem. Skomplikowane dane techniczne przekazane przez Ruhra dotarły do niego za pośrednictwem Caporellego, który z kolei otrzymał je od Rosabala — złożony łańcuch wzajemnych zobowiązań. Hurt dostarczył dane Levy’emu i Possony’emu. Był szczęśliwy, że tak wyglądał jego najbliższy kontakt z Ruhrem.

— Nie powinno być żadnych przeszkód z przylotem. Nasze satelity szpiegowskie, które by mogły dokonać identyfikacji samolotu, są od co najmniej ośmiu godzin “uszkodzone” i nie zostaną naprawione przynajmniej przez następne trzy. Niezwykła koordynacja, nie sądzić? — zapytał Falk.

— O tak — zgodził się Hurt.

Falk uśmiechał się jednym ze swoich słynnych uśmiechów. Jego pulchne policzki rozdęły się do rozmiarów dzikich jabłek i nadały mu wygląd jowialnego człowieka, jakim nie był. Zbyt go pochłaniało czuwanie nad prezydentami, by mógł sobie pozwolić na bez troskę i wielkoduszność. Jego uśmiech był tajemniczy i przebiegły, typowy dla człowieka uważającego siebie za osobę, która ma decydujący głos w cyrku państwowej władzy.

Czasami Hurt podejrzewał, że Falk wie o Towarzystwie. Ale nawet jeśli tak było, nigdy nie dał tego po sobie poznać. Może zresztą

O niczym nie wiedział, a tylko takie sprawiał wrażenie. A może uważał, że jego kolega z Princeton, Harry Hurt, należy po prostu do dwuosobowej spółki z Perrym.

— Otrzymałem wiadomość, że Fidela zmogła jakaś nieznana choroba — rzekł Falk. — Właśnie dokładnie na to czekaliśmy — dodał.

— Pięknie — zauważył Harry Hurt.

— Brat Raul, który mógłby stanowić poważny problem, gdyż dowodzi oficerami, którzy są lojalni wobec Fidela, nadal przebywa w Afryce. Wydarzenia opóźnią jego powrót na tyle, że nie będzie już mógł wrócić na Kubę. Według moich informacji poważne siły najemników z Afryki Południowej mają zamiar zaatakować granicę Angoli i zatrzymać Raula na tamtym kontynencie jeszcze przez kilka dni.

Na Harrym Hurcie zawsze robiła wrażenie zawilość planu — znakomita koncepcja, która przewidywała udział nie tylko Falka, ale też niektórych podziemnych grup działających na Kubie przeciwko Castrowi, kilku terrorystów pod dowództwem Ruhra i wojska, które Harry sam zgromadził w Hondurasie. A wszystkiego doglądało wielkim, życzliwym, masońskim okiem Towarzystwo kwaków

Hurt przypuszczał, że w obrębie samej CIA działała klika pod wodzą Falka, ale jak większości informacji /wią/anych / tą organizacji! leż nie mógł potwierdzić- Jak inac/ej można było manipulować satelitami szpiegowskimi? Jakim cudem wiadomość o stacjonowaniu malej armii w Ca bo Ciracias a Dios nie dotarła do wscihskich dziennikarzy, którzy profesjonalnie zajmowali się

siedzeniem wydarzeń w Ameryce Środkowej? I w jaki sposób atak najemników / Afryki Południowej mógł zostać tak precyzyjnie zgrany?

Bywały dni, kiedy Hurt zastanawiał się, czy prezydent osobiście nie jest zaangażowany w sprawę i nie wie o całym planie, chociaż nigdy w życiu by się do tego nie przyznał, a już na pewno by go oficjalnie nie zaaprobował, żeby nie narazić się sprzymierzeńcom i nie rozsierdzić Rosjan. To były tylko ryzykowne spekulacje, które musiały nigdy znaleźć potwierdzenia. Prezydentura zwykle wiązała się z działaniem zawołowanym — była bardziej mitem niż treścią, bardziej cieniem niż rzeczywistością. Hurt zdawał sobie sprawę, że udział Stanów Zjednoczonych w projekcie mógł być tak odległy, jak „peryferie peryferii”.

Al Falk podszedł do okna i stanął odwrócony plecami do pokoju.

— Wszystko przebiega zgodnie z planem — powiedział. Zatarł dłonie, jak gdyby się spodziewał, że potarciem skóry wykrzesa ogień. Hurt miał wrażenie, że Al Falk w głębi duszy uważa siebie za człowieka o nieograniczonych zdolnościach — który potrafi chodzić po powierzchni wody albo wskrzeszać umarłych.

Falk odwrócił się.

— Będziecie mieć Kubę. My — koniec panowania Fidela. Co za wspaniały układ.

Hurt uśmiechnął się. Myślał o sukcesie i o różnorodnych interesach pod jednym sztandarem. O upadku fujelismo i przejęciu władzy na Kubie przez Towarzystwo Kwaków, na czele której miał stanąć

rozsądny

i miękki prezydent w osobie Rafaela Rosabala. Jak powiedział Falk — wspaniały układ. Jedynym cieniem, jaki padał na szczery entuzjizm Hurta, były uszczuplone szeregi Towarzystwa. Pomijając to że Harry Hurt nie lubił być celem na liście skazańców. Oczywiście, Towarzystwo mogło odświeżyć krew i wprowadzić nowych, starannie wybranych członków do swojego sanktuarium, ale nie w tym tkwiło sedno sprawy. Hurt chciał wierzyć, że zabójstwa skończy się na Magiwarze, Chapotinie i Klugerze i że ci trzej mężczyźni zostali zamordowani przez odłam jakiegoś ugrupowania, któremu się narazili. Nadzieja bardzo nikła, ale uchwycił się jej kurczowo. Była lepsza od paranoi.



Falk z trzaskiem podciągnął żaluzję. Pokój zalało zimne światło o barwie mandarynki. Harry Hurt przyjrzał się doradcy prezydenta w pełnym świetle. Drobne czerwone żyłki pokrywały ściegami twarz Falka jak haft. Czarne okulary żarzyły się, jak gdyby oczy za szklami były pomarańczowe. Wyglądał demonicznie.

— Obserwowałem Kubę ponad trzydzieści lat — powiedział. — Przyglądałem się jej wnikliwie, jak lekarz wpatruje się w monitor, doszukując się oznak życia pacjenta. Chwytałem wiatry wiejące z tamtej strony i pozwólcie powiedzieć sobie, nie pachniały kwiatami. Miały specyficzną woń odchodów komunistycznych kundli. Nie jest to nam potrzebne. Odświeżmy zapach Karaibów. A jeśli Stany Zjednoczone nie mogą dokonać tego oficjalnie, zrobmy to tak, jak możemy.

Falk przerwał. Jego nienawiść do komunizmu datowała się od upadku węgierskiej rewolucji w 1956 roku i zawładnęła nim z pasją pierwszej miłości. Brutalne wydarzenia w Czechosłowacji w 1968 roku spotęgowały to uczucie. A ostatnie wypadki w Chinach umocniły jeszcze Falka we własnym przekonaniu.

Ciszę w pokoju zakłócił tylko dwukrotny sygnał jego zegarka. Ale nie zwrócił na niego uwagi.

— Gdy w przeszłości CIA próbowała dokonać zamachu na Castrą, zawsze ten pomysł był wyśmiewany. Stany Zjednoczone uważano za brutala, który popycha Fidela na dziedzińcu szkolnym bez żadnego uzasadnienia — tylko dlatego, że jest większy i zawsze może kopnąć

go w tyłek. Paskudne wyobrażenie, przyjaciele. W nieudolnym sądzie światowej opinii, który jest jedynym liczącym się w dzisiejszych czasach międzynarodowym wymiarem sprawiedliwości, nie było usprawiedliwienia dla zabójstwa kretyna i usunięcia nieczystości z Kuby. — Falk wydał policzki. — Teraz sytuacja jest inna. Tym razem będziemy mieli dowód, poważny i niepodważalny. Podstępem zdobyte zwycięstwo w naszych czasach ma podarować przyszłemu światu fait accompli

1     choć niektórzy mogą je postrzegać jako godne pożałowania, jest nieodzowne. Nie zamierzamy zrażać do siebie Organizacji Państw Amerykańskich, w której kilka krajów członkowskich utrzymuje bliskie stosunki z Kubą. Nie chcemy też drażnić sprzymierzeńców z NATO, gdyż niektórzy z nich prowadzą bardzo korzystną wymianę handlową z Fidelem. Potrzebujemy aprobaty świata we wszystkich poczynaniach, ponieważ sami staliśmy się cholernie wrażliwi. Jesteśmy tacy, jak chcemy wyobrażać sobie samych siebie. Nie jesteśmy ludźmi, tylko narodem oryginałów. Na miłość boską, zależy nam tylko na tym, żeby się dobrze zaprezentować.

Falk przerwał i przełknął ślinę.

188

— A w konsekwencji nic możemy uderzyć wprost. Nie, my musimy robić podchody i wybierać okrężne drogi udając, że nie mamy z tym nic wspólnego. Musimy uciekać się do zastępczych środków. A jeśli przez jakiś traf zostaniemy z tą sprawą powiązani, załamując ręce staniemy przed sądem i nękani potwornymi wyrzutami

sumienia wyznamy, że przyczyniliśmy się do wykrycia pocisku u chorego psychicznie despoty. Co mieliśmy robić? Pocisk był bezpośrednio wymierzony w nasze gardło. Udzieliliśmy skromnego wsparcia nielicznej armii kubańskich emigrantów, żeby udowodnić, że nie tyranizujemy znowu małej biednej Kuby. I przedstawimy wszystkim sędziom wykonane przez nas zdjęcia pocisku. Sprawa zamknięta. Amen.

Hurt z przyjemnością wysłuchał Falka, a potem spojrzał na dół na wąską ulicę. Po drugiej stronie stała zaparkowana limuzyna. Miała włączony silnik. Obok przejechał biały ford taurus i zatrzymał się tuż przed nią.

Falk wsunął palec pod szkło okularów i potarł oko.

— A teraz sprawa zakładniczki. Myślę, że Ruhrowi wystarczy proste zlecenie. Coś, co by oznaczało, że nie jest dopuszczalny dodatkowy bagaż. Nic o rozhisteryzowanym nieletnim świadku. On będzie wiedział, co ma zrobić. Nie jest nowicjuszem.

Harry Hurt miał właśnie przytaknąć, gdy spostrzegł, że ford taurus cofa się bardzo szybko i zrównuje z limuzyną. Coś tam się działo na dole. Chciał powiedzieć o pojawieniu się na środku jezdni podejrzanego taurusa, za którym jak złe widmo ciągnął się wielki pióropusz spalin. Zdążył wymówić tylko: "Ciekaw jestem, co, u diabła..." i zamilkł, gdyż ford ruszył z piskiem opon do przodu, odsłaniając limuzynę.

Była widoczna tylko przez sekundę. A potem wszystko stało się błyskiem światła. Limuzyna eksplodowała i uniosła się na pół metra

w powietrze. Szyby rozleciały się na kawałki, wygiął się metal i odleciała kierownica. Wokół limuzyny kłębiła się wielka kula gęstego i ciemnego dymu. Fala uderzeniowa roztrzaskała szybę w oknie, przy którym stał Hurt. Zdołał odskoczyć, zanim cienkie ostrza szkła przeszły powietrze, wpadając do środka. Mniej zwinnego Allena Falka odłamki trafiły w głowę. Perry, który stał przy stole, nie odniósł żadnych obrażeń.

— Jezu Chryste — powiedział Falk. Z czoła spływała mu krew na puciołowate policzki.

Hurt wyjął chustkę i pomógł Falkowi zetrzeć z twarzy krew. Popatrzył na Perry'ego, który podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

Wrak limuzyny zatarasował chodnik. Maskę odleciała, błotnik był poszarpany, a bagażnik wgnieciony. Wybuch pootwierał wszystkie

drzwi. Z tyłu leżeli nieruchomo jeden na drugim dwaj mężczyźni. Z przodu kierowca zwijał się w konwulsjach.

Harry nic nie powiedział. Komuś najwyraźniej wydawało się, że to on z Perrym siedzi w limuzynie. Dla kogoś byli cieniem. Ale ktoś się pomylił. Tym razem.

Falk dotknął skroni zakrwawioną chustką.

— Gdy przybędzie policja i zaczną szukać naocznych świadków powinno nas tu już dawno nie być. Proponuję, żebyśmy natychmiast się stąd wynieśli — powiedział.

Hurt z Perrym nie ociągali się. Pokój wypełnił się wstrętnym zapachem palonej gumy, który dochodził ze zniszczonej limuzyny. Hurt idąc do drzwi za Falkiem, zastanawiał się: kto wiedział? Kto, u licha, wiedział, że obaj z Perrym podróżują tym właśnie, a nie innym samochodem. Gdy schodził po schodach, uderzyła go myśl: Perry. Perry wiedział.

## Rozdział XIII

### Cabo Gracias a Dios, Honduras

Tomas Fuentes był w namiocie, kiedy usłyszał, że wokół niego cicho i równomiernie wibruje ciężkie powietrze, jak gdyby wieczorne niebo wypełniło brzęczenie miliona skrzydeł. Wyszedł na zewnątrz i stał przez chwilę z rękami na biodrach, nasłuchując. W dźwięku dobiegającym od strony morza była siła żywiołu — nadciągającego tornado albo trzęsienia ziemi, które potrafi rozedrzeć oceaniczne dno.

Z sąsiedniego namiotu wyłonił się Roger Bosanquet. Dźwięk

stawał się coraz bardziej intensywny. Ustawione pomiędzy drzewami żółte naftowe lampy oświetlały lądowisko wśród dużych namiotów, w których spało wojsko. Było to miasto obozowe.

Fuentes obrzucił spojrzeniem niebo, jednak niczego nie dostrzegł. Tymczasem odgłos przybierał na sile. Przechodził w huk, przywodząc na myśl grzmienie pioruna. Zdawało się, że ziemia pod stopami drży, ale to było tylko złudzenie. Otoczenie, jak wnętrze głośnika, zdawało się chłonać i wzmacniać dźwięki.

— Oto i on — powiedział Bosanquet, wskazując na niebo.

Początkowo były widoczne tylko światła, jak główki od szpilek. Dopiero później pojawił się zarys samolotu, który szybko tracił wysokość i zniżył się tak bardzo, że jego reflektory oświetlały powierzchnię rozbryzgiwanej wody.

Fuentes z Anglikiem zeszli zboczem w kierunku lądowiska. Niebieskie elektryczne lampy, otoczone rojem uwijających się komarów, oświetlały całą długość pasa startowego. Samolot znalazł się ponad drzewami, a huk stał się teraz tak przeraźliwy, że mężczyźni zatkali sobie uszy. Obserwowali odrzutowiec, który z ogłuszającym rykiem podchodził do lądowania. Przez moment wydawało się, że znieruchomiał w powietrzu, ale wkrótce był już na dole i wydając ostatni przeraźliwy pisk, rwał pasem do przodu. Nieznacznie nim zarzuciło \$ i zatrzymał się na sześć metrów przed końcem betonowej nawierzchni | oraz skupiskami drzew.

Gdy dochodzili do pasa startowego, Bosanquet wspomni ł o wiadomo ci, kt r  otrzyma  drog  radiow  przed pi tnastoma minutami od Harry ego Hurta.

— Dzieciak? — zapyta  Fuentes.

— Na pokladzie samolotu jest jaki  dzieciak?

— Na to wygl da.

— Nie zamierzam plami  r k krwi  zadnego dzieciaka — rzek  Fuentes.

— To Ruhr b dzie ponosi  za to odpowiedzialno c. — Zawsze opanowany Bosanquet skin  g w  w kierunku duzego samolotu, w kt rym w lno otworzy y si  drzwi. — Twoje r ce pozostan  czyste, Tommy — doda .

Bosanquet spojrze  w stron  o wietlonych drzwi odrzutowca C-130, w kt rych wyraźnie zarysowa  si  sylwetka Ruhra. Nie ko cz ce si  hu tanie samolotu w czasie lotu przyprawilo Stephanie Brough o mdlo ci. Zjad la tylko troch  suszonych owoc w, kt re Ruhr wydzieli  jej z plastikowej torby. Niemiec ani na chwil  nie spuszcza  dziewczynki z oka. Jego wzrok przywodzi  Steffie na my l soczewki jakiego  naukowego przyrz du, za pomoc  kt rego poddawano j  drobiazgowej analizie. Chcia la, zeby si  odwr ci , popatrzy  w inn  stron  i zostawi  j  w spokoju. B d c nieustannym przedmiotem zainteresowania, wci ż u wiadami la sobie zagrozenie, jakim by  dla niej.

Nadal nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Nie udało się jej podsłuchać żadnej rozmowy z powodu woskowych kulek w uszach. Poza tym dwaj mężczyźni, Trevaskis i Zapino, którzy siedzieli kilka metrów dalej, nie sprawiali wrażenia rozmownych, Ruhr też nic nie mówił, więc i tak niczego by się nie dowiedziała.

Ruhr otworzył drzwi. Dla Steffie Brough, której świat dotychczas ograniczał się do Norfolk i Fenlands, zapach nocy był zupełnie nowy. Wyczuwała woń starych mchów, porostów oraz czegoś jeszcze, czego nie potrafiła zidentyfikować, co pachniało gorzkawo i słodko, kojarząc się jej z padliną. Wyjęła zatyczki z uszu i natychmiast uderzył ją hałas, też całkowicie jej nie znany — ptasie odgłosy, jakie dotychczas słyszała tylko w zoo — wielkie, potęgowane echem, trele.

Ruhr odwrócił się w drzwiach.

— Wiesz, gdzie jesteś? — zapytał.

Pokręciła przecząco głową.

— To Honduras.

Próbowała przypomnieć sobie atlasy i mapy, ale nie była mocna w geografii. Przyszedł jej na myśl Kanał Panamski, a potem Zatoka Meksykańska, ale nie umiała dokładnie określić położenia Hondurasu.

Czy nie znajdował się w pobliżu Nikaragui? Nie była pewna i ten brak przekonania pogrążył ją w rozpacz. Gdziekolwiek to państwo leżało, było bardzo daleko od wszystkich znanych jej miejsc. Jak więc mogła w ogóle myśleć o ucieczce? Gdyby nawet miała szansę zbiec Ruhrowi, dokąd mogłaby pójść? Wyobraziła sobie dżunglę, łowców



głów, węże

i tarantule.

Była świadoma swojej wymiętej spódnicy, brudnej bluzki oraz kilku tłustych plam na rudym swetrze. I bardzo by się jej przydała kąpiel, ale doszła do wniosku, że ważniejszy od czystej odzieży był opór. Jego nie uzewnętrzniła forma: w umyśle i w sercu. Na zewnątrz, jeśli tylko będzie w stanie, postara się zadość uczynić życzeniom Ruhra. W środku jednak, gdyż tylko to się liczyło, pozostanie twarda, zimna i obojętna. Jedyne antidotum, które chroniło ją przed całkowitym załamaniem. Musi być bardzo silna, to wszystko. Żadne płaczliwe nastroje. Żadne jęki. A przy najmniejszej sposobności jakoś się stąd wydostanie.

Nie mogła ścierpieć dotyku jego ręki na swoich plecach, gdy prowadził ją w kierunku drzwi i zwisającej do ziemi sznurowej drabiny. Przypomniała sobie, jak na farmie rozpiął jej stanik. O Boże, to było tak dawno. Krew uderzyła jej do głowy. Ta intymność napawała ją obrzydzeniem, ale nie miała innego wyjścia. Jeśli chciała przeżyć, musiała robić wszystko, czego od niej zażądał.

Tak długo, dopóki jej wnętrze pozostawało nietknięte.

Zawisała między niebem a ziemią, trzymając się chybotałej drabiny. Nad sobą miała Ruhra. Spojrzała w górę i zobaczyła wnętrze nogawek jego dżinsów. Do jednej kostki miał przywiązany nóż w pochewce. Przypomniała sobie obraz martwego policjanta na starej farmie, jego ciało częściowo zakryte liśćmi i dziwny, pusty wzrok wbity w niebo. Oczy wypełniały mu się kroplami deszczu, które

przelewając się ponad rzęsami, spływały w dół po twarzy.

Rozpamiętywanie takich rzeczy nie miało sensu. Musiała przetrwać, a ocalenie oznaczało myślenie naprzód, a nie wstecz.

Na ziemi stali jacyś mężczyźni. W oddali paliły się żółte i niebieskie światła, a w ciemnościach unosił się słaby zapach parafiny i pieczonego mięsa. Steffie poczuła zawrót głowy. Mocno zacisnęła ręce na linie, walcząc ze słabością. Po chwili była na dole. Z radością powitała dotyk ziemi pod stopami. Ruhr zszedł na dół razem z pozostałymi mężczyznami z samolotu i nagle powstało zamieszanie. Wzajemne powitania, niezrozumiały język, uściski dłoni. Przez jedną pełną napięcia chwilę, gdy zdała sobie sprawę, że nikt nie zwraca na nią uwagi, rozważała możliwość ucieczki.

Gęste drzewa, tu i ówdzie rozbite namioty pomiędzy lampami, cienie biegających w tę i z powrotem postaci, dźwięki gitary i dobiegający z dala głos, który nucił hiszpańską piosenkę — nie było dokąd uciec. Gdyby nawet zdołała to zrobić, co było mało prawdopodobne, na pewno by gdzieś umarła zagubiona. Spojrzała na Ruhra. Był pogrążony w rozmowie z dwoma mężczyznami, którzy wyszli ich powitać. Choć głosy były ciche, Steffie wyczuła w nich zdenerwowanie. Jej rodzice też kłócili się ze sobą półgłosem, kiedy chcieli, żeby ich nie słyszała.

Ruhr oderwał się od mężczyzn, z których jeden nosił kapelusz panama, i podszedł do niej.

— Chodź ze mną.

Poszła za nim betonowym pasem. W gęstwinie drzew dwieście metrów za lądowiskiem stał rozbity namiot o oliwkowej barwie. Ruhr otworzył klapę i Steffie weszła do środka. Potarł zapalnik i zapalił lampę. Osobliwy, żarzący się niebiesko płomień rzucał na płócienne ściany zniekształcone cienie.

— Siadaj.

W kącie stało wygięte składane łóżko. Usiadła, ściskając razem kolana i obejmując je rękami. Ruhr stanął przed zakopconą lampą i zasłaniając światło, pogłębił panujący w namiocie półmrok.

— Chcą, żebym cię zabił.

Poczuła suchość w gardle.

— Dlaczego? — zapytała.

—Widziałaś za dużo i teraz trzeba się ciebie pozbyć. Na dobre. To proste.

Steffie długo milczała. Wyobraziła sobie, że nie żyje — blade zwłoki w mahoniowej skrzyni, ozdobne białe koronki, suknia, szereg świec łagodnie oświetlających jej delikatne rysy. Nie, to wcale nie będzie tak wyglądało. Zostanie zastrzelona i porzucona w dżungli, gdzie jej ciało ulegnie rozkładowi. Nie ma nic poetycznego ani romantycznego w takiej śmierci.

—Nie chcę umierać — powiedziała w sposób opanowany, zdecydowana ukryć swoje przerażenie.

Zabójstwo dziecka nie było dla Ruhra problemem. Oburzył go fakt, że kazano mu to zrobić. Nikt mu nie będzie rozkazywać. Nikt nie będzie mu mówić, co ma robić i kiedy. Fuentes wkrótce przekona się, jak niezależnym człowiekiem jest Ruhr. Nie ufał Fuentesowi ani temu spokojnemu Anglikowi o nazwisku Bosanquet; ukrywali coś przed nim, ale nie wiedział co. Potrafił się jednak przed nimi zabezpieczyć, umiał sobie zagwarantować bezpieczną przyszłość. Poza tym nie skończył jeszcze sprawy z tą dziewczyną. Zaledwie zaczął. A jeśli

/decyduje się ją zabić, nie zrobi tego w sposób typowy dla przeciętnego mordercy. Bezosobowy i szybki strzał w tył głowy nie jest w jego stylu. Nie. Obserwował ją w czasie całej podróży i im bardziej jej się przyglądał, tym bardziej stawał się niecierpliwy.

Będzie ją miał. Na swój własny i niezrównany sposób, będzie ją miał.

Spojrzał na jej nogi, na które padało światło lampy. Miały gładką

nieskazitelną skórę, jaką można spotkać tylko u bardzo młodych osób. Wyciągnął swoją zdeformowaną dłoń i wsunął pod jej spódnicę, dotykając wewnętrznej strony ud. Były bez skazy.

Kontrast oczarował go. Myśl o swojej niedoskonałej ręce na idealnych udach dziecka wydała mu się cudowna. Zespolenie brzydoty z pięknem i wyrównanie przeciwieństw podziało na jego wyobraźnię. Giinther Ruhr, który pomimo swojej ułomności i braku urody miał przewagę nad większością ludzi, uciekinier, którym gardzono za niszczycielską przeszłość, mógł zrobić to, co chciał, z tym uroczym dzieckiem. Miał nad nim władzę.

Pocałował ją w usta. Odwróciła na bok twarz. Ruhr uśmiechnął się. Nie rozumiała reguł gry, to wszystko. Nie wolno jej było stawiać oporu. Przesunął wyżej dłoń i zatrzymał się dopiero, gdy dotarł do szczytu nóg, do miejsca, z którego promieniowało tajemnicze ciepło. Znalazł tu powab, którego nie doświadczył nigdy przedtem: niewinność. Przez całe swoje życie miał do czynienia z dziwkami. Znał dzieci — prostytutki w Sajgonie, Mexico City i Manili: nieczułe dziesięcio- i jedenastoletnie dziewczynki o smutnych oczach i drobnych piersiach, które odgrywały swoją rolę z mechaniczną sumiennością. Jednak prawdziwa niewinność była tym, z czym nigdy się nie spotkał. Aż do teraz. Dziewczyna była samą świeżością.

Pocałował ją ponownie. Tym razem zacisnęła usta i nie odwróciła się od niego. Nie poddała się jednak pocałunkowi, a zaledwie go tolerowała.

—Nie zabiję cię — wyszeptał. — Nic pozwolę nikomu cię skrzywdzić.

Wziął ją pod brodę swoją normalną dłonią i uniósł w górę jej twarz, zmuszając, żeby popatrzyła mu prosto w oczy. Wyczuł w niej strach. Spojrzał na jej zgrabną szyję i przypomniał sobie szkolny szalik na tylnym siedzeniu range rovera. Był ciekaw, czy Pagan odczytał wskazówkę. Z pewnością nie wiedział, co ma teraz począć. Nawet jeśli odkrył porwanie dziewczynki, co nie wymagało wykazania się genialnym umysłem, nie miał jak się dowiedzieć, dokąd została uprowadzona. Szalony Pagan. Ruhr delectował się myślą o trwodze policjanta. Porwanie dziecka było jak gwóźdź wbity w samo serce Anglika.

Złapał dziewczynę za ramiona i popchnął ją na wąskie łóżko. Leżała bez słowa, omijając go wzrokiem i obserwując migotliwy płomień lampy, który rzucał wewnątrz namiotu nadmiernie wydłużone cienie. Palcem zdeformowanej dłoni dotknął jej ust i rozchylił na siłę wargi, wywołując tym na jej twarzy lodowaty uśmiech. Włożył palec pomiędzy zęby i zaczął go przesuwając wzdłuż języka i dziąseł, w przód i w tył, do środka i na zewnątrz. Poczł, jak dziewczyna sztywnieje.

Nadal nie patrzyła na niego. Miała zamknięte oczy. Wziął jej rękę i poprowadził w kierunku swojej pachwiny. Krzyknęła i protestując, potrząsała głową na boki, a potem ugryzła go w palec, który wciąż tkwił w jej ustach. Ruhr odskoczył od dziewczyny pod wpływem bólu. Na skórze pozostały mu ślady jej zębów.

Zniekształconą dłonią uderzył ją w twarz. Milcząc odwróciła do ściany głowę, a odgłos wymierzonego policzka echem rozbrzmiewał w jej mózgu.

— Musisz robić to, co chcę — powiedział w sposób opanowany i uprzejmy. Można by sądzić, że ten matowy głos należał do cierpliwego terapeuty, a nie Gunthera Ruhra.

— Nie chcę cię dotykać — szepnęła.

— Czy masz jakiś wybór, dziewczyno?

Próbowała się wyswobodzić, ale walka z Ruhrem nie miała sensu. Zamknęła oczy, poszukując odległego miejsca w umyśle, swojego sanktuarium. Wiedziała, że jeśli się bardzo skoncentruje, zdoła do

niego dotrzeć, otworzyć drzwi i wejść do środka. Bezpiecznie się schroni przed Ruhrem. I przed krzywdą. Ktoś musi prowadzić dochodzenie, pomyślała. Ktoś musi mnie szukać. Bądź realistką, Steffie. Kto cię tutaj będzie szukał?

Poczuła na swoim brzuchu szpetną rękę Ruhra, która przesuwała się po skórze jak krab.

— Moja słodka dziewczynko — rzekł. Jego oddech był teraz inny, przyspieszony i głośniejszy. — Nie zadam ci bólu. Przyrzekam. Nie skrzywdzę cię.

Głaskał jej piersi, nie zdając sobie sprawy ze skrępowania i napięcia dziewczyny. Dla Ruhra jej blade ciało było cudownym światem, białym i miękkim, który miał spenetrować i wykorzystać. Był odkrywcą, który opracowywał nową mapę fascynującego obszaru, pionierem i, jak każdy kolonialista, eksploatatorem podbitego przez siebie terytorium.

Od strony wejścia do namiotu dobiegł jakiś odgłos. Klapa się podniosła i na twarz Steffie padł cień. Dziewczyna zobaczyła chudego mężczyznę z samolotu o nazwisku Trevaskis. Ucisk napierającego na nią ciała zelżał, a Ruhr ze złością gwałtownie odwrócił twarz.

Trevaskis, którego ponure rysy w migotliwym świetle wydawały się upiorne, udawał, że niczego nie dostrzegł.

— Chcą, żebyś poszedł na pas startowy. W związku z otwarciem skrzyni.

Ruhr podniósł się ze składanego łóżka.



— Czy tu, do cholery, nie obowiązują żadne maniery?

Trevaskis spojrział na Stephanie Brough, a potem na Ruhra.

— Nie miej do mnie pretensji. Przekazuję tylko polecenie. Kazali mi cię sprowadzić. I właśnie to robię. Jesteś im potrzebny. Chcą otworzyć jakąś skrzynię, jeśli ci to coś mówi.

Ruhr położył dłoń na twarzy dziewczyny.

— Nie ruszaj się stąd. Nawet o tym nie myśl. Zrozumiałaś?

Rozdrażniony ruszył w stronę drzwi, opuścił namiot i zanurzył się w ciemności. W świetle reflektorów ustawionych wzdłuż pasa startowego dostrzegł, że z samolotu C-130 została spuszczone rampa. Stał nieruchomo, obserwując wyłaniający się z podbrzusza transportowca wielki cień pocisku. Miał surową linię i czystą formę. Niekompletny, wymagał jeszcze jego wiedzy, jego dotyku, pod którym dopiero stanie się doskonały. W każdym razie nastrój sam na sam z dziewczyną prysnął. Trzeba go będzie odtwarzać na nowo.

Trevaskis wyszedł z namiotu, zasuwając za sobą klapę. Przez chwilę szedł za Ruhrem w kierunku lądowiska, a potem skręcił w bok i zniknął w ciemnej gęstwinie drzew. Ruhr szedł dalej w stronę samolotu. Trevaskis wrócił do namiotu. Otworzył klapę. Dziewczyna siedziała na łóżku. Miała zapiętą bluzkę i obciągniętą wokół kolan spódnicę. Odwróciła do niego twarz. Była blada i wystraszona. Jak, do diabła, mogła inaczej wyglądać po takich strasznych przejściach?

— pomyślał Trevaskis.

— Zabieraj się stąd. Natychmiast — zwrócił się do dziewczyny.

— Dokąd mogłabym pójść? — zapytała.

—Posłuchaj mnie, nie masz wyboru. Jeśli zostaniesz, to zginiesz. Nie ma co do tego wątpliwości. Nie miej złudzeń. Jeśli się stąd wydostaniesz, będziesz przynajmniej miała jakąś szansę.

— Jak dużą?

— Pięć procent na sto, ale to lepsze niż nic — odparł Trevaskis. Steffie zerwała się z łóżka, nie tracąc czasu na namysły. Trevaskis przytrzymał jej połą namiotu. Zanurkowała pod jego ramieniem w bezkresną i nieprzyjazną noc.

— Idź w tamtą stronę, dziecko — powiedział, wskazując palcem kierunek. — Tam się nie natkniesz na żadne namioty. Staraj się nie zbaczać z tej drogi. Sądzę, że siedem albo osiem kilometrów stąd

natkniesz się na jakąś szosę. Nie znam dokładnej odległości. Ale i tak nic więcej nie możesz zrobić.

Siedem kilometrów przez nieznaną okolicę. Przez moment światło lampy migocące na ścianie namiotu wydało się jej ostoją bezpieczeństwa. Na miłość boską, jak mogła nawet pomyśleć o pozostaniu? Bez słowa odwróciła się od Trevaskisa, nie wiedząc, czy ma mu podziękować, i skierowała się w stronę drzew. Musiała zboczyć z wąskiej ścieżki, gdyż natychmiast szczelnie otoczyły ją liście i zaczęły dusić jak zieleń z koszmarne go snu. Wynurzały się przed nią dziwne kształty, pnącza raniły jej ramiona, a tuż obok twarzy przefrunęło coś małego i puszystego. Otaczająca ją noc była jednym wielkim brzęczeniem. Z zarośli oraz z miejsc, w których stare korzenie oplatały jej kostki, dobiegały odgłosy dziwnych owadów. To było przerażające i przerastało jej siły.

Wystraszona stanęła i obejrzała się za siebie. Widziała Trevaskisa obok namiotu. W płomieniu naftowej lampy wyraźnie rysowała się jego sylwetka. Jakimś sposobem z ciemności wyłonił się przed nim Ruhr. Steffie zobaczyła uniesioną rękę Niemca, która prędko opadła, zadając niewidoczny cios. Trevaskis krzyknął, zgiął się wpół i osunął na kolana. I zniknął jej z pola widzenia.

Odwróciła się, usiłując przedrzeć się przez listowie. Nagle zamarła, czując na sobie promień światła. Słyszała zbliżający się oddech Ruhra.

— Wziął mnie za głupca, sądząc, że cię zostawię bez nadzoru —

rzekł Ruhr. — Czy ty też uważasz, że nie mam rozumu, dziewczyno?

Chwycił ją za włosy i szarpnął do tyłu głowę. A potem przytknął jej do szyi ostrze noża, wilgotne jeszcze od krwi Trevaskisa.

Uśmiechnął się.

— Jestem rozczarowany.

Steffie Brough nie była w stanie wymówić słowa.

Tomas Fuentes przyglądał się pociskowi, który był umieszczony na platformie ciężarówki. Śledził, jak przenoszono go po rampie pod nadzorem członków załogi śmigłowca — mężczyzn pragnących jak najszybciej opuścić honduraski raj. Walec przetoczył się kilka metrów po betonie i zatrzymał się. Podjechała do niego i ustawiła się obok mała ciężarówka marki Toyota. Jej tylna kłapa została spuszczone i trzech żołnierzy wyniosło drewnianą skrzynię, którą dostarczyli Levy i Possony. Postawili ją na ziemi w odległości dwóch metrów od pocisku.

Fuentes kazał żołnierzom, którzy trzymali reflektory, skierować światło na skrzynię.

— Gdzie jest Ruhr? — zapytał Fuentes.

— Wygląda na to, że nas/ niemiecki przyjaciel ma wszystkie najgorsze cechy swojej rasy. Arogancję połączone z całkowitą obojętnością dla jakichkolwiek rozkładów poza własnymi.

Fuentes odwrócił się i spojrzał w kierunku namiotu Ruhra. Może gdy niemiecki geniusz zadowolony się tą nieszczęsną dziewczyną i pozbędzie się jej, raczy zejść na lądowisko i wykonać to. za co mu płacą.

Przecież już dzisiejszej nocy oczekiwany jest statek, który ma zabrać pocisk na Kubę.

Londyn

Nad Londynem wisiało zwodnicze jesienne słońce, mglisty dysk, który przynosił miastu więcej chłodu niż ciepła. O ósmej rano sir Freddie Kinnaird wysiadł ze swojej limuzyny na Golden Square i wszedł do budynku, w którym mieścił się sztab Kranka Pagana. Minął w hallu umundurowanego policjanta, który mu dziarsko zasalutował, i staromodną windą wjechał na ostatnie piętro.

Wszedł do biura bez pukania. Swobodne poruszanie się w obrębie własnej jurysdykcji uważał za przywilej należny stanowisku ministra spraw wewnętrznych. Często tuszował swoje aroganckie zachowanie urokiem typowym dla klasy wyższej. Elegancja, z jaką nosił garnitury od Savile Row, uplasowała go w ostatnim roku. o czym doniósł pewien magazyn, na dziewiątym miejscu najlepiej ubranych kawalerów w Wielkiej Brytanii. Gdyby sir Freddie Kinnaird był książką, znalazłby się na liście bestsellerów.

Dzisiaj miał na sobie ciemnopopielaty płaszcz z dyskretnym aksamitnym kołnierzem. Pagan spojrział zaspanym wzrokiem w jego stronę z kanapy.

— Sir Freddie. Co za niespodzianka — zdołał jedynie powiedzieć.

— Nie wstawaj, Frank. Przejeżdżałem obok. Pomyślałem, że wstąpię dowiedzieć się, co nowego.

Pagan miał rozpiętą koszulę. Odsłaniała bandaż, który Foxworth zawiązał mu wokół piersi kilka godzin temu. Podciągnął się do pozycji

siedzącej i spojrzał na zarumienioną od rześkiego porannego powietrza twarz Freddiego Kinnairda.

— Jak stoją sprawy? — zapytał minister.

Pagan mógł go tylko poinformować, że sam nie może stanąć na nogach. Próbował rozmasować mięśnie, obolałe i zeszywniałe od spania w niewygodnej pozycji.

— Co nowego, Frank? — zapytał sir Freddie. Najpierw spojrzał

na ekran zawieszony na ścianie, a potem obrzucił wzrokiem panujący w biurze bałagan — śmiecie, które chybiły kosza, filiżanki po kawie, brudne spodki i zgniecione opakowania po żywności.

Pagan wstał i nalał sobie filiżankę kawy z dzbanka, który, Bóg tylko wie od jak dawna, stał na podgrzewanej płytce.

— Śledztwo jest w toku — odpowiedział na pytanie ministra.

— Jak jest prowadzone i gdzie? — zapytał Kinnaird.

— Z całym szacunkiem, sir Freddie, ale szczegóły są poufne wobec wydarzeń na Shepherd's Bush. — Pagan wypił łyk kawy, która była najohydniejszym płynem, jaki kiedykolwiek miał w ustach. Z trudem opanował sensacje żołądkowe. — Informacje może pan otrzymać tylko bezpośrednio od Martina Burra. Takie są zarządzenia komisarza. Dostęp do wiadomości jest ograniczony. To zrozumiałe, że nie chcemy dopuścić do dalszych przecieków.

— Godne podziwu środki ostrożności — zauważył sir Freddie pogodnie. — Naturalnie Martin informuje mnie na bieżąco o wszystkim w swoich codziennych raportach. Pomyślałem, że wpadnę dowiedzieć się o najnowsze rezultaty śledztwa, które jeszcze nie dotarły do komisarza. O, jak to się mówi, poufne wyniki dochodzenia z nocy. Cała ta sprawa poważnie mnie niepokoi. Spodziewam się, że pan to rozumie.

Pagan uprzejmie się uśmiechnął. Odstawił filiżankę i zapiął koszulę.

— Martin Burr o wszystkim wie, sir Freddie. Cokolwiek zdarzy się

w tym biurze, jest natychmiast przekazywane do wiadomości komisarzowi.

Na moment zapadła cisza. Pagan spojrział na mężczyznę przed sobą, który był wytworny w pewien konserwatywny sposób i stał się jednym z najpopularniejszych członków obecnego rządu. Ten cieszący się powodzeniem polityk, o którym krążyły pogłoski, że znajdzie jeszcze wyżej w swojej partii, przeszedł daleką drogę. Pagan przypomniał sobie, że przed około dwunastu laty gazety poświęciły wiele uwagi problemom gotówkowym Kinnairda z powodu uciążliwych podatków spadkowych, które musiał zapłacić po śmierci swojego ojca. Stara wiejska posiadłość w West Sussex została sprzedana japońskiemu potentatowi elektronicznemu, farmy w Devon zlicytowane, a sam Freddie, sprowadzony na ziemię z wygodnych wyżyn bogactwa i zmuszony zasiadać w radach rozmaitych korporacji, stanowił pomniejszoną wersję tego, kim był niegdyś. Jemu potrzebne były pieniądze, a korporacjom jego klasa i styl. A obecnie bez wątpienia znów zajmował zaszczytną pozycję.

— Widziałeś dzisiejsze gazety? — zapytał Kinnaird.

— Staram się ich unikać.

— Co za wrzawa — r/ekł sir Freddie. — Prasa nie wie, w którą stronę się obrócić. Najpierw skradziony pocisk Potem porwane dziecko. A na dodatek, jak gdyby informacje nie były wystarczająco sensacyjne, uprowadzony samolot. Przypuszczam, że dziennikarze nie mieli naraz tylu wiadomości w ciągu jednego dnia od czasu drugiej wojny światowej. A ile domysłów, mój Boże! Ruhr w Afryce. W



Iranie. W Kanadzie. I mnie osobiście najbardziej odpowiadająca wersja, że wcale nie opuszczał Anglii. Zaszył się gdzieś na prowincji, śmiejąc się w kułak.

Pagan nic nie powiedział. Wyobrażał sobie nagłówki, nie musiał ich czytać. W szczególności niepotrzebne mu były informacje o Stephanie Brough. Ilekroć o niej pomyślał, przepeliąło go uczucie ojcowskiego lęku. Nawet nie próbował pojąć ogromu cierpienia rodziców dziewczyny, choć intuicyjnie wyczuwał zżerającą ich troskę.

Odmówił odbierania telefonów od dziennikarzy. Otrzymywali skąpe i uprzejme komentarze od innych oficerów na dole. Reporterom były udzielane informacje, które sami mogli bez trudu zdobyć — o narodowości zmarłych terrorystów, o pochodzeniu helikoptera oraz liczbie ofiar. Odbywało się to w duchu ograniczonej współpracy; jednak bardziej delikatne obszary śledztwa pozostawały dla nich niedostępne.

Sir Freddie poprawił swój kaszmirowy szal.

— Sądzę, że wspaniale wykonujesz swoją robotę, Frank. Tak zresztą jak i twoi wszyscy współpracownicy. Przekaż im moje wyrazy uznania, dobrze? — powiedział.

Pagan nie znosił takich przemówień, które bardziej podyktowane były względami politycznymi niż prawdziwym uznaniem. Człowiek pokroju Kinnairda zawsze przebywał na scenie i mieszał politykę z rzeczywistością. Prawdopodobnie nawet kochał się w ten sam sposób, w jaki wygłaszał mowy — z przerwami w stosownych dla

podkreślenia efektu momentach oraz w oczekiwaniu na aplauz. Pagan zastanawiał się, czy kiedyś Kinnairdowi zdarzyło się zapomnieć w łóżku.

— Pracuj tak dalej, Frank.

I energicznie uściśnął Paganowi rękę. Wychodził w chwili, gdy w drzwiach zjawił się nie ogolony Foxworth w wymiętym garniturze w prążki. Kinnaird skinął na powitanie młodemu człowiekowi, zanim skierował się do windy.

Pagan usiadł za biurkiem.

— Towarzystwo z wysokich sfer, jak widzę — rzekł Foxworth.

— Wrzód na tyłku — skomentował jego uwagę Pagan. — Wpadł złowić najświeższe wiadomości, dodać mi otuchy i wyrazić nam swój podziw i wdzięczność. Daruj sobie, Foxie. Spałeś trochę?

Foxworth poprawił węzeł! krawata w paski. Miał pozbawioną koloru cerę, ale w jego oczach błyszczała pogoda i ożywienie.

— Wstałem godzinę albo dwie temu. — Poklepał neseser. — Znalazłem nawet czas, żeby zabrać dla ciebie ubranie na zmianę.

Pagan otworzył walizkę i spojrzał na czarno-białą! jedwabną marynarkę, brązowe spodnie, szare skarpety, białą-niebieską koszulę i zastanawiał się, czy Foxie wybierał te rzeczy po ciemku. Nie skrytykował go jednak. Mniej zależało mu na wyglądzie niż na zadowolonej minie Foxiego.

— Co w sobie tłumisz, Foxie?

— Tłumię?

— Znam cały repertuar twoich uśmiechów, grymasów i spojrzeń. A teraz wyglądasz, jak gdyby zaraz miała ci eksplodować głowa.

Foxie uśmiechnął się i przechylił nad biurkiem.

— To niemożliwe. Nie przypuszczałem, że tak łatwo mnie rozszyfrować.

— Można cię czytać jak książkę, Foxie. Mów, co tam masz?

Foxworth wyjął mały notes i zaszeleścił kartkami.

— Kilka nowych informacji, które — jak sądzę — niogą cię zainteresować. Pierwsze dotyczą policji w Norwich i naszej przyjaciółki, Joanny Lassiter. Pokazano jej zdjęcie Chapotina i, według pewnego detektywa z Norwich o nazwisku Hare, stanowczo oświadczyła, że nie był tym człowiekiem, który wynajął farmę. Chapotin w najmniejszym stopniu nawet go nie przypomina.

— Czy opisała mężczyznę, który podał się za Chapotina? — zapytał Pagan.

— Nie tylko. Na podstawie jej opisu detektyw Hare sporządził portret pamięciowy. Lada moment powinien nadejść faksem.

Pagan spojrział na zegarek.

— Ten Hare to ranny ptaszek — powiedział.

— Życie na prowincji zwykle tak na ludzi wpływa — rzekł Foxie. Odwrócił kartkę w notesie. — A teraz wiadomości z uroczej Szkocji. Spodobają ci się.

Pagan wyprostował się na krześle.

— Według sporządzonego przez oddział śledczy raportu, o który wystąpił Londyn w celu przeprowadzenia rutynowej inwigilacji Kubań- czyka, Rafael Rosabal spotkał się z pewnym mężczyzną w hotelu Glasgow.

— Czy tym mężczyzną był Chapotin? — zapytał Pagan.

Foxie przecząco pokręcił głową.

— Nie. Rosabal spotkał się na krótko z niejakim Enrikiem Caporellim.

— Nazwisko nic mi nie mówi — rzekł Pagan.

— Caporelli, obywatel Włoch, jest znany oddziałowi śledczemu w Glasgow w związku z interesami, które prowadzi w tym mieście, a szczególnie z siecią punktów zakładów pieniężnych, która ostatnio stała się przedmiotem tajnej obserwacji. Coś w związku z przerzucaniem gotówki. Chodzi o malwersacje podatkowe. Mają miejsce w wielu operacjach gotówkowych tej firmy. Enrico Caporelli

jest cichym wspólnikiem w tym interesie. Nie zarządza nim, Większość czasu spędza w Europie i Ameryce, Prawdopodobnie nawet nie wie, że niektórzy z jego dyrektorów uprawiają taki proceder.

— Co Rosabal mógł mieć wspólnego z Caporellim?

Foxworth ponownie przerzucił kartki małego notatnika. Najwyraźniej był z siebie zadowolony.

— Łączy ich Kuba — powiedział cicho.

— Kuba?

— W tej chwili wygląda to może na łamigłówkę, ale według opracowania, które przygotował Billy Ewing, wynika, że Enrico Caporelli przebywał na Kubie w latach 1955—1959. Prowadził tam rozległe interesy i dorobił się dużego majątku. Kubańczycy wszystko mu odebrali. Konfiskata jest dewizą Fidela.

— Gdzie Ewing tego się dokopał?

— U naszych amerykańskich kumpli na Grosvenor Square, Frank. Ewing zwrócił się o tę niewielką przysługę do ambasady. W odpowiedzi nadeszła informacja, że biznesmen Enrico Caporelli był deportowany z Kuby wiosną 1959 r. i w tym samym roku zainteresowała się nim CIA, która zbierała wytrwale materiały o Castrze, jak podejrzewano w związku z przygotowywaniem zamachu. Stąd w archiwach znalazło się nazwisko Caporellego.

Wygląda na łamigłówkę, pomyślał Pagan. Ta informacja uderzyła go swoim niedomówieniem. Zawsze zaskakiwały go związki istniejące pomiędzy ludźmi, którzy na pozór nie mieli ze sobą nic

wspólnego. Zagubione w czasie i przestrzeni wątki i ślady. Oto kubański polityk spotyka się z włoskim biznesmenem w Glasgow w 1989 roku — sytuacja rozbrzmiewająca echem bardzo starych akt. Jaki wniosek wypływał z połączenia wszystkiego w całość? Byli współkonnspiratorami, pomyślał Pagan. Czego jednak ich spisek miał dotyczyć?

— Gdzie teraz przebywa Caporelli? — zapytał.

— Ostatnie informacje przekazała nam włoska policja. Według gospodyni zajmującej się jego domem w Toskanii, Caporelli jest teraz w swoim paryskim mieszkaniu.

— Chętnie zamieniłbym z nim słowo. Chciałbym też odbyć małą pogawędkę z Rosabalem.

— Wyjechał z kraju. Prawdopodobnie wrócił już na Kubę.

Pagan wstał. Nie zważając na obrzydliwy smak, nalał sobie drugą filiżankę kawy i podszedł do okna. Ludzie jak mrówki poruszali się po placu i uwijali wewnątrz biur. Kolejny zwariowany dzień. Ze wschodu zaczęły napływać nad miasto chmury o błotnistej barwie. Na dole wir powietrza wessał kilka suchych liści. Nad szczytami domów unosił się bezpański purpurowy latawiec w kształcie końskiej głowy, który zapewne wiatr wyszarpnął z ręki jakiegoś dziecka w Hyde albo Green Parku. Czy zagubiony latawiec mógł uchodzić za omen? Pagan przyglądał mu się przez chwilę, zanim odwrócił się do Foxiego.

— Co otrzymamy, gdy zsumujemy to wszystko razem? — zapytał.

— Rafael Rosabal spotyka się w Szkocji z tym Włochem. Równocześnie Jean-Paul Chapotin przyjeżdża do Glasgow. W tym samym czasie ktoś używając nazwiska Chapotin wynajmuje farmę w Norfolku, która staje się siedzibą grupy terrorystów. Między Chapotinem, Rosabalem i Caporellim istnieje tylko jedno trwałe powiązanie: Kuba. To wszystko jest cholernie zajmujące, jeśli ktoś ma ochotę na puzzle, bo rozwiązał już krzyżówkę w Timesie, ale, na miłość boską, dokąd to nas prowadzi?

Foxworth zamknął swój mały notes. W drzwiach pojawiła się głowa Billy'ego Ewinga.

— Faks dla ciebie, Foxie — powiedział.

Foxworth wziął od Ewina kartkę papieru. Przyglądał się jej przez chwilę, a potem się uśmiechnął.

— A to niespodzianka — powiedział tylko, podając papier Frankowi.

Pagan stwierdził, że ma przed sobą policyjną układankę — portret pamięciowy. Zawsze uważał, że te rzeczy upodobniają istoty ludzkie do naleśników. Przedstawiają spłaszczone rysy, nadając im tępy wyraz. Poszczególne części twarzy nigdy nie mają ze sobą związku. Tak zubożone, stanowią zlepek ludzkich kawałków i części. Twarz na tym konkretnym rysunku miała ciemne włosy, prosty nos i zaciśnięte, nieprawdziwe usta. Nosila ponadto słoneczne okulary. Paganowi przyszedł na myśl Frankenstein.

— Co jest w tym tak zaskakującego, Foxie? — zapytał.

— Mężczyzna na tym rysunku przypomina Rafaela Rosabala — powiedział Foxworth. — Chociaż portret może wydawać się kiepski, podobieństwo nie jest przypadkowe. A to oznacza jedno — to on wynajął farmę na nazwisko Chapotin.

— Jaki to ma sens, na miłość boską?

Foxworth wzruszył ramionami. Sam nie wiedział.

— Musisz o to zapytać Rafaela, Frank. A to nie będzie łatwe, gdyż wrócił już na Kubę.

— I tak by zaprzeczył, że jest w cokolwiek zamieszany — rzekł Pagan. — W jaki sposób mógłbym zresztą tego dowieść? Ta nędzna ilustracja nie wystarczy. Rosabal wyśmiałby mnie.

Pagan, który nie przyjrzał się jeszcze uważnie podobiznie Rafaela



Rosabala i wcale nie miał na to ochoty, popatrzył na rysunek. A więc to był kochanek Magdaleny, ta spoglądająca na niego dobrotliwa twarz, ten prozaiczny rezultat możliwości techniki. Obrazy pamięciowe nigdy nie odzwierciedlały uczuć, a już z pewnością nie przedstawiały namiętności. Usta na nich wyglądały, jak gdyby nie całowały żadnej istoty ludzkiej. Pagan rzucił rysunek na biurko. Zabawne, że po tak długim czasie wciąż była w nim rysa zazdrości jak ślad dawnej komety.

— Co ma wspólnego Rosabal z Ruhrem? — zapytał. — Dlaczego miałby wynajmować Ruhrowi farmę?

— Może Rosabal wynajął Ruhra, żeby ukraść pocisk — zasugerował Foxie.

— Może, ale nie da się tego dowieść na kruchej podstawie portretu pamięciowego. Do czego byłby Rosabalowi potrzebny ten cholerny pocisk? — zastanawiał się Pagan. Nasunęło mu się jeszcze inne pytanie, którego nie miał ochoty zadawać, ale wiedział, że prędzej czy później padnie, jeśli nie z jego ust to z Foxwortha. — Ciekaw jestem, jaki z tym wszystkim związek miała Magdalena Torrente? — powiedział.

— Być może nie miała żadnego — odparł Foxie. W jego głosie zabrzmiała życzliwość, jak gdyby intuicyjnie wyczuwał trudność, z jaką Pagan poruszył temat tej kobiety.

Pagan małymi łykami popijał wstrętny napar. Być może nie ma żadnego — wcale nie był o tym przekonany ani nie zostały rozproszone jego wątpliwości, a kłębiące się po głowie myśli nie były

radosne. Intuicja podpowiadała mu, że nie jest w stanie zamknąć myśli

o Magdalenie w wygodnej niepamięci. Na pewno jeszcze nie teraz, a może nigdy. Uporczywie rozważał celowość ponownego spotkania się z nią i porozmawiania, by zbadać naturę jej romansu z Kubańczykiem. Czy nie napomknęła o planowanym zamachu stanu na Kubie? Chociaż “napomknięcie” było za mocnym słowem. Unikała tylko odpowiedzi na bezpośrednie pytania, zostawiając mu miejsce na domysły. Tajemnicza Magdalena.

Perspektywa ponownego zobaczenia jej budziła w nim mieszane

uczucia. Była kochanką Rosabala, co dawało pewną szansę, że coś wie

o interesach Kubańczyka. Może łączyło ich coś więcej niż wspólne łóżce. Może z głowami na poduszkach, spleceni, szeptali sobie nawzajem drobne sekrety.

Rosabal. Magdalena. Chapotin. Ruhr. Caporelli. Zastanawiał się, jaka tajemnica kryła się za tymi pięcioma nazwiskami.

— Dlaczego Szkocja? — zapytał. — Po co aż tam? Dlaczego ci trzech mężczyźni znaleźli się w Glasgow dokładnie tego samego dnia? Dokąd udał się po przyjeździe Chapotin? Czy spotkał się z kimś? Czy widział się z Ruhrem? A może z Caporellim? Czy wszyscy trzech byli razem w tym samym miejscu? A czy istnieje życie po śmierci?

— A czy istnieje życie po Glasgow? — uśmiechnął się Foxworth.

— Nie dla Jeana-Paula Chapotina — odparł Pagan.

Obaj mężczyźni zamilkli. Przez otwarte drzwi dobiegał dźwięk drukarki, w drugim pokoju zadzwonił telefon, a ktoś odchrząknął. Pagana rozboleła głowa. Zbyt wiele pytań. Im więcej informacji docierało na jego biurko, tym sprawa stawała się bardziej tajemnicza. Czas na wytrwałe i systematyczne rozważanie każdego problemu. Czas, Czy Stephanie Brough, gdziekolwiek jest, ma czas, pomyślał. W uszach dzwoniło mu szalone tykanie zegara.

— Gdybym chciał przesłuchać Rosabala, z pośrednictwa jakich oficjalnych kanałów musiałbym skorzystać? — zapytał Foxiego.

— Mogę się dowiedzieć. Podejrzewam jednak, że sprawa jest

skomplikowana i wymaga wielu obrzydliwych protokołów.

Pagan pokręcił głową zmartwiony. Ten rodzaj poszukiwań nie miał szans na powodzenie. Rosabal mógł po prostu odmówić powrotu do Anglii, a gdyby Pagan, uzbrojony w jego portret pamięciowy, zdecydował się jechać na Kubę, Rosabal mógł go wyśmiać, o ile w ogóle by zgodził się z nim spotkać. Ministrowie i członkowie ich gabinetów potrafili bez końca przetrzymywać petentów w poczekalniach, nawet jeśli przybywali ze Scotland Yardu. Dotarcie do Rafaela Rosabala w tak nierozważny sposób nie mogło przynieść rezultatów. Jak powiedziałyby madame Chapotin, biurokracja była zbyt rozbudowana. Nie, on musiał usuwać z bryły, przed którą stanął, warstwę po warstwie, jak rzeźbiarz zaintrygowany formą ukrytą w granitowym bloku.

— Każ to sprawdzić Billy'emu Ewingowi. Dla ciebie mam inne zajęcie, Foxie.

— Paryż?

— Glasgow. Ja biorę Paryż.

— Dlaczego nie podyskutujemy na ten temat?

— Ponieważ nie będziemy się bawić w żadną cholerną demokrację, Foxie. Ja biorę Paryż, a ty Glasgow. To sprawa starszego ranga, synku.

Foxie westchnął, zrezygnowany. Miał wątpliwości, czy Pagan jest na tyle silny, żeby podróżować, ale nie zamierzał się z nim o to kłócić.

Frank zajął w tej sprawie nieprzejednane stanowisko.

— Spotkamy się tutaj ponownie dzisiaj wieczorem.

— Tak prędko?

— Prędko? Masz przed sobą cały dzień, Foxie. Dobrze go wykorzystaj. Dowiedz się, dokąd pojechał Chapotin i w jaki sposób był związany z Ruhrem. Zbadaj, dlaczego Rosabal posłużył się nazwiskiem Chapotin. I dlaczego zdecydowali się na scenerieę Glasgow?

Krwiopijca, pomyślał Foxie.

— Żądasz ode mnie cudów, Frank.

— Żądam więcej niż cudów, Foxie — rzekł Pagan.

Villa Clara Province, Kuba

O czwartej rano Lider Maximo leżał w swojej sypialni z gorącym termoforem na brzuchu. Nie mógł mówić z powodu termometru, który tkwił mu w ustach. Lekarz, doktor Miquel Zayas, badał puls temu postawnemu mężczyźnie.

— A teraz? — zapytał Zayas. Odłożył na bok termofor i naciskał w różnych miejscach mięsisty brzuch Lidera Maximo. — Czy tu boli? A tutaj?

Castro potrząsał głową. Jak mógł mówić z tą cholerną rurką w ustach? Nie zamierzał wydać z siebie jęku ani potwierdzić, że go boli, chociaż Zayas dotykał wrażliwych miejsc. Nie mógł przyznać się do czegoś równie ludzkiego jak bóh szczególnie w obecności tego starego myszołowa — generała Capablanki, który krążył po pokoju jak chciwy krewny w czasie odczytywania testamentu.

— Co pan ostatnio jadł? — zapytał Zayas, wyjmując termometr.

— Krewetki — odparł Castro. Sięgnął po termofor i z powrotem

położył go sobie na pępku.

— Co jeszcze?

— Moros y cristianos.

— Czy coś poza tym?

— Banany.

Lekarz ściągnął termofor z brzucha Castra.

— To może pogorszyć pański stan.

— A co mi właściwie dolega?

— Ma pan grypę żołądkową — odparł lekarz.

Castro osunął się na poduszki. U/na! za haniebną konieczność odwołania przemówienia, w którym zamierzał potępić nową przyjaźń pomiędzy imperialistami — jankesami i “głupim reformistą” / j\_c g\_0 niema! kapitalistycznym reżimem — Związkiem Radzieckim. Ataki biegunki, które osłabiły Castra i uczyniły go bezradnym, były czymś zdecydowanie poniżającym. Męczyła go też gorączka i nie mógł skupić myśli. Do diabła, to miało być wielkie przemówienie, może nawet najlepsze, w którym dobitnie by podkreślił osamotnienie Kuby na świecie. Ta ekscytująca mowa miała obudzić w Kubańczykach poczucie solidarności i ich zjednoczyć. Kubie nie była w stanie zagrozić ta plugawa zmowa, ta nowa gra między Stanami Zjednoczonymi i Rosją.

Capablanca, którego górną wargę pokrywał gęsty biały wąs, podszedł do łóżka. Castro był rozdrażniony z powodu obecności generała, mężczyzny, którego nie znosił. Capablanca był reliktem tej klasy, która powinna zostać w całości zmieciona przez rewolucję, ale pomimo najusilniejszych starań partii wciąż można było spotkać jej przedstawicieli.

Capablanca trzyma! w dłoni plik dokumentów.

—Przyszedłem przypomnieć panu, commanciante, że z powodu nieobecności pańskiego brata jutrzejsze wojskowe manewry wymagają pańskiej osobistej zgody — powiedział.

—Co za manewry? — zapytał Castro. Nie mógł sobie przypomnieć żadnej wzmianki o manewrach. Był ofiarą szczegółu.

Jak mógł pamiętać

o każdej drobnej sprawie? Nie był w stanie polegać całkowicie na własnej pamięci. Ostatnio przestała być niezawodnym instrumentem. Wyrwał generałowi papiery z ręki.

Włożył okulary. Miał przed sobą plany rozległych ćwiczeń wojskowych, których termin został wyznaczony na jutro rano. Obejmowały ruchy oddziałów z prowincji Santiago de Cuba. Zarówno bataliony piechoty, jak i samoloty miały przesunąć się w głąb lądu z prowincji na południowym wybrzeżu Kuby. Według planu również statki kubańskiej marynarki miały opłynąć dolną część wyspy w rejonie Guantanamo i posuwać się w kierunku prowincji Holguin. Odsłoniłoby to wybrzeże Santiago de Cuba i pozbawiło je obrony. Castro nie spodziewał się inwazji, ale zawsze powinno się brać taką ewentualność pod uwagę.

Te same dokumenty przedstawiały też inne manewry wojskowe w prowincji Havana. Miały mniejszy zakres niż ruchy wojsk z Santiago do Holguin, ale były równie imponujące. Przewidywały przemieszczenie z prowincji Havana do Matanzas ponad siedem tysięcy żołnierzy, którzy mieli odbyć ćwiczenia w górzystych okolicach otaczających Matanzas City, osiemdziesiąt kilometrów od głównej autostrady\*.

— Te manewry angizują tysiące żołnierzy i rezerwinow - rzekł Castro.

— Faktycznie — odpowiedział general.

— Dlaczego? Po co całe to przedsięwzięcie!'



— Dla gotowości bojowej, ammandame. Dla c/ujnosci. Armia musi rozruszać mięśnie, które zanikają w czasie długotrwałych postojów.

— Gotowość jest ważna, ale czy Raid wie o tych manewrach?

— Oczywiście — odparł generał. — To był jego pomysł. ~ Kłamanie przychodziło Capablance z. najwyzy/ą trudności4

Castro zwrócił papiery generałowi. Gwałtowny ból przeszywający mu żołądek miał gwałtowność kuli armatniej, która jak wyobra/i! sobie Lider Maximo, przebiła mu się przez wn^rznosci.

— Nie przypominam sobie, żeby... mój brat... kiedykolwiek wspominał coś o tych manewrach, generale — porwied/jał /. wielkim wysiłkiem.

— Ależ, commandante — rzekł Capablanca. B\1 zdenerwowany i wpadł w panikę. Nie spodziewał się sprzeciwu. Był przekonany, że osłabiony i nie potrafiący jasno myśleć Lider Maximo chętnie wyrazi swoją zgodę. Generałowi potrzebne było upoważni<nue. aprobata, bez której oficerowie lojalni partii El Viejo odmówiliby uczestniczenia w ćwiczeniach. Capablanca wiedział, że nie kiwną palcem, dopóki nie zobaczą dokumentów podpisanych pr/e/ jednego z braci Castro. Stawianie oporu przez nierozważnych lojalistów oznaczałoby chaos, bałagan i przelew krwi. Generał wyobraził sobie masakrę na plażach. Jeden Pan Bóg wie, czy w ogóle da się jej uniknąć, ale statek z Hondurasu musi dotrzeć bez przeszkód. Była to sprawa najwyższej wagi.

Poza tym w grę wchodziły jeszcze pozory, a generał miał na ich punkcie obsesję. Z akceptacją Castra manewry sprawiały wrażenie

prawnie uzasadnionych. To było ważne, ponieważ generał nie chciał, żeby historia uznała go za pospolitego awanturnika i łajdaka.

Wszystkie jego działania musiały być właściwe i zgodne z literą prawa.

Miał jeszcze inny ważny powód, żeby uzyskać podpis Lidera Maximo na papierach.

Na trzeciej stronie pozostawiono miejsce na dodatkowy paragraf, który generał miał później dołączyć. Castro wyraziłby w nim zgodę na wystrzelenie pocisku nuklearnego należącego do NATO z wyrzutni w rejonie Santiago de Cuba...

Oczywiście żaden pocisk nie miał nigdy polecieć. Potrzebna była tylko zgoda, upozorowany zamiar, to wszystko.

Castro pomachał ręką, odprawiając od siebie mężczyzn. Nie zamierzał wyrazić zgody na manewry, ponieważ nie lubił mieszać się w sprawy brata. To Raul bawił się ołowianymi żołnierzami, nie on.

—Odwołaj ćwiczenia, generale. Albo wstrzymaj się z nimi do powrotu Raula.

—Commandante — rzekł generał, starając się ukryć panikę. — Musisz wyrazić zgodę na te...

—Niczego nie muszę, generale. A teraz zrób to, co powiedziałem. Odwołaj manewry!

Capablanca popatrzył na doktora. Zayas zrozumiał to spojrzenie. Sięgnął do swojej czarnej torby i wyjął strzykawkę. Wsunął igłę do fiolki z bezbarwnym płynem, napełnił strzykawkę, a potem zbliżył się z nią do Lidera Maximo.

—Co to jest, Zayas. Co jest w strzykawce? — zapytał Castro. Patrzył szeroko otwartymi oczami.

—To tylko środek znieczulający — odparł lekarz.

—Nic mnie nie boli! — Castro chętnie by pobił doktora, gdyby nie czuł się tak słaby. Z brzucha dobył się dźwięk, który przypominał skrzypienie zbutwiałego drzewa na starym statku. Poczuł, jak gorąca ciecz gwałtownie przelewa mu się po jelitach. Musiał wstać i po raz setny pospieszyć do toalety.

Igła przekłuła ciało i napotkała żyłę. Po dwudziestu sekundach

Castro, chociaż za wszelką cenę starał się powstrzymać sen, zamknął oczy. Głowa potoczyła mu się na bok, w kącikach ust zebrała się ślina i zaczął chrapać.

Lekarz uniósł w górę jedną z powiek Castra i opuścił ją z powrotem.

— Niech pan mi da te dokumenty, generale — powiedział.

Generał Capablanca spełnił jego prośbę. Zayas starannym pismem podrobił podpis Lidera Maximo. Fałszerstwo było udane.

— Nie po to byłem przez te wszystkie lata osobistym lekarzem naszego nieustraszonego Lidera, żeby sporo się od niego nie nauczyć — rzekł lekarz. — Niech pan otworzy środkową szufladę biurka — dodał.

Capablanca, zaskoczony zarówno umiejętnościami, jak i tupetem Zayasa, podszedł do biurka. W szufladzie znajdowała się osobista pieczęć Lidera Maximo. Generał wyjął ją. Wziął dokumenty od lekarza, który wciąż podziwiał swój kunszt fałszerski, i przybił pieczęć na podrobionym podpisie.

— Zrobione — rzekł generał z ulgą w głosie.

Zayas spojrzał na uspiętego przywódcę.

— Gdy się obudzi, zrobię mu następny zastrzyk.

— Wolałbym widzieć go martwym — stwierdził generał. — Mam jednak rozkazy, które muszę wykonywać — dodał. Ruszył w stronę drzwi, ale zaraz się zatrzymał i energicznie odwrócił. — Nie zapomnimy o roli, jaką odegrałeś, Zayas. Jutrzejszej nocy Kuba zostanie

uwolniona od tego szaleńca.

— Jestem szczęśliwy, że mogłem pomóc nowemu rządowi, generale. Ludzie, którzy kochają wolność, muszą się jednoczyć przeciwko despotom.

Generał Capablanca wyszedł z pokoju. Na korytarzu czekali na niego w napięciu członkowie ochrony osobistej Castra.

— Słaba grypa żołądkowa — powiedział generał grzmiącym głosem. — Za kilka dni będzie się czuł jak nowo narodzony.

Tymczasem śpi.

Członkowie ochrony odetchnęli z ulgą. Mieli zaufanie do generała i doktora Zayasa. Znali ich od lat. Wszystko było w porządku.

## Rozdział XIV

### Miami

Świt tego dnia był osobliwy. Podświetlona bladym słońcem olbrzymia formacja chmur utworzyła nad Miami purpurową masę. Kształt chmur nie zmieniał się, przypominając trwałą materię — płynące po niebie skały i urwiska. W miarę upływu czasu dzień stawał się coraz gorętszy i duchotę rozładowała dopiero gwałtowna burza i deszcz.

Magdalena Torrente nie zwracała uwagi na niebo, jadąc BMW w kierunku Little Havana. Zwolniła i przecięła Rickenbacker Causway. Ruch wciąż był niewielki. Dziś rano, gdy wyrwał ją ze snu dźwięk telefonu, sięgnęła po słuchawkę z lękiem. O siódmej rano nie mógł wróżyć nic dobrego. Usłyszała głos Garrida. Chciał się z nią spotkać w restauracji. Nie powiedział dlaczego. Z upływem czasu starszy pan zachowywał się coraz bardziej tajemniczo. Zbyt długo działał w konspiracji. Wzięła prysznic jeszcze zaspana, zaparzyła kawę, ubrała się i wyszła z mieszkania przy Key Biscayne.

Jechała Brickell Avenue, która biegła przez samo serce Miami i była oddzielona od drapaczy chmur bujną zielenią. Architekturę nowego Bayside Market Plaza cechowała śmiała linia. Pieniądze pochodzące z handlu narkotykami kształtowały tu warunki codziennego życia, a widoczny wszędzie dobrobyt miał swoje źródło w nielegalnych transakcjach. Magdalena na nic jednak nie zwracała uwagi, jadąc w kierunku Calle Ocho. Czego Garrido mógł chcieć o tej

porze? Dlaczego zatelefonował? Mówił prawie szeptem — nie mogła wiele wywnioskować z jego głosu, który był ledwie słyszalny. Minęła zamknięte sklepy na Calle Ocho. Tylko kilku aptekarzy, którzy pracowali według własnych rozkładów czasowych, gapiło się na nią ponuro.

Wysiadła z samochodu i zaparkowała go na jednej z bocznych ulic, przy której mieściła się restauracja Garrida. Magdalena miała na sobie niebieskie džinsy, buty z miękkiej skóry zakrywające kostki, jedwabną marynarkę i żółtą koszulę. Nie pasowała do tego otoczenia o zakratowanych oknach oraz podwórzy o odrażającym zapachu, zabazgranych farbą z rozpylaczy i zaśmieconych pustymi butelkami po winie, igłami od strzykawek oraz starymi oponami.

Weszła do restauracji frontowymi drzwiami. Duża pusta sala, w której nie serwowano śniadań, przesiąknięta była jeszcze wczorajszymi zapachami cebuli i chili. Na stołach leżały odwrócone do góry nogami krzesła. Garrido, jak zwykle w białym garniturze, siedział wewnątrz z tyłu sali. Miejsce obok niego zajmował mocno zbudowany mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widziała. To było niezwykle. Garrido zawsze wolał spotykać się z nią na osobności.

Na jej widok Garrido podniósł wzrok. Poczowała suchość w gardle i nagle dudnienie w piersi. Coś w twarzy Garrida odebrało jej odwagę, chociaż nie była pewna co — błysk w oczach, układ ust, jakaś odmienność. Nie był dzisiaj sobą i wcale to jej się nie podobało.

— Usiądź, moja droga — powiedział.

Zajęła miejsce, czując utkwiony na sobie pełen uznania w/rok

nieznajomego. Gdy przechwyciła jego spojrzenie, mrugnął do niej, uśmiechając się znacząco. Czasami bawiło ją wrażenie, jakie wywoływała na mężczyznach. Nawet Pagan, nawet drogi Frank, gdy przyszedł spotkać się z nią w Londynie, był dziwnie skrepowany, nie licząc śmiałych pocałunków na pożegnanie, które obudziły w niej miłe wspomnienia. Jednak w środku nie pozostało już nic ani dla Franka, ani dla żadnego innego mężczyzny. Liczył się tylko ten jeden.

Garrido pocałował ją w rękę.

— Moja droga, chciałbym, żebyś poznała dobrego i godnego zaufania przyjaciela Sergia Durana. Należy do naszej wspólnoty.

Magdalena ledwie skinęła Duranowi, który wcale się tym nie zraził. Złożył pocałunek na jej dłoni i wyraził swój zachwyt, że może ją poznać. Stwierdził, że jest jeszcze piękniejsza, niż słyszał. Było w tym wiele latynoskiej przesady — mieszaniny pochlebstw i machismo, która nie robiła na Magdalenie wrażenia.

— Dlaczego wezwalesz mnie o tak wczesnej porze, Fernando? — zapytała. — Co to za ważna sprawa?

Garrido milczał przez chwilę. Był zasepiony i nieobecny myślami. Nawet brązowa farba, którą przyciemniał włosy i wąsy, straciła swój zwykły połysk.

— Sergio wrócił wczoraj wieczorem z Kuby — powiedział w końcu.

— I? — zapytała.

— Lepiej, jeśli sam ci o tym opowie.



—Zgoda. — Spojrzała na Durana, który miał na sobie marynarkę w niebiesko-szarą kratę i nosił fryzurę, która przywodziła na myśl kipiące mleko. — Słucham cię, Sergio — powiedziała Magdalena.

Dudnienie było najbliższym określeniem głębokiego i niskiego głosu Sergia, który przypominał Magdalenie głos któregoś ze spikerów radiowych. Mężczyzna miał olbrzymie i tłuste dłonie. Wyjął i zapalił hawańskie cygaro wyprodukowane w kubańskiej firmie Upmann.

—Fernando poprosił mnie, żebym w jego imieniu pojechał na Kubę. Chciał, żeby ktoś sprawdził kilka rzeczy.

—Co mianowicie? — zapytała Magdalena, spoglądając na Garrida, który pochylił głowę, jak gdyby chciał powiedzieć: słuchaj, Duran powie ci wszystko, co będziesz chciała wiedzieć.

Duran wypuścił dym w górę, starając się, aby nie wpadł Magdalenie do oczu.

—Prosił mnie o pewne informacje.

—A kto cię upoważnił do zbierania informacji, Sergio? — Była rozdrażniona i sama nie wiedziała dlaczego. Może trochę z powodu wczesnej pory. A może przeczuwała, że mężczyźni chcą jej o czymś powiedzieć, ale niezdarnie się skradają do zasadniczego tematu i wciąż go omijają. Była zniecierpliwiona i zadawała pytania Duranowi niemal w niegrzeczny sposób.

—Jestem prywatnym detektywem z Miami — odparł Duran.

—Rozumiem. A więc masz prawo, żeby wścibiać nos w nie swoje

sprawy.

— Magdaleno — rzekł Garrido tonem, w którym brzmiała prośba o cierpliwość i wyrozumiałość.

— W porządku, Fernando. Panna Torrente ma stuprocentową rację. Jestem wykwalifikowanym szpiclem — rzekł Duran.

— Za czym węszyłeś na Kubie, Sergio? — zapytała Magdalena.

Zapadła cisza. Czują się jak pacjentka, w której obecności dwaj specjaliści z wielką troską oglądają zdjęcia rentgenowskie nie wróżące nic dobrego. Właśnie ma zostać poinformowana, że jej dni są policzone.

— W ostatnich latach na Kubę były przekazywane pokaźne kwoty — rzekł Duran. — Fernando prosił mnie, żebym w miarę możliwości sprawdził, gdzie te pieniądze ostatecznie trafiały.

A więc o to chodziło, o brak zaufania do Rafaela, o obsesję Garrida. Powinna się domyślić. Nie był zachwycony Rafaelem, a szczególnie jej związkiem z nim, i dlatego wysłał swojego prywatnego szpiega na Kubę! Miała ochotę krzyknąć na starego człowieka i robić mu gorzkie wyrzuty za jego podejrzliwość, ale w chwili obecnej mogła tylko milczeć.

— Funduszami zawsze dysponował tylko jeden człowiek — mówił dalej Duran. — Rafael Rosabal. On określał potrzeby różnych grup działających w podziemiu i na tej podstawie rozdzielał gotówkę. Oczywiście, ciążyła na nim ogromna odpowiedzialność. Powierzono mu zadanie, które wymagało umiejętności podejmowania właściwych decyzji.

—I? — zapytała Magdalena. Dlaczego nagle poczuła się tak okropnie. W półmroku pomieszczenia, gdzieś poza zasięgiem jej wzroku, zaczęło nabierać kształtów coś potwornego. Położyła rękę na swoim rozpalonym czole.

—Odkryłem, że rozliczenie tych sum jest trudne...

—Co to znaczy? Wytłumacz dokładnie, o co ci chodzi.

—Z nie wyjaśnionych przyczyn pieniądze...

—Co to za nie wyjaśnione przyczyny?

Duran zaciągnął się cygarem i Magdalena odczytała w jego oczach zastanawiające, pełne współczucia spojrzenie. Ten rodzaj litości, jaką odczuwa człowiek, któremu rzadko się to zdarza, i nie wie, jak ją ukryć.

—Stwierdziłem, że zginęły miliony dolarów — powiedział.

— Zginęły? Co to znaczy? Jak mogły zginąć miliony dolarów? Oczym pan mówi, panie Duran? Poza tym w jaki sposób mógł pan dokonać takich szacunków? Sytuacja na Kubie nie sprzyja dokładnemu prowadzeniu księgowości, prawda? — mówiła ostrym, podniesionym tonem. Wiedziała, do czego teraz zmierza Duran. Widziała to tak wyraźnie, jak gdyby miała przed sobą mapę.

—Bez wątpienia Rosabal przydzielał kwoty różnym grupom — powiedział powoli Duran. — Robił to jednak na swój sposób. Czasami szcudrze obdarzał jedną grupę, a odmawiał pieniędzy drugiej, twierdząc, że brakuje mu funduszy. Kiedy indziej rozdawał bardzo niewielkie kwoty wszystkim ugrupowaniom, w yjaśniając, że mc więcej nie zostało w puli, gdyż od wspólnoty z Miami nie

nadeszła gotówka. Liczył na to, że żadna z grup nie dowie się, ile dostały pozostałe.

— Czy usiłujesz mi powiedzieć, Sergio, że Rafael chował pieniądze do własnej kieszeni? — Oburzenie zapało jej dech.

— Bądź cierpliwa — rzekł Garrido, poklepując ją po ręce, którą natychmiast wyszarpnęła. Zasmuciło to starszego pana.

— Okazało się, że Rosabal prowadził politykę okresowego faworyzowania różnych ugrupowań — kontynuował Duran. — Zwykł mówić, że tym razem zdołał wycisnąć dla nich nieco więcej gotówki, ale zawsze chciał, żeby utrzymywali tę przysługę w tajemnicy. Nie rozpowiadajcie o tym nikomu, proszę. Nie wszczynajcie sprzeczek. W ten sposób wprowadzał zamęt i dzielił wiernych. Czy wyrażam się jasno?

— Garrido — zwróciła twarz w stronę starszego mężczyzny, Jak możesz mi robić coś takiego? Jak możesz mi kazać, żebym wysłuchiwała tych wszystkich niedorzeczności?

Garrido nie odpowiedział. Cisza znów uderzyła Magdaleny i wywołała złe przeczucia.

— Na podstawie przybliżonego szacunku można stwierdzić, że zdefraudowano miliony — powiedział Duran.

— Sam mówiłeś, że jakikolwiek szacunek nie był możliwy. — Stała się teraz żarliwym adwokatem Rosabala.

— Powiedziałem, że był trudny, a nie niemożliwy. Zgadzam się, że dokładne obliczenia wymagają dłuższego czasu. Ja sporządziłem tylko szacunki. W końcu jakie to może mieć teraz znaczenie, ile dokładnie było pieniędzy?

— Jak może pan oczerniać go w ten sposób? — zapytała. — Jak możecie go tak krzywdzić, wy obaj? Czy nie pojmujecie ogromu ryzyka, jakie podejmował dla naszej sprawy? Regularnie spotykał się z przedstawicielami podziemia, ludźmi z ruchu demokratycznego, przewoził dla nich dolary, chodził w miejsca, których odkrycie oznaczałoby dla niego karę śmierci — jak śmiecie go oskarżać o finansowe malwersacje?

Duran pokręcił powoli głową. Robił wrażenie przybitego.

— Jest jeszcze inny dowód, Magdaleno — powiedział.

— Jaki?

— Zostałem poinformowany, że w czasie ostatnich kilku lat robił

inwestycje za pośrednictwem banków na Wyspach Normandzkich. Zwykle tam jeździł wkrótce po powrocie z Europy. Odwiedzał dyskretnych bankierów, którzy w jego imieniu dokonywali poważnych inwestycji we Francji, Szwajcarii i na Dalekim Wschodzie.

— Skąd o tym wiesz?

Duran wzruszył ramionami.

— Mam swoje wiarygodne źródła.

— Szpiegów.

— Słowo szpieg jest równie dobre jak każde inne.

— Skąd wiesz, że nie inwestował pieniędzy dla sprawy? Nie masz żadnych dowodów, że obracał tą gotówką dla siebie.

— Bezpośrednich, nie. Jedynie mogę powtórzyć to, o czym już mówiłem — o rozdziale funduszy. Spójrzmy prawdzie w oczy.

Prawdopodobieństwo, że gotówka była inwestowana dla sprawy, jest nikłe.

Garrido, jak cierpliwy wiejski lekarz wyszkolony w wygłaszaniu komunałów, przerwał Duranowi.

— Czasem duże pieniądze są zbyt silną pokusą. Człowiek może odkryć w sobie słabość, której istnienia nawet nie przeczuwał — powiedział uspokajającym tonem.

— Ufam Rafaelowi — oświadczyła Magdalena. Jej głos był chrapliwy. Z napięcia wyszło jej w gardle i w ustach.

Garrido zdawał się jej nie słyszeć. Zbyt pochłonięty był własnymi myślami, by zwracać na nią uwagę.

— Tu chodzi o coś więcej niż pieniądze — powiedział z goryczą.

—

O pogwałcenie zaufania, jakie pokładaliśmy w Rafaelu.

Oczekiwaliśmy, że będzie naszym reprezentantem na Kubie. Miał rozdzielać kwoty pieniężne, by wzmocnić demokratyczne podziemie.

Miał stać się potężnym człowiekiem i dowodzić ruchem, który obaliłby Castra. Miał przygotować zamach i stworzyć demokratyczną alternatywę dla komunizmu, a we właściwym czasie... — Starszy pan umilkł rozgoryczony. Dotknął ust lnianą serwetką. — Byłem częścią

tego planu. Zamierzałem wrócić na Kubę i służyć nowemu rządowi.

A co teraz? Co teraz, Magdaleno? Co z moimi marzeniami? Skąd mamy wiedzieć, czy działa ruch przeciwko Castrowi? A jeśli tak, jak jest silny? Skąd możemy wiedzieć, czy w ogóle istnieje zamiar usunięcia dyktatora? Czy widzisz, do czego doprowadził Rosabal swoją zdradą, Magdaleno? Do zamieszania. Rozczarowania.

Nieszczęścia.

Magdalena wstała. Słuchała już wystarczająco długo. Jaki dowód przedstawili jej ci dwaj mężczyźni, oskarżając Rosabala o kradzież? Były to gołosłowne stwierdzenia. Świadczyły o nadciągającej starości Garrida i jego nieprzepartej podejrzliwości wobec Rafaela. Może nawet zazdrości — Garrido miał za złe młodszemu mężczyźnie, że został na Kubie zamiast ratować się ucieczką, tak jak on, w bezpieczne obce strony.

— Dokąd idziesz, Magdaleno? — zapytał starszy pan.

— Do domu.

—Zamierzasz zlekceważyć to, o czym powiedział ci Sergio?

Nie odpowiedziała. Stała, przyciskając biodro do krawędzi stołu i przenosząc ciężar ciała na jedną nogę. Castro jest już nieżywy. Przypomniała sobie, z jaką stanowczością powiedział to Rafael w Londynie. Gdyby Garrido razem ze swoim bliskim przyjacielem Duranem słyszeli go wtedy, nie snuliby rozważań o jego zdradzie i ta ohydna rozmowa w ogóle nie miałaby miejsca.

—Jeszcze nie skończyliśmy, Magdaleno — rzekł Garrido. —  
Usiądź, proszę — dodał.

Odmówiła. Odczuwała cichą satysfakcję, jakąś mściwą radość, sprzeciwiając się Garridowi.



— Nie zamierzałem cię już więcej ranić, moja droga. Ale skoro obstajesz nadal przy obronie Rosabala, nie pozostawiasz mi wyboru.

Skinął na Durana, który wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę. Otworzył ją i odwrócił do góry nogami, a na stół wysypały się zdjęcia.

— Proszę cię, Magdaleno, usiądź. — Starszy pan zrobił w jej stronę serdeczny gest, ale wciąż nie chciała usłuchać jego prośby. Przelotnie spojrzała na fotografie, które leżały na stole. Nie miała ochoty przyglądać się im uważniej.

— Zrobiłem je w Hawanie — powiedział Duran. Podniósł jedno ze zdjęć i przesunął je po stole.

Magdalena ukradkiem spojrzała na fotografię.

— Podnieś ją — rzekł Garrido.

Dlaczego drżała jej dłoń? Sięgnęła po zdjęcie. Dostrzegła Rafaela, zanim jeszcze dotknęła odbitki.

Duran podniósł fotografię i przyglądał się jej z uwagą.

— Przedstawia Rosabala w chwili, gdy wsiada do samochodu. Przyjrzyj się uważnie zdjęciu, jeśli możesz.

Zobaczyła samochód z otwartymi tylnymi drzwiami, a w nich Rafaela, nieco pochylonego do przodu ukochanego Rafaela. Potem odwróciła wzrok. Spojrzała w okno po drugiej stronie sali. Na matowe szkło padało różowe światło. Gdzieś rozległ się odgłos przedwczesnego zapłonu.

— A to zdjęcie zrobiłem przed domem Rosabala, poza Hawanę —

powiedział Duran, wyjmując inną fotografię. Magdalena znów spojrzała na odbitkę. Zwróciła uwagę na jej różnobarwność: krzewy, basen wypełniony turkusową wodą i Rafael, który siedział na brzegu, piękny w swoich czarnych kąpielówkach, z twarzą nieznacznie odwróconą od obiektywu.

—Uroczy dom — stwierdził Duran. — Rosabal mieszka w bardzo komfortowych warunkach.

Magdalena dryfowała. Unosiła się nad stołem i odpływała z sali — nie powinna oglądać tych fotografii.

—Młoda kobieta w samochodzie obok Rosabala, ta, która trzyma go za rękę na zdjęciu przy basenie... — rzekł Duran, a potem na moment się zająknął — to jego żona, Estela Alvarez Capablanca, córka generała Capablanki. Pobrali się kilka miesięcy temu.

Żona! To słowo jak grom eksplodowało w głowie Magdaleny. Potoczyło się dalej, pozbawione sensu, i dudniąc echem jak grzmot, powoli umilkło. Słowo żona mogło pochodzić z obcego słownika, mogło być wysłanym z kosmosu sygnałem, który zdążył przemierzyć wieki, zanim został przechwycony na tej właśnie planecie, w tym mieście i na tej sali przez Magdalenę Torrente. Jak to możliwe, żeby Rosabal miał żonę?

Magdalena sięgnęła po fotografie i prędko je przerzuciła. Kobieta była młoda i przystojna. Miała urodę Hiszpanki. Na każdym z tych kilku zdjęć patrzyła na Rafaela wzrokiem zakochanej żony, młodej żony, osoby, której miłość zaledwie rozkwitła. Oszołomiona Magdalena odłożyła zdjęcia. Zdrętwiały jej opuszki palców. Poczuła

mrowienie wzdłuż kręgosłupa i na karku. W oczach pojawił się dziwny ucisk, a serce zaczęło bić nierytmicznie.

—Przykro mi, Magdaleno — rzekł Garrido. — Zdradził cię tak samo jak sprawę. Przykro mi.

Prawie nie słyszała Garrida. Tropiła swoje własne myśli, które wymykały się jej spod kontroli. Musiało istnieć jakieś proste wyjaśnienie. Jakieś uzasadnienie. Dlaczego nigdy nie wspomniał jej o tej kobiecie, o żonie? Dlaczego nigdy nie podzielił się z nią tą informacją pomimo łączącej ich miłości? Na pewno istniały jakieś powody, a może wiele powodów — żona była córką generała, małżeństwo mogło być wykalkulowane i mieć charakter polityczny. Skąd mogła to wiedzieć? Dopóki nie spojrzy mu w twarz, dopóki nie popatrzy mu prosto w oczy, nie może być pewna, że została zdradzona. Jedynym dowodem przeciwko niemu były tylko zdjęcia Durana. A zdjęcia w najlepszym razie to tylko ograniczone wycinki rzeczywistości.

Nadal jej serce nie biło regularnie. Chłód, przesuwał się jak lodowiec wzdłuż kręgosłupa, dotarł aż do czaszki. Ucisk w oczach ustąpił, ale wzrosło ciśnienie otaczającego ją powietrza, jak gdyby zstępowała w nie oświetlone głębie do zwodniczych batysfer. Ruszyła w stronę drzwi. Musiała wydostać się z tej sali, uciec od tych dwóch mężczyzn, od ich dowodów zdrady. Chciała zostać sama. Przemyśleć wszystko w samotności.

Ani Garrido, ani Duran nie zrobili żadnego gestu, żeby ją zatrzymać. Wyszła na ulicę i stanęła pod gołym niebem. Chmury przybrały jaskraworóżowy odcień — barwę karnawału, bardzo

odległą od jej nastroju.

Paryż

Frank przyleciał na lotnisko Orly w południe. Wziął taksówkę, którą prowadził paryżanin — nałogowy palacz narzekający bez końca na politykę ekonomiczną Wspólnego Rynku oraz na robotników obcego pochodzenia, plagę całej Europy. Pagan od czasu do czasu

przytakiwał grzecznie, mruczając mais oui, mais oui, chociaż temat wcale go nie interesował. Poza tym trudno mu było nadażyć /a potokiem słów Francuza.

Poprosił taksówkarza, żeby wysadził go na rogu Avenue Victor Hugo, w pobliżu miejsca docelowego jego podróży. Gdy szedł bez pośpiechu, wystrzegając się bólu, w kierunku Bois de Boulogne, oczy łzawiły mu od dymu tytoniowego, a w skroniach czuł dudnienie.

Paryż był zachmurzony i wilgotny, zamknięty w ciężkim uścisku jesieni. Znikła już zieleń. Rynny zapchane były opadłymi liśćmi. Z miastem tym nie łączyły Pagana żadne osobiste związki. Raz czy dwa przyjechał tutaj w sprawach zawodowych i znał to miejsce pobieżnie jak turysta. Sprawdził w notesie adres Enrica Caporellego.

Apartament mieścił się w ekskluzywnym budynku, sto metrów od miejsca, w którym Pagan wysiadł. Szary gmach przy Bois de Boulogne, okazały i zasobny, miał w sobie tę przestarzałą dostojność, która cechuje stare kamienice zamieszkiwane przez bardzo zamożnych ludzi.

Gdy Pagan wszedł do budynku, zagadnął go portier. Wyniosły Gauleiter w czapce o barwie burgundzkiego wina i w mundurze ze złotymi epoletami, zanim przepuścił Pagana do windy, domagał się, żeby telefonicznie powiadomił Caporellego o swojej wizycie.

Odwiedziny angielskiego policjanta najwyraźniej nie zaniepokoiły Enrica Caporellego. Portier niezwłocznie odprowadził Pagana do windy, żelazne wrota zamknęły się i klatka poszybowała w górę.

Wysiadł na piątym piętrze. Na korytarzu panował półmrok. Powitali go dwaj mężczyźni, ale w ich zachowaniu nie było nic przyjaznego. Obaj nosili ciemne garnitury i mieli nadmiernie rozwinięte mięśnie, których nie ukryłby nawet kunszt krawiecki wybitnych mistrzów igły. Wylegitymowali Pagana i bez słowa przeprosin sprawnie przeszukali. Nie miał przy sobie broni. Wprowadzili go do przedsiionka apartamentu, a potem wycofali się — para rośłych, ponurych cieni rozplynęła się w otaczającym mroku.

W drzwiach zjawił się Enrico Caporelli. Miał na sobie granatowy szlafrok, a na nogach kapcie jak poczciwy wujaszek, pomyślał Pagan. Szybki uścisk gładkiej dłoni był mocny i chłodny.

— Otaczają mnie nadmierną opieką — rzekł Caporelli. — To dobrzy ludzie, choć nadgorliwi. Proszę za mną.

Poprowadził Pagana do gabinetu, w którym okna zasłonięte były ciężkimi brokatowymi draperiami. Pokój oświetlała tylko jedna antyczna lampa, która stała na biurku. Pagan, trochę zdziwiony spokojem, z jakim została przyjęta jego wizyta, usiadł przy biurku i zastanawiał się, czy członkowie ochrony osobistej są nieodzowną częścią terytorium bogactwa Caporelli ustawił krzesło naprzeciwko Pagana i podsunął mu pudełko cygar. Pagan podziękował.

— Czytałem o panu w angielskiej prasie powiedział Caporelli. W jego wymowie był oprócz włoskiego jeszcze inny obcy akcent, typowy dla mieszkańców Nowego Jorku. Człowiek bez ojczyzny, pomyślał Pagan. Albo człowiek z wieloma ojczyznami. — Stał się pan sławnym człowiekiem, panie Pagan.

Pagan pominął milczeniem tę uwagę. Ostatnio prasa poświęcała mu wiele miejsca, ale jeśli na tym miała polegać sława, to wcale mu na niej nie zależało. Był to rozgłos, jaki towarzyszy człowiekowi, który ocalał — z katastrofy. Wolał anonimowość.

— Najpierw ci nieszczęśnicy, którzy ponieśli śmierć, a teraz ta cała historia z pociskiem nuklearnym — powiedział Caporelli współczującym tonem. — Jestem trochę zdziwiony, że przyjechał pan spotkać się ze mną. Nie mam pojęcia, w jaki sposób mógłbym panu pomóc. — Wzruszył ramionami. Gest ten miał oznaczać, że Caporelli jest człowiekiem gotowym świadczyć przysługi. — Oczywiście w miarę swoich możliwości zawsze staram się pomagać policji. We Włoszech, na przykład, moja współpraca z władzami przekroczyła zwykły zakres obywatelskich obowiązków. Proszę o to zapytać. Przekona się pan.

— Jestem pewien, że jest pan wzorowym obywatelem — rzekł Pagan.

Ciemne zasłony na oknach w ciągu dnia. ochrona osobista na korytarzu: czego się obawiał Enrico Caporelli? Porwania? Jednego z tych aktów przemocy, jakich się dopuszczają niektórzy włoscy ekstremiści?

— Ale nie przyjechałem do Paryża po to, żeby rozprawić opańskim dobrym zachowaniu, signor Caporelli.

— Domyślam się — powiedział Caporelli. — Czym mogę służyć?

— Ostatnio przebywał pan w Anglii, prawda?

Caporelli przechylił się na krześle do tyłu i wbił wzrok w ciemny

sufit. Malowidło, przyciemnione z powodu skąpego oświetlenia, kojarzyło się ze złotym anielskim skrzydłem, rozległym i nieruchomym.

— Tak, byłem. Dlaczego pan o to pyta?

Pagan nie odpowiedział. Najprostszą drogą zmierzał do celu. Pozostawione bez odpowiedzi pytania często wywoływały korzystną niepewność. Wyjął notes i, posługując się nim jak aktor rekwizytem, przerzucał kartki, udając, że czegoś szuka.

— Pojechał pan do Glasgow.

— Prowadzę tam interesy, panie Pagan — powiedział Włoch. — Od czasu do czasu wpadam tam na kontrolę. Nie przypuszczałem, że moje kroki mogą stać się przedmiotem zainteresowania władz.



Pagan miał ochotę rozsunąć zasłony i pozwolić, by do pokoju wpadło światło dzienne.

— Z kim spotkał się pan w Glasgow?

— A jeśli odmówię wyjaśnień?

Pagan i to pytanie pozostawił bez odpowiedzi. I tak nie było na nie żadnej ostrej riposty. Caporelli nie musiał mówić ani słowa. Miał taki przywilej. Z punktu widzenia Pagana najważniejsze było to, żeby nie przerywać potoku pytań.

— Czy spotkał się pan z mężczyzną o nazwisku Rosabal?

— Tak.

— W jakim celu?

Caporelli sprawiał wrażenie rozbawionego bezceremonialnością Pagana.

— Informuje mnie o wydarzeniach na Kubie. Mieszkałem tam dawno temu. Rosabal przekazuje mi wiadomości o moich starych przyjaciółach z wyspy. Może pan uważać, że jestem sentymentalny.

Sentymentalny? Nie, pomyślał Pagan. W Enricu nie było żadnej słabości.

— Kubański minister finansów, członek rządu Castra, przekazuje panu informacje o przyjaciółach? Czy to nie dość dziwny układ? W jaki sposób Rosabal tłumaczy swoje... usługi? Czy jego rząd wie o spotkaniach z panem?

— Ujął to pan bardzo dramatycznie, Pagan. Zapewniam pana, że wszystko wygląda o wiele bardziej niewinnie. Przed laty znałem

rodzinę Rosabala. Nasze kontakty nie zostały przerwane. Poza tym nigdy, ale to nigdy nie dyskutujemy z Rosabalem o polityce. Nic mnie nie obchodzą sprawy Kuby.

Czy to było kłamstwo? — zastanawiał się Pagan. Przedstawiona przez Caporellego wersja miała znamiona prawdopodobieństwa, stawała się jednak mniej wiarygodna, gdy Pagan rozważał ją z punktu widzenia Rosabala. Z jakiego powodu Kubańczyk miałby przekazywać wiadomości Caporellemu?

— Dlaczego pojechał pan na to spotkanie aż do Glasgow?

— Ponieważ tak mi było wygodnie.

— A Rosabalowi?

Caporelli wykonał gest, który mógł oznaczać tylko jedno: guzik mnie obchodzi jego wygoda, Pagan. Łatwo było dostrzec, kto miał nad kim przewagę w tej włosko-kubańskiej parze. Najwyraźniej Rosabal był gotów znieść wszelkie niedogodności. Ale dlaczego? To nie trzymało się kupy. Albo Caporelli przemilczał jakiś fakt, który sprawił, że Rafael pognął do Glasgow, albo Caporelli miał coś, na czym Rosabalowi bard/o zależało Pagan przycisnął palcami powieki, Same zagadki, żadnych faktów. Potrzebne ni u był pewne powiązania, które by utworzyły nierozzerwalny łańcuch.

— Rosabal wynajął farmę w Anglii. Wiedział pan o tym? Caporelli pokręcił przecząco głową.

— Nie kontroluję go.

— Czy nigdy nie wspominał o tej farmie?

— Nigdy.

— W tym domu zamieszkał Giinther Ruhr — Pagan wymierzył szybki cios.

— Ruhr? Ten terrorysta? Jest pan tego pewien?

— Jestem pewien — odrzekł Pagan. Ten terrorysta, jak gdyby Caporellemu mogli przyjść na myśl jeszcze inni Ruhrowie.

— Czy dostrzega pan jakiś związek pomiędzy Ruhrem a pańskim przyjacielem, Rafaelem?

Caporelli cofnął twarz poza zasięg światła. Pograżył się w mroku. Widoczne były tylko jego siwe włosy.

— Nie mogę wyobrazić sobie żadnego związku pomiędzy nimi, panie Pagan. Pańska informacja zdziwiła mnie. A mówiąc s/c/erze. zupełnie mnie zaskoczyła.

Jednak ani twarz Caporellego, ani jego głos nie świadczyły o zdziwieniu. Pagan miał wrażenie, że powiedział Enncowi o sprawach,

o których on już wiedział.

— Jak pan sądzi, dlaczego minister finansów Kuby miałby wynajmować farmę grupie terrorystów, signor Caporelli?

Caporelli złożył swoje delikatne małe dłonie na biurku, spoglądając na nie, jak gdyby były czymś drogocennym. Pokręcił głową.

— To wbrew zdrowemu rozsądkowi. Nie potrafię tego wyjaśnić.

Pagan zamilkł. W ciemnych zakamarkach przestronnego i nie oświetlonego pomieszczenia zaległa cisza. Zegar w<sup>^</sup>bił godzinę, rozległ się przytłumiony dźwięk kosztownego mechanizmu.

— Dziwny wydaje się też fakt, że Rosabal wynajął farmę na cudze

nazwisko — rzekł Pagan.

— Naprawdę?

— Przedstawił się jako Jean-Paul Chapotin.

Od razu stało się oczywiste, że Caporelli o tym nie wiedział. Zagryzł dolną wargę i jeszcze bardziej cofnął się poza krąg światła lampy.

Pagan zupełnie nie widział jego twarzy. W ukryciu Włoch odzyskał panowanie nad sobą z godną podziwu szybkością.

— Nazwisko Chapotin, gdyż zdaje się takiego pan użył, jest mi całkiem obce. Co się tyczy spraw osobistych Rosabala, nie mam o nich

pojęcia. Jestem przekonany, że to wszystko jest szalenie ciekawe dla pana, ale ja nie podzielam pańskiego zainteresowania tym tematem.

Pagan miał wyostrzony instynkt, jeśli chodzi o kłamstwa. Bywał jak puls, czasami uderzał mocno, kiedy indziej był ledwie wyczuwalny. Słyszał w swoim życiu tak wiele kłamstw, a niektóre od prawdziwych ekspertów w tej dziedzinie, że każda kolejna fikcja była witana jak stary niesolidny znajomy. Wyparcie się znajomości z Jeanem-Paulem Chapotinem nie było najlepszym kłamstwem, z jakim Pagan się spotkał, choć zostało wypowiedziane z dużą teatralną wprawą i ogromną pewnością siebie. Mały człowiek zdawał się dotrzeć do kulminacyjnego punktu swojego krótkiego przedstawienia, gdy z fantazyjnie zaprojektowanego pudełka wyciągnął chustkę i przez chwilę wywijał ją jak magik, zanim przycisnął ją sobie do ust.

— A teraz, proszę mi wybaczyć, panie Pagan. Nie sądzę, żebym miał coś jeszcze do dodania. Choć zdaję sobie sprawę, że niewiele panu pomogłem.

Pagan nie był jeszcze gotów, by zostać wyproszonym.

— Czy pan wie, signor Caporelli, że ten Chapotin został zamordowany w Londynie?

— Skąd mam wiedzieć? Jak już mówiłem, panie Pagan, nie znam tego człowieka. Przykro mi, że został zamordowany. Cóż więcej mogę powiedzieć? A teraz naprawdę proszę mi wybaczyć. Muszę zająć się interesami.

Pagan podniósł się z krzesła.

— Podobnie jak pan, Chapotin był związany w przeszłości z Kubą — rzekł. — To jeden z tych cholernych zbiegów okoliczności, które mnie niepokoją. Pan, Jean-Paul oraz Rosabal. A łączący was element to Kuba. Nie mogę przestać o tym myśleć.

Enrico Caporelli podniósł rękę i zwrócił ją w stronę Pagana. Mówił zdecydowanym głosem.

— Powinien pan wiedzieć, kiedy należy skończyć zadawanie pytań. Skoro powiedziałem dość, to dość.

— Nigdy się tego nie nauczę. To jedna z moich największych wad. Caporelli sięgnął po pozłacany telefon, który stał na biurku.

Pagan położył rękę na słuchawce, żeby mężczyzna nie mógł jej podnieść.

— Dlaczego panu tak pilno, żeby mnie stąd wyrzucić, signor Caporelli? Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o panu, Rosabalu i tym biedaku, Jeanie-Paulu. Nie wierzę w to, że nie znał pan Chapotina. Był w Glasgow tego samego dnia co wy. Mieszkał na Kubie dokładnie w tym samym czasie co pan. I nie ulega wątpliwości, że Rafael go znał.

Nie sądzi pan chyba, że nazwę to zbiegiem okoliczności. Proszę mnie nie obrażać.

W śmiechu Caporellego zabrzmiał dziwny, załamujący się dźwięk, jak gdyby niewielki młotek dwukrotnie uderzył oporny gwóźdź. Włoch wstał zza biurka i zaczął spacerować pomiędzy ukrytymi w mroku meblami.

— Ma pan bujną wyobraźnię, Pagan. Niech pan to zostawi w

spokoju, dla własnego dobra. Zapomni o tym. Niewielka amnezja często wychodzi na zdrowie.

Czy to zawołowana groźba, pięść w rękawiczce z miękkiej skóry? — zastanawiał się Pagan. Pogrożki Caporellego były mu bardzo na rękę — burzyły krew, pobudzały wojownicze instynkty. Wstał z krzesła i uśmiechnął się szeroko do niskiego mężczyzny, zdając sobie sprawę, jak bardzo może go to rozsierdzić.

— Coś tu się dzieje i chcę wiedzieć co, Enrico. Pozwolisz, że będę zwracał się do ciebie po imieniu. Na początek, twoje spotkanie z Rosabalem. On pokonuje tysiące kilometrów, żebyś mógł usłyszeć pomyślnie wieści z Kuby? Daruj to sobie, Enrico.

Caporelli chciał zaprotestować, ale Pagan mówił dalej, nie zwracając na niego uwagi.

— Druga sprawa to Giinther. Mieszka w domu wynajętym przez twojego przyjaciela, Rafaela. Czym to zaczyna pachnieć, Enrico? Czy nie kojarzy się to z powiewem konspiracji?

— Powtarzam. Za wiele wyobraźni. Proszę wyrzucić to z pamięci. Po co budzić lichy.

Pagan poczuł suchość w gardle. Zabrakło mu śliny na tę pogoń. Płuca jakby zmniejszyły pojemność, a dopływ tlenu był niewystarczający. Wstrzymał oddech.

— Dlaczego Giinther ukradł pocisk? Na pewno nie do swojej kolekcji. Ktoś go wynajął. Ale kto jest szefem, Enrico? Rafael? Nadawałby się do tej funkcji. W końcu to on był gospodarzem Ruhra. A może Rafael wykonuje polecenie jakiejś innej partii?

W czasie gdy Pagan mówił, Caporelli przeszedł na drugą stronę pokoju. Nacisnął guzik w ścianie umieszczony w pobliżu kominka. Ściągał posiłki, umięśnionych członków ochrony, żeby wykopali stąd Pagana.

— A może to ty, Enrico? Może Rafael pracuje dla ciebie? I wynajął Ruhra w twoim imieniu? Czy po to spotkaliście się w Glasgow? — Pagan przemierzył pokój dużymi krokami i podszedł do niskiego mężczyzny. Wszystko było jednym wielkim szaleństwem. Ale złapał wiatr w żagle i stawało się to coraz bardziej podniecające. Znajdował radość w zwariowanych pomysłach, w natchnieniu, które zmuszało do podążania niezwykłymi ścieżkami. Zarzuty, nagłe zmiany tematów,



przynęty, oskarżenia — czasami Pagan uważał, że praca może sprawiać przyjemność.

Zirytowany w widoczny sposób, Caporelli ponownie nacisnął guzik w ścianie. Pagan dosięgnął jego ręki i ścisnąwszy ją, odciągnął od guzika.

— Pozwól mi skończyć, Enrico.

— Już pan skończył — powiedział Caporelli, wyrywając obolałą dłoń.

— Niezupełnie. Jest inny problem. Zadaję sobie pytanie, kto jeszcze mógłby wykorzystać pocisk. Sam Fidel? W końcu już kilka lat temu miał apetyt na broń nuklearną, więc może nadal chciałby ją mieć. Ale załóżmy, że nikt na świecie nie chce mu jej sprzedać. Wyobraźmy sobie, że postanowił ją ukraść i zaangażował do tego zadania Rosabala. Rosabal przyszedł do ciebie po pomoc — starego kumpla, przyjaciela rodziny z dawnych czasów, jak sam powiedziałeś — a ty skontaktowałeś go z Ruhrem.

Twarz Caporellego pozbawiona była wyrazu. Gdyby nie otwarte oczy pod osłoną siwych brwi, mogłaby być twarzą śpiącego człowieka.

— Ale my obaj wiemy, że ten scenariusz nie jest prawdziwy, prawda, Enrico? — kontynuował Pagan. — Nie kiwnąłbyś palcem dla Castra. Nienawidzisz go za to, że wydarł ci wszystko, co miałeś na Kubie. Chciałbyś widzieć go martwym albo chociaż zdjętym ze stanowiska. Dlatego jeśli jesteś zamieszany w kradzież pocisku, nie

dokonano jej dla Fidela. Musiał być jakiś inny powód.

— Rozbawił mnie pan, ale moja cierpliwość ma swoje granice. Muszę pana poprosić, żeby pan wyszedł. I to natychmiast!

Caporelli ruszył w stronę drzwi. Pagan poszedł za nim, myśląc, jak bezpodstawne były oczekiwania, że Caporelli się załamie i wszystko opowie. Włoch był twardy jak głaz. I przebiegły jak lis. Miał wyćwiczoną twarz, która niczego nie ujawniała. Jedyne zaskoczenie, jakie Pagan zauważył, wywołała wzmianka o posłużeniu się przez Rafaela nazwiskiem Chapotin. Dlaczego ta wiadomość wstrząsnęła Caporellim? Dlaczego tak wyraźnie się nią zmartwił? Dlatego, że działo się coś, o czym Caporelli nie wiedział, pomyślał Pagan. Coś, co rzeczywiście go zaniepokoiło.

— Szczerze mówiąc, mam w nosie twoje zamiary, Enrico. Nic mnie nie obchodzi Kuba ani Fidel Castro. Nie obchodzi mnie też polityka. Interesuje mnie tylko o tyle, o ile dotyczy zbiegłego więźnia, w którego rękach znajduje się pocisk i zakładniczka. Chcę tylko, żeby ludzie i pocisk wrócili tam, gdzie ich miejsce. Przypuszczam, że możesz mi pomóc. Sądzę, że wiesz, gdzie ich szukać.

Caporelli zachowywał się lak, jak gdyby go wcale nie słuchał. Otworzył drzwi, wyjrzał na korytarz i zawołał:

— André! Max! Przyjdźcie tutaj. Wyprowadźcie pana Pagana!

André i Max nie odpowiadali. Caporelli zasyczał zirytowany i ruszył korytarzem. Pagan poszedł za nim. Weszli przez otwarte drzwi do sypialni urządzonej czarnymi meblami na wysoki połysk jak na zdjęciach w wytwornym żurnalu z projektami wnętrz. Dalej

znajdowała się kuchnia, największa, jaką Pagan kiedykolwiek widział — rozległa, wyłożona glazurą i wyposażona w wiele urządzeń. W długich oknach były żaluzje z czerwonych listewek, a z sufitu zwisały garnki o miedzianych dnach, rondle, sznury główek czosnku oraz pęki czerwonej papryki.

— André, Max! — Caporelli klasnął w dłonie, jak gdyby przywoływał dwa niesforne psy. Wciąż żadnej odpowiedzi

Pagan próbował skierować uwagę mężczyzny na rozmowę, ale ten wzruszył tylko ramionami, przemierzając kuchnię w poszukiwaniu swojej ochrony osobistej.

— Gdyby wysłuchał mnie pan, Caporelli...

— Słuchałem już dostatecznie długo. Pagan.

— Proszę mi tylko powiedzieć, co pan wie o Ruhrze, nie oczekuję nic więcej.

Caporelli uderzył się dłonią w czoło.

— Ile razy mam jeszcze to panu powtarzać? Nic me wiem.

Absolutnie nic! Pręgo. Niech pan wyświadczy mi tę grzeczność i wynosi się stąd.

Pagan stanął. Oparł się o wyłożoną kaflami ścianę, uświadamiając sobie bezcelowość dalszej nagonki. Enrico był za dobry. To szczwany lis. Nie puści pary. Pagan wycofał się do kąta, w którym prawdopodobnie jadano śniadania, wnęki mieszczącej cztery krzesła i stół obsypany płatkami róż. Musiał usiąść i rozważyć możliwości, jakie mu pozostały.

Podszedł do krzesła. I zatrzymał się. W kącie oprócz mebli i

kwiatów było coś jeszcze.

André i Max, zastrzeleni z bliskiej odległości, leżeli oparci o ścianę w półmroku wnęki. Na zwróconej w stronę Pagana dużej, pustej twarzy jednego z mężczyzn z odstrzelonym policzkiem i martwymi błękitnymi oczami malował się wyraz zaskoczenia.

Pagan, dla którego zbrodnia wciąż była szokiem, spojrzął w kierunku Caporellego, który stał po drugiej stronie pokoju. Zanim zdążył powiedzieć mu o zwłokach mężczyzn, otworzyły się kuchenne drzwi.

— A, to wy — rzekł Caporelli. Spodziewał się swoich żołnierzy.

Myślał, że to oni wchodzi do kuchni, przybywając poniewczasie na jego wezwanie. Sądził, że wyrzucenie Anglika za drzwi jest kwestią kilku sekund. Pagan krzyknął w jego stronę: padnij! Chociaż później nie był pewien, czy użył właśnie tego słowa. W drzwiach stał mężczyzna z pistoletem wyposażonym w tłumik. Prawdopodobnie gdy już się pozbył André i Maxa, przeczesywał olbrzymie mieszkanie w poszukiwaniu Caporellego.

A teraz znalazł tropioną ofiarę.

Pagan zdążył zaledwie zarejestrować pierwsze wrażenie. W mężczyźnie nie było nic interesującego ani szczególnego — średni wzrost, przeciętna waga, ciemne włosy, ciemny płaszcz. Chryste, w tej pełnej napięcia chwili Pagan nie potrafił określić rysopisu, brakowało mu słów. Został zaskoczony w kuchennej wnęce, a śmierć w tak całkowicie pozbawionym dostojności miejscu wydała mu się zupełnie absurdalna. Ostatnią rzeczą, do której był zdolny, to obiektywna obserwacja zamachowca.

— Na miłość boską — powiedział Caporelli.

Zamachowiec strzelił. Bez wątpienia był wyborowym strzelcem. Dźwięk, który się rozległ, przypominał sprężone powietrze uciekające z przedziurawionego przewodu. Caporelli okręcił się wokół siebie, trafiony kulą prosto w serce. Z łoskotem zwałił się na kaflową posadzkę, a z kieszeni szlafroka wypadły i potoczyły się po podłodze zawinięte w celofan cygara.

Pagan zdołał jedynie dostrzec, jak zamachowiec odwraca w jego

stronę twarz — dłoń z pistoletem ponownie uniosła się w górę. Zamknięty w pułapce, mając za sobą tylko oszklone drzwi, wykonał błyskawiczny zwrot. Poczuł, jak napinają mu się szwy na piersi. Do jakiegoś odległego zakamarka ogarniętego paniką umysłu zdołała dotrzeć myśl, że szkło ustąpi pod naporem ciała. W oka mgnieniu rzucił się na szybę. Nie bał się, że spadnie z dużej wysokości, gdyż dostrzegł pomiędzy listewkami żaluzji balkon, poręczę, doniczki z kwiatami, a nawet pustą klatkę.

Pod naporem ciała żaluzja wygięła się i rozpadła na kawałki — połamały się listewki i wystrzeliły małe plastikowe śruby. Drzwi rozbiły się bez trudu, rozpryskując po balkonie nierówne odłamki szkła. Pagan wylądował na dłoniach i kolanach, ale się nie pokaleczył. Niezdarnie przykucnął i szybko zlustrował balkon o wymiarach dwa metry na trzy. Od sąsiedniego mieszkania z balkonem, dwa metry powyżej, dzieliła go kuta w żelazie ozdobna balustrada. Pospiesznie ruszył w jej stronę i zaczął się wdrapywać w górę. W połowie drogi uświadomił sobie, że roztacza się stąd piękny widok na Bois de Boulogne. Zachwyтови towarzyszył jednak zawrót głowy. Pagan zachwiał się, jęknął, usłyszał szum powietrza w uszach i zaczął wspinać się dalej.

Kurczowo uchwycił się końca balustrady i podciągnął w górę, walcząc z bólem, który pod wpływem adrenaliny i strachu przez chwilę nie dawał znać o sobie. Obejrzał się na balkon Caporellego. Zobaczył połamane żaluzje. Listewki wygięte w różne strony zwisały

pomiędzy potłuczonymi szybami jak rozgniecione wrzecionowate stwory. Po zabójcy nie było śladu, ale to jeszcze niczego nie oznaczało. Mógł właśnie się zakradać do oszklonych drzwi i w każdej sekundzie pojawić na balkonie. I zastrzelić Pagana.

Pagan zdobył się na ostatni wysiłek i przerzucił swój ciężar przez balustradę. Zeskoczył na balkon, potykając się w chwili, gdy otworzyły się balkonowe drzwi i stanął w nich mężczyzna. To nie był zamachowiec. Ten łagodnie wyglądający, skromny człowiek w tweedowej marynarce był prawdopodobnie sąsiadem Caporellego.

— Qu'est ce qui se passe? — zapytał, zaniepokojony. — Que voulez-vous?

Pagan wyjął portfel i wylegitymował się. Mężczyzna przegląda! z uwagą oraz ze zdziwieniem dowód Pagana jak ktoś, kto długo wiódł spokojne i wypełnione ciężką pracą życie, które przyjęło nagle dziwny obrót.

— A, Scotland Yard — powiedział mężczyzna, jak gdyby te dwa słowa wszystko wyjaśniały. — Oui, oui. Entrez, entrez. — Otworzył drzwi, a Pagan odwrócił się i wychylając się przez metalową poręcz, po raz ostatni spojrzął na balkon Caporellego — pusty i zimny mimo promieni południowego słońca.

Detektyw, który zjawił się po telefonie Pagana, nazywał się Claude Quistrebart i pracował w Sûreté. Był wysokim, przystojnym mężczyzną, miał na sobie garnitur w czarno-białe prążki, a w klapie marynarki wspaniałały niebieski goździk. Pagan podziwiał elegancję detektywa wyróżniającą go z grona trzech podwładnych, którzy byli

źle ubrani i entuzjastycznie kręcili się po mieszkaniu Caporellego z wyraźnym zamiarem przypodobania się szefowi.

Quistrebert rozmawiał z Paganem w gabinecie Caporellego. Francuz znał lepiej angielski niż Anglik francuski, dzięki czemu Pagan mógł posługiwać się swoim ojczystym językiem.

— Pański opis zamachowca pozostawia wiele do życzenia — stwierdził Quistrebert.

— Nie było w nim nic szczególnego, jestem pewien, że rozpoznałbym go, gdybym go ponownie zobaczył, ale co do uderzających



cech... — Pagan wzruszył ramionami przygnębiony. Niewiele brakowało, a zostałby zastrzelony przez tego kogoś, kogo nie umiał opisać.

— Uderzających? — zapytał Francuz ze zdziwieniem.

— Wyróżniających — wyjaśnił Pagan.

— Ach tak, oczywiście.

Z kuchni dobiegł łoskot, odgłos stłuczonej na kafłowej posadzce wazy albo ciężkiego garnka. Quistrebert sprawiał wrażenie, że niczego nie usłyszał. Może przywykł, że jego pracownicy tłuką naczynia w przyływie entuzjazmu, jaki ich rozpiera w czasie prowadzenia śledztwa.

Quistrebert stał przy oknie, wyglądając na Bois do Boulogne. Miał ostre rysy. Jego nos mógłby służyć do rycia w ziemi.

— W tej sytuacji nie sądzę, żebyśmy zdołali aresztować tego człowieka — powiedział, nie odwracając się do Pagana. W jego tonie dało się wyczuć uszczypliwość. Detektyw nie był zachwycony spostrzegawczością swojego angielskiego kolegi. Czytał o Paganie w gazetach i uważał go, nie bez ukłucia zazdrości, za kolejnego szukającego rozgłosu policjanta.

— Dlaczego Caporelli został zamordowany? Czy mógłby pan rzucić na tę sprawę jakieś światło?

— Niestety, nie — odpowiedział Pagan.

— Z pewnością musiał być jakiś powód pańskiej obecności tutaj. Nie zamierzam się jednak do tego wtrącać.

— Rutynowe dochodzenie. — Zdanie nic nie znaczące, ale

wyraźny sygnał: proszę nie pytać.

— Naturalnie. — Quistrebert dużymi krokami przemierzył pokój. Usiadł za biurkiem Caporellego i bezmyślnie przerzucił leżące na nim gazety. — Caporelli prowadził interesy we Francji. Miał fabrykę papieru. Spółkę perfumeryjną w Nantes. A także kilka banków. Tyle przynajmniej dowiedzieliśmy się z urzędowych rejestrów. Domyślam się, że miał też wiele handlowych przedsiębiorstw we Włoszech. Wygląda na to, że był bogatym biznesmenem. A taki człowiek może mieć wrogów, prawda?

— Jest to wielce prawdopodobne — stwierdził Pagan. Czy pani Chapotin nie powiedziała, że jej zmarły mąż miał koncern bankowy we Włoszech? Ucieszyła go ta drobna zbieżność.

Quistrebert dotknął kwiatu w klapie marynarki.

— Ten Caporelli mnie zainteresował. Zaledwie kilka dni temu był świadkiem tragicznego wypadku, tutaj, w Paryżu. Czytałem o tym raport — powiedział.

Pagan poczuł, że wyostrza mu się słuch.

— Co się stało?

— Widział, jak mężczyzna wpadł pod ciężarówkę i został przejechany. To był wyjątkowo krwawy wypadek. Paskudny. Oczywiście poproszono Caporellego jako głównego świadka o złożenie zeznania. W każdym razie nie było wątpliwości co do jego osobistego emocjonalnego zaangażowania w tej sprawie. Ofiarą wypadku był jego wspólnik, niejaki Kluger z Hamburga.

Wspólnik. Enrico i jego wspólnicy mieli talent do nieszczęśliwych

zgonów, pomyślał Pagan. Chapotin, ten Kluger, a teraz i sam Enrico, Musiał być w tym wielki zamysł, śmiercionośny i misterny.

— Szli ulicą po wspólnym obiedzie, gdy ciężarówka uderzyła nieszczęsnego Klugera i powlokła go między kołami. Została z niego jedna miazga — powiedział Quistrebent.

— Czy jest pan przekonany, że to był wypadek? — zapytał Pagan. Francuz spojrzał na Pagana.

— A cóż by innego? Mnóstwo świadków widziało ciężarówkę, którą prowadził narwany kierowca, pijany Hiszpan. Mogę jedynie dodać, że człowiek ten zmarł kilka godzin później w więzieniu na atak serca.

Quistrebent przez chwilę milczał.

— Podzielę się z panem jeszcze jedną informacją na temat pewnego zagadkowego wydarzenia, które dotyczy tej sprawy. Otóż ciało kierowcy zostało zabrane przez osoby, które się podały za jego krewnych.

— Podały się?

— Ludzie ci wylegitymowali się. Pochodzili z Madrytu. Ciało zostało im wydane. Nic w tym nadzwyczajnego. Krewni pragnący pogrzebać swojego zmarłego — proza życia. Ale potem dzięki pewnemu pracowitemu oficerowi odkryto, że ciężarówka została skradziona cztery dni wcześniej w Lyonie. Kierowca miał fałszywe hiszpańskie prawo jazdy. Osoba o tym nazwisku nigdy nie istniała, a odciski palców nie były zarejestrowane. Nie zdołaliśmy też odnaleźć tak zwanych krewnych, którzy zażądali wydania zwłok.

Prowadziliśmy w tej sprawie dochodzenie, ale każdy ślad okazywał się ślepym zaułkiem i drażnił największą policyjną zmorą — zbyt wieloma pytaniami bez odpowiedzi. Białymi plamami. Brakiem wskazówek.

Paganowi nie wyglądało to na wypadek, lecz na zamierzoną zbrodnię, która nie została zrealizowana w zaplanowany sposób. Morderca stracił panowanie nad sobą, co każdemu może się czasem zdarzyć. By zabić Klugera, potrzebna mu była ślepa zawziętość i odwaga, którą próbował znaleźć w alkoholu. Ale źródło odwagi stało

się przyczyną upadku. Pewnie miał zamiar uciec z miejsca zbrodni, ale był zbyt pijany. Pagan nie zamierzał dzielić się swoją sugestią z Quistrebtem. Francuz nie przyjąłby z wdzięcznością życzliwej wskazówki. Miał w sobie galijską dumę i upór.

— Co panu wiadomo o Klugerze? — zapytał Pagan.

— To jeszcze jeden biznesmen i partner Caporellego w perfumeryjnej spółce. Prowadził rozległe interesy. Był głównym udziałowcem olbrzymiego przedsiębiorstwa farmaceutycznego we Frankfurcie, wyłącznym właścicielem winnicy w Kalifornii, miał też magazyny w Skandynawii — lista jest długa. Był bardzo bogatym człowiekiem. Tak jak Caporelli.

— Czy mogę otrzymać przed powrotem do Londynu raport z tego wypadku?

— Oczywiście. — Quistbert uśmiechnął się przebiegle po raz pierwszy od chwili swojego przyjścia. — Gdy w przyszłości będzie się pan wybierał w sprawach służbowych do Paryża, proszę telefonicznie uprzedzić mnie o swojej wizycie, zgoda?

— Może pan na to liczyć — rzekł Pagan.

Glasgow

Foxworth przyjechał w południe do Glasgow, ciepłego i słonecznego jak na tę porę roku. Była to jedna z tych nielicznych chwil wytchnienia, dzięki którym znośniejszy był los policjanta. Trzy godziny spędził z członkami kryminalnego oddziału śledczego w Glasgow, ludźmi życzliwymi i zrównoważonymi, nad odtworzeniem

kroków Jeana-Paula Chapotina w tym mieście. Było to zwykłe, wytrwałe, rutynowe poszukiwanie informacji w firmach zrzeszających taksówkarzy oraz w przedsiębiorstwach zajmujących się wynajmem samochodów. Wiązało się to z koniecznością przeprowadzenia wielu rozmów telefonicznych i wyczekiwaniem ze słuchawką przy uchu, aż zostaną sprawdzone rejestry i zapiski. Zajęcie nużące i banalne, w każdym razie takiego zdania był Foxworth. Zdawał sobie sprawę, że w jego zawodzie niezbędna jest nudna rutyna, ale przejął od Franka Pagana niechęć do tego aspektu pracy śledczej. Frank uważał, że liczyła się tylko nagła jasność umysłu, błysk, intuicja.

W tym samym czasie, gdy prowadzone było śledztwo dotyczące Chapotina, toczyło się podobne dochodzenie w sprawie podróży Enrica Caporellego do Glasgow. W drugim wypadku zadanie było łatwiejsze dzięki zachowanemu raportowi ze spotkania Caporellego z Kubańczykiem w hotelu w centrum miasta. W przeprowadzanej inwigilacji Caporelli był drugorzędną postacią, przypadkowym intruzem w życiu Kubańczyka. Ale młody detektyw, który zanotował czas i miejsce spotkania, był na tyle zmyślny, żeby zapisać jeszcze numer rejestracyjny limuzyny, którą odjechał Enrico. Foxiemu spodobały się notatki młodego człowieka. Łączyły w sobie zrozumiałe przedstawione meritum sprawy z akcentami osobistych odczuć: osobnik odjechał imponującą limuzyną, numer rejestracyjny G654 WUS; bardzo niski mężczyzna o siwych włosach i wyniosłym sposobie bycia. Słowa: imponujący i wyniosły sposób bycia,

stanowiły radosną odmianę w prozaicznym języku policyjnych raportów.

Numer tablicy rejestracyjnej stał się punktem zaczepienia, Limuzyna, którą odjechał Caporelli, należała do spółki o nazwie Executive Motor Cars Ltd z siedzibą w centrum miasta, przy West Nile Street. Gdy Foxie tam zatelefonował, uprzejma kobieta poprosiła, żeby minutę zaczekał, ponieważ musi sprawdzić swoje notatki. Ile razy usłyszał już słowo “notatki” od chwili przyjazdu do Glasgow? W czasie poprzedniej rutynowej kontroli Foxie pytał już telefonicznie tę samą kobietę o Chapotina. Jest pan bardzo pracowity, stwierdziła, gdy usłyszała go ponownie. Miała wesoły i melodyjny głos.

Przełom nastąpił w chwili, gdy Foxworth pił herbatę z grubego porcelanowego kubka, czekając na telefoniczną odpowiedź.

Kobieta z Executive Motor Cars Ltd zatelefonowała, informując, że kierowca samochodu G654 WUS zawiózł Enrica Caporellego do jakiegoś domu “gdzieś w Ayreshire”. Gdy Foxworth dowiadywał się poprzednio o Chapotina. usłyszał, że mężczyznę o tym nazwisku odebrał inny kierowca tej samej spółki na lotnisku w Glasgow i zawiózł w to samo miejsce.

Ach, ach! Foxie przeżywał jeden z tych rzadkich momentów, jakie dane są jedynie policjantom, poetom i rybakom, gdy przedmiot poszukiwań nagle się materializuje. Caporelli i Chapotin, zawiezieni limuzynami tej samej spółki, do tego samego miejsca, w Ayrshire. Glasgow trudno nazwać królestwem limuzyn, nie był to więc zbieg

okoliczności, że obaj skorzystali z usług firmy wynajmującej luksusowe wozy.

— Czy mogę się dowiedzieć, jaki jest adres tego domu? — zapytał Foxie.

Kobieta milczała przez chwilę, przerzucając kartki papieru.

— Niestety, proszę pana. Nie mam adresu, znam jedynie numer skrzynki pocztowej w Ayr. Tam wysyłamy nasze rachunki. Są zawsze realizowane przez jakąś spółkę w Londynie. Z tym zleceniodawcą współpracujemy prawie od roku.



— Może jeden z waszych kierowców mógłby mi bliżej określić to miejsce — zasugerował Foxie.

— Oczywiście — odpowiedziała kobieta. — Zawsze z przyjemnością służymy pomocą — dodała.

Gdy Foxie zatelefonował na Golden Square, żeby złożyć raport o swoich postępach w śledztwie, Pagan przebywał nadal w Paryżu. Zostawił więc tylko krótką wiadomość Billy'emu Ewingowi, a potem pojechał nie oznaczonym policyjnym samochodem na West Nile Street. Siedziba spółki Executive Motor Cars Ltd mieściła się nad sklepem filatelistycznym, w którego brudnych oknach wystawowych znajdowały się znaczki z krajów Trzeciego Świata: Kambodży, Togo i Rwandy. (Nie był pewien, czy słyszał kiedyś o Rwandzie). Wszedł po schodach na drugie piętro. Powitała go niejaka panna Wilkie, czarująca kobieta blisko trzydziestki, o pięknych kształtach, wspaniałych rysach i gładkiej skórze. W innych okolicznościach Foxie byłby skłonny przeciągać jak najdłużej pobyt w biurze.

Przedstawiła Foxiemu niezbyt sympatycznego mężczyznę o nazwisku Roderick McNulty (wolał, żeby zwracać się do niego Rod), który odwoził Caporellego do Ayrshire. Rod był typem człowieka mało towarzyskiego i bez entuzjazmu spełniał prośby innych osób. Grubymi, poplamionymi nikotyną palcami wyciągnął opieszale szcegółową mapę i niechętnie wręczył ją Foxiemu.

Przez zieloną jedwabną bluzkę prześwitywały kształtne i drobne piersi panny Wilkie, która się uśmiechnęła do Foxiego. Co za

wspaniałe zęby, pomyślał.

— Mam nadzieję, że pomogliśmy panu — powiedziała.

— Była pani cudowna. — Foxie naprawdę tak uważał. Pomyślał, że powinien częściej przyjeżdżać do Glasgow.

Podeszła do niego bliżej, nachyliła głowę nad jego ramieniem i spojrzała na mapę.

— Zupełnie odludne miejsce — stwierdziła. — Kto chciał tam zamieszkać?

Foxie uchwycił zapach jej perfum — zachwycającą woń piżma. Bezwstydnie romantyczny w sprawach serca, zdolny zakochać się w kobiecie przelotnie spotkanej na ulicy bez nadziei na jej poznanie, żałował, że panna Wilkie nie może razem z nim pojechać do Ayrshire.

— Tak, to prawda, dom stoi na uboczu — potwierdził Rod McNulty.

— Kto w nim mieszka? — zapytał Foxwoth.

— Nie dowiedziałem się — powiedział McNulty niepewnie, jak gdyby przez całe życie powierzano mu tajemnice, których musiał dochowować. Był szoferem, który wszystko widzi, ale trzyma język za zębami.

Foxwoth odszedł, uśmiechnąwszy się po raz ostatni do panny Wilkie, która w odpowiedzi uniosła na pożegnanie swoją delikatną dłoń.

Z Glasgow wyjeżdżał w słońcu. Według informacji radiowych było pogodnie w całej południowo-zachodniej Szkocji, chociaż

nieuchronnie zbliżał się chłodny front atmosferyczny. Zielone pola poza miastem były skąpane w słońcu. Wzdłuż wybrzeża połyskiwała woda, przywodząc na myśl inną porę roku.

Zatrzymał się na krótko w nadbrzeżnej, wypoczynkowej miejscowości Ayr, miasteczku z wyszorowanymi do białości chatkami, cyplem, ruchliwą High Street i torem wyścigowym. Po obiedzie, składającym się z wyśmienitej ryby i frytek, ruszył dalej na południe w kierunku Ballantrae. Chciał dotrzeć do celu przed zmrokiem.

Gdy przejeżdżał przez małe miasto o nazwie Girvan, piętnaście metrów od lądu odsłonił się przed nim skalisty garb Ailsa Craig. Otoczony tysiącami mew, wyglądał ponuro jak kolonia karna. W Ballantrae, starej rybackiej wiosce, która zrobiła na nim przygnębiające wrażenie, Foxie przejrzał mapę. Droga, którą musiał jechać, biegła w głąb lądu. Miała kształt hiperboli. Była wyboistą ścieżką pomiędzy wysokimi żywopłotami. Samochód podskakiwał i klekotał, a zachodzące słońce odbijało się we wstecznym lustrze i oślepiało Foxiego. Krzewy stawały się coraz ciemniejsze i bardziej gęste. Od czasu do czasu widział ciągnące się za żywopłotami równiny pól uprawnych, ale nie dostrzegł niczego szczególnego, żadnej farmy, stogów siana ani pasących się krów.

Zahamował, zapalił światło w samochodzie i ponownie prze-studiował mapę. Do celu dzieliło go już tylko półtora kilometra. Niespiesznie pokonywał ostatni odcinek. Co powie, gdy dotrze na miejsce? Prowadzę dochodzenie. Proszę wybaczyć, że sprawiam kłopot. Zwyczajna policyjna procedura. Pomyślał, że lepsza byłaby

strategia zabłąkanego turysty — przecież nie miał tutejszego akcentu. Nie ulegało wątpliwości, że był zagubionym przybyszem. Udawanie zdezorientowanego podróżnego zawsze bywało zabawne — usilne pragnienie odnalezienia właściwej drogi, przesadne przeprosiny.

Dlaczegoż by nie?

Gdy zobaczył dom, nie był pewien słuszności swojego zamysłu. Spodziewał się farmy, w najlepszym razie starego szkockiego domku myśliwskiego albo odbudowanej plebanii, ale nie tego szkaradzieństwa

^

i piasku i kamienia o nieokreślonej linii. 7. wieżyc/kami, mój Boże!  
Ten ni to dom, ni /amok byt jednym z tych architektonicznych  
dziwactw, jakie wznosili w końcu dziewiętnastego wieku ambitni  
mieszkańcy jako pomniki swoje i swojej wiktoriańskiej epoki.  
Foxworth uśmiechnął się do siebie, wjeżdżając na długi podjazd.

Zmierzch zamazał kontury nie oświetlonego domu. Wyglądał  
upiornie, jak nawiedzane przez, duchy miejsce z trzeszczącą podłogą,  
skrzypiącymi drzwiami i tajnym podziemnym przejściem. Niezbyt  
zachęcający widok, pomyślał Fo\ie. Lecz policjanci, tak jak  
hydraulicy, zobowiązani są pójść tani. dokąd ich zawiedzie praca. W  
zawodzie jednych i drugich nie można po prostu stwierdzić: nie  
podoba mi się to miejsce, więc się do niego nie zbliżę.

Foxie zaparkował i wysiadł z. samochodu, który był jedynym  
pojazdem w zasięgu wzroku. Dom tonął w ciszy. Nie dobiegały  
dźwięki telewizji ani fortepianu, a w oknie nie pojawił się żaden cień.

Przypomniął sobie pytanie panny Wilkie. Kto chciał tam za-  
mieszkać?

Tak. rzeczywiście, kto?

Foxie przeszedł na drugą stronę podjazdu. Nie zbliżył się od razu  
do frontowych drzwi. Postanowił najpierw obejść dom, by sprawdzić,  
czy z drugiej strony nie palą się światła i nie ma jakichś śladów życia.  
Nie było żadnych. Całkiem możliwe, pomyślał, że w tym domu nikt  
nie mieszka, a w tej sytuacji będzie zmuszony wrócić do Ballantrae i  
poprozić w miejscowym pubie, czy ktoś nie zna nazwiska właściciela

albo nie wie, gdzie go można znaleźć.

Słońce schowało się za drzewa, a przez gałęzie przenikały ostatnie promienie światła. Szybko zapadał zmrok bez słodkiego, łagodnego ociągania się ani słowicznych treli. Foxie przedzierał się pomiędzy krzewami.

Nie zauważył ani nie usłyszał szelestu rozchylanych po prawej stronie krzaków. Nie dosłyszał też cichego wrogiego odgłosu wciskanej pomiędzy odporne gałęzie lufy dubeltówki. W końcu, wiedziony instynktem, odwrócił się. Jego serce było jak piłka spadająca z dachu kamienicy — niewolnica grawitacji.

— Zabłądziłem — zwrócił się do stojącej w mroku postaci, na wpół ukrytej w listowiu.

Nagle z zarośli wyłoniła się masywna lufa strzelby i dźgając pierś Foxwortha. zdawała się przytakiwać z wigorem: tak, przyjacielu, nie ma wątpliwości, że zabłądziłeś.

## Rozdział XV

### Cabo Gracias a Dios, Honduras

Steffie Brough przebudził dotyk pająka na powiece w chwili, gdy jej się śniła własna śmierć. Zerwała się na równe nogi i strzepnęła go z twarzy. Czując zagrożenie, zwinął się w kłębek i przybrał postać olbrzymiej czarnej futrzanej kuli. która przeleciała prze/ namiot, uderzyła o przeciwległą ścianę i upadła na ziemię / odwróconymi do góry długimi odnóżami. Minęła chwila, zanim Steffie zebrała myśli i przypomniała sobie, gdzie jest. a powrót świadomości me był miły. Znajdowała się w rękach mężczyzny, który chciał ją zabić.

Usłyszała, jak krople deszczu uderzają o namiot nad głową Płótno w środku dachu, gdzie w ciągu nocy zebrała się woda. wybrzuszyło się. Steffie podniosła się i spojrzała na Ruhra, który leżał na łóżku. Rozsunęła poły namiotu i wyjrzała na zew<sup>n</sup>ątrz, na posępny parny poranek. Deszcz osnuł drzewa mgłą. Bujność lasu wydała się jej przytłaczająca. Wokół słycać było brzęczenie niewidocznych owadów. Jak w ogóle ubiegłej nocy mogła brać pod uwagę możliwość uciec/ki? Jak powiedział Ruhr, nie było stąd wyjścia. Gdyby wymknęła się teraz, po prostu odnalazłby ją i przyprowadził z powrotem. Poczowała się osaczona.

Ruhr wciąż spał, ale miała dziwne wrażenie, że mógł przebudzić się w każdej chw'ili. gdyż zwykł sypiać bardzo płytko. Postawiłby go na nogi nawet najmniejszy hałas.

Ubiegłej nocy po chybionym zamiarze ucieczki, kiedy zdawało się, że nieuchronnie posiadzie Steffie. nagle przestał się nią interesować. Odepchnął dziewczynkę, rzucił jej koc i kazał spać na ziemi. Jak gdyby była grą, której nie chciał zakończyć, ponieważ znajdował większą przyjemność w przeciąganiu zabawy. Stojąc na środku namiotu, zacisnęła dłonie w pięści. Zdała sobie sprawę, że musi wyglądać jak zwierzę ze swoimi lepкими, brudnymi włosami. Cuchnę, pomyślała. Straszliwie cuchnę.

Ruhr obudzi! się. Steffie nie знаła nikogo, kto by wstawał tak jak on. Był od razu zupełnie rozbudzony, bez chwili zawieszenia pomiędzy jawą a snem. Odrzucił na bok koc i podniósł się. Miał na sobie slipy i podkoszulek. Ubrał się bez słowa, jak gdyby jej w ogóle nie dostrzegał. Umył zęby. Używał wody ze starego wiadra i wypluwał ją wprost na ziemię. Zaczesał przerzedzone włosy i przyjrzał się swojej twarzy w małym zniszczonym lusterku.

Czynności te świadczyły o dużym zainteresowaniu sobą.

Wyjął nóż spod poduszki. Przejechał końcem palca wzdłuż ostrza, a potem schował go do pochwy, którą przywiązał do ciała. Dopiero wtedy spojrzął na Steffie Brough, jak gdyby broń przypomniawszy mu o obecności dziewczyny.

— Głodna? — zapytał.

Nic nie odpowiedziała, chociaż umierała z głodu. Ruhr wyjął plastikową torbę, a z niej trochę suszonych owoców — o Boże, to było jedyne pożywienie Steffie od czasu opuszczenia Anglii. Podał jej dwa brązowe krążki, które mogły być wysuszonymi gruszkami albo brzoskwiniami — trudno było jednoznacznie określić na podstawie smaku. Choć były obrzydliwe, zjadła je. Przez moment poczuła dla niego coś w rodzaju wdzięczności.

Ale zaraz, gdy przypomniawszy sobie, jak ją dotykał, w jak poniżający sposób wtargnął w jej intymne życie — jego ohydne wargi na swoich ustach i ręce na całym ciele — uczucie wdzięczności



natychmiast zniknęło.

— Jeszcze? — zwrócił się do niej.

Odmówiła. Była nadal głodna, ale nie chciała, żeby o tym wiedział. I tak już nad nią panował. Po co mu miała dawać nad sobą jeszcze większą władzę? Z płóciennej torby wyjął metalową manierkę z ciepłą wodą. Dziewczyna napiła się. Woda była ohydna, zapiaszczona i miała smak żelaza.

— Przywykłaś do innych warunków niż te tutaj — powiedział.

— Tak.

— Nie masz przytulnej sypialni ani miłej łazienki. — Ruhr uśmiechnął się. Otarł twarz zniekształconą dłonią. Steffie ledwie dostrzegła jego ułomność. Nie wzbudzała już w niej takiej odrazy jak na początku. Można przyzwyczaić się do wszystkiego, pomyślała.

— Chciałabyś wrócić do domu — rzekł Ruhr.

Dlaczego to powiedział? — zastanawiała się. W jego głosie zabrzmiała przebiegłość. Chciał ją rozdrażnić, ale nie potrafił. Nie miał wycucia w sprawach, które dotyczyły wzajemnych relacji pomiędzy ludźmi, zauważyła. Kontrolował nawet swój sposób chodzenia jak człowiek, który, świadomy swej szpetoty, czuje na sobie krytyczny wzrok innych. Otaczała go atmosfera samotności, ta sama aura, którą widywała wokół smutnych postaci przesiadujących nieruchomo godzinami w przeciągach miejskiej czytelnicy. Osoby te czasami wertowały czasopisma, częściej jednak patrzyły przed siebie pustym wzrokiem. Steffie, wychowywana przez przyzwoitych ludzi, którzy

skłonni byli dostrzegać tylko najlepsze cechy natury ludzkiej i we wszystkim widzieli same pozytywne strony, poczuła dla Ruhra niemal współczucie.

Niemal.

On morduje, pomyślała. Zabija niewinne osoby. Przypomniała sobie Trevaskisa i jego niefortunną życzliwość.

— Być może policjanci cię uratują — powiedział, drażniąc się z nią dalej na swój niezdarny sposób.

Rozsunął poły namiotu. W powietrzu unosił się cierpki zapach wilgotnego płótna.

— Może nawet teraz, kiedy rozmawiamy, zbliża się do nas jakiś dobry angielski policjant. Ktoś poczciwy i przebiegły. Może Sherlock Holmes, co?

— Być może — odparła.

— Nadzieja to takie cudowne, typowo ludzkie uczucie, dziewczyno. Czy jest ktoś taki, kogo przynajmniej raz w życiu nie zawiodło?

Usiadła na ziemi i zwiesiła głowę. Wiedziała, że nie może poddać się rozpacz. Ale skąd miała wziąć na to siłę? Nikt jej nie szukał, nikt się nie zbliżał. Głupio było nawet tak sądzić.

Niemiec ukląkł obok niej i uniósł w górę jej brodę.

— Nie bądź taka przygnębiona. Nie trać nadziei, dziecino. I tak nie pozostało ci nic innego.

Nienawidziła go teraz jeszcze bardziej niż przedtem. Już sam jego dotyk był ohydny, ale tym, co zabijało, były słowa — nie trać nadziei.

Nie bądź przygnębiona. Czy mam śpiewać i tańczyć dla ciebie, Ruhr?  
Zamknęła oczy i pomyślała opanowując płacz: do diabła z tobą, nie zobaczysz moich łez, ty skończony draniu.

Wyprostował się. Nie podniosła wzroku.

—Mam teraz pewne sprawy do załatwienia. Zostaniesz tutaj, to oczywiste. Tylko bez żadnych bezsensownych ucieczek. Zresztą dokąd mogłabyś pójść? Niebawem wrócę.

Usłyszała, jak odepchnął rozsuniętą połę i odszedł, a w namiocie zapanowała cisza, którą zakłócało tylko miarowe stukanie deszczu.

Dziewczyna mógł:) zaczekać. Odwlekanie chwili spełnienia potęgowało przyjemność. Ruhr sehod/ii ze /boczą po wilgotnej wyrosniętej trawie i po błocie. O swieie odleciał samolot transportowy. Ruhr pr/e/ moment pomyślał o Sweeneyu. Nie był sentymentalny, jeśli chodzi o przyjaciół. Po prostu w ogóle ich nie miał. Wszystkie relacje międzyludzkie określało przeznaczenie — takie jak śmierć czy strata zysku. Po co miałyby się w jakikolwiek sposób angażować?

Nigdy w życiu nikogo nie kochał. Kilka razy poczuł ową drżącą słabość, ale odsunął ją od siebie jako chemiczne zaburzenie, błąd we własnym organizmie, coś, co należało wyrwać z korzeniami. Łatwiej było niszczyć, niż kochać. Zagłada była szybka i budziła gorączkowe podniecenie. Jej zaprzeczeniem była miłość, którą Ruhr rozumiał jako długotrwałe męki, ogrom niepewności i morderczą grę emocji.

Zatrzymał się przy krawędzi pasa startowego i rozkoszował się spływającym po twarzy deszczem. Przeszedł na drugą stronę betonowej nawierzchni, omijając umieszczony na ciężarówce pocisk. Broń wciąż była przykryta zielonym brezentem, który ociekał wodą. Z oddali dobiegały stłumione przez zieleń dźwięki żołnierskiej musztry, której celem było tępienie krytycznych skłonności i podgrzewanie entuzjazmu. Żołnierze podburzeni przeciwko Castrowi mieli ochoczo rozwinąć żagle z pełnym zrozumieniem idei oraz wyostrzoną tygodniami przygotowań determinacją. Myśl o dyscyplinie, jej jednoznacznie brzmiących regułach i przepisach,

sprawiła Ruhrowi przyjemność.

Wspiął się do namiotu Fuentesesa. Tomas siedział naprzeciwko Anglika przy karcianym stoliku, a pomiędzy nimi leżała rozłożona mapa. Ruhr wsadził do namiotu głowę i wszedł do środka. Powietrze było tu ciężkie od dymu. Nakrętki od starych słoików po kawie spełniały funkcję popielniczek. Fuentes palił papierosa za papierosem.

Na widok Ruhra podniósł wzrok. Bosanquet zdjął okulary, które mu służyły do czytania.

— Patrzcie, jasnie pan zniżył się, żeby wejść w moje skromne progi. Czujemy się zaszczyceni. Bijcie w bębny. Rozwińcie czerwone dywany. Nadchodzi sam król! — szydził Fuentes.

Bosanquet, który uznał sarkazm Fuentesesa za nietaktowny, przyjrzał się Niemcowi. Zdążył się już przekonać, że Ruhr był naprawdę odrażającym typem. Trzeba było mieć wyjątkowo nieczne upodobania, żeby trzymać uczennicę w swoim namiocie. Nie ulegało wątpliwości, że w grę wchodził klasyczny przypadek zniewalania dzieci. W innych okolicznościach Bosanquet z przyjemnością poderzwałby Niemcowi gardło. W tej sytuacji jednak umrzeć musiało dziecko, gdyż takie polecenie nadeszło od Harry'ego Hurta. A dla Anglika wszystko, co pochodziło od Harry'ego, miało bezwzględne pierwszeństwo. Harry podpisywał czeki, a lojalność Bosanqueta była towarem, za który płacił.

— Nie przyszedł pan ubiegłej nocy — stwierdził Bosanquet. — Czekaliśmy na pana. Miał pan wykonać robotę. I o niewybaczalne — dodał.

—Zasnąłem — stwierdził sucho Ruhr. Sprawiał mu przyjemność widok Anglika, który z trudem powstrzymywał złość. — Miałem pracowity dzień, jeśli pan sobie przypomina.

— Co z dziewczyną?

— A co ma być?

— Czy żyje?

— Na razie żyje.

— Na razie — powtórzył Bosanquet.

Myśl o zabiciu dziewczyny naprawdę przerastała jego odporność psychiczną. Zerwał się na równe nogi Jej śmierć to nie jego interes. Podobnie jak wczorajsze zabójstwo jednego z pachołków Ruhra To wyłącznie sprawa Niemca. Zmienił temat.

— Czy jest pan gotów wykonać robotę, którą powinien pan skończyć wczoraj?

— Pada — stwierdził Ruhr, jak gdyby ta okoliczność uniemożliwiała mu pracę.

—• A czy to jakaś różnica?— zapytał Bosanquet. ocierając spoconą twarz kolorową chustką. Przypomniawszy sobie słowa Harrv'ego Hurta. że wszystkie potrzeby Niemca mają być zaspokajane, gdyż jest on bardzo ważnym elementem całej operacji. Być może i poleceniem tym wiązało się również utwierdzenie Niemca w przekonaniu o własnej niszczycielskiej wyższości.

— Może i nie — odparł Ruhr.

■— Narzędzia. — Fuentes wy ciągnął spod stolika do kart płócienną torbę. Zaklekotała, gdy podawał ją Ruhrowi. — Jest w niej

wszystko, czego pan sobie życzył.

Ruhr otworzył zamek, zajrzał do środka i wyraźnie wyglądał na zadowolonego.

W trójkę poszli na pas startowy. Ruhr spojrział na przykryty pocisk oraz na duży brezentowy prostopadłościan, w którym znajdował się układ sterujący. Niemiec nie miał zamiaru pracować w czyjejs obecności.

Klucz do ocalenia był ten sam co zwykle: Ruhr musiał być niezastąpiony. Wiedział, że znowu znajdzie się w takim punkcie, w którym jego przyszłość zawisnie na włosku. Zawsze tak było. Wielu poprzednich zleceniodawców próbowało zagrać z nim nie fair i oszukać

po wykonaniu zadania. Ale żadnemu to się nie udało. Zawsze był przygotowany. Zawsze miał coś w zanadrzu. Oczywiście, były („ż dokumenty, które powierzył prawnikowi, Herr Schillerowi z Hamburga, lecz Ruhr zwykł zabezpieczać się jeszcze bardziej. W tym wypadku Fuentes, Bosanquet i Rafael Rosabal nie mogli się bez niego obejść, a ich plany nie mogły dojść do skutku bez jego specjalistycznej wiedzy. To ona była owym kluczem, którego nie miał nikt oprócz Ruhra.

Fuentes wskazał na drewnianą skrzynię, którą chroniła przed wilgocią plastikowa folia.

—Dostarczyli to nam Izraelici — rzekł.

Ruhr spojrział na pudło, a potem odwrócił się. Najpierw chciał się przyjrzeć pociskowi. Odwinął kilka centymetrów zielonego brezentu i odsłonił szarą matową bryłę. Bez stożka ochronnego broń nie miała swoich właściwości. Uzbrojona, osiągała zasięg około dwóch tysięcy dwustu kilometrów i mogła przemieszczać się z prędkością prawie dziewięciuset kilometrów na godzinę.

Ruhr zbliżył się do drewnianej skrzyni i poprosił Fuentesę o żelazne kleszcze. Tomas znalazł je w zaparkowanym w pobliżu dziupie i Niemiec delikatnie otworzył skrzynię.

Wnętrze wyłożone było warstwą materiałów zabezpieczających, które Ruhr usunął.

Była tam.

Stożek z matowego srebra z głowicą nuklearną. Z osłoną pocisku



miał ją zespolić szereg metalowych sworzni umieszczonych w odpowiednich otworach. Ruhr przyglądał się przez chwilę główicy. Wszystkie narzędzia zniszczenia, od noża po broń jądrową, fascynowały go. Światowe muzea wojny hipnotyzowały go wystawami starych kopii, buław, mieczy, muszkietów, granatów z pierwszej wojny światowej, lekkich karabinów maszynowych oraz wymyślnej broni automatycznej. Wierzył, że człowiek może osiągnąć szczyt zdolności twórczych jedynie wtedy, kiedy jego celem będzie projektowanie i wytwarzanie narzędzi agresji. Cała reszta, wszystkie inne efekty pracy twórczej — symfonie, poezja, teorie filozoficzne, komputery i odkrycia naukowe — to śmiecie w porównaniu z mechanizmami mającymi okaleczać i zabijać.

Po stożku zaczęły spływać krople deszczu. Ruhr umieścił z powrotem wieko na skrzyni. Czuł przyspieszone bicie serca.

— Co teraz? — zapytał Fuentes.

— Zaczekam — odparł Ruhr.

— Na co, na miłość boską? — wtrącił się Bosanquet.

— Na statek. — Ruhr odwrócił się od drewnianej skrzyni. — Na pokładzie statku dokonam ostatecznych zaślubin.

— Zaślubin?

Ruhr uśmiechnął się.

— Czyżbym użył niewłaściwego sformułowania?

Bosanquet nienawidził tego pewnego siebie dziwaka. Cholernie trudno było zachować spokój.

— Plan przewidywał, że teraz połączy pan pocisk z główicą, Ruhr.

Na statek miała zostać załadowana broń uzbrojona.

Ruhr pokręcił przecząco głową.

— Jeśli wam się to nie podoba, to uzbróćcie ją sobie sami. —

Wiedział, że żaden z mężczyzn nie sprosta temu zadaniu. Nawet specjaliści, gdyby Fuentes z Bosanquetem zdecydowali się ich sprowadzić, mieliby problemy z ustaleniem połączeń pomiędzy pociskiem a głowicą. Ruhr z przezornością człowieka, który pragnie pozostać przy życiu, kazał zbudować głowicę według własnej dokumentacji. Należało wprowadzić niezbędne zmiany w układzie przewodów wewnątrz pocisku, by odpowiadał głowicy, która była genialną modyfikacją urządzenia znanego w handlu bronią nuklearną jako W K4. Niewłaściwe połączenie, każdy drobny błąd spowodowałby spalenie się zapalnika i zarówno pocisk, jak i głowica stałyby się bezużyteczne. Bosanquet zrozumiał. Niemiec jeszcze raz udowodnił, że jest niezastąpiony.

Ruhr zdobył swoje rozległe umiejętności w dziedzinie techniki atomowej od pewnego niemieckiego homoseksualisty, technika zatrudnionego przez NATO w bazie Wueschein w Niemczech. Dzięki niemu przyswoił sobie zasady funkcjonowania pocisku. Wchłonął tę wiedzę z gorliwością człowieka rozmiłowanego w temacie. Szanowany technik był cudownym nauczycielem, a Ruhr jeszcze wspólnie uczył się. Natychmiast zapamiętał wszelkie tajemnice dotyczące wielkości ładunku, zasięgu, prędkości i sposobu połączeń głowicy z pociskiem bez potrzeby ponownych wyjaśnień.

Fuentes zdarł z głowy czapkę i cisnął ją na ziemię.

— Tronco de yucca — powiedział do Ruhra. — Oto czym jesteś, Ruhr. Cholernym tronco de yucca. Dlaczego nie wykonasz teraz tej przeklętej roboty? — zapytał.

— Nie znam hiszpańskiego — odparł Ruhr. Cieszył go prymitywny wybuch złości Fuentesesa. — Czy to komplement?

— Nie sądzę — powiedział Bosanquet. Oddychał głęboko, zachowując spokój. W końcu co to za różnica, czy Ruhr uzbroi pocisk tutaj, czy na statku? Urządzenie miało być gotowe do odpalenia, gdy znajdzie się na Kubie, tylko to było ważne. Ruhr mógł dokonać swoich zaślubin na pokładzie, jeśli mu na tym zależało.

—Zgoda — rzekł Bosanquet. — Wszystko będzie grało.

—Wiem, że będzie — odpowiedział Ruhr.

Przeszedł na drugą stronę pasa startowego. Wszedł na wzgórze porośnięte wysoką trawą i skierował się w stronę swojego namiotu. Gdzieś w oddali rozległy się odgłosy wystrzałów. Ćwiczenia w trafianiu do celu. Wszedł do środka. Dziewczyna leżała na składanym łóżku i miała zamknięte oczy.

Przyglądał się jej. Teraz był gotów.

Zbliżył się do niej bezszelestnie, z lekkością, której go nauczyło życie w ukryciu. Był pół metra od łóżka, gdy dziewczyna otworzyła oczy i wyciągnęła ręce spod koca. Trzymała w nich kawałek stłuczonego lustra, podłużny odłamek, którym się zamierzyła na niego jak sztyletem. Odskoczył w bok i dostrzegł na prowizorycznym ostrzu pomniejszone odbicie wnętrza namiotu, usta dziewczyny, jej zdeterminowane spojrzenie oraz fragment własnej twarzy.

Uniosła ponownie swoją broń, tnąc powietrze, ale tym razem złapał dziewczynę za przegub i uderzając nim o kolano, zmusił do rozwarcia dłoni. Odłamek lustra wypadł na ziemię. Ruhr nie uderzył Steffie nawet wtedy. Próbowwała się wyswobodzić. Szarpała się, wykręcała, kopała i wymachiwała w powietrzu stopą, która nie mogła wyrządzić mu krzywdy — długą, wąską stopą tancerki. Bez trudu złapał nogę za kostkę, wykręcił ją i popchnął dziewczynę z powrotem na łóżko.

Leżała dysząc ciężko.

Staął nad nią.

I uśmiechnął się.

Londyn

Lekarz o nazwisku Ghose, który miał zwyczaj jak ptak przekrzywiać głowę na jedną stronę, zbadał klatkę piersiową Pagana. W czasie oględzin płynął nieprzerwany potok jego wywodów.

—Konstrukcja i funkcjonowanie ludzkiego ciała to prawdziwy cud, panie Pagan. Weźmy na przykład płuca, ten mocny, a zarazem delikatny organ z całym systemem dróg zwanych oskrzelami. Łatwo ulega zniszczeniu, panie Pagan, ale ma zdolność regeneracji w odpowiednich warunkach. Zaliczam do nich leżenie w łóżku, a nie zbyteczną aktywność. Niech pan na jakiś czas pomyśli o siedzącym zajęciu.

Pagan lubił Ghose'a i jego zabawny sposób udzielania reprimendy.

— W przyszłości, jeśli już będzie musiał się pan ruszać, to powoli — powiedział Ghose. Delikatnie oczyścił ranę i na miejsce zerwanych szwów założył nowe.

Pagan go me słuchał, zastanawiając się nad okolicznościami śmierci Klugera w Paryżu. W samolocie, wracając do Londynu powoli przetłumaczył raport, opuszczając słowa, których nie rozumiał. Najistotniejsze wydało mu się to, że świadkami zdarzenia byli Caporelli oraz dwóch jego znajomych, obywateli Stanów Zjednoczonych o nazwiskach Harold Hurt i Sheridan Perry. Czy czterej dobrzy znajomi spacerowali wieczorem i w chwili, kiedy przechodzili przez jezdnię, jeden z nich wpadł pod ciężarówkę? Może dokądś szli, na jakieś spotkanie, do kawiarni. Rozważania zawiodły Pagana w ślepy zaułek. Mógł sprawdzić fakty, przesłuchując Hurta i Perry'ego, ale to by pochłonęło mnóstwo czasu, chyba że ich dane znajdowały się w ambasadzie amerykańskiej w Londynie albo w centralnym komputerze organów ścigania, jeśli kiedyś złamali prawo. Znow czas się okazał nietolerancyjnym i wymagającym panem.

Ghose założył bandaż.

—Gotowe. Jest pan prawie jak nowy. Podkreślam słowo prawie. Teraz proszę iść do domu. I dobrze się sprawować. Żadnych zabaw na ulicach. Samochody są od pana szybsze, panie Pagan.

Frank zapewnił Ghose'a, że zamierza pójść prosto do łóżka, ale gdy opuścił szpital, wsiadł do taksówki i przedzierając się przez korek na West Endzie, pojechał na Golden Square. Dotarł do biura dopiero po siódmej. Wziął butelkę auchentoshanu ze swojego biurka i nalał sobie małego drinka. Przerzucił notatki z nowymi wiadomościami. Jedna pochodziła od Foxwortha, który przebywał jeszcze w Glasgow

i zamierzał coś sprawdzić w związku z jakąś spółką wynajmu samochodów. Pagan z trudnością odczytał pismo Billy'ego Ewinga. Telefonowała też matka Steffie Brough, by sprawdzić tylko, czy nie wiedzą czegoś o jej córce. Ta zwięzła wiadomość, pomiędzy słowami której mieścił się cały ogrom bólu, ścisnęła Pagana za serce. Spojrzał na zdjęcie dziecka, przyczepione pinezką do ściany. Oczy dziewczynki ani go nie oskarżały, ani z niego nie szydziły. Nagle wydały mu się obojętne. Jak gdyby pogodzone z tułaczką na obczyźnie.

By sprawdzić tylko. Paganowi zdawało się, że w tych słowach wyczytał śmierć. Czuł się, jak gdyby wszedł do kaplicy żałobnej i zastał matkę Steffie, która patrzyła na swoją córkę w trumnie i szeptała do siebie z ręką na policzku dziecka te dwa straszne słowa: sprawdzam tylko, sprawdzam tylko.

Zwrócę ci ją, pomyślał Pagan. Znajdę jakiś sposób.

Zatelefonował do Billy'ego Ewinga, prosząc, by zebrał dane o Haroldzie Hurcie i Sheridanie Perrym. Ewing poinformował Pagana, że zgodnie z protokołem przesłuchanie ministra finansów Ku  
y

wymagało dopełnienia szeregu formalności. Należało sformułować uzasadnione powody. Dokumenty musiały zostać przedłożone kubańskiemu attache w Londynie, a kopie Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Dopiero wtedy rząd w Hawanie we właściwym trybie zajęłby się rozpatrzeniem prośby. Krótko mówiąc, jak stwierdził Ewing, mogło to potrwać sześć miesięcy albo i rok, ale nawet i po upływie tego czasu widoki nie były obiecujące.

Pagan pomyślał o wielkim biurokratycznym bagnie, w którym ludzkie zamierzenia, zredukowane do papierowych zapisków, zostają wchłonięte i na zawsze zaprzepaszczone. Odłożył słuchawkę. Zatelefonował do komisarza. Poprosił go o niezwłoczne spotkanie. Burr się zgodził. Wybrali pub na Soho, gdyż Burr był umówiony o ósmej w restauracji przy Greek Street. Kolejną rozmowę telefoniczną Pagan przeprowadził ze spółką linii lotniczych.

Wychodząc z biura natknął się na Billy'ego Ewinga, który zanurzył twarz w dużej białej chustce.

— Czy są jakieś nowe wiadomości od Foxiego? — zapytał Pagan.

— Jeszcze nie ma. — Ewing zaczerpnął powietrza sponad zwojów obszernej chustki. — Cholerne pyłki.

— Gdyby się odezwał, będę w pubie Francuskim.

— A co potem?

— Zobaczymy.

— Oto człowiek składający się z samych tajemnic — powiedział Ewing bardziej do siebie niż do swojego szefa, który ruszył w stronę



drzwi z animuszem, którego by Ghose nie pochwał.

Pub nazywał się Francuski z powodu swojego poprzedniego wcielenia w czasie drugiej wojny światowej, gdy był siedzibą rządu francuskiego na wygnaniu. Teraz tłoczyły się w nim różne typy z West Endu, turyści, ludzie, którzy wybierali się do teatru i pospiesznie kończyli swoje drinki, oraz osobnicy o podejrzanym wyglądzie. Tych ostatnich Pagan rozpoznawał, gdyż co jakiś czas przebywali w więzieniach Jej Wysokości. Z wielką ostrożnością, by uniknąć przypadkowego i bolesnego kontaktu z inną osobą, przecisnął się do baru i zamówił whisky.

Nagle przypomniał sobie, że trzynaście lat temu był w tym samym barze z Magdaleną Torrente. Pili wtedy anyżówkę z dużego szklanego dzbana, który stał na kontuarze, a potem trzymając się za ręce, zapuścili się w Soho i spacerowali po Old Compton Street oraz po rynku przy Berwick Street pomiędzy kramami z żywnością. Zjedli kolację w małej restauracji przy Beak Street. Pagan upił się tamtej nocy. Był nietrzeźwy, namiętny i prawdopodobnie głupkowaty w swojej pasji. Z rozproszonych i zapomnianych zakamarków pamięci przyplłynęło wspomnienie tego wzruszającego wieczora.

Martin Burr przybył pięć minut potem, gdy Pagan został obsłużony. W przeciwieństwie do Pagana komisarz przedzierał się przez tłum, poszturchując gości laską. Był okazałym mężczyzną. Opaska na oku i masywna budowa wyróżniały go w tłumie. Nie miał ochoty na drinka. Z powodu tłoku wyszli, by porozmawiać na zewnątrz. Od strony Shaftesbury Avenue powiał rzeński wiatr i Pagan

postawił kołnierz palta.

— Jak rana? — zapytał Burr.

— Pewnie przeżyję — odpowiedział Pagan. Wysączył whisky i odstawił szklankę na framugę okna.

— Nie nadwerężaj zdrowia.

— Nie wiem, jak to zrobić, komisarzy.

Martin Burr uśmiechnął się nieznacznie. Frank należał do tych, którzy zawsze trwają na posterunku nie zważając na nic. Taką postawę można albo podziwiać, albo krytykować. Burr nigdy nie wiedział, jakie ma w tej sprawie zająć stanowisko.

Wsadził ręce do kieszeni swojego tweedowego płaszcza.

— Zaczynam to czarno widzieć, Frank. Tyle już minęło czasu. A te cholerne komisje śledcze dopiero na jutro wyznaczyły pierwsze spotkanie. Zamierzam porozmawiać z nimi na temat przecieku, który doprowadził do tragedii na Shepherd's Bush. Ale co im właściwie mogę powiedzieć? Nie wiem o niczym nowym w tej sprawie. — Burr, jak jednooki farmer, który przewiduje zmianę pogody, spojrział na ciemne niebo nad Soho. — Otrzymałem kilka dodatkowych informacji, Frank, które mogą, choć wcale nie muszą, mieć coś wspólnego z tym cholernym pociskiem. Według wywiadu, którego raport trafił na moje biurko, Izraelczycy zgłosili zaginięcie swoich dwóch najwyżej opłacanych fizyków jądrowych, a także zniknięcie materiałów w ilości, która by wystarczyła do zbudowania głowicy nuklearnej, kompatybilnej z pociskiem jądrowym. Mówi się, że dwaj mężczyźni przebywają gdzieś w Ameryce Południowej. Izraelczycy

oskarżają o kradzież Arabów. Obaj naukowcy są uważani za, cytuję, “bardzo podatnych na stresy”. Ale co to może oznaczać? Informacja jest niejasna.

— Jeżeli to ma związek z Ruhrem, to pocisk mógł już zostać uzbrojony.

— Mógł.

— Obraz staje się jeszcze bardziej ponury.

— To prawda. Zastanawiam się, kto i w jakim celu zamierza wykorzystać broń. — Burr wsunął palce pod opaskę na oku i podrapał się. — Gdyby nie to, że czułbym się jak parszywy szczur, który ucieka chyłkiem z tonącego okrętu, w okamgnieniu złożyłbym rezygnację. Nie ma co do tego dwóch zdań. Ale jestem podobny do ciebie, Frank. Będę w to brnąć dalej. Muszę dodać, że bardzo mnie wspiera Kinnaird. I bardzo to sobie cenię.

Z wiatrem doleciał ryk autobusów z Shaftesbury Avenue i okolic teatru. Było to jedno z tych ruchliwych i jasno oświetlonych miejsc w Londynie, gdzie ulice falują — tłumy przechodniów snują się po Haymarkecie, wałęsają wokół Piccadilly Circus i zmierzają w kierunku Leicester Square.

— Kinnaird jest typem człowieka sumiennego — stwierdził Pagan.

— Telefonuje do mnie trzy albo cztery razy dziennie, Frank. — Burr wydawał się znużony troską ministra spraw wewnętrznych. — Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

Pagan uporządkował myśli. Przygotowywał się na kłótnię z komisarzem, a co najmniej na jego sprzeciw. Zaczął mówić cichym głosem i miał nadzieję, że Burr nie będzie mu przerywał. Lekkim tonem przeszedł do szczegółów swojej dawnej znajomości z Magdaleną. Opowiedział o powiązaniach Rosabala z Ruhrem i o wynajętej farmie, która była tego dowodem. Przedstawił komisarzowi swoje domysły, starając się nadać im odpowiednią wagę. Powiedział o nici, która prowadziła od Caporellego i Chapotina do Rosabala, a więc i do

Ruhra. En passant opisał okoliczności śmierci Caporellego oraz pozostałych osób. A na koniec podkreślił konieczność prowadzenia znacznie intensywniejszego dochodzenia w sytuacji, gdy istniało bodaj najmniejsze prawdopodobieństwo, że pocisk został uzbrojony.

— Za dużo w tym wątpliwości — rzekł Burr.

Pagan zgodził się z jego opinią i wymamrotał coś na temat natury wszystkich hipotez. Spojrzał w stronę zatłoczonej ulicy.

— Co proponujesz, Frank? — zapytał Burr. Czasami jego stosunek do Pagana przypominał postawę, jaką mógłby zajmować wuj wobec swojego ulubionego, choć samowolnego siostrzeńca. Był tolerancyjny, zatroskany, trochę krytyczny. Wiedział, że bez względu na okoliczności Pagan zawsze daje z siebie wszystko.

Pagan wyjaśnił swój zamiar.

Martin Burr podniósł rękę do ciemnozielonej opaski na oku.

— Czy jesteś naprawdę przekonany, że ta Magdalena w ogóle coś będzie chciała powiedzieć?

Pagan wcale nie był tego pewien. Przypomniawszy sobie, jak niechętnie mówiła o tajemniczym zamachu stanu, o którym informacje mogły go posunąć dalej w śledztwie.

— Jest moim jedynym tropem do Rosabala. Sądzę, że droga do Ruhra prowadzi przez Kubańczyka.

— Możesz odbyć tak długą podróż i niczego nie uzyskać.

— Mogę też siedzieć na tyłku w Londynie i mieć jeszcze niniejsze szanse, żeby czegokolwiek się dowiedzieć.

— To prawda — rzekł Burr.

Czasami na twarzy Franka pojawiał się wyraz, który komisarz teraz też zauważył, wyraz determinacji, podkreślony przez nieznacznie wysuniętą do przodu szczękę.

— Czy mogę ci zwrócić uwagę, że nie jesteś w wystarczająco dobrej formie, żeby podróżować, Frank? Dzisiejsze wyczyny w Paryżu też nie poprawiły twojego stanu.

— Czuję się już dobrze — rzekł Pagan. I w tej chwili był niemal bliski prawdy. Jak długo jednak miało trwać jego dobre samopoczucie, to była odrębna kwestia. Miał uczucie, że tylko szwy Ghose'a trzymają go w całości.

— Dobrze. Zajmij się przygotowaniem do wyjazdu — rzekł Burr.

— Już wszystko załatwiłem.

— Powinienem się tego domyślić — uśmiechnął się Burr. Milczał przez chwilę. Zaufanie, jakim go darzył Pagan, czasami było wzruszające.

— Mam w Stanach znajomego z dawnych czasów. Jest nim niejaki porucznik Philip Navarro. Możesz go potrzebować. Nie odmówi ci pomocy.

Pagan zapamiętał nazwisko.

— Mam nadzieję, że czegoś się dowiesz, Frank.

Komisarz uściśnął Paganowi dłoń, odwrócił się i ruszył w kierunku Old Campton Street. Pagan nie patrzył za nim. Nie miał czasu do stracenia. Musiał pojechać do domu, wrzucić kilka rzeczy do walizki, zabrać paszport oraz broń i za dwie godziny znaleźć się na lotnisku

Heathrow. Cieszył się z błogosławieństwa komisarza —jego oficjalnej aprobaty.

Chociaż pojechałby i tak, z nią czy bez niej.

Waszyngton

Harry Hurt wynajmował drogi apartament w tej części Waszyngtonu, z której roztaczał się wspaniały widok na Potomac. Zastrzeżony tylko dla bogatych, dawał mu poczucie wyższości. Wynosząc się ponad motłochem, Hurt upajał się swoimi patriotycznymi przekonaniem,

które były wielkim złudzeniem, że w Stanach Zjednoczonych każdy, ale to absolutnie każdy, może dojść do bogactwa i sławy. Umorusany syn farmera z Appalachów, syn hutnika z Bethlehcm czy żołnierza z Armii Pacyfiku może swoją ciężką pracą, jeśli taka będzie wola boska, wspiąć się na najwyższe urzędy w kraju. Harry Hurt mocno w to wierzył. Choć sam w żadnym wypadku nie mógł uchodzić za osobę prostoduszną w światowych interesach, to w pewnych sferach rozumowania pozostawał człowiekiem naiwnym. Wyidealizowany przez niego obraz Ameryki przyćmiewał rzeczywistość, która była bezwzględna.

W domu Hurt miał pokój do ćwiczeń gimnastycznych wyposażony w elektroniczny rower, urządzenia rozciągające, maszynę Nautilusa oraz różnorodne symulatory ciężarowe i wioślarskie. W tym pomieszczeniu spalał kalorie oraz dbał o utrzymanie smukłej i zgrabnej sylwetki.

Do małej sali gimnastycznej przylegała sypialnia, urządzona po spartańsku i z pewnym polinezyjskim posmakiem, a za nią był wielki salon, w którym Hurt czasami przyjmował gości. Pośrodku głównej ściany w salonie stała oszklona komoda z różnymi rodzajami broni — automatycznymi karabinami, strzelbami i pistoletami — oraz ze zdjęciami Hurta w ciemnych okularach i w wymiętym mundurze polowym. Fotografie pochodziły z czasów, gdy Harry był doradcą wojskowym w Ameryce Środkowej. Wzdłuż salonu, jak kiście bezbarwnych główek czosnku, zwisały pęki skurczonych ludzkich



głów zebranych w wioskach Ameryki Środkowej. Miały przypominać dni chwały.

Drzwi od salonu wychodziły do przedsiionka, który był umeblowany fotelami i kanapami z białej skóry. Teraz to pomieszczenie zajmowali trzej członkowie ochrony osobistej, których Hurt ostatnio zatrudnił. Mieli na sobie ciemnoniebieskie garnitury.

Wieczorem, w dobę po wybuchu limuzyny, Hurt rozlewał w salonie passport, tanią whisky, z butelki po glenfiddich. Był skąpy i jak większość skąpców sądził, że ludzie dadzą się zwieść szytymi grubymi nićmi oszukaństwow.

Freddie Kinnaird, który przyleciał godzinę temu, sącył drinka i udawał, że mu smakuje. Sheridan Perry, znawca słodowej whisky, też nie wnosił żadnych zastrzeżeń. Przywykł już do dziwactw Harry'ego i jego chorobliwego skąpstwa. Im Harry gromadził więcej pieniędzy, tym stawał się większym sknerą i więcej energii zużywał na bieganie, wioślarstwo i podnoszenie ciężarów. Jak gdyby stosował się do własnego aksjomatu: wielkie bogactwo prowadzi do grzechu chciwości, który może być odkupiony poprzez nieustanne ćwiczenia fizyczne.

Freddie Kinnaird zdał obecnym relację ze śmierci Enrica Caporellego i odstawił na moment szklankę. Harry zgrabnie wsunął pod nią srebrną podstawkę, którą zwędził w hotelu Stanhope na Manhattanie.

— Kiedy to się skończy? — zapytał Harry. Zdążył opowiedzieć już Freddiemu o ataku na limuzynę. Spoglądał przy tym przez cały czas na Perry'ego, jak gdyby spodziewał się znaleźć dowody winy

swojego rodaka.

— Przypuszczam, że dopiero wtedy, kiedy my trzej będziemy martwi — stwierdził Kinnaird.

— Chwileczkę — rzeki Hurt. — Pomyślmy logicznie. Rozważmy każdą sprawę oddzielnie, a potem wszystko złożmy w jedną całość. Musi to nas dokądś zaprowadzić.

Kinnaird podniósł szklankę i ją opróżnił. Miał tak niewiele czasu. W Anglii czekało na niego mnóstwo spraw' do załatwienia, i to nie tylko związanych z ministerstwem. Pomimo to przybył, by zmanifestować solidarność z Hurtem i Perrym. Byli przecież członkami tego samego ekskluzywnego klubu. Wyczuł napięcie pomiędzy dwoma mężczyznami. Czyżby się posprzecziali? W tych okolicznościach zdenerwowanie było nieuniknione.

Freddie Kinnaird zamierzał poinformować o czymś obecnych, czekał tylko, żeby Harry'emu minął atak paranoicznych podejrzeń.

— Sądziłem przez jakiś czas, że to Enrico — powiedział Hurt.

— Wiesz już, że się myliłeś — rzekł Kinnaird.

— A teraz, jeśli to nasza wewnętrzna sprawa... — Harry Hurt nie dokończył zdania.

— Pozostaje nas trzech — stwierdził Kinnaird.

— Tak, jeśli to wewnętrzna sprawa, musi za nią stać któryś z nas — powiedział Perry.

Freddie Kinnaird bawił się pustą szklanką. Opadający na czoło kosmyk włosów nadawał mu wygląd ryżawego, niezdarnego chłopca. Potrząsnął głową i odrzucił lok do tyłu.

— Zastanówmy się nad eksplozją limuzyny — zwrócił się do Perry'ego.

— Kto wiedział, że obaj będziecie nią jechać?

— Tylko Harry i ja — odpowiedział Perry.

— Chyba że ty też byłeś o tym poinformowany, Freddie — dodał Hurt.

Kinnaird roześmiał się.

— Znajdowałem się wiele kilometrów stąd, Harry. Nie mam kryształowej kuli, co już dawno odkryli moi wrogowie z Izby Gmin.

— Czy chcesz powiedzieć... — Perry umilkł, oburzony i równocześnie przygnębiony.

— Freddie sugeruje, że to któryś z nas dwóch — Hurt zwrócił się do Perry'ego.

— Zaczekajcie — rzekł Perry.

— Istnieje jeszcze inna możliwość, panowie — przerwał mu Kinnaird. — Weźcie ją pod uwagę. Może za morderstwami kryje się jakieś nieznane ugrupowanie, które zmierza do unicestwienia naszego Towarzystwa.

Hurt bardzo pragnął w to wierzyć. Ale czy przypisanie zabójstw bezimiennym organizacjom zamiast Sheridanowi Perry'emu było rzeczywiście lepszym rozwiązaniem? Z Perrym potrafił sobie poradzić. Nieznana grupa była czymś nieuchwytnym. Jak, u licha, miał walczyć z cieniami? Przypomniawszy sobie limuzynę w płomieniach i uderzającą pewność w chwili ucieczki z zakładu krawieckiego. Perry o tym wiedział — pomyślał wtedy.

Zaczynał rozumieć.

Założenie: Perry wiedział.

Wniosek: Perry zaaranżował zamach.

Zabójcy, których Perry wynajął, popełnili błąd. Może mieli wysadzić samochód później, w chwili gdy Perry by z niego wysiadł, pod pretekstem na przykład kupna gazet. Z oszałamiającą jasnością wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Wynajęci przez Perry'ego zabójcy z nadgorliwości wybrali niewłaściwy moment.

Wniosek był jeden: Perry chciał wszystko zagarnąć dla siebie. Towarzystwo, ł Kubę.

Hurt włączył światło w stojącym przy ścianie akwarium. Nagła fluorescencja zalała klan jedwabnych syjamskich ryb. Poruszały się nie bez pewnej dozy narcyzmu, studiując własne podobizny w niezliczonej liczbie luster. Hurt popatrzył na odbicie swojej twarzy w akwarium — nieregularne rysy, wydatne szczęki i przyprószone siwizną włosy. Własny wizerunek przypomniał mu o tym, że nie należy do osób, które pochopnie przyjmują nie sprawdzone wnioski, jak i o tym, że jego siła tkwi w opanowaniu. Może źle oceniał Perry'ego?

Odwrócił się i spojrzał na swojego kolegę. Sheridan Perry nieznacznie wyduł usta. Grymas ten mu pozostał z okresu dzieciństwa. Mały Sheridan Perry był oczkiem w głowie swoich rodziców. Rozpieszczany i otaczany bogactwem, wiódł życie, które było procesem nieustannego rozpakowywania łakoci i dopiero w wieku dziesięciu lat zorientował się, że w większości domów Boże Narodzenie jest tylko raz w roku.

— To nie ja. Nie mam z tym nic wspólnego. Nie patrz tak na mnie, Harry. Nie jestem zdrajcą — powiedział bardzo cicho Perry.

Był przekonujący. Zdawał się mówić prawdę. Nagle Harry'emu zaczęła się wydawać prawdopodobna hipoteza Kinnairda. Nie mógł znieść wyrazu bólu na twarzy Perry'ego. Nie, on nie mógł odpowiadać za likwidowanie Towarzystwa. Nawet gdyby nie wiadomo jak był chciwy.

Hurt pokręcił głową, zdziwiony własną chwiejnością. Prawdziwa mogła być tylko jedna teza. Albo Perry był winien, albo nie.

Niezdecydowanie Hurt zawsze poczytywał za grzech.

— Darujmy sobie na chwilę te wszystkie niezbyt miłe wzajemne podejrzenia — rzekł Kinnaird zdecydowanym tonem. — Mamy jeszcze jeden problem. Pewien angielski policjant jest właśnie w drodze do Stanów Zjednoczonych. Nazywa się Frank Pagan. To właśnie on przesłuchiwał Enrica w Paryżu i był obecny w chwili jego tragicznej śmierci.

— Czy sądzisz, że coś wie? — zaniepokoił się Hurt.

— Myślę, że niewiele. Jak na razie. Mogę przekazać wam tylko to, czego sam zdołałem się dowiedzieć w Scotland Yardzie.

— Jak trafił do Enrica? — zapytał Sheridan Perry. Zmarszczył brwi i wyglądał anemicznie, jak nie powinien wyglądać człowiek, który zwykle cieszy się apetytem i lubi jadać mięso.

— Domyślam się, że przez Rosabala — odparł Kinnaird. — Jeszcze nie widziałem raportu Pagana po jego spotkaniu z Enrikiem.

— W jaki sposób, do diabła, Pagan dotarł do Kubańczyka? — chciał wiedzieć Hurt.

Freddie Kinnaird wyciągnął przed siebie nogi i zaplótł dłonie z tyłu głowy. Chociaż przyjął swobodną pozę, nie potrafił ukryć zdenerwowania.

— Wywiad brytyjski śledzi od czasu do czasu członków rządu kubańskiego — dyplomatów, ministrów, etc., którzy odwiedzają Wielką Brytanię. Tym razem został wybrany Rosabal. Był obserwowany w Glasgow i widziano go z Enrikiem.

Hurt słyszał prawie, jak informacja ta otwiera skrzypiące drzwi do

długich i mrocznych korytarzy mózgu. Myśl o Rosabalu, za którym chodzono w Glasgow, głęboko go zaniepokoiła. Może Enrico też był śledzony z powodu powiązań z Kubańczykiem. A dokąd to prowadziło?

— Czy to możliwe, żeby wywiad brytyjski ponosił odpowiedzialność za śmierć naszych ludzi? — zapytał.

— Nie sądzę. Informacja tej wagi musiałaby do mnie dotrzeć. — Kinnaird uśmiechnął się.

— Chyba że wywiad jest na twoim tropie, Freddie.

— Nikt nie jest na moim tropie, Harry. Wierz mi. — Kinnaird

ro/eśmiał się. Niedor/ec/ny wydał nm się pomysł własnego zdemaskowania.

Ciszę w pokoju zakłócał tylko s/um wody, która przepływała pr/e/ftlir w akwarium, i słaby plusk, gdy c/asem ryba musnęła powierzchnię.

— Czy ten Pagan jest dobry? — zapytał Hurt.

— Słownie /e swojej determinacji. Znany jest też z tego. że gdy mu wygodnie, zapomina o przepisach — rzekł Kinnaird. Przypomniał sobie rozmowę, która przeprowadził w pośpiechu z Martinem Burrem przed wejściem na pokład concordia. — Teraz jest w drodze na Miami. Zna kogoś z tamtejszej wspólnoty kubańskich uchodźców. Jak już powiedziałem, moim /daniem Pagan niewiele wie. Nie sądzę też. żeby go w najmniejszym stopniu interesowała Kuba ani to. co się może na niej zdarzyć. Chodzi mu o Ruhra i o tę dziewczynę, którą Niemiec niepotrzebnie porwał. Chce się też dowiedzieć, gdzie jest pocisk.

Hurt podszedł do okna. Spojrzał w stronę sąsiednich wieżowców, których mieszkania wychodziły na Potomac. W oknach paliły się światła, a przepływający rzeką jacht oświecał ciemną wodę jasnożółtą wstęgą. Hurt poczuł się nagle osaczony. Nie tyle z powodu śmierci swoich kolegów, co pod wpływem myśli o Franku Paganie. Spojrzał na zegarek. Zakończenie było już tak blisko. Jak mógł dopuścić, żeby się w to wmiesza! jakiś brytyjski gliniarz? Jeśli celem wizyty Pagana w Miami była kubańska wspólnota, to oznaczało, że policjant zbyt się



zbliżył do sprawy. I zakłócił komfort psychiczny Harry'emu Hurtowi.

— Kogo zna w Miami?

— To najciekawsza część całej historii. Harry. Według moich informacji przyjacielem Pagana jest kobieta o nazwisku — Kinnaird zajrzał do małego oprawionego w marokańską skórę notesu, który wyłowił z wew. nętrznej kieszeni — Magdalena Torrente.

— Co jest w tym interesującego? — zapytał Hurt.

Kinnaird milczał przez sekundę.

— Magdalena Torrente jest bardzo bliską przyjaciółką Rosabala — powiedział po chwili.

— Bliską? — dociekał Hurt. zaniepokojony tym nowym powiązaniem. — Jak bliską? Co przez to rozumiesz? — dopytywał się.

Kinnaird przyjrzał się skurczonym głowom. Były potwornymi pamiątkami. Twarze o szeroko pootwieranych ustach świadczyły oniewypowiedzianym bólu, w jakim ci ludzie musieli umierać.

— Mój drogi Harry, mogę powiedzieć tylko tyle. ile sam dowiedziałem się z raportu. A policyjne raporty nie słyną z pornograficznych detali. Jest przyjaciółką. Bliską przyjaciółką. Może nawet kochanką.

— Co ona w ie? C/y Rosabal cos jej powied/iał?

Kinnaird wzruszył ramionami.

— Nie znam odpowiedzi na te pytania. Nie otr/y muję pełnych informacji. Pagan nie przekazuje ich bezpośrednio mnie. A ponieważ nie spieszy się zbytnio ze składaniem raportów komisarzowi, c/asami nie jestem au courant. Osobiście wątpię, żeby Rosabal /wierzył się tej

kobiecie ze spraw tak wielkiej wagi jak nas/e przedsięwzięcie.

Hurt przytaknął bez przekonania.

— Tak czy owak. mnie to się nie podoba. Fakt. /e Miska przyjaciółka Rosabala z Miami jest znajomą Pagana. trudno uważać za pomyślną wiadomość, Freddie.

— To bardzo proste. Zawsze postępuję w myśl starej zasady. że przezorny zawsze ubezpieczony — stwierdził Sheridan Perry.

— Czy dobrze cię zrozumiałem? — zapytał Hun.

Perry bez słowa skinął głową.

— Myślisz o wyeliminowaniu tej pary? — upewnił się Hurt.

— Tak. wyeliminowanie to właściwe słowo — r/ekl Perry.

Hurt zastanawiał się. czy sugestia Sheridana miała odsunąć od jego osoby jakiegokolwiek podejrzenia. Kinnaird zręcznie zmienił temat kilka minut temu, pozostawiając bez odpowiedzi pytanie, od którego zaczęła się rozmowa. Sir Freddie, dyplomata, omijając zawikłane ścieżki, skierował uwagę zebranych na inny problem, łatwiejszy do rozwiązania niż zidentyfikowanie zabójcy członków Towarzystwa.

— Kogo zatrudnisz do tej roboty? — zapytał Hurt.

Sheridan pokręcił głową.

— Harry, daj spokój. Nie mam tajnych kontaktów / kryminalnym podziemiem. Sądziłem, że to raczej ty znasz chłopców, którzy wiedzą, jak się obchodzić z bronią.

Hurt miał uczucie, że Perry chciał tą ostatnią uwagą rzucić na niego cień podejrzenia. Trudno było zaprzeczyć, że miał znajomych wśród byłych żołnierzy i najemników, ludzi, dla których zabijanie

było naturalną czynnością. W swoim czasie Harry obracał się w złym towarzystwie. Czy Perry chciał oskarżyć Hurta w związku z jego znajomościami? Czy próbował powiedzieć, że jeśli morderstwa były sprawą wewnętrzną Towarzystwa, to rozumując logicznie, podejrzanym był Hurt?

O Boże. pomyślał Hurt. Wielka, tocząca się lokomotywa wątpliwości i podejrzeń nabierała prędkości i pędząc nie zatrzymywała się na żadnej stacji. Stukocząc i przeraźliwie gwizdząc w swojej szalonej jeździe ku chaosowi i obłądowi, zostawiała daleko za sobą obiektywizm. Harry wykonał kilka głębokich wdechów, by odzyskać spokój.

— Mogę zlecić wykonanie tego zadania — powiedział. Po co zaprzeczać? Miał podejrzane znajomości.

— Szkoda, że nie ma innego sposobu — powiedział cicho Kinnaird.

— Tak. szkoda — zgodził się Perry.

— Ale nie pozwolisz chyba, żeby taki typek jak Pagan mógł iść, dokąd zechce? Co by było dalej? A jeśli ta kobieta ma jakieś informacje?... Nie. Freddie. Nie mamy innego wyjścia. Nie możemy pozwolić sobie teraz na ryzyko — dodał.

Hurt wyszedł do kuchni. Kinnaird z Perrym słyszeli, jak rozmawiał przyciszonym głosem przez telefon. Po kilku minutach wrócił do salonu.

— Załatwione — powiedział bezbarwnym głosem.

W pokoju zaległa cisza. W przedsionku za zamkniętymi drzwiami zakasłał jeden z członków ochrony. Hurt podszedł do okna. Widok zapierał dech w piersi. Na rzece panował teraz większy ruch: łodzie motorowe i jachty, a pośród nich jeden ozdobiony jak choinka bożonarodzeniowa. Światło w oknach sąsiednich budynków było nikłe z powodu zasłon i przyciemnionych szyb.

— Od chwili kiedy zostaliśmy wciągnięci w sprawy Kuby, mamy tylko same problemy. Pamiętam czasy, kiedy wszystko było takie łatwe. Cel żeglugi rozumiały. Żadnych chmur. Kompletna lista członków. Nie mieliśmy do czynienia ze śmiercią i zabijaniem. Nie byliśmy zamieszani we wszystko to... — Pomachał ręką. Brakowało

mu odpowiedniego słowa.

— A najważniejsze, że wszyscy nasi koledzy żyli i mieli się dobrze.

Zapatrzył się w przestrzeń nocy. Rozległa pośwdata elektrycznych lamp Waszyngtonu przyćmiewała blask gwiazd. Hurt miał właśnie zamiar odwrócić się w stronę pokoju, gdy wystrzelona z mieszkania w wieżowcu opodal kuła prawie bezgłośnie przedziurawiła okno.

I przeszła mu czaszkę.

Harry Hurt podniósł rękę do głowy, myśląc w ułamku sekundy, w czasie tak krótkim, jaki tylko może odmierzyć skomplikowany zegar atomowy, że ma migrenę. Taka była jego ostateczna, szybsza od światła, percepcja. Nie widział ani nie słyszał Freddiego Kinnairda oraz Sheridana Perry'ego, którzy rzucili się w stronę miejsca, gdzie upadł twarzą do ziemi.

Morze Karaibskie

Frachtowiec, stary statek pilnie wymagający odmalowania, płynął pod czerwono-biało-niebieską banderą Kuby. Nie pochodził z wyspy. Jakies czterdzieści lat temu został zbudowany w Newcastle, w Anglii, zarejestrowany w Panamie i nazywał się, w każdym razie na czas tej podróży, l.a Mandadera. Był w opłakanym stanie. W całości zdawała się go trzymać tylko rdza swoimi brązowymi obręczami wokół dzioba i rufy.

Luis Sandoval, wąsaty kapitan był Amerykaninem pochodzenia kubańskiego i mieszkał na Florydzie. Uciekł z Kuby razem z żoną i rodziną w 1964 roku, w czasie gdy na wyspie krążyła pogłoska

oprzenoszeniu dzieci z Kuby do Rosji. Mówiono, że Fidel zamier/a wysłać dzieci kubańskie do Związku Radzieckiego, by tam się kształciły i wychowywały na dobrych komunistów. Luis. tak jak tysiące innych, opuścił Kubę na dobre. Przez ponad dwadzieścia pięć lat kursował wokół Miami, handlując rybami i wypatrując niecierpliwie chwili powrotu do ojczyzny.

Należał teraz do awangardy ruchu wyzwolenczego.

Stał na mostku La Mandadery z lornetką wycelowaną w ciemny brzeg leżący w odległości ośmiu kilometrów. Na niebie oprócz półksiężyca wisiało nisko kilka chmur, a morze było spokojne. Sandoval powoli zlustrował linię brzegową. Nie był zdenerwowany.

Tam! Po prawej stronie wypatrzył znak, którego szukał — czerwonopomarańczową rakietę, która rozdarła ciemność, przywodząc na myśl otwartą ranę. Po chwili rozbłysł stały płomień — ognisko rozpalone na plaży. Kapitan wydał swojej załodze polecenia. W odległości półtora kilometra od miejsca zwanego Cabo Gracias a Dios miał zarzucić kotwicę i czekać na rozwój historycznych wydarzeń. Nie mógł się pozbyć próżnej myśli, że jest jednym ze współtwórców nadchodzącej przyszłości.

Ponad pięćdziesiąt tysięcy kilometrów nad La Mandaderą amerykański satelita szpiegowski, którego pracę aż do niedawna zakłócały tajemnicze defekty, zaczął wysyłać setki, tysiące zdjęć do stacji przekaźnikowej gdzieś w środku zielonej zachodniej Wirginii. Tam przetworzone i przeanalizowane miały zostać odszyfrowane jak małe zakodowane tajemnice z kosmosu. Te same fotografie przedstawiały

formację chmur sztormowych, które znacząc ciemności groźnymi czarnymi dziurami, przemieszczały się znad Zatoki Meksykańskiej i Półwyspu Jukatańskiego w stronę wód Morza Karaibskiego.

## Rozdział XVI

### Miami

Podchodząc do lądowania w Miami, samolot został sponiewierany jak papier w tunelu aerodynamicznym. Pierwszą osobą, która wysiadła, był Pagan. Wszedł do dusznego terminalu, by przebrnąć przez odprawę celno-paszportową. Wylegitymował się, wyjaśniając, że ma prawo do posiadania broni. Grubiański oficer chciał ją zarekwirować, nie zważając na dowód Scotland Yardu. Pagan został niechętnie przepuszczony dopiero dzięki szybkiej rozmowie telefonicznej z porucznikiem Philem Navarro z Dade County Police, w czasie której padło nazwisko Martina Burra.

Znalazł taksówkę, którą prowadził Haitańczyk o nazwisku Marcel Foucault. Mężczyzna mówił z wyraźnym obcym akcentem. Pagan znał adres Magdaleny z formularza, który musiała wypełnić przyjeżdżając do Anglii. Mieszkała w Key Biscayne. Foucault gwizdał z uznaniem przez okno w samochodzie na przechodzącą ulicą kobiety i tarzał się z niepowstrzymanej uciechy, gdy reagowały. Twierdził, że zna Miami jak rodowity mieszkaniec.

Pagan nigdy przedtem nie był w tym mieście. Centrum wyglądało imponująco — błyszczące biurowce i wznoszące się wysoko hotele jak podświetlone szklane płyty. Bujność palm i tropikalnych krzewów wzdłuż ulic zadziwiała go swą odmiennością. Opuścił szybę i wdychał słone powietrze. Na tle ciemnej zatoki Biscayne malowniczo wyglądały zbudowane przez człowieka małe sztuczne wyspy



zatłoczone rezydencjami: Palm Island, San Marco i Hibiscus.

Nagle taksówka znalazła się ponad czarną wodą, zawisając w powietrzu. To oczywiście tylko most. Pagan, walcząc z zawrotami głowy, zamknął oczy. Zakłócony turbulencjami lot, szklanka ohydnej whisky w samolocie oraz ból klatki piersiowej — wszystko razem zachwiało jego równowagę.

Marcel Foucault wskazał głową światła po drugiej stronie mostu.

— To Key Biscayne.

258

Wpadające oknem powietrze poprawiło samopoczucie Paganowi. Myślał o Magdalenie. Co powie, gdy zobaczy go w progu swojego domu?

Patrzył na zbliżające się światła Key Biscayne. Prywatne mola wzdłuż linii brzegowej, przy których stały przycumowane motorówki, prowadziły do bogatych rezydencji. Amerykańska zasobność zawsze robiła na Paganie wrażenie. Był zdania, że Amerykanie nie mają sobie równych w umiejętności pomnażania bogactwa. Kupują, zbierają i gromadzą więcej od innych. Ale też więcej produkują, jedzą, piją i częściej się rozwodzą. Zamożni ludzie żyją tutaj w sposób, jak gdyby cała Ameryka była przedmiotem wymiany handlowej.

— Oto i pańska ulica, przyjacielu — powiedział Foucault. Zatrzymał się przed dużym domem, który był słabo widoczny zza gęstwiny krzewów. Bujna roślinność zasłaniała żółte światło przy frontowych drzwiach. Na żarówkę rzucały się tysiące ciem — szalonych uczestniczek zbiorowego samobójstwa.

Pagan wysiadł z taksówki. Był trochę zdziwiony, że Magdalena mieszka w tak zadbanej okolicy. Czyżby spodziewał się piwnicy z gromadą radykałów obsługujących przestarzałe maszyny drukarskie? Zapłacił taksówkarzowi i patrzył w ślad za odjeżdżającym samochodem. Dopiero teraz zaczął mieć wątpliwości. Jeśli nawet Magdalena coś wiedziała, czy zechce się z nim podzielić informacjami? To co w Londynie wydawało się dobrym pomysłem, tutaj stało się nagle pozbawione sensu. Zaczął się zastanawiać, czy na decyzję o transatlantyckiej podróży nie miały wpływu leki przeciwbólowe i czy pomysł nie był skutkiem wchłoniętych przez organizm środków chemicznych?

Podniósł walizkę i skierował się w stronę wejścia. Zadzwoił do drzwi, odczekał i zadzwonił ponownie. Czuł na sobie małe, złośliwe oko judasza: ktoś obserwował go ze środka mieszkania. Usłyszał odgłos zdejmowanego łańcucha, przesuwanego rygla i drzwi się otworzyły.

—Frank.

Przez moment stała nieruchomo w cieniu, ale zaraz do niego podbiegła i, ku zdziwieniu Pagana, zarzuciła mu ręce na szyję. Niespodziewanie gorący uścisk wytrącił go z równowagi. Oparł się o framugę drzwi, choć Magdalena mocno go obejmowała. Nie spodziewał się takiego powitania. Bosa, w czarnej zamszowej minispódnicy i białej jedwabnej bluzce wyglądała rozkosznie. Szeptala cicho jego imię, jak gdyby się obawiała, że jej umknie jakaś zgłoska.

Wprowadziła go przez obszerny hall do salonu. Zapaliła łagodne

światło. W pokoju stała kanapa, fotel, stół oraz lampa. Same pojedyncze meble, pomyślał. Najwyraźniej nie spędzała w tym pokoju zbyt wiele czasu. Miał atmosferę wystawy sklepowej.

259

Podprowadziła Pagana do kanapy i wciąż trzymając go za rękę usiadła obok niego, podwijając pośl siebie nogi. Dostrzegł niewielką opuchliznę pod oczami, która mogła być skutkiem niedawnego płaczu.

Z bocznej kieszeni spódnicy wyjęła pudełko papierosów i zapaliła. Nie przypominał sobie, żeby kiedyś widział Magdalenę z papierosem. Zaciągała się jak trzynastoletnia uczennica. Coś było nie tak, pomyślał. Dostrzegł w niej jakąś zmianę i smutek. Uśmiechnęła się z ogromnym wysiłkiem, odsłaniając zęby w pozbawionym radości grymasie.

— Nie sprawiasz wrażenia zbyt zdziwionej moim widokiem — powiedział.

— Nieprawdopodobne, ale właśnie o tobie myślałam. I oto jesteś. Czy to nie omen?

Zachowywała się dziwnie. Wydawała się nieobecna myślami.

— A co o mnie myślałaś? — zapytał.

— Że chciałabym cię znowu zobaczyć. I mieć przy sobie jakąś przyjazną twarz. Jest mi teraz bardzo potrzebna.

— Skąd ten ponury nastrój? — Delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

— Miewałam już lepsze dni.

Wypuściła dym, kierując go w stronę sufitu. Miała cudowną szyję, trochę już pokrytą liniami, gdyż nic nie opiera się dotykowi czasu, ale wciąż jeszcze piękną i kobiecą. Szyję, która nawet bez ozdób była

ponętna.

— Nie przyjechałeś z tak daleka tylko po to, żeby się ze mną spotkać — powiedziała.

— Oprócz ciebie nikogo nie znam w Miami.

— Pewnie cię tutaj sprowadziły jakieś sprawy?

— Sprawy i przyjemność. Przy tobie wszystko schodzi na dalszy plan.

Zadzwoił telefon. Magdalena przeprosiła, wstała z kanapy i przeszła na drugi koniec pokoju. Podniosła słuchawkę i odwróciła się tyłem do Pagana. Mówiła po hiszpańsku. Rozmowa była krótka. Odłożyła słuchawkę, spojrzała na zegarek i wróciła do kanapy. Tym razem nie usiadła. Uklękła na poduszce z twarzą zwróconą do Pagana. Zapaliła następnego papierosa. Krótka spódnica na udach podciągnęła się w górę. Czarne oczy Magdaleny były ciemniejsze niż zwykle. Można w nich było dostrzec wszystkie odcienie smutku.

— Mówiłeś coś o interesach — zwróciła się do niego. W jej głosie pojawiła się teraz nowa nuta — pewne zniecierpliwienie. Może rozmowa telefoniczna przypomniła jej o umówionym spotkaniu.

Pagan poczuł się nagle rozbiły i znużony.

— Muszę się napić kawy. Czy nie sprawię ci tym kłopotu?

— Mam zaparzoną. Prawdopodobnie wciąż jest gorąca. — Wyszła do kuchni i po chwili wróciła z filiżanką, którą podała Paganowi.

-- A teraz mi powiedz, o co chodzi? — Dotknęła jego dłoni.

Pagan odstawił filiżankę.

— To sprawa delikatnej natury,

— Jestem już dużą dziewczynką.

— Dotyczy Rosabala.

— Rosabala? — Udawała zdziwienie, ale odegrała tę rolę po amatorsku i bez przekonania.

— Umówmy się. Żadnych kłamstw. Wiem więcej, niż przypuszczasz. Jeśli oboje od początku będziemy mówili prawdę, zaoszczędzimy sobie wiele czasu — powiedział.

Przez, chwilę milczała.

— Od jak dawna o nim wiesz?

— Od czasu twojego pobytu w Londynie — odpowiedział Pagan.

— Od chwili, kiedy się schował w łazience twojego pokoju hotelowego. Zachował się, moim zdaniem, haniebnie.

— Też uznałam to za śmieszne. Ale on wolał zachować anonimowość. Nie chciał, żeby ktoś go widział.

— Ale widziało go kilka osób. W tym wywiad brytyjski. Śledzono go. Nie zawsze starannie. Ale znajdował się pod stałą obserwacją.

Magdalena rozgniotła niedopałek na małej szklanej popielniczce.

— W porządku. Wiesz o Rafaelu i o mnie. Ale to jeszcze nie tłumaczy powodu twojej wizyty.

Pagan udzielił jej wyjaśnień. Mówił zwięźle, nie wdając się w szczegóły. Pomiął sprawę śmierci Caporellego oraz jego kolegów. Naszkicował mozaikę, w której zostały przeoczone pewne fragmenty. W połowie opowiadania Magdalena podeszła do kominka i stanęła w rozkroku z rękami na biodrach, przyjmując defensywną postawę.

Zaczekała, aż skończy.

—Zawsze najbardziej lubiłam w tobie to, Frank, że miałeś większą wyobraźnię niż przeciętny policjant. Tym razem jednak za bardzo dałeś się jej ponieść, skarbie. — Znów zapaliła papierosa. Rozbłysł płomień małej czarnej zapalniczki. Magdalena zaciągnęła się dymem i policzki zapadły się jej, tworząc wgłębienia.

—Dlaczego tak sądzisz? — zapytał.

—Rafael i Ruhr. To szatański pomysł. Co Rafael mógłby mieć wspólnego z tym maniakiem? Nie rozumiem też, jak skradziony pocisk miałby pasować do życiowych planów Rafe'a. Frank. — Usiadła na kanapie.

Rafe — pieszczotliwy skrót, dowód zażyłości. Magiczne słowo.

które otwierało drzwi do intymnych światów. Pagan wstał. Miał zwolniony obieg krwi. Zaczął spacerować po pokoju. Na kominku stały zdjęcia kobiety i mężczyzny, prawdopodobnie rodziców Magdaleny. Była bardziej podobna do ojca.

— W Londynie wspomniałaś o planowanym przewrocie na Kubie. Czy Rosabal ma coś z tym wspólnego? — zapytał Pagan.

— Przesłyszałaś się, Frank.

— Pozwól, że powiem inaczej. Napomknęłaś o przewrocie.

— Nie sądzę, Frank. Musiałeś mnie źle zrozumieć.

Pagan podszedł bliżej i spojrzał na nią z góry.

— Umówiliśmy się. Żadnych wybiegów. Żadnych kłamstw.

— To twoje warunki. Grasz według własnych zasad. Nie przypominam sobie, żebym zgodziła się je przestrzegać.

— Nie opowiadaj bzdur, Magdaleno. Nie mam na to czasu.

— Zachowuj się dalej jak gbur. Bardzo to lubię.

Pagan musiał się uśmiechnąć. Jego historia z tą kobietą to namiętność zamknięta w przeszłości. Jak mógł oczekiwać, że nadal będzie się dla niej liczył? Jak mógł czegokolwiek żądać, używać mocnych słów i łudzić się, że uda mu się na nią wpłynąć?

Wstała i objęła go, patrząc mu prosto w twarz. Wyglądała, jak gdyby nagle opadła z sił. Kolejne zaskakujące zachowanie. Była dzisiaj nieodgadniona. Wyczuł, że trapi ją jakieś zmartwienie, z którym nie może sobie poradzić, i dlatego go obejmuje, szukając pocieszenia, oparcia, odrobiny światła w ciemności.



— Słuchaj, w grę wchodzi zakładniczka. Zaledwie czternastoletni dzieciak. A terrorysta jest odpowiedzialny za śmierć tylu osób, że wolałbym zapomnieć ilu. Może wyrządzić krzywdę dziewczynie. Może ją zabić, jeżeli do tej pory już tego nie zrobił. Zginęło zbyt wielu ludzi, Magdaleno. Chcę odzyskać dziecko. Chcę znać plany związane z pociskiem. I chcę Gunthera Ruhra. Założę się, że Rafael wie, gdzie go szukać. Możesz uważać, że porywam się z motyką na słońce, ale wszystko jest lepsze od bezczynności. Muszę znać prawdę. Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Magdalena Torrente umilkła. Odsunęła się od Pagana i odeszła na drugą stronę pokoju. Stała przy zasłoniętym oknie, poza zasięgiem światła lampy. Jej rysy były niewyraźne. Z papierosa spadł na dywan popiół. Może wyrządzić dziewczynie krzywdę — nie mogła znieść tej myśli. Nie była w stanie wyobrazić sobie dalszych krzywd.

Pagan podszedł do niej i dotknął jej dłoni. Nie spojrzała na niego. Zaczęła mówić przerywanym głosem, jak gdyby brakowało jej powietrza w płucach.

— Zgoda, odbyłeś tak długą podróż, należy ci się wyjaśnienie —  
262

powiedziała bezbarwnym tonem. — Nic nie wiem na temat Ruhra ani pocisku. Mogę powiedzieć tylko, jak sprawy miały wyglądać.

Planowano, że oficerowie armii i przeciwstawiające się Castrowi oddziały zajmą wojskowe punkty strategiczne. To działanie miało pobudzić do czynu demokratyczne podziemie — mowa tu o tysiącach ludzi, strajkach, demonstracjach, okupacji budynków państwowych

— o publicznym nieposłuszeństwie i zbrojnym powstaniu. Plan zakładał pełną synchronizację działań. Rafael, jako główny organizator powstania, miał objąć rolę przywódcy. A po obaleniu Castra miał zostać powołany na szefa nowego rządu. Nowego demokratycznego rządu, powinnam dodać. Tacy jak ja emigranci chcieli wrócić z wygnania, by uczestniczyć w wydarzeniach na... na tej nowej, bohaterskiej Kubie. Plan był prosty, starannie dopracowany i nie przewidywał przelewu krwi. Ale uległ zmianie.

— Dlaczego?

— Według ostatnich doniesień Rosabal zdradził sprawę. — Głos i twarz Magdaleny świadczyły o straszliwym rozczarowaniu. A nawet o jeszcze innym uczuciu, które Pagan. nie znajdując właściwego słowa, nazwał smutkiem. To był nie tylko żal z powodu utraconej sprawy. Magdalena została ugodzona w samo serce.

Ale musiał napierać, nie zważając na jej ból. Nie po to przybył z tak daleka, żeby dowiedzieć się o niepowodzeniu kontrrewolucji. Nie interesowało go to. Miał w nosie Kubę. Nie ekscytował się wydarzeniami na światowej arenie politycznej. Jego własny świat był ciasny, z wyraźnie określonymi granicami — osobliwe miejsce, gdzie ilekroć to było możliwe, zło było naprawiane, a pojęcie sprawiedliwości wykraczało poza suchą literę prawa,

■— Czy Rosabal wspominał kiedyś przy tobie o Ruhrze? — zapytał.

— Ruhr! Masz obsesję na jego punkcie. Frank. Nadal nie rozumiem, co Rafael miałby mieć z nim wspólnego. Słyszałam o osobach,

które niewłaściwie wykorzystują swoją energię, ale ty jesteś w tym bezkonkurencyjny.

Pagan zignorował jej uwagę.

— Czym zajmują się ludzie, z którymi nasz kumpel Rafe spotykał się w Anglii?

— Nie mam pojęcia, Frank.

— Zastanów się.

— Zastanawiam się.

W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie — była zmęczona pytaniami. Zadawała je sobie sama przez cały dzień, pytanie za pytaniem od chwili spotkania z Garridem i Duranem, aż wszystkie sprowadziły się do tego jednego. Dlaczego Rafael ją zdradził?

263

11

Z zaciśniętymi dłońmi przemierzała w tę i z powrotem pokój ją więziący w ograniczonej ścianami i sufitem przestrzeni. Godzinami analizowała swoje stosunki z Rosabalem, począwszy od pierwszego spotkania w Acapulco, poprzez niezmiennie to samo wzajemne zauroczenie, wspólne przekonania polityczne, seks, cechujący się w równym stopniu namiętnością, co czułością, która przynajmniej w jej wypadku stopniowo przerodziła się w miłość, aż do ostatniego spotkania w Londynie. Kocham go, pomyślała. Pragnęła wierzyć, że on też ją kocha i musi istnieć jakiś uzasadniony powód jego pozornej zdrady, a demokratyczna rewolucja wciąż jest jeszcze możliwa. Ale trudno było przeczyć faktom.

Przypomniała sobie dzień, gdy w purpurowych promieniach słońca spacerowała w południe po ulicach Little Havana, ramię w ramię z drogiem i pocziwym Garridem. Zatrokanym Garridem, starym przyjacielem rodziny. Życzliwym Garridem, który oplótł swoją wrzecionowatą dłonią jej rękę. Mówił wtedy o miłości w taki sposób, jak gdyby była książką, którą przeczytał siedemdziesiąt lat temu i jedynym jego wspomnieniem zostały kartki pomarszczonego pergaminu. Opowiadał o tym, jak często miłość bywa oszukiwana i bezwzględnie traktowana, i że kochankowie toczą ze sobą ciągłą walkę, a zwyciężeni zostają dotkliwie pobici.

Magdalena Torrente nie przywykła do takiego języka. Nie należała do przegranych. Ani ofiar. Wcale nie zamierzała się do nich zaliczać,

przynajmniej dopóki Rafael ją kochał, a miała niezachwianą pewność, że jest kochana.

Wielką sztuką było trzymać niepokój na uwięzi.

— W sytuacji gdy nasze nadzieje zostały tak boleśnie zawiedzione, nie mamy wielkiego wyboru: coś musimy przedsięwziąć — powiedział Garrido, gdy pili kawę w restauracji Versailles. Wzruszył wtedy ramionami w geście wyrażającym rozczarowanie i nienawiść, ale pozbawionym zdziwienia, jak gdyby zgłębił już do końca ludzką naturę

i nie przedstawiała dla niego żadnych tajemnic. Został oszukany i gwałtownie odarty z marzeń.

— Przykro mi, że muszę ci zadawać te wszystkie nieprzyjemne pytania — powiedział Pagan, biorąc Magdalenę za rękę.

— I tak nie znam na nie odpowiedzi, Frank.

Milczał przez chwilę.

— W jaki sposób Rosabal cię zdradził?

— Począwszy od historii z żoną.

— Żony zwykle stanowią problem. Może zamierzał ją zostawić.

Kto wie?

— Dowiedziałam się, że dopiero co się z nią ożenił, ale Kocham cię

264

/a twój optyrm/m, Frank. — Spojrzała na swoje dłonie w mocnym uścisku Pagana. Mile było poczucie bezpieczeństwa, jakie dawał jego dotyk. Uniosła twarz, stanęła na palcach i pocałowała go w usta.

— Jestem tylko ofiarą złamanego serca. Inni zostali uderzeni po portfelach. Rafael był bardzo szczodry w szafowaniu zdradą. W czasie trzech albo czterech lat tysiące uchodźców kubańskich z Miami i New Jersey milionami dolarów wspierało plan obalenia Castra. Zgadnij, gdzie większość z tych pieniędzy trafiła?

— Do kieszeni Rafaela.'

— O tym się właśnie dowiedziałam. Frank.

— Jednego nie rozumiem. Gdyby był zwykłym malwersantem, wziąłby pieniądze i na tym koniec. Do czego w takim razie zmierza, mieszając w to Giintera Ruhra? A cała ta sprawa z, pociskiem. Jaką odgrywa w niej rolę?

Wzruszyła ramionami.

— Pokonałeś blisko pięć tysięcy kilometrów- na próżno. Tylko po to, żeby zobaczyć biedną, skonfundowaną kobietę. Nie umiem ci pomóc.

Pagan odsunął się od niej, wypił do końca kawę i odstawił filiżankę. Ogarnęło go krańcowe znużenie. Poszedł do kuchni, nalał sobie następną filiżankę kawy i wrócił do salonu. Magdalena stała na środku pokoju i obejmowała się ramionami, jak gdyby było jej zimno. Wydawała się mniejsza niż zwykle, dziwnie skurczona. Wyglądała, jak gdyby Rafe ograbił ją z czegoś w ięcej niż samej miłości.

Pagan popijał kawę małymi łykami. Był pewien, że to właśnie lulaj znajdował się klucz do wszystkich zamkniętych drzwi, do Ruhra i Stephanie Brough. A tym kluczem był Rafael, rozbójnik i oszust sprzeniewierzający pieniądze i ludzkie uczucia.

Nie było wątpliwości, że Rafael wykorzystał dla własnych celów demokratyczne podziemie na Kubie i ogrom patriotycznego sentymentu wśród wspólnot emigracyjnych.

Ale co to były za cele?

—Frank, do czego zmierzają wszyscy ambitni ludzie, na miłość boską?

—Do władzy. Poza pieniędzmi to jej właśnie pożądamy i o niej marzą. Z jej powodu ślinią się, knują i oszukują. Dla niej ranią i zabijają. To ona wywołuje u nich obsesję i doprowadza niektórych do szaleństwa, opanowując jedną myślą: mieć niepodzielną władzę i możliwość kształtowania swojego zakątka świata według własnego upodobania.

Czy to o to chodziło? Czy Rafael pragnął Kuby tylko dla siebie, żeby nie musiał się nią dzielić z żadnymi pieniaczami z emigracji, którzy wierzyli w coś tak prymitywnego i ogłupiającego

jak demokracja? Czy to był jego zamek z piasku, zachcianka, miejsce, którym by rządził według własnych reguł? I czy miało do tego dojść? Tylko Rafael znał odpowiedź na te pytania.

Co miał z tym wspólnego pocisk? Jak do tego obrazu pasowali Caporelli, Chapotin i Kluger? Dlaczego zginęli?

W obecnych czasach pociski były kartami w grze, zabawkami najbogatszych dzieciaków w bloku, wykorzystywanymi do napinania mięśni, stawiania żądań albo zwykłego straszenia.

Pagan przymknął oczy. Czy Caporelli i jego przyjaciele też chcieli mieć swój kawałek Kuby?

Już w końcu lat pięćdziesiątych Caporelli miał na nią apetyt i prawdopodobnie Jean-Paul Chapotin też. Może chcieli, by była taką wyspą jak niegdyś, dzięki której Caporelli stał się zamożnym człowiekiem, a i Chapotinowi nieźle się powodziło. Ale dopóki Fidel rządził krajem, nie mogli cofnąć wskazówek zegara.

Rozwiązanie: pozbyć się Fidela. Ale jak?

Pocisk na wyspie mógłby...

Co mógłby?

Unieszczęśliwić większość mieszkańców tej półkuli.

A więc?

Paganowi umknął wątek.

Zmęczony usiadł na kanapie.

Magdalena zajęła miejsce obok niego.

— Wyglądasz na wyczerpanego. Odpocznij przez chwilę.



Wyciągnij się wygodnie.

Pagan miał znowu uczucie, że mu się wymyka jakieś proste rozwiązanie. Znał je Rafe. Tylko Rafe.

— Nie mam czasu na odpoczynek — powiedział. Wstał. Zatrzeszczały kości — kłopotliwa dolegliwość związana z wiekiem.

Spojrzała na zegarek.

— Muszę wyjść, Frank.

— Spóźniona randka?

— Coś w tym rodzaju. Możesz zostać, jeśli chcesz.

Ruszyła w stronę schodów, które prowadziły do górnej części mieszkania. Zeszła po kilku minutach, ubrana w skórzaną brązową kurtkę oraz niebieskie dżinsy, mizerna i nienaturalnie blada.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał. To nie był typowy strój na randkę.

— Nie powiem ci. — Uśmiechnęła się dwuznacznie. Spostrzegł krzywy ząb trzonowy, niewielką usterkę, o której zupełnie zapomniał. Przypomniał sobie, jak kiedyś zachwyciła go ta drobna niedoskonałość,

ponieważ nadawała jej urodzie ludzkie cechy. Uśmiechaj się do mnie. Czy naprawdę wtedy tak mówił? Czy tak szaleńczo ją kochał, że widok jej skrzywionego zęba przyprawiał go o zawrót głowy?

— A co ja mam robić? Czekać na twój powrót i obgryzać z nerwów paznokcie? Nie mam na to czasu.

— Nie wiem, jak długo będę poza domem. Nie potrafię ci pomóc.

I tak powiedziałam więcej, niż zamierzałam.

Zirytowało go jej tajemnicze zachowanie oraz sposób, w jaki chciała się go pozbyć.

Próbowała go wyminąć. Zagroził jej drogę.

— Skąd ten nagły pośpiech?

— Mam tego dosyć, Frank. Robi mi się niedobrze zarówno od twoich pytań, jak i od tych, które sama sobie zadaję.

Usunął się na bok, a ona przeszła przez hall i otworzyła drzwi do garażu. Stało w nim popielate BMW.

— Jadę sama, Frank. Nie potrzebuję towarzystwa.

— Nie mam zamiaru sam tutaj zostawać.

— Wezwij taksówkę.

■— Pojadę z tobą do centrum. Wsiądę przy jakimś hotelu. Nie będę ci wchodził w drogę.

— Niełatwo się ciebie pozbyć.

Zajęła miejsce kierowcy. Pagan usiadł obok niej. Drzwi garażu otworzyły się automatycznie. Uniosły się w górę, odsłaniając widok na ciemny ogród.

Kierowała nieuważnie, co nie zachwyciło Pagana, który i bez tego nie przepadał za rolą pasażera.

BMW zbliżało się do skrzyżowania, do pogrążonych w ciemności domów i bladego światła latarni. Gdy Magdalena zwolniła, nie wiadomo skąd pojawił się olbrzymi buick, który jechał wprost na jej samochód. Zaskoczona Magdalena przycisnęła pedał gazu i BMW pomknęło do przodu, unikając o włos zderzenia z dużym pojazdem. Pagan obejrzał się i zobaczył, jak buick zatoczył łuk, wjechał na

chodnik wyrzucając spod kół iskry i zawrócił, ponownie najeżdżając na samochód Magdaleny. Po raz drugi w ostatniej chwili uszła cało.

— Jezu Chryste! — krzyknęła. — Co się dzieje?

Pagan nie odpowiedział. Obejrzał się za potężnym buickiem, który przejeżdżał właśnie pod latarnią. W lśniącym pojeździe siedziało dwóch mężczyzn — kierowca i zamachowiec. Morderca wychylił się przez okno od strony pasażera. Trzymał w ręce pistolet marki Magnum. Rozległ się huk pojedynczego wystrzału. Pocisk uderzył w tylny błotnik BMW i odbił się rykoszetem.

Buick zawył i gnany morderczym zamysłem usiłował zrównać się z BMW. Jechał zygzakiem, uderzał o krawężniki i ocierał się o zaparkowane samochody. Zamachowiec wciąż wisiał w oknie, ale buickiem tak bardzo rzucało, że możliwość oddania celnego strzału była znikoma. Morderca wypalił po raz drugi, trafiając w bagażnik BMW. Odgłos wystrzału przypominał głośnie uderzenie bębna.

Magdalena zbliżała się do Rickenbacker Causeway — długiego mostu rozpiętego nad czarną wodą, który łączył Key Biscayne z Miami. Buick nie dawał za wygraną i trzymał się BMW w odległości pięciu lub sześciu metrów. Ta absurdalna pogoń, zamachowiec i wpadający otwartym oknem słony wiatr jest jak sen, pomyślał Pagan. Ale następny strzał był bezsprzecznie realny. Pocisk tym razem roztrzaskał tylną szybę, przeszył powietrze wewnątrz BMW pomiędzy Magdaleną a Paganem i wyszedł z przodu. Nie można być bliżej śmierci, pomyślał Pagan. Zwykle zatłoczony most był o tej porze prawie pusty. Samochody stawały, gdy BMW z buickiem mknęły obok nich. W połowie Causeway buick wykorzystał swoje rezerwy szybkości, zrównał się z BMW i zamachowiec strzelił wprost w okno od strony pasażera. Pagan usłyszał kulę i poczuł jej bliskość. Zrozumiał, że adresowana była specjalnie do niego, ale rozpruła tylko powietrze nad jego karkiem i nie wyrządzając krzywdy Magdalenie, prześliznęła się tuż obok niej. Magdalena, czując bliskie zagrożenie, wstrzymała oddech.

Nadszedł czas, by wyjąć broń. Pagan zwlekał z tym w nadziei, że

Magdalena zdoła uciec ścigającemu ich samochodowi i nie będzie potrzeby używania pistoletu. Nie znosił niebezpieczeństwa, jakim były zbłąkane kule dla niewinnych widzów w zaparkowanych samochodach. Ale buick najwyraźniej nie dawał się wywieść w pole.

Twarze mężczyzn w buicku były ledwie widoczne w świetle latarni Causeway. Zamachowiec miał prostokątną szczękę i jasne włosy. Mógłby być domokrażcą, który handluje magazynami sekt religijnych, typu Mormonism albo Watchtower. Kierowca był jego przeciwieństwem. Miał ciemne włosy i brutalne, małe usta.

Pagan wysunął pistolet przez okno i strzelił. Chybił za pierwszym razem. Drugi strzał musiał trafić kierowcę, który oderwał ręce od kierownicy, jak gdyby go parzyła, i unióś je w górę. Buick wpadł w poślizg. W czasie mrożącej krew w żyłach chwili zaczął się zsuwać w stronę krawędzi mostu, podskoczył kilka centymetrów w górę, wypadł za balustradę i wbrew prawom fizyki wzleciał jak samolot nad zatokę Biscayne. W panice trąbił klaksonem i wirował spadając, jak gdyby usiłował w powietrzu odzyskać równowagę. Aż runął w czarne czeluście, wzbijając w niebo rozległą białą girlandę piany. Zanurzał się w wilgotną ciemność dachem do dołu. Wciąż zapalone tylne światła wchodziły w wodę jak czerwone ślepia stworu, który tonął zrezygnowany.

Pagan wyprostował się i chwycił oddech. Zamknął oczy.

Na końcu Causeway Magdalena skręciła w cichą ulicę z po-  
grążonymi w ciemnościach biurowcami na tyłach Brickell Avenue. Położyła na kierownicy twarz. Przeguby jej palców miały barwę kości

słoniowej. Była wyczerpana.

— Chodziło im o mnie czy o ciebie? — zapytała bez tchu.

— Nie wiem — odparł Pagan.

Gwałtownie opadła na siedzenie, zwracając twarz w jego stronę.

— Jeżeli chodziło im o ciebie, to skąd mogli wiedzieć, że tu jesteś?

Czy mówiłeś komuś, że wybierasz się do Miami?

— Tylko komisarzowi.

— Ufasz mu?

— Bezgranicznie. — Przeciek, myślał Pagan, odpowiadając na pytanie Magdaleny. Przeciek, który był powodem horroru na Shepherd's Bush. Może za tym zamachem stała ta sama tajemnicza osoba, na której zakodowane telefony nie robiły wrażenia. Ktoś uprzywilejowany, kto podążał własnym tropem.

— Skoro nikt nie wiedział, że tu jesteś, to pewnie ja musiałam być celem — powiedziała.

— Może. Ale kto mógł nasłać na ciebie zabójcę?

— Jezu, nie chcę nawet o tym myśleć — powiedziała. I mówiła prawdę. Bała się, ale nie chciała okazać strachu. Mogła odzyskać równowagę, wyrzucając z pamięci całe to przykre wydarzenie. Była wyczerpana. Od chwili wizyty w restauracji Garrida nie robiła nic innego, tylko snuła rozważania.

Komu mogło zależeć na jej śmierci? Przychodził jej na myśl tylko jeden kandydat, ale był ostatnią osobą, którą chciała brać pod uwagę: Rafael. Jeśli to prawda, że z nią zerwał, następnym krokiem mogła być chęć pozbycia się jej na dobre. Może widział w niej źródło

potencjalnych kłopotów, ryzyka. Odsunęła te myśli na bok. Musiała uwierzyć, że to Pagan był celem zamachowców i że Rafael nie miał z tym nic wspólnego.

Pagana znużyły już zagadki. Stały się dżunglą. Tęsknił za ich rozwiązaniem. Potrzebna mu była ścieżka i maczeta.

—Możesz tutaj wysiąść — powiedziała. — Hotel jest kilka bloków dalej — dodała.

—Może powinniśmy trzymać się razem. Para w zatopionym buicku mogła mieć w pobliżu przyjaciół.

Sięgnęła poprzez niego i otworzyła drzwi od strony pasażera.

—Nie martw się o mnie, Frank. Przykro mi, że daremnie odbyłeś

daleka podróż. — Szybko pocałowała go w policzek. — Powodzenia — dodała.

Pacan wsiadł / dużym ociąganiem. Nie zrobił kroku, dopóki nie zatrzasnęła za nim drzwi i nie wrzuciła biegu. Widział jej twarz za szybą i pomyślał, że sprawia wrażenie osoby bardzo samotnej. Spojrzała na niego, uśmiechając się nieznacznie, jak gdyby z roztargnieniem. Był zły, że ustąpił jej bez słowa sprzeciwu. Powinien nalegać, powinien z nią zostać bez względu na to, dokąd jechała.

Ale przecież nie mógł. Gnała go myśl o pilnej potrzebie zmierzania tylko w jednym kierunku i obawa, czy nie jest już za późno. Czego dowiedział się właściwie od Magdaleny? Niczego, co by mógł wykorzystać. Niczego, co by go zbliżyło do celu poszukiwań.

Patrzył, jak w przyćmionym świetle latarni szary samochód Magdaleny skręcił za rogiem i zniknął.

C'lica stała się teraz dziwnie groźna, jak wszystkie puste ulice, które leżą w tyle głównych arterii. Pagan ruszył w stronę Brickell Avenue, gdzie było jaśniej, ruchliwiej, a latarnie rzucały mniej zawile cienie. Znalazł hotel. Wszedł do obszernego hallu z wielkimi palmami i paprociami, które sięgały wysokiego sufitu, i skierował się do automatów telefonicznych za stanowiskiem recepcyjnym.

Gdy przerzucał kartki książki telefonicznej, przypomniał sobie, że zostawił u Magdaleny walizkę. Do diabła z nią. Miał przecież rewolwer, portfel, paszport i środki znieczulające. Reszta była tylko



zbędnym bagażem.

Hawana

Rafael Rosabal opuścił swoje miłe i przestronne mieszkanie w Vedado o pierwszej w nocy. Jego żona Estela spała, a jej długie czarne włosy leżały rozsypane na koronkowej poduszce. Obudziła się, gdy cicho się krzątał po sypialni. Odezwała się do niego szeptem, ale jej nie słyszał albo zbyt się spieszył, by zwracać na nią uwagę.

Kochali się kilka godzin temu. Rosabal mechanicznie i z roztargnieniem, a Estela w sposób niedoświadczony, wciąż onieśmielona bliskością męża. Seks ją rozczarował. Rafael, który znał wiele kobiet, kochał się z nią tak, jak gdyby ciałem i myślami był gdzie indziej.

Teraz wychodził, a ona wciąż nie wspomniała mu o cudzie swojej ciąży.

Usłyszała, że pod dom podjechał samochód i trzasnęły cicho frontowe drzwi. Czasami Estela podejrzewała, że Rafael spieszy się do kochanki, by w jej gorących objęciach znaleźć namiętność, której nie zaznawał we własnym małżeństwie. Myśl ta przerażała ją, tym bardziej że Estela nie była w stanie wyobrazić sobie twarzy owej kobiety. Kiedyś, czekając na powrót Rafaela, zobaczyła w myślach jej oblicze — bez rysów i bez oczu. zupełnie gładkie, potworne.

Kiedy indziej uważała, że jej jedyną prawdziwą rywalką jest ambicja Rafaela — wróg o wiele bardziej niebezpieczny od innej kobiety. Rafael niestrudzenie dążył do realizacji swoich tajemniczych

celów. Zajmował się dziwnymi, podejrzanymi sprawami, w które był również zamieszany jej ojciec, generał, oraz w współpracownik Rafaela Diaz-Alfonso. Ubiegłej nocy spotykali się u nich w domu i rozmawiali szeptem do późna, a Estela podsłuchiwała, nie okazując najmniejszego zainteresowania polityką oraz związanymi z nią intrygami i plotkami.

Nic, co działo się w tym mieszkaniu, nie uchodziło jej uwagi. A to, co słyszała, zapadało gdzieś w głębokie zakamarki jej pamięci. Nigdy nie została przyłapana na podsłuchiwaniu, gdyż w ogóle nie zwracano na nią uwagi. Dolewała wina i parzyła kawę, statystując w roli służącej albo młodej i raczej nudnej żony ministra. Była bardziej bystra, niż ktokolwiek podejrzewał. Rejestrowała wszystko dokładnie, jak "pluskwa" zamontowana przy słuchawce telefonicznej, pod blatem stołu albo ukryta w pąku róży. W jej pustym życiu, które urozmaicały jedynie wizyty w salonach kosmetycznych i fryzjerskich i te rzadkie chwile, kiedy Rafael raczył z nią współżyć, główną rozrywką było słuchanie i gromadzenie informacji.

I wszystko to — ciche rozmowy telefoniczne, konferencje późną nocą, tajemnicze wizyty, dyskusje o statkach i ruchach wojsk oraz wzmianki o jakimś Ruhrze, którego nazwisko wymawiano szeptem, jak gdyby kryło w sobie zbyt wiele zła, by można je było wypowiedzieć na głos — budziło jej niepokój. Martwiła się o męża, a także o swego ojca, którego ostatnie wypowiedzi dotyczące Castra były wyjątkowo jadowite.

Gardziła Castrem tak jak wszyscy, zdawała sobie jednak sprawę z

niebezpieczeństw związanych ze spiskowaniem przeciwko fidełistom. Ludzie znikali nagle w środku nocy i nikt więcej o nich nie słyszał. Przyjaciele i znajomi, nawet ci, którzy byli niegdyś blisko Fidela, nie mogli liczyć na nietykalność. Nie chciała, żeby coś się przydarzyło Rafaelowi albo generałowi. Nikomu dotąd nie udało się zdetronizować El Viejo i Estela wątpiła, by w ogóle to kiedyś nastąpiło.

Była młodą, uprzywilejowaną kobietą w państwie, które oficjalnie odrzucało elitaryzm. Nieoficjalnie, w nagrodę dla piastujących zaszczytne stanowiska w rządzie, komunizm stworzył nowy system niesprawiedliwości, z którego Estela też skorzystała — ukończyła

szkołę w Szwajcarii, spędziła rok we Francji i lato w Hiszpanii. W krajach Europy Zachodniej została narażona na kontakt z wolnością i innym modelem życia, jaki był nie do pomyślenia na Kubie. Własny kraj wydawał się jej teraz surowy i staroświecki. O ten kawałek nędznego i wilgotnego lądu na Morzu Karaibskim, którym zarządzili łotrzy i gangsterzy, walczyli, jak gdyby był El Dorado, ludzie przedkładający własną próżność nad pokój, męczeństwo nad wolność.

Nigdy przedtem nie miała takiego złego przeczucia, jak w chwili, gdy podeszła do okna i spojrzała na dół. W roztargnieniu głaskała się po płaskim jeszcze brzuchu. Nawet myśl o jej pięknym dziecku nie zatarła ponurej wizji przyszłości. Na powierzchni basenu odbijał się blask księżyca. Światła samochodu stawały się coraz bledsze pomiędzy palmami, aż zupełnie zniknęły z pola widzenia.

Przeżegnała się, prosząc Boga, by miał w opiece jej męża.

Gdyby Rafael ją teraz widział, wyśmiałby te idiotyczne przesady.

Samochód wjechał do portu w Hawanie i wysiadł z niego Rosabal. Ostrożnie zszedł po kamiennych stopniach, śliskich i usianych skorupiakami. Zatrzymał się w miejscu, w którym woda obmywała stare kamienie. Łódź, która na niego czekała, była czarną szybką motorówką, z jakich zwykle korzystają przemytnicy broni i narkotyków. W środku siedzieli dwaj mężczyźni w samych koszulach. Rosabal rozpoznał w nich podwładnych Capablanki. Bez mundurów wydawali mu się pozbawieni godności.

Wsiadł do łodzi. Silnik zaczął pracować i łódź pomknęła przez

port. Rosabal spojrział w niebo. Księżyc schował się za chmurami, a rzeźki wiatr zmierzwił powierzchnię morza. Rosabal obejrzał się w stronę spowitej ciemnościami Hawany. Rząd stosował środki oszczędności energii. Windy przestawały działać, gasły uliczne latarnie, domy zostawały odcięte od dopływu mocy. Tak wyglądał komunizm w końcu dwudziestego wieku, pomyślał Rosabal. Kompendium złamanych obietnic i kłamstw. Rozkład, wstrzymywany coraz słabszym działaniem spoiwa o nazwie fidelismo.

Ale już dosyć. Przed upływem jutrzejszego dnia zostanie złożony w trumnie i nikt nad nim nie zapłacze.

Prezydent Rafael Rosabal. Podobało mu się brzmienie tych słów. Rządy Rosabala nie będą purytańskimi i prohibicyjnymi rządami Castra. Ani nie będą demokratyczne. Przyjmą formę łagodnej dyktatury, przynajmniej na początku. A kiedyś, po latach, może uwzględnią w pewnym stopniu udział społeczeństwa. Najpierw jednak ludzi trzeba oduczyć bezmyślności, w której byli wychowywani przez Castra, trzeba uwolnić ich od wyświechtanej frazeologii marksistowskiej. Obywatele byli dotychczas jak niemowlęta, które tylko przeżuwały papkę podtyka- ną im przez Castra. Trzeba posadzić ich za stołem i nauczyć posługiwania się nożem i widelcem. Zapoznać ze smakiem prawdziwych potraw.

Odrażające społeczne oddziały szpiegowskie, jak i wszystkie Komitety Obrony Rewolucji zostaną obalone, a ich przywódcy aresztowani. Biurokraci, którzy szaleją w ministerstwach w nawale

papierów, zostaną bez pracy, a zdjęci ze stanowisk ministrowie wtrąceni do więzień. Na początku Rosabal będzie ostrożny z plutonami egzekucyjnymi. Po co zrażać do siebie Zachód tak jak Fidel trzydzieści lat temu? Nocne kluby i kasyna w Hawanie znów będą otwarte, a mężczyzna będzie mógł mieć prostytutkę, gdy przyjdzie mu na to ochota. Rząd cofnie wszelkie restrykcje. Ale grzech zostanie wysoko opodatkowany.

Amerykańscy i europejscy inwestorzy będą gorliwie przyciągani, a sowieckich doradców wydali się z kraju. Rosabalowi w żadnym wypadku nie grozi szantaż ze strony Stanów Zjednoczonych za nieprzestrzeganie demokracji i swobód obywatelskich. Amerykanie będą tak zadowoleni z upadku komunizmu kubańskiego, przynajmniej przez najbliższe lata, że przymkną oczy na pewne polityczne i społeczne nieprawidłowości.

Rosabal myślał o Kubie jak o dużej ciemnej arenie. Niczyja inna tylko jego dłoń rozjaśni arenę intensywnym blaskiem. Będzie panował nad generatorem, który zapewni mu dostęp nie tylko do światła, ale i do ogromnego bogactwa, do majątku, o jakim chłopak z Guantanamo Province nawet nie marzył. Wydoi Kubę, splądruje ją, jak jeszcze nigdy przedtem nie była splądrowana. I zrobi to z uśmiechem dobroczyńcy na twarzy. A nie posiadający się z radości motloch będzie widział w nim bohatera, który uwolnił Kubę od tyrana.

Hawana oddalała się, brzeg się zacierał. W odległości dwudziestu

metrów ukazał się jacht, ciemny kadłub o długości piętnastu metrów, wyposażony w urządzenia komunikacyjne z niezliczonymi antenami. Trzykrotnie rozbłysło światło. Rosabal rozpoznał umówiony sygnał. Mógł wejść na pokład jachtu La Danzarina del Mar.

Łódź ustawiła się równolegle do burty La Danzariny. Rosabal sięgnął po drabinę linową, spuszczoną z jachtu, i zwinnie wspiął się po niej na pokład.

—Rafaelu, drogi przyjacielu.

Mężczyzna podszedł się przywitać z miłym uśmiechem na twarzy, który nie budził w Rosabalu zaufania. Chociaż była noc, mężczyzna nosił ciemne okulary. Ubrany był w dwurzędowy blezer i eleganckie popielate flanelowe spodnie oraz drogie sportowe buty, które

wyglądały, jak gdyby miał je po raz pierwszy na nogach. Skrzypiały, gdy szedł po drewnianym pokładzie.

Mężczyźni uścisnęli sobie serdecznie dłonie. Członkowie załogi, których białe koszule wyraźnie odcinały się w ciemności, prowadzili wytężoną obserwację, jak gdyby spodziewali się zamachu od strony oceanu. Rosabal oparł się o reling. Hawana była prawie niewidoczna. Dostrzegł błyskawice po zachodniej stronie, gdzieś nad Zatoką Meksykańską.

— To tak niedaleko stąd. prawda, Rafaelu?

Rosabal przytaknął.

— Zawsze to samo, Rafaelu. Wyspa wszystkich podnieca. Z jej powodu wielu ludzi zabrnęło w olbrzymie kłopoty. A to tylko plamka na globie, nic więcej.

— To sto tysięcy kilometrów' kwadratowych nieruchomości — powiedział Rosabal.

— Które powodują, że ludzie stają się bardzo chciwi.

— Właśnie.

Mężczyzna zdjął ciemne okulary.

— Czy zamierzasz dać mi to, o co proszę, Rafaelu?

— Oczywiście. Masz moje słowo.

— Żadnych eksperymentów z komunistami. Żadnych flirtów z blokiem sowieckim. Jeśli będą ci potrzebne kredyty, maszyny rolnicze, specjalne rodzaje broni czy doradcy techniczni, zwracaj się o wszystko do Waszyngtonu. Nie oczekuję od ciebie, że będziesz miał



śnieżnobiałe ręce, Rafaelu. Staniesz się bardzo bogatym człowiekiem, a zamożni ludzie nigdy nie mają zupełnie czystych rąk. Spodziewam się tylko uczciwości w stosunku do mnie i do mojego rządu. Jesteśmy gotowi przymykać oczy na pewne sprawy, w każdym razie w długim okresie ząbkowania. Tylko się nie posuwaj za daleko. Żadnej przesady i rażącego gwałcenia prawa, a wszyscy będziemy zadowoleni. — Mężczyzna umilkł, patrząc w stronę Kuby wzrokiem posiadacza. — Spójrzmy prawdzie w oczy, Rafaelu. Morze Karaibskie jest basenem Ameryki. A nikt nie chce mieć zaśmieconego basenu, prawda? Nikt nie lubi pływać w brudnej wodzie.

— Zawarliśmy trwałą umowę. Będziemy ściśle jej przestrzegać. — Rosabal przyjrzał się z bliska mężczyźnie. I dopiero teraz zauważył na jego czole plaster w kolorze ciała. — Byłeś na wojnie, Allenie?

Allen Falk poklepał Rosabala po ręce.

— Twoi ludzie wybrali zły moment.

— Słyszałem o tym. Co mogę poradzić? Są zbyt gorliwi.

— Wysadzili za wcześnie limuzynę. Byłem przypadkowym świadkiem. Ale to nic wielkiego.

— Powetowaliśmy sobie tę stratę. — Rosabal uśmiechnął się. — Kilka godzin temu /ostał /ustrzelony w Waszyngtonie Harr\ Hurt.

Falk wsunął ręce w kieszenie blezera Przypominał żeglarza amatora, który się szykuje do pamiątkowego zdjęcia.

— Biedny Harry i to całe cholerne Towarzystwo. To chciwi ludzie. Takim jak oni zawsze mało. Nigdy nie wiedzą, kiedy przestać — stwierdził Falk.

—Byli bardzo użyteczni. Służyli sprawie - - zauważył Rosabal. Obaj mężczyźni zamilkli. Kolejny powiew wiatru potrząsnął antenami, opisał Falkowi spodnie na nogach i zaciął Rosabala kołnierzem w policzek.

Rosabal cieszył się, że zagrał z Towarzystwem tak, jak było tego warte. Wynajął ludzi z tajnej służby Capablanki, którzy należeli do jego prywatnego elitarnego korpusu zabójców. Ciemnych typów, niosących zgubę i z bezduszną automatów mordujących jednego za drugim członków Towarzystwa, którzy naiwnie sądzili, że ich organizacja jest tajna. Teraz Towarzystwo umierało, a razem z nim wszystkie jego nadzieje na rządzenie Kubą. Hurt. Caporeth i inni zostali wykorzystani i oszukani w najbardziej brutalny sposób. Finansowali wojsko, kradzież pocisku i dostawy dla kontrrewolucji. I po co? Żeby Rafael Rosabal mógł zostać nowym prezydentem Kuby.

—Na naszym błyszczącym jabłku była drobna muszka owocówka. Rafaelu. Brytyjski policjant o nazwisku Frank Pagan. — Falk spojrzął na zegarek — ciekawą tarczę na przegubie dłoni, — Z tego, co zrozumiałem, chciał porozmawiać z tobą o Güntherze Ruhrze. To facet pełen zapału. Zdecydowany dostać Ruhra — dodał.

— Pagan — powiedział Rosabal, myśląc o Londynie. Magdalenie i pokoju hotelowym. Pamiętał Franka Pagana. — Zauważyłem, że użyłeś czasu przeszłego.

Allen Falk zaczerpnął głęboko morskiego powietrza w przyzwyczajone do pyłów miedziowych płuca mieszczucha.

—Jedną z ostatnich czynności Harry'ego Hurta było zaaranżowanie zabójstwa Pagana. Znał tych wszystkich gogusiów. najemników, którzy zabijają za pięćset dolarów. Frank Pagan prawdopodobnie już nie żyje.

Rosabal zmarszczył brwi. Dlaczego poczuł się zaniepokojony? Myślał o Magdalenie i zastanawiał się, czy nie przekazała angielskiemu policjantowi jakichś informacji. Ale o czym właściwie mogła mu powiedzieć? O niczym, co by się dało kiedykolwiek udowodnić. W najgorszym razie mogła paplać o nieuchronnej demokracji na Kubie i o tym, jak przewoziła pieniądze na nową rewolucję, a także o swojej

roli w przyszłym rządzie. To wszystko. Głupia paplanina, nic więcej. A Magdalena była równie dobra w snuciu marzeń o Kubie, jak w łóżku.

— W jaki sposób Pagan powiązał osobę Ruhra ze mną? — zapytał. Falk bębnił dłonią po burcie.

— Odkryli, że to ty wynająłeś dom dla Niemca. I zostałeś zapamiętany. To zły ruch, Rafaelu. Powinieneś znaleźć kogoś, kto by to zrobił zamiast ciebie.

— Nikogo nie było. Komu mogłem zaufać? Trzeba się było spieszyć. Nie miałem czasu do namysłu. Każdy policjant w Anglii szukał Ruhra.

Rosabal przypomniał sobie pośpiech, w jakim musiał znaleźć dom na odludziu, w którym miał ukryć się Ruhr. Działał zbyt szybko, żeby logicznie myśleć. Wynajął farmę na nazwisko Jeana-Paula Chapotina, wierząc, że jeśli policja odkryje kryjówkę Giinthera, nigdy nie dojdzie do jego związku z ministrem finansów Kuby. Miał nadzieję, że kopiąc w życiorysie Chapotina, policja dotrze do Towarzystwa Kwaków, które do tego czasu spełni już swoją rolę i stanie się zbędnym bagażem. Był to jeden z rzadkich momentów w życiu Rosabala, kiedy postąpił pochopnie. Ta stara zwariowana dziwka, która mu wynajęła dom, miała lepszą pamięć, niż się spodziewał. Musiała go dokładnie opisać, skoro został zidentyfikowany.

Teraz i tak nie miało to już znaczenia.

Za kilka godzin, o świcie, nastąpi przełom,

— Co z Freddiem Kinnairdem? — zapytał Falk.

Rosabal milczał przez chwilę, jak gdyby decydował o losie Kinnairda w sposób właściwy imperatorom.

— Freddie był bardzo pomocny. Zawsze informował nas o planach Towarzystwa i ruchach jego członków. Przyjaciele na wysokich stanowiskach bywają zwykle bardzo przydatni.

— Usłyszałem słowo “ale”, Rafaelu.

— Masz dobry słuch. Z Freddiem trzeba skończyć. Osobiście wydam rozkaz.

— Spodziewał się otrzymać okazały kawałek Kuby — stwierdził Falk.

— Zatem jego oczekiwania nie zostaną spełnione. Za dużo wie. Człowiek z tak rozległą wiedzą może okazać się kłopotliwy.

Falk nie odpowiedział, jak gdyby zmartwił go los Kinnairda.

— Skoro już mowa o przyjaciółach na wysokich szczeblach, twoi przyjaciele z Waszyngtonu przesyłają pozdrowienia i życzą sukcesu — powiedział po chwili.

— Jestem wdzięczny — odpowiedział Rosabal.

Odwrócił twarz w stronę Florydy. To tam, w Miami, zbierali się ci nieznośni idioci, wrzaskliwi polityczni marzyciele, którzy bębnilo wolności i rozprawiali po kawiarniach w Little Havana i w swoich wielkich domach w Key Biscayne o odzyskaniu Kuby. Byli głupcami. Stanowili zagrożenie dla Rosabala. Ludzie pokroju Garrida oraz jego przyjaciele: bankierzy, politycy i restauratorzy, właściciele stacji telewizyjnych, hiszpańscy dziennikarze i bogaci lekarze, wszyscy

zamożni obywatele, którzy zaliczali się do awangardy Komitetu Przywrócenia Demokracji na Kubie, byli jego przyszłymi wrogami. Przecież ich okradł, i to nie tylko z gotówki.

Czy zostawią go w spokoju po obaleniu Castra?

Oczywiście że nie. Zwrócą się przeciw niemu, gdy zrozumieją, że nie ma zamiaru wprowadzić na Kubie demokracji. Pozostawieni sami sobie będą gromadzić fundusze na realizację kretyńskich pomysłów i sprawiać mu liczne kłopoty. Nie, nie zostawią go w spokoju.

I Magdalena, Nie zapominaj o Magdalenie.

Po pewnym czasie zacznie go ścigać. Kiedy odkryje, że została zdradzona, znajdzie sposób, żeby uprzykrzyć mu życie. To nie były przewidywania, lecz nieuniknione konsekwencje, z którymi musiał się liczyć od samego początku.

Nie dopuści, żeby ktoś narobił mu kłopotów. Zaszedł już za daleko. Wszystko było w zasięgu ręki. Wystarczyło ją tylko wyciągnąć.

—Mamy dostęp do szczegółowych zdjęć satelitarnych. Potrzebne są nam teraz fotografie pocisku in situ na Kubie. Nie chcę niczego, co by wyglądało na falsyfikat. To mają być dobre, wyraźne zdjęcia pocisku na wyrzutni. Nie chcę, żeby ktokolwiek, jeśli taka sytuacja zaistnieje, miał podstawy do oskarżenia nas o fałszerstwo — powiedział Falk.

—Będziecie mieli cudowne zdjęcia — zapewnił go Rosabal.

Nie patrzył już w kierunku Florydy. Na zachodzie znowu uderzył piorun, srebrzyście oświetlając morze i niebo. Rosabalowi sprawiła

przyjemność ta absolutna jasność — pokaz ogni sztucznych. Z tamtej strony nadciągała burza, a wiatr, który rzucał jachtem, przybrał jeszcze na sile. Rosabal pomyślał w przelocie o domniemanym rozkazie Lidera Maximo, który znajdował się w rękach Capablanki. Podpis był podrobiony, ale jakie to miało znaczenie? Dobre fałszerstwa tak długo pozostają nie wykryte, dopóki ludzie chcą w nie wierzyć. Ile skopiowanych obrazów wisi w muzeach? Ile sfałszowanych historycznych dokumentów leży w gablotach za szkłem?

— Gdy tylko zdjęcia zostaną zrobione, czekam na wiadomość o zniszczeniu pocisku.

— Nie ma problemu. Będzie dokładnie tak, jak ustaliliśmy.

—Nadal trochę się niepokoję o twoich techników, Rafaelu powiedział Falk.

—Dlaczego? Potrafią rozbrajać głowice atomowe. Przecież nau-  
czyli się czegoś od swoich sowieckich mistrzów. To porządni ludzie.  
Wiedzą dokładnie, co mają robić. Wierz mi. Poza tym, jaki mamy  
wybór? Sprowadzenie kilku amerykańskich fachowców? Bezpośredni  
udział USA?

Falk oparł się o reling. Wiatr zmierzwił mu włosy. Jawne an-  
gażowanie się Stanów w sprawę było nie do przyjęcia. Jeśli Rafael  
miał zaufanie do kwalifikacji swoich techników, dlaczego Falk  
miałby się tym niepokoić?

—Możesz liczyć na rozgłos we wszystkich środkach przekazu,  
Rafaelu. Będziesz tym, który unieszkodliwił Castra i rozbroił pocisk  
nuklearny. Staniesz się bohaterem.

—Nie oczekuję niczego dla siebie. Myślę tylko o Kubie — od-  
powiedział Rosabal.

Tere-fere, pomyślał Falk.

—Rozgłos jest nieunikniony, Rafaelu — stwierdził.

—Być może, ale najważniejsza jest Kuba ■— rzekł Rosabal.

Falk spojrział w kierunku wyspy. Serce zakołatało mu w piersi, jak  
gdyby miał po raz pierwszy pocałować się z dziewczyną. Po ponad  
trzydziestu latach tęsknego wypatrywania i wyczekiwania miał stać  
się świadkiem upadku Castra. Jego pragnienie było tak silne, że  
pozostawał ślepy na inne możliwości. Niepowodzenia nawet nie brał



pod uwagę. Wszystko musiało się udać. Wierzył w cykle historii i jego zdaniem czasy Castra dobiegały właśnie końca.

Odwrócił się z powrotem do Rosabala, przypominając sobie ich pierwsze spotkanie pięć lat temu, w czasie konferencji Organizacji Państw Amerykańskich w Kostaryce. Tematem konferencji była sytuacja ekonomiczna republik Ameryki Środkowej i ogromne długi, jakie większość z nich zaciągnęła. Z dala od publicznej areny i mównicy, z której delegaci wygłaszali oficjalne przemówienia, pomstując na niesprawiedliwe praktyki Banku Światowego, Falk z Rosabalem odkryli wspólne zainteresowanie przyszłością Kuby po upadku Fidela. Spędzili razem wiele godzin w zacisznym hotelu na wybrzeżu. Nocami zabawiali się z rozkosznymi dziewczynami. Ale największą przyjemność znajdowali w spiskowaniu. Chociaż na początku obaj byli bardzo ostrożni, zachowując powściągliwość, która utrudniała znalezienie wspólnego języka, w miarę upływu dni ich wzajemne zaufanie rosło i rozmawiali ze sobą już bardziej otwarcie. Żaden z nich nie miał wątpliwości, że jeżeli Fidel nie zostanie usunięty, Kuba będzie zgubiona.

Cel był jasny: zastąpić Castra niekomunistycznym, demokratycznym rządem, na którym mogliby polegać bankierzy i inwestorzy. O ile zamysł był prosty, o tyle jego realizacja skomplikowana. Falk musiał wykazać wiele sprytu i cierpliwości, żeby dopracować strategię obalenia Castra i wyniesienia Rosabala na szefa nowego rządu. Potrzebni byli partnerzy finansowi, ludzie pokroju Harry'ego

Hurta i Sheridana Perry'ego, razem z ich Towarzystwem. Ludzie z pieniędzmi, co do których zawsze można było mieć pewność, że ich chciwość okaże się silniejsza od wątpliwości.

Hurt i inni musieli w ten sposób zostać wprowadzeni do planu, żeby odnieśli wrażenie, że to im przypadnie zaszczyt obalenia dyktatora. Ale plan wymagał czegoś więcej niż samego gangu Hurta. Musiała istnieć współpraca pomiędzy niektórymi agencjami rządowymi i wywiadem. Trzeba też było zgromadzić siły na Kubie, które by Rosabal w stosownym momencie wykorzystał. Wiele elementów i różnorodne instrumenty, ale Falk kapelmistrz wiedział, jak zastosować synkopę, żeby muzyka zabrzmiała dźwięcznie i słodko.

Falk znowu spojrział w kierunku Kuby. Nie miał złudzeń, że rząd Rosabala nie przetrwa dłużej niż trzy, cztery lata. Wszystkie kubańskie administracje, bez względu na to, czym wydawały się na początku, prędzej czy później degenerowały się, rozpadając na skłócone frakcje. Stawały się rządami przemocy i korupcji, czego Stany Zjednoczone nie mogły oficjalnie tolerować. Ale na razie prezydent Rosabal będzie przyjaźnie traktowany, a w czasie miodowego miesiąca Stanów i Kuby zabrzmie nowy entuzjazm i pomyślnie układać się będą wzajemne stosunki pomiędzy tymi dwoma państwami. Rząd proamerykański, skorumpowany czy nie, zawsze był lepszy od komunistycznego.

Rosabal spojrział na zegarek.

— Już na mnie czas. Następnym razem spotkamy się w Hawanie,

Allenie.

— Czekam na ten moment z niecierpliwością — powiedział Falk.

— W nowej Hawanie — dodał Rosabal, a w ciemności rozbłysł jego piękny promienny uśmiech.

Miami

Magdalena zaparkowała samochód za Casa de la Media w Little Havana. Restauracja była nieczynna w nocy, chociaż wciąż paliły się w niej światła, z grającej szafy dobiegały dźwięki mambo, a jakiś otyły jegomość tańczył pomiędzy stolikami z niepewnie trzymającą się na nogach chudą kobietą. Magdalena obeszła budynek i skierowała się do

— ... “

tylnego wejścia. Garrido, który jej oczekiwał, otworzył drzwi, zanim zdążyła zapukać. W swoim białym garniturze zdawał się fluoryzować. To tylko halucynacja, pomyślała. Jak wszystko, co się dotychczas wydarzyło.

Przytrzymał drzwi, a gdy weszła, zamknął je za nią. Znaleźli się w pomieszczeniu bez okien, zastawionym stosami puszek z przecierem pomidorowym i workami ryżu. Nagle zaczęło jej brakować widoku z okna. Jakiejś perspektywy. Zaciśnęła pięści.

— Kocham go — powiedziała. — Zadręczałam się pytaniami i za każdym razem dochodziłam do tego samego cholernego wniosku. Kocham go.

Garrido pokiwał głową.

— Wiem — powiedział cicho. To właśnie z powodu tej miłości nie masz innego wyboru. Magdaleno. Z powodu miłości i bólu, pomyślał. Nagle ogarnęła go melancholia, jak gdyby przypomniał sobie utraconą miłość swojego życia, matkę Magdaleny Torrente, Olivię. To była bardzo stara historia. Ale cieszył się, że istniało bardzo niewielkie podobieństwo pomiędzy nieżyjącą już kobietą a jej córką.

— Wyglądasz na zmęczoną — powiedział.

— Czuję się dobrze, naprawdę.

Garrido pogłaskał ją po głowie. Naelektryzowane włosy rozbłysły iskierką pod jego palcami.

— Czy jesteś pewna swojej decyzji? Czy starczy ci sił?

Przez moment patrzyła wprost na gołą żarówkę, która oświetlała

pomieszczenie. Przypomniała sobie światła buicka na moście i ich odbicie w lusterku wstecznym. Znowu usłyszała huk wyłamującego balustradę samochodu.

Zamrugła, a potem spojrzała na Garrida.

—Jestem pewna.

Podszedł do swojej tajnej skrytki w ścianie, za półkami. Wyjął z niej zielony worek i wręczył go Magdalenie.

—Rzeczy, które mogą ci się przydać.

Wzięła worek, nie zaglądając do środka.

Garrido pocałował ją w czoło. Dotyk jego warg był suchy i dobrotliwy, a zapach przesiąkniętego nikotyną oddechu w połączeniu z delikatną wonią brylantyny na włosach niezbyt przyjemny. Ale przyszło jej na myśl, że przynajmniej w geście starszego pana nie kryła się zdrada.

## Rozdział XVII

### Miami

Porucznik Philip Navarro z Dade County Police nie był typowym gliniarzem. Inteligentny, interesujący, mówiący z dobrą dykcją, nie miał w sobie cynizmu i zobojętnienia, tak charakterystycznych dla większości znużonych służbą czterdziestoletnich policjantów.

Zachował młodzieńczy entuzjazm i spontaniczność, które spodobały się Paganowi. Porucznik był szczupły, niskiego wzrostu i miał chłopięcą twarz. Zapuścił grube wąsy, by przybrać poważniejszy wygląd, i nosił ciemny trzyczęściowy garnitur z rodzaju tych, jakie można zobaczyć w pomieszczeniach recepcyjnych Hiltona w czasie

zjazdu bankierów. Wysłuchał zawiłej opowieści Pagana z miną bezstronnego i życzliwie nastawionego dyrektora, do którego zwróciła się o udzielenie kredytu osoba, nie mogąca wykazać się żadnym zabezpieczeniem.

Navarro był wielkim sympatykiem Martina Burra, gdyż jak się okazało, komisarz deportował kilka lat temu ze Zjednoczonego Królestwa znanego kolumbijskiego magnata handlu narkotykami, mężczyznę, którego Navarro poszukiwał za liczne zbrodnie na Florydzie. Burr, lekceważąc biurokratyczne zalecenia, przyczynił się do tego, że postępowanie ekstradycyjne miało gładki przebieg, za co Navarro na zawsze pozostał mu wdzięczny. Właśnie na tę wdzięczność liczył Frank Pagan, siedząc w ciasnym gabinecie porucznika. Okna pokoju wychodziły na oświetlone podwórze ze skonfiskowanymi samochodami. Na ścianie za biurkiem Navarra wisiał oprawiony w ramki list pochwalny za pracę w służbie państwowej i celne strzelanie.

—Z pańskim brytyjskim paszportem może pan legalnie przekroczyć granice Kuby. Poleci pan z Miami na Jamajkę albo do Mexico City, zdobędzie tam wizę i poleci do Hawany. Nie widzę żadnego problemu.

—T'o zabierze zbyt wiele czasu — powiedział Pagan. — Szukam szybszego sposobu.

—Wiek pośpiechu — rzeki Navarro i westchnął, jak gdyby tęsknił za wolniejszymi erami. Podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Stał tam przez chwilę z czołem przytkniętym do szyby. — Kiedy pan do mnie zatelefonował, pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, było sprawdzenie pańskiej tożsamości u Martina Burra.

—i?

—Prosił, żebym wyciągnął rękę do współpracy. Stwierdził, że gdyby nie pański upór, byłby pan całkiem w porządku.

—To miło z jego strony.

—Czasami też nie jest pan obiektywny.

—Analiza charakteru nie należy do najmocniejszych stron Martina — zauważył Pagan.

—Poza tym obiektywizm jest zwykle przeceniany. Zawsze człowiek się angażuje w sprawę — dodał.

—Aż do wyprucia z siebie wnętrzości.

—Zwykle tak.

Porucznik Navarro, który osobiście nie miał wielkiego szacunku dla zawodowej bezstronności, polubił Franka Pagana. Odwrócił się od okna.

—Bardzo się cieszę na współpracę z panem. Nie jestem jednak pewien, jak daleko miałyby ona sięgać. Jeśli dobrze pana zrozumiałem, prosi mnie pan, żebym złamał prawo.

— W czysto technicznym znaczeniu — odparł Pagan.

— Łatwo panu powiedzieć, Frank. Ja tutaj mieszkam. Pan nie.

— Nie mam pańskich znajomości w tym mieście, Phil. Nie wiem, dokąd pójść, do kogo się zwrócić. Gdybym wiedział, nie przychodziłbym tutaj i nie zwracał panu głowy.

Navarro przypomniał sobie uwagę Burra o uporze Pagana. Jest gorszy od namolnego domokrażcy, powiedział Burr.

— Skąd pewność, że Rosabal panu pomoże?

— Nigdy nie twierdziłem, że jestem czegoś pewien. Powiem inaczej. Nie mam wielkiego wyboru, Phil. Muszę porozmawiać z Rosabalem. Ten trop może okazać się ślepym zaułkiem, ale i tak nie mam dokąd pójść.

Navarro usiadł na brzegu biurka i patrząc na Pagana ze współczuciem, wymachiwał nogą. Sam bywał w podobnym położeniu, kiedy nie miał nic więcej poza przeczuciami, na których musiał oprzeć swoje działanie, a zwierzchnicy udzielali wykrętnych odpowiedzi, twierdząc, że własne instynkty to zbyt mało. Nie możesz zrobić sprawy, bazując tylko na własnej intuicji, Phil — słyszał niejednokrotnie.

Tb, że Pagan znalazł się w centrum masakry na Shepmil's Bush, było kolejnym powodem, dla którego Navarro współczuł. Według Martina Hurra z powodu tej tragedii Pagan stał się nieustępliwy w poszukiwaniach, /był nieustępliwy, jak utrzymywali niektórzy. Phil Navarro, do którego codziennie docierały informacje o kolegach zamordowanych w nku-Stającej wojnie / tj and



narkotyków w i Jady Cbunty, nic zdołał uodpornić się na tego rodzaju wiadomości i za każdym razem przeżywał szok.

— To będzie trudne i ryzykowne — powiedział Navarro.

— Jestem na to przygotowany — stwierdził Pitgaa.

Navarro, który ostatnio rzucił palenie, wyjął / pojemaBiM na biurku wykałaczkę i zaczął dłubać nią w zębach.

— A także kosztowne.

— Z tym może być problem — powiedział Pagan, Miał czterysta dolarów w czekach podróŜnych i kartę kredytową Visa o niebezpiecznie zbliŜającym się limicie.

— Przypuszczam, Ŝe nikt w tym tajnym interesie nie honoruje plastikowych kart kredytowych?

Navarro uśmiechnął się.

— Jedyne plastik, na jakim się tam znajdują, to ten, który eksploduje. Jednak w pewnych kręgach mam zwykle otwarty kredyt. Zawsze znajdzie się ktoś, kto z przyjemnością wyświadczy przysługę porucznikowi Navarro. Sam pan wie, jak to wygląda.

— Tak, wiem doskonale — powiedział Pagan. Miał w Londynie własną pulę, do której podejrzane typy zawsze były skore się dorzucić. Rozumowały zupełnie prawidłowo, Ŝe lepiej mieć Pagana po swojej stronie niŜ przeciwko.

— Zgoda. — Navarro złamał i wyrzucił wykałaczkę. — Przeprowadzę teraz rozmowę telefoniczną. Muszę pana poprosić, Ŝeby zaczekał pan na zewnątrz, Frank.

Pagan to zrozumiał. W hallu znalazł krzesło, na które opadł.

Zamknął oczy. Przez cienką ścianę dobiegał go niski głos Navarra, ale słowa były niezrozumiałe. Przeszli obok niego dwaj policjanci i obrzucili go zaciekawionym spojrzeniem. Poczł się jak podejrzaný przestępcą. Czekał dziesięć minut, zanim Navarro poprosił go z powrotem do gabinetu.

—Zawiozę pana na spotkanie z niejakim Salgadem. Zgodził się pana zabrać.

— Będę pańskim dłużnikiem, Phil.

Navarro uniósł swoją gładką, zadbaną dłoń.

— Niech się pan nie spieszy z podziękowaniami. Czy był już pan kiedyś na Kubie?

Pagan przecząco pokręci! głowi}.

—Nie jest to wspaniałe miejsce, nawet w najlepszych okolicznościach, a sposób, w jaki się pan tam dostanie, nie może uchodzić za optymalny. Jest pan bez wizy. W paszporcie nie ma stempla z żadnego przejścia granicznego. Nie ma pan biletu powrotnego. Ani rezerwacji w żadnym hotelu. Ale najgorsze ze wszystkiego jest posiadanie broni. Musi pan uważać na policję. Musi być pan ostrożny, żeby niczego podejrzanego w pańskim zachowaniu nie dopatrzyli się uroczy ludzie z tak zwanego Komitetu Obrony Rewolucji. Obserwują wszystko

i wszystkich. Należą do nich stare damy, które całymi dniami przesiadują w oknach, patrząc, kto przyjechał, a kto odjechał. Natychmiast meldują o pojawieniu się cudzoziemców. Niech pan będzie rozważny i zachowuje się normalnie. Tak, jak gdyby pan wiedział, dokąd zmierza. I niech się pan nie da, na miłość boską, złapać.

Navarro umilkł i spojrzał zatroskany na Pagana.

—Mogę panu umożliwić dostanie się tam. Co się tyczy powrotu, nie wiem, jak mógłbym pomóc.

—Zaryzykuję — odpowiedział Pagan, Co mógł zrobić innego.

Navarro milczał przez chwilę.

—Urodziłem się na Kubie. Rodzice wywieźli mnie stamtąd, gdy miałem osiem lat, i od tego czasu już tam nie byłem. Moja rodzina nadal tam mieszka. To niezdrowe miejsce, Frank, jak każde państwo

policyjne.

Wyszli z gabinetu, a gdy znaleźli się w hallu, Navarro powiedział:

—Salgado skontaktuje pana z kimś, kto dostarczy panu samochód i potrzebny panu adres w Hawanie. A potem będzie pan zdany już tylko na siebie.

—Rozumiem.

—Jeśli znajdzie się pan w kłopotach, nigdy mnie pan nie widział i nie wie, kim jestem ani kto przywiózł pana na Kubę — nie wie pan zupełnie nic. Jest pan niemową. Niech pan udaje amnezję. Albo obłąd. Ale niczego nie wyjawia.

—Najłatwiej będzie udawać obłąd — powiedział Pagan.

Navarro jechał przez północne Miami obok Międzynarodowego Uniwersytetu Stanu Floryda. W czasie jazdy Pagan był milczący. Czuł dziwne napięcie, jak gdyby Kuba była domem nawiedzonym przez duchy i Pagan miał do niego wejść. Od czasu do czasu Navarro snuł mgliste wspomnienia o miejscu swojego urodzenia. Były to nieistotne wydarzenia — wyścigi konne, które widział w 1958 r. w Oriental Parku, mecz baseballowy, rozgrywany pomiędzy Klubem Sportowym Hershey i Uniwersytetem Hawańskim. na którym był ze swoim ojcem w 1957 r., przygoda w windzie sklepowej u Woolwortha w Hawanie. Pagan miał wrażenie, że wspomnienia Navarra równie dobrze mogłyby dotyczyć życia w USA w latach pięćdziesiątych, jak gdyby Kuba pod zgubnymi rządami Fuigencia Batisty nie była niczym więcej jak nieoficjalnym amerykańskim stanem.

Z mroku wyłoniły się pola. Jadąc wyboistą ścieżką, która biegła przez łąkę, Navarro umilkł. Zatrzymał samochód i wysiadł, Pagan poszedł za nim przez pola. Za gęstwiną drzew stał mały samolot. W kabinie paliło się przyćmione światło.

— To jest Frank — powiedział Navarro.

Pagan ucisnął dłoń mężczyzny i spojrzał na samolot. Śmigła obróciły się i maszyna potoczyła się kilka metrów do przodu. Zatrwożonemu Paganowi zdawało się, że silnik pracuje nierównomiernie jak serce z arytmia. To tylko strach, pomyślał. Nawet głuchy, gdy się go nastraszy, słyszy różne odgłosy.

— Nie jestem przekonany, czy to, co robię, jest słuszne — powiedział Navarro.

— Być może nie jest.

— Do diabła! Czasem zły krok okazuje się tym właściwym. Na pana miejscu zrobiłbym dokładnie to samo.

Pagan zrozumiał, że Navarro wyrażając swoją aprobatę, chciał dodać mu otuchy. Lecz Frank czuł tylko nieokreślony niepokój i ucisk wokół serca.

Honduras

Na dwie godziny przed świtem pocisk razem z owiniętymi w brezentowe płótno urządzeniami sterującymi został przetransportowany na frachtowiec La Mandaderę. Dźwigi na pokładzie statku podniosły go w górę i ulokowały w ładowni. Ruhr, który w świetle lamp wyglądał demonicznie, nadzorował każdy manewr. Beształ załogę i krążył wokół walca, przypominając

kapitanowi Luisowi Sandovalowi zrzedzającą babę. Niemiec trzymał w ręce płócienny worek, z którym się nie rozstawał. Badał wytrzymałość lin i prawidłowe funkcjonowanie wyciągu. Był wszędzie, czujny, energiczny i wymagający.

Luisowi Sandovalowi pilno było wyruszać w osiemsetkilometrową podróż do Santiago de Cuba. Niecierpliwił się i denerwował, zwłaszcza z powodu nieoczekiwanego towarzystwa dziecka — zaledwie kilkunastoletniej dziewczynki. Zaprowadził ją do małej kajuty, gdzie

usiadła na brzegu koi ze ściśniętymi kolanami, patrząc przed siebie przytępionym, bezbarwnym wzrokiem. Skąd się wzięło to dziecko na pokładzie, to najeżone stworzenie, ta pozbawiona uśmiechu granuja?

Luis Sandoval czuł się nieswojo nie tylko z powodu smutnej twarzy dziecka. Na jego zły humor miały też wpływ niepomyślne warunki atmosferyczne. Z radiowych komunikatów dowiedział się właśnie

0 sztormie nadciągającym z Zatoki Meksykańskiej nad Morze Karaibskie. Obserwacja niczego groźnego nie zapowiadała. Niebo było wygwieżdzone i pogodne. Ale on wiedział, że w tej części świata sztorm zjawia się znikąd i czyste przed chwilą niebo spowija w ciemność. Przygnane wichurą chmury kłębią się w gęstej masie, a deszcze, które nie mają końca, zalewają nieprzebranymi potokami przybrzeżne rejony. Widział to wiele razy — sytuacje, kiedy nauka jest bezsilna

1 człowiek jak niegdyś powierza swój los starym bogom. Luis Sandoval sam nieraz zegnał się w czasie sztormu.

Gdy pocisk znalazł się bezpiecznie w ładowni, Fuentes z Bosanquetem opuścili statek i wsiedli na szalupę, która miała ich zawieźć z powrotem na brzeg. Luis Sandoval wydał rozkazy. Frachtowiec miał płynąć w kierunku północno-wschodnim i wziąć kurs na Santiago de Cuba, pomiędzy Kajmanami i Jamajką. Podróż zwykle trwała ponad dziewięć godzin i nie była trudna, ale dzisiaj wśród dziesięcioosobowej załogi Luis wyczuwał zdenerwowanie i wcale mu się to nie podobało.

Kotwica została wciągnięta i silniki statku zaczęły hałaśliwie pracować, jak gdyby pod pokładem zatrzęsły się żelazne kości. La Mandadera odbiła od wybrzeży Hondurasu, zataczając szeroki, niezgrabny łuk. Sandoval obserwował Giinthera Ruhra, gdy schodził do ładowni. Spod niebieskiej sztruksowej marynarki wystawał zatknięty za pasem pistolet. Duży oświetlony kwadrat wejścia do ładowni przesłaniał od czasu do czasu olbrzymi cień Niemca.

Luis Sandoval stał na mostku. Straszny ładunek był czymś, nad czym nie chciał się zastanawiać. Czasami walka o wolność przybierała niepożądane formy. Pomyślał o dzieciaku w kabinie, przestraszonej małej dziewczynce, która siedziała na brzegu koi i odmawiała jedzenia i picia.

Sandoval miał córkę, prawie w tym samym wieku co ta smutna dziewczynka, która nie chciała ani jeść ani rozmawiać. Poczul współczucie dla tego porzuconego dziecka, pomimo że nie mógł zrozumieć, w jaki sposób dziewczynka znalazła się w tak kłopotliwym położeniu. Ale co mógł zrobić, żeby jej pomóc? Była własnością Ruhra i należało ją zostawić w spokoju, co w czasie przeładunku dał mu do zrozumienia Fuentes. A Sandoval nigdy nie mieszał się w sprawy ludzi pokroju Giinthera Ruhra.

W kabinie o kształcie trumny Steffie uświadomiła sobie, że lo krew tak ją przeraziła. Spłynęła w dół po wewnętrznej stronie ud i dziewczyna otarła ją rękawem żakietu, a teraz miała wrażenie, że znów ją czuje — ciepłą strużkę, która ściekała po ciele. Zastanawiała



się, czy nie została zraniona w środku. Jak na swój wiek była godną pożałowania dyletantką w zakresie anatomii. Wiedziała tylko to, co powiedziała jej matka oraz co usłyszała od przyjaciółek — fakty pomieszane z głupstwami. Nigdy nie poświęcała zbytnej uwagi lekcjom biologii, z wyjątkiem tych, na których Charlie Hapgood, rumieniący się nieśmiały nauczyciel, pokazywał ilustracje nagiego ciała. Teraz żałowała, że nie była pilniejszą uczennicą.

Zamknęła oczy, położyła na kolanach swoje drobne, białe dłonie i usiłowała zapomnieć, jak Ruhr odpiął sprzączkę w swoich spodniach i stanął nad nią. Jak walczyła bezskutecznie, drapiąc go i kopiąc, ale nie mogła uniknąć jego widoku, gdy się podniecał.

Zagryzła usta, żeby nie krzyczeć, gdy zmusił ją, by go przyjęła. Łagodnie i czule szeptał niemieckie słowa, których nie rozumiała. Wiedziała jednak, że mówi do niej z najskrytszych i nie skażonych okrucieństwem części własnego ego.

Ale ten ból! Wepchnęła sobie do ust róg koca, gdy ją miażdżył, ruszając się wewnątrz niej i z każdym ruchem stawał się coraz twardszy i większy — aż zaczął chwytać powietrze i prędeż wymawiał słowa, które po chwili, gdy wbił jej paznokcie w biodra, przestały już być czułe, a stały się chrapliwe. Prawie natychmiast potem zsunął się z niej i leżał w milczeniu, patrząc w sufit namiotu.

W fałdach płótna zebrały się kałuże. Oliwkowe kałuże, oliwkowe światło. Zamknęła oczy i odwróciła się tyłem do niego, żeby nie okazywać bólu. Starła się być dzielna.

Słyszała, jak wstał i wyszedł z namiotu. Wrócił, gdy było już

ciemno i powiedział, że natychmiast odpływają. Szła z trudem na niepewnych nogach, czując sztywność w mięśniach. Pomógł jej wsiąść na szalupę. Czarne morze przerażało ją prawie tak samo jak jego dotyk.

Zmuszona wdrapywać się po straszliwej drabinie na frachtowiec, myślała: nienawidzę cię. Zabiję cię któregoś dnia. Był tuż pod nią. Wspinając się, mógł zaglądać jej pod spódnicę — ale i tak nic nie zostało jej już do ukrycia.

Teraz siedziała nieruchomo w małej kabinie z niewielkim lukiem, przez który nic nie było widać. Jakie to zresztą miało znaczenie? Morze było morzem. Obejrzała swoje dłonie. Połamane, bezbarwne, nie połakierowane paznokcie. Połamała je walcząc z Guntherem Ruhrem. Kiedyś była bardzo z nich dumna i poświęcała im wiele

uwagi. malując na coraz to inny kolor. Jak odiegia i głupia wydała jej teraz ta próżność.

Wsiadała. obeszła wokół kajutę i poczuła, że statek się przechylił;\*. Położyła się. zamknęła oczy i słuchała ciągle tego samego rytmu silników — dada dada dada. Znow wstała, podeszła do drzwi kahir, v i stwierdziła, że są zamknięte. A to niespodzianka. Wróciła na ko« Położyła się twarzą w dół. zanurzając głowę w cuchnącym szarym kocu.

Czuła się nieprawdopodobnie samotna. Ale postanowiła nie mazać się z tego powodu. To nie miałoby sensu. Wsłuchiwała się w odgłosy statku. Nie mogła się od nich oderwać Wiedziała, że Ruhr wróci:. Wróci, otworzy drzwi i wejdzie do środka.

Wiedziała, że jeszcze z nią nie skończył.

Coś kołatało jej w pamięci. Jakaś wzmianka o wydarzeniu sprzed wiefu dni. o którym dowiedziała się przypadkiem z jakiejś gazet}-. Z czasopisma, którego jej rodzice nigdy nie kupowali, ze zdjęciami gołych piersi na trzeciej stronie. Historia dotyczyła dziewczyny) z Cambridge, prostytutki, którą wynajął Ruhr. Była to sensacyjna opowieść o tym. jak próbował zrobić jej tę straszną rzecz — wepchnąć jej do pochwy ostry przedmiot. SteiTie zdąży ła tylko tyle przeczytać, zanim ojciec nie skonfiskował gazety. Przypomniała sobie wypowiedź dziewczyny. Sądziłam, że chce mnie zabić.

Myślała o tym teraz. O ostrym przedmiocie.

Przychodził jej tylko na myśl nóż. który nosił przywiązany nad

kostką.

W wilgotnej ładowni, w której znajdowały się pozostałości po poprzednich ładunkach, w tym bezkształtne banany tworzące śmierdzącą papkę, pracował teraz Ruhr przy świetle intensywnej żarówki. Od czasu do czasu do środka zaglądał któryś z wścibskich członków załogi. Ruhr wtedy klął i wymachiwał pistoletem.

Pracował w skupieniu, jak gorliwy wyznawca Biblii, który studiuje ewangelię. To była ekscytująca praca, wymagająca ogromnej cierpliwości. Ze swojego cennego płóciennego worka wyjął cęgi i specjalne śrubokręty. Usunął płytkę z boku walca, odsłaniając zagmatwany zwój różnokolorowych przewodów — czerwonych, białych, żółtych, czarnych i bordo. W świecie nuklearnym nie było nic prostego.

Przewody były połączone z różnorodnymi pojemnikami, których otwory pasowały do trzpieni uzbrojonej głowicy. Elementy męskie i żeńskie. Ponieważ głowica była specjalnie zmontowana dla Ruhra. informacji o odpowiedniej kolejności precyzyjnego połączenia trzpieni z otworami i o sposobie uruchomienia pocisku nie można było znaleźć w technicznych podręcznikach.

Przyjrząwszy się bacznie wnętrzu urzędu. Ruhr przystąpił do montażu. Ostrożnie oddzielał poszczególne przewody i odpowiednio łączył je ze sobą. Robił to, nie zaglądając do żadnego wykresu. Pracował według schematu, który miał w głowie. Zapomniał o całym świecie. Liczyło się tylko to, co znajdowało się w zasięgu ręki. Nawet

zdeformowana dłoń. która miała ograniczoną funkcjonalność. zdała się pokonać własną ułomność, gdy Niemiec zręcznie badał, splatał i łączył. Przyszło mu na myśl, że jest chirurgiem, który naprawia arterie i zmienia kanały przepływu, innowatorem, który udoskonalał atestowany prototyp, artysta klęczącym przed rzeźbą, której ostateczny skomplikowany kształt zna tylko on sam.

Śmiercionośna tuba była gotowa do wystrzelenia. Mogła pokonać pięćset kilometrów, które dzieliły Santiago de Cuba od Miami na Florydzie. Była strzelona. zniszczyłaby centrum miasta, mosty, zapasy wody. autostrady i zabiłaby tysiące ludzi na obszarze pomiędzy Coral Gables a Miami Beach. Wyrządziłaby większe straty niż bomba atomowa zrzucona na Hiroshimę w 1945 roku.

Gdyby została kiedykolwiek wystrzelona.

Ale oczywiście nie będzie. Ruhr pomyślał o tym z żalem. Odpowiedzialność za tak rozległą skalę zniszczeń była czymś, co zawsze by chętnie zaakceptował. Płacone mu jednak tylko za dostarczenie i uzbrojenie pocisku, a nie za jego odpalenie.

Po powiekach spływał mu pot. Intymność pomiędzy nim a pociskiem była cenniejszym przeżyciem od każdej formy obcowania z drugim człowiekiem. Otarł czoło rękawem i pomyślał o dziewczynie, zamkniętej w kabinie na górze. Wskazywała z nim. stawiała opór. Podziwiał jej odwagę. Gdy zakończy tę operację, pójdzie na górę do zamkniętej kajuty.

Podniósł cęgi, które zabłyśły w intensywnym świetle lampy. Jakies cztery setki kilometrów od Cabo Gracias a Dios zaczęło

pulsować pod jego prawem okiem niewielkie zadrapanie, słać po paznokciach dziewczyny.

Pi aar de! Rio Prouace. kaba

Lot nie był przyjemny. Pomalowana na kolor nocy dwusilnikowa Cessna podskakiwała, wpadaj»: w turbulencje lak k>tka w czase zaciekle rozgrywanego meczu badmintona. Na piiode Saigado. który był Amerykaninem pochodzenia kubańskiego i imał budowę

futbolowego obrońcy, nie robiło to wrażenia. Zachowywał się jak fatalistyczny obserwator żywiołu.

— Jeśli i tak nie panujemy nad maszyną, jaki jest sens zadreć się? — zapytał zdenerwowanego Pagana, który zajmował miejsce obok niego. Cessna wynurzyła się z chmur. Morze było wzburzone. Niebo nad Key West przecięła błyskawica.

— Nadciąga coś groźnego — powiedział Salgado z przekonaniem baczego obserwatora pogody. Pagan zobaczył, że pędzące chmury zakryły księżyc. Nie było już widać błyskawic nad Key Florida. Na południowym zachodzie, w rejonie Zatoki Meksykańskiej, dokąd zmierzał samolot, niebo oświetlały intensywne białe wyładowania atmosferyczne. Osiemdziesiąt kilometrów od Pinar del Rio Salgado skręcił na południe.

Widać już było pogrążoną w tajemniczych ciemnościach Kubę. Cessna przechyliła się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, sponiewierana nagłym podmuchem powietrza. Pagan spojrzął na zielone światła tablicy rozdzielczej, które nic mu nie mówiły. Czuł się absurdalnie, wisząc i dryfując w powietrzu wewnątrz maszyny, na obsłudze której się nie znał.

Nerwowo przyciskał do siebie dłonie opuszkami palców. Wcale nie pocieszały go przechwałki Salgada o pięćdziesięciu potajemnych lotach na Kubę.

— To pestka, człowieku — pilot skwitował obawy Pagana. Wiedział, którędy omijać posterunki obserwacyjne Castra. Pomimo to

Pagan miał zupełnie wyschnięte gardło. Zastanawiał się, co mu grozi za nielegalne przekroczenie granicy Kuby i za posiadanie broni. Obawiał się, że państwa komunistyczne nie słyną z dobrotliwego traktowania więźniów, a szczególnie tych, którzy naruszyli granice.

Cessna nagle zaczęła się zniżać. Skąd Salgado wiedział — bez śladu autostrady ani jakichkolwiek innych charakterystycznych punktów — gdzie ma wylądować, pozostało dla Pagana tajemnicą. Lądowisko było niewielkim wykarczowanym pasem na plantacji tytoniu. Za przewodników Salgado miał skąpe światło księżyca i własny instynkt. Równie dobrze mógł pilotować z zawiązanymi oczami. Skrzydła musnęły gałęzie, otrząsając z nich liście, i samolot szczęśliwie wylądował.

Pagan zszedł na ziemię. W powietrzu unosił się mocny i gorzki zapach tytoniu. Co dalej planował Salgado? Czy zamierzał odlecieć i zostawić Pagana samego w tym ciemnym i odludnym miejscu? Okolica wyglądała na nie zamieszkaną. Żadnych świateł wokół, tylko nieprzenikniona ciemność. Do świtu pozostało zaledwie kilka godzin.

Salgado wysiadł z kabiny.

— Do widzenia. Muszę wrócić, zanim burza stanie się naprawdę groźna. Ktoś przyjdzie po pana.

— Kiedy?

— Jesteśmy na Kubie, przyjacielu. A tutaj ludzie nie kierują się zegarem przy odmierzaniu czasu. Mają swój własny system.

— Wspaniale. — Ta informacja wcale nie zadowoliła Pagana. Pragnął usłyszeć, że Kubańcy są punktualni, zawsze stawiają! się



na umówione spotkania i można na nich polegać.

— Adios — powiedział Salgado.

— Niech pan zaczeka...

— Proszę się odprężyć. Ktoś się zjawi. Może pan być pewien.

Pagan umilkł. Patrzył, jak Salgado wspina się z powrotem do kabiny. Cessna zatoczyła łuk i zawróciła, na moment przystanęła, a potem nabierając szybkości zaczęła pędzić wzdłuż pasa startowego. Wzbiła się nad polami, muskając po drodze wierzchołki drzew, i zaiąz stała się zupełnie niewidoczna — czarny samolot na czarnym niebie. Gdy Salgado odleciał, Pagan jeszcze dotkliwiej odczuł pustkę nocy, jak gdyby pękła jedyna nić, która łączyła go z bezpiecznym otoczeniem. Został sam, niepewny własnego losu w tym niegościnnym kraju.

Rozlegał się krzyk spłoszonych ptaków', żabi skrzek, gwałtowny powiew wiatru wśród roślin, nic więcej. Pagan czuł się jak ślepiec, jak człowiek pozbawiony jakiegokolwiek orientacji.

Uplłynęło dziesięć minut, a może kwadrans, gdy na skraju pola pojawiło się światło lampy, które kołysało się nieznacznie w miarę zbliżania się. Pagan dostrzegł w nim twarz o złamanym nosie, która należała do mężczyzny w średnim wieku. Był ubrany w czarną koszulę, niebieskie dżinsy i słomkowy kapelusz.

— Czy to pan nazywa się Pagan? — zapytał mężczyzna.

Frank przytaknął. Mężczyzna zbliżył się, świecąc Paganowi prosto w oczy. Swąd nafty był obezwładniający. Pagan cofnął twarz przed płomieniem lampy.

—Mam instrukcje, żeby pana odprowadzić do autostrady. Tam czeka na pana samochód. — Kubańczyk poinformował Pagana, że jest znany jako El Boxeador. Jego angielski był zrozumiały dopiero, gdy wolno wymawiał słowa.

— Czy daleko stąd do głównej szosy?

— Nie, to blisko. Trzy kilometry.

Pagan szedł za światłem lampy i zastanawiał się, jaki charakter mogła mieć organizacja, do której należeli Salgado i El Boxeador, dzięki której mógł odbyć tę podróż. Doszedł do wniosku, że mężczyźni pewnie byli członkami gangu zajmującego się przemytem narkotyków.

który Navarro wykrył, ale przeciwko któremu z jakichś powodów postanowił nie otwierać postępowania sądowego.

Powietrze było ciężkie. Ziemia pod stopami przypominała maź. Tu i ówdzie wynurzała się z mroku chata, a czasami ujadał pies, ale nikt nie wyszedł, by sprawdzić dlaczego. El Boxeador, były mistrz Kuby w wadze ciężkiej, wyjaśnił Paganowi, że Castro miał wielu zwolenników wśród chłopów, a niektórzy z nich byli nawet wysoko postawionymi osobistościami w Komitetach Obrony Rewolucji. Gdy wymówił tę nazwę, splunął z pogardą.

Brnęli przez pola i z trudem przedzierali się pomiędzy drzewami oraz bujnym listowiem. Pagan poczuł znajomy ból w piersi i zastanawiał się, czy nie zażyć środka przeciwbólowego, ale odrzucił tę myśl. Od czasu do czasu Boxeador, słysząc jakiś hałas, skręcał płomień, by po chwili zapalić go z powrotem, co nie było łatwym zadaniem z powodu zbyt krótkiego knota albo braku nafty. W końcu doszli do autostrady — wąskiej szosy na uboczu o chropowatej i połatanej nawierzchni.

Pagan spojrzał uważnie na pogrążoną w ciemności drogę, jak gdyby spodziewał się zobaczyć wojskowy patrol albo karabinierów i oczekiwał ponizającego aresztowania. Ale nic się nie poruszyło ani nie przejechał żaden pojazd.

W końcu dotarli do miejsca, gdzie w zagajniku stał ukryty samochód. Był to model oldsmobile'a z lat pięćdziesiątych — zarzewiały, wielokrotnie przemalowywany i podobnie jak wąska szosa

naprawiany w wielu miejscach. Najwyraźniej uległ kiedyś wypadkowi. Dziura w bagażniku wyglądała jak blizna pomimo niezdarnych wysiłków zalepienia jej włóknem szklanym. Na Kubie wciąż było wiele amerykańskich samochodów, reliktyw sprzed rewolucji, które oddani właściciele kochali i otaczali troskliwą opieką.

El Boxeador dumnie wskazał na pojazd, zapewniając, że pędzi jak campeón i choć jest trochę porysowany, ma na liczniku zaledwie sześćset pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Kubańczyk spodziewał się, że samochód przejeździ jeszcze drugie tyle. Obicia były podarte. Z siedzeń pomiędzy tłustymi taśmami, którymi pozalepiano materiał tapicerski, wystawały sprężyny. Pagan, niepoprawny miłośnik amerykańskich samochodów, spojrział tklawie na tablicę rozdzielczą.

— W skrytce znajdzie pan latarkę i mapę — powiedział El Boxeador. — Jest tam też potrzebny panu adres. — Wsunął się do środka i wskazał na skrawek papieru przyklejony taśmą z tyłu schowka, w miejscu, w którym był ledwie zauważalny. — Ma pan tam też plan Hawany. Rosabal mieszka w Vedado na ostatnim piętrze nowego, trzykondygnacyjnego budynku. W domu dla grubych ryb, jak się pan domyśla, który jest zwykle strzeżony przez jednego uzbrojonego wartownika. C/asami bywa ich kilku. Musi pan sobie sam dać z nimi radę, przyjacielu.

Pagan nie chciał zastanawiać się nad ewentualnymi kłopotami. Jeśli natknie się na uzbrojonego strażnika, wtedy coś postanowi. Uścisnął Kubańczykowi dłoń i usiadł za kierownicą.

El Boxeador zastukał w okno.

—Droga prowadzi prosto do Hawany. Powodzenia!

Pagan zdobył się na uśmiech wdzięczności, a potem spojrzął przez szybę na ponurą szosę. Przebył już kawał drogi. Ale nagle pięć tysięcy kilometrów za nim wydało mu się niczym w porównaniu ze stu pięćdziesięcioma, które miał przed sobą. Nie był turystą ani legalnym gościem i nie przysługiwały mu w tym kraju żadne prawa. Zapуścił silnik i samochód ruszył z ogłuszającym rykiem.

To jest to, pomyślał. Znalazł się w miejscu, z którego nie było już odwrotu.

Za niecałe półtorej godziny będzie w Hawanie.

Ohio

Sheridan Perry opuścił przed świtem Waszyngton, udając się do swojego prywatnego sanktuarium, w którym spodziewał się znaleźć bezpieczne schronienie. Był przerażony morderczym atakiem, który miał miejsce ubiegłej nocy. Siedząc w czarnym cadillacu i obserwując jesienną scenerię stanu Ohio, wspominał, jak razem z Kinnairdem zniknęli ze sceny przed przybyciem policji. Za oknem samochodu rozpościerał się monotony krajobraz i dominował ponury nastrój, typowy dla tej pory roku. Nisko nad horyzontem pojawiło się olbrzymie zimne słońce o barwie nowego pensa, oświetlając chłodnymi promieniami opustoszałe pola i ścierniska.

Perry wpatrywał się w pola jak zahipnotyzowany. Za każdym razem, gdy zamknął oczy, widział Harry'ego Hurta. Wciąż słyszał ten straszny odgłos łapczywie chwytanego powietrza, jaki wydał Hurt, gdy się odwrócił od okna i zwałił na podłogę z mózgiem

roztrzaskanym jak rozgnieciona dynia. Perry kazał kierowcy zatrzymać się w Youngstown. Chciał się napić kawy. Usiadł na stołku przy barze w towarzystwie swojego otyłego szofera oraz silnego pracownika ochrony, którego wynajął po wydarzeniu w mieszkaniu Harry'ego. Słuchał piosenki z szafy grającej Six days on the road w wykonaniu Raving Dave Dudleya. To dzisiaj miał być ten dzień, pomyślał Perry. Dzisiaj na

Kubie to się miało wydarzyć. Szkoda, że Harry Hurt nie zobaczy owoców swojej pracy.

Wypił do końca kawę. Wstał od baru. Eskortowany przez szofera i członka ochrony osobistej, wrócił do limuzyny.

Na północ od Youngstown, niedaleko Ashtabuli, Perry miał swoje tajne miejsce, posiadłość, którą kupił kilka lat temu. Dom położony wśród gęstych drzew nad jeziorem Erie otaczało ogrodzenie pod wysokim napięciem. Perry nigdy tam nie przyjmował gości ani nie sprowadzał kobiet. Tylko sprzątaczką, mieszkanką Ashtabuli, i służący Paco z Polinezji wiedzieli, że dom należy do Perry'ego.

Jadąc na północ. Perry przerzucał papiery związane z interesami, które ostatnio zaniedbał. Nie potrafił jednak skupić się na problemach przyptywów gotówkowych spółki wyrębu lasów w Vittoria Conquista w Brazylii. Zamknął teczkę, nalał sobie porcję whisky i znowu zapatrzył się na drogę.

Samochód dzieliło tylko trzydzieści kilometrów od jeziora Erie. J. W miarę zbliżania się do domu, Perry'emu poprawiało się samopoczucie.

Po chwili pokazały się spokojne wody jeziora. Nie był to może najpiękniejszy na świecie widok wód śródlądowych, ale Sheridanowi Perry'emu wydał się w tym momencie najwspanialszy.

Pośród drzew, głównie topoli, których огоłocone gałęzie przypominały delikatne obłoki, prześwitywał dom zbudowany z barwionej sosny. Był położony na wzgórzu. Brama pod wysokim napięciem

otworzyła się za pomocą zdalnie sterowanego urządzenia. Limuzyna wjechała na podjazd, zatrzymując się przed frontowym wejściem. \*

Perry był zadowolony, że jest już na miejscu. Wsiadł z samochodu.

Na ganku zjawiała się pani Stakowski z Ashtabuli oraz służący | Paco w śnieżnobiałej marynarce. Oboje sprawiali wrażenie zdener- | wowanych. Nie spodziewali się wizyty Perry'ego o tej porze roku. | Zwykle przyjeżdżał tylko wiosną, a czasami wczesnym latem, ponieważ nie odpowiadał mu tutejszy klimat w czasie pozostałych miesięcy.

Perry wszedł na ganek. Otyły szofer i pracownik ochrony poszli za nim.

Dom, pomyślał Perry. Tutaj miał swoje komputery, faksy, aktualne ceny z rynku papierów wartościowych, które się wyświetlały na ekranach telewizorów, obszerną wannę, wibrujące łóżko i zbiory filmów pornograficznych z Filipin, a także gry elektroniczne i kolekcję strzelb.

— Witamy — powiedział służący.

Pani Stakowski otworzyła Perry'emu drzwi. Robiła to z wyraźnym ■ ociąganiem i lekkim grymasem, którego znaczenia Perry nie potrafił I odczytać. W pokoju panował półmrok. Sheridan zdołał tylko dostrzec sylwetki trzech mężczyzn, którzy stali obok kominka. Upuścił teczkę. Usłyszał lament pani Stakowski, która się tłumaczyła, że nie miała wyboru, gdyż przybysze byli uzbrojeni. Potem mignęła mu biała



marynarka Paca, który pierzchnął z ganku i pędził w stronę lasu. Przerażony Perry odwrócił się w stronę otwartych drzwi, za którymi zamarł w bezruchu otyły szofer.

Sheridan Perry został zmieciony ogniem z broni automatycznej. Po upływie kilku sekund było już po wszystkim. Pociski trafiły go w gardło, w piersi oraz żebra. Chociaż mężnie próbował zawrócić i ratować się ucieczką, jego wysiłki były daremne. Zatoczył się w stronę ganku, osunął na kolana i opadł na szofera. Wiedziony instynktowną siłą zdołał się jeszcze podnieść, ale zaraz przewalił się przez poręcz na stertę zgrabionych liści.

Pani Stakowski zginęła od strzału w czaszkę i leżała u podnóża schodów. Szofer próbował uciec, ale został trafiony w tył karku. Pracownik ochrony wyjął z kabury pistolet i odpowiedział ogniem w mroczne wnętrze pokoju. Jednak kilka pocisków dosięgło jego tchawicy, a jeden trafił go w oko.

Trzej zabójcy naradzili się po hiszpańsku. Uznali, że służący Paco nie był wart zachodu. O czym mógł powiedzieć władzom? Poza tym kubańscy zamachowcy nie przypuszczali, żeby poszedł na policję z jednego prostego powodu — nie miał zielonej karty.

Santiago de Cuba Province, Kuba

Przed świtem z wiosek otaczających Santiago ruszyły pierwsze kubańskie oddziały. Wojsko przemieszczało się w sowieckich czołgach. Konwoje przesuwaly się w cieniu szczytów Sierra Maestra, gdzie ponad trzydzieści lat temu Fidel zgromadził rewolucjonistów, którzy szykowali się do obalenia reżimu Batistv. W ciemnościach

osnute mgłą legend i mitów góry wydawały się nieosiągalne i tajemnicze.

Oddziały tworzące batalion przejeżdżały w pięćdziesięciu trzech czołgach przez starożytne miasto Bayamo. Pod wpływem wibracji gąsienic brzęczały brudne szyby w witrynach sklepowych i rozkołysał się stary dzwon na wieży św. Jana Ewangelisty. W Bayamo konwoje zostały zasilone tysiącami rezerwistów' z Ochotniczych Oddziałów Armii. Stąd konwoje kierowały się na Holguin, gdzie w pobliżu Guardalavaca Beach zaplanowano rozpoczęcie manewrów. Za dzień lub dwa oddziały miały dotrzeć do miejscowości wypoczynkowych.

W czasie gdy oddziały piechoty przemierzały obszary lądowe,

cztery okieły Kiib;tuskie| Mntyiiniki Wojennej zbudowane dwadzieścia l;il (( 'lim w Odessie, pr/cslaizale nawet wcdlll^ standardów radzieckich, opływały (»uantnnnmo, bioiijc kurs na (iiiardalavaca licach. I >/ic:a(,v saniololów, które były zmodyfikowanymi wersjami radzieckich migów, |>rzele< iało o świv- i«i nad Santiago i skierowało się na I lolgum Jednostki Ir miały równio/ odegrać swoj;| rolę w manewrach

I lak prowincja Santiago dc ( nha /ostała pozbnwinna obrony. A miejsce pi/.owid/.iane na lokalizacji; pocisku, dwadzieścia pięć kilometrów <◇d liisloiyčných (ortów Moiro na wybiz.czu Santiago, zostało opanowane przez kilkudziesięciu oficerów autykoimmistów i ponad dwustu żołnierzy, w tym specjalistów wyszkolonych przez Sowieców w dziedzinie budowy pocisków nuklearnych. Wszyscy służyli w oddziałach specjalnych generała ('a|inblanki. (.jnipe tę miały później zasilić jednostki inwazyjne z Hondurasu z nowoczesnym uzbrojeniem i lotnictwem, któremu powierzono zadanie zniszczenia sil powietrznych ( astra na ziemi. Przewidywano, że w drodze na Hawanę dol;iez.;| jeszcze inni zbuntowani oficerowie ze swoimi batalionami, w sile, jak szacował ('apablanea, ponad dziesięciu tysięcy żołnierzy. Plan spotkał się z poparciem całego społeczeństwa rolników, golowych podnieść rękę na ( astra, rozczarowanych kobiet i mężczyzn, którzy byli skłonni strajkować, blokować główne drogi i okupować public/uc budynki ~ całego podziemnego ruchu, o którym Kosabal powiedział,

że jest niezachwiany i przygotowany tło powstania. Jak zatem można było wylpić w wynik przedsięwzięcia?

Zachodnia Wirginia

Krótkowzroczny technik w stacji badawczej, która miała kształt kopuły i stała jak wielkie ugotowane jajko w odosobnionym, zalesionym miejscu, analizował zdjęcia przekazane wczesnym rankiem przez satelitę z trzydziestu siedmiu tysięcy kilometrów nad ziemi;). Wielokrotnie powiększone i wyostrzone przez komputery, przedstawiały różnorodne plamy, które dla niewprawnego oka nie inogły zupełnie niczego oznaczać. Ale technik był doświadczony i wiedział, czego szuka.

Zatelefonował pod numer dowódcy okręgu w Waszyngtonie. Telefon odebrała młoda kobieta o nazwisku Karen, której miękki głos wzbudził w samotnym techniku pożądanie. Poprosiła, żeby zdjęcia zostały natychmiast wysłane przez kuriera do biura Petera I alka. Technik, który spędził zbyt wiele godzin w odosobnieniu i któremu głos Karen wydał się zachwycający, zobowiązał się dostarczyć je osobiście.

Ko/dział XVIII

Hawan»

Kierowciii Magdaleny loncnle by) lekarz AIIIk-ho ( aulo. chudy nerwowy mężczyzna. Spotkał się z ni;) na poguj/onym w eieiiiniośuach lotnisku pomiędzy Hawan;) a San Josć de I as I iij.is. gd/ir wylądował jej samolot z I loiydy. Nie pilotowała osobiście małego ptjna ( lioctaz robiła to wielokrotnie przedtem, dzisiaj

obawiała się, że nie /dola utrzymać kontroli nad samolotem, skoro nie mogła zapanować nad sam;| sob;|j. Poza tym nie znała terenu ani lodowiska (iando załatwił samolot i wynajął pilota niskiego, mocnego mężczyznę, który pracował w I lawanie jako pizcwodmk turystyczny ( iibatmu i spiał wrazenie zadowolonego z życia komunisty, (iarrido zaplanował podróż Magdaleny z, wielk.) dokładności;). On też /organizował spotkanie z ('antem, który przyjechał po ni;t na lotnisko ład;)

(iarrido poci;|gn;|ł w Hawanie za wszystkie sznurki, za które tylko mógł. Przypomnił stare przysługi Odnowił dawne przyjaźnie. Przeprowadził szereg potajemnych rozmów telefonicznych, ustalił miejsca i terminy w typowy dla siebie, skrupulatny sposób. Działanie ożywiło go. Odkrycie zdrady Kosa ha la wywołało w mm podniecenie, jakiego nie zaznał od czasów młodości w Santiago. Zamiast się sprzeczać ze swoimi kolegami demokratami na wygnaniu i gromadzić fundusze na now.) rewolucję, której data zawsze była irytująco nieokreślona, miał w końcu do zrobienia coś konkretnego i surowego. Kosabal zdradził wszystko i wszystkich, za co mogła go spotkać tylko jedna kara.

Na końcu opustoszałego i smaganego wiatrem pasa startowego Magdalena wsiadła do samochodu Alberta ( anta. Kierowca natychmiast opuścił szybę, gdy zobaczył, że kobieta wyjmuje papierosa. Zapaliła mimo wszystko. Trzęsła się jej ręka i miała nadzieję, że (. 'anto lego nie zauważył. Na kolanach trzymała zielony worek od (iarnda, do którego jeszcze nie zajrzała.

— Wysadzę panią jak najbliżej celu — powiedział. — Czasami w tamtej okolicy zjawiają się dodatkowe patrole policyjne. Zawsze wzbudzają we mnie niepokój. A całe to przedsięwzięcie po prostu mnie przeraża.

— Dlaczego w takim razie zgodził się pan mnie podwieźć?

— Dlatego, że stoję po pani stronie. Co nie znaczy, że jestem typem bohatera. Wręcz przeciwnie. Ma pani przed sobą tylko przestraszonego lekarza. Nie lubię ryzyka. Mam zbyt słabą konstrukcję psychiczną. Nie potrafiłbym zrobić tego co pani. Nie mógłbym przylecieć nielegalnie głuchą nocą do obcego kraju. Szczególnie takiego jak Kuba.

Zrobisz to. do czego zmusi cię życie, pomyślała Magdalena. Sam się zdziwisz, na co cię stać. Ale milczała i odwróciła twarz w stronę okna. W' oddali wyłaniała się Hawana. Przejeżdżali przez okolice z niskimi zabudowaniami, chatami oraz placami budów, na których stały porzucane rusztowania, drabiny i betoniarki. Z zaniedbanych przedmieść droga prowadziła do innej Hawany, gdzie w centrum na tle ciemnego nieba wyrastały okazałe budowle i pomniki. Tu i ówdzie, pośród niewielu starych i ponurych drapaczy chmur, które dominowały nad zniszczonymi rezydencjami z czasów kolonialnych, pojawiały się nowoczesne rozwiązania architektoniczne.

Wspomnienie tego miejsca, które widziała po raz ostatni, gdy miała dziesięć lat, niewiele miało wspólnego z tym, co widziała teraz. Najczęściej wracała pamięcią do ciepłych i mglistych wieczorów,

palm oraz grup studentów, którzy rozprawiali o polityce, spacerując tłumnie po San Lazaro Street. Teraz nikt nie dyskutował o polityce w miejscach publicznych. Przypomniała sobie stragany z hamburgerami i ostrygami na Infanta Street oraz wspaniały zapach, jaki unosił się w wilgotnym powietrzu. Stragany prawdopodobnie zlikwidowano i na pewno nie sprzedawano już ostryg. Zapamiętała godną podziwu urodę pewnej dobrze ubranej kobiety na San Rafaeli i własne marzenia o zachwycającym życiu po osiągnięciu pełnoletności, o ekskluzywnych nocnych klubach, parkietach, orkiestrach i muzykach w smokingach.

Spojrzała na Alberta Canto. Po karku spływał mu pot na rozpięty kołnierzyk białej koszuli. Wyjął z kieszeni marynarki lnianą chustkę i przycisnął ją do twarzy.

— Jeśli złapią pana w moim towarzystwie, może pan wiele stracić — powiedziała Magdalena.

Canto spojrzał na nią smutnym wzrokiem.

— Zastanawiam się, czy w ogóle jeszcze coś zostało do stracenia na Kubie. Życie jest tu bardzo ponure. Ale ludzie nie poddają się, choć daje im się we znaki. Samobójstwo nie jest wyjściem. Mnie, jak sądzę, najbardziej brakuje zwykłej codziennej radości. I tego, że nie ma na nią nadziei. Czasami zastanawiam się, czy nie powinienem uciec do Miami i grać tam roli emigranta.

Czy tak właśnie Canto widział ją. Garrida i wszystkich innych uchodźców w USA — jako aktorów odgrywających swoje role? W tym niewesołym stwierdzeniu nieomal zabrzmiało oskarżenie.

Magdalena nie odpowiedziała. Nie miała podstaw, by oponować. Nie mieszkała tutaj. Być może jej Kuba to tylko wymyślone miejsce, efekt imaginacji, nierzeczywisty obraz, który — jak sądziła umiałaby zmienić, a nie codzienna ciężka i monotonna rzecz/ywistość. w jakiej przyszło żyć Cantowi.

Czy to wszystko było tylko wymysłem? Iluzją? Nie wiedziała już sama, Doświadczała dziwnego wrażenia, znalazłszy się po trzydziestu latach tutaj, w rodzinnym kraju. Zawsze miała świadomość, że żyje na ołwyznie i przepelniała ją ona melancholią. Cóż mogło być straszniejszego od konieczności opuszczenia ojczyzny i zamieszkania w obcym państwie tylko dlatego, że hołdowało się pewnym zasadom? Emigracja była żalonym położeniem — tęsknotą, którą uchodźcy próbowali wyśmiewać jako głupotę, ale nigdy nie robili tego w sposób przekonywający.

A teraz poczuła woń kubańskiej nocy i wydawało jej się, że nigdy przedtem nie знаła żadnych innych zapachów. Należała tutaj, do tego miejsca, które Rafael Rosabal jej obiecał i z którego potem ją ograbił. Nagle uświadomiła sobie jego bliskość. Dzielilo ją od niego zaledwie dziesięć, a może piętnaście minut drogi. Co czuła? Co rzeczywiście czuła? Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.

Canto zwolnił w pobliżu Vadado. Zaparkował ładę na nie oświetlonej ulicy pod rozpostartymi liśćmi palmy, wyłączył światła, ale nie zgasił silnika.

— Za następnym rogiem skreći pani w prawo. W połowie ulicy stoi nowy budynek. Niski. Ekskluzywny. Rosabal mieszka na najwyż-



szym piętrze. Zawsze przy wejściu czuwa wartownik. — Canto przerwał, ponownie ocierając twarz chustką. — Dzięki temu, że mamy przyjaciół w różnych miejscach, któremuś z nich udało się przekonać strażnika, który miał dzisiaj dyżur, żeby zachorował. Do jego zastępcy nie dotarło i nigdy nie dotrze polecenie stawienia się do pracy. Zwykle, biurokratyczne przeoczenie. Jedno z wielu na Kubie.

— To duże ułatwienie.

— Czasem dopisuje nam szczęście. — Canto zapatrzył się przez szybę. Wiatr nagle smagnął liśćmi palmy, głośno uderzając o dach samochodu.

— A co z żoną Rosabala? Czy też tam mieszka?

— Nie wiedziałem, że Rosabal jest żonaty — rzekł Canto.

Witaj w klubie nieświadomych, pomyślała Magdalena.

Otworzyła drzwi samochodu.

— Za dziesięć minut wrócę w to samo miejsce — powiedział Canto, spoglądając na zegarek. — Jeśli pani nie zobaczę, przyjadę z<sub>a</sub> następne dziesięć minut. Jeśli do tego czasu pani się nie pokaże spróbuję trzeci raz po dziesięciu minutach pod warunkiem, że<sub>e</sub> będzie bezpieczne. Zawiozę panią z powrotem na lotnisko. A jeśli p<sub>an</sub>j nie będzie... no cóż, wolałbym panią tu zastać.

Przed wyjściem z samochodu Magdalena otworzyła worek od Garrida. W środku znajdował się lekki rewolwer automatyczny marki Frazer, którego rękojeść była wyłożona imitacją masy perłowej. Wsunęła broń do kieszeni skórzanej marynarki i ponownie sięgnęła do worka. Wyjęła brązową buteleczkę, w której znajdowały się dwie nie oznaczone białe kapsułki. Przez chwilę przyglądała się im ze zdumieniem. Ale zaraz pojęła. Garrido wykonał melodramatyczny gest, zaopatrując ją w pigułki na wypadek niepowodzenia — środki samobójcze. Połknij dwie naraz. Leż spokojnie, zapomnienie gwarantowane. Najwyraźniej nie miał wątpliwości co do zadania, które ją sprowadzało do Hawany. Dla niego wszystko było jasne. Albo je wykona i wróci do Miami, albo zostanie schwytana i zażyje pastylki. Nie dostrzegał całej złożoności problemu. Nie brał pod uwagę uczuciowego zaangażowania. Nie wyobrażał sobie, żeby mogła mieć chwile wahania. Nawet nie chciał o nich wiedzieć. W miarę jak się starzał, wolał, żeby świat był mniej skomplikowany i

łatwiej poddawał się jego woli.

Wetknęła buteleczkę do kieszeni dżinsów i wysiadła z samochodu. Canto odjechał. Odeszła szybkim krokiem, ale zaraz ukryła się w mroku i zamarła w bezruchu.

Na chodniku po przeciwnej stronie w świetle jedynej palącej się latarni rozmawiali ze sobą dwaj mężczyźni. Jeden miał na sobie mundur, a drugi białą guayabere. Mężczyzna w mundurze zdjął czapkę, odchylił do tyłu głowę i roześmiał się, wyraźnie czymś rozbawiony. Miał broń i pewnie był policjantem. Magdalena nie miała pojęcia, kim mógł być jego rozmówca. Po chwili śmiali się już obaj z nachylnymi do siebie głowami jak konspiratorzy. Potem policjant odwrócił się, skinął ręką na pożegnanie i odszedł. Drugi mężczyzna zniknął w jednym z domów — budowli w stylu późnego baroku, przerobionej na drogie apartamenty. Motłoch nie mieszkał w tej dzielnicy.

Magdalena odczekała, aż na ulicy nie będzie nikogo, i poszła dalej. Dom, w którym mieszkał Rafael, był niepokąźny i raczej skromny. Widocznie minister finansów Kuby musiał zachowywać pozory życia na niskiej stopie w tym legendarnym komunistycznym społeczeństwie.

Przed wejściem Magdalena zatrzymała się. Obrzuciła wzrokiem niskie schody, które prowadziły do oszklonych drzwi. W hallu dostrzegła oświetlone stanowisko recepcyjne, w którym nikogo nie było. Pchnęła drzwi i weszła do środka. Po lewej stronie znajdowała się winda, ale Magdalena zdecydowała się skorzystać ze schodów.

Prędko i bezszelestnie wspinała się po nich, opanowana niesamowitym uczuciem, że to wszystko nie dzieje się na jawie, a prawdziwa Magdalena Torrente przebywa w Key Biscayne. Gdy wchodziła na górę, rewolwer w kieszeni głucho uderzał o jej biodro. Na każdym piętrze był tylko jeden apartament. Bez trudu znalazła mieszkanie Rosa bała.

Podeszła do drzwi bez numeru i bez wizytówki.

Znajdziesz przyjemność w zabiciu go — powiedział Garrido.

Masz do tego większe prawo niż ktokolwiek inny.

Delikatnie zapukała.

Czekała.

Pagan pełen niepokoju jechał główną szosą, która łączyła Pinar del Rio z Hawaną. Żółtawa poświata księżycy na pasmach Sierra de los Organos nadawała krajobrazowi nierzeczywisty charakter. Oldsmobile był bardziej wrakiem niż samochodem i zaczął pobrząkiwać w sposób typowy dla wyeksploatowanych pojazdów. Ale jeszcze nie dawał za wygraną.

W pobliżu San Cristóbal, gdzie w 1962 roku Sowieci zainstalowali wyrzutnie pocisków typu SS-4, co doprowadziło do kubańskiego kryzysu raketowego, Pagan zaparkował samochód pod drzewami, schodząc z drogi konwojowi wojskowych samochodów ciężarowych, który nadciągał, nie zważając na zasady ruchu drogowego. Sunął całą szerokością jezdnii, groźnie świecąc przyćmionymi reflektorami. Gdy przejechała ostatnia ciężarówka, Pagan ruszył dalej.

Znalazł się na przedmieściach Hawany w dzielnicy Marianao.

Zatrzymał się na spokojnej, bocznej ulicy i zajrzał do mapy, którą otrzymał od El Boxeadora. Poświecił sobie latarką. Rosabal mieszkał w dzielnicy Vadado, która jak się zorientował, leżała kilka ulic dalej od Maleconu — nadmorskiego wału wzdłuż wybrzeży Hawany.

Mijał pograżone w ciemnościach domy, nie oświetlone sklepy, punkt sprzedaży lodów Coppelia, nieczynny bar i przysłała mu do głowy dziwaczna myśl, że miasto opanowała jakaś plaga. Nie było przechodniów i ciszę przerywał tylko hałas gwałtownie otwieranych drzwi do czynszowych mieszkań, zza których dobiegały piskliwe śmiechy i podchmielone głosy.

Latarnie uliczne praktycznie nie istniały, a jeśli zdarzała się jakaś, jej światło miało intensywność świecy. W ciemności poruszały ją gałęzie bujnych drzew. Tu i ówdzie rozpościerały się jak opuszczone pałace duże, przeładowane ozdobami budowle. Niektóre z nich były kiedyś akademiami religijnymi, siedzibami usuniętych spółek handlowych norte americano albo rezydencjami wydalonych z kraju bogaczy. Pagan prowadził samochód w skupieniu, słysząc na każdym zakręcie skrzypienie zużytych i delikatnych jak membrana opon.

Dojechał do alei znanej jako Paseo, zatłoczonej ciężarówkami i prywatnymi samochodami, na której kłócili się ludzie z powodu wypadku. Chevy 56 wjechał w bok furgonu. Paganowi nie podobało się to zamieszanie. Skręcił w lewo, a potem w prawo, przeciął Avenida de los Presidentes i ponownie znalazł się na wąskich, bezimiennych ulicach. W końcu oldsmobile dokonał tego, do czego nieuchronnie zmierzał od ostatnich osiemdziesięciu kilometrów — zakrztusił się, zatrząsł i stanął przed parkingiem za jednym z czynszowych domów. Ogarnięty paniką Pagan walczył przez chwilę z samochodem, przekręcając kilkakrotnie klucz w stacyjce. Ale silnik nawet nie drgnął.

Był martwy.

Pagan wysiadł z pojazdu i sfrustrowany kopnął przednią oponę. Potem w świetle latarki przejrzał mapę i starał się zapamiętać drogę do domu Rosabala.

Szedł przez dziesięć minut, zatrzymując się w mroku i szukając z

niepokojem znaków na ulicy i jezdni, które by odpowiadały mapie. Z okna nad mięsnym sklepem dobiegły go powolne dźwięki gitary i cienki kobiecy głos, który śpiewał *Una desgracia unfortunada*, a gdzieś dalej, jak gdyby w odpowiedzi, skrzeczenie ptaka w klatce. Za skrzyżowaniem doleciał od strony morza zapach starych kamieni i powietrza, w którym Pagan nieomal poczuł nasyconą solą wodę. Przeszedł pod neonami nieczynnej apteki, banku i restauracji.

Raz, a może dwa razy zobaczył przejeżdżającą taksówkę. Z jakiejś odległej piekarni dotarła do niego woń pieczonego chleba, pogłębiając uczucie głodu. Kiedy ostatni raz jadł? W czasie lotu z Londynu do Miami. Nie mógł sobie przypomnieć, co to było. Coś okropnego. Drażnił go zapach chleba. Szedł dalej i myślał o tym, dokąd zmierza. Trzymał się blisko ścian domów i przemykał się pod drzewami. Chwilami wiatr tak przybierał na sile, że Pagan musiał wstrzymać oddech i odwracać głowę.

Zastanawiał się, jak daleką drogę ma jeszcze przed sobą i czy idzie we właściwym kierunku. Zatrzymał się i wyciągnął wymiętą mapę, żeby ponownie ją przestudiować. Latarka, pechowa jak samochód, zamrugła i zgasła. C/y nic nie działało na tej cholernej wyspie? Stał pod pierwszą napotkaną latarnią i przyjrzał się planowi.

Do diabła, nic w jego otoczeniu nie zgadzało się / mapą. Zgodnie z obraną trasą powinien znaleźć się przy małym parku, który na planie był oznaczony niewielkim, zielonym kwadratem. Zamiast niego Pagan miał przed sobą wąskie ulice z walącymi się domami i z pewnością nie była to dzielnica, w której mógłby mieszkać minister

finansów Kuby.

Sieć wąskich ulic i stare domy, podobne do siebie jak lustrzane odbicia. Labirynt — pułapka z koszmarne snu, z którego chciałoby się gwałtownie przebudzić i znaleźć w znajomym wnętrzu własnej sypialni.

Tylko że to nie sen, Frank.

Jezu, plan zupełnie nie odpowiadał otoczeniu. Pagan jeszcze raz strzepnął mapę, przejrzał ją, zamrugnął oczami i przypomniał sobie, że kiedyś słyszał o celowym wydawaniu błędnych przewodników w komunistycznych krajach. Miały zbić z tropu odwiedzających, wprowadzić ich w błąd, zapobiec przebywaniu na otoczonych tajemnicą terenach i zwiedzaniu “drażliwych” miejsc — slumsów, obozów wojskowych czy siedzib władz bezpieczeństwa. Słyszał też o często zmienianych nazwach ulic, gdy do władzy dochodził kolejny przywódca partyjny. Czy Garda Street nie została na przykład przemianowana na Munoz Street? Czy te pogłoski były prawdziwe? Miał ochotę zmiąć mapę i ją wyrzucić, ale nawet jeśli wprowadzała go w błąd i niedoskonale oddawała rzeczywistość, była jego jedyną wskazówką w poszukiwaniu Rosabala.

Szedł dalej. Wąskie ulice oraz zadziwiająco ciche ciemne domy budziły w nim poczucie zagrożenia. Pogrążone w mroku i ciszy wejścia do mieszkań sugerowały obecność osób, które śledziły jego kroki. Przeczytał kiedyś, że na Kubie każde sąsiedztwo, każdy blok miał swoją własną organizację szpiegowską, której członkowie donosili władzom o pojawieniu się w okolicy obcych. Starał się iść



pewnym krokiem jak tutejszy, który późno wraca do domu. Jego obecność nie była niczym nadzwyczajnym. Zaczął cicho pogwizdywać, ale zaraz umilkł. Co się stanie, jeśli zabłądził i nigdy nie wydobędzie się z tego labiryntu? Ciągłe będzie tu krążył i nie zobaczy już nazwy ulicy, numeru domu ani znajomej twarzy? Jeden wielki koszmar i nie kończący się wewnętrzny krzyk przerażenia.

Nagle, gdy zaczął już tracić nadzieję, ulice stały się szersze, domy większe i zamożniejsze, a roślinność bujniejsza. Latarnie dawały intensywniejsze światło. Zobaczył przed sobą park, którego szukał. Poczł ogromną ulgę. Niewielki skrawek zieleni był dla Pagana odkryciem o zasadniczym znaczeniu. Znowu zajrzał do mapy. Jeśli

odpowiadała rzeczywistości, musiał iść dalej w kierunku północnym, by kilka bloków dalej dojść do Calle Santa Maria — do ulicy, na której mieszkał Rosabal.

Na chwilę poprawił mu się humor. Był z siebie dumny. Pomimo trudności doszedł tak daleko. Nawet gdy przejeżdżający obok niego samochód zwolnił, nie od razu prysnął pogodny nastrój Pagana. Szedł dalej, nie oglądając się na pojazd. Ale gdy poczuł na sobie badawczy wzrok i zdał sobie sprawę, że śledzi go policyjny patrol, jego pewność siebie prędko ulotniła się. Zachowaj spokój, Frank. Idź dalej. Nie zwracaj uwagi. Udawaj, że wracasz do domu po nocy spędzonej w mieście, a raczej w miejscu, które niegdyś nim było.

Samochód przyspieszył i wyprzedził Pagana. Na najbliższym rogu zahamował i zatrzymał się. Pagan nie zwolnił kroku. Widział, jak otworzyły się drzwi pojazdu i wyłoniła się tuż przed nim otyła postać. Policjant stanął na środku chodnika na lekko rozstawionych nogach — najwyraźniej zamierzał zatrzymać Pagana. Może obowiązywało jakieś dziwne prawo, które zabraniało chodzenia po ulicach o określonej porze. Albo Pagan wyglądał podejrzanie jak nocny maruder, którego obecność zawsze wzbudziłaby zainteresowanie przejeżdżającego obok policjanta.

Cholera. Zaraz padną pytania w języku hiszpańskim i żądanie okazania dokumentów. A gdybym udawał, że jestem niemową, pomyślał Pagan. Co by to dało?

Nie zwolnił kroku. Zaszedł już tak daleko i nie zamierzał dopuścić,

by jakiś gruby kubański policjant pokrzyżował jego plany. Był tylko jeden sposób i nie miał nic wspólnego z błagą. Pagan szedł ze wzrokiem wbitym w chodnik pod stopami. Spojrzał w górę dopiero wtedy, gdy niemal wpadł na policjanta. Uśmiechnął się do niego przyjaźnie, jak gdyby zdziwiony jego obecnością. Gdy dzieliły go już tylko centymetry od Kubańczyka i padło zaczepne pytanie w języku hiszpańskim, zacisnął swoje wielkie pięści. Zebrał w sobie wszystkie siły. Zaatakował od dołu. Wymierzył cios z wysokości biodra. Przeciął powietrze ostrym łukiem, wyprowadzając uderzenie, które policjant dostrzegł, ale którego nie mógł już uniknąć. Kontakt pięści z brodą dał Paganowi bolesną satysfakcję, chociaż otyły policjant nie przewrócił się od razu. Cofnął się przed napierającym Paganem, który wymierzył drugi cios, nieczysty i niebezpieczny, prosto w zgrubienie krtani. Uderzenie było ostre i mocne. Policjantowi wyszły na wierzch oczy. Padł tym razem na plecy i rozciągnął się na ziemi z szeroko rozrzuconymi nogami.

Pagan pospiesznie się oddalił, czując obolałe kłykcie. Był zadowolony, że rozegrał to szybko i że nie stracił umiejętności celnego uderzenia. Martwiło go tylko, że tak wiele wysiłku wymagała ta konfrontacja i niepokoiło wyczerpanie, które odczuwał idąc szybkim krokiem bezbarwnymi ulicami obcego miasta,

Cabo Gracias a Dios, Honduras

Na trzy godziny przed świtem Tomas Fuentes wydał ostatnie rozkazy związane z ewakuacją obozu. Zawezwał do siebie dowódców razem z ich podwładnymi. Wyglądali sztywno i schludnie w

swoich zgrabnych polowych mundurach khaki. Fuentes, który nosił ogromny pistolet w kaburze na lewym biodrze, przemówił do nich przez megafon. Życzył im powodzenia w oczekujących ich zadaniach.

Pięciuset żołnierzy miało znaleźć się na pokładach dwóch okrętów wojennych, które stały zakotwiczone koło przylądka. Sześciuset natomiast miały zabrać na morze fregaty i statki transportowe. Skyhawki, harriersy miały zapewnić im osłonę powietrzną, a F-16 zabezpieczyć ochronę amfibii w czasie inwazji. Wybrzeża nie były strzeżone. Dzięki manewrom wojskowym oddziały kubańskie przebywały po drugiej stronie wyspy. Bombardowanie i ataki z powietrza miały rozbić niewielkie jednostki powietrznej obrony Kuby. Składy amunicji i linie komunikacyjne zamierzano zniszczyć w pierwszej kolejności. Wyładowane ze statków czołgi i armaty planowano przetransportować na drogę wiodącą do Hawany za Santiago de Cuba, gdzie spodziewany był opór fidelistas. Jak oświadczył Fuentes, nie oczekiwano innego rezultatu poza zwycięstwem sił niosących wolność. Tym bardziej, w tym miejscu Tomas przerwał dla podkreślenia efektu, że Fidel nie był obecnie zdolny do poprowadzenia swoich oddziałów, co nieuchronnie musiało mieć niekorzystny wpływ na morale komunistycznego wojska. Stwierdzenie to zebrani powitali radosnymi okrzykami.

Fuentes zapewnił żołnierzy, że ta inwazja pod każdym względem miała różnić się od poprzednich. Tym razem byli dobrze przygotowani. Tym razem mieli zdumiewające poparcie swoich braci z armii — kochających pokój Kubańczyków. Tym razem

przewidywano ludowy przewrót na Kubie, gdyż Castro był znieawidzony. W 1961 roku czczono go, ale to się zmieniło. Teraz Kuba była nieszczęśliwa i uciskana, a społeczeństwo umęczone na śmierć.

Fuentes spojrział na zegarek. Za cztery' godziny pocisk znajdzie się na Kubie i zostanie wycelowany na Miami. Wkrótce potem oddziały inwazyjne wylądują na plażach i nastąpią pierwsze ataki powietrzne na komunistyczne bazy i lotniska. Gdy tylko przejmą kontrolę nad Santiago i skierują na Central Highway swoje czołowe oddziały, do

których dołączą zbuntowani przeciwko Castrovi żołnierze i kontrrewolucyjny ruch oporu, każda gazeta na Zachodzie opublikuje satelitarne zdjęcia uzbrojonego pocisku nuklearnego. Fuenties już wyobrażał sobie nagłówki, Planowane przez Castra uderzenie nuklearne na USA, unicestwione dzięki siłom inwazyjnym oraz Kubańskiemu Ruchowi Powstańczemu. Potem pojawią się zdjęcia techników, rozbijających głowicę jądrową. Fuentes, w którego naturze leżała potrzeba rozgłosu, miał zamiar dopilnować, by znaleźć się na którymś z ujęć.

Tomas powiedział, że ponad trzydzieści lat to zbyt długo. Ponad trzydzieści jałowych lat życzeń, pragnień, tęsknoty i nienawiści.

— Libertad! — krzyknął. — Viva Cuba libre! — zadudnił na wietrze jego głos z megafonu.

Zasalutował swoim żołnierzom, którzy złamali szyki i ruszyli spokojnie w stronę plaży.

Tomas Fuentes, który miał lecieć na Kubę w jednym z F-16 i wylądować natychmiast po wykonaniu zadania przez samoloty bojowe, wszedł po raz ostatni do namiotu. Jutro cały obóz miał być już tylko wspomnieniem. Bosanquet poszedł za nim. Obaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu. Ciszę zakłócały jedynie odgłosy spychaczy, które likwidowały ścieżki pomiędzy namiotami i zacierały wszelkie ślady tego niewielkiego, prowizorycznego miasta. Wkrótce dżungla przejmie tę ziemię w swoje panowanie. Odbierze to, co zostało od niej pożyczone.

—Nienawidzę tego cholernego miejsca, ale będzie mi go brakowało — powiedział Fuentes warkliwie jak człowiek, który uważa przejaw sentymentalizmu za słabość.

Bosanquet podzielał jego opinię. Po chwili wstał i poszedł do swojego namiotu rozmontować radio. Zwlekał z tym do ostatniego momentu, gdyż się spodziewał wiadomości od Harry'ego Hurta — jakiejś podnoszącej na duchu wypowiedzi, kilku ciepłych słów zachęty, lecz radio milczało od wielu godzin.

Może Harry milczał ze względów bezpieczeństwa.

Tak, pomyślał Bosanquet. To musiał być ten powód.

Harry zawsze wierzył w środki ostrożności.

Hawana

Drzwi otworzyła ta sama kobieta, którą Magdalena widziała na zdjęciach Durana. Miała subtelne kastylijskie rysy i była ładna, jeśli ktoś lubił ten typ urody. Włosy, które zwykle zaczesywała gładko do tyłu i związywała, lśniły teraz rozrzucone na białych ramionach.

Miała

pełne usta i delikatny prosty nos Ale najpicknieis/e w jej twai/y były oczy o głębokim spojrzeniu i barwie gorzkie] r/ekolads.

—Słucham?

Magdalena przez chwilę nie odzywała się, dotykając ukrytej w kieszeni broni. Przez cały czas brała pod uwagę możliwość, że fotografie zostały sfalszowane przez Dura na z. jemu tylko znanych powodów. Nie chciała uwierzyć w istnienie tej kobiety. A »eta/, gdy musiała stawie czoło rzeczywistości, miała wrażenie, że /. głowy odpłynęła jej

cała krew.

— Chcę się widzieć z Rafaelem — powiedziała niepewnym głosem. Kobieta popatrzyła na Magdalenę, jak gdyby nie była zaskoczona jej widokiem.

— Nie ma go w domu. Powinien wkrótce wrócić.

— Zaczekam, jeśli pani pozwoli. — Magdalena weszła do mieszkania o słodkim jak woda lawendowa zapachu. Nie pT/.ewtdywała nieobecności Rafaela. Postanowiła upewnić się, czy kobieta powied/iitła jej prawdę, i nie zaproszona obesła całe mieszkanie. Estela dreptała za nią protestując. Na ścianach wisiały dzieła sztuki, które nawiązywały do niemodnego już kubizmu. Wnętrze oświetlały tylko lampy stołowe, które dawały nikłe światło i rzucały osobliwe żółte cienie. Magdałcna weszła do sypialni, a potem do kuchni. W mieszkaniu me było nikogo poza Estelą.

— Czego pani szuka? Nie zapraszałam pani do środka. O co pani chodzi? — dopytywała się Estela.

W sypialni Magdalena spostrzegła wymięte białe prześcieradła, butelkę wody toaletowej na szafce nocnej i rzucony na łóżko jedwabny szlafrok Rafaela. Panowała tu atmosfera intymności, której nie mogła znieść. Przed oczami jawiła się jej straszna wizja: Rafael z Esteią w łóżku i ich splecione ze sobą ciała. Czy dzielił z żoną tę samą pasję co z nią? To niemożliwe. Nic nie mogło się równać z temperaturą ich wzajemnej namiętności.

Kobiety znalazły się z powrotem w salonie.



—Zadowolona? Czego pani szukała, jeśli wolno spytać? — zapytała Estela.

—Gdzie on jest?

— Wyjechał w sprawach służbowych. — Estela usiadła i spojrzała na elektroniczny zegar stojący na półce. — Dlaczego chce się pani z nim zobaczyć?

—Czy rzeczywiście chce pani znać prawdę? — zapytała Magdalena.

—Nie jestem pewna. — Estela zamilkła. Słyszeć było tylko delikatne tykanie zegara. — Mam przeczucie w związku z panią. Z panią i Rafaelem. Przeczucie. Miałam je od pierwszej chwili, gdy

zobaczyłam panią w drzwiach. I potem, gdy wtargnęła pani do mieszkania...

— Jakie przeczucie?

— Niezbyt dobre.

Magdalenę nagle opanowała chęć zemsty — uczucie, którego rzadko doświadczała w swoim życiu. Miała ochotę trzasnąć tę młodą osobę w twarz, ale opanowała się. To nie wina Esteli, że została żoną Rafaela. Prawdopodobnie nawet nie wiedziała o istnieniu Magdaleny. Poza tym było coś miłego w osobowości pani Rosabal, a jej spojrzenie miało wyraz inteligencji. Nie była typem bezmyślnej lalki. We wnętrzu Esteli Capablanki-Rosabal kryły się głębokie. Ta świadomość wzmocniła w Magdalenie poczucie zagrożenia. Rafe mógł po prostu kochać Estelę i byłoby to zupełnie zrozumiałe. Małżeństwo Rosabalów nie musiało mieć politycznego podłoża ani być wykalkulowanym związkiem. Rafe mógł kochać tę kobietę za to, kim była.

— Jesteśmy przyjaciółmi. Znam Rafe'a od bardzo dawna — powiedziała Magdalena.

— Nie, jesteście dla siebie czymś więcej niż tylko przyjaciółmi. Odnoszę wrażenie... — Estela nie dokończyła zdania.

Zrobiła gest ręką, jak gdyby rozpaczliwie poszukiwała właściwego słowa.

Magdalena milczała. Mogła powiedzieć: Tak, tak, to prawda, kochamy się ze sobą, spotykamy się w obcych miastach i kochamy

się do utraty przytomności, ale nie zrobiła tego. Przyjechała po to, żeby stanąć twarzą w twarz z Rafaelem, a nie z jego młodą żoną.

— Czasami podejrzewałam, że w jego życiu istnieje inna kobieta. Ale nie wiedziałam, kim jest. Ani że jest tak piękna. Jak się pani nazywa?

Magdalena odpowiedziała na to pytanie. Estela cicho powtórzyła kilkakrotnie jej imię.

— Ma miłe brzmienie.

Magdalena podeszła do okna, odsunęła zasłonę i wyjrzała na ulicę. Wszystko było zbyt uprzejme, pomyślała. To spotkanie, kulturalne zachowanie Esteli i podziw, jaki wyrażała dla jej imienia i urody. Chciała, żeby Rafael już wrócił i mogła mieć za sobą tę konfrontację, bez względu na jej wynik. Czuła się nieswojo w tym mieszkaniu, w którym Rafe żył ze swoją żoną. Rozbolała ją głowa. Rafael nie mieszka tutaj, powiedziała sobie. W każdym razie nie ten Rafael, którego znasz. To ktoś inny. Jakiś obcy człowiek.

— Czy kocha go pani? — zapytała Estela.

— Tak. — Pomimo wszystko tak, tak, tak.

Estela zawahała się.

— A on, czy też panią kocha?

— Ożenił się z panią, nie ze mną.

— Ale nie powiedział pani, że jest żonaty, prawda?

— To nie pani sprawa.

— Sądzę, że moja. — Estela położyła dłonie na kolanach. Ślubna obrączka rozbłysła w świetle lampy. — Wszystko, co jest związane z

moim mężem, dotyczy również mnie. Dlaczego tak pani zależy, żeby się z nim spotkać?

Magdalena wyjrzała przez okno. Po lewej stronie zobaczyła mały basen, otoczony płotem. Pod powierzchnią niebieskozielonej wody zapłonęło migotliwe światło.

Jak rozsądnie brzmiały wypowiedzi Esteli i jaka była opanowana. Jak silną musiała mieć psychikę, by móc rozmawiać z kochanką męża bez okazywania hysterii. Młoda kobieta zachowywała się bardzo dojrzałe jak na swój wiek. Magdalena pomyślała, że jej samej nie byłoby stać na tak godną postawę i stanowczość. Poczła zazdrość. Nie o Rafaela, który dzielił życie z inną kobietą. Ale o młody wiek jego żony, spokojny i rozsądny sposób bycia, za którym kryła się godna podziwu dojrzałość i żelazna siła woli. O cechy, których Magdalenie ostatnio brakowało. Nawet nie wyobrażała sobie dotychczas, czego się wyrzekła dla miłości do Rosabala. Miała być niezależna. Po ślubie z Rafaelem zamierzała być kimś więcej niż tylko jego żoną. Małżeństwo, Jezu Chryste!

Przeszły ją dreszcze. Za oknem na dole wiatr mierzwił gładką powierzchnię basenu, tworząc na niej koncentryczne koła.

—Niech mi pani powie, dlaczego chce się z nim zobaczyć — ponownie zapytała Estela. Podniosła się z kanapy i stanęła obok Magdaleny z rękami założonymi pod biustem.

Doskonałe piersi, pomyślała Magdalena. Doskonała skóra. Gładka i nieskazitelna, nie tknięta jeszcze upływem czasu. Pełne niepokoju oględziny przed lustrem obce były tej miłej i stanowczej młodej

twarzy, tak jak nieznane jej było uczucie przygnębienia, gdy wiek się znaczył kolejną nieprzyjemną rysą. Dla kogoś tak młodego jak Estela starość była równie odległym pojęciem jak śmierć albo choroba — nieszczęściem, które zawsze spotyka innych.

Nagle Magdalena poczuła oburzenie tak gwałtowne, że dla niej samej było zaskoczeniem. Señora miała młodość i Rafaela. Dzieliła jego życie. Należała do jego świata i przyszłości, w której to Magdalena, a nie ona, miała odegrać znaczącą rolę. Co pozostało dla odtrąconej kochanki? Co miała począć ze swoim poczuciem straty?

Na ulicy przed domem zatrzymał się samochód. Magdalena odsunęła się od okna.

— Czy Rafe jeździ BMW? — zapytała.

— Tak.

— Właśnie przyjechał.

Wyjęła broń. Kazała Esteli usiąść i cicho się zachowywać.

— Dlaczego, na miłość boską, przyszła pani tutaj z bronią? — zapytała Estela.

Magdalena podeszła do drzwi i stanęła za nimi w bezruchu, nasłuchując odgłosu kroków, ale dobiegło tylko skrzypienie wjeżdżającej windy.

— Po co pani broń? — dopytywała się Estela.

Magdalena nie odpowiedziała.

— Czy zamierza go pani zastrzelić?

— Cicho bądź! — Magdalena machnęła pistoletem i Estela, która właśnie zaczęła się podnosić, usiadła z powrotem.

— Proszę. Błagam. Niech go pani nie zabija.

Winda się zatrzymała, ktoś z niej wyszedł i stanął przed wejściem do mieszkania. Dobiegł słaby dźwięk wyjmowanych kluczy. Zamek ustąpił i drzwi się otworzyły.

Do pokoju wszedł Rafael. Miał na sobie granatową wiatrówkę, dzinsy oraz sportowe buty i był jak zwykle nieznośnie przystojny. I opanowany. Jeśli widok Magdaleny zaskoczył go, nie dał tego po sobie poznać. Tylko na moment chmura przesłoniła mu oczy, a na

twarzy pojawił się ledwie zauważalny niepokój.

— Co za miła niespodzianka — powiedział, a jego uśmiech wypełnił i rozjaśnił pokój. Miał dar roztaczania wokół blasku swoim jasnym, urzekającym uśmiechem. Magdalena z trudem się powstrzymała, by nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć jego twarzy.

— Przypuszczam, że bez trudu potrafisz mi wszystko wytłumaczyć — powiedziała ostrym tonem.

— Wytłumaczyć? Ach, pewnie myślisz o moim małżeństwie.

— Nie mówiłeś, że jesteś żonaty — stwierdziła Magdalena.

— A powinienem? Czy rościsz sobie do mnie jakieś prawa?

— Zaczniemy od kwoty siedmiu milionów dolarów.

Rosabal nalał sobie z karafki niewielką porcję sherry. Nie zatrzęsła mu się ręka.

— Nie lubię, gdy mierzy się do mnie z pistoletu.

— To cholernie źle — powiedziała. Nie chciała, by dostrzegł w jej zachowaniu albo wypowiedziach rozczarowanie ani jakiegokolwiek inne uczucia. Zamierzała być równie opanowana jak on.

— Pieniądze zostały wydane na szlachetny cel. moja droga.

— Ale nie na len, na który były przeznaczone — rzekła.

— Są różne rodzaje potrzeb. Starłem się być sprawiedliwy.

Trochę pieniędzy przekazywałem tu, trochę tam... — powiedział Rosabal.

— A trochę do własnej kieszeni na czarną godzinę.

Rosabal wzruszył ramionami, jak gdyby był zakłopotany oskarżeniami Magdaleny i ich nie rozumiał. Nic nie powiedział. Robił

wrażenie urażonego. Gdy sącył sherry, Magdalena pomyślała: Doskonale odgrywa swoją rolę. Niejednokrotnie dawała się zwieść.

Kątem oka dostrzegła zmieszanie na twarzy Esteli. Dowiadywała się właśnie niemiłych rzeczy o mężczyźnie, którego poślubiła.

— Zamierzasz mnie zastrzelić? — w pytaniu Rosabala zabrzmiał protekcyjny ton.

Magdalena przypomniała sobie ten sam głos w innych sytuacjach — wśród poskręcanych prześcieradeł, gdy stawał się figlarnym szeptem, w zatłoczonych restauracjach, gdzie wygłaszał znad menu gorszące propozycje, i w chwilach żywiołowej namiętności, gdy przemawiał tajemniczym językiem miłości. Boże. pomóż mi. pomyślała. Wciąż go pragnę.

— Miej to na uwadze, Magdaleno, że zabijając mnie, zabijesz nową rewolucję — powiedział.

— O tak, z pewnością. Prawie zapomniałam o nowej rewolucji. O naszej rewolucji. Ale wspomóż moją pamięć. Chciałabym wszystko

o niej usłyszeć. Jestem przekonana, że twoją żonę również to zainteresuje. Ludzie, których oszukałeś, też mieliby ochotę dowiedzieć się czegoś o rewolucji, za którą zapłacili.

— Daruj sobie sarkazm, moja droga. To niegodne ciebie. — Zamilkł, spoglądając jej w oczy tym samym co zwykle mądrym spojrzeniem. — Za kilka godzin Castro już nie będzie żył — powiedział.

— Castro zgładzony? — zapytała Estela z lękiem.

— Zgładzony — odpowiedział Rosabal, nie patrząc na przerażoną



twarz żony.

— Nie wierzę ci, Rafe — powiedziała Magdalena. — Kłamiesz, tak jak dotychczas. Przez cały czas nie robiłeś nic innego, tylko kłamałeś i okradałeś ludzi, którzy ci zaufali.

Rosabal westchnął, jak gdyby myśl, że ktoś mógłby w niego wątpić, była niedorzeczna.

— Wręcz przeciwnie, moja droga. Gdy stoisz tu i wymachujesz mi przed nosem bronią, oficerowie z kubańskich sił zbrojnych przedsięwzięli stanowcze kroki, żeby przygotować udany przewrót. Masz przed sobą nowego prezydenta naszego narodu.

— Ty, nowym prezydentem? — zapytała Estela. Rosabal uciszył ją szybkim, rozkazującym gestem. Zamknęła oczy i zwróciła w bok swoją uroczą, posmutniałą nagle twarz.

Magdałenę zastanowiła nieoczekiwana powaga w głosie Rosabała. Zmienił nagle kierunek, przechodząc w jednej chwili z pozycji domniemanego przestępcy i nadużywającego cudzego zaufania oszusta do roli przyszłego prezydenta. Przeobrażenie było błyskawiczne, ale nie powinno tak bardzo zaskoczyć Magdaleny. Mogła już się nauczyć odczytywać myśli Rafaela. A przecież wciąż były dla niej nieodgadnionym obszarem, który z bagien przemieniał się nagle w lodowiec, a z łąk w ruchome piaski.

— Przypuśćmy, że mówisz teraz prawdę. Co stanie się z emigrantami? Z Garridem? Z ludźmi z New Jersey i Kalifornii, którzy zbierali dla ciebie pieniądze? Jaką przewidujesz dla nich rolę? — zapytała.

Rosabal usiadł na kanapie. Sprawiał wrażenie odprężonego, jak gdyby miał już za sobą drobny kryzys.

— Takim ludziom jak Garrido zostaną powierzone ważne funkcje na mojej nowej Kubie. Nie zostaną pominięci. Mają przecież moje słowo.

Moja nowa Kuba. Zaniepokoiło ją to zdanie. Rosabal mówił o wyspie jak o swojej własności. Ale nie chciała się nad tym zastanawiać. Tak jak wolą nie kwestionować tego, co Rafael nazywał swoim słowem. Była jak zubożała kobieta, która na widok

falszywych pieniędzy ma wbrew zdrowemu rozsądkowi nadzieję, że się okażą prawdziwe i pomogą się jej wydostać z nędzy.

— Co z innymi sprawami? Nowym społeczeństwem? Demokracją. Tym wszystkim, o czym rozmawialiśmy. Co z naszymi planami? Czy zostaną zrealizowane?

Rosabal uśmiechnął się z wyrozumiałością, jak osoba zmuszona objaśniać proste reguły arytmetyczne.

— Wszystko w swoim czasie, moja droga. Zmian nie należy wprowadzać w pośpiechu. Ludzie muszą zostać na nie przygotowani. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Wszystko w swoim czasie, pomyślała. Tak, miał rację. Społeczeństwa nie można zmienić w ciągu jednej nocy. Do diabła z nim! Przyłapała się na tym, że myśli dokładnie tak, jak on tego chciał. Ślepo się z nim zgadzała. Miłość paraliżowała jej wolę. Odsuń się od niego, pomyślała. Zachowaj dystans, niech ci się wydaje, że go nigdy nie kochałaś, wymyśl nieprawdziwą historię. Udawaj sama przed sobą, że nigdy nie prosił cię o rękę. Zapomnij, że były jakieś plany na przyszłość. Miej wrażenie, że słońce wschodzi na zachodzie, a w południe świeci księżyc.

— Jaki ustrój wprowadzisz na miejsce komunizmu?

— Będę sprawował sprawiedliwe rządy. Jednak nie spodziewaj się po mnie, że okażę słabość. Nie dopuszczę więcej do anarchii, ale też się nie zgodzę na natychmiastową demokrację. Wolne wybory przeprowadzę w późniejszym terminie, może za jakieś pięć lat.

— Za pięć lat? Spodziewałam się, że wolne wybory zostaną

zorganizowane w przeciągu kilku miesięcy, sześciu, najdalej dziewięciu.

— Wzruszający jest twój optymizm. Ale Kubańczycy nie są gotowi, by decydować o własnej przyszłości.

— Co się będzie działo do czasu wyborów?

— Będziemy przygotowywać naród do demokracji.

— Pod twoimi absolutnymi rządami...

— Naturalnie.

— A twoje pięć lat może zamienić się w dziesięć. Piętnaście. Dwadzieścia. Co się stanie, jeśli nie ustąpisz, Rafe? Jeśli nie będziesz chciał zrezygnować z władzy? Nic się nie zmieni, oprócz nazwiska dyktatora.

Rosabal pokręcił przecząco głową.

— Przesadzasz. Zmieni się wszystko. Nie będzie komunizmu. Nie będzie ograniczeń i braków. Ani zależności od Sowietów.

Kubańczycy znów staną się wolnym narodem.

Magdalena odwróciła się. Lepiej nie patrzeć na jego twarz. Nawet teraz potrafił być przekonujący. Wolny naród, pomyślała. Czy tak właśnie powiedział? Jak Kuba mogła stać się wolna bez wyborów? Jak mogła odzyskać niezależność, gdy o jej losie miał decydować sam Rafael Rosabal? Wszyscy dyktatorzy mogli mieć na początku postępowe poglądy polityczne, a niektórzy z nich nawet dobre zamiary, zanim chciwość i władza ich nie zepsuła i nie pchnęła do zastosowania tych samych środków, na których do dzisiaj oparty jest porządek w wielu krajach — tajnej policji, więzień politycznych,

tortur i nieprzestrzegania podstawowych praw człowieka.

Spojrzała na niego ponownie. Przyglądał się jej, licząc, że odłoży broń i powie mu, że się pomyliła i nadal go popiera.

\* Do diabła z tobą, Rafe. W tej chwili miała ochotę tylko go uderzyć.

Popatrzyła na Estelę i powiedziała bezbarwnym, mściwym tonem:

— Obiecał, że się ze mną ożeni. Zwykle w łóżku snuliśmy plany o naszym ślubie. Spotykaliśmy się w Acapulco. W Londynie. I w Bar- f celonie. Nie sądzę, żeby pani o tym wspominała.

\ To było marne zagranie, wymierzone przeciwko niemu, by poczuł

I się skrepowany. Lecz on zareagował tylko dziwnym śmiechem, jak

gdyby uznał jej zachowanie za żenujące, a sam nie musiał się niczego wstydzić. Wprawilo ją to w ogromne zakłopotanie. To sposób, w jaki ją zranił, sprawił, że upadła tak nisko, by opowiadać o jego intymnym życiu w obecności niewinnej młodej żony. Nagle zapragnęła wszystkiemu zaprzeczyć. Zrobiło się jej wstyd.

Estela zaczęła coś mówić, ale natychmiast umilkła na widok gestu męża. Nienawidziła sposobu, w jaki ją uciszał — władczym, falującym ruchem ręki. Czy sądził, że uda mu się zamknąć jej usta, gdy tylko będzie chciał? Pomimo spokojnego zachowania wcale nie była lepiej przygotowana do stawienia czoła sytuacji od Magdaleny, kobiety, dla której nieoczekiwanie poczuła ogromne współczucie. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Załamana Magdalena zupełnie straciła panowanie nad sobą. Jedyne serce z kamienia by się nie poruszyło.

Nie ulegało wątpliwości, że Rafael okłamał tę kobietę, kochankę, którą Estela tak często sobie wyobrażała. Zdradził też ją, swoją żonę, i nie okazał ani wstydu, ani skruchy.

Estela założyła ręce na brzuchu. Bała się. Swojego męża i tego, co usłyszała w tym pokoju. Przerażało ją coś więcej niż samo odkrycie pozamałżeńskich stosunków i zawiedziona miłość. Wiedziała, że takie rzeczy zdarzają się każdego dnia, w każdej minucie i choć niosą ze sobą ból, życie toczy się dalej. Z czasem ludzie zapominają, a dawne rany zblizniają się. Powodem jej ogromnego strachu była wiadomość

O planach zamordowania Castra i objęcia prezydentury przez Rafaela.

A więc to były te tajne sprawy, w które był zamieszany generał Capablanca, Rafael i solterón Diaz-Alfonso. Z tym miały związek nocne spotkania. Polityka na Kubie, z wszelkimi jej animozjami i nienawiścią, była domeną mężczyzn. Estela nie chciała mieć nic wspólnego z tym mglistym światem. Ale wiedziała, że Castro nie podda się łatwo. Będzie walczył. Należał do tych, którym zawsze udawało się przetrwać. Przeżył większość swoich rywali. Wyobraziła sobie straszliwy obraz zatłoczonych czołgami i działami dróg, ciał w rowach, płonących plantacji trzciny cukrowej, sąsiadów walczących przeciwko sobie i cierpienie, które są zawsze udziałem dzieci w świecie przemocy dorosłych ludzi. Kuba stanie się kolejnym Salwadorem albo Nikaraguą. Jak mogą ambicje mężczyzn, takich jak jej mąż i generał, pchać wyspę ku zagładzie? Co będzie, jeśli ich rewolucja nie powiedzie się i Castro wyjdzie z niej zwycięsko? Rosabal będzie napiętnowany jako zdrajca, a ona zostanie uznana za winną przez związek z nim. A dziecko? Co się wtedy stanie z tym bezimiennym płodem wewnątrz niej? Poczula smutek, a potem powoli zaczęła w niej wzbierać złość.

— Skoro nie chcesz rozmawiać o propozycji małżeństwa, Rafaelu, pomówmy o pocisku nuklearnym. Ten temat powinien być dla ciebie łatwiejszy. — Magdalena postanowiła podejść Rosabala z innej strony.

W dłoni mocno zaciskała rękojeść pistoletu.

Zastanawiała się, jak bliska jest pociągnięcia za cyngiel. Przerazało

ją to, że nie wie. Nie była pewna, na co ją stać. Czuła się, jak gdyby wewnątrz niej żyła obca osoba, której zachowania nie można przewidzieć. Zdawała sobie sprawę, że nie ma zamiaru dawać za wygraną, że chce mu dokuczyć i w miarę możliwości sprawić ból, ale równocześnie miała ochotę go objąć i kochać się z nim. To niebezpieczne, Magdaleno. Czy była aż tak chora?

— Pewnie zaraz skłamiesz i będziesz utrzymywał, że nie miałeś nic wspólnego ze zleceniem tej kradzieży Guntherowi Ruhrowi.

Rosabal odstawił pustą szklankę i wodził palcem wokół jej brzegu. Robił wrażenie bardzo spokojnego.

— Masz niezłe źródła informacji, Magdaleno. Jestem pełen uznania. Nie zamierzam kwestionować istnienia pocisku. Ale nie jest prawdziwy. To atrapa. Podstęp, zamiar skompromitowania Castra, nic więcej. Ma służyć na pokaz. Ale jest zupełnie nieszkodliwy.

— Na pokaz?

Wyjaśnił jej, że pocisk ma być rozbrojony, a Castro usunięty, W jego głosie zabrzmiał ten entuzjazm, który zawsze ją porywał, jak gdyby była przedmiotem unoszonym na falach jego energii.

Przerwała mu, gdy tylko zrozumiała, o czym mówi.

— Unieszkodliwisz broń, a cały świat będzie cię wielbił za twoje bohaterstwo. Prawda?

— Dlaczego nie? Świat kocha bohaterów. Poza tym nie ma nas zbyt wielu.

Jesteś dobry, Rafe. Kłamiesz, mówisz prawdę i tak między nimi oscylujesz, że osiągasz ten wynik, o który ci chodzi: zamieszanie. Co



było prawdą, a co fałszem?

— Zgoda. Pocisk jest tylko na pokaz. Zostawmy go na razie w spokoju i zmieńmy temat. Porozmawiajmy o dziewczynce. Zakładnicze. Jaki ją czeka los w rękach Ruhra? — zapytała Magdalena.

— Dziewczynka. Co za dziewczynka? — chciała dowiedzieć się Estela Rosabal. Rozmowa zaczęła przybierać coraz bardziej zaskakujący kierunek. Pociski, zakładnicy, sprawy, o których nic nie wiedziała.

Rosabal znowu uciszył ją gestem, ale tym razem Estela nie zwróciła na niego uwagi i wstała z kanapy. Podeszła do Magdaleny i zwróciła się do niej.

— Jaka zakładniczka? O jakiej dziewczynce pani mówi? Rosabal był wściekły, a jego opanowanie zachwiało się po raz pierwszy. Nieposłuszeństwo żony podważyło w oczach Magdaleny jego machismo.

— Zajmij się swoimi sprawami — powiedział.

Estela nadal nie zważała na męża.

— Czy jest pani pewna, że zakładniczką Ruhra jest dziecko? — zapytała, spoglądając na Magdalenę.

— Tak.

— W jakim wieku?

— Trzynaście, może czternaście lat.

Estela dowiedziała się z wydawanych w Ameryce Środkowej gazet o bestialskiej reputacji Ruhra oraz o sposobie, w jaki traktował dziewczyny w Anglii i innych miejscach na świecie. Widziała też zdjęcia jego ofiar o smutnych twarzach i martwych oczach. Estela nigdy nie potrafiła tolerować przemocy, a już szczególnie tej niepotrzebnej, skierowanej przeciwko dzieciom. Uważała ją za zbrodnię przeciwko niewinności. Za gwałt zadany naturze.

Zwróciła się nagle w stronę męża. Jej broda wyrażała determinację, a oczy rzucały iskry. Agresja zmieniła jej rysy, napinając skórę i uwydatniając mocne kości policzkowe. Chwyliła Rosabala za rękaw koszuli.

— Co masz z tym wspólnego? — domagała się odpowiedzi. — Co, na miłość boską, łączy cię ze sprawą tego dziecka?

— Dziecka? Jakiego dziecka? — wyswobodził rękę.

— Powiedz mi prawdę.

Rafael nalał sobie kolejną porcję sherry. Nie odezwał się.

— Czy mój ojciec o tym wie? — dopytywała się Estela. — Nie

wyobrażam sobie, by mógł w ogóle pochwalać decyzję o wzięciu zakładnika, a co dopiero, gdyby miało nim być dziecko — dodała.

— Generał nic nie ma do powiedzenia w sprawach, o których ja decyduję — rzekł Rosabal.

— Czy mam do niego zatelefonować i zapytać o jego zdanie?

— Rób, co chcesz — powiedział Rosabal, ale bez przekonania. Prawdę mówiąc, generał był mu potrzebny, przynajmniej w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. A ten stary drań o sztywnym karku nigdy nie zaaprobował pomysłu zaangażowania Ruhra i prawie nie przyjmował do wiadomości jego istnienia oraz roli, jaką miał odegrać w całym planie. Wolał wierzyć, że pocisk zmaterializuje się nagle z powietrza. Z pewnością dostałby ataku apopleksji na wiadomość o nieszczęsnym dziecku zniewolonym przez Szpony. Rosabal nie mógł na tym etapie zrazić do siebie Capablanki. Nie mógł ryzykować utraty wsparcia generała i jego żołnierzy. Wszystko by runęło, gdyby Estela skontaktowała się z ojcem.

Sięgnęła po telefon. Bluffowała. Nie miała pojęcia, gdzie ojciec przebywa ani jak mogłaby się z nim połączyć. Generał często zmieniał miejsce pobytu, a podwładni nauczyli się w ciągu wielu lat przestrzegać rozkazu utrzymywania w ścisłej tajemnicy jego ruchów. Nakreślił wyraźną linię oddzielającą prywatne życie od służby wojskowej, granicę, której nie wolno było przekroczyć bez względu na okoliczności. Rosabal nakrył dłonią jej rękę, by nie mogła podnieść słuchawki.

— Tak, to prawda — powiedział. — Jest tam dziecko. Aleja nie

mam z tym nic wspólnego. Stało się to bez mojej wiedzy, Ruhr je porwał...

— Wobec tego musisz je uwolnić.

— Na miłość boską, co nas obchodzi los jakiegoś dziecka. To tylko jedno życie, nic więcej. A ja mówię o życiu milionów Kubańczyków, o nowej Kubie i wolności.

— Nie o tym mówisz, Rafaelu — rzekła Magdalena. — Czy wolność na Kubie w ogóle cię interesuje? Sam powiedziałeś, że skupisz władzę w swoich rękach na czas nieokreślony. Jeśli zamierzasz wprowadzić tylko nieistotne, kosmetyczne zmiany na Kubie, emigranci z Florydy będą cię zwalczać, tak jak zwalczali Castra... — dodała.

— Obie jesteście niemądre — powiedział Rosabal, powstrzymując złość. Był zaskoczony, że kobiety utworzyły wspólny front i nagle go zaatakowały. — Rozumiecie ot... tyle — rzekł, trzymając kciuk pół centymetra poniżej czubka palca wskazującego. Nie potrafił poważnie traktować kobiet, chociaż był uprzejmy, całował je szarmancko w rękę i demonstrował duże doświadczenie w sypialni.

— Uwolnij dziecko — powiedziała Estela. — Zrób to zaraz.

— Nigdy mi nie mów, co i kiedy mam robić. Nie wiem nawet, gdzie ono jest.

Estela jeszcze raz sięgnęła po słuchawkę. Rosabal był szybszy. Chwycił aparat, wyrwał go ze ściany i cisnął nim przez pokój. Telefon uderzył o drzwi i rozpadł się na kawałki.

Estela przez chwilę milczała, a potem zwróciła się do Magdaleny:

— Statek nazywa się La Mandadera. Jeśli dziecko jest w rękach Ruhra, znajduje się na pokładzie tego statku, ponieważ Ruhr jest na nim na pewno.

— Nie słuchaj jej — powiedział Rosabal. — Ona nic nie wie!

— La Mandadera płynie teraz do Santiago — mówiła dalej Estela.  
— Spodziewają się jej tam wkrótce. Za jakieś dwie, może trzy godziny. Rafael ma czekać na statek w porcie. O wszystkim wiem. Mój mąż myślał, że śpię, gdy tutaj spiskował ze swoimi współnikami. Ale ja nie spałam. Przysłuchiwałam się rozmowie. Co miałam innego

do roboty, gdy czułam się samotna? W ten sposób dowiedziałam się o Ruhrze i o statku...

Rozwścieczony Rosabal uderzył żonę w głowę. Nogi się pod nią ugięły i zaczęła się osuwać na ziemię. Przytrzymała się oparcia kanapy

1 zdumiona spojrzała na męża. Magdalena była wstrząśnięta nagłym aktem przemocy. Nie mogła się oprzeć dziwnemu wrażeniu, jakie na niej wywołała demonstracja siły. Podniosła pistolet i wycelowała w Rosabala. Zastrzel go, pomyślała. Zastrzel go teraz.

Wyciągnął do niej rękę. Był znów cudownie opanowany i uśmiechnięty, jak gdyby nic się nie stało. Miał umiejętność odmieniania wszystkiego swoim uśmiechem. Z jego przystojnej twarzy zupełnie zniknęło napięcie. Sprawiał teraz wrażenie osoby, która jest niezdolna do przemocy.

— Dosyć! — powiedział. — Oddaj mi broń. — Zrobił w jej stronę krok.

— Trzymaj się ode mnie z daleka, Rafe.

— Nie jesteśmy wrogami. Byliśmy zbyt sobie bliscy, żeby odnosić się teraz do siebie z taką nienawiścią.

— Nie ruszaj się. — Próbowwała opanować drżenie ręki. Zrobił następny krok. Stał metr od niej, spokojnie wodząc palcem po czole. Jego opalona skóra lśniła, a z ust nie schodził mu uśmiech, irytujący i kuszący zarazem.

— Przecież nadal możemy być razem. Nie musimy rezygnować z

naszych planów — powiedział.

— Bzdura, Rafe. — Nie miała zamiaru dać mu się zwieść jeszcze raz.

— Bądź przy mnie. Popieraj mnie.

— Rafe...

— Możemy porozmawiać o naszych problemach i je wspólnie rozwiązać, Magdaleno. Chyba że mnie zastrzelisz.

— Nie mamy już o czym rozmawiać.

— Wprost przeciwnie, mamy wszystko do omówienia. — Zamknął na chwilę oczy. Jego powieki i długie rzęsy lśniły w świetle lampy. A potem zrobił coś dziwnego. Kilkakrotnie powtórzył jej imię, jak gdyby nigdy przedtem go nie wymawiał i niespodziewanie został oczarowany jego brzmieniem.

— Nie wierz mu — poradziła Estela, ale Magdalena jej nie słyszała, skupiając całą uwagę na Rafaelu, którego głos stał się łagodnym szeptem, pieszczotliwym i hipnotyzującym. Przypomniła sobie, jak rozbierali się nawzajem w pokojach hotelowych w różnych miastach na świecie i porywający, nieprzyzwoity pośpiech, z jakim się kochali. Odtworzyła w pamięci rytuał związany z kostkami cukru, jak

kiedyś, w którymś ze wspaniałych erotycznych momentów, wsunął kostkę pomiędzy jej ciepłe wargi do pochwy i zlizywał cukier, kryształ po kryształ, wysuwając kostkę końcem języka i wpychając ją znowu do środka. Wspomnienie intymnych chwil przeraziło ją. Należało do czasów, kiedy nie istniał dla niej świat bez Rafaela

Rosabala. Teraz też nie wyobrażała sobie takiego świata. Był pustkowiec, pozbawioną życia planetą.

— Odłóż broń, Magdaleno — powiedział bardziej stanowczym tonem. — Pojedziemy dokądś i porozmawiamy.

— Nie...

Wyciągnął rękę.

— Wszystko będzie dobrze — rzekł. — Obiecuję ci. Nie możemy niczego zrobić, dopóki trzymasz pistolet. — Wzruszył ramionami, jak gdyby dalsza rozmowa nie miała sensu, a jej zachowanie rozczarowało go.

— Rafe — powiedziała cicho. Nie chciała być słaba. Ale panował nad nią tak jak zwykle. Głęboko go pragnęła i to był jedyny niezaprzeczalny fakt.

Przejechał palcami po włosach i zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę.

— Rafe...

Miała dziwne wrażenie, że jej peryferyczny obraz uległ zniszczeniu i nie może widzieć nic, poza jego twarzą przed sobą. Rafe dominował w tym pokoju, spychając wszystko inne w cień. Była chora z miłości i miała niezachwianą pewność, że nie potrafiłaby zastrzelić tego mężczyzny, tak jak nie mogła przestać go kochać. Wiedziała o tym od początku, od chwili przyjscia tutaj. Nawet teraz znalazłaby sposób, żeby wybaczyć mu kradzież pieniędzy, małżeństwo, zmianę kształtu przyszłej rewolucji i marzeń — wszystko. Zastrzel go, pomyślała. Ale jak miała strzelić do



najdroższej osoby na świecie? Kogo chciała oszukać?

Opuściła broń, jak gdyby wbrew własnej woli. Przestała słuchać systemu ostrzegawczego, wprawiając w zdumienie swój własny głos rozsądku. Nawet gdy Rosabal wyjmował jej broń z ręki i chował ją do kieszeni marynarki, jakaś jej część wiedziała, że powinna stawić mu opór. Ale gdy się odezwał, doszukała się w jego słowach ciepła, którego nikt poza nią nie słyszał.

— Pojedziemy teraz gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać na osobności — powiedział głosem, którym mógłby przekonać ptaki, by sfrunęły z drzew.

Tak, tak, pomyślała. Pomysł podniecił ją. Pragnęła być z nim sama.

Estela przycisnęła rękę do głowy w miejscu, gdzie została uderzona.

— Dokąd jedziecie? — zapytała.

Rosabal nic odpowiedział. Estela patrzyła za nim, gdy wychodził. To nie był ten człowiek, który w tak czarujący sposób ubiegał się o jej względy. To nie był ten piękny mężczyzna, który przestrzegał wyszukanych zasad etykiety zalecając się do niej i przychodził z kwiatami, szwajcarskimi czekoladkami, kosmetykami oraz widoczną miłością w oczach.

Rosabal wyprowadził Magdalenę na klatkę schodową. Ścisnęła go mocno za rękę. Wszystko będzie dobrze. Musi być. Nie ma innego wyjścia.

— Tędy, moja droga — powiedział.

Gdy zeszli na dół do pustego hallu, za oknami szalała wichura. Dzwoniły szyby w oszklonych drzwiach i trzeszczały palmy.

Odwróciła się i spojrzała na Rafaela. Uśmiechnął się, a potem dotknął otwartą dłońią jej twarzy. Dotyk był czuły. Chciała się z nim kochać zaraz, tutaj. Miejsce nie miało dla niej znaczenia. Pocałowała go, wsuwając rękę pod jego marynarkę. Słyszała niepokonowaną furję wichru, którego podmuch otworzył skrzydło oszklonych drzwi, ale te dźwięki pochodziły ze świata bardzo dla niej odległego. Czowała, że wzbudza w Rafie pożądanie. Pragnął jej. Jego podniecenie usprawiedliwiało ją. Oddanie broni było właściwym krokiem.

— Nie tutaj — rzekł.

— Kocham cię ■— powiedziała, z ociąganiem odsuwając się od niego.

— Ja też cię kocham, ale musimy znaleźć jakieś bardziej odosob-

nione miejsce.

Wyszli na zewnątrz. Powietrze nasycone było elektrycznością i wilgocią, która jak mokre prześcieradło rozciągała się nad miastem.

— Tam stoi mój samochód — powiedział. Trzymał ją za łokieć i prowadził w stronę krawężnika.

— Dokąd jedziemy? — zapytała.

— Mam na myśli jedno miejsce.

— A gdy skończymy się kochać...

— Gdy skończymy się kochać, rozwiążemy problem dzielących nas różnic, jeżeli w ogóle będą jeszcze jakieś. — I roześmiał się dziwnie nerwowo. Otworzył drzwi z jej strony.

Coś sprawiło, że zawahała się, może jego śmiech albo nagły przebłysk świadomości, że uczucia zaćmiły jej rozsądek, a może błyskawica, która oślepiającym światłem rozdarła powietrze. Magdalena miała niejasne wrażenie, że budzi się ze słodkiego snu w groźnej rzeczywistości.

— Wsiadaj do samochodu — powiedział.

Nic miała ochoty. Spojrzała na niego. Miał zaciśnięte usta i trudno było dopatrzeć się w nich czaru, a w chorobliwie błyszczących oczach nie dostrzegła już miłości.

— Wsiadaj — powtórzył.

Otworzyła usta, które nagle stały się całkiem suche. Rosabal trzymał w ręce pistolet i mierzył w jej brzuch.

— Dlaczego to robisz, Rafe? — Nie mogła pojąć sytuacji. Wymykała się jej i Magdalena poczuła panikę.

— Wsiadaj do samochodu — powiedział.

— Nie wsiądę, dopóki nie odłożysz pistoletu.

Przycisnął broń do jej ciała z taką zawziętością, że zabrakło jej tchu. Poczula nagły chłód. Zrozumiała. Była przerażona. Zamierzał ją zabić. Nie przejrzała jego zamiarów. Była tak nieostrożna i głupia, jak piętnastoletnia dziewczyna zakochana po raz pierwszy.

— Rafe, na miłość boską.

— Zrób, co mówię...

— Wielki Boże, Rafe...

— Pozwól mi powiedzieć, jak sprawa naprawdę się przedstawia, Magdaleno. Zawsze będziesz dla mnie problemem. Dzisiaj i jutro. Za dużo o mnie wiesz. Wiesz o moich powiązaniach z Ruhrem. Znajdziemy jakieś ciche miejsce. To nie potrwa dłużej niż sekundę. Ułamki sekund. Nie będzie bolało.

Nie będzie bolało, pomyślała. Zachowywał się jak dentysta, który uspokaja zdenerwowanego pacjenta, a przecież mówił o jej śmierci. W jego głosie brzmiał spokój i to opanowanie przerażało ją bardziej od broni. Był obłąkany, czego przedtem nie dostrzegала, gdyż była zaślepiona miłością. Nie chciał jej i nie była mu potrzebna. Stanowiła problem, dlatego musiała zostać wyeliminowana. To on mógł nasać na nią zabójców w Miami.

Ta myśl obezwładniła ją. Nie mogła oddychać ani przetykać śliny. Sparaliżowana, miała niejasną świadomość, że niebo przecinają błyskawice. Uderzenie pioruna odbijało się echem i dudniło jej w głowie, jak gdyby z niej szydząc.

— Wsiadaj do samochodu — powiedział ponownie Rosabal. — Nie mam wiele czasu, Magdaleno. Pośpiesz się — dodał.

Ulicą wolno jechał samochód. Dopiero po chwili Magdalena rozpoznała ładę Alberta Canta, która zaczęła nabierać prędkości. Rosabal zwrócił twarz w kierunku pojazdu, który zbliżał się do BMW w taki sposób, że zderzenie zdawało się nieuniknione. Skierował pistolet w ładę i zawahał się. Miał wątpliwości, czy powinien strzelać na ulicy. Sąsiedzi. Policja. Jego ministerialny status z pewnością

zapewniłby mu nietykalność i zwolnienie z przesłuchania o morderstwo, gdyby kogoś zabił, ale nadchodzące godziny były precyzyjnie zaplanowane i nie mógł ryzykować narażania się na zwłokę z powodu jakichkolwiek pytań. I tak zmarnował zbyt wiele czasu. Powinien być już w drodze do Santiago. Czas uciekał. Łada wjechała na chodnik i zbliżała się. Gdy samochód dzieliło sześć metrów od BMW, Rosabal wystrzelił. Przednia szyba roztrzaskała się, ale pojazd się nie zatrzymał. Uderzył w bok samochodu Rosabala, stanął w poprzek chodnika i drzwi od strony pasażera otworzyły się. Magdalena sięgnęła do nich i z wdziękiem gimnastyczki rzuciła się w ich kierunku. Zdołała je pochwycić i na nich zawisnąć, gdy łada musnęła ścianę budynku mieszkalnego. Magdalena zamknęła oczy. Uderzył ją pęd powietrza. Samochód podskoczył, zjeżdżając z chodnika na jezdnię.

Rosabal strzelił po raz drugi. Odgłos wystrzału rozległ się równocześnie z kolejnym grzmotem. Nie można ich było odróżnić.

Magdalena opadła na siedzenie.

— Jesteś dzielniejszy, niż sądziłeś, Canto — powiedziała. Jezu, jaki ból. Jak gdyby ktoś dźgał ją nożem.

— Widziałem, w jakiej się znalazłaś opresji. Co miałem robić?

Magdalena obejrzała się za siebie i zobaczyła Rosabala w otoczeniu wścibskich sąsiadów.

— Zatelefonuje po policję. Na pewno to zrobi. Czy możesz się trzymać bocznych ulic?

—Spróbuję — odrzekł Canto.

— Zawieź mnie tam, skąd mnie zabrałeś. Na lądowisko. — Ciężko oddychała.

Canto spojrzał na nią.

—Czy coś się stało?

—Nie, nic.

Spostrzegł plamę krwi na jej bluzce. Trzymała rękę na tym miejscu, jak gdyby chciała je zakryć.

—Jesteś ranna.

—To nic poważnego.

—Rozmawiasz z lekarzem. Pozwól, że ja o tym zadecyduję.

—Zawieź mnie na lądowisko. Tylko to jest ważne.

—Najpierw obejrzę twoją ranę.

— Co masz zamiar zrobić? Zatrzymać się na środku tej ulicy?

Zabandażować mnie? Jedź, Canto. Opatrzysz mnie, gdy dotrzemy do celu.

Zapatrzyła się przed siebie. Wyobraź sobie, że nie dosięgła cię kula Rosabala, pomyślała, że nie przeszła twojego ciała. Wyobraź sobie, że nic się nie stało. Czujesz się dobrze. Wszystko jest w porządku.

Wracasz z powrotem na lądowisko. Cała, bez szwanku. Ale wszystko było nie tak.

Jęknęła i pochyliła się do przodu, odrywając rękę od zranionego miejsca. Było lepkie i wilgotne, postrzępione i przerażające.

—Zaraz zatrzymam się — powiedział Canto.

—Nie zrobisz tego, do diabła.

—Bywam obrzydliwie bezwzględny w postępowaniu z chorymi.  
Nie kłóć się ze mną.

Odchyliła do tyłu głowę, zamknęła oczy i zagryzła dolną wargę. Miała mgliste poczucie daremności i pustki w sercu. Czy tylko po to przybyła z tak daleka na Kubę, żeby stracić życie? Czy tak miało się to wszystko skończyć?

Co za żaloszny finał. Chciała, by zakończenie było inne. Teraz pragnęła odrobiny sprawiedliwości. Tęskniła za zemstą w ten sam sposób, co Garrido. Uświadomiła sobie, że nadal kocha Rosabala z całą intensywnością miłości ofiary do kata. Magdalena nie miała większego wpływu na swoje uczucia niż na wirus we krwi. Ale kochając w ten sposób nigdy by nie zaznała wolności. Nie o takiej miłości marzyła.

Był tylko jeden sposób wyzwolenia się spod jej wpływów.

Otworzyła oczy i poprzez mgłę bólu spojrzała na Canto.

—Jestem bojowniczką, Canto. Zawsze nią byłam.

—Nigdy w to nie wątpił — odparł spokojnie Canto, chociaż nie podobał mu się jej nierówny oddech.

Gdy Frank Pagan dotarł na miejsce, około czterdziestu pięciu minut po odjeździe Magdaleny, zaczęły padać wielkie krople deszczu. Ulica znów była cicha i pusta. Przed budynkiem mieszkalnym stało uszkodzone BMW. Pagan, przemoczony i niezbyt szczęśliwy, wszedł do hallu, minął portiernię i ruszył w kierunku schodów. Dotarł na górę i wyciągnął broń firmy Bernardelli. Pierwszeństwo miały sprawy najważniejsze. Lekko nacisnął klamkę u drzwi. Były zamknięte, tak



jak przewidywał.

Zapukał. Trzymał wymierzoną przed siebie broń.

Drzwi otworzyła mu urocza kobieta, blada i obojętna. Przyciskała do głowy białą koronkową chustkę, w której była zawinięta kostka lodu. Broń w ręce Pagana nie zrobiła na kobiecie wrażenia. Wszedł do środka.

— Czy mówi pani po angielsku? — zapytał.

— Trochę. — Wzruszyła ramionami. Zdjęła kompres z czoła. Pomiedzy okiem a uchem widoczna była opuchlizna.

— Gdzie jest Rosabal?

— Wszedł — odpowiedziała, nie okazując zainteresowania. — Solito. Nikogo nie ma w domu. Może pan sprawdzić — dodała. Pagan zajrzał do innych pokoi.

— Dokąd poszedł?

— A co to pana obchodzi, dokąd poszedł mój mąż?

A więc to była jego żona, rywalka Magdaleny o względy Rafe'a. Pagan był ciekaw, jakie wydarzenia spowodowały tak wyraźną kontuzję. Czy Rosabal oprócz tego, że był flirciarzem, należał do mężczyzn maltretujących własne żony?

— Muszę go znaleźć — rzekł Pagan.

Za plecami kobiety stały na półce fotografie. Jedna z nich przedstawiała Rosabala w towarzystwie Fidela. Obaj mężczyźni uprzejmie się uśmiechali w nieszczerzy i sztuczny sposób.

— Dlaczego? — zapytała kobieta.

— Szukam dziecka. Jestem przekonany, że mąż pani mógłby mi pomóc je odnaleźć. Dziecko jest razem z mężczyzną o nazwisku Ruhr.

Estela Rosabal podeszła do zdjęcia męża z Castrem i wzięła je do ręki. Przez chwilę wpatrywała się w nie, a potem upuściła na dywan i przydeptała obcasem. Spoglądała na drzazgi i uwięzioną za kawałkami potłuczonego szkła twarz Rafaela.

Potem popatrzyła na Pagana.

— Przebył pan daleką drogę — stwierdziła.

— Tak, to prawda.

— Pomogę panu odnaleźć to dziecko.

Opowiedziała mu o La Mandaderze, o Ruhrze na pokładzie statku i o porcie docelowym w Santiago. Chwilami głos jej przechodził w szept i Pagan musiał ją prosić o powtórzenie zdania.

— W jaki sposób mogę się dostać do Santiago?

— Drogą lądową straciłby pan zbyt wiele czasu. Musi tam pan polecieć. — Poinformowała go, że Hawanę od Santiago dzieli około ośmiuset kilometrów. Nie wiedziała dokładnie, ile.

— Gdzie mogę znaleźć jakiś samolot? — zapytał.

Estela Rosabal zamknęła oczy i nie odpowiadała przez długą chwilę.

Pagan zaczął już przypuszczać, że nie dosłyszała pytania.

— W tym również panu pomogę — rzekła w końcu.

## Rozdział XIX

### Karaiby

Sztorm znad Zatoki Meksykańskiej objął swoim zasięgiem szeroki pas i przesuwał się w południowym kierunku. Wokół Hawany wiatr wiał z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a nad Isla de la Juventud i na południowym wschodzie, pomiędzy wybrzeżami Kuby i Kajmanami był bardziej gwałtowny i dochodził do osiemdziesięciu, a nawet stu kilometrów na godzinę. Później, gdy sztorm nadciągnie nad zachodnią Jamajkę, nad Karaibami będzie szaleć huragan o prędkości stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Gdyby La Mandadera wypłynęła z Cabo Gracias a Dios kilka

godzin wcześniej, nie uniknęłaby czarnego serca huraganu, który przemienił morze na zachód od Jamajki w mętny koszmar. Pomimo to statek nie zdołał uciec przed niszczycielską siłą prądów powietrza i gnającym na oślep szkwałem, który go zaatakował, gdy przepływał między Kajmanami i Jamajką. Kapitan Luis Sandoval, który pomimo wielu przeżytych nawałnic nigdy nie przestał się ich bać, ocenił prędkość wiatru na dziewięćdziesiąt lub nawet sto kilometrów na godzinę, na dziesięć w skali Beauforta.

Statek przechylał się i zanurzał w olbrzymich falach. Poranne słońce zasnuły ciężkie chmury, a deszcz zamieniał się chwilami w nieprzerwany potok, który bezlitośnie zalewał pokład. W ciągu kilku minut dzień stał się nocą.

Steffie Brough leżała w swojej koi. Niewielką kajutą rzucało i kołysało, a sufit przybliżał się i opadał. Fale zalewały mały luk. Sponiewierany statek trzeszczał. Steffie wyobrażała sobie, że wszystkie sworznie i śruby odkręcają się i cała metalowa konstrukcja statku roztrzaskuje się na morzu.

Zamknęła oczy i walczyła z nudnościami. Kurczowo zaciskała ręce

na brzegu koi, myśląc przy każdym przechyle, że statek wywróci się do góry dnem i zatonie.

W pewnym momencie, gdy podparła się na łokciu i próbowała wstać, została rzucona do tyłu i uderzyła boleśnie głową o ścianę kajuty. Naciągnęła koc na twarz. Marzyła o tym, żeby przybrać mikroskopijne rozmiary, jak gdyby to miało ją uchronić przed ziejącym nienawiścią sztormem.

Usłyszała, że otworzyły się drzwi kabiny. Giinther Ruhr wszedł do środka. Był przemoczony i włosy oblepiały mu głowę. Ociekał wodą i chlupotało mu w butach. Nie patrzyła na niego. Trzymała głowę pod kocem. Słyszała, jak się wytarł ręcznikiem, a gdy zaległa podejrzana cisza, ukradkiem wyjrzała.

Stał przed małą umywalką z lustrem i coś ostrzył — szy, szy, szy — dobiegały odgłosy staromodnej brzytwy przeciąganej po skórzanym pasku — szy, szy, szy. — Spostrzegła, że to był nóż, a nie brzytwa. Ruhr gwizdał pod nosem, wydając dźwięki, które przypominały upiorny, niemelodyjny gardłowy szept.

Kajuta zawirowała i stała się innym miejscem. Steffie była znów w domu. Przemierzała pola na swojej klaczy w chłodny dzień. Nie zbliżała się nigdy do starej farmy Yardleyów, nieciekawej i szarej. Pojechała w stronę Crossfields Hollow, a gdy dotarła do wioski, kupiła sobie lody z czekoladową polewą, a potem, a potem, a potem...

Poczuła, że Ruhr odrzucił koc. Odwróciła od niego twarz. Trzymał w ręce nóż. Odsuwała się do tyłu, dopóki nie przylgnęła plecami do

ściany. Ruhr obrzucił spojrzeniem jej nogę i miejsce, w którym pozostały wczorajsze ślady jego palców. Steffie chwyciła koc i naciągnęła go na siebie.

Usiadł i położył nóż na swoim udzie.

Wsluchiwał się w odgłosy nawałnicy, która uderzała o statek. Jeśli prawdziwe było stwierdzenie, że różnym charakterom odpowiadają różne warunki pogodowe, to Ruhr najlepiej czuł się w czasie sztormu, który wprowadzał chaos, zakłócał spokój i porządek, szalał godzinami, mieszał morze z niebem w jednym wielkim kipiącym kotle i zatapiał statki. Sztorm go podniecał. Sprawiał, że Ruhr czuł się wyzwolony.

Fale przelewały się przez pokład. Morze ciskało La Mandaderą w górę i w dół, w górę i w dół, jak gdyby była pudełkiem zapalek.

Ruhr przesunął palcem wzdłuż zadrapania pod okiem — śladu po paznokciach dziewczyny. Podniósł nóż i ściągnął koc z ciała Steffie Brough. Kurczowo ścisnęła róg koca i nie poddawała się.

Powstrzymała się od krzyku nawet w chwili, gdy przeciągnął delikatnie ostrzem noża

po jej policzku i przycisnęła je do powierzchni skóry, aż pojawiła się strużka krwi. Postanowiła nie wypuszczać okrycia i walczyć.

Bez trudu wyrwał jej koc i roześmiał się. Zaczął ją poszturchiwać. Zwinęła się w kłębek i wcisnęła w kąt, patrząc na niego z nienawiścią, przerażeniem i rozpaczą.

W chwili gdy rozbłysł nóż, rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

W ciemnej ładowni odwiązała się jedna z przytrzymujących pocisk

cum. Walec razem z uzbrojoną głowicą przechylił się pod kątem dwudziestu stopni. Na mostek kapitański dotarł raport o alarmującym przechyle pocisku. Luis Sandoval był prostym człowiekiem i nie wiedział, że broń nie może eksplodować w sposób przypadkowy. Uważał, że istniało ryzyko zagłady, i wysłał jednego z bystrych marynarzy z rozkazem do Giinthera Ruhra, żeby zszedł do ładowni i zabezpieczy! pronrtil.

### Santiago de Cuba Province

Sztorm rozprzestrzenił się na ląd, obejmując swoim zasięgiem prowincję Holguin, i generał Capablanca był zmuszony odłożyć pozorowane manewry. Czołgi utknęły na plażach, żołnierze schronili się pod drzewami, samoloty czekały na ziemi, a statki stały zakotwiczone pięć kilometrów dalej na Atlantyku.

Złowrogi sztorm dotarł do Bayamo i wdarł się do Sierra Maestra, gdzie kilkuset uzbrojonych rebeliantów znalazło schronienie w wilgotnych grotach. Rozszalał się nad zatoką i napadł na Santiago. Zerwał linie telefoniczne i dach z restauracji Leningrado na wzgórzu San Juan, zburzył motel Daiquiri przy Baconao Park Road i zatopił rybacką łódź trzy kilometry od Siboney Beach.

Z zalewanego strumieniami deszczu helikoptera, w którym siedział Frank Pagan, niczego nie można było zobaczyć ani w dole — na ziemi, ani powyżej — na niebie. Śmigłowiec, huśtany gwałtownymi prądami powietrza, był pilotowany przez emerytowanego porucznika sił powietrznych Kuby, sześćdziesięcioletniego lotnika, Alejandra Bengocheę, którego zawezwiała Estela Rosabal.

To był najgorszy lot w życiu Pagana. Obawiał się, że wstrząsana turbulencjami maszyna w każdej chwili może spaść i eksplodować, ale okazało się, że pilot zawarł specjalne przymierze z prądami atmosferycznymi oraz siłami grawitacji i utrzymywał śmigłowiec w powietrzu. Bengochea, uzbrojony w stary pistolet, nie mówił po angielsku. Nie sprawiał wrażenia niezadowolonego ze swojej misji. Zleciła mu ją



osobiście córka szanownego generała Capablanki i to mu wystarczało. Gdyby Estela kazała mu przelecieć przez pierścień ognia albo skierować się prosto na Księżyc, też by to zrobił.

Większość swojego dorosłego życia Bengochea związał z rodziną Capablanków. Był dworzaninem, a Estela jego księżniczką. Znał ją od dziecka. Miał filmy wideo sprzed wielu lat, które czasami oglądał w swoim pustym mieszkaniu w Marianao. Przedstawiały go z siedmioletnią księżniczką na ramionach albo budującego z nią zamki z piasku na plaży w Varadero. Rodzinę Capablanków uważał za swoją własną. Byli jedynymi bliskimi ludźmi w całym jego samotnym życiu, które całkowicie poświęcił karierze wojskowej.

Nic nie przerażało Alejandra Bengochei. Walczył w Zatoce Świń, a dziesięć lat temu w Angoli. Za czasu reżimu Batisty był więziony i torturowany. Na początku lat siedemdziesiątych popadł w niełaskę u członków rządu Castra (twierdzili, że był reakcjonistą). Został wypuszczony z więzienia dopiero na osobistą prośbę generała Capablanki. Czego miał jeszcze się obawiać? Jego ciało pokryte było bliznami i prawie nie widział na jedno oko. Zawsze nosił ciemne okulary, wydawało się, że nawet w nich sypia. Bengochea żył poza granicami własnej przestrzeni. Nazywano go Szczęśliwym Alejandro. Potrafił pilotować helikoptery ze zdumiewającą wprawą i utrzymywać je w powietrzu nawet w najsilniejszych porywach wiatru.

Od czasu do czasu, gdy wicher nieco ustawał, pomiędzy nawałnicami ukazywał się krajobraz — plaże, linia brzegu, wydmy — by

po upływie sekundy znowu zniknąć. Pagan zamknął oczy. W głowie mu dudnił ogłuszający ryk helikoptera. Zatrwał go widok oceanu. Białe i wściekłe kipiło i pieniało się rozjuszony ponad piaskiem i tamami. Pagan wcale by się nie zdziwił, gdyby sięgnął w górę i ściągnął helikopter w swoje zachłanne głębie.

Nagle sztorm pochwyił helikopter i uniósł go w niebo jak liść. Alejandrowi Bengochei najwyraźniej sprawiało to przyjemność. Zmiany pogody zawsze go bawiły, dając mu okazję do zmagania z przewrotnością natury. Wzbijał śmigłowiec coraz wyżej, by uciec poza zasięg pandemonium w miejsce chwilowego spokoju — oazy na niebie.

W momencie kolejnego krótkiego wyłomu w szalonym deszczu i szkwale Pagan spostrzegł, że helikopter leci teraz nad wodą. Nie było widać już lądu. Upadek w takim miejscu nie dawał szans na przeżycie, a ciało w tym przerażającym, wzburzonym morzu nigdy by nie zostało odnalezione.

Nieustannie obserwował powierzchnię wody. Jak można było coś dostrzec w tym piekle? Długie wypatrywanie wywoływało omamy. Paganowi chwilami wydawało się, że widzi małe wyspy, wieloryby czy sponiewierane przez morze frachtowce ledwo wyłaniające się z szarości. Jego zwykła determinacja słabła, poczuł, że poszukiwania nie mają szans powodzenia. Ale Bengochea był zachwycony tym morskim polowaniem i oddawał mu się z determinacją, jaką można spotkać u obserwatora ptaków na tropie rzadkich okazów. Za nic nie dałby teraz za wygraną. Nie było mowy, by wrócił na brzeg.

Śmigłowiec zakołysał się i zaczął tracić wysokość. Bengochea roześmiał się. Miał układy z przeznaczeniem, których Pagan nie rozumiał. Helikopter schodził coraz niżej i niżej. Wydawało się, że nie uniknie zderzenia z wodą.

— Tam! — Pagan wskazał na dół.

Morze rzucało ledwie widocznym frachtowcem. Fale pienily się nad pokładem. W szkwale statek wydawał się zatrwajając nieistotny, jak zabawka wyprawiona w bezcelową podróż ręką dziecka.

Deszcz nasilił się. Spoza gwałtownych strug wody nie można było dostrzec ani nieba, ani statku — zupełnie niczego.

Frachtowiec zniknął, a Paganowi zostały tylko wątpliwości, czy go w ogóle widział.

Rozmiary sztormu przygnębiły kapitana Luisa Sandovala. Radio przestało działać, a urządzenia nawigacyjne stały się bezużyteczne. Zamknięty na pozbawionym widoku i powietrza mostku — szklanym więzieniu, mógł jedynie domyślać się, że od Santiago dzieli go około piętnastu kilometrów. Jego pierwszy oficer. Zaldivar, był doświadczonym i starym marynarzem, ale nawet ten zaprawiony w bojach wilk morski nie potrafił dokładnie określić lokalizacji frachtowca. Sztorm ograniczał zdolności percepcji i pozbawiał ludzi intuicji, zostawiając ich własnym domysłem.

Luis Sandoval złorzeczył na tę pogodę, na tę tormenta. Podniósł oczy do nieba i modlił się o przełom, o ślad słonecznego światła — ale ulewa nie ustawała i zalewała pokład. Z maszynowni nadszedł

złowieszczy raport o zbierających się tam ponad dwóch centymetrach wody, z którymi nie dawały sobie rady pompy. Ta cholerna łajba! — pomyślał Sandoval. Ta puta!

Zaldivar, siwobrody mężczyzna o twarzy pobrużdżonej nadmiarem promieni słonecznych, był człowiekiem zabobonnym i przyczynę trudnej sytuacji statku widział w obecności na jego pokładzie Ruhra oraz el proyectU malvado. Bez tego ułomnego aleman nic takiego by się nie stało. Czy dzień nie zapowiadał się pogodnie? Czy niebo nie było

czyste, a morze spokojne? Tak, winę za wszystko ponosił ten potwór z chrom; } ręką. Nie było dyskusji z żeglarski } logiką Zaldivara, która miała podłoże w systemie filozoficznym wyższym nad empiryzm. Morzeni rządziły prawa jego własnych bogów, którzy nie złościли się bez powodu.

Sandoval przestał słuchać narzekań starego marynarza. Wyrzwał z mostka na pokład. W kierunku ładowni szedł Giinther Ruhr. Wokół pasa przewiązany był liną, która się wiła za nim, przymocowana drugim końcem do jakiegoś stałego miejsca. Zamierzał zabezpieczyć pocisk. Zaldivar potarł brodę i pokręcił głową, gdy Ruhr otworzył drzwi do ładowni i zniknął w ciemności.

— El diablo — powiedział cicho stary żeglarz.

Sandoval spojrzał w górę. Wysoko w gęstym szkwale spostrzegł fruującą zjawę, dziwaczny kontur, który znikł, zanim kapitan zdołał nabrać pewności, że go widział.

Ruhr z trudem łapał oddech. Dopiero gdy dotarł do ładowni i wszedł do ciemnego pomieszczenia, jego płuca znów mogły funkcjonować. Wyczerpany przedzieraniem się przez pokład, usiadł na podłodze, żeby zregenerować siły. Oddychał prędko i ciężko. Zapalił latarkę i zobaczył, że pocisk się przechylił, ponieważ obluzowała się lina. której ponowne umocowanie nie stanowiło większego problemu. Zziębniętymi dłońmi i zesztyniałymi palcami zaczepił luźny sznur Ohak wbity w ścianie i sprawdził węzeł.

Frachtowiec unosił się i opadał na wzburzonym morzu. Sztorm nie

ustępował. Ruhr wygramolił się z ładowni, ściskając szorstkie i wilgotne włókna opasującego go sznura, którego drugi koniec był przywiązany do relingu trzy metry dalej. Ruhrowi sprawiała przyjemność myśl, że wisi na tak słabej linii bezpieczeństwa.

Wyszedł na pokład.

Sto metrów nad nim kołysał się w porywach wiatru szary helikopter.

Alejandro Bengochea naprowadził helikopter nad pokład statku i zszedł niżej. Trudno było utrzymać maszynę nieruchomo przy szalonej sile wiatru. Na wysokości dziewięćdziesięciu metrów podmuch zepchnął ją do tyłu. Śmigłowiec zatoczył wielkie koło i wrócił mniej więcej w to samo miejsce. Bengochea czasami głośno się śmiał, a chwilami cicho i przymilnie przemawiał do maszyny, walcząc o utrzymanie jej w bezruchu. Helikopter i frachtowiec zdawały się teraz ze sobą związane nitkami deszczowej pajęczyny.

Pagan widział pokład tylko chwilami. To znikał mu pod wodą, to znowu stawał się widoczny — wilgotne wręgi, przewrócona łódź ratownicza i czarny jak smoła dym ulatujący z komina. Postać mężczyzny na pokładzie zdawała się pochodzić znikąd. Przewiązany liną, przesuwiał się wzdłuż rufy jak człowiek podążający za nitką w labiryncie,

Paganowi żołądek podszedł do gardła, gdy helikopter ostro się przechylił, zbliżył się do statku i zaw'isł nad pokładem jak oszalały albatros. Znowu pojawiła się sylwetka mężczyzny, który tym razem

spoglądał w górę w stronę śmigłowca.

Pagan rozpoznał tego człowieka. Natychmiast wyjął zza siedzenia linową drabinę.

— Schodzę na dół — powiedział.

Helikopter zniżył się jeszcze o kilka metrów. Śmiały i szalony Bengochea wylądowałby na La Mandaderze, gdyby miał większą możliwość manewru. Śmigłowiec wisiał teraz piętnaście metrów nad pokładem, niebezpiecznie blisko masztu frachtowca. Statek unosił się i opadał na falach, które miały wysokość siedmiu metrów. Istniało ryzyko, że w pewnej chwili wzniesie się jeszcze wyżej i uderzy masztem

0 kadłub helikoptera albo zahaczy o śmigło. Aby zapobiec nieszczęściu, Bengochea musiał wykazać się precyzyjną oceną odległości i zdolnościami przewidywania nieprzewidzianych okoliczności. Pół metra wyżej, metr, półtora — tyle, by trzymać śmigłowiec z dala od masztu.

Pagan otworzył drzwi helikoptera i niemal został z niego wyssany przez powietrze. To był szalony krok i Pagan o tym wiedział. Znał te rodzaje obłądu, którego granice pozwalał przekraczać strach, dając złudzenie niezniszczalności. To za sprawą strachu zamiar zrzucenia drabiny z helikoptera zawieszzonego ryzykownie nad frachtowcem, który płynął po wzburzonym morzu, wydawał się niemal logiczny, i z jego powodu Pagan uważał siebie za człowieka, którego nie są w stanie pokonać żywioły, dlatego tylko, że stoi po stronie dobra.

Jezu Chryste! Jak słaba wydała mu się drabina ze sznura, gdy się

rozwinęła i zawisała nad pokładem.

Alejandro Bengochea zeszedł tak nisko, jak tylko mógł, ale wiatr sponiewierał maszynę i pilot musiał znów ją podnieść sześć metrów w górę. Od pokładu dzieliła go teraz bardzo duża odległość, a drabina na tej wysokości wydawała się jeszcze bardziej licha. Silnie wiało pod kadłubem helikoptera, który był odpowiedniejszym środkiem lokomocji dla cyrkowego artysty niż dla cierpiącego na lęk wysokości rannego angielskiego policjanta.

Pagan wstrzymał oddech i zrobił krok w nicość.



Deszcz upiął mu na głowie zimną aureolę z włosów. Zaciśnięte na linie dłonie były czerwone i skostniałe. Wisiał w powietrzu wbrew prawom fizyki i zdrowemu rozsądkowi. Wyobraził sobie, że sztorm odrywa go od drabiny i miota nim w wir morza.

Trzymał się mocno, z determinacją człowieka, który nie chce zajrzeć śmierci w oczy. Zaczął się dusić. Z trudem nabierał powietrza do płuc. Odwrócił głowę, by uniknąć bezpośrednich smagnięć wiatru, i westchnął.

Günther ścisnął kurczowo osiemnastometrową linę, która miała doprowadzić go z powrotem do kajuty. Nie mógł utrzymać równowagi na mokrym pokładzie. Często się przewracał, lecz zawsze udawało mu się podnieść. Szukając chwili wytchnienia, schronił się we wnęce i otarłszy wodę z oczu, przyjrzał się mężczyźnie, który wisiał w powietrzu. Drabiną rzucało i wicher smagał ją ze wszystkich stron, ale mężczyznę nietrudno było rozpoznać. Günther Ruhr uśmiechnął się.

To był wspaniały wyczyn ze strony Pagana. Ruhr zdał sobie sprawę, że nie doceniał swojego przeciwnika i niechętnie podziwiał policjanta, który uczepiony drabiny, szczebel po szczeblu niezdarnie opuszczał się w stronę pokładu. Ruhr wyszedł z ukrycia, wyjął zza pasa broń i wystrzelił. Była to bardziej forma powitania niż próba zranienia Pagana, który schylając głowę omal się nie ześliznął i nie spadł z wysokości sześciu metrów.

Ruhr mocno uchwycił się liny i zaczął się dalej przeprawiać przez

pokład. Od niewielkiej kajuty i dziewczyny dzieliło go dziewięć, może dziesięć metrów. Odwrócił się i spojrzał jeszcze raz w górę na cyrkowca Pagana.

Kiedyś w sierpniu, w czasie jakiegoś święta, gdy Pagan miał dziewięć albo dziesięć lat, zwymiotował na diabelskim młynie. Przypomnił sobie pęd powietrza na twarzy, piski dziewczyn i wąską smugę wymiotów unoszoną przez wiatr oraz ciotkę Henriette, która wzdychając przysunęła mu chustkę do twarzy i powiedziała ze zniecierpliwieniem: Powinnam się domyślić, że nie masz na to zdrowia, Frankie. Och, ty głuptasie, głuptasie...

Pagan zastanawiał się, gdzie była ciotka Henrietta, kiedy naprawdę jej potrzebował? Tylko zamiast jej olbrzymiej chustki pachnącej naftaliną przydałby mu się teraz jakiś wodoodporny spadochron. Drabiną ze sznura zarzuciło najpierw w lewo, a potem w prawo, ale Pagan zdołał się na niej utrzymać. Śledził wzrokiem Ruhra, który przesuwiał się po pokładzie. Czekał na następny strzał. Zastanawiał się, z jakiej wysokości spadnie, jeśli dosięgnie go kula, a i bez tego był w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

W górze ryczał helikopter, a wielkie śmigła wprawiały w wir powietrze, które Pagana mogło porwać w górę, gdzie zostałby dokładnie posiekany na mielonkę.

Beczki z naftą ślizgały się po pokładzie, przetaczały i wyskakiwały za burtę. Kubańska bandera przypominała zużytą papierową chustkę. Luis Sandoval pokręcił z niedowierzaniem głową. Mężczyzna, który się spuszczał po drabinie, był najwidoczniej loco, podobnie jak i pilot

śmigłowca. Sandovala nie obchodziło, kim byli ci intruzi, ani jakie mieli zamiary. Plan nie przewidywał ich obecności. Kapitan otworzył szafę i wyjął z niej strzelby. Jedną wręczył Zaldivarowi, a drugą zatrzymał dla siebie. Obaj mężczyźni załadowali broń, nie przerywając obserwacji maniak, który się spuszczał z helikoptera. Śmigłowiec w każdej chwili mógł się zderzyć z masztem frachtowca.

— Nigdy nie zdoła zejść na pokład — powiedział Zaldivar.

Sandoval wzruszył ramionami.

— Nie wiadomo. Jest wystarczająco zwariowany, żeby mogło mu się to udać.

— Nie zamierzam stąd wychodzić — powiedział Zaldivar.

— Zostawmy go sztormowi. Niech porwie też Niemca razem z tym jego cholernym pociskiem — dodał.

Steffie Brough poczuła, jak statek się przechylił, a potem znów wyprostował. Woda zalewała luk, pogłębiając panujący w kajucie półmrok. Steffie zaczęła odczuwać klaustrofobię. Chociaż wiedziała, że odsłonięty pokład był niebezpiecznym miejscem, musiała się wydostać z tej przeklętej trumny. Nie mogła oddychać. Zbyt długo przebywała już w tym cuchnącym pomieszczeniu. Potrzebowała powietrza. Chciała, by deszcz spływał jej po twarzy. Przede wszystkim jednak nie mogła pozwolić, żeby zastał ją tu Ruhr, gdy wróci z nożem. Szczególnie tego się bała. Woląла ryzykowne warunki atmosferyczne.

Spróbowała otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Bez rezultatu uwiesiła się na gałce. Statek ponownie się przechylił i Steffie

przeleciała przez koję. Wstała i zaczęła walić do drzwi, ale nikt ich nie otworzył ani nie usłyszał jej głosu.

Jedynym słyszalnym odgłosem był ryk wichury.

Czy sztorm tracił na sile? Trudno było powiedzieć, gdyż był

zwodniczy. Zamierał na trzydzieści sekund i wybuchał w chwili, gdy już się zdawało, że całkowicie umilkł. W czasie takiej chwilowej ciszy Pagan dotknął stopami pokładu. Miał podciągnięte w górę kolana, skulił się i pochylił do przodu, żeby uniknąć wstrząsu, jakim mógł być dla układu kostnego kontakt z drewnianą powierzchnią. Stracił równowagę i zaczął się ześlizgiwać na plecach w kierunku burty frachtowca. Uczepił się relingu. Oczy i usta zalewała mu słona woda. Zamrugał i zobaczył kilka metrów przed sobą Günthern Ruhra.

Nie mógł utrzymać pozycji pionowej. Znowu upadł do przodu. Ruhr odwrócił się i wystrzelił. Pagan odruchowo schylił głowę, ale i tak strzał był niecelny. Znowu podniósł się i zrobił kilka niepewnych kroków. Frachtowiec zaskrzypiał i przechylił się na prawą burtę. Ocean zaczął przelewać się przez pokład i Pagan ze wszystkich sił zacisnął dłonie na wypolerowanym przez deszcz relingu.

Szedł za Ruhrem ślaniając się na nogach. Prawie nie zauważył ładowni, której zamknięty luk tworzył wąską, osłaniającą przed naporem sztormu, przestrzeń. Minął ukryty poniżej w półmroku pocisk, jak człowiek przechodzący pośpiesznie obok szklanej gabloty w muzeum z eksponatami, które go nie interesują.

Starał się nie stracić Ruhra z oczu. Nie miał szans go dogonić. Myślał tylko o tym, żeby fale nie porwały go za burtę. Ruhr w wielkim pośpiechu posuwał się naprzód. Pagan szedł za nim, oddychając z trudem pod naporem wiatru. Wyjął pistolet, chciał zranić Ruhra i go zatrzymać. Wystrzelił. Chybił, gdyż pokład brykał

jak oszalały koń. Woda strumieniami spływała po twarzy i oczach Pagana, zalewając mu usta. Pomyślał, że można utonąć bez zanurzania się pod powierzchnię.

Ruhr obejrzał się i uczepiony swojej liny bezpieczeństwa przesuwał się do przodu. Pagan znów wystrzelił i nie trafił. W tym momencie wiatr popchnął go do tyłu i wyrwał mu z ręki pistolet firmy Bernardelli, który przeleciał przez burzę i zniknął w morskiej pianie.

Ruhr szedł dalej trzymając się liny. Pagan wylądował na czworakach, poszturchiwany i popychany przez wodę. Przez chwilę się czołgał, a potem stanął na nogach i spojrzał na śmigłowiec, który na tle nieba wyglądał dziwnie krucho, bezbronne i nienaturalnie. Jak długo Alejandro mógł jeszcze utrzymać go w powietrzu? Pagan musiał odnaleźć dziecko, doprowadzić je do helikoptera i czym prędzej opuścić statek.

Przemoczony i oślepiiony posuwał się dalej do przodu.

Cztery metry od wejścia do kajuty Günther Ruhr obejrzał się na Pagana. Zabawnie było patrzeć, jak Anglik walczy, żeby się utrzymać na nogach — zresztą cały ten dzień był jednym niepokojem, brakiem równowagi, zburzoną symetrią i zakłóconą ciszą. Ruhr przetarł pięścią oczy i zobaczył wejście do kabiny oraz miejsce, do którego była przywiązana lina.

Odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na Pagana.

F rankowi Paganowi zdawało się, że zobaczy), jak (iunther Ruhr zwrócił w jego stronę twarz i roześmiał się. Ale nie był pewien, czy widział to naprawdę.

Steffie Brough waliła w drzwi, aż rozboleły ją pięści. Daremnie. Szarpnęła kilkakrotnie za gałkę.

Dlaczego Ruhr nie wraca?

Ponownie chwyciła za gałkę i wyteżyła siły, żeby ją przekręcić, ale. przeklęta, nie chciała się obrócić i ustąpić.

Zamknęła oczy. Spod powiek spłynęły jej łzy. Musi być jakiś sposób, pomyślała. Na pewno istnieje jakieś wyjście. Kopnęła drzwi, ale bezskutecznie.

Zaczerpnęła głęboki wdech, przygryzła dolną wargę i wydeła policzki, mobilizując wszystkie siły. Pociągnęła za gałkę i poczuła, jak z trzaskiem przekręciła się w wilgotnym drzewie. Obluzowała się mała zardzewiała śruba przytrzymująca uchwyt i za drugim jego obrotem drzwi, wypaczone zmianami pór roku i warunkami pogodowymi na morzu, nieznacznie się rozłupały. Wewnątrz drewno znaczyły drobne otwory po kornikach i małe tunele, z których wysypały się trociny. Gałka odpadła. Steffie otworzyła drzwi. Uderzył ją prąd morskiego powietrza.

Zobaczyła Giinthera Ruhra, który szedł po pokładzie.

Był przywiązany liną do relingu. Węzeł znajdował się tylko trzy centymetry od otwartych drzwi kajuty. Steffie uświadomiła sobie obecność drugiego mężczyzny, który uczepiony relingu szedł w ślad za Ruhrem.

Zrobiła krok do przodu. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł, który musiała zrealizować.

Wzięła w drżące palce koniec wężła, nazywanego przez marynarzy

cumowym, i wyciągnęła go z podwójnej pętli, która natychmiast się rozwiązała. Steffie wypuściła linę z rąk. Usłyszała krzyk zatrwożonego Ruhra, gdy odczepiony od kotwicy bezpieczeństwa zaczął się zsuwać. Zobaczyła, jak upadł na plecy. Gdy ześlizgiwał się w stronę burty i groźnego morza, lina owinęła mu się wokół kostki. Drugi mężczyzna pospieszył mu na ratunek.



Zacisnął palce na nadgarstku Ruhra, Pomimo to Niemiec zsuwał się dalej.

— Nie mogę się zatrzymać! — krzyczał do Pagana. — Nie mogę się zatrzymać.

— Musisz, ty draniu!

Pagan jęknął, zacisnął zęby, chwycił Ruhra za koszulę pod brodą i z całej siły szarpnął, odciągając go od burty. Nie zamierzał pozwolić odejść Niemcowi. Nie teraz, kiedy przejechał taki szmat drogi. Jaki wszystko miałoby sens, gdyby go wypuścił? Był winien sprowadzenie Ruhra do Londynu tym, którzy zginęli na Shepherd's Bush. Uważał to za swój dług wobec zamordowanych żołnierzy z Norfolk. Należało się to Steffie Brough, jej rodzicom oraz wszystkim ludziom, których Ruhr skrzywdził.

Nie mógł pozwolić zsunąć mu się teraz do morza. Nie mógł go stracić.

Niemiec nie był ciężki, ale wysiłek włożony w ratowanie go wyczerpał Pagana. Odciągnął Ruhra od relingu i wypuścił z rąk. Przemoczony Ruhr leżał rozciągnięty obok wejścia do kajuty i ciężko dyszał. W końcu powalony, pomyślał Pagan. Jak przekłęta wielka ryba przebita harpunem.

Ale poczucie zwycięstwa nie trwało dłużej niż sekundę. Pagana przeszył mróz.

Günther Ruhr trzymał w prawej ręce pistolet, który wyciągnął zza pasa spodni. Mierzył prosto w Pagana.

—Przeoczyłeś to, Frank. To głupio z twojej strony. .

Pagan, zatrwożony, cofnął się. Jak mógł zapomnieć o broni Ruhra? Dlaczego, u diabła, nie pozwolił, by Ruhr ześliznął się do morza? Za wiele chciałeś, Frank. Cholernie się paliłeś, żeby odegrać uosobienie sprawiedliwości i postawić Ruhra przed sądem w Londynie. Ale on nie zasługiwał na normalny proces. Był mordercą i terrorystą. Nie odróżniał dobra od zła i nie warto było okazywać mu miłosierdzia ani żadnego ludzkiego odruchu. Pagan spojrział na dziewczynę, która przywarła do drzwi kajuty, jak gdyby od tego miało zależeć jej życie.

—Zdumiewający wysiłek, Pagan, ale daremny — rzekł Ruhr.

Nagle od nowa zaczęło rzucać statkiem. Olbrzymia fala uderzyła z wielką mocą w kadłub i podbiła w górę dziób frachtowca. Pokład przechylił się. Günther Ruhr ześliznął się na plecach siedem, a może osiem metrów do tyłu, wymachując rękami jak na zjeżdżalni.

To była szansa i Pagan musiał ją wykorzystać, dopóki statek znajdował się w przechyle. Mogła się już nie powtórzyć. Z trudem utrzymując równowagę złapał dziewczynę za rękę i ślizgając się pobięł / . nią w stronę drabiny, którą trudno było chwycić, gdyż trzepotała się jak żywa. Pagan w końcu ją złapał i przytrzymał, pomagając dziewczynie stanąć na pierwszym rozmokłym szczeblu. Wspinaczka była mozolna. Wiatr rzucał drabiną na boki, helikopter się kołysał, a równowaga była tak niepewna, że w każdej chwili wszystko razem mogło runąć z nieba. Dziewczyna wspięła się kilka szczebli w górę. Pagan szedł za nią. Nagle sztorm osłabł i uspokoił się na kilka

cudownych sekund. Pagan z dziewczyną pokonali jedną trzecią długości drabiny, gdy w pewnej chwili Steffie przestała się posuwać w górę.

— Idź dalej, na miłość boską — Pagan spojrzał w dół. Znowu popełnił ten sam błąd. Zobaczył Giinthera Ruhra, który stał na nogach i przygotowywał się do oddania strzału.

— Nie mogę — powiedziała dziewczyna.

— Możesz.

— Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Nie mam na to wpływu.

— Cholera jasna! — Pagana dobiegł odgłos wystrzału, przytłumiony dźwiękami powracającej wichury. Brzmiał niegroźnie. Ale kula przeszła blisko i Pagan o tym wiedział. Tak samo, jak Alejandro Bengochea, który obserwował Ruhra z kabiny. Odwrócił helikopter i oddalił się od La Mandadery, zawisając nad wodą poza zasięgiem broni Niemca.

Pagan wyciągnął rękę i podpierając plecy Steffie, delikatnie popchnął dziewczynę, starając się ją zachęcić do dalszej wspinaczki. Ruszyła w górę, pokonując powoli co jakiś czas jeden szczebel. Wstrzymywała oddech ze strachu przed upadkiem. Podtrzymywał ją nawet wtedy, gdy drabina zwisała w pozycji uniemożliwiającej wspinanie się.

W pewnym momencie Pagan nie mógł powstrzymać chęci ponownego spojrzenia na morze. Koszmarny sen o nie kończącym się spadaniu,

Gdy Pagan z dziewczyną powoli pokonywali drogę do kabiny,

śmigłowiec skierował się w stronę lądu. Padał ulewny deszcz, ale w miarę zbliżania się do brzegu wiatr się uciszał i morze stawało się spokojniejsze. Sztorm ciągnął nad Karaiby, by tam odrodzić się z podwojoną energią. Jednak całkowicie nie zamarł. Zrywały się jeszcze mocne podmuchy wichru, gdy Pagan z dziewczyną, oboje wyczerpani, wdrapywali się ciężko dysząc do wnętrza kabiny.

Pagan gwałtownie opadł na wąskie siedzenie, przygniatając swoim ciężarem siedzące obok dziecko. Od soli paliły go oczy, włosy oblepiały mu głowę, a ubranie było tak doszczętnie przemoczone, że trudno było odróżnić materiał od ciała. Sztorm zespolił go z odzieżą, a skórę pozbawił czucia.

— Nie możemy stracić z oczu statku — powiedział do Bengochei. Bengochea zdawał się nie rozumieć. Pagan chwycił go za ramię i wskazał na dół, w kierunku morza.

— La Mandadera. Musimy lecieć za tym cholernym statkiem do Santiago. Zrozumiał pan?

Bengochea pokręcił przecząco głową, wskazując na tarcze zegarów przed sobą.

— Necesito gasolina. Comprendo?

— Gasolina?

Bengochea postukał palcem w tarczę jednego ze wskaźników.

— Widzi pan? Vacante. Comprendo?

Śmigłowiec przechylił się nagle. Zanikający sztorm, jak gdyby rozdrażniony niepowodzeniem zrzucenia maszyny, pochwycił ją i po raz ostatni potężnie potrząsnął. Ogarnięta paniką dziewczyna wcisnęła twarz w ramię Pagana. Helikopter zaczął gwałtownie opadać, gdy nagle sztorm wypuścił go jak dłoń z pożegnalnego uścisku. Teraz był już tylko deszcz, niewielki wiatr i skąpany w wodzie zielony krajobraz, który się ciągnął szerokim pasem za linią brzegu.

Pagan pogłaskał dziewczynę po wilgotnych włosach. Przyjęła z rezerwą pieśczołą obcego człowieka.

Bengochea leciał bezpośrednio nad przybrzeżną szosą, która łączyła Manzanillo z Santiago. Posadził maszynę na lądowisku za Palma Soriano, sześćdziesiąt pięć kilometrów od Santiago, i wysiadł z helikoptera. Pagan patrzył za nim, gdy szedł w stronę

jednopiętrowego budynku i wchodził do środka. Dziewczyna, z twarzą wciąż wciśniętą w ramię Pagana, bezmyślnie zapatrzyła się przed siebie na pole startowe. Drżała i nie odzywała się. Pagan wyjrzał na szare niebo i słuchał, jak deszcz ostro zacina o dach kabiny. Był zziębnięty do szpiku kości i kichnął kilka razy. Marzył o ogniu w kominku, ciepłej odzieży i suchych butach.

Wkrótce La Mandadera dobieje bezpiecznie do przylądka Santiago. Przypuszczalnie Ruhr razem z pociskiem wydostanie się tam na ląd. Estela Rosabal mgliście sugerowała, że pocisk, według zapewnień jej męża, miał tylko skompromitować Castra, nic więcej.

Pagan myślał o tym, czekając na powrót Bengochei. Pocisk, który miał zdyskredytować Castra, uczynić z niego podżegacza wojennego. Usprawiedliwić jego obalenie. Wy tłumaczyć zamach stanu, o którym wspominała Magdalena. Fidel ma pocisk! Patrzcie! Zamierza go użyć! Planuje wysadzić w powietrze część świata! Szalony łotr! Ale bohaterski Rosabal doprowadzi do upadku starego dyktatora i nuklearna zagłada zostanie zażegnana dzięki nowemu prezydentowi Kuby. Czy nie o tym właśnie szeptała Estela? Rafael wierzy, że będzie następnym prezydentem.

Pytanie: Dla którego narodu pocisk nuklearny na Kubie stanowił największe zagrożenie?

To było oczywiste. Ergo: Obalając Fidela i niszcząc pocisk, Rosabal uchodziłby za świętego w oczach Amerykanów. Amerykańska pomoc zalałaby wyspę. Wymiana handlowa z Ameryką

przyniosłaby bogactwo. Tłumnie przyjeżdżałoby tu zamożni turyści.

Znów Hawana stałaby się siedzibą szulerów, prostytutek, stręczycieli, handlarzy narkotyków, rewolwerowców, przestępców i wątpliwych bankierów oraz prawników.

Pagan kichnął i zgubił wątek myślowy. Rwało go w klatce piersiowej. Łzawiły mu oczy. Jego umysł skostniał z zimna. Marzył tylko o tym, żeby się znaleźć w jakimś suchym miejscu, coś zjeść, a potem zasnąć.

Bengochea opuścił budynek i szedł w stronę helikoptera. Uśmiechał się. Znalazł źródło paliwa. Podniósł wzrok na Pagana i uniósł w górę kciuki w symbolicznym geście zwycięstwa.

— Abundancia — powiedział radośnie. — ¡mnediatamenU<sup>1</sup>.

W ciężkich warunkach atmosferycznych, które graniczyły ze sztormem, Rafael Rosabal przyleciał odrzutowcem z Hawany do Santiago. Został tam powitany przez sześciu oficerów generała Capablanki. Dwóch z nich miało przy sobie drogie aparaty fotograficzne, którymi zamierzali zrobić zdjęcia pocisku na wyrzutni.

Jeep, wiozący Rosabala, oraz jadąca za nim ciężarówka z dwudziestoma uzbrojonymi żołnierzami opuściły miasto, nad którym rozszalał się sztorm, i skierowały się na biegnącą wzdłuż wybrzeża szosę do Siboney. Ironia sytuacji nie uszła uwagi Rosabala. To na farmie w Siboney Castro zaplanował swój pierwszy zamach na reżim Balisty w 1953 roku, na sześć lat przed ostatecznym tryumfem. Z tego miejsca rewolucjoniści Castra zaczęli swój nieudany atak — komedię błędów i braku synchronizacji — na garnizon w Monacadzie. Teraz

pomniki zmarłych rebeliantów szpalerem znaczyły pobocze drogi, a farma stała się świątynią ku czci El Viejo. Był to jeden z wielu przejawów komunistycznej hipokryzji: oficjalnie nie wierzono w istnienie Boga — był zakazany, by ludzie tacy jak Castro mogli zająć zwolnione przez bóstwa piedestały.

Jeep dowiózł Rosabala na miejsce, które znajdowało się w odległości trzech kilometrów od Siboney — na zaciszną łąkę otoczoną drzewami



i osłoniętą od wiatru, gdzie miał zostać umieszczony pocisk. Dom, którego właściciel był zwolennikiem nowej rewolucji, został przekazany do dyspozycji Rosabalowi. Rosabal siedział w milczeniu z oficerami Capablanki na werandzie, wsłuchując się w odgłosy oddalającego się sztormu, i czekał.

Wolałby lepszą pogodę, ale sztorm stopniowo zamierał i La Mandacra na pewno dotarła już do portu. Pocisk zostanie przywieziony tutaj. Później niż planowano, ale zostanie przywieziony.

Rosabal co chwilę spoglądał na zegarek. Od czasu do czasu podnosił się i spacerował po werandzie, wyglądając na łąkę i obserwując przewalający się ponad drzewami deszcz. Był zdenerwowany. Zbliżała się chwila, na którą tak długo pracował. Nadchodził moment, o którym marzył. Jak mógł zachować absolutny spokój?

Pomyślał o Magdalenie Torrente.

Był pewien, że trafił ją za drugim razem. Dostrzegł wyraz bólu na jej twarzy, zanim zniknęła wewnątrz samochodu, który niespodziewanie nadjechał. Zatelefonował do wpływowych przyjaciół w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, którzy natychmiast wszczęli w Hawanie intensywne poszukiwania łady razem z jej pasażerami. Na prośbę Rosabala pościg, choć miał szeroki zasięg, był prowadzony dyskretnie. Rosabal wyjaśnił, że w grę wchodzi sprawy wagi państwowej. Życzył sobie, żeby obyło się to bez hałasu oraz bez nierozważnego aresztowania ludzi. W chwili odnalezienia łady

pasażerka miała zostać bezzwłocznie zastrzelona.

Magdalena Torrente nigdy nic dla niego nie znaczyła. Była kimś, z kim współżył cieleśnie i kto przywoził mu plik gotówki przekazywanej przez nierozsądnych ludzi. To było prawie tak, jak gdyby był opłacany astronomicznymi kwotami za wyświadczone jej usługi.

Rosabal usiadł. Zaczęły go nagle trapić narastające wątpliwości, które miewał rzadko. Co będzie, jeśli coś się nie powiedzie? Co będzie, jeśli Magdalena Torrente przeżyje i poinformuje władze fidelista

Orewolucji Rosabala? Musiał wziąć się w garść i zachować pogodę ducha. Wciąż w nim drzemał biedny chłopiec z Guantanamo, syn robotnika ścinającego trzcinę cukrową, zaniedbany dzieciak, który czuł, że nie zasługuje na sukces. Rozzłościły go upiorne wspomnienia dzieciństwa. Znajoma ciemność zachmurzyła jego wizję. To nie była odpowiednia chwila na wątpliwości — nadszedł czas przemian i niezachwianej pewności, właściwy moment na rozprawienie się z przeszłością.

Deszcz bębnił w okna, ale zasnuite ciężkimi chmurami niebo wyglądało już teraz mniej złowieszczo. Oficerowie palili papierosy i przypatrywali się ulewie, nie odzywając się do siebie. Oni też byli zdenerwowani. Od czasu do czasu przejeżdżał w pobliżu jakiś pojazd i za każdym razem Rosabal spoglądał z nadzieją w stronę łąki. Lecz ciężarówka z pociskiem nie zjawiała się.

Gdy zadzwonił telefon, pierwszą reakcją Rosabala był niepokój, przeczuwał złe wieści. Może spisek został odkryty, sprzymierzone siły rozgromione i aresztowane, a nazwiska konspiratorów przekazane zwolennikom Castra?

Telefon odebrał jeden z oficerów. Rozmówca chciał przekazać informacje bezpośrednio ministrowi. Rosabal wziął słuchawkę i usłyszał głos niejakiego kapitana Sancheza z wydziału policji do spraw politycznych w Hawanie. Połączenie było fatalne. Głos Sancheza odbijał się echem.

— Znaleźliśmy samochód w San Jose de las Lajas, który prowadził niejaki Alberto Canto. Lekarz, ministrze.

— I?

— Został zabrany na przesłuchanie.

— Czy coś powiedział? Czy wspomniał o kobiecie?

— ■ Mówi, że jest ciężko ranna. Twierdzi, że znajduje się w drodze do Matanzas. Wygląda na to, że chce nielegalnie wrócić do Stanów Zjednoczonych. Lekarz nie sądzi, żeby zdołała to przeżyć. Rana jest głęboka.

— Zastrzelcie lekarza, zajmijcie się kobietą. Nietrudno znaleźć ranną kobietę między San Jose a Matanzas.

— Już jej szukamy, ministrze.

— Dołóżcie większych starań. Zameldujcie natychmiast, gdy zostanie usunięta.

Rosabal odłożył słuchawkę. A więc była ciężko ranna. Biedna, ambitna Magdalena, kto by pomyślał, że jest do tego wszystkiego

zdolna. Pokręcił głową. Czasami ambicja bywa zwodnicza. Rosabal uśmiechnął się do siebie i odwrócił, żeby wyjrzeć na łąkę.

Zobaczył ich. W końcu dotarli.

Duża ciężarówka, która wiozła okryty brezentem pocisk i układ sterujący, posuwała się powoli błotnistą ścieżką, przecinającą łąkę. Z tyłu jechał furgon z grupą techników, którzy mieli rozbroić pocisk. Z przodu olbrzymiej ciężarówki siedział Giinther Ruhr, a obok niego zajmował miejsce kierowca, podwładny generała.

Rosabal zszedł z werandy. Zahipnotyzowany widokiem pocisku, nie zważał na deszcz, który chociaż już łagodniejszy, spływał mu po powiekach. Rosabal pospieszył przez błyszczącą trawę w stronę miejsca, gdzie miała się zatrzymać ciężarówka.

## Rozdział XX

### Santiago de Cuba

Optymizm Alejandra Bengochei i nadzieja na szybkie zatankowanie okazały się bezpodstawne. Minęła prawie godzina, zanim zjawiała się cysterna z paliwem, a potem kwadrans, gdy pilot dobił targu z kierowcą i wynegocjował ostateczną wysokość łapówki. Przeciągająca się transakcja była srogą próbą dla Pagana, który należał do osób niecierpliwych nawet w najbardziej spokojnych czasach. Już wyobrażał sobie, jak Giinther Ruhr razem z pociskiem zapadają się pod ziemię.

Na koniec śmigłowiec nie chciał wystartować. Zamokły świece oraz kable i nie działały połączenia elektryczne. Pobudzenie maszyny do życia, by mogła pokonać sześćdziesiąt pięć kilometrów, które dzieliły Soriano od Santiago, zabrało Bengochei następną godzinę żmudnej pracy. Głośno przeklinał, narzekając na niską jakość świec i brak wodoszczelnych osłon na kablach oraz na złodziei, oszustów i handlarzy, którzy czerpią korzyści ze sprzedaży państwowej benzyny po czarnorynkowych cenach.

W szarym świetle poranka widoczna była droga, którą przeszedł huragan. Znaczyły ją powalone drzewa, poprzewracane chałupy i samochody, pozrywane dachy domów w mieście, haniebnie zrzucone z postumentów posągi, a w parkach zrównane z ziemią rośliny, drzewa i parkany. Deszcz bębnił głucho o kadłub helikoptera, ale wiatr osłabł do dwudziestu pięciu, trzydziestu kilometrów na godzinę.

Poniżej stacji kolejowej w polu widzenia Pagana pojawiły się doki. Stało tam na kotwicy dwadzieścia statków. Powiewały różnymi flagami — południowoamerykańskimi, wschodnioeuropejskimi, skandynawskimi i panamskimi. Alejandro Bengochea wzbiał śmigłowiec w górę nad portem, a Pagan, świadomy obecności milczącego dziecka za sobą, które oddychało w sposób miarowy i płytki, obserwował statki w dole. Nie wyładowane ładunki zalewały strugi deszczu.

W dokach stały odarte / farby dźwigi i pozbawione opakowań maszyny rolnicze. Wyładowane niedawno fabrycznie nowe ciężarówki wypełniły się wodą.

Mandaderę zakotwiczone pomiędzy norweskim frachtowcem a tankowcem wenezuelskim. Bengochea zawisł śmigłowcem nad jej pokładem, ale nie dostrzegł na nim śladu życia. Ruhr przepadł razem z pociskiem.

Widok opustoszałego statku nie zmartwił Bengochei. Wrócił nad miasto i zmrużywszy oczy lustrował ulice. Statek niedawno przybił do portu. Pocisk nie mógł być daleko. Nie należał do ładunków, które by można łatwo i szybko przetransportować. Bengochea wzbiał helikopter wyżej w górę, by móc się przyjrzeć linii wybrzeża na wschód od Santiago.

Pagan miał nieprzepartą ochotę spisać Ruhra i pocisk na straty, zapomnieć o nich i odwieźć dziewczynę do domu. Ale nie potrafił, ot tak po prostu, zostawić Ruhra z bronią. Nie, jeszcze nie czas na powrót do Londynu, nie po tym wszystkim. Poza tym wierzył, jak

każdy optymista, że im głębiej człowiek musi nurzać się w bagnie w drodze do celu, tym pewniej go osiągnie.

Trzymaj się tej myśli, Frank.

Bengochea przeleciał nad miastem i skierował śmigłowiec na północ. Minął w dole fabrykę rumu, młyn i rafinerię ropy. Na ulicach nie było śladu ciężarówki z pociskiem. Zawrócił na południowy zachód, w kierunku morza. Dornie? Zadawał sobie pytanie. Domie? I lecąc nisko wzdłuż wybrzeża, kręcił głową sfrustrowany. Zrobił kolejny zwrot i oddalając się od linii brzegu, zanurzył się w mgłę. Na horyzoncie zarysowywały się smutne i nieprzyjazne szczyty Sierra Maestra.

— Musi przecież gdzieś być — rzekł Pagan. Nuklearna igła w stogu siana.

Bengochea nie rozumiał słów, ale wyczuł ton Pagana. Wzruszył ramionami i zniżył helikopter, muskając nieomal wierzchołki drzew.

Ponownie zawrócił. Leciał teraz wprost na Puerto Siboney. Wykonał zwrot nad lądem i oddalając się od wybrzeża, wzleciał nad farmy i plantacje kawy.

Nagle na otoczonej wysokimi drzewami łące pokazał się pocisk. Był osadzony z tyłu długiej ciężarówki. Wyglądał absurdalnie na tym skąpanym w deszczu sielskim tle. Pagan też go zauważył. Pod wpływem pierwszego gwałtownego impulsu chciał prosić Bengocheę, by posadził helikopter na ziemi, ale na polu znajdowało się zbyt wiele ludzi. Z wysokości czterystu pięćdziesięciu metrów Pagan widział mężczyzn,

uwijających się przy pneumatycznych podnośnikach z tyłu ciężarówki, które dźwignęły pocisk w górę i ustawiły go w pozycji gotowej do odpalenia. Strzegli go rozstawieni w trawie żołnierze.

Jeśli to miał być podstęp, którego celem było skompromitowanie Castra, był przekonujący oraz starannie i szczegółowo dopracowany. Oczywiście ktoś na dole miał rozkaz, żeby zrobić zdjęcia. To fotografowie, a nie pisarze byli prawdziwymi kronikarzami. Nic na świecie nie przemawiało tak do wyobraźni, jak imponująca odbitka, którą w naturalnych i żywych kolorach można bez trudu przedstawić masom: oto dowód nuklearnych zapędów Castra — powszechnie rozpoznawalny niebezpieczny pocisk, którego przerażający potencjał można pojąć nawet bez umiejętności czytania. A na tle ujęć miał naturalnie się znaleźć Rosabal. Bohater i wybawca. Człowiek, który uwolnił świat od starego i obłąkanego Fidela.

Pagan wskazał gestem Bengochei, żeby jeszcze raz okrążył łąkę. Dostrzegł na dole dwie postacie, które zbliżały się do ciężarówki z pociskiem. Rozpoznał Giinthera Ruhra. Drugą osobą mógł być Rosabal. Bengochea kilkakrotnie zatoczył łuk, schodząc do możliwie najniższego pułapu.

Żołnierze na łące otworzyli ogień. Przeszedł niepokojąco blisko kabiny. Bengochea zwinnie podciągnął śmigłowiec w górę, ale nie zrobił tego wystarczająco szybko i kilka pocisków trafiło w kadłub. Milcząca w ciągu ostatniej godziny Steffie Brough zapiszczała, gdy zdała sobie sprawę, że helikopter znalazł się pod ostrzałem. Pagan



szukał słów pociechy, które by mogły ją uspokoić, ale nigdy nie miał właściwego podejścia do dzieci.

Odłamki pocisków przedziurawiły okno kabiny, przeleciały obok głowy pilota i wyszły dachem. Bengochea wzbił się jeszcze wyżej i wyprowadził helikopter poza zasięg ognia.

Pagan zobaczył w dole Rosabala z Ruhrem, którzy zbliżali się do urządzenia sterującego. Czy Ruhr zamierzał wyjaśnić Rosabalowi jego konstrukcję? Wycieczka krajoznawcza? Pagana przeszły dreszcz na myśl o tych dwóch osobach, które miały w swoich rękach pocisk. Zastanawiał się, czy jest taki granat, który zmiotłby z powierzchni ziemi Ruhra razem z Rosabalem, a równocześnie rozbroił pocisk.

Pagan spojrział na drzewa z wysokości dziewięciuset metrów. Zamyślił się. Musiało być jakieś wyjście. Myślał bardzo intensywnie, ale nie potrafił znaleźć żadnego rozwiązania. Nie poprosił Bengochei o powrót w to samo miejsce, gdyż nie mógł po raz drugi wystawiać na ryzyko życia Steffie Brough.

Giinther Ruhr / Rosabalem obserwowali śmigłowiec, który imiknal i w bezpiecznej odległości kra/ył wysoko nad drzewami.

— Kto siedzi w tym cholernym helikopterze? — zapytał Rosabal.

— Mężczyzna o nazwisku Pagan — odpowiedział Ciiinther Ruhr

— Pagan?

— Angielski policjant. Zna go pan?

— Słyszałem o nim. Zaopiekujemy się nim — powiedział

Rosabal.

— Niech go pan nie lekceważy.

Rosabal machnął ręką w sposób, który świadczył o rozdrażnieniu. Pagan był zawziętym draniem. W jaki sposób zdołał tu dotrzeć / jak daleka? Ale jakie to teraz miało znaczenie.' Rosabal wcale się mm me przejmował. Ogień broni maszynowej albo zestrzeli śmigłowiec, albo powstrzyma go przed powrotem. Rosabal me miał (era/ czasu na zajmowanie się tak try wialnymi sprawami jak angielski policjant i jego helikopter. W roztargnieniu przyglądał się jednemu z mężczyzn. który fotografował broń.

Giinther Ruhr patrzył na pocisk, który pięknie prezentował się w deszczu.

— Na mnie już czas. Zgodnie i umową dostarczy łem uzbrojony pocisk — powiedział.

Rosabal uniósł twarz w górę i spojrzał w niebo. Na wysokości półtora kilometra krążył nad drzewami helikopter. Odwrócił się w stronę Ruhra. Na moment jego uwagę przykuła szpetna dłoń.

— Nie spiesz się tak. Giinther.

— À na co mam czekać? Czy jest jeszcze jakiś problem? Po wykonaniu zadania miałem obiecaną pokaźną kwotę w Port-au-Pnnce na Haiti. Nie zamierza mnie pan chyba oszukać. Mogę pana zapewnić, że jeśli coś mi się przydarzy, wszystko zostanie ujawnione i runie cała koncepcja pańskiego świata.

— Nikt nie ma zamiaru pana oszukać, drogi przyjacielu. Niech się pan odpręży — powiedział Rosabal z uśmiechem.

— Dlaczego pan chce. żebym został?

— Ponieważ pocisk mnie intryguje. Chciałbym czegoś więcej się

o nim dowiedzieć, a pan jest zapewne wybornym nauczycielem. — Rafael Rosabal. adept sztuki schlebiania ludziom, którym życie szczydziło pochwał, uśmiechnął się ciepło. Jesteśmy przyjaciółmi, Giinther, siedzimy w tym razem po uszy, zdawał się mówić jego uśmiech.

Rosabal wskazał na prostokątny moduł sterujący, z którego zdjęto brezent. Obaj mężczyźni weszli na ciężarówkę. Drzwi od kabiny z urządzeniami kontrolnymi były otwarte i przecisnęli się do środka.

Było to małe pomieszczenie o wymiarach dwa i pół na dwa metry. Wewnątrz brakowało miejsca dla dwóch osób. Mężczyźni ścieśnili się przed ekranami komputerów urządzeń sterujących i mechanizmu odpalającego. Pocisk, wzniesiony pod kątem czterdziestu pięciu stopni, był połączony z centrum sterowania siecią kabli, które przekazywały polecenia jego systemowi nawigacyjnemu.

— Interesuje mnie system sterowania — powiedział Rosabal.—  
Niech mi go pan pokaże — poprosił.

Ruhr włączył przełączniki. Rozbłysły ekrany.

— Do komputera wprowadza się dane i pocisk leci do wybranego miejsca przeznaczenia. Oczywiście w granicach swojego zasięgu — powiedział Ruhr.

— Fascynujące.

Ruhr dotknął tablicy rozdzielczej urządzenia. Podobała mu się. Była zaprojektowana oszczędnie i funkcjonalnie. Delikatnie przejechał czubkami palców po konsoli. Zademonstrował Rosabalowi sposób programowania toru pocisku. Mówił z zapałem, jak człowiek oczarowany tematem. Rosabala bardziej niż techniczne detale, którymi Ruhr go zasypywał, zaciekawiło zafascynowanie Niemca bronią nuklearną. Nie obchodził go sposób, w jaki funkcjonowały przedmioty. Interesowała go tylko ich przydatność.

— Ciekawe byłoby... wystrzelenie pocisku — rzekł Rosabal.  
Günther Ruhr nie odpowiedział. Wyobraził sobie radosny widok pocisku szybującego wśród deszczu po niebie, precyzyjnej

sześciometrowej stalowej strzały, która przesyje serce celu.

Rosabal przycisnął do siebie dłonie opuszkami palców i przyłożył je do ust, jak gdyby się nad czymś zastanawiał. Przypadkowy obserwator mógłby przypuszczać, że Rosabal się modli. Ale on przebywał myślami w Miami, mieście, w którym nigdy nie był, a znalazł tylko z książek i filmów. Wyobraził sobie hotele w rejonie Art Deco, kobiety i starców, którzy przesiadywali na balkonach różowych albo turkusowych pensjonatów i krzywo spoglądali na zasnute mgłą morze. Pomyślał o małych ekskluzywnych sklepach na Coral Gables i olbrzymich hotelach przy Collins Avenue oraz kubańskich kafejkach wzdłuż Calle Ocho, w których zbierali się podżegacze, by się spierać na temat polityki w Hawanie. A potem przypomniał sobie swojego starego ojca, który pojechał do Guantanamo, by w amerykańskiej jednostce morskiej prosić o azyl, i to, jak został tam ze śmiechem odprawiony, a potem, za sprawą policji Castra, słuch o nim zaginął.

Tak, miał rację. Wszystko, co do tej pory zaplanował, było słuszne i sprawiedliwe. Nie miał absolutnie żadnych wątpliwości.

Spojrzał na Giinthera Ruhra i zapytał.

— Czy potrafi pan wystrzelić pocisk?

— Oczywiście — odpowiedział Ruhr. Z trudem oddychał: czy właśnie go poproszono, żeby wykonał to szczególne zadanie, o którym zawsze marzył?

— Dlaczego nie miałby pan tego zrobić? — zapytał Rosabal.

Ruhr poczuł dreszcz podniecenia, zjeżyły mu się włosy na dłoni.

— Czy wybrał pan już cel?

Na kilka godzin przed pojmaniem, w wyniku którego został stracony, na kilka godzin przedtem, zanim okłamał przesłuchujących o miejscu pobytu Magdaleny Torrente, Alberto Canto zawiózł ją w odosobnione miejsce i założył opatrunek. Ranę opatrzył maścią z antybiotykiem i gazą. Uprzedził kobietę, że skuteczność leku, który pochodził z Rosji, mogła być wątpliwa, ale niczym innym nie dysponował. Żałował, że nie ma możliwości zrobienia zdjęcia rentgenowskiego, by mógł ocenić rozmiary uszkodzenia ciała i określić miejsce, w którym utknął pocisk. Jego pomoc miała jedynie charakter doraźny. Stan kobiety wymagał specjalistycznej opieki w warunkach szpitalnych. Jej oddech był nieregularny, a temperatura z pewnością wysoka. Mogła albo wrócić do Stanów, albo zaryzykować pobyt w szpitalu w Hawanie, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że tam zaraz odkryją jej nielegalny status i zostanie narażona na okrutne konsekwencje.

Obiecała, że jeśli znajdzie jakiś samolot, wróci na Florydę. Zaskoczony jej zaufaniem, Canto starał się ją przekonać, że pomimo zastrzyków znieczulających nie zdoła sama poprowadzić samolotu. Radził jej, żeby wzięła pod uwagę złą pogodę, ciemności i obrażenia, jakich doznała. Przestrzegł, że jej stan jest ciężki.

Radził, żeby znalazła pilota. Jeśli zdecydowała się wracać do domu, nie powinna siedzieć przy sterach. Ale zlekceważyła jego przestrogi, twierdząc, że poradzi sobie sama. Uparcie przy tym obstawała. Używał argumentów medycznych, ale Magdalena Torrente pozostała niewzruszona. Były w niej niezgłębione pokłady

determinacji, których istnienia Canto nawet nie podejrzewał.

Z pasa startowego na przedmieściach San Jose de las Lajas bez kłopotu ukradła mały samolot — jednosilnikowy beechcraft bonanza, produkowany w Stanach Zjednoczonych i sprowadzany okrężną drogą na Kubę, który należał do urzędnika z Ministerstwa Budownictwa. Starzy piloci na obozie szkoleniowym uchodźców w Everglades

nauczyli ją, w jaki sposób można ukraść samolot. Canto wciąż próbował ją powstrzymać. Kłócili się ze sobą zawzięcie, stojąc na zalewanym strugami deszczu polu. Prawie nie słyszeli się nawzajem, przekrzykując ryk wiatru. Canto wołał, że pilotowanie samolotu w jej stanie jest szaleństwem i jeśli nie zdoła dotrzeć do szpitala na czas, może dostać krwotoku i umrzeć z powodu upływu krwi. Ale w końcu determinacja Magdaleny wzięła górę nad życzliwymi radami lekarza.

Lot nie przerażał jej, pomimo trudnych warunków atmosferycznych i złego stanu zdrowia. Szybko zaczęły działać środki znieczulające, które zaaplikował jej Canto, i burza zaczęła słabnąć w chwili, gdy była gotowa do startu. Objęła lekarza i pocałowała go, wyrażając wdzięczność i plamiąc mu koszulę krwią. W kokpicie znalazła mapy. Przyrządy były proste. Wystartowała w ulewnym deszczu. Spojrzała ostatni raz na dół i szukała wzrokiem lekarza, ale Canto już nie było.

Oklamała go. Nie miała zamiaru lecieć na Florydę.

Wewnątrz ciasnego wnętrza modułu sterującego Rafael Rosabal udawał, że przez chwilę zastanawia się nad odpowiedzią na pytanie Giinthera Ruhra dotyczące celu.

— Myślę, że Miami — powiedział.

Alejandro Bengochea wylądował na polu półtora kilometra od pocisku. Wsiadł i zbadał kadłub śmigłowca, trafiony odłamkami pocisków. Przewody paliwa nie były naruszone. Pagan wysiadł z helikoptera i zamyślony zapatrzył się w deszcz. Co miał teraz robić?



Bolała go głowa, a mózg był jak pusta przestrzeń. Jak miał się dostać do Ruhra i przemknąć obok żołnierzy z automatyczną bronią? Miał tylko pożyczony od Bengochei stary rewolwer, który już wiele lat temu powinien zostać oddany na złom. A nawet gdyby mu się udało, w jaki sposób miał unieszkodliwić ten cholerny pocisk?

Czuł na sobie wzrok Steffie Brough. Spojrzał w górę i uśmiechnął się, starając się dodać jej otuchy, jak przystało na przyjaznego i godnego zaufania londyńskiego policjanta, który wie, jak dojechać do parku Battersea, i zna najszybszą drogę do pałacu Buckingham. Patrzyła na niego z wyrazem wyrzutu na twarzy, jak gdyby nie mogła pojąć, dlaczego nie wraca do domu. Jak małe dziecko kreśliła na zaparowanej szybie bezkształtne wzory. A potem odwróciła zachmurzoną twarz. Widział tylko jej profil.

Spojrzał na pola. Był przemoczony, ale wilgoć i cierpienie szybko siały się zwykłym sianem w jego życiu i niemal je zaakceptował. Obrócił w dłoni rewolwer Bengochei i ponownie spojrzał na łąkę. Wzruszył ramionami. Nie był to może najlepszy pomysł, ale jedyny, jaki mu przyszedł do głowy.

— Wracam lam — powiedział do Bengochei.

— Que?

— Pieszko. Sam. Solo.

Bengochea wydawał się zakłopotany.

— Niech pan tutaj zostanie. I pilnuje dziewczyny. Jeśli nie wrócę, zabierze ją pan do Ambasady Brytyjskiej w Hawanie. Zrozumiał pań?

I odszedł. Obejrzał się za siebie. Steffie Brough nie patrzyła na

niego, ale Alejandro Bengochea wciąż potrząsał głową. Nie zrozumiał dokładnie słów Pagana, był jednak przekonany, że Anglik, choć trochę estúpido, to dzielny człowiek.

Magdalena leciała już trzy godziny na wysokości dwóch tysięcy metrów, starając się utrzymać bonanzę ponad zasięgiem turbulencji, ale i tak samolotem wstrząsał kapryśny wiatr. Gdy wznosiła się wyżej, chmury przesłaniały główną autostradę, której próbowała się trzymać. Nie chciała lecieć bez wizualnego punktu odniesienia. Zeszła niżej na wysokość dziewięciuset metrów.

Wtedy przestały działać środki przeciwbólowe. Trudno jej było znaleźć wygodną pozycję. Może w ogóle takiej nie było. Przełknęła dwie tabletki codeiny, które dał jej Canto, ale nie stłumiły palącego ognia w boku.

O samolot uderzał deszcz. Mgły i chmury utworzyły wokół kokpitu tajemnicze kształty. Delikatnie dotknęła miejsca zabandażowanego przez Canta. Przeszył ją ból. Przedziwna była świadomość tkwiącej w ciele kuli, obcego kawałka metalu w organizmie. Jakiego dokonał spustoszenia? Co przebił? Czy zagroził któremuś z niezbędnych do życia organów?

Co było dziwniejsze — obcy przedmiot w ciele czy złamane serce? Pot zaczął zalewać jej oczy, choć wewnątrz czuła chłód.

Spojrzała w dół na autostradę. W którymś miejscu będzie musiała skręcić na południowy zachód, w stronę Bayamo.

A z Bayamo do Santiago. Miała przed sobą około stu sześćdziesięciu kilometrów. Mniej niż godzinę lotu.

Jeśli zdoła przetrwać. Gdy przeleciała pięćset kilometrów, niebo zrobiło się zamazane i szare. Było jasno, choć nie wzeszło jeszcze słońce. Ostry i nie słabnący deszcz tworzył dziwaczne tatuaże na

kokpicie. Otarła pot z oczu i skupiła uwagę na niebie powyżej i na drodze pod sobą.

Dlaczego było jej tak strasznie zimno? A potem znów gorąco?

Spojrzała na bandaż. Przez materiał sączyła się czerwona struga.

Straciłam coś więcej niż tylko krew. Straciłam samą siebie. Dotknęła bandaża i podniosła do góry dłoń. Palce były czerwone. Postanowiła myśleć o przyjemnych sprawach. Ale nie mogła uwolnić się od obrazu Rafaela. Przed oczami jawiła się jej jego złudnie urocza twarz.

Gdyby zmaterializował się tu za chwilę, gdyby zjawił się w tej kabinie, prosząc o przebaczenie, co by mu odpowiedziała?

Tak.

Tak, wybaczam ci jeszcze raz.

Powiedziałabyś tak, prawda? Znowu zachowałabyś się tak samo. Niczego się nie nauczyłaś. Gdy w grę wchodził Rafael, serce zawsze wzlatywało ponad rozsądek.

Jej miłość była czymś więcej niż tylko chorobą. Magdalena oddychała miłością do Rafaela, potrzebowała jej do życia jak tlenu. To uczucie tkwiło w niej jak układ krwionośny. Chociaż było zatrute. Kochała go. I chciała go widzieć martwym.

Spojrzała na dół, na szarzielony krajobraz. Widziała, jak ocean zalewa plażę wielkimi chmurami pyłu wodnego.

Leciała nad Bayamo z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. W całym ciele czuła piekący ból. Stal się tak gwałtowny, że na moment przytknęła oczy. Nie znała niczego równie intensywnego.

Kiedyś, lata temu, przeszła zabieg usuwania ciąży. Lekarz popełnił jakiś błąd i dostała zakażenia macicy. Przypomniała sobie, jak wtedy wyła z bólu, lecz nawet tamte cierpienia były niczym w porównaniu z tym, co czuła teraz.

Wypuściła z rąk stery. Było jej zimno, tak strasznie zimno, że chociaż nie miała lustra, wiedziała, że jest blada i ma czarne sińce pod oczami. Nad górną wargą zebrał się jej pot, zatrzęsły się jej ręce, a wnętrzności zamknęły się w uścisku stalowych kleszczy. Głośno krzyknęła. Poczowała, że osuwa się w ciemność. Otworzyła okno, wpuszczając do środka orzeźwiająco zimny i wilgotny strumień powietrza.

Znów położyła ręce na sterach, wyrównując położenie samolotu, ale jej władza nad nim była chwiejna i słaba. Brak czucia w opuszkach palców napawał ją lękiem. Magdalenie zdawało się, że słyszy upiorny szept, głos rozbrzmiewający w pobliżu i odległą słodko-gorzka, kuszącą melodię, której nigdy przedtem nie słyszała.

Nie chciała jej słuchać. Wiedziała, co oznacza, i przerażało ją to, ale strach trwał tylko moment, zanim przekroczyła barierę lęku, przenosząc się na inny poziom świadomości, w miejsce, w którym koleje losu nie były ani wesołe, ani smutne, dobre ani złe, tylko nieuniknione.

Pagan skradał się pomiędzy drzewami otaczającymi pole. Wokół pocisku zgromadziło się około dwudziestu mężczyzn, a większość z nich była uzbrojona. Wydawało mu się, choć nie był pewien, że pocisk zmienił kąt nachylenia od czasu, gdy widział go po raz ostatni

— został podniesiony wyżej. Z jakimś ponurym zamysłem został wycelowany w niebo pod kątem siedemdziesięciu pięciu stopni. Pagan dostrzegł w strugach deszczu otwarte drzwi do modułu sterującego. Chociaż widział tylko cienie, był przekonany, że wewnątrz kabiny jest Ruhr z Rosabalem.

Pagan przykucnął, by go nie dostrzeżono. Gdyby wyszedł zza drzew, zostałby zastrzelony. W jaki sposób mógł się tam dostać? Jedyne pomysły, jakie mu przychodziły na myśl — bieg w stronę modułu ze skuloną głową — był niedorzeczny i samobójczy, a Pagan nie miał ochoty nadstawiać karku. Jeszcze nie teraz.

Musiał być jakiś lepszy sposób.

Rozwagał możliwość okrążenia łąki i podejścia do modułu od drugiej strony, ale przeszkody pozostawały te same. Żołnierze rozglądali się wokół, uważnie obserwując ziemię i niebo.

Wszystkie wysiłki zdawały się daremne. Sytuacja była bez wyjścia. Jedyne, co mógł zrobić, to strzelić ze starego rewolweru do ciężarówki z odległości stu pięćdziesięciu metrów i przy prawdziwym szczęściu przedziurawić jej oponę. Wstrząsające. Ale gdy tylko użyje broni, natychmiast zginie.

Przyglądał się pociskowi, który przesunął się w sposób widoczny o trzydzieści centymetrów, a potem znieruchomiał. Pagan wstrzymał oddech. Zabawiali się pociskiem, siedząc w środku modułu. Może Ruhr demonstrował Rosabalowi sposób jego obsługi.

A może nie. Pagan nie chciał nawet dopuścić do siebie podejrzenia, które zrodziło mu się w głowie.

Nie, nie. To niemożliwe, żeby chcieli wystrzelić pocisk. Ruhr wyjaśniał tylko Rosabalowi jego działanie, to wszystko. Potem zostanie rozbrojony, rozłożony na części i zniszczony. Przecież taki był plan. Nie mógł być inny.

Pagana ogarnęło niezwykle poczucie bezsilności. Jeśli mężczyźni

wewnątrz modułu zamierzali wypuścić ptaka, nie mógł zrobić nic, żeby ich powstrzymać. Może tylko strzelić w stronę modułu z broni Alejandra. Ale co innego mu pozostawało?

Skierował rewolwer w stronę kabiny umieszczonej z tyłu długiej ciężarówki. Celował w moduł z wielką uwagą, koncentrując się tak intensywnie, że aż rozboleła go głowa. Gdyby jego kula mogła trafić w jakieś ważne miejsce — przewody albo i złącza kabli, a nawet w komórkę centrum sterowania i zniszczyć jej istotne elementy. Ale na same życzenia nie można było liczyć.

Drżała mu ręka.

Przycisnął palec do cyngla.

Wystrzelił.

Podyktowany rozpaczą strzał, nieszkodliwy i niecelny, przeszył przestrzeń pomiędzy pociskiem a modułem. W odpowiedzi żołnierze otworzyli ogień. Powietrze rozdarł zdradliwy pył automatycznej broni. Pagan przywarł do ziemi i zaczął się czołgać w kierunku zarośli, słysząc nad głową jęk powietrza.

Dołączył się do niego inny dźwięk, który dobiegał od strony nieba.

Pagan spojrział w górę.

Magdalena trzykrotnie okrążyła Santiago de Cuba, zanim znalazła to, czego szukała. Mgliście zarejestrowała czterysta pięćdziesiąt metrów pod sobą łąkę, pierścień drzew i pocisk na ciężarówce. Był niewielki i nie mogła utrzymać go w zasięgu widzenia. Wzrok zasnuwały jej plamy o kształcie ameby. Ale najbardziej niepokoił ją



chłód, trawiący ją przenikliwy ziąb. Nigdy przedtem nie doświadczyła podobnego doznania.

Chłód śmierci, pomyślała.

Zimno trumny. Zmarzniętej ziemi.

Przeleciała nad polem, zawróciła i po raz drugi zakreśliła samolotem łuk. Maszyna zaczęła tracić wysokość, zniżając się o sześćdziesiąt, a może dziewięćdziesiąt metrów. Potem na moment Magdalena straciła świadomość, gdyż nie mogła przypomnieć sobie, żeby sprowadziła samolot na wysokość zaledwie stu pięćdziesięciu metrów nad ziemią. Przycisnęła rękę do boku i oderwała ją, oglądając palce poplamione krwią, która sączyła się przez bandaż Canta. Ale ta zakrwawiona dłoń nie należała już do niej, była widmem, jakimś pozbawionym substancji dodatkiem. Magdalenie zdawało się, że na ciele zamarza jej krew i zamienia się w blad różowe kryształy, które ze skóry odrywa gwałtowny pęd wpadającego otwartym oknem powietrza.

Umieram, pomyślała. Umieram, umieram.

Przeleciała kolejny raz nad polem.

Była tak nisko, że widziała twarze strzelających do niej mężczyzn. Pociski uderzały o kadłub samolotu. Zobaczyła, że strzelcy rozpierzchają się w popłochu, gdyż leciała teraz nie wyżej niż pięć metrów nad łąką.

Umieram, pomyślała znowu.

Było w tym jakieś doskonałe szaleństwo.

W jej polu widzenia pojawiła się ciężarówka. Spozrzegła pocisk

złowroźnie wymierzony w powietrze, jak gdyby gotowy do lotu, oraz otwarte drzwi modułu sterującego. Wszystko gwałtownie zbliżało się do niej, zanim nie zostało wessane przez śmigło. Liście, źdźbła trawy, ludzie, karabiny i chmury — wszystko razem zniknęło w strumieniu zaśmigłowym pędzącego samolotu, ograniczając jej wizję oraz umysł i pozbawiając zdolności zaczerpnięcia powietrza w płuca.

Wewnątrz modułu Günther Ruhr ustalał trasę pocisku. Sądził, że uderzy w samo serce Miami. Dokładność nie była bardzo istotna w przypadku całkowitej zagłady miasta, kilometr albo dwa nie stanowiły różnicy.

— Jak rozległe będą szkody? Ile będzie ofiar? — dopytywał się Rosabal.

— Niech pan przypomni sobie Hirosimę — odpowiedział Günther Ruhr.

Hirosima. Zginęło tam dwieście tysięcy ludzi, a wiele tysięcy więcej zachorowało na chorobę popromienną. Miasto zostało doszczętnie zniszczone. Rosabal nie odezwał się. Usłyszał na zewnątrz wystrzały, ale nie zważał na nie. Pomyślał, że to śmigłowiec znów pojawił się nad polem. Wcześniej czy później zostanie zestrzelony. Świat na zewnątrz nie był ważny, liczyło się tylko to małe pomieszczenie.

— Ten pocisk dokona znacznie poważniejszego spustoszenia — powiedział pogodnie Ruhr. — Znacznie poważniejszego. Zginie dziesięciokrotnie więcej ludzi.

— Zrób to — rzekł Rosabal.

Ruhr pochylił się nad konsolą i jak szuler przygotowujący się do tasowania kart albo jak magik szykujący się do zademonstrowania tricku, kilkakrotnie potarł ręce i zawiesił je nad konsolą. Urodził się tylko dla tego momentu, dla tej najlepszej z jego sztuczek.

—Zrób to! Do cholery, zrób to! — warknął ze złością Rosabal.

Günther Ruhr uśmiechnął się. Był to szczególny, prawdopodobnie najbardziej błogi wyraz, jaki kiedykolwiek pojawił się na jego twarzy. Sięgnął w stronę konsoli.

Przez ułamek sekundy, zbyt krótki, by mogły go odmierzyć nawet najwspanialsze chronometry, zbyt ulotny, by zmysły mogły wyodrębnić szczegóły z chaosu. Magdalena zobaczyła Rafaela Rosabala w otwartych drzwiach modułu. Stał odwrócony od niej twarzą, lecz profil był wyraźnie widoczny. Uderzyła jej do głowy zimna już prawie krew i przez okno spadającego samolotu poczuła wilgotną w'oń trawy i czarnego błota, a potem wszystko połączyło się razem w tym jednym, chaotycznym ułamku czasu, moduł z samolotem, błoto z niebem. Magdalena z człowiekiem, którego kochała — mężczyzną, z którym teraz mogła spędzić wieczność, jeśli taka istniała. Wszystko stopiło się w jedność, a nawet wtedy, gdy wybuchło i rozpadło się na części, biały płomień trawiąc kadłub samolotu zespolił go z ciężarówką, skruszył moduł razem z ludźmi w środku i rozprzestrzenił się na kable, które łączyły pocisk z centrum sterowania. W końcu w ogniu stanął i sam pocisk, który się stoczył z wyrzutni i ciężarówki na ziemię, i unieszkodliwiony. ze stopionym systemem nawigacyjnym, gwałtownie się zapadł w miękkie błoto.

Frank Pagan widział Magdalenę tylko przez sekundę, gdy samolot bezlitośnie uderzył w moduł. Potem Pagan zamknął oczy z powodu żaru. który przesuwiał się po łące w stronę drzew, pod którymi stał. Gdy spojrział po chwili, zobaczył, jak wysokie białe płomienie

hałaśliwie tańczą nad ciężarówką w takt dziwnej skrzypiącej muzyki ognia. Pagan wątpił w wiarygodność własnego postrzegania. Nie był pewien, czy rzeczywiście widział Magdalenę w małym kokpicie skazanego na zagładę samolotu? Czy tylko ją sobie wyobraził?

Cofnął się pod osłonę drzew. Żołnierze, którzy zaledwie kilka minut temu strzelali do niego, co sił w nogach uciekali od płonącego wraku ciężarówki. Mundury niektórych z nich zajęły się ogniem. Pagan zobaczył, że jedno skrzydło samolotu skurczyło się jak płonący papier, ale chwilę później zatarły się różnice pomiędzy obiektami uwięzionymi w piekielnej pułapce. Wszystkie płonęły równie intensywnie.

Pagan odwrócił się i zaczął biec najszybciej, jak potrafił, w stronę miejsca, gdzie w helikopterze czekał na niego razem z dzieckiem Bengochea.

Cabo C. racias a Dios. Honduras

Sztorm wyrwał / ziemi namiot Tomasa i ucntesa i włókł go ponad pasem stanowym w stronę oceanu, gd/ic w/burzone fale niebezpiecznie podrzucały zakotwiczonymi łodziami. Jeden z frachtówcow\ który jakieś trzydzieści minut temu postawił żagiel, zawrócił, a inny mały statek wichura obróciła do góry dnem. Bojowe samoloty na pasie startowym przywiązano dla zabezpieczenia przed wiatrem łańcuchami do kamiennych kłoców. Tomas obserwował swój odlatujący namiot, który jak wielki ptak o brązowo-oliwkowym upierzeniu oddalał się. a> zupełnie mu zniknął z pola widzenia. Namiot Bosanqueta spotkał ten sam los. Powiewając jak bielizna na

wietrze, płynął w powietrzu, ciągnąc za sobą linki.

Fuentes wpatrywał się we wzburzone morze. Wiatr zerwał mu z głowy kapelusz i miotał nim ponad konarami wysokich drzew-.

Fuentes po chwili zupełnie stracił go z oczu. Mógłby uznać to za znak przegranej sprawy.

On jednak wolał o niej myśleć jako o sprawie odroczonej. Wierzył, że nadejdą lepsze dni. bezchmurne, a morze będzie spokojne aż do samej Kuby, uwolnionej wreszcie od tego hijo de puta, Fidela Castro.

Londyn

Pagan patrzył przez okno boeinga 727. jak zacierają się światła Florydy, ustępując miejsca ciemności oceanu. Niebo zasnuły pozostałe po sztormie nieruchome chmury. Udawał, że czyta gazetę, ale jego uwaga przez cały czas była skupiona na siedzącej obok Steffie Brough.

Dziewczyna zatopiła wzrok w ilustrowanym magazynie mody — syntetycznej rzeczywistości, zdecydowanie miłszej niż ta, którą właśnie poznała. Była dziwnie milcząca w czasie całej podróży i niechętnie odpowiadała nawet na najbardziej niewinne pytania. Pagan zdał sobie sprawę, że wcześniej czy później potrzebna jej będzie specjalistyczna pomoc terapeuty. Ruhr wycisnął na niej swoje piętno. Pozostawało pytanie, jak rozległe były wyrządzone szkody?

Pagan nie był mistrzem w rozmowie o niczym i na próżno silił się co pewien czas na jakąś uwagę, którą Steffie Brough przyjmowała apatycznie, nie zawsze decydując się na odpowiedź. Byli dla siebie obcymi ludźmi, których nic nie łączyło. Cóż mogli mieć ze sobą

wspólnego, on, policjant z Londynu, i ona, córka hodowcy koni z prowincji? Miała martwe spojrzenie, jak gdyby ciekawość była dla niej czymś obcym — żadnych pytań na temat dochodzenia, żadnych wyrazów wdzięczności. Chociaż Paganowi na nich nie zależało, w tych

okolicznościach uważał je za naturalne. Przerzucała stronice magazynu i bez apetytu skubała jedzenie, które podano w samolocie — kurczące udka z migdałami i kleistą substancją, imitującą ryż. Wysiłki Pagana, by dotrzeć do dziewczyny, okazały się całkowicie bezowocne. Była poza zasięgiem jego życzliwości i okazywanej troski. Chociaż uważał, że nie ma żadnych naturalnych zdolności postępowania z dziećmi, nie dawał za wygraną. W tym wypadku przeszedł samego siebie. Ale nie zdołał pokonać jej apatii.

Przylecieli do Londynu o piątej rano, szarym angielskim świtem. Lotnisko Heathrow nie wchodziło w rachubę; zbyt wielu reporterów i fotografów czekało tam na uwiecznienie wyciskającego łzy wydarzenia — ponownego połączenia się rodziny. Samolot skierowano na lotnisko Gatwick, gdzie nie oznaczonym samochodem policyjnym zostali przywiezieni rodzice Steffie Brough.

Pagan wysiadł z dziewczyną z samolotu. Na zewnątrz w wydzielonej części hallu czekała na powrót Steffie grupa osób — jej rodzice, babcia i brat, około dwunastu policjantów, w tym połowa kobiet, oraz detektywi w cywilnych ubraniach — Billy Ewing z Golden Square i Martin Burr, który poklepał Pagana po ramieniu, jak gdyby w ten sposób chciał mu wyrazić swoje uznanie. Burr nigdy nie był zbyt wylewny w pochwałach. Profesjonalista wykonywał to, co do niego należało, i nie potrzebował specjalnych wyrazów wdzięczności. Później miał nadejść czas na raporty i przesłuchania, ale jeszcze nie teraz.



Zmęczony Pagan, próbując powstrzymać ziewanie, przyjął wylewne podziękowania rodziców i babci, która złożyła mu na policzku pachnący perfumami pocałunek. Pragnął tylko jak najprędzej wydostać się stąd, wrócić do domu i spać kilka dni bez przerwy. Chociaż perspektywa samotności napawała go lękiem, tak jak i obawa przed koszmarnymi snami o pocisku ustawionym na wyrzutni i o małym samolocie płonącym na kubańskiej łące, nadeszła pora, by jego osobisty zegar zwolnił nieco tempo.

Obserwował tłum szczęśliwych ludzi zgromadzonych w hallu, uśmiechniętą i zapłakaną rodzinę, matkę Steffie o bladej z niewyspania twarzy, która teraz była promienna jak świecąca się żarówka, pana Brough w garniturze w kratę i kamizelce z wielbłądziej wełny, oraz samą Steffie, która w milczeniu przylgnęła do matki.

A jednak Pagan był zdenerwowany i czuł dziwny niepokój. Samopoczucie to nie miało nic wspólnego ze zmęczeniem. Coś było nie w porządku.

Podszedł do automatu z napojami, wcisnął monetę i usłyszał, jak puszka z coca-colą zjeżdża na dół. Otworzył ją, wypił napój, marząc

0 kieliszku auchentoshanu, i zastanawiał się, co wywołało chłód  
1 uczucie pustki. I nagle zrozumiał, jeszcze zanim Billy Ewing odciągnął go za łokieć na bok, by przekazać poufną wiadomość. Wyszli z hallu na zewnątrz, gdzie otoczył ich ponury świt. Billy w charakterystyczny dla siebie sposób, jak puzonista, wydmuchał nos.  
— Chodzi o Foxiego — powiedział.

Oczywiście, pomyślał Pagan. To było to. Brakowało mu tutaj Foxiego. Poczciwy stary Foxie nie pokazał się. Pagan patrzył na Billy'ego, czekając na dalsze informacje, ale Szkot nie miał wiele do dodania.

— Nie wrócił jeszcze z Glasgow, Frank. Przekazał nam stamtąd tylko jedną wiadomość i od tamtego czasu nie słyszeliśmy o nim.

— Próbowaliście się z nim skontaktować?

— Oczywiście, wczoraj wieczorem osobiście rozmawiałem z centralą w Glasgow.

— I co?

Billy Ewing wzruszył ramionami.

— I nic. Ślad po nim zaginął. Pożyczył samochód z kryminalnego oddziału śledczego w Glasgow i nie zwrócił go jeszcze.

— Masz kopię jego ostatniego meldunku? — zapytał Pagan.

— Tak, w biurze.

— Idziemy do twojego samochodu, Billy — rzekł Pagan.

— Jak sobie życzysz.

Przejechali przez centrum Londynu fordem Ewinga. Ulice budziły się do codziennego szarego życia. Gdy dotarli na Golden Square, senność Franka Pagana ulotniła się, ustępując miejsca zdenerwowaniu.

Wiadomość pochodziła sprzed dwóch dni i gdy Pagan dotykał niewielkiego świstka papieru, miał niepokojące przeczucie, dane może tylko mediom i wróżbiarzom, że Foxie znalazł się w niebezpieczeństwie.

— Pewnie trafił na jakiś świeży trop — zasugerował Ewing.

— I nie mógł znaleźć drobnych na telefon, Billy?

Ewing, zbity z tropu, wzruszył ramionami. Wiedział równie dobrze jak Pagan, że Foxworth był pracowitym i sumiennym człowiekiem, który przywiązywał dużą wagę do szczegółów. Pagan wszedł do biura i opadł na sofę. Siedział tam przez jakiś czas pocierając zamknięte powieki i zamartwiając się o Foxiego.

Po chwili spojrzał na Billy'ego Ewinga.

— Zarezerwuj dla mnie miejsce na najbliższy lot do Glasgow, Billy. I daj mi broń.

. ^

■— Nie chciałbyś z kimś polecieć, Frank? Znam tamten teren.

Pagan pokręcił przecząco głową, wstał i poczuł ogromny ucisk w piersiach. Nie potrzebował towarzystwa, ani gadatliwego, ani małomównego. Sam zamierzał pójść śladem Foxiego. Pożyczył pistolet marki Smith & Wesson od Ewinga i Billy odwiózł go z Golden Square na Heathrow.

Po drodze Billy Ewing wspomniał Paganowi o wynikach śledztwa, które dotyczyło Harry'ego Hurta i Sheridana Perry'ego. Pagan prawie zapomniał, że wydał w tej sprawie jakieś polecenie — tak dawno to było. Billy określił mężczyzn jako parę bogatych pederastów.

—Lecz bogactwo, jak zwykła mówić moja babcia, nie gwarantuje nieśmiertelności — dodał.

—Co to znaczy?

—Harry Hurt został zamordowany w Waszyngtonie, a Sheridan Perry zniknął.

—Nie zaskoczyło mnie to — rzekł Pagan.

—Ostatnio umiera mnóstwo ludzi, Frank — westchnął Billy Ewing.

Scotland

Lot do Glasgow miał niezakłócony przebieg. Pagan przybył na miejsce tuż po ósmej rano i pojechał taksówką do centrum. Poranne słońce nad miastem było miłą niespodzianką. Orzeźwiający wiatr od strony River Cyde pędził chmury po błękitnym niebie. Znalazłszy się w sercu Glasgow, Pagan skierował się od razu do biura spółki

Executive Motor Cars przy West Nile Street. To było nowe Glasgow, zniknęła jego wyblakła monotonna i znużenie nadające miastu wygląd którejś ze stolic nadbałtyckich. Dźwignięte w górę, oczyszczone i odnowione, jak gdyby po wielu latach ciężkiej i kosztownej terapii, pozbyło się kompleksu niższości.

Pagan znalazł siedzibę spółki nad sklepem filatelistycznym. Szedł po schodach na górę. W połowie drogi zatrzymał się, żeby zaczerpnąć powietrza. Gdzieś powyżej dzwonił telefon i gwizdał czajnik. Foxie też pewnie tędy szedł i musiał się wspinać po tych samych schodach. Pagan wszedł na piętro. W drzwiach stała urocza młoda kobieta z kubkiem gorącej herbaty w ręce.

— Nie wygląda pan dobrze — powiedziała. — Żle się pan czuje? Czy mogę coś dla pana zrobić?

Pagan uśmiechnął się, pokręcił przecząco głową, pokazał jej legitymację oddziału śledczego i zapytał o Foxiego. Kobieta, która przedstawiła się jako panna Wilkie, pamiętała Foxwortha. Określiła go jako gentlemana, jakich w dzisiejszych czasach nieczęsto się spotyka, i zarumieniła się, co me uszło uwagi Pagana.

A potem zmarszczyła brwi, jak gdyby nagle zaniepokoił ją los Foxwortha.

— Czy coś mu się stało?

— Sam nie wiem. Dokąd się wybierał po wyjściu stąd? — zapytał Pagan.

— Określiłam mu bardzo dokładnie drogę do posiadłości w Ayrshire, panie Pagan. Mam nawet kopię mapy, którą sporządził dla

niego nasz kierowca. Nie jest dokładna, ale bardzo pomocna. —  
Zamilkła. Miała drobne i zadbane dłonie, które błyszczały od kremu.  
— Nie wrócił do tej pory, prawda?

Pagan przytaknął jej skinieniem głowy.

— Pytał mnie o jakichś mężczyzn, niech się przez chwilę  
zastanowię, Ich nazwiska zaczynały się na literę C. Jeden nazywał się  
Chap, Chap...

— Chapotin?

— Chyba tak — odpowiedziała panna Wilkie. — Drugi nosił  
nazwisko Caporelli. Obaj mężczyźni korzystali z naszych limuzyn w  
czasie wizyt w wiejskiej rezydencji, którą pan Foxie tak się  
interesował.

Pagan poczuł pulsowanie w wyschniętym gardle. Próbował wyob-  
razić sobie podniecenie Foxiego na wiadomość, że obaj mężczyźni  
pojechali do tego samego domu. Chapotin był związany z Caporellim  
tym samym węzłem, którego kwieciste zwoje i skręty łączyły  
Rosabala z Giintherem Ruhrem.

— Mógł ulec wypadkowi — powiedziała z wahaniem życzliwa  
panna Wilkie. — Stan niektórych dróg pozostawia wiele do życzenia.  
A dalej na południe są urwiska skalne. — Nie dokończyła myśli i  
dzielnie uśmiechnęła się. — Znajdzie go pan, na pewno. Ludzie  
zawsze się odnajdują — dodała.

Ale w jakim stanie, zastanawiał się Pagan. Wziął do ręki kopię  
mapy i przyglądał się jej, czując zawroty głowy. Zapytał o możliwość  
wynajęcia samochodu. Kobieta z ochotą zobowiązała się tym zająć.

Pagan musiał tylko wypełnić kilka formularzy. Gdy już uporał się z papierkową robotą, podziękował pannie Wilkie, uścisnął jej dłoń i skierował się w dół West Nile Street. Nagle miasto wydało mu się zbyt głośnie z trąbiącymi hałaśliwie autobusami w ulicznych korkach. W pobliżu Royal Exchange Square znalazł małą kawiarnię i wszedł do środka. Szybko wypił dwie filiżanki mocnej kenijskiej kawy i wrócił do Executive Motor Cars po wynajęty samochód — fiata uno.

Za miastem miał się skierować na południe, co według mapy nie powinno stanowić problemu, ale ze swoim przytępionym zmysłem orientacji Pagan krążył przez godzinę, zanim znalazł drogę do Ayrshire, przypuszczalnie tę samą, którą przedtem udał się Foxie. Pagan jechał ostrożnie, przed oczy zaczęły mu napływać ciemne fale i ogarniała go senność. Od czasu do czasu przeglądał mapę panny Wilkie. Na widok połyskującej wokół zieleni żałował, że nie jest turystą na nie planowanej wycieczce w samo serce piękna.

Zatrzymał się w Ayr w pobliżu portu, rozprostował nogi, zaczerpnął do płuc morskiego powietrza i obserwował sprzeczące się ze sobą mewy. Jak widzi szukający rozrywki. Może Foxie też tędy przejeżdżał w pogoni za duchami, pomyślał Pagan. Rozglądał się po poboczach drogi za rozbitym samochodem i za leniwie wyciągniętym w trawie Foxiem, oczekującym na przybycie pomocy drogowej. Ale nigdzie nie zauważył ani Foxwortha, ani uszkodzonego samochodu. Gdy wyjechał z Ayr, kierując się na południe, okolica prawie natychmiast stała się zupełnie opustoszała — na swój sposób urocza, ale zdecydowanie smutniejsza, z pobielonymi chatami z kamienia oraz starymi farmami, które wyrastały w ustronnych i wyludnionych miejscach. Tu i ówdzie telewizyjna antena wprowadzała do starych domostw inny, absurdalny świat. Pagan jechał dalej na południe.

Zatrzymał się w miejscu z widokiem na morze i ponownie przestudiował uproszczoną mapę. Znalazł na niej wioskę Ballantrae, a za nią wąską drogę prowadzącą do zakreślonego atramentem



czworokąta, w którym prawdopodobnie znajdował się dom. Nie miał nazwy. Zamiast niej na kopii mapy był tylko kwadrat. Czy Foxworth tam pojechał? Czy znalazł to miejsce? A jeśli tak, dlaczego nie zatelefonował na Golden Square, żeby o tym powiedzieć?

Paganowi pulsowało w głowie z podniecenia, bólu i strachu. Jechał dalej, myśląc o tym, że Foxie — dorosły człowiek i dobry policjant — zawsze umiał radzić sobie w trudnych sytuacjach i potrafił się zatroszczyć o samego siebie. Skąd więc ta cholerna obawa?

Wjechał do miasta Girvan. Zobaczył głębokie, szare wody oświetlone promieniami słońca, rybitwy i niewielki targ w pobliżu morza, który na czas martwego sezonu został zakryty brezentem. Pagana oślepił blask słońca załamujący się na falach. Ale zaraz Girvan było już za nim, a Pagan jechał w kierunku wioski Ballantrae. Przypominał sobie, że Robert Louis Stevenson napisał powieść zatytułowaną Part na Ballantrae, której nie znał ani nie wiedział niczego o samym Stevensonie. Uznał to teraz za niedbałość. Foxie, który uczęszczał do drogiej szkoły, pewnie przeczytał tę książkę.

Droga za Ballantrae była wąska. Znad żywopłotów wlatywały ptaki — jasne szpaki, drozdy i małe szare wróble, a raz wprost na szybę samochodu wpadła tłusta siewka. Żywopłoty po obu stronach drogi przesłaniały rozciągający się za nimi widok. Pagan się zastanawiał, czy Foxie, jadąc tędy, doświadczył podobnego zatrważającego uczucia odosobnienia, którego nie zdołało rozproszyć nawet intensywne słońce.

Foxie, gdzie jesteś, do diabła?

Co takiego znalazłeś w tamtym miejscu?

Droga się pogorszyła. Poranne słońce, które nie weszło jeszcze wysoko, skryło się za żywopłotem. Fiatem rzucało i trzęsło na wybojach, co było jednak niczym w porównaniu z podróżą śmigłowcem Bengochei. Gdy żywopłot przerzedził się, Pagan zwolnił. Zobaczył przed sobą łąki ciągnące się aż do skupiska drzew w oddali — opustoszały krajobraz, bez zwierząt i ludzi. Tylko samotny jastrząb i jego szeroki cień wprowadzał w tej okolicy jedyne ożywienie. Pagan powinien dotrzeć do celu już jakiś czas temu, ale domyślił się, że uproszczona mapa nie odzwierciedlała rzeczywistej skali.

Zdziwił się, kiedy w końcu spostrzegł rezydencję. Dom wyrasta! w słońcu jak widmo, przypominając zdeformowaną budowlę z piasku z wielkimi okrągłymi wieżami i wąskimi oknami. Była pretensjonalna w tym niezbyt imponującym otoczeniu. Pagan zatrzymał samochód, wysiadł i przez chwilę przyglądał się gmachowi zza żywopłotu. Po chwili zaczął się przedzierać przez gałęzie, uderzany przez nie z nieoczekiwaną siłą, aż wyszedł na bagnistą łąkę, zaścieloną dziko rosnącymi żółtymi kwiatami.

Dom opromieniała czerwona poświata porannego słońca. W szczelinach, w zagłębieniach murarskich i pomiędzy wieżyczkami kładły się ciepłe cienie o barwie wina. Pagan szedł po gąbczastej trawie w kierunku dworu, a gdy doszedł do zarośli, zatrzymał się. Ktoś tam pracował — taczki stały oparte o drzewo, łopata była wbita w ziemię i dobiegł go delikatny zapach świeżo zaoranej gleby. Zauważył

wykopany rów o okazałych rozmiarach. Przeszedł kilka kroków pomiędzy drzewami i znów się zatrzymał, patrząc w kierunku domu, od którego dzieliło go jakieś osiemset metrów.

Na podjeździe stał samochód, Pagan sądził, że to jaguar, ale linia pojazdu nie była dobrze widoczna w promieniach słońca. Dostrzegł też stojący z tyłu jeep. Dom sprawiał jednak wrażenie, że jest wymarły. Gdyby nie taczki, łopata i wilgotna woń niedawno przekopanej ziemi, Pagan mógłby przypuszczać, że w posiadłości nikt nie mieszka. Wszedł pomiędzy zwisające nisko gałęzie drzew, strącając z nich liście,

które prze/ chwilę unosiły się w powietrzu, zanim opadły, ścieląc mu się wokół stóp. Miał przemoknięte buty od wilgotnej po ostatnich deszczach ziemi.

Był piekielnie zmęczony. Oparł się o pień, słuchając leniwego bzyczenia przelatującej w pobliżu pszczoły i śpiewu skowronka gdzieś wysoko na niebie. Panowała senna atmosfera.

Na odgłos kroków Pagan otworzył oczy i obejrzał się za siebie. Zobaczył niebezpiecznie wycelowaną w siebie potężną dubeltówkę, którą trzymał niski mężczyzna z przedziałkiem pośrodku głowy i blizną po dawno usuniętej zajęczej wardze, którą teraz porastał rzadki zarost.

Pagan sięgnął do kieszeni po dowód tożsamości, ale mężczyzna ruchem strzelby kazał mu pozostać w bezruchu i zbliżył w jego stronę lufę.

— Jeszcze jeden cholerny szpicel — powiedział przez nos.

Pagan w końcu zdołał wyłowić swój portfel i dokumenty, które jednak nie wywarły wrażenia na mężczyźnie. Nawet na nie nie spojrział. Jeszcze jeden cholerny szpicel. Czy pierwszym był Fokie?

— Szukam znajomego — rzekł Pagan.

— Naprawdę? — zapytał mężczyzna.

— Mojego kolegi.

— Kolegi? — Mężczyzna uniósł w górę jedną ze swoich cienkich brwi. Z jakiegoś powodu nie od razu zrozumiał. Uwagę Pagana przykuła oparta o drzewo łopata i ziemia wewnątrz taczek. Nie

wiadomo dlaczego ten zwykły wiejski widok wydał mu się groźny i wstrząsający. Słoneczny dzień nagle przybladł, jak gdyby wypłowiwały wszystkie jego barwy.

— Nazywa się Foxworth. Detektyw Foxworth.

— Prawdziwy detektyw? — zapytał niski mężczyzna.

— Ze Scotland Yardu.

Mężczyzna pozostał niewzruszony.

— Czy mógłby pan opuścić strzelbę? Denerwuje mnie. — Powiedział Pagan.

Strzelba nie zmieniła swojego położenia, a lufa nadal była wycelowana w serce Pagana. Mężczyzna spojrział w stronę domu. Pagan odwrócił głowę i zobaczył zbliżające się trzy postacie, słabo widoczne z odległości ośmiuset metrów. Dwie z nich wydały mu się znajome. Po chwili Pagan rozpoznał mężczyznę, który szedł z przodu. Był nim Foxworth. Rude włosy, przypominające płomień w świetle słońca, nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Ulga Pagana na widok żywego Foxwortha była niezmierna, lecz trwała krótko. Tuż za Foxworthem szedł mężczyzna ze strzelbą wycelowaną w kręgosłup detektywa.

Z tyłu, krocząc dziarsko z rękami założonymi z tyłu jak dziedzic obchodzący swoje włości, szedł trzeci mężczyzna. Pagan przeżył ten dziwny moment, kiedy zachodzi zjawisko inwersji — niebo wali się na głowę, słońce ciemnieje, serce nagle zamiera, a zdolność postrzegania przypomina obserwację z odwrotnej strony lornetki.

Musiałem się pomylić, pomyślał Pagan.

To niemożliwe.

To tylko podobieństwo, nic więcej.

Ale gdy trzy postacie podeszły bliżej, Pagan zobaczył, jak Freddie Kinnaird w charakterystyczny sposób odrzucił z czoła kosmyk włosów. Na jego znajomej twarzy gościł teraz bardzo zimny uśmiech.

To nie była pomyłka.

Pagan nie mógł przełknąć śliny. Zdziwienie i pałaca gwałtowna wściekłość uniemożliwiły mu wykonanie tego prostego odruchu. Pomyślał o sprawach, w które Kinnaird był wtajemniczany. Wszystko, co przechodziło przez biurko Martina Burra, trafiało prędzej czy później do Freddiego. Kinnaird wiedział, że Gunther Ruhr miał być przewieziony ulicą Shepherd's Bush, i przekazał tę wiadomość Rosa- balowi, który uciekając się do najbardziej drastycznych metod, zorganizował odbicie Ruhra i wynajął dla niego kryjówkę na wsi. Żaden krok, żadna istotna informacja nie mogła ująć uwagi sir Fredericka Kinnairda. Wiadomościami dzielił się ze swoimi współnikami, którzy przyjeżdżali do tego zaszytego w szkockiej głuszy domu — z Chapotinem i Caporellim, a może i ze zmarłym Klugerem oraz dwoma Amerykanami — z całym ścisłym gronem starych kumpli.

Pagan wystawił twarz do słońca. Było mu gorąco w płaszczu przeciwdeszczowym. Freddie Kinnaird zbliżył się do niego i zatrzymał kilka metrów dalej. Pagan spojrzał na Foxiego, który miał lekko zaczerwienione oczy, jak człowiek długo przetrzymywany w ciemnym pomieszczeniu i oślepiiony blaskiem światła.

—No, no. Oto i Frank Pagan we własnej osobie — rzekł rozbawiony Kinnaird.

Pagan nie odpowiedział. Miał nieprzepartą ochotę wytrzaskać Kinnairda po tej jego zadowolonej z siebie gębie, aż stałaby się trudna do rozpoznania. Ale jak mógł się zdobyć na jakikolwiek ruch z przytkniętą do pleców strzelbą?

—Mieliśmy już w garści tę przekłętą wyspę — powiedział Kinnaird, chwytając dłonią powietrze i zaciskając ją w pięść, jak gdyby trzymał w niej kosmyk niewidocznych włosów. — Już ją mieliśmy. Po co wścibiałeś tam swój nos?

Pagan spojrział w górę. Jak tajemniczy punkt na niebie pojawił się znowu na tle słońca skowronek.

— Moja praca polega na wścibianiu nosa, Freddie. Wiesz o tym dobrze. — Głos Pagana zabrzmiał nieprzyjemnie, jak gdyby zaraz miał się załamać. Kontroluj się, pomyślał Frank. Ale nie było to łatwe. Zdziwiły go rozmiary własnej nienawiści.

Kinnaird zdawał się przebywać myślami gdzie indziej. Pochłonięty był własnym wewnętrznym tokiem rozumowania. W oczach płonął mu ostry płomień, typowy dla niektórych przypadków obłądu.

— Pomieszalesz nam szyki.

— Myślę, że mnie przeceniasz, Fred. Z całego serca pragnąłbym móc przypisać sobie zasługę pokrzyżowania twoich planów, tylko że to nie byłaby prawda. Jedyne, czego dokonałem, to wywozłem dziewczynę z Kuby. Tak, to moja robota. Chciałem też przywieźć Gunthera Ruhra, by stanął przed sądem, ale nie udało mi się. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Ale nie jestem osobiście odpowiedzialny za fiasko twoich planów w związku z Kubą. Fred. Nie zabiłem Rosabala. Obwiniaj za to Magdalenę Torrente. I samego Rosabala za niewłaściwy wybór kochanki. Obwiniaj kogo chcesz. Ja tylko wykonałem swoją robotę.

— Myślę, że przemawia przez ciebie skromność, Pagan. Przecież to ty ocaliłeś w Miami życie Magdaleny Torrente.

Pagan nie powinien być zdziwiony, że Kinnaird wiedział o usiłowaniu zabójstwa, ponieważ bardzo niewiele uchodziło uwagi



Freddiego. Na pewno dowiedział się od komisarza, że Pagan miał spotkać się na Florydzie z Magdaleną Torrente. To proste. A jednak Pagan był zaskoczony, chociaż nie zamierzał okazać zdziwienia, by nie dać Kinnairdowi satysfakcji.

Kinnaird przyjął pozę dużego, nadąsanego chłopca.

— Gdybyś jej nie uratował, nie pojechałaby na Kubę. A gdyby jej tam nie było...

— Gdyby jej tam nie było, Rosabal wystrzeliłby pocisk.

— Nonsens. To w ogóle nie wchodziło w rachubę.

— Ja jednak to widziałem.

— Twoje spostrzeżenia nie były trafne — powiedział zniecierpliwiony Kinnaird. — Rosabal nie wystrzeliłby tej przeklętej rakiety, była rekwizytem, częścią scenariusza. Ale jakie, u diabła, ma to teraz znaczenie? Castro nadal rządzi Kubą. Czy dostrzegasz w tym swoją zasługę, Pagan? Pomogłeś utrzymać mu się przy władzy!

— Nikomu w niczym nie pomagałem. Gównu obchodzi mnie to, kto rządzi Kubą, Freddie. Castro czy jakiś inny stary pryk. Na dłuższą metę i tak nie ma to żadnego znaczenia. Wszyscy są tacy sami.

— Co za wąskie pojmowanie świata — rzekł Kinnaird. Zrobił minę jak człowiek, który znalazł pomiędzy zębami cuchnące resztki zepsutego jedzenia.

Pagan wzruszył ramionami. Oczywiście, że miał ciasne poglądy, nigdy nie uważał, żeby rozległa perspektywa sprzyjała właściwemu pojęciu dobra i zła. Zbyt szeroki punkt widzenia wiązał się z wieloma dwuznacznościami, a rozmyślanie o kwestiach spornych i chęć

rozpatrywania zagadnienia ze wszystkich stron doprowadzały w końcu do bierności. Dlatego Pagan zawsze starał się rozumować w jak najprostszy sposób. Nie potrafił pracować inaczej.

Kinnaird spojrział na dziurę w ziemi, kopnął kamyczek i obserwował, jak spada do rowu.

Grób, pomyślał Pagan. Oczywiście. Grób Foxiego. Teraz podwójny. Przeszedł go dreszcz.

— Zastanawiam się, Fred, jak to się stało, że twoi przyjaciele i wspólnicy zostali zamordowani? Jak do tego doszło? Gdybym był cynikiem, a nie jestem, co każdy może potwierdzić, powiedziałbym, że to ty opracowałeś pewien cholernie egoistyczny plan. Uważałbym, że to ty wbiłeś swoim kumplom nóż w plecy. Dlaczego? Obawiałeś się, że zabraknie dla ciebie kawałka kubańskiej babki? Nie wystarczał ci twój udział?

— Czasami każdy z nas potrzebuje czegoś więcej niż tylko przydzielona część — rzekł Kinnaird. Założył ręce na piersi. Przypominał Paganowi przystojnego ziemianina z reklamy w żurnalu, który zachwala zalety kosztownego szkockiego materiału.

— Ale teraz nie ma już żadnej babki, Fred — rzekł Pagan. — Kredens jest pusty! Wybacz ten złośliwy uśmiech, ale wydaje mi się to zabawne.

Foxie roześmiał się na uwagę Pagana. Śmiech zabrzmiał nerwowo, ale Pagan przyjął go z radością, gdyż podtrzymywał go na duchu. Przyjrzał się Kinnairdowi — sir Freddiemu, umiłowanemu przez wyborców pupilkowi swojej partii, człowiekowi z wielką

przyszłością, do którego należała Anglia jutra, Europa jutra,  
Freddiemu niewolniczo oddanemu bogactwu i pozycji. Drogiemu,  
obłąkanemu Freddiemu  
o krwiożerczym apetycie.

—Nie twierdzę, że sam im wbiłeś nóż w plecy, Fred. Nie mówię,  
że osobiście pociągnąłeś za spust. Jesteś na to za słaby. Miałeś  
pomocników. Może byli nimi inni wspólnicy, a ty znalazłeś sposób  
podzielenia babki na większe kawałki. Nie sądzę, żebym  
kiedykolwiek dowiedział się, w jaki sposób to się miało odbyć.

—Na pewno ja ci tego nie powiem, Pagan. Nie mam w stosunku

do ciebie żadnych zobowiązań. Nie jestem ci winien żadnych wyjaśnień. Ani szczegółów.

Pagan spojrział w dół, na dziurę w ziemi.

— Sądysz, że zmieścimy się tam obaj, Fred?

— Nie widzę powodu, dla którego mielibyście się nie zmieścić.

— Trochę ciasno — zauważył Foxie. Odważny komentarz, non-szalancja, która by niemal spełniła swoje zadanie, gdyby nie pełne napięcia spojrzenie, które ujawniło strach Foxiego.

— Naprawdę nie uważam, żeby to miało jakieś znaczenie dla kogoś z was — rzekł Kinnaird. — Dla mnie to rzeczywiście wielka wygoda — dwóch za cenę jednego.

Pagan zaciągnął się głęboko powietrzem, jak człowiek zażywający ostatniej przyjemności w życiu. Zapach ziemi w nozdrzach miał odór śmierci, zwykłej, nieefektywnej śmierci. Pagan spojrział na mężczyznę, który trzymał strzelbę przytkniętą do pleców Foxiego. Był tęgim jegomościem z siwymi, przylizanymi włosami na wielkiej głowie. Drugi strzelec, z wąsem zakrywającym bliznę, stał trzy metry za Paganem. Z tej sytuacji mogło być tylko jedno wyjście. Pomimo prób odwracania uwagi, przedstawiania zarzutów i grania na czas, końcowy rezultat pozostawał taki sam — dwupoziomowy grób.

Pagan poruszył delikatnie stopami, stał niemal na krawędzi rowu. Mniejszy dystans do pokonania, gdy nadejdzie czas, pomyślał. Zajrzał do grobu i zobaczył małego, czarnego żuka, który mozolnie szukał przejścia wśród zniszczonego terenu. Pagan z powrotem zwrócił

twarz w stronę Kinnairda.

Graj na zwłokę.

Położył rękę na piersi, w której od kilku minut czuł ból. Pewnie znowu pozrywały się szwy Ghose'a. Ale jakie to mogło mieć teraz znaczenie? Właśnie miał mieć zaordynowany ostateczny środek uśmierzający ból. Spojrzał na Foxiego, który stał po drugiej stronie grobu zniechęcony, jak gdyby rozpaczliwie poszukiwał jakiegoś triku i w ostatecznym momencie nie znalazł sposobu, żeby wyciągnąć królika z kapelusza.

Odwróć uwagę Kinnairda.

— Czy możesz zaspokoić moją ciekawość, Fred? W jaki sposób pozbędziesz się naszych zabójców? — zadał podyktowane rozpaczą pytanie Pagan.

Kinnaird założył ręce z tyłu jak biskup, co Pagan przyjął z pogardą jak wszystko, co oznaczało wyższość i władzę. Freddie Kinnaird musiał uważać siebie za osobę niepokonaną.

— Zapominasz, że jestem ministrem spraw wewnętrznych. Okażę zainteresowanie waszym zniknięciem. W razie potrzeby, sam będę kierował śledztwem.

Martin Burr łatwo nie ustąpi. Jest wytrwały. Trafi na prowadzący tutaj ślad. Tak jak Foxie. I ja.

— Ale przecież ciebie tu nigdy nie było, Pagan. Ani twojego młodego przyjaciela. Nikt cię tutaj nie widział. Twój samochód zostanie znaleziony na jednej z bocznych ulic w Glasgow. Wasze tajemnicze zniknięcie z pierwszych stron gazet trafi na piątą stronę, a

potem pójdzie w zapomnienie i wasze dusze będą mogły spoczywać w pokoju.

— Burr potrafi być wytrwały — stwierdził Pagan.

— Wtedy go zastrzelę — oświadczył Kinnaird.

— Rzeczywiście potrafisz zatuszować sprawę, Freddie. — Pagana znów ogarnęła wściekłość, która rosła mu w gardle, dusząc jak gaz. Dlaczego nie mógł znaleźć się przez sześćdziesiąt sekund sam na sam z Kinnairdem zamkniętym w pokoju? Uczucie gwałtownej furii nie miało sensu, gdy nie można było nic zrobić, by dać jej upust. Ale Pagan nie potrafił opanować złości.

— Żegnajcie — Kinnaird odwrócił się. ale po chwili stanął i obejrzał się za siebie. — Zostałbym do końca, ale pewne sprawy nie pociągają mnie ze względów estetycznych.

— Ostatnie pytanie, Freddie. Jak sypiasz? Jak. do diabła, możesz dobrze spać?

Kinnaird nie odpowiedział. Szedł przed siebie, wybierając drogę pomiędzy drzewami.

— Czy miewasz czasem złe sny, Kinnaird? — zawołał za nim Pagan. — Czy nie męczą cię koszmary o Shepherd's Bush?

Kinnaird zatrzymał się i obejrzał za siebie.

— Nie miewam żadnych snów.

I poszedł dalej. Pagan usłyszał znowu odległą pieśń skowronka i poczuł ucisk lufy na plecach. Zacisnął dłonie po bokach z bezsilnej złości. Słońce, gorące jak na tę porę roku. prażyło mu twarz. Podniósł rękę, otarł pot z powiek i mrugnął do Foxworth'a po drugiej stronie

rowu, który wyglądał mizernie i sprawiał wrażenie zrezygnowanego.

— Nie tak wyobrażałem sobie swój koniec — powiedział Pagan.

Poczuł silniejszy napór strzelby i usłyszał słowa zabójcy:

— Rusz swój tyłek.

Musiał cofnąć się na samą krawędź grobu.

— Ani ja — powiedział Foxie. — Sądziłem, że umrę w pizamie. W środku nocy. Na atak serca w ramionach jakiejś wspaniałej istoty. Ten sposób zejścia zawsze uważałem za najlepszy. Błogosławiony wielki koniec.

— Nie spodziewałem się, że umrę w Szkocji — rzekł Pagan.

— Jak myślisz, czy ziemia jest tutaj poświęcona, Frank?

Żarty na stopniach gilotyny. Dykteryjki skazańców. Humor szubieniczników.

Mężczyzna z siwymi włosami popchnął Foxiego w stronę rowu. Pagan z Foxiem stali nad dołem zwróceniu do siebie twarzami. Nagle zrobiło się cicho, jak gdyby nic w powietrzu nie trzepotało, nie fruwało, nie śpiewało ani nie brzęczało. W odległości trzystu, a może czterystu metrów od planowanego miejsca zbrodni Pagan dostrzegł pomiędzy drzewami sylwetkę Freddiego Kinnairda, który w pośpiechu oddalał się dziarskim krokiem od odrażającej, zaaranżowanej przez siebie sceny. Dziwne, lecz z tamtej strony też nie dobiegały żadne dźwięki, nie słychać było szelestu liści pod stopami Kinnairda ani szmeru ocierania się jego ubrania o pnie drzew. Cały świat był niemy.

Pagan stał na samej krawędzi rowu. Przypomniał sobie o rewolwerze w kieszeni płaszcza, wyobraził sobie, że próbuje się odwrócić i wyrwać mężczyźnie broń, ale nie miał możliwości zaskoczenia przeciwnika, gdyż lufa strzelby wciskała mu się w kręgosłup i przy pierwszym gwałtownym geście zostałby zastrzelony.

Czas dobiegł końca, Frank.

Zajrzał do dołu, w jego mroczną czeluść, a potem podniósł wzrok i spojrzał w kierunku Freddiego.

Nagle zza drzew wyłonił się niespodziewanie mężczyzna w



czarnym prochowcu i wystrzelił z pistoletu prosto w głowę Kinnairda.

Zrobił to szybko, z profesjonalną oszczędnością roztrzaskując jedną kulą jego czaszkę oraz połowę twarzy. Freddie opadł na kolana, a potem runął głową do przodu. Zabójca, ten sam, którego Frank ostatnio widział, gdy zastrzelił Caporellego w jego paryskim mieszkaniu i który najwyraźniej nie przejawiał zainteresowania niczym innym poza zadaniem, które wykonał z taką łatwością, przepadł gdzieś pomiędzy drzewami, jak człowiek, który zwykł szybko znikać.

Sytuacja przyjęła niespodziewany obrót i Pagan wykorzystał nieoczekiwaną zmianę z pasją człowieka, który cało wyszedł z opresji. Uniósł zaciśniętą dłoń w górę, odwiódł ją do tyłu i zataczając pięścią potężny łuk, z głuchym odgłosem uderzył w czoło mężczyznę z zajęczą wargą, który jęknął i odruchowo opuścił broń. Pagan nie był pewien, czy złamał mu nos, czy kość u nasady nosa, ale mężczyzna zaczął obficie krwawić i krztusić się. Pagan podniósł stopę i kopnął w strzelbę. Trafił w lufę, ale nie zdołał wytrącić mężczyźnie broni z rąk. Zabójca cofnął się, krew zalewała mu twarz i skąpy wąż oblał się szkarłatem. Pagan błyskawicznie wy dobył z kieszeni rewolwer Smith & Wesson

368

i wypalił mu prosto w pierś. Drugi strzelec, który siał za Foxicm. pociągnął za spust swojej broni, ale Foxworth, czujny jak tylko może być przerażony człowiek, uderzył go przedtem barkiem i pozbawił równowagi.

Huk strzelby był tak ogłuszający, że dudnił w głowie Pagana jak grzmot. Frank strzelił pomiędzy oczy siwowłosemu mężczyźnie i w tym momencie pośliznął się, ziemia usunęła mu się spod stóp i zaczął spadać do grobu, którego tak chciał uniknąć. Niebo i gałęzie widziane zza powiek pozlepianych grudkami wilgotnej gleby tworzyły dziwaczny obraz świata. Wypłuł ziemię z ust, otarł ją z oczu i wpijając się paznokciami w ściany rowu, podciągnął się do pozycji pionowej.

Foxworth patrzył na niego z góry. Wyciągnął rękę, którą Pagan pochwycił i wy dostał się z dołu. Ciężko oddychając, zaczął strzepywać z płaszcza i włosów ziemię, ale okruchy grobu były wszędzie — w uszach, w ustach i w butach.

Pagan milczał przez chwilę. Obserwował drzewa, spokojny kraj-obraz i dom w oddali. Patrzył na mężczyzn, którzy zaledwie przed chwilą byli potencjalnymi oprawcami. Siwowłosa mężczyzna nie żył. Jego twarz zakrywała ciemnozielona gałąź paproci. Drugi siedział oparty o pień drzewa, trzymał obie ręce na piersiach i jęczał z bólu.

— Jest mu potrzebna pomoc. Możemy zatelefonować po karetkę z tamtego domu — rzekł Pagan.

Razem z Foxworthem doszli do miejsca, w którym leżał Kinnaird. Niesforne mrówki, na wieść o nieoczekiwanym źródle pożywienia bogatego w proteiny, zapełniły uszkodzoną stronę twarzy Freddiego. Tłusty giez pełzał mu po włosach. Pagan wypłuł okruch czarnej ziemi, która utknęła mu pomiędzy zębami.

— Nigdy bardziej nie ucieszyłem się na twój widok, Frank —

powiedział Foxie. — Jeden Bóg wie, jak długo trzymali mnie w celi w tym cholernym domu. Strażnicy, którzy mnie pilnowali, czekali na Kinnairda, żeby zdecydował o moim losie. Kiedy się w końcu zjawił, nie tracił czasu na zbędne rozważania. Muszę to przyznać Freddiemu. Nie zaliczał się do osób niezdecydowanych.

Pagan uśmiechnął się nieznacznie. Nie stać go już było na żaden wysiłek. Odczuwał dziwne sensacje. Zdawało mu się, że opuścił swoje ciało i jak liść unoszony na wietrze albo jakiś nieziemski pyłek zbliża się w stronę słońca. Ale ból w piersi sprowadził go na ziemię.

— Widzę, że nadciągają nowi lokatorzy — powiedział Foxworth, wskazując głową nadciągającą armię mrówek. — Mam nadzieję, że Freddie okaże się smacznym kąskiem. Kto go właściwie zabił?

—Iii 1.1 M-imhn \_\_\_\_\_

\_\_\_\_\_369

— To długa historia. Porozmawiamy o tym później — powiedział Pagan skrzekJiwym suchym głosem, który prawie całkiem zanikał. Odszedł od zwłok Kinnairda. Ruszył przez łąkę za Foxiem w kierunku dużego czerwonego domu. Na chwilę przystanął i spojrzał w słońce. Gdzieś bardzo wysoko błysnął srebrzyście niewielki samolot, którego warkot można było dosłyszeć, ale wkrótce zamilkł, a niebo, zbyt błękitne jak na tę porę roku, znów było puste. Pagan pomyślał o Magdalenie, a były to myśli z rodzaju tych, które otwierają się i zamykają jak pewien gatunek krwiożerczych kwiatów.

## Epilog

W kilka dni po śmierci Fredericka Kinnairda Lider Maximo wystąpił w Hawanie na Plaza de la Revolución. Przemówienie zaczęło się o drugiej po południu i miało się skończyć dopiero przed szóstą, a nawet szóstą trzydzieści, gdy słuchacze będą już odrętwiali i głodni. Dzień był wietrzny i upalny, a wokół Plaza powiewały flagi.

Tłum liczył trzysta tysięcy ludzi. Wielu obywateli przyjechało autokarami z rejonów rolniczych. Zwykle wśród nich zdarzali się tacy, którzy mieli tranzystory i ukradkiem słuchali muzyki rozrywkowej albo transmisji z meczów piłki nożnej nadawanych z USA. Ale nie tym razem. Dzisiaj panowała tu atmosfera napięcia i niepewności. W tłumie migały mundury pracowników ochrony, którzy robili notatki, podsłuchiwali rozmowy i wyciągali na przesłuchanie każdego, kto im się wydawał podejrzany. Nikt nie pamiętał tak zwartych szeregów ochrony. Nawet sami weterani tej

służby, którzy przez trzydzieści lat słuchali przemówień Lidera Maximo, znali wszystkie tonacje jego głosu i na podstawie własnego doświadczenia mogli powiedzieć, kiedy kłamie, a kiedy, co zdarzało się rzadziej, mówi prawdę. Wokół Płaza rozstawiono metalowe detektory. Wielu ludzi zrewidowano, a dziesiątki osób zapędzono do policyjnych wozów.

Nic nie odbywało się w zwykły sposób. Niczego nie dało się przewidzieć. W ciągu ostatnich siedmiu dni przeprowadzono na całej Kubie aresztowania na nieznaną dotąd skalę. Zdarzały się też “zniknięcia”. Armia kubańska została osobiście oczyszczona przez Raula Castro, który pospiesznie wrócił z Angoli i z niecierpliwością oprawcy wypróbował dopiero co naostrzoną siekierę. Każdy mógł opowiedzieć przynajmniej jedną historię o zatrzymanym sąsiedzie, o zaginięciu syna albo córki, kuzyna czy kuzynki.

Estela Rosa bał, która przeciskała się pomiędzy spoconą cizbą, żeby znaleźć się możliwie najbliżej Lidera Maximo, znała więcej takich

historii niż inni. Najpierw ją poinformowano, że Rafael został zabrany do więzienia, a dwa dni później, że popełnił samobójstwo.

Następnego dnia otrzymała telefon z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, że jej mąż żyje i ma się dobrze, a ona zostanie zabrana na widzenie się z nim. Godzinę później, kiedy pozwoliła sobie na odrobinę optymizmu, jakiś człowiek, który nie odezwał się do niej ani słowem i nawet na nią nie spojrzął, przyniósł jej do domu trumnę, wciągnął ją do salonu i tam zostawił — długą, tanią sosnową skrzynię zakrytą wiekiem, które mogła podnieść, gdyby starczyło jej odwagi.

Nie doświadczyła niczego równie okrutnego w swoim życiu. Żyje, zginął, żyje, i znów zginął. Wiedzieli, jak złośliwie rozegrać z nią tę grę, ponieważ była żoną zdrajcy. A potem przesłuchiwali ją prawie przez dwadzieścia cztery godziny w dusznym pokoju bez okien, by dowiedzieć się o jej udziale w zdradzie męża. Zwolnili ją, rzekomo przekonani o jej niewinności. Ale nie dała się zwieść ich słowom. Wiedziała, że znów po nią przyjdą. I znajdą jakiś “dowód”. Zawsze postępowali tak samo.

Przecisnęła się pomiędzy dwojgiem kochanków, którzy stali wtuleni w siebie, a starcem w okularach z grubymi szklami i luźno zwisającym pustym rękawem marynarki, a potem obok gromady tłustych kobiet, które pachniały smaženiną i piwem.

Na trybunach zjawiał się Lider Maximo. Jego głos, przenoszony przez wyszukany system nagłośnieniowy, wypływał poza obręb Płaza

i przyległych ulic. Pomimo problemów z zasilaniem energetycznym, które oficjalnie przypisywano niedawnej działalności wywrotowej w prowincjach Holquin i Santiago, kamery telewizyjne transmitowały to wydarzenie na obszar całej Kuby.

Lider Maximo zaczął spokojnym głosem. Jego opuchniętą twarz zakrywała siwiejąca broda. Sprawiał wrażenie, że nie czuje się wygodnie w sztywnym gabardynowym mundurze prosto spod igły. Bardziej wnikliwi obserwatorzy zauważyli, że poruszał się nienaturalnie, jak gdyby miał problemy z koordynacją ruchową. Wiele osób w głębi duszy uważało, że to sprawa wieku. Był za stary, zbyt surowy i nieprzejednany. Powinien już ustąpić. Ale kto by się odważył powiedzieć mu to prosto w oczy?

Wódz obserwował tłum i powiewające flagi. Przeciął powietrze dłonią, aby podkreślić wagę swych słów, gdy mówił o diabelskim spisku imperialistycznych podżegaczy ze Stanów Zjednoczonych, którzy pragnęli go obalić i zastąpić marionetkowym rządem, na czele którego miał stanąć były minister finansów Kuby, Rafael Rosabal. Wspierał go aresztowany generał Capablanca (który w chwili przemówienia

Castra zmarł w celi powieszony na prześcieradle przymocowanym do lampy, a według oficjalnych źródeł popełnił samobójstwo) oraz grupa wprowadzonych w błąd oficerów armii. Te osoby czekał sprawiedliwy proces — tak wyglądał sposób załatwiania spraw na Kubie, socjalistyczny sposób.

Agenci Ochrony Rewolucji zachowywali się jak wodzireje i dawali upust swojemu entuzjazmowi w typowy dla nich niebezpieczny sposób. Estela musiała zatrzymać się, gdyż tłum był tak zbity, że utworzył jednolity mur z ciał i kości, przez który nie mogła się przebić. Wokół niej rozbrzmiewał głos Lidera Maximo, na który nie zwracała uwagi. Słyszała, jak z trybuny padły słowa, piętnujące nazwiska jej ojca i męża, ale były dla niej jedynie hałasem gdzieś w oddali, niczym więcej. Ojca czekał prawdopodobnie ten sam los co Rafaela. Nie była w stanie odczuwać już większego żalu. Zatrzymana przez ciżbę ludzką, skierowała się w inną stronę, by przedostać się do trybun pomiędzy grupą zgrabnych młodych mężczyzn w świeżych białych guayaberas i niebieskich džinsach. Pogwizdywali z uznaniem, gdy przeciskała się pomiędzy nimi, a jeden z młodych ludzi położył jej rękę na biodrze, ale przesunęła się do przodu, nie odwracając głowy. Po chwili znów zagubiła się w zwartym tłumie obcych ludzi, a przez cały czas rozbrzmiewał głos wodza, chwilami monotony, to znów przybierający histeryczne tony.

Wysoko na trybunach Lider Maximo na chwilę zamknął oczy. Słyszał ryk aprobaty. Otarł pot, który mu spłynął z brwi na powieki. Dał się ponieść wspomnieniom i przypominał sobie inne czasy oraz inne wystąpienia, kiedy La Revolución była młoda i w pełni chwały, a on przemawiał do swojego narodu, stojąc tu, w tym samym miejscu, i rozpierał go entuzjazm oraz wiara we własne siły, jaką mogą mieć



tylko ludzie młodzi.

Mówił dalej o tym, że był systematycznie podtruwany przez swojego zaufanego doktora, Zayasa, którego zadaniem było osłabienie Lidera Maximo środkami uspokajającymi i niewielkimi dawkami wolno działającej trucizny, żeby nim dowolnie manipulować i by uwierzył we wszystko, co mówiono.

Słuchaczom zapało dech.

Ale Lider Maximo był tak silny jak rewolucja! Wódz przetrwał i rewolucja też zwycięży!

Tłum zaczął wznosić okrzyki entuzjazmu.

Lider Maximo wskazał na swoją opuchniętą twarz, jak gdyby miała świadczyć o ostatnich wydarzeniach. Jej wygląd był rezultatem haniebných praktyk lekarskich Zayasa!

Wódz potępił tchórzliwych obywateli, którzy uznali rewolucję za przegraną i przewidywali jej nieuchronny upadek. Nic nie było w stanie zatrzymać biegu historii. Nic nie mogło cofnąć narodu kubańskiego przed jego przeznaczeniem, którym była wolność i socjalizm.

Jakiś pijak w tłumie szepnął do Esteli Rosabal:

— Zgoda, ale czy będziemy na tyle wolni, by móc zrezygnować z socjalizmu? — I mrugnął do niej znacząco, ale prawie tego nie zauważyła, gdyż chciała się zbliżyć do trybuny i przeciskała się pomiędzy dwiema na wpół żywymi starymi babami o obwisłych piersiach pokrytych wymiętymi tanimi sukienkami w kwiaty.

Pomyślała

0 dziecku Rafaela w swoim łonie. Powinno być dla niej najważniejsze, ale z jakiegoś powodu już nie było. Wewnątrz niej leżał mały, nie uformowany obcy człowiek, który już się nie liczył. Ostatnio wiele rzeczy przestało mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

Lider Maximo w dalszym ciągu wymachiwał ręką jak toporem. Utkwił wzrok w popołudniowym słońcu, czując przyjemne ciepło na twarzy. Żałował, że zamiast stać przez tyle godzin, nie może usiąść, ale byłoby to oznaką słabości. Musiał trzymać się prosto i patrzeć z góry na nieprzebrane masy. Ważne było, żeby naród myśląc o nim, wyobrażał go sobie na piedestale.

Mówił o niewdzięcznych obywatelach, którzy działali przeciwko rewolucji. Nazwał ich społecznymi mętami, śmiercionośnymi

szumowinami, razem z ich tajnymi drukarniami, nielegalnymi radiostacjami

1 ukrytymi arsenałami amerykańskiej broni. Stwierdził, że zostaną wyrwani z korzeniami ze społeczeństwa i zniszczeni. Znowu zaczął błądzić myślami i przypomniał sobie podobne przemówienia Batisty sprzed ponad trzydziestu lat o La Revolución oraz jak dyktator wysłał oddziały swojej armii do Sierra Maestra, żeby rozgromiły rebeliantów. Ale oczywiście między nim a Batistą — tym niemoralnym, nieprzyzwoitym i skorumpowanym amerykańskim manekinem — leżała przepaść.

Pochwalił waleczność lojalnych kubańskich oddziałów, które szybko okrążyły zdradzieckich oficerów razem z ich ludźmi. Podkreślił zasługi wyższych rangą wojskowych i rezerwistów, którzy opanowali groźną sytuację i przejęli nielegalną broń z rąk tych, którzy niefortunnie nazywali siebie rebeliantami i bojownikami o wolność.

Spocona z wysiłku Estela Rosabal doszła do wniosku, że już nie zdoła podejść bliżej. Od trybun dzieliło ją pięćdziesiąt metrów. Za linami stali strażnicy, agenci bezpieczeństwa w ciemnych okularach i żołnierze we wszystkich rodzajach umundurowania. Powachlowała się dłonią. Prawie nie mogła oddychać. Tłum napierał na jej zębra. Łzawiły jej oczy. Policzek pobruździła smuga tuszu do rzęs.

Znowu pomyślała o sosnowej skrzyni, chociaż postanowiła zostawić ten temat w spokoju. Przypomniała sobie mijające godziny, wschód słońca, zachód, zapadającą ciemność, założone na brzuchu ręce, swój wzrok utkwiony w trumnie oraz odór, który zaczął się z

niej wydobywać i wypełniać pokój, zapach, którego nie chciała nazwać ani określić — najbardziej odrażającą woń. jaką czuła w życiu. Pomyślała o barbarzyńskim świecie i okrucieństwie, którego nie mogła pojąć, a które pozbawiło ją wszelkich zdolności odczuwania. Niezdarnie trzymała torebkę, którą napierający tłum wciskał jej w ciało. Czy zdołają otworzyć? Nagle miała ochotę krzyczeć z bezsilności. Czy uda się jej czegoś tutaj dokonać? Nie, to niemożliwe. Powinna wrócić. Pójść do domu. Była tak bardzo przerażona, gdy przechodziła obok metalowych detektorów, a teraz wydawało się, że nerwy całkowicie odmówią jej posłuszeństwa.

Ale nie mogła do tego dopuścić. Musiała być silna.

Lider Maximo zamilkł, mierząc wzrokiem tłum. Na Plaża kładł się cień wznoszącego się sto dwadzieścia metrów nad ziemią pomnika Jose Martiego, sławnego bojownika o niepodległość — bohatera Lidera Maximo. Monument kształtem przypominał raketę. Wódz przytrzymał się obiema rękami krawędzi pulpitu. Poczłł zawroty głowy. Przypomniał sobie broń jądrową, która została zniszczona w pobliżu Santiago.

Miała wydała mu się myśl o pocisku na wyspie...

Zakaszłał, zasłaniając dłonią usta. Mówił teraz cichym głosem. Opowiadał o przywiezionej na Kubę przez imperialistów i zdrajców broni, która została umieszczona na wyrzutni za Santiago.

— Miała zdyskredytować rewolucję! — wrzasnął. — Miała przedstawić nas jako podżegaczy wojennych! Ale dzięki sprawnej akcji

kubańskich sił powietrznych rakiet została unicestwiona. — Mógł naginać fakty i przedstawiać je według własnego uznania, gdyż nikt nie miał prawa negować jego poglądów — każdy musiał je zaakceptować.

Lider Maximo znów powrócił myślami do pocisku, który przypominał mu o dniach chwały, gdy Kuba była w centrum uwagi świata, gdy Kennedy niemal nie zaczął wojny z Chruszczowem, a Lider Maximo, bohater wzbudzający międzynarodowy szacunek, nie musiał zabiegać o niczyje łaski ani o nic błagać...

Zmusił się, żeby skierować uwagę na zebrane tłumy. Dlaczego błędził gdzieś myślami? Dlaczego ostatnio koncentracja w czasie przemówień sprawiała mu taką trudność? Pochylił się do przodu i zapluwając się, potępił wrogów pokoju, za których sprawą to potworne urządzenie znalazło się na Kubie. Podnieceni ludzie,

poszturchując się nawzajem jak zwierzęta w rozległej zagrodzie, zaczęli wznosić jeszcze głośniejsze okrzyki.

Estela Rosabal poczuła, że znalazła się w pułapce, jak atom w otoczeniu innych odbijających się o siebie nawzajem atomów. Przytłaczał ją krzyk tak wielu ludzi. Obok stał dobrze ubrany mężczyzna, który powiewał małą chorągiewką i miał błyszczący od alkoholu wzrok. Przyglądała mu się przez chwilę, a potem spojrzała prosto w twarz Lidera Maximo, w twarz, którą знаła od urodzenia — z plakatów, fotografii, podręczników historii i gazet. Castro był zawsze i wszędzie. Był bezgranicznym zgiełkiem, wielkim hałasem, który ją otaczał i przygniatał. Był szumem zakłócającym dźwięki Kuby.

Był potworem. Ale nie był nieśmiertelny.

Lider Maximo myślał o tym, że od lat nie poświęcono mu tyle uwagi, każdy dziennikarz na świecie chciał z nim porozmawiać na temat broni nuklearnej, już prawie zapomniał, jak miłe jest poczucie władzy... i to wszystko z powodu jednego skradzionego pocisku.

Zacisnął dłonie w pięści, potrząsał nimi i uniósł w górę. Nagle, prawie tak jak za dawnych czasów, pomiędzy nim a obywatelami, którzy go kochali, nawiązał się dialog. Nie dostrzegał wśród ludzkiego mrowia agentów, prowokatorów oraz tych, którzy za pomocą pochlebstw i gróźb wymuszali właściwe reakcje na ludziach żyjących przez całe pokolenia tylko obietnicami.

Czy trudno byłoby ukraść taki pocisk? Ile wymagałoby to

zachodu? Ile czasu potrzebowaliby konspiratorzy, żeby go przechwycić? Oczywiście to tylko nieszkodliwe rozważania. Chociaż bardzo interesujące...

Lider Maximo nieznacznie się przeciągnął. Podmuch wiatru przybrał na sile. Załopotały flagi. Ktoś wystrzelił petardę i natychmiast został odciągnięty na bok przez siły bezpieczeństwa. Lider Maximo nie słyszał hałasu ani nie widział zamieszania w tłumie.

Jakie byłyby skutki zainstalowania pocisku nuklearnego na Kubie? Szacunek? Prestiż? Czy inne państwa w tej części kuli ziemskiej byłyby zmuszone liczyć się z Kubą? Jaka by była reakcja jankesów? Czy podjęliby ryzyko inwazji? A może zastosowaliby te same środki odwetowe? Nie, na pewno nie, gdyby pocisk został wycelowany w Miami Beach... Nie, oni prowadziliby pertraktacje i próbowali dobić targu — pragnęliby wynegocjować zniszczenie broni — wszyscy politycy z państw kapitalistycznych zwykli w ten właśnie sposób postępować i kochali ubijać interesy. Mogłoby wyniknąć z tego coś korzystnego — na przykład unicestwienie pocisku w zamian za przywrócenie narodowi kubańskiemu bazy marynarki Stanów Zjednoczonych w Guantanamo, która przecież była ziemią kubańską...

Lider Maximo uderzył dłonią w pulpit. Oświadczył /gromadzonym obywatelom, że Kuba nie będzie pionkiem w niczyjej grze. Mówił o odwadze, męstwie i lojalności / przekonaniem człowieka, który swobodnie się czuje w świecie abstrakcyjnych pojęć. Słońce zaszło za Plaża i skryło się za pomnikiem Martiego. Wiatr ucichł, a Hagi przestały łopotać.

Esteli Rosabal udało się otworzyć torebkę. Znalazła pod opakowaniem chusteczek higienicznych to, czego szukała. Broń wydała się jej całkiem na miejscu w otoczeniu szminek, puderniczki, butelki z tuszem do kresiek i monet. Wszystko dookoła było teraz normalne, a nawet dziwnie zyskało na wartości, jak gdyby rzeczy codziennego użytku miały ukryte właściwości, z których nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy. Powierzchnia szminki wydała się jej nagle bardziej gładka, włókno, z którego był uszyty garnitur męczyzny stojącego obok, miało bogatszą strukturę, a chorągiewka ostrzejsze barwy.

Zacisnęła dłoń na rewolwerze.

Spojrzała na Lidera Maximo, który znowu umilkł.

Rozmyślał.

Przypomniwał sobie miejsce, które cudownie nadawało się na umieszczenie tego typu broni. Rozbawiła go ironia tej lokalizacji. Pocisk mógł zostać zainstalowany na wschód od półwyspu Zapata 1 plaży Giron, gdzie 17 kwietnia próbowały wylądować na Kubie ostatnie siły wroga. Inwazja zakończyła się wielką klęską jankesów i przeszła do historii pod nazwą zwycięstwa w Zalocce Świń. Miejsce było doskonale przystosowane do tego celu i miało ironiczną wymowę...

Zapłonął w nim dawny płomień, a w ustach pojawił się dawny smak, ledwo rozpoznawalny, ale wciąż rozkoszny. Lider Maximo ogarnął spojrzeniem spokojniejszy teraz tłum. Nie widział go jako skupiska poszczególnych ludzi. W półmroku zacierały się postacie, stawały się mniejsze i traciły indywidualne cechy, tworząc jedną



bezkształtną masę, którą można rządzić i nad którą można panować.

Taka broń nigdy, oczywiście, nie zostałaaby wystrzelona. Byłaby tylko przydatnym narzędziem w negocjacjach, wspierającym energiczną dyplomację, urządzeniem, które by otworzyło Kubie drogę do klubu nuklearnego...

Zastanawiał się, gdzie można zdobyć taką broń i komu mógłby powierzyć zadanie, gdyby zdecydował się na podjęcie takiej radykalnej decyzji? Fascynujące pytania.

Chociaż czysto abstrakcyjne.

Odwrócił głowę w stronę zatoki i pomyślał o obszarze wodnym, który dzielił Kubę od jej naturalnego wroga. Właśnie tam znajdował

się cały arsenał pocisków, które mogły zostać zniszczone w wypadku porozumienia jankesów z Sowieciami.

Mogły zostać zniszczone.

Znów zwrócił twarz w stronę zgromadzonych ludzi. Nie dostrzegł uroczej czarnowłosej kobiety, którą dzieliła od pracowników ochrony bariera.

Estela wyjęła pistolet z torebki. Zaczęła unosić go wolno nad biodra, ale w pewnym momencie nie mogła podnieść wyżej broni, gdyż ręka mężczyzny z chorągiewką blokowała jej możliwość manewru. Napór tłumu stawał się nie do zniesienia.

Wzięła głęboki wdech, wciągnęła klatkę piersiową i uwolniła przygwożdżoną rękę. Mężczyzna, który nagle zdał sobie sprawę z tego, co obca kobieta obok trzyma w dłoni, wszczął alarm. Estela wycelowała w trybunę, prosto w głowę Lidera Maximo. Strażnicy, wyćwiczeni do graniczącego z obłędem stopnia gotowości, zareagowali natychmiast i rzucili się gwałtownie w jej kierunku. Gdy została powalona na ziemię, ich masywne sylwetki przesłoniły jej niebo. Potem otrzymała cios w twarz i została kopnięta w żołądek, aż broń wypadła jej z ręki. Zabawne było to, że prawie nic nie czuła, że buty i pałki sprawiały tak niewielki ból, jak gdyby wyczerpała się jej zdolność odczuwania cierpień, a brutalność nie była w stanie już dotknąć ani zaskoczyć. Wleczono ją po betonie. Widziała przez opuchnięte, na wpół przy-  
mknięte oczy pracowników obsługujących kamery telewizyjne i foto-

grafów prasowych, którzy zupełnie ją zignorowali. Zacierała się jej przed oczami twarz Lidera Maximo, tak pogrążonego we własnych rozmyślaniach, że nie zwrócił uwagi na zagrożenie, z którym sprawnie się uporano, żeby wzmianka o nim nie pojawiła się w żadnej gazecie ani na ekranie telewizyjnym.

Ktoś odpalił kolejną petardę, tym razem raketową. Wzbiła się znad dachu budynku opodal i wybuchła pomarańczową smugą, a potem poszybowała w kierunku pomnika Martiego i rozplynęła się w powietrzu. Estela, wrzucona do furgonetki bez okien, zobaczyła, jak sztuczny ogień prawie radośnie wystrzelił w niebo bogatym upierzeniem, a potem drzwi się zatrzasnęły, wszystko stało się ciemnością i miało zapach potu, moczu i strachu.

Lider Maximo, który w ostatnich latach szukał znaków i wróżb, tak jak spragniony człowiek na granicy wycieńczenia szuka oazy, też zobaczył sztuczne ognie i uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

Rakieta, pomyślał. Jak bardzo na czasie.

Stało się to ósmego, a może dziewiątego dnia po kremacji i cichym pogrzebie sir Freddiego Kinnairda, już po tym, gdy dziennikarze i felietoniści na podstawie domniemyanych faktów, które często zawierały tylko pół prawdy, a zostały im przedstawione przez agencje rządowe Zjednoczonego Królestwa i Stanów Zjednoczonych, wspólnie opracowali wersję wydarzeń. Miało to miejsce wiele dni po wyjeździe Franka Pagana, który znużony spotkaniami z komisarzem i przesłuchaniami z zaufanymi pracownikami służby bezpieczeństwa, o których nigdy przedtem nie słyszał, postanowił spędzić kilka

spokojnych nocy w hotelu w deszczowym Brighton. Zdarzyło się to już po przemówieniu Castra do narodu kubańskiego o imperialistycznym spisku przeciwko niemu i po tym, jak Steffie Brough ze swoją rodziną schroniła się przed dziennikarzami, oraz po tym, gdy Allen Falk poszedł do szpitala, żeby wyleczyć wrzód, który się dotychczas nie uaktywnił. Wtedy właśnie wypłynął na powierzchnię i pojawił się w redakcji czasopisma ilustrowanego we Frankfurcie, oferując sprzedaż dzienników i dokumentów swojego zmarłego klienta Gunthera Ruhra, niepozorny człowiek w okularach, prawnik z Hamburga. Wilhelm Schiller.

Kilka lat temu klient zlecił Schillerowi, dobrze wychowanemu i skromnemu człowiekowi, opublikowanie pewnych materiałów' w wypadku swojej przedwczesnej śmierci. A ponieważ, niestety, zaszły właśnie takie okoliczności, Schiller postąpił zgodnie z instrukcją Ruhra. Drażliwe materiały, które zapełniały osiem grubych tekturowych kartonów i dotyczyły wielu lat życia Ruhra oraz jego interesów, mogły z pewnością zrujnować kariery różnych wpływowych osobistości, które kiedyś korzystały z usług terrorysty.

Nigdy jednak nie dotarły do biur wydawcy czasopisma, z którym Schiller prowadził negocjacje. Zniknęły z banku w Zurychu, w którym prawnik je zdeponował.

Wystraszeni urzędnicy banku zaprzeczali jakimkolwiek uchybieniu. Byli dyskretnymi ludźmi, których interes zależał od poszanowania tajemnicy klienta i zabezpieczenia powierzonych im materiałów. Zniknięcie dokumentów Ruhra oburzyło ich — w

każdym razie oficjalnie. Faktycznie zostali zobowiązani przekazać dokumenty szwajcarskiemu rządowi, na który wywierał nacisk jego niemiecki odpowiednik. W charakterze kozłów ofiarnych zwolniono dwóch pracowników banku za przestępstwo urzędowe. W późniejszym czasie mieli zostać po cichu zatrudnieni gdzie indziej.

Herr Schiller, obrażony z powodu straty materiałów, obiecał udzielić wywiadu telewizji niemieckiej i, ma się rozumieć, ujawnić

przynajmniej część zawartości dokumentów Ruhra. W ten sposób chciał wywiązać się choć w części ze zobowiązania wobec zmarłego klienta, a przy okazji zamierzał podnieść kwestię swoich podejrzeń dotyczących losu dokumentów. Domyślał się, że za tą kradzieżą nie stał zwyczajny złodziej. Tylko rządy, które dysponowały aparatem prawnego szantażu, mogły skłonić szwajcarskich bankierów do otwarcia depozytu.

Telewizyjny wywiad nie doszedł jednak do skutku, gdyż na kilka godzin przed jego zaplanowaną emisją znaleziono ciało Wilhelma Schillera w jego mieszkaniu we Frankfurcie. Prawdopodobnie zmarł na atak serca. Akt zgonu został podpisany przez dwóch lekarzy, którzy dziwnym zbiegiem okoliczności spędzali urlopy w jakichś odległych miejscach i nie można się było skontaktować z nimi telefonicznie.

Dzień po śmierci Schillera w prywatnej sali konferencyjnej drogiego hotelu St Helier na Wyspach Normandzkich zebrała się grupa kobiet i mężczyzn. Osoby te, którym towarzyszyli prawnicy, reprezentowały premiera Wielkiej Brytanii, prezydenta Stanów Zjednoczonych, kanclerza Republiki Federalnej Niemiec, prezydenta Francji, premierów Włoch i Japonii oraz niektórych książąt i potentatów z krajów Bliskiego Wschodu.

Przedmiotem spotkania było rozporządzenie skradzionymi dokumentami Giinthera Ruhra. Wstępne badanie akt, którego pospiesznie

dokonała międzynarodowa komisja składająca się z sześciu prawników, wykazało, że Ruhr przedstawił w nich z encyklopedyczną dokładnością daty i miejsca swojej terrorystycznej działalności, wysokość pieniężnych kwot, które otrzymywał za świadczone usługi, oraz nazwiska zleceniodawców. Był to rodzaj takiego dokumentu, który miał mu zagwarantować nieśmiertelność, chociaż nie ona była jego zasadniczym celem.

Skrupulatny i przebiegły Ruhr pracowicie gromadził swoje dokumenty. Wkrótce stało się jasne dla czytelników akt — powołanego audytorium — że zmarły terrorysta wiedział więcej o swoich pracodawcach, niż każdy z nich mógłby się tego spodziewać. Sprawdzał ludzi, którzy go wynajmowali. Przeprowadzał szczegółowe dochodzenie na ich temat. Nie należał do zwyczajnych ekstremistów. Stosował nadzwyczajne środki ostrożności. Czasami udawało mu się zgłębić tajemnice tych, którzy kupowali jego usługi. Czasami zdołał dotrzeć od mało liczących się osób do nazwisk wielkich osobistości. Pośrednicy wskazywali mu drogę do swoich mocodawców, a pomniejsi gracze do samych mistrzów. W dokumentach znalazły się nazwiska osób, które zajmowały wysokie stanowiska w rządach albo w sferach finansowych i sądziły, że wynajmując Ruhra z bezpiecznej odległości, zachowają anonimowość.

Wśród dokumentów znajdowały się fotostaty weksli bankowych, kopie zleceń przelewu, numery rachunków z banków na Wyspach Karaibskich — na każdym kroku widać było maniakalną dbałość

Ruhra o szczegóły. Nic nie uszło jego uwagi.

To był zbiór materiałów o niesłychanie niszczycielskiej sile, który w pewnych wypadkach szokował swoimi odkryciami. Zgodnie z tym, co nieoficjalnie zostało nazwane Porozumieniem St Hellier, w ciągu kilku godzin i prawie jednomyślnie postanowiono, że dokumenty za wszelką cenę muszą być trzymane z dala od prasy i że zostaną przydzielone poszczególnym państwom bezpośrednio nimi zainteresowanym. Na przykład dokumenty dotyczące powiązania Ruhra z separatystami baskijskimi miały trafić do rządu hiszpańskiego, by rozwiązał ten problem według własnego uznania. Nazwiska zleceniodawców Ruhra z Japonii, którzy go wynajęli, żeby wysadził w powietrze hotel w miejscowości wypoczynkowej, zamierzano bezzwłocznie przekazać przedstawicielom rządu Japonii. I tak dalej.

Konferencja zakończyła się po sześciu godzinach.

Dwa dni później Martin Burr pojechał do Brighton i w deszczowy wieczór poszedł z Paganem na spacer wzdłuż promenady. Przeszli obok przygnębiających ruin Zachodniej Przystani, która we mgle kanału La Manche przywodziła na myśl widmo statku. W innej epoce była to wdzięczna i wytworna budowla, która nieustępliwie opierała się zakusom morza. Obecnie zaniedbana, nie była niczym więcej dla Martina Burra jak wspomnieniem świata, który znudzony wdziękiem, odpowiedział na wezwanie współczesnego, bezmyślnego i toczącego się w zawrotnym tempie życia. Teraz nadeszły czasy dla świata mrożonych naleśników w chłodniach i wybornych gatunków herbat w



produkowanych masowo torebkach.

— Nareszcie trochę przypominasz siebie — rzekł Burr. — Bardzo się z tego cieszę — dodał.

Frank Pagan nie wspomniał Burrowi o nowej serii antybiotyków ani

o paskudnej infekcji rany w klatce piersiowej, którą odkrył Ghose.

Po co miałby go zanudzać opowiadaniem o swoich dolegliwościach?

Spojrzał w stronę kanału. Nad kamienistą plażą rozpościerała się wilgotna

niezgłębiona mgła. Włożył rękę do kieszeni płaszcza i dotknął fiolki z tabletkami przeciwbólowymi. Zainfekowana rana w piersi przeszywała go szarpiącym bólem. Starał się jednak nie zwracać na niego uwagi.

Burr postukał laską o balustradę promenady i przez chwilę wsłuchiwał się w ciche brzęczenie, które wywołał.

— Cała ekipa rozpracowuje dokumenty Kinnairda, które są bogate i zagmatwane, jak przystało na człowieka mającego wiele do ukrycia.

— Wyobrażam sobie — rzeki Pagan. Jako policjant autentycznie interesował się tą sprawą, ale słowa Burra nie pobudziły go do życia. Może kiedyś zdoła powrócić do bliskiego Burrowi świata i pograży się w jego problemach tak, jak zwykł to robić dotychczas. Teraz jednak nie miał ochoty być nikim więcej jak przypadkowym obserwatorem tajemniczej mgły podczas dżdżystej nocy w Brighton.

— Interesujący jest spis numerów telefonicznych Kinnairda. Niektóre z nich to numery do apartamentów w Acapulco, które okazały się własnością Rafaela Rosabala. Kinnaird i Rosabal. Wspaniali towarzysze wspólnego łóża.

Pagan dostrzegł w oddali światła przepływającego kanałem małego statku, które szybko zniknęły. Spojrzał na Martina Burra. Opaska na oku była pokryta wilgocią i odbijały się od niej wszystkie światła lamp wzdłuż promenady.

Burr przestał uderzać laską o poręcz.

— Freddie telefonował do wszystkich członków stowarzyszenia — Caporellego i innych. Parszywy drań. Nie pofatygował się nawet, żeby telefonować do nich z jakiegoś ogólnie dostępnego aparatu. Rozmawiał z nimi zarówno ze swojego domu w Szkocji, jak i z mieszkania w Albany. Nie cofnę się przed stwierdzeniem, że uważał siebie za osobę stojącą ponad prawem. — Burr przez chwilę kręcił głową. Z jego punktu widzenia nikczemna działalność Kinnairda i

jego współników oraz poczucie bezkarności Kinnairda przekroczyły wszelkie normy przyzwoitości.

Pagan stanął tyłem do zamglonego morza. Myślał o tym, że Freddie i Rosabal musieli podjąć decyzję o wyeliminowaniu pozostałych współników. A potem zachłanność pchnęła Rosabala o krok dalej, postanowił nie dzielić się władzą i zaszczytami i wydał polecenie usunięcia Freddiego. Byli czarodziejami. Prawdziwymi książętami.

Burr podciągnął wyżej swój kaszmirowy szal i nieznacznie się wzdrygnął.

— Co za cholerna mozaika! Pozbawione skrupułów posunięcia Kinnairda to nie koniec! — powiedział. — Widziałem niektóre dokumenty Giinthera Ruhra — dodał.

Pagan słyszał o tych głośnych archiwach i falach bezgranicznego przerażenia, jakie wywołały w sferach rządowych wielu państw. Słowa Burra zaintrygowały go.

— W tych dokumentach Ruhr utrzymuje, że Rosabal skontaktował się z nim po raz pierwszy przed trzema laty — powiedział Burr. — A dwanaście miesięcy temu w Mexico City otrzymał zielone światło. Kazano mu ukraść pocisk. Miał dostarczyć go do Hondurasu, gdzie czekały gotowe do inwazji wojska z czołgami i samolotami bojowymi. Ze zdumiewającym asortymentem uzbrojenia, które pochodziło z wielu państw.

Ukraść pocisk, pomyślał Pagan. Tylko tyle. Znowu spojrzął w stronę kanału, który niósł zapach zimy i rozkładu. Atmosfera

wieczora odpowiadała jego nastrojowi melancholii, z którego nie mógł się otrząsnąć od wielu dni. Myślał o przewrocie, o którym wspominała Magdalena, o powstaniu i konspiracyjnym ruchu demokratycznym, z którym wiązała taką nadzieję, i o tym, że nigdy nie wspominała

o wojskach przygotowanych do inwazji. Może i ten fakt Rosabal przed nią ukrył. Tak wiele pytań wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Jak Burr je nazwał? Cholerną mozaiką. Ambicje, kłamstwa, chciwość, wypaczone pojęcie patriotyzmu — robaczywe elementy wielkiego obrazu, który był wciąż nie skończony i mógł taki pozostać jeszcze przez długi czas.

Burr zniżył głos, jak gdyby w ciemności roilo się od podsłuchiwały.

— Dochodzą słuchy o masowych aresztowaniach, torturach i egzekucjach na całej Kubie.

Pagana przeszedł dreszcz. Od strony kanału doleciał powiew zimnego powietrza. Frank zastanawiał się, jakie konsekwencje spotkają Estelę Rosabal z powodu ambicji jej męża. Egzekucje, powiedział Burr. Czy właśnie taki los ją czekał? Czy miała stanąć przed plutonem egzekucyjnym i zostać rozstrzelana? Z wyrazistością, która go zasmuciła, przypomniał sobie jej spojrzenie, kiedy ją widział w Hawanie — zdruzgotana niewinna piękność. Czy Rosabal przez całe swoje życie niszczył wszystko, czego dotknął?

Pagan milczał przez chwilę. Słyszał szmer fali obmywającej kamienie.

— Ciągle mam przed oczami ten cholerny pocisk. I wciąż się zastanawiam, czy Rosabal zamierzał go wystrzelić. Nie mogę pozbyć się tej myśli — powiedział, jak gdyby mówił sam do siebie.

— Gdyby tak było, jaki wybrałby cel? — Martin Burr wzruszył ramionami.

Pagan nie odpowiedział. Obejrzał się w stronę mgły, która wydała mu się równie nieprzenikniona jak zamiary Rosabala. Przypomnił sobie pocisk na wyrzutni pod zmienionym kątem nachylenia i pełne grozy przecucie katastrofy, którego doświadczył. A potem przypomniał sobie skazany na zagładę mały samolot Magdaleny i nie był już dłużej pewien, czy pocisk został w ogóle poruszony, czy był to wytwór jego zmęczonego umysłu, halucynacja, kaprys postrzegania.

— Sądziłem, że przemówienie Castra rzuci światło na tę sprawę powiedział Burr.

— Ludzie pokroju Castra nie są zainteresowani naświetlaniem spraw. Wolą ciemność.

— Pewnie masz rację — rzekł Burr.

Frank Pagan usłyszał żałobny dźwięk sygnału przeciwmgielnego jak płacz zagubionej nocą istoty. Odwrócił się tyłem do kanału i spojrzął na smutną pozostałość Zachodniej Przystani. Skazany na zatracenie mały samolot Magdaleny, pomyślał. Ostatnio nękały go nieznośne koszmary. Zawsze był w nich mały samolot, który nie płonął błyskawicznie jak w rzeczywistości, lecz bardzo powoli. Potem w czerwonożółtym całopalnym stosie kokpitu pojawiała się twarz Magdaleny z wykrzywionymi, pozbawionymi życia ustami i odwracała się pomału w stronę drzew, pod którymi stał. I zanim wszystko znikło w płomieniach, zdążył dostrzec rozdzierający serce wyraz jej ciemnych oczu. Ten horror powtórzył się trzy-, a może czterokrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

Budził się zawsze z poczuciem głębokiego żalu i przygnębiającej straty, jak gdyby istniało jakieś ważne słowo, którego nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, albo zakłócone doznanie, którego nie potrafił nazwać. Cokolwiek to było, trawiło go głęboko i po upływie pewnego czasu mogło całkowicie go unicestwić.

Zgiął się w pałąk na poręczy balustrady pod wpływem gwałtownego ataku bólu w piersi.

— Czy dobrze się czujesz, Frank? — zapytał Burr.

Pagan wyjął fiolkę ze środkami przeciwbólowymi i zdjął z niej nakrętkę. Wysypał jedną tabletkę na trzęsącą się dłoń. Spojrzał na pastylkę. Czy była mu potrzebna? Czy mogła znieczulić najbardziej obolałe miejsce? Pozwolił jej wysliznąć się z ręki, a potem cisnął fiolkę przed siebie i patrzył, jak kapsułki znikają z pola widzenia na ciemnej plaży. Spadną pomiędzy kamienie i będą tam leżeć w ukryciu, dopóki odpływ nie zabierze ich ze sobą i nie rozpuszczą się w słonej wodzie.

— Czuję się dobrze, komisarzu — powiedział tylko.